

2.27
—
4.54

P. 2790.

140—
1952W

KSIĘGA ŚWIATA.

WŁADOMOŚCI

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORJI KRAJÓW I LUDÓW.

ŻYWOŹY ZNAKOMITYCH LUDZI.

PODROŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SŁYNIEJSZYCH, ODKRYCIA I WYNAZKI.

WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

OBRAZY TOWARZYSKIE, STATYSTYCZNE, EKONOMICZNE.

WYCIĄGAMI ZE STAŁYCH KSIĘG, KOLEKCYJAMI, ORAZ DZIENNIKAMI

KSIĘGA ŚWIATA.

WARSZAWA.

NANLADEM S. H. HERZBACHA SPOŁACZKA

1835.

KSIEGA SWIATA

(Rok 4)

KSIĘGA ŚWIATA.

WIADOMOŚCI

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORII KRAJÓW I LUDÓW,
ŻYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI.

PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SŁYNNIEJSZYCH, ODKRYCIA I WYNAŁAZKI,

WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

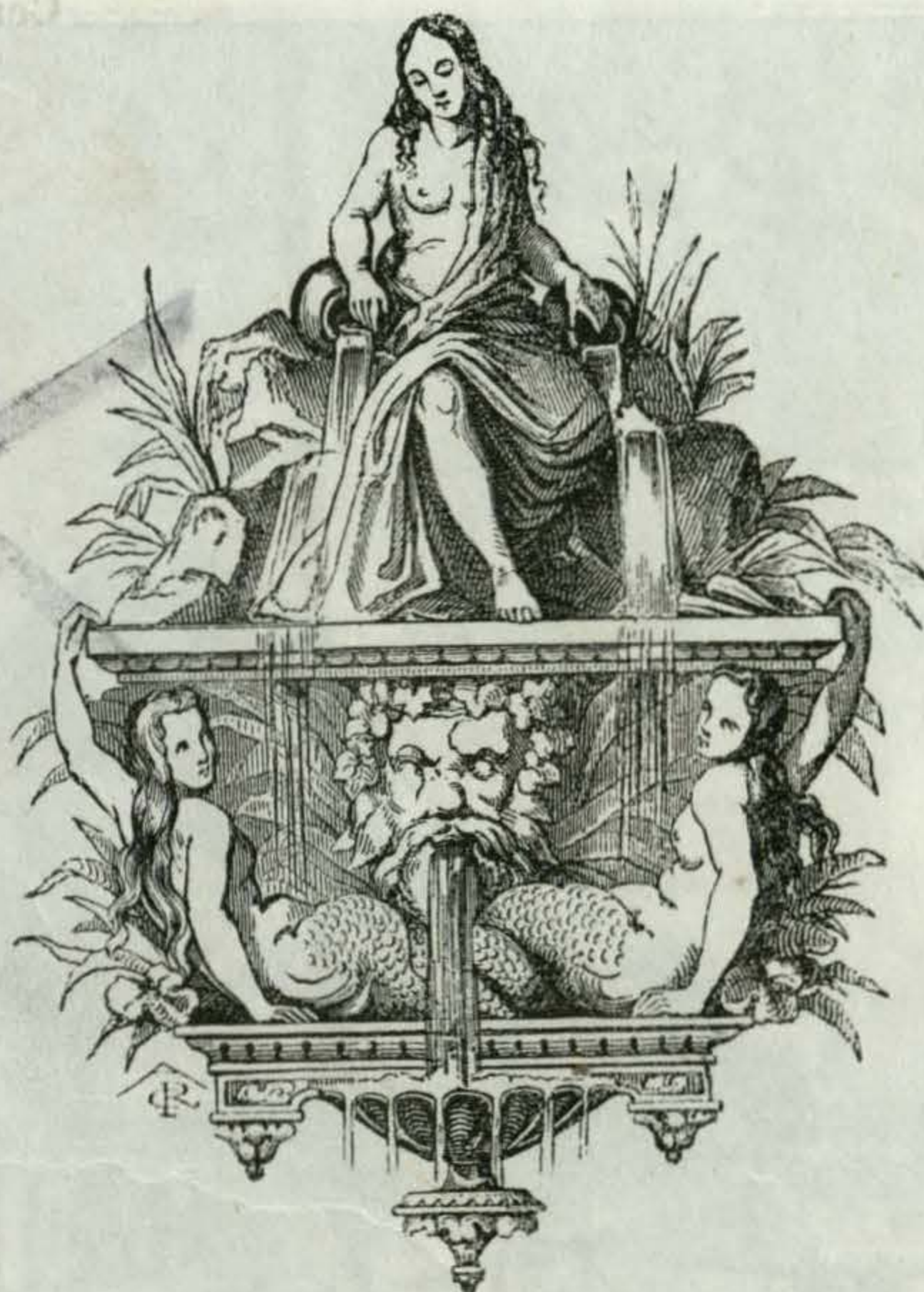
OBRAZY TOWARZYSKIE, STATYSTYCZNE, EKONOMICZNE,

i t. p.

Z RYCINAMI NA STALI CZARNEMI, KOLOROWANEMI, ORAZ DRZEWORYTAMI.



CZEŚĆ PIERWSZA.



WARSZAWA.

NAKŁADEM S. H. MERZBACHA KSIĘGARZA

PRZY ULICY MIODOWEJ N. 486.

1855.

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE
BIBLIOTEKA
Nr. P. 2790

KSIĘGA

WŁADOMORSKI

WYDZIAŁ WIEDZY I SZKOLNICTWA WARSZAWY

WYDZIAŁ WIEDZY I SZKOLNICTWA WARSZAWY

WYDZIAŁ WIEDZY I SZKOLNICTWA WARSZAWY

WYDZIAŁ WIEDZY I SZKOLNICTWA WARSZAWY

WYDZIAŁ WIEDZY I SZKOLNICTWA WARSZAWY

WYDZIAŁ WIEDZY I SZKOLNICTWA WARSZAWY

Wolno drukować pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie d. 22 Listopada (4 Grudnia) 1855 r.

Cenzor F. SOBIESZCZAŃSKI.



L. 140/52.

w Drukarni J. Jaworskiego.

1855



KSIĘGA ŚWIATA.

S Y O N.

Kilka jest miejsc tego nazwiska; górzysty atoli charakter przedstawionego na rycinie krajobrazu wątpić nie pozwala, że zamierzamy tu mówić o stolicy kantonu Wallii, zwanój przez starożytnych *Sedunum*, przez Niemców *Sitten*.

Miasto to, wymieniane już za czasów Juliusza Cezara, w miarę jak nowemi przyozdabia się gmachami, traci nieznacznie fizyognomią, niegdys tak wybitną, malój Jerozolimy katolickiej, której święte przybytki wiecznie bywały zapelnione tłumami pobożnego ludu. Już teraz staczają w niém walkę odmłodzenie ze zgrzybiałą starością, nowożytność z dawnymi wiekami, gwałtownie narzucony postęp terażniejszości z uporną tradycyą bezwładnością. Kawiarnie, izby szynkowe i domy nowego kroju wypierają zwolna okopciałe siedziby obywateli-pastuchów Syonu, a obok ich murów świeżo pobielanych dziwnie odbijają ściany starożytnych mieszkań szlacheckich, otoczonych galeryami, zdobnych w fantastyczne arabeski i tarcze herbowe.

Syon, od pierwszych niemal wieków chrześcijaństwa siedlisko biskupie, leży w wąwozie pomiędzy dwoma skalistemi wzgórzami, niedaleko ujścia Syonu do Rodanu. Oprócz nieprzystępności samego już położenia, otoczony jest fossą, wałem i wysokim murem, którego bramy zdobią malowidła z pisma świętego. Siecią wązkich uliczek, pokrytych różnolicemi domkami, miasto u stoku stromych rozpostarło się wzgórzów. Wierzchołki tych ostatnich wieńczą dwa zamki gotyckie: *Tourbillon* i *Valeria*. Pierwszy z nich, obronna niegdys siedziba wojowniczych biskupów, od czasu zgorzenia w r. 1788 zamienił się w pustkowie; drugi, w dość dobrym jeszcze stanie, zachował obszerną kaplicę z relikwiami św. Will'a. Przebijają tu wszędzie ślady dawnego przepychu; dziś dzieło rąk ludzkich

zszepetniało przebiegiem czasu: sama tylko przyroda wiecznie piękną i wiecznie została nieodmienną. Bo jakże téż cudny ztąd widok na Alpy w zuchwałych zarysach widnokrąg odgraniczające, a bliżej na oplecioną winnicami dolinę Rodanu, którego bystre nurty obficie zasilają strumienie z sąsiednich spadające wyżyn. Są może krajobrazy wspanialsze, ogromem swych rozmiarów silniej na wyobraźnię działające; ale nie dużo znajdzie się równie powabnych dla oka i dla serca.

Nowsze dzielnice miasta dosyć regularnie są stawiane i charakterem budownictwa, jak wspomnieliśmy wyżej, zupełnie od dawniejszych odbiegają. Ze starożytnych gmachów kościół katedralny, architektury bizantyjskiej, posiada piętnaście ołtarzów i mnóstwo pomników z rzymskimi napisami. Zasługują także na wspomnienie: kościół św. Teodula, kollegium jezuitów, ratusz ze zbiorkiem starożytności rzymskich i kunsztownym zegarem, tudzież stara budowla z epoki Karolowingów, zwana *Psią wieżą*, pamiętna srogą sprawiedliwością jaką tu w r. 1380 wymierzył jeden z książąt Sabaudyi.

W okolicach Syonu leży równina Planta, gdzie w r. 1475 Wallijczykowie znakomite odnieśli zwycięstwo nad sześcią tysiącami Sabaudczyków. Malownicze drożyny prowadzą do klasztoru kapucynów, do zakładu sióstr białych, do strzelnicy i do zburzonych warowni Montorge i Syon. Przestrzeń pomiędzy miastem a Rodanem, obrócona na miejsce przechadzek, odznacza się bujną roślinnością, łączącą w sobie cechy zarówno północy jak południa. Drzewa morwowe, migdałowe i figowe nadzwyczajnej dochodzą tu grubości i doskonałości, podobnie jak szcep winny, wydają owoce. Nigdzie może w Szwajcaryi byt materyalny tak korzystnych nie przedstawia warunków.

Na południe Syonu rozciąga się dolina Erin (Eringer-Thal), przetrnięta rzeczką Borgne i sięgająca śnieżyc Aosty. Pustelnia Long-Borgne, o godzinę drogi od miasta, z kościołem, kilką kapliczkami, refektarzem i celami wydrążonemi w skale przez jakiegoś jej mieszkańca, słynie po kraju cudotwornością. Dziś jeszcze po dwóch zwykle pustelników przebywa w tém miejscu ustronném.

Teraźniejszy Syon liczy przeszło 3,000 ludności, dotkniętej w części straszną plagą kretynizmu. Gród

ten od r. 888, to jest od czasu opanowania go przez Rudolfa I, króla trans-jurańskiej Burgundyi, do r. 1798, czyli do epoki ostatniego zajęcia przez Francuzów, ośm razy szturmem był zdobywanym. Niszczyły go także wylewy Syony, mianowicie w latach 1740 i 1778. W roku 1810 Syon został stolicą francuzkiego departamentu du Simplon, a w r. 1815 stolicą dwudziestego kantonu związku szwajcarskiego.

AMSTERDAM.

Amsterdam (Amstelodamum), stolica Hollandyi, przy ujściu odnogi Y (mów Ej), rozcięty dwoma ramionami Amsteli i kilką kanałami na 90 wysp, połączonych między sobą przez 292 mostów, zbudowany jest w kształcie pół-księżycy, po większej części na palach. Słynne to miasto handlowe dawnych Niderlandów na początku jeszcze XIII stulecia było osadą rybacką w posiadaniu panów van Amstel. W połowie tegoż wieku podniesione do rzędu miast, roku 1296 uległo zburzeniu przez sąsiednich Harlemczyków, (z przyczyny udziału Gysbrechta van Amstel w zamordowaniu hollandskiego hrabi Floris), i sam właściciel został wypędzonym. Tym sposobem Amsterdam przeszedł w posiadanie hrabiów hollandskich, którzy licznymi obdarzyli go przywilejami. W roku 1482 otoczony murami, w XVI już wieku stał się znakomitym punktem handlowym. Pierwszą przyczyną jego wzrostu było przejście z rąk posiadaczy prywatnych pod zwierzchnictwo udzielnych hrabiów; drugą, ważniejszą jeszcze w skutkach, oderwanie się od Hiszpanii. Około r. 1585, gdy Antwerpia powróciła pod rząd hiszpańskie, Amsterdam, zagarnawszy po niej handel, wyrósł na najznacniejsze wpływowym i bogactwem miasto połączonych Niderlandów, i okazała się potrzeba przybudowania zachodniej jego części.

W roku 1622 miasto liczyło już 100,000 mieszkańców, obudzając wzmożoną swą wielkością zawisć potężnych sąsiadów. Hrabia Leicesterzdradą,

król Wilhelm II ubieżeniem usiłował je owołać; lecz oba te zamachy zniweczyła przezorność burmistrzów Hooft'a i Bicker'a. W tym czasie burmistrze Amsterdamu tak wielkiego nabrali znaczenia w zgromadzeniu stanów jeneralnych, że w ciągu XVIII stulecia stali niemal na równi z samymi namiestnikami (Stadhuderami). Świetny ten peryód uczynił go najbogatszym w Europie grodem, składem i targowiskiem produktów Wschodu i Zachodu. W niespokojnych nawet latach od 1780—1794 handel tameczny żadnej prawie nie doznał ujmy. Ale od r. 1795, ze zmianą polityczną, upadła żoźność mieszkańców, podkopana szczególnie przy musowem z Francją przymierzem. Staral się wprowadzić król Ludwik podnieść takową przywilejami, a nawet w r. 1808 przeniósł do Amsterdamu swą stolicę i siedlisko rządu; wszystko to jednak rozdrażniło tylko Napoleona, który w r. 1810 zupełnem przyłączeniem Hollandyi do Francyi zewnętrzny handel Amsterdamu ze szczętem na lat kilka zniweczył.

Od r. 1813 dobry byt miasta, mimo współzawodnictwa Hamburga i Rotterdamu, znakomicie się poprawił; niezmierne bowiem kapitały starych domów kommissowych, ustalony ich kredyt i cenona rzetelność, obok wyborowego urzędzenia stosunków handlowych, stawiają Amsterdam w dogodnych bardzo ku temu warunkach.

Do najważniejszych i najbardziej charakterystycznych zakładów wspierających dzisiajszy hau-

del Amsterdamu należy znaczna liczba warstatów okrętowych, fabryki żagłów, lin i tytoniu. Ludność jego, wynosząca w r. 1820 tylko 180,000. dochodzi obecnie do 212,000; w téj liczbie 45,000 katolików, 24,000 luteranów, 2,000 nowochrześciców (anabaptystów), 20,000 niemieckich i 2,500 portugalskich Żydów, 800 remonstrantów i t. d. Miasto, od strony szczególniej portu, wspaniały przedstawia widok. Ulice jego, po większej części sznurem wzdłuż kanałów wyciągnięte, mają chodniki starannie wyłożone małemi cegielkami szklanemi, zwanemi tu *klinkerts*, i w nocy wybornie bywają oświetlane. Cenniejsze między niemi miejsce zajmują *Heeren-Gragt* i *Keisers-Gragt*, na kilka werst długie. Nic nie wyrówna ich bogactwu; ale stanowią je nie pałace, jak w pysznych Italii miastach, lecz sklepy i rozległe magazyny, strojne w najwymyślniejsze obu półsfierzów wykwinty. *Kalver-Straat* także i *Nievedek* uważać można za wystawę nieustającą przemysłu całego świata.

Dawniej Amsterdam silną był twierdzą, obronną 26 szanćami, które w potrzebie mogły być wodą zalane. Ludwik XIV nie śmiał na nią uderzyć; lecz w r. 1787 zdobyli ją Prusacy. Przy terażniejszym sztuki wojennej udoskonaleniu utrzymać ją można tylko przez zalanie okolic.

Zpomiedzy gmachów publicznych odznaczają się: pałac królewski, niegdyś dom obrad miejskich, rozpoczęty pod kierunkiem budowniczego Jakuba van Kampen, zaraz po uznaniu pokojem westfalskim niezawisłości Niderlandów, a ukończony w r. 1655. W podziemiach jego spoczywa gotowizna amsterdamskiego banku, o której ogromie wielu bajeczne rozpowiada rzeczy. Wspaniała ta budowla opartą jest na 13,659 palach, wbitych w torfową ziemię do głębokości stóp czterdziestu. Rozmiary jej nakazują poszanowanie, a wewnątrz naj-słynniejsi malarze i rzeźbiarze niderlandscy XVII stulecia przyozdobili w swe arcydzieła. Panujący tam przepych świadczy o zamożności miasta, w epoce kiedy dla grona reprezentantów swoich gmach taki wystawiło. Dzisiajsza sala tronowa jest może najpiękniejszą i najrozleglejszą w Europie; przechodzi przez nią linia południkowa, skręślona ręką słynnego Huyghen'a. Pełno wszędzie marmurów, złocień i kolumn, między którymi ustawiono chorągwie zdobyte na Hiszpanach. Pokoje królewskie w takim jeszcze są stanie, w jakim je zostawił król

Ludwik.—Bursa, wzniesiona na pięciu arkadach nad korytem Amsteli, ma 250 stóp długości, a 140 szerokości; na głównej fasadzie jej stoi posąg kolosalny Merkurego. Kościołów Amsterdam posiada 49 (1), między innemi kościół św. Mikołaja, zwany *Oude-Kerk*, którego obszerne sklepienie podpięra 24 kolumn ciosowych, a nad nim wznosi się wieża na 240 stóp wysoka, z grającym zegarem dzwonkowym. Dalej kościół św. Katarzyny czyli *Nieuwe-Kerk*, jeden z najpiękniejszych w królestwie, z przepyszną kazalnicą i organami.

Dla rozkrzewienia nauk i sztuk pięknych znajdują się tu: akademie, towarzystwo *Felix meritis* założone przez stan handlowy, towarzystwo *Doctrina et amicitia*, związek *Tot nut van't algemeen* (powszechnego dobra), muzeum do czytania, kilka stowarzyszeń muzycznych, trzy teatry, ogród botaniczny i słynne w całej Europie szkoły łacińskie. Pod względem dobroczynnym i porządkowym wymieniamy: kilka szpitali, dom starców płci obojga, sześć domów podrzutek i sierot, i mnóstwo stowarzyszeń prywatnych, mających na celu poprawę obyczajów.

Aby ocenić przemysł i handel amsterdamski, dosyć obejrzyć w pobliżu przystani obszerne pałac kompanii wschodnio-indyjskiej, zabudowania admiralicyi, stanowiące jakby oddzielne miasteczko, i nakoniec wspaniałe samego portu obmurowanie. W porcie tym miasto przyjmuje rocznie około 3,000 okrętów, z objemem 207,000 beczek; wszelako handel płodami obu półkul nie jest bynajmniej wyłącznym bogactwem jego źródłem: posiada bowiem liczne rękodzielnie różnego rodzaju tkanin, tytoniu, wyrobów chemicznych, żelaznych, złotniczych i jubilerskich.

Amsterdam jest miejscem urodzenia dziejopisarza Hooft (1581), naturalisty Swammerdam (1637), malarza kwiatów Huysum (1682) i wielkiego myśliciela Spinozy (1632—1677), co wyklęty przez synagogę, a prześladowany przez chrześcian jako ateusz, rozwijał tu w cichości znakomity swój system filozoficzny. W *Nieuwe-Kerk* mieszczą się grobowce admirała de Ruyter, dzielnego van Galen i poety Vondel; w *Oude-Kerk* pomniki bohaterów morskich Heemskerk, van der Zaan, Zweerts i van

(1) Mianowicie: 11 reformowanych, 2 francuzkie, 1 angielski, 1 szkocki, 2 luterzańskie, 1 armeński, 3 anabaptystów, 24 katolickich, 1 kwakerski i 3 synagogi.

der Hulst. Powietrze tutajsze jest wilgotne i przesiąknięte niezdrowymi wyciekami; przyczyną tego kanały napelnione wodą słonawą i błotnistą, które, jakkolwiek podnoszeniem szluz oczyszczane, szerzą dokoła niezdrowe miazmy. Wielką także niedogodnością jest brak słodkiej wody; czerpana z Amsteli jest niedobra, trzeba ją więc sprowadzać o milę przeszło z małej rzeczki Vecht, albo

téż z Utrechtu. Ważnym niezmiernie dla Amsterdamu jest nowo zbudowany kanał splawny, idący od jej portu do krańca ostatecznego północnej Holandyi. Znosi on jedną z głównych trudności miejscowego handlu, przeladowanie towarów z głęboko nurzających się okrętów na płaskie statki, przed wprowadzeniem ich do przystani, bo nawet liniowe okręty krążyć po nim mogą bez przeszkody.

BURSZTYN.

Kiedy po śmierci Faetona, mówi mit grecki, siostry jego oplakiwały zgon brata, Jowisz zamienił je w topole, a łzy ich, ciekące strumieniem, skrzepły w poblizkiej rzęce. Dziś jeszcze morze bałtyckie wyrzuca te łzy skamieniałe, dziś jeszcze ziemia tameczna mieści je w swoim łonie, a ludzie nazwali je bursztynem.

Złoto i drogie kamienie nie uszczęśliwiły nigdy kraju w którego gruncie obfitowały, ściągając nań owszem niewolę, niedostatek, lenistwo i bezprawie; a jednak człowieczeństwo nieświadomie za te plody kosztowne otrzymywało w zamian oświatę. Skarby ukryte w ziemi utorowały drogę kulturze, powiodły Fenicyan do złotodajnych krain Afryki, Rzymian do Indyj, a Hiszpanów do Ameryki. Uboża północ Europy nie miała kruszców i kamieni dla zwabienia cywilizowanych ludów starożytności, lecz miała bursztyń, na równi niemal z tamtymi ceniony. Sprowadzanie jego złączyło w odległych już wiekach brzegi oceanu północnego z brzegami Adryatyku i morza czarnego i ożywiło stosunki międzynarodowe w krajach środkowej Europy. Bursztyń z Germanii przez ziemię Celtów do Italii, przez Polskę zaś i Rosyję po Dnieprę się rozchodził a w miejsce jego tą samą drogą, wraz z monetami rzymskimi, wpływała rzymska oświata.

Nie rozstrzygnięto dotąd pytania, czy Fenicyanie w swych wycieczkach handlowych docierali do morza bałtyckiego. Prawdopodobniej atoli bursztyń pochodził z zachodnich brzegów cymbryjskich czyli duńskich, a będąc przedmiotem zamiany, dostawał się lądem nad brzegi morza śródziemnego. Słynny

matematyk i geograf Pyteas około 340—320 przed Chrystusem. pożegłował z Massylii (Marsylii) do Cantium (Canterbury, Kent), a ztamtąd do Tule, (zdaniem Lelewela dzisiajszych wysp orkadzkich i szetlandzkich, należących do Szkocyi). Przedsięwzięcie to było jedną z pierwszych podróży w zamiarze wyłącznie odkrywczym, i miało na celu znalezienie prawdziwej ojczyzny bursztynu, o którym mylnie dotąd mniemano, że rośnie w lasach nad brzegami rzeki Po. Morze wyrzucające bursztyń, według podanych przez Pyteasa wiadomości, podlegało zjawiskom przyływu i odpływu, a wyspę bursztynową Glessaria (od staro-niemieckiego miana bursztynu Glessum, Glas [szkło]), którą napotkał, Pliniusz zamieszcza wyraźnie na oceanie północnym, na zachód od przylądka cymbryjskiego. Za czasów cesarstwa Rzymianie weszli, jak się zdaje, w bezpośrednie już z brzegami morza bałtyckiego zetknięcie. Rycerz jakiś rzymski puścił się pierwszy w wielką podróż lądową przez Pannonię do kraju Wenetów. Monety rzymskie, odkopywane w okolicach nadbałtyckich, mianowicie w okręgach na północ od Noteci, a z których najdawniejsze pochodzą z czasów Nerona, świadczą o stosunkach handlowych tej ziemi z osadami nad morzem czarnym. W starożytniej Scytyi (dzisiajszej Rosyi), miały być także kopalnie bursztynu, i rzeczywiście znajdują go dotąd w niektórych punktach pod Uralem.

W nowszych czasach odkryto bursztyń w Hiszpanii, we Francyi, w Niderlandach, w Grenlandyi, Szwecyi, Polsce, we Włoszech, a nawet w Chi-

nach i Indyach. Brzegi morza północnego między ujściem Wezery i Elby, gdzie prawdopodobnie Pyteas czynił poszukiwania, dziś jeszcze dostarczają rocznie około 3,000 funtów bursztynu. Wszelako najobfitszym jego źródłem niezaprzeczenie jest Bałtyk, a mianowicie przestrzeń od zatoki fryjskiej (Frisches Haff), do kurskiej (Kurisches Haff).

Gdy silne tchnienie wiatru zawieje od północy, i wały bogactwa swoje wyrzucają na brzegi, wtedy mieszkańcy nadmorscy z sieciami spieszą na połów bursztynu. Niełatwa to robota, bo zwykle wiatr przyjazny zjawia się aż pod zimę, i nieraz skórzane poszukiwaczów ubranie, po kilku-godzinném brodzeniu, pokryje się warstwą lodu, a członki ich stężałe przy domowém dopięro ognisku giętkość swą odzyskują. Przy spokojniejszym morzu ta sama czynność odbywa się na łodziach, i nie ustaje aż w zimie; lecz nawet w porze największych mrozów przemyślni Prusacy umieją bursztyn dobywać z przerębli. Niekiedy ten plód drogocenny znajduwanym bywa i w znacznej od morza odległości. Przed 300 laty odkryto go przypadkiem o mil kilkanaście od brzegu; w roku zaś 1559 urządzono kopanie jego na sposób górniczy. Z początku zyski były wielkie, bo w owych czasach powszechniej dowolności rząd elektorski, za małą opłatą, zagnęł mieszkańców do roboty; wkrótce atoli niebezpieczeństwo z obrywania się ziemi piaszczystej okazało się tak wielkiem, że zaniechać musiano kopalni.

Podobnie jak dyament na Brazylii, tak bursztyn na pobrażu bałtyckim, zamiast błogosławieństwa, sprowadził klęski fizyczne i moralne. Praca przymusowa zagrażała bytowi materialnemu i tak już ubogiej ludności, a srogie kary, wymierzane za ukrycie bursztynu, podkopywały jej rzetelność. Poznawszy się na tém, rząd postanowił wydzierżawić połów mieszkańcom: ale już było za późno; nieprawne korzyści tak dla nich stały się ponętnymi, że propozycją odrzucono.

Od roku 1811 kopanie bursztynu nowego nabrało popędu. Zaniechano najmów przymusowych, a robotnicy, hojnie wynagradzani, ochoczo się teraz garnęli do przeklinanej dawniej pracy. Rozrzucając wzgórze, zaczynają zwykle od usypania po stronie morza wału ochronnego, a w utworzonej tym sposobem kotlinie szczupła liczba wyrobników małymi rydelkami ostrożnie i po trosze ziemię rozkopu-

je, aby nie skruszyć przypadkiem większej bryły bursztynu, a jednak nie pominąć i mniejszych. Zawsze atoli kopalnie w wydajności ustępują połowowi morskemu.

Ogólna produkcya bałtyckiego bursztynu od 200 lat przeszło w jedną utrzymuje się miarę, (rocznie około 300,000 funtów). W okolicy Królewca dobywanie jego wydzierżawioném jest prywatnemu przedsiębiorcy za 10,000 tal. rocznie, a lubo koszt takąż prawie wynoszą sumę, interes przecież okazał się korzystnym. Za kawał bursztynu ważący funt jeden placą w Hamburgu albo Lipsku 48—60 talarów. Funt w pięciu kawalkach kosztuje 22—28, w dziesięciu 14—18, a w pięćdziesięciu tylko 4—5 talarów. Największa w zbiorze berlińskim bryła znaleziona została w znacznej odległości od morza, pod Gąbinem (Gumbinnen). Ma ona 13³/₄ cali długości, 8¹/₂ szerokości, a 3—6 grubości, i waży przeszło 13 funtów. Najjaśniejszy Cesarz Wszech Rosyi od dwóch ostatnich monarchów pruskich otrzymał w darze tak znakomitą ilość bursztynu, że pokryć nim rozkazał aż pod sufit ściany jednej z sal pałacu w Carskim-Siele.

I dalej także ku południowi napotkać się zdarza bursztyn kopalniany. Pod Chobienicami, w wielkiem księstwie poznańskim, na granicy brandenburskiej, ziemia w przestrzeni 2 mil \square mieści w sobie kawalki tego płodu, a poblizkie jezioro po każdej burzy wyrzuca go dosyć obficie. W królestwie polskim odkryto bursztyn r. 1796 w leśnictwie ostrolęckim, pod wsią Wolkowo. W r. 1810 urządzono tam kopanie, i wypuszczono je w dzierżawę starozakonnym. Wydobywają go także w leśnictwach: przasnyskim, rożańskim, a mianowicie w obrębie Rzaniec i w leśnictwie kupiskim (w gubernii augustowskiej). Dochód z tych wszystkich kopanin, podług autora „Górnictwa w Polsce“, czynił rządowi w roku 1818 zł. 4,800, czyli r. 720; dziś ony zupełnie prawie zaniebane.

Najnowsze i wcale niespodziewane odkrycie bogactw bursztynowych poczyniono niedawno w Kurlandyi. U wschodnich brzegów tego kraju, niedaleko zatoki rygskiej i od niej równoległe, w przestrzeni 2¹/₂ mili, rozciąga się jezioro Angern. Wpada doń kilka strumieni, z których jeden boczną odnogą łączy je z zatoką. Otóż, lat temu kilka, gdy przedsięwzięto osuszenie jeziora, znaleziono mnóstwo bursztynu na dnie jego i po bokach. Trudno

oznaczyć ile w początku samym wynosić mógł zbiór tego płodu, poszukiwania bowiem zrazu odbywały się skrycie; według twierdzenia atoli kupców starozakonnych, przed wdaniem się jeszcze rządu, sprzedano im bursztynu za przeszło 4,000 rsr. Kawalki znajduwane po większej części są przezroczyste, a niektóre z nich zawierają owady z rodzaju dwuskrzydlatych.

Szklistość, przyjemne dla oka ubarwienie, a szczególnie twardość, skutkiem której zdolnym się staje do przyjęcia politory, nadają bursztynowi wysoką jego wartość. W Królewcu, Gdańsku, na wyspie Sycylii i w Konstantynopolu zgrubsza tylko i niedokładnie obrabiany, przybiera on pod ręką tokarzów paryzkich kształty prawdziwie artystyczne, i wraca do swój ojczyzny kilkakrotnie w cenie podwyższony. Wschód, tak bogaty w szlachetne kamienie, dziwnie się jednak w tym skromnym północy wyrzutku rozmiłował. Korale bursztynowe na naszyjniki i naręczniki wychodzą do Egiptu i Indyj, a końce cybuchowe czyli munsztuki, do Turcji i Arabii. Najuboższy Turek musi koniecznie do swój fajki mieć chociaż kawalek bursztynu; oprócz bowiem przyjemnego uczucia jakie sprawia w zetknięciu z ustami, wyznawcy islamizmu utrzymują, że chroni od zarazy. Piękny munsztuk mlęczny (kapuściany) bez plam i rysów, stosownie do wielkości, kosztuje w Konstantynopolu 40—100 talarów.

Jeżeli szklistość już bursztynu przypomina nam żywicę, to bardziej jeszcze jego palność i topliwość. Zajmuje się łatwo płomieniem, szerząc przytém woń dość przyjemną; ztąd w Persyi, Chinach i Japonii, przy obrzędach religijnych i ucztach, nie obejdzie się bez „żółtej ambry“, jak go nazywają. Im więcej go tam spalą, tém obchód uroczystszy.

Czego domyślać się każe powierzchowność, to rozbiór chemiczny w zupełności potwierdza: bursztyn istotnie jest żywicą. Rozpuszczalny częściowo w eterze, przez destyllacyą daje lotny, mocno woniący olejek i lepkie dwie żywice. Wszelako $\frac{9}{10}$ blisko części bursztynu nie roztwarza się ani w eterze, ani w wyskoku, ani w olejkach lotnych i tłustych, ani w gryzących alkaliach czyli solach ługowych. W drodze suchej destyllacyi otrzymujemy zeń kwas bursztynowy, znany już od roku 1546, a znaleziony później i w terpentynie.

Jak teraz analiza chemiczna, wykazująca w bursztynie pierwiastki zupełnie drzewnej żywicy odpo-

wiednie, tak niegdyś pozór jego zewnętrzny myślicielom Grecyi i Rzymu wskazywał w nim ciało pochodzenia roślinnego. Dziś nawet to mniemanie żadnej nie podlega już wątpliwości; napotykamy bowiem bursztyn w tak zwanym węglu brunatnym i w drzewie bitumiczném. W słojach pniów wydobytych z pokładów węgla brunatnego wykrywamy niekiedy jego szczątki; na bryłach bursztynu spotrzegamy wyraźnie odcisniętą korę drzewną; znajdujemy kawalki drzewa i kory całkowicie nim oblane: nakoniec zawarte bywają w jego massie owady, liście, iglice, nasiona, mchy i kamyki. Stan tych zamkniętków dowodzi, że bursztyn, w chwili gdy przyjął je w siebie, musiał być bardzo płynnym i stygnąc niezmiernie powoli. Kiedy w lepkiej żywicy drzew naszych iglastych ujrzyć się zdarzy jaki owad, ciało jego zawsze jest pogięte, nogi skurczone, a skrzydła zwinięte. Przeciwnie rzecz się ma w bursztynie: tu cząstki najdelikatniejsze doskonale są zachowane, skrzydła, rożki i nogi w naturalném swém położeniu, same zaś owady, w których uznać nam przychodzi zasklepionych dawnego świata mieszkańców, należą po większej części albo do dziś żyjących gatunków europejskich, albo przynajmniej pokrewne są istniejącym dotąd w Brazylii i Nowej Hollandyi.

Wysokie ceny jakie płacono za sztuki bursztynu zawierające szczątki organiczne, dały pochop do licznych nadużyć. Zamykano w nim sztucznie małe zwierzątka, nawet rybki, jaszczurki i żaby drzewianki, rozłupując go i wydrążając; potem otwór zapelniano mastyksem, i kitowano połówki przez zwilżanie ich wodanem potażu, czyli potażem gryzącym. Naturalnie że takie oszustwa do czasu tylko ukryć się mogły; zlepione bowiem bryłki w wyskoku lub wrzącej wodzie z łatwością się rozwozły.

Widocznie więc bursztyn jest utworem żywicznym, powstałym nie w ziemi, lecz na jej powierzchni, w przystępie i pod działaniem powietrza. Zamknięte w nim owady wszystkie prawie żyją nad ziemią, a że się martwe do ziemi nie dostały, o tém świadczy ich położenie zupełnie takie, jak wszystkich zwierząt utopionych. Lecz z jakichże drzew ta żywica wypłynęła? Czy ony dziś jeszcze istnieją na pobrzeżach morza bałtyckiego, czy może w gorętszej gdzie strefie? albo nareszcie czy skutkiem gwałtownej kiedyś katastrofy zupełnie zostały wytepione?

Nie znamy obecnie drzewa, któreby zdolne było wydzielić taką masę żywicy, jaką przypisaćby należało domniemanym drzewom bursztynodajnym. Są wprawdzie w Chili gatunki niezmiernie w nią obfitujące, ale wszystko to niknie wobec potężnych i w nieprzebraną ilość rozrzuconych brył bursztynowych. To też i starożytni daremnie się już silili na wytłumaczenie tej zagadki; jeden tylko Pliniusz zbliżył się do prawdy, utrzymując że bursztyń jest skrzepłą na mrozie żywicą sosnową. Nauka w nowszych czasach mniemanie to potwierdziła, tylko że sosny owe do przeddziejowej należą przeszłości. Bursztyń znajdujący w słojach iglastego drzewa bitumicznego, zasklepione w bursztylinie lub mieszczące go między łuskami szyszki, przesiąknięte nim drzewo wyrzucane niekiedy przez morze, a w którym najdokładniej poznać naturę iglastą: wszystko to wnosić każe, że on jest plodem rodzaju drzew szyszkowych (coniferae), zbliżonego zapewne do naszych jodeł, który Göppert nazywa *Pinites succinifer*.

Liczne szczątki organiczne, od tysięcy lat w skrzepłej zawarte żywicy, odsłaniają nam w części obraz życia roślinnego tej epoki, do której, jak się zdaje, należało drzewo bursztynowe. W ówczesnych lasach widocznie przeważały drzewa iglaste; wykryto bowiem ślady 4 gatunków *Pinus*, 5 gatunków *Thuja*, dalej *Cupressus*, *Taxodium*, *Juniperus* i *Ephedra*. Z liściowych najwięcej być musiało dębów i grabów, następnie brzoź i topoli, mniej daleko olch i kasztanów. Rodzinę roślin krzewistych składały:

Andromeda, *Calmia*, *Rhododendron*, *Ledum* i *Vaccinium*. Po ziemi gęstą powłoką plątały się pasożyty. Widziemy tu świat roślinny całkiem różny od teraźniejszej fauny nadbałtyckiej, pokrewny chyba płodom cieplejszych morza śródziemnego okolic.

Ale i życiem zwierzęcym tętniały te lasy przedwiekowe. Igrały w nich muchy, komary i chrząszcze, pełzały pająki, stonogi, mrówki i t. p., których szczątki lub całkowite okazy bursztyń aż do naszych przechował czasów. Nastąpiły potem powodzie, uragany; powierzchnia ziemi wielkim uległa zmianom, a w zniszczeniu ogólnym runęły i drzewa bursztynowe. Płynną ich żywicę strumienie uniosły do morza; ta zaś olbrzymia całość przyrody składnica nie uroniła powierzonego sobie skarbu, jedno strzeżony wiernie, dziś go ludzkiemu oddaje przemysłowi. Może też na dnie Bałtyku spoczywają pokłady węgla brunatnego, z których fale po trosze bursztyń wypłukują; trudno bowiem nie uznać, że między dwoma temi przeszłości zabytkami ścisły zachodzi związek.

Tak przeto bursztyń rzeczywiście jest łzą minionego żywota. I na nim, jak na kamiennych łzach południa, niejedno ciąży przekleństwo; lecz skromne dziecię północy, wdzięczniejsze od butnego diamentu, odplaciło się ludzkości nie tylko sprowadzeniem w swą ojczyznę światła obcego, ale własną jasnością opromieniło naukę. Bursztynowi to winniśmy odkrycie elektryczności, tej siły ożywczej wszechświata, której wpływów daleko sięgających dziś nawet jeszcze objąć nie zdołamy. L. J.

TRZĘSIENIE ZIEMI W ANGLII

I ZJAWISKA METEOROLOGICZNE NASTĘPSTWEM JEGO BĘDĄCE.

Trzęsienia ziemi najczęściej towarzyszą wybuchom wulkanicznym, a lubo niekiedy czuć się dają i bez wybuchów, bo w stronach znacznie oddalonych od dzisiaj czynnych wulkanów, przecież

z pewnością wnosić można, że oba te zjawiska przyrody są z sobą w związku, i powstają skutkiem tej samej, lecz nieznaną nam dokładnie przy-

Trzęsienia ziemi nietylko na stałym lądzie, lecz i na dnach morza się przytrafiają. W skutku to podobnych trzęsień cała masa wody, wzruszona, miota niekiedy gwałtownie pływającymi okrętami. Czasem trzęsienia dotyczą szczupłych przestrzeni, niekiedy znów wielkie przebiegają odległości. Pamiętne trzęsienie ziemi, w skutku którego w r. 1755 połowa Lizbony zapadła się w morze, wstrząsnęło nietylko całą Europę, lecz dało się czuć nawet po drugiej stronie Atlantyku, w Indjach zachodnich. Niekiedy trzęsienia objawiają się jako proste kołysanie, podobne do fal wodnych; inną razą zdają się pochodzić od gwałtownych uderzeń z wewnątrz ziemi do jej powierzchni skierowanych.

Trwanie i moc trzęsień są różne; czasem zaledwie je czujemy; czasem znów wielkie sprawiają zniszczenia. Często stają się one przyczyną nadzwyczajnych zalewów, wznosząc poziom wód morskich, albo wstrzymując bieg wody w rzekach; niekiedy w skutku trzęsień zapadają się góry, a w ich miejsce głębokie powstają jeziora, albo też wielkie otwierają się szczeliny w ziemi, i pochłaniają wsie i miasta.

Powiedziawszy powyższych słów kilka o trzęsieniach ziemi w ogólności, opiszemy czytelnikom naszym jedno z tych zjawisk, które niedawno w Anglii miało miejsce.

Dnia 9 listopada r. 1852, o godzinie w pół do piątej z rana, czuć się dało nad brzegami morza irlandzkiego trzęsienie ziemi, które w porównaniu nawet z trzęsieniami krajów międzywrotnikowych można nazwać mocnym, a niesłychanym w takiej szerokości geograficznej.

Godzien uwagi jest kierunek podziemny siły ognia, idący od strony zachodnio-południowo-zachodniej, począwszy od dóbr Wacklow i Dublina, ku Caernarvon County w północnej Wallii i południowej części hrabstwa Won, to jest wyspy Anglesea; następnie wzdłuż północnego pobraża walijskiego, aż do południowej części Lancashire, dotykającej hrabstwa niższej Mercyi i morza irlandzkiego, a ztąd ku południowi i południo-zachodowi przez Cheshire, Salop (Shropshire) i Gloucestershire, a zatem biegiem prawie kolistym jak drogi wiatrów wirowych wiejących w atmosferze.

Równocześnie z tym trzęsieniem ziemi przypadło zejście się dwóch planet: Merkurego i Jowisza. Słońce znajdowało się na 17° znaku niedźwiadka,

a księżyc prawie na 16° znaki wagi. Na północno-zachodnich brzegach Wallii było trzęsienie o godzinie 4ej minut 10; w Lancashire o 4ej minut 30, w Shropshire o 4ej minut 15, a w Hereford o 4ej minut 26. W powyższem atoli podaniu prawdziwość zależy głównie od zgodności zegarów i od dokładności doniesień w gazetach angielskich, a te, jak wiadomo, za ściśle astronomiczne uważane być nie mogą, bo nie wszędzie tam jeszcze zaprowadzono obliczanie czasu podług południka w Greenwich. Ważne są przy tém zjawisku spostrzeżenia czynione nad porą czasu, jaka była podczas trzęsienia ziemi i przed nastąpieniem onego.

W okolicy Salop spadło w tym czasie wiele deszczu. W piątek 5 listopada zjawiły się błyskawice i kilka piorunów uderzyło; w niedzielę 7 listopada niebo było czerwone i ponury przedstawiało widok. W poniedziałek 8 listopada wiał silny wiatr; we wtorek zaś, w czasie już trzęsienia, zupełna nastąpiła cisza. Na kilka dni przed trzęsieniem ziemi powietrze było gęste i duszne, tak że w dniu 7 listopada w nocy termometr wskazywał + 56° F. (przeszło + 10° Réaum.); rano zaś przed trzęsieniem oziębiło się i zachmurzyło. Tegoż dnia w Lancashire i Caernarvon niezwykła cisza panowała na morzu i lądzie; aż w końcu spokojność tę przerwał huk, straszniejszy od najmocniejszego grzmotu po uderzeniu pioruna. Poprzednio nie było słabszych uderzeń, jak się to zwykle zdarza przed trzęsieniem ziemi; lecz naraz wokół dał się słyszeć szum głośniejszy od szumu wzdymającego się morza i najsilniejszego lądowego wiatru; ten straszny szelest trwał z jednakową mocą 20 do 30 sekund, wreszcie zmniejszył się i zmienił w zupełną ciszę. W czasie huku czuć się dało silne, nieprzerwane prawie kołysanie, podobne do tego, jakie się przytrafia w wielu domach nad morzem położonych, w czasie burzy morskiej. Najsilniejsze wstrząśnienie było w okolicy Caernarvon, na pasie ziemi od południa ku północy, poczynając od miasta Caernarvon i gór przyległych

W Irlandyi trzęsienie nawidziło okolice: Swords, Dublina, Ranelagh, Kilbride i t. d. W miejscach powyższych zaczęło się ono o godzinie 4ej rano (w Anglii o god. 4¹/₂). Przez kilka dni ciągle wiały w tych okolicach silne wiatry, a w nocy dopiero z poniedziałku na wtorek, i rano tegoż dnia, grobowa nastąpiła cisza.



Trzęsienie ziemi trwało w niektórych punktach minutę i więcej, w niektórych 2 minut, a w innych tylko 1/2 minuty. Ruch zjawiska postępował od południo-zachodu ku północo-wschodowi, po brzegach północnej Wallii, a w kilku miejscach towarzyszył mu głos jękliwy. W okolicy Ruthin, w północnej Wallii, słyszeć się dał głośny hałas, jedną do dwóch minut trwający, a po nim nastąpiło silne uderzenie. W Lancashire wstrząśnienie było gwałtowne. Po pierwszym uderzeniu (opowiada naoczny świadek) wywartem w kierunku pionowym, nastąpiło kołysanie się poziome i drganie jakie czuć się daje w źle zbudowanych domach

podczas przejazdu ciężarem naładowanego wozu. W Worcester każdemu mocniejszemu uderzeniu towarzyszyły kołysania ziemi i szum z hukiem połączony. W Hereford kołysania te trwały przez 8 minut. W Irlandyi dzwony w domach głos wydawały, okna się trzęsły, sprzęty domowe trzeszczały, a w mieście Caernarvon w wielu miejscach budowle kamienne zostały zburzone i most na Severnie zdruzgotany. Koguty piałły na zmianę, a wróble spadały z dachów; znajdowano je później albo nieżywe, albo też ślepe i do lotu niesposobne, jakby tknięte paraliżem.

Prof. S. P.

OBRAZY AMERYKI.

MEKSYK I GÓRY SKALISTE.

Znakomity podróżnik angielski Ruxton, z którego dzieła zamierzamy przytoczyć niektóre wyjątki, jest jednym z ludzi posuwających odwagę aż do zuchwalstwa, szukających trudów w przykrych i dalekich wyprawach, lubiących znoje i dumnych niebezpieczeństwem. Dla zaspokojenia ciekawości, dla przekonania się w nowych okolicach o trafności swych przypuszczeń, przebywa on przestrzeń ogromną rozciągającą się od Chihuahua do stolicy nowego Meksyku, i dociera aż do zimnej i spustoszałej okolicy gór skalistych. Książka jego zawiera wiele nader poetycznych opisów i obrazów zupełnie nieznaną przyrodę; czytelnik przeto, szukający czy to korzyści, czy rozrywki, upodoba sobie w tej odyssei, poczętej w Anglii na pokładzie paropływu, a rozwijającej się wśród pokoleń najdzikszych mieszkańców nowego świata.

Statek pełen podróżnych rozmaitych narodów, wiedzionych przez wały burzliwego oceanu miłością nauki, a bardziej jeszcze miłością złota, wypływa z Southampton. W tym domu, powierzonem kołom żelaznej maszyny, ujrzysz kreolów z Indyj zachodnich, Hiszpanów z Hawany, Francuzów z Martyniki, Duńczyków z wyspy św. Tomasza, Hollandczyków z Curasao, Portu-

galczyków z Madery, oficerów królowej Wiktorji, dzierżawców z Yorkshire, słowem próbki wszystkich narodów Europy, idących na krzyżową wyprawę tegoczesnego przemysłu. Dla dopełnienia całości znajdują się tu nawet i Żydzi, którzy wszedłszy na statek natychmiast rozkładają stolik do faraona, aby się ćwiczyć w swém szlachetnym rzemiośle i nadaremnie nie tracić czasu. Żydkiwie ci mają przed sobą widok długiej podróży morskiej, i nadzieję korzystnego użycia kart, których sobie zapas przysposobili. Na nieszczęście statek przystawa w wielu miejscach, a większość płochych podróżnych woli czas odpoczynku przepędzić na lądzie, niż słuchać wymownych słów bankiera do gry zachęcającego, bląkać się po szmaragdowych wybrzeżach Madery, albo podziwiać świetność pięknej szaty Barbadosów, niż siadać do zielonego stolika.

Potem statek przybywa do Hawany, a tam wszyscy rzucają się na wybrzeże dla widzenia portu, jednego z najpiękniejszych w świecie, i wyspy którą Hiszpanie nazywają *la joya mas brillante en la corona Espanna*, albo *la siempre fiel isla de Cuba*. Czy ziemia ta zawsze zasługiwać będzie na imię wiernej, czy świetny ten brylant nie oderwie się kiedy

od korony hiszpańskiej jak Peru i Meksyk, to z każdym dniem staje się więcej zagadkowym; Amerykanie zaś, jeśli tylko będą mogli, nie zaniebają rozwiązać zagadkę na swą korzyść.

W kilka dni po ostatnim wypoczynku statek angielski wpłynął do przystani Vera Cruz, w tej samej chwili co i statek amerykański, przywożący napowrót do kraju Santa-Annę.

Vera Cruz, ta pierwsza osada założona przez Ferdynanda Cortez, to pierwsze przedmurze jego cudownej zdobyczy, jest grodem regularnie zabudowanym, zdobnym wielą pięknymi gmachami, a mimo to wszystko chylącym się do upadku. Wojny domowe, rewolucye, fatalny wpływ bezsilnego rządu zniszczyły jego pomysłność. Teraz miasto to niemiły przedstawia widok: jego kościoły, jego gmachy rządowe są puste, a trawa rośnie na bezludnych ulicach. Co rok w miesiącu sierpniu żółta febra wypędza zeń znakomitszych mieszkańców; wtedy napotkać tu można tylko popólstwo lub murzynów z wychudłemi członkami i trupią cerą, którzy mówiąc o tem mieście nie nadają mu już nazwiska religijnego Vera Cruz, lecz nazywają je miastem umarłych, *la ciudad de los muertos*.

Ze wszech stron widoczne są jeszcze ślady bombardowania przez Francuzów w r. 1839, i świeższe jeszcze przez Amerykanów w r. 1847 zostawione. Rządowi nawet na myśl nie przyszło naprawić wylomy zrobione przez kule nieprzyjacielskie, zatrzyć ślady tych dwóch poniżających napadów, ani przedsięwziąć jakiegokolwiek środka zaradcze dla zabezpieczenia od trzeciego. Powiadają że twierdza San Juan d'Ulloa, którą Meksykanie uważali za niezdobytą, i która tak grzecznie kapitulowała przed flotą francuzką, posiada sto pięćdziesiąt dział; lecz działa te są bardzo źle ustawione, a jeszcze gorzej obsługiwane. W czasie bytności Ruxtona oczekiwano co chwila ataku wojsk amerykańskich. Garnizon twierdzy składał się z 700 ludzi uzbrojonych w najopłakaniejszy sposób, bez porządku i karności. Nawet punktów słabszych nie obsadzono i nie rozstawiono placówek. W tak wojennej postawie Vera-Cruz w swojej hiszpańskiej przysadzie nie przestaje jednak dawać sobie przydomku *siempre heroica*, i marzyć o nowym tryumfie w każdym świeżem zdarzeniu. Przed rokiem wypędziło ono w sposób najhaniebniejszy swego prezydenta, Santa-An-

nę; a teraz generał ten wracał do Meksyku w tryumfie.

Dnia 16 sierpnia wystrzały armatnie z twierdzy oznajmiły zbliżanie się statku który go przywoził na wybrzeże. Garnizon Vera Cruz, składający się z pigmejczyków indyjskich, wyruszył na jego przyjęcie i przepędził dwie godziny na marszach i kontr-marszach, zaczem sobie wybrał dogodną pozycją. Oficer i jego adjutant, obaj dziwnie ubrani, uwijali się na chudych szkapach. Popólstwo najniezgodniejszymi głosami śpiewało pieśni narodowe; dzieci kosztem miasta zapalały petardy. Santa-Anna pomimo swojej ułomności zbliżał się dośyć pewnym krokiem. Poprzedzała go jego żona, malutka kobiątka, opierając się na ręce jednego z oficerów. Niektórzy żołnierze witali go, drudzy na jego cześć strzelali z karabinów w powietrze; inni, nie wiedząc co robić, nie poruszali się wcale.

Don Antonio Lopez de Santa-Anna jest to człowiek sześćdziesięcioletni, z twarzą znużoną, chodzący na drewnianem szczudle. Powierzchowność jego zdradza właściwy mu charakter.

Nigdy, mówi Ruxton, nie widziałem fizyognomii noszącej na sobie wyraźniejsze piętno złych namiętności. Skąpstwo i zmysłowość przebijają się w każdym jego rysie; jednakże postawa jego zachowała pewną godność, zdolną zająć kobiety, którym przez całe téż życie holdował.

Natychmiast po powrocie do Vera Cruz dumny prezydent zniewolony był wysłuchać dosyć przykrój przemowy. Naród, zgromadzony w ratuszu, domagał się z hałasem, aby przedstawiono prezydentowi jego skargi; lecz nikt nie chciał zrobić pierwszego kroku. Wreszcie podniósł się jakiś człowiek i ofiarował pomówić ze strasznym generałem. Odważnie wszedł do salonu, gdzie Santa-Anna siedział w licznem kole oficerów i urzędników. „Generale, rzecze zbliżając się do jego krzesła, już więcej jak dwadzieścia lat temu jakieś postanowił zniszczyć ten kraj. Obyś teraz przynajmniej mógł więcej zajmować się naszym dobrem, niż swoim!”

Na te wyrazy przyjaciele Santa-Anny poskoczyli ku zuchwałemu mówcy i poczęli mu grozić; lecz ten, rzuciwszy na nich pogardliwe wejrzenie, tak dalej mówił: „Ci ludzie są i naszymi i twemi nieprzyjaciółmi, co więcej, są to zdrajcy: *Y mas son traidores*. Jedyne ich staraniem dopięcie celów

egoizmu, a dla osiągnięcia takowych nie będą się wahali poświęcić ciebie i naszą ziemię. My, prawdziwi obywatele Vera Cruzu, żądamy żebyś rozpuścił wojsko.“

Santa Anna, zdumiała, nic nie odpowiadał.

— Mów jenerale, zawołał deputowany, ja przedstawiam naród który cię przywołał, i żądam odpowiedzi.

— Jutro, odrzekł prezydent, jutro wydam rozkaz rozpuszczenia wojska i wydania wam broni.

— *Esta bueno, mi general*, rzekł mówca i powrócił do zgromadzenia, które radosnymi okrzykami przyjęło jego opowiadanie.

Nazajutrz Santa-Anna schronił się do swego domu wiejskiego i kazał ogłosić manifest, oznajmiający że będzie prowadził wojnę ze Stanami zjednoczonymi bez żadnej obcej pomocy, i że poświęci krew swoją i życie dla obrony ojczyzny. Proklamacja ta, dosyć zręcznie napisana, kończyła się zaklęciem obywateli, ażeby się wzięli do broni przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Tego samego dnia garnizon Vera Cruz opuścił miasto i ruszył przeciw Amerykanom. Ci dzielni żołnierze ani na chwilę nie zdejmowali kaszkietów z głowy; lecz za to ich koszule, mundury i spodnie wisiały na końcu karabinów, a dla okrycia nagości mieli tylko kurz, zebrany grubą warstwą na ich ciele.

Długa przestrzeń dzieląca Vera Cruz od Meksyku w niektórych miejscach jest zachwycającej piękności. Dla podróżnika kochającego naturę w widoku tej ziemi znajduje się obfite źródło niespodzianych wzruszeń i pełnych zachwyty uniesień. Lecz jakże drogo opłacić trzeba tę przyjemność! Trakt łączący dwa główne miasta rzeczypospolitej znajduje się w najnędzniejszym stanie. Na tych wybrzeżach gdzieindziejza zaledwo można spotkać kilka ubogich wiosek i oberży, podobnych do karawanserajów, gdzie ludzie gorzej niemal bywają umieszczeni jak muły, gdzie trzeba filozoficznie wyrzec się wszelkich wygod. *Ay que hombre!* zawołał gospodarz jednej z takich gospód, słysząc jak Ruxton zażądał wody do umycia rąk. *Ave Maria purissima, que hombre! Servilletta, pannella, toalla, que demonio quiere?* (Matko Boska, co za człowiek! ręcznika, chustki, serwety! Co on u licha myśli z tém robić?)

Jednakże w Jalapie, mieście mającém 17,000 ludności, wzniesioném na 4300 stóp nad poziom

morza, jest dyliżans dochodzący aż do Meksyku; lecz wsiadając do tego ciężkiego, niezgrabnego wozu, trzeba pamiętać o tém, iżby rzeczy swoje wysłać z konwojem mulników, a przy sobie mieć tylko to, co najmniej warte. Po całym bowiem kraju snują się bandy złodziejów, wiedzących dokładnie o godzinie odjazdu karety, liczbie podróżnych i o podobieństwie zysku lub niebezpieczeństwie na jakie mogą być narażeni. Gdy powóz zostanie zatrzymany, Meksykanom ani na myśl nie przyjdzie najmniejszy stawić opór. Wszyscy spieszenie wypróżniają kieszenie, a potem ruszają w dalszą drogę, nader zadowoleni że nie dostali ani kulą w głowę, ani nożem w piersi. Ten szacunek dla rozbójnika tak daleko bywa posuwany, że częstokroć dosyć jednego napastnika do zrabowania pół tuzina podróżnych, i że bezkarnie wchodzą do miasta dla powzięcia wiadomości i wybrania sobie zdobyczy.

Ruxton okropnego nabawił strachu swoich towarzyszy podróży, siadając do dyliżansu z doborem strzelb i pistoletów.

— Ach panie! będziemy zgubieni jeżeli choć jeden z nas zechce się opierać.

— Ale, odrzekł lekkomyślny Anglik, ja mam broń i dla was, niech sobie każdy bierze.

— Nie, nie, zawołałi biédni Meksykanie, składając ręce i zaklinając go ażeby ukrył złowieszcze uzbrojenie: *No es el costumbre*. (To u nas nie w zwyczaju).

Bądź że bandyci byli gdzieindziej zatrudnieni, bądź że wiedzieli o nadzwyczajnym uzbrojeniu, tym razem pozwolili dyliżansowi swobodnie odbywać drogę. Podróżni przybyli bez wypadku do Puebla, jednego z najpiękniejszych i najznacniejszych miast Meksyku. Puebla założone zostało w r. 1531 przez Ferdynanda Cortez. Urodzajność otaczającej je okolicy była przyczyną szybkiej jego pomyślności. W prowincyi której to miasto jest stolicą znajduje się jeszcze bardzo wiele starożytności meksykańskich. Są tu także owe sławne cyprysy, mające po 70 stóp obwodu, które Humboldt uważa za najstarożytniejsze na świecie pomniki roślinności.

Minąwszy Puebla, mówi dalej Ruxton, ujrzelismy widok przepyszny. Przed nami rozciągała się obszerna równina Cuixtlan, ze swoją bogatą zielonością i złocistymi zbożami; nad tą płodną

doliną wznosiły się w liniach stopniowanych wysokie góry, których podnóże było jeszcze pograżone w cieniu, gdy tymczasem okryte śniegiem szczyty błyszczały w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Wjechaliśmy w jakiś wąwóz, zwykle stanowisko rabusiów. Znajduje się tu mnóstwo krzyżów, które pobożna ręka wzniosła na pamiątkę zaskoczonych przez zbójców i zabitych. Wdrapaliśmy się jednak bez przypadku na szczyt pagórka, gdy nagle jeden z sąsiadów chwytając mnie za ramię, wołając: *Hi esta, hi esta, mire, por Dios, mire!* Na wykrzyk ten, sądząc że ujrano złodziei, uchwyciłem za strzelbę; lecz usłużny sąsiad, spostrzegłszy błąd mój, dodał: *No, no, Mejico, la ciudad.*

Rzucam się do drzwi powozu i, może z tego samego punktu w którym przed trzema wieki Ferdynand Cortez się zatrzymał, spoglądam na miasto oblane potokiem światła.

Ach nie ma ten czucia w sercu, nie ma krwi w żyłach, kto w obec takiego widoku nie dozna głębokiego wzruszenia! Jakże wielką musiała być radość Corteza, gdy ujrzał u stóp swoich tę ziemię obiecaną, w której miał znaleźć nagrodę tylu trudów i niebezpieczeństw. Co z razu najwięcej mnie uderzyło, to cudowny spokój rozwijającego się przedemną krajobrazu.

Dolina Meksyku, mająca około sześćdziesięciu mil długości, a czterdzieści szerokości, ze wszystkich stron otoczona jest górami. Pośród wierzchołków mniej lub więcej wyniosłych spostrzedz się dają wulkany Popocatepetl i Iztaccihuatl. Na dnie doliny błyszcza jak srebro jeziora Tezeuca i Chalco; dopełnia zaś obrazu miasto z swemi białemi domami, licznemi kościołami i placami publicznymi, otoczonymi wieńcem zieloności.

Wszedłszy do tego wielkiego grodu, podróżny uderzony zostaje regularnością ulic, wytworną budową gmachów, a nędzną powierzchownością zamieszkującej je ludności. Nigdzie nie widać nawet pozoru świetności lub bogactwa, lecz wszędzie okropne niechlujstwo. Mężczyźni, kobiety i dzieci, wszystko co tylko ujrysz, wszystko czego dotkniesz, jest brudne. Co krok spotykasz gromady żebraków, kalików, których wynoszą co rano na rogi ulic, i którzy codzien z płaczliwemi narzekaniami żebrzą litości przechodniów.

Oprócz katedry, posiadającej bogate srebrne i złote ozdoby, i muzeum narodowego, zawierające-

go piękny zbiór starożytności meksykańskich, nie prawie niema godnego widzenia w tém mieście, które w pewnej odległości tak świetny przedstawia widok. Jednakże w czasie bytności Ruxtona było ono nader ożywione wiadomością o blizkim powrocie Santa-Anny. Ażeby zatrzeć w jego umyśle wspomnienie obelg jakich doznał przed rokiem, i ażeby pochlebić jego dumie, czyniono świetne przygotowania. Wydobyto jego posąg z brudnego poddasza, gdzie był haniebnie porzucony, i odniesiono na plac publiczny; malarze odnawiali zatarte jego nazwisko po rozmaitych cyrkulach; teatr odzyskiwał nazwisko Teatru Santa-Anny, a w miejscu zkaąd został wygnany zbudowano na cześć jego łuk tryumfalny z następującym napisem: *Al benemérito de su patria, al immortal salvador de la republica.* (Temu co dobrze zasłużył się ojczyźnie, nieśmiertelnemu zbawcy rzeczypospolitej).

Lecz Ruxton wyjechał z Anglii nie dla nowego opisu starożytnej stolicy Montezumy, ale dla zapuszczenia się zuchwale w najdalsze i najmniej znane okolice; po krótkim przeto pobycie w Meksyku udaje się na północ.

Dwa tylko są sposoby podróżowania w rzeczypospolitej meksykańskiej: *en grande*, jak mówią Hiszpanie, albo *en hombre de jaqueta*. Bogaci podróżują w powozach zaprzężonych półtuzinem mułów; kobiety wożone bywają w lektykach i eskortowane przez gromadę jeźdźców. Zwyczajni podróżni puszczają się w drogę z karawaną mulników. I w pierwszym i w drugim razie niezbędną jest rzeczą eskorta uzbrojonego oddziału, dla obrony majątku i życia od rozbójników; bo tych napotkać można na wszystkich drogach i każdego stanu. Dosyć powiedzieć, że przed kilką laty pułkownik Yanes, adjutant Santa-Anny, przekonany został o ograbieniu i zamordowaniu konsula szwajcarskiego.

Roztropnie jest także nie puszczać się w podróż bez zapasów żywności, bo jeśli się napotyka gdzieś niedzie domy ozdobione tytułem hotelów, to hotele te na to tylko zdają się istnieć, ażeby goście w nich doskonale mogli się wypościć. Prawie wszystkie są budowane na jeden sposób: wielkie podwórze, otoczone tuzinem kwadratowych pokojów bez okien i mebli; w każdym pokoiku małe kamienne wzniesienie na trzy stóp od ziemi: to łóżko. Wołają oberżysty, i oto rozmowa tocząca się

między nim a podróżnym strudzonym i zgłodniałym.

Podróżny. Przyjacielu, co masz do jedzenia?

Oberżysta. Ah! *sennor aqui no hay nada.* (Ah! panie, niema nic).

Podróżny. Boże łaskawy, cóż to za kraj!

Oberżysta. Niestety, kraj bardzo biedny!

Podróżny. Ale co począć? Umiéram z głodu.

Na ten wykrzyk rozpaczy oberżysta, drapiąc się za uchem, oświadcza, że może jeszcze znajdzie trochę sucharów, kilka jaj i czerwonego grochu. I oto wieczerza na której trzeba poprzestać. Co się tyczy widelców, łyżek i innych narzędzi zwykle używanych przy stole, o tych nawet niema mowy. Meksykanie nie dbają o podobne zbytki. Lecz za to mają oni upodobanie w obfitych libacjach *pulki* (*pulque*) czyli soku z agawy amerykańskiej. Uprawa téj rośliny zajmuje przestrzeń 50,000 mil kwadratowych (angielskich). W dziesięć lub dwanaście lat dosięga ona dojrzałości. Podczas kwitnienia wydobywają z niéj sok w następujący sposób: robi się nacięcie w latorośli, i założywszy rurkę, ciągnie się sok ustami. Po napełnieniu rurki ciecz wyléwają w tykwę i czynność tę powtarzają trzy lub cztery razy dziennie. Następnie płyn zebrany gromadzą w gliniane naczynia lub bukłaki skórzane, i żeby lepiej fermentował dodają trochę staréj pulki. W trzy dni otrzymuje się wyborny, orzeźwiający napój. Samo miasto Meksyk spożywa go jedenaście milionów gallonów (1) rocznie. Mulnicy zwykli śpiewać w szynkowniach piosnkę gminną, wychwalającą przymioty pulki:

Sabe que es pulque?

Licor divino

Lo beben los angelos

En el sereno. (2)

Dalsze opowiadanie Ruxtona daje nam smutny obraz stanu Meksyku, tak bogatego, tak ludnego w epoce gdy bohater hiszpański wchodził doń z kilką stami żołnierzy.

„Cała jego ludność nie dochodzi teraz siedmiu milionów mieszkańców, z których dwie piąte tylko są pochodzenia hiszpańskiego, reszta zaś składa się z dzikich pokoleń indyjskich. Ludność ta roz-

(1) *Gallon*, miara do rzeczy ciekłych, blisko 4¹/₂ kwart zawierająca.

(2) Czy wiesz co to pulka? Napój boski, który anieli piją w raju.

proszona jest na przestrzeni obejmującej 1,312,850 mil kwadratowych (angielskich), po powiatach które trudną i niebezpieczną mają z sobą komunikacją i które w odleglejszych okolicach uchylają się od władzy bezsilnego rządu.

„Niezmierna płaszczyna, rozciągająca się na wyniosłościach Kordylierów, nie jest w ogólności tak płodną jak sobie zwykle wyobrażają, chociaż niektóre miejsca są nadzwyczaj żyzne. Obfite kopalnie będą zawsze dla niéj źródłem znacznych bogactw; ale to pytanie, czy bogactwa tego rodzaju przyczyniają się do pomyślności kraju? Jednakże w Meksyku eksploatacja drogich kruszców zaprowadziła ludzi w te strony, które inaczéj byłyby puste i jałowe; zajęła ona Indyan, i wydobywszy ich ze stanu pierwotnéj dzikości, postawiła na pierwszym stopniu cywilizacyi.

„Lecz Meksykanie, zarówno pod względem fizycznym jak moralnym, nędznymi są istotami. Podstępni, przeniwiercy, ograniczeni, tchórzliwi, zdają się należeć do najniższéj rasy ludzi. Mimo instynktowego tchórzostwa, nierozdzielnego z ich naturą, dodaje Ruxton, mają oni jednak dla śmierci rodzaj bydlécéj obojętności, która podczas bitwy może w części zastąpić waleczność. Sądzę że gdyby nimi dobrze dowodzone, znośnie stawiliby się na polu bitwy, ale nie więcéj jak tylko znośnie.

„Zresztą niebardzo się zdziwił ujrzawszy tę okolicę w oplakany stan. Dopóty ona się nie podniesie, dopóki obecna jéj ludność nie zostanie zastąpiona przez inną, energiczniejszą. Rząd republikański także dla Meksykanów jest niewłaściwy.

„Mojém zdaniem Meksykanie niezdolni są sami sobą rządzić i póty ta nieudolność trwać będzie, póki się nie odrodzą. Rewolucya która ich odłączyła od Hiszpanii, przywiodła państwo do upadku. Już teraz naród powszechnie zaczyna to poznawać i dążyć do przywrócenia rządu monarchicznego. Anarchia nekająca kraj od czasu zerwania z dawnymi władzami, dostatecznie go przekonała o niebezpieczeństwach na jakie jest wystawiony.“

Ludność Meksyku dzieli się na dwie klasy: wyższą i niższą. Żadne ogniwo pośrednie nie łączy ich i nie zapełnia głębokiej przepaści oddzielającéj te dwie kasty od siebie. Wieśniacy względem właścicieli są w stanie służebności, która małoco więcéj warta od niewoli.

W Durango zaczyna się okolica daleko smutniejsza jeszcze niż ta, do której się stosują powyższe uwagi podróżnika angielskiego. Miasto Durango, założone w 1559 r. przez Velasqueza jako zapora od napadów Indyan, może być uważane za *ultima Thule* ucywilizowanej części Meksyku. Za tym miastem na północ i północno-zachód rozciągają się nieuprawne płaszczyny Chihuahua i spiekle pustkowie Gila. W oazach tych pustyń mieszkają dzikie nieprzyjazne pokolenia Indyan, które zład rzucają się na wioski Meksyku, uprawiają konie, muły i często mordują bezbronnych wieśniaków. Ta wojna, jeżeli tylko można wojną nazwać napady, w których główną rolę gra z jednej strony wściekłość krwi chciwa, a z drugiej ślepe poddanie się losowi, trwa od niepamiętnych czasów, i dziwić się należy że w okolicy podległej takiej klęsce mieszkają jeszcze ludzie. Apachowie, graniczący z departamentem Durango, nieustannie ponawiają swe natarcia. Przebiegłe to pokolenie Indyan dla dopięcia swych celów nieraz ucieka się do zdrady i zasadzek. Uprawdziwszy tyle koni i mułów ile im się podoba, wysyłają do gubernatora Chihuahua i Durango poselstwo z prośbą o pokój. Zwykle go otrzymują, i wtedy spokojnie udają się do wsi lub miasteczka, sprzedawać pod samym bokiem miejscowej władzy uprowadzone bydło i uroczyście obchodzić powodzenie zbrodniczego przedsięwzięcia.

Lecz najstraszniejszymi nieprzyjaciółmi mieszkańców tej okolicy są śmiali Komanchowie, którzy z odległych płaszczyn, leżących pomiędzy Rio del Norte i Rio Pecos, robią wyprawy w głąb tych prowincyj, porywają dzieci, aby z nich mieć niewolników, a dorosłych mordują. Okrutne te napady tak regularnie się powtarzają, że w kalendarzu Komanchów miesiąc wrzesień nazywa się miesiącem meksykańskim. Przybywają gromadami po dwustu do trzystu ludzi, i rozmaitemi stronami wchodzi do kraju, co roku dalej się posuwając, gdyż pogranicze spustoszało z powodu ich rozbojów.

Jedni płyną po Rio-Grande, drudzy wchodzi przez Presidio del Norte, przebywają pozbawioną wody okolicę i pustoszą doliny Mapimi i Chihuahua. Nie można pojąć dlaczego władza miejscowa nie przedsięwzięła środków ostrożności dla wstrzymania tych napadów, które zawsze w jeden sposób i w tym samym następują czasie. Prawda,

że jest kilka oddziałów wojska przeznaczonych do wojny z Indyanami, lecz Komanchowie niemi gardzą i nie boją się wydać im walki w czystym polu, sama zaś ludność nie śmie nawet stawić im oporu. Politykarz rządowi zabrania mieszkańcom noszenia broni, a gdyby ją nawet mieli, nie wiedzieliby jak się z nią obejść. Napadnięci przez bandę Komanchów rzucają się na kolana i błagają o łaskę; a jeżeli się zdarzy że zabójstwo jednego z braci wzbudzi w ich duszy szlachetniejsze uczucie, że się ośmielą zgromadzić, wziąć do proc i łuków i zbliżyć ku nieprzyjaciółom, wkrótce zostają pobici i wymordowani.

W Durango słudzy których Ruxton zgodził w Meksyku nie chcieli iść dalej; ani hojne ofiary, ani groźby nie mogły skłonić żadnego do towarzyszenia mu odtąd w podróży. Po długich bezskutecznych usiłowaniach znajduje wreszcie Ruxton człowieka, co obiecuje pójść za nim na koniec świata; i zaraz nazajutrz poczciwy ten sługa usiłuje zamordować swego pana. Pomimo tylu oznak złowróźbnych, pomimo smutnych powieści, jakie mu po kilkakroć powtarzano, lub może właśnie dla tych powieści, co pobudzały jego dumę angielską, Ruxton postanawia przebyć przestrzeń przedzielającą go od nowego Meksyku, i na przekór Indyanom przeniknąć aż do środka gór skalistych. Już dosiadł konia; uzbrojony od stóp do głowy przebywa równiny jednostajne, spustoszone, zatrzymuje się gdzieś w jakimś samotnym mieszkaniu, gdzie samo imię Indyan śmiertelny obudza przestraszonych. Biedni właściciele tych mieszkań nie pojmują jak on śmie narażać się na spotkanie z hordami barbarzyńców, przed którymi oni drżą całe życie. Kobięty, sądząc że wypełnia jakiś ślub religijny, zapalają świece przed obrazem N. M. Panny i modlą się za niego. Ale duch jakiś opiekuńczy strzeże go w podróży, bo po dwudziestu siedmiu dniach drogi przybywa zdrów i cały do Chihuahua.

Miasto to, stolica departamentu tegoż nazwiska, leży o 410 mil od Meksyku, a o 200 od Cuyarnas, najbliższego portu morskiego. Rachują w niem do dziesięciu tysięcy mieszkańców, a oprócz tego ma ono znaczną ludność niestałą, przybywającą z nowego Meksyku i z Kalifornii. Jezuici zaczęli tu budować klasztor dotąd nieukończony. Na podwórzu tego gmachu wykonano w r. 1811 wyrok śmierci na pewnym hidalgu, który piérwszy ośmielił się podnieść chorągiew buntu przeciw Hiszpanii.

Okrag Chihuahua wydaje złoto, srebro, miedz, zelazo i saletre. To sa jedyne jego plody; ziemia bowiem jest jalowa i nieuprawna. Na przestrzeni 107584 mil kwadratowych licza tylko 180,000 ludności, to jest niema nawet dwóch dusz na mile kwadratową. Kraj ten bezustannie jest napadany, szarpany i pustoszony przez Indyan, których dzikie pokolenia i pracom w kopalniach znaczny przynoszą uszczerbek. Ale strona ta, dodaje Ruxton, jest rajem dla myśliwych: znajdują się tam czarne i szare niedźwiedzie, łosie, jelenie, antylopy i wielka ilość zajęcy i królików. Entomolog także może znaleźć dla siebie obfite żniwo. Naliczyłem na płaszczyźnie Chihuahua siedmdziesiąt pięć gatunków szarańczy, a niektóre z nich dochodzą do nadzwyczajnej wielkości i zdobne są najświetniejszymi barwami. Co się zaś tyczy roślinności, ta nader jednostajny przedstawia widok. Posuwając się na północ prowincyi, napotykamy zrazu same tylko wierzby, a potem topole, będące jedynym drzewem budulcowym w nowym Meksyku.

Prowincya nowego Meksyku ma 175,000 mil długości a czterdzieści do pięćdziesięciu szerokości i posiada tylko 70,000 mieszkańców. Jakkolwiek, mówi Humboldt, leży ona pod tą samą szerokością co Syrya i Persya, klimat jej jest nadzwyczaj zimny. W miesiącu maju jeszcze tam bywają mrozy. Około Santa-Fé i dalej cokolwiek na północ Rio del Norte częstokroć po kilka lat z kolei bywa pokryty tak grubym lodem, że go można przebywać konno i powozem. Spostrzeżenie to uczonego podróżnika nie jest prawdziwe. Przeciwnie, klimat nowego Meksyku uważać można za dosyć łagodny, ale grunt jego jest suchy i jałowy, a położenie jeograficzne skazuje go na przykre odosobnienie. Ani jedna spławna rzeka nie łączy tego kraju z innymi okolicami. Dwustumilowa pustynia dzieli go od Chihuahua, a niezmierne, dzikie łąki od Stanów zjednoczonych.

Z Indyanami od dawnego czasu obchodzono się łagodnie, zostawiając im wolne posiadanie ziemi i rząd oddzielny. Jednakże nienawiść zaprzysiężona Hiszpanom ciągle między nimi istnieje. Widziano jak w r. 1837 z zapalem łączyli się ze sprawą powstańców meksykańskich. Zdaje się nawet podobnym do prawdy, że tu, jak w wielu okolicach południowej Ameryki, Indyanie oczekują tylko przy-

jaznej sposobności, aby się uwolnić zupełnie od obcej władzy.

Podanie gminne, przechodzące od wieków z pokolenia na pokolenie, budzi w Indyach nadzieję lepszej przyszłości. Według niego Quetzalcoatl, bożek powietrza, zstąpił niegdyś do Meksyku i sam nauczył mieszkańców tego kraju rolnictwa i różnych rzemiosł. Przez czas pobytu jego między niemi ziemia pokrywała się obfitym plonem. Najpiękniejsze kwiaty, najwyborniejsze owoce rodziły się same; powietrze napelnione było balsamicznym zapachem, a bawelna rozkwitała już gotowa do przedzenia. Bożek którego obecność tak użyźniła i ubarwiła w różne kolory ziemię meksykańską, bożek dobroczyanny, oddalił się, przyrzekłszy powrócić kiedyś do swego ukochanego ludu. Odpłynął w łódce zrobionej ze skóry grzechotników, a ponieważ skierował się ku zachodowi, z tej przeto strony oczekują jego powrotu. Gdy przybyli Hiszpanie, wzięto ich za posłów lub potomków tego bóstwa błogosławionego. Ale wkrótce spostrzeżono, że te obce istoty, władające piorunami, nie troszczyły się wcale o szczęście ludu meksykańskiego; i znowu zwrócono oczy ku zachodowi, ku tej nieznannej stronie, z kąd przyjść ma ich oswobodziciel. Często jadąc konno w odludnych okolicach nowego Meksyku, podróżnik widzi nagle w cieniach nocy blask, którego przyczyny wytłumaczyć sobie nie może; jestto blask z ognia nieustannego, co go Indyanie, podobni starożytnym Aztekom, utrzymują w samotnych pieczarach, na cześć wielkiego i szlachetnego Quetzalcoatla.

Santa-Fé, stolica nowego Meksyku, jestto miasto mające trzy tysiące ludności i bardzo niezgrabnie zabudowane. Murowanego domu niema tam ani jednego, wszystkie stawiają z ziemi rozrobionej wodą. Osiedli Indyanie, zwani *Pueblos*, są tutaj, tak jak i w całej prowincyi, najprzemysłniejszą częścią narodu. Ciągłe stosunki z Hiszpanami i z amerykańskimi kupcami nadały im pewien stopień oświaty. Jednakże ich powierzchowność i zwyczaje nie w jednym zgadzają się z powierzchownością i zwyczajami starożytnych Meksykanów. Jeżeli sądzić wolno z pomników gdzieniegdzie podkrywanych, domy ich tak samo musiały być budowane jak domy Azteków. Nie mają one ani drzwi, ani otworów na zewnątrz, a wchodzi się do nich przez wierzch, za pomocą drabiny lub schodów.

O ośm mil od Santa-Fé znajduje się jedyna kopalnia jakkolwiek dziś jeszcze przynosząca korzyść. Przez lat 20 wydała ona za 200,000 dolarów proszku złotego. Zdaje się podobnym do prawdy, że w tym kraju, równie jak i w Peru, najbogatsze kopalnie utajone zostały przez Indyan, których niczem skłonić nie można do odkrycia tajemnicy.

W Santa-Fé Ruxton zatrzymał się tylko przez kilka dni; bo spieszył do dzikich okolic, gdzie miał rozpocząć rzemiosło myśliwca. Przebywa dolinę Taos, jeden z najżyźniejszych okręgów nowego Meksyku, mający tylko ośm tysięcy ludności, i wkrótce docięra do miejsca, które pomimo tylu przeszkód, trudów i niebezpieczeństw wszelkiego rodzaju chciał zwidzić koniecznie. Otóż go spotykamy w głębi gór skalistych, już zasadzającego się w wąwozie pełnym śniegu dla pochwycenia zdobyczy, już przy nocnym ognisku karmiącego odrzucanymi resztkami zwierzyny całe stada wilków. Tam podchodził bobrów w ich własnych mieszkaniach, a dla szarych niedźwiedzi podwójny nabój kładł w strzelbę; tam nieustraszenie przez ostre skały i puste doliny ścigał łosie, jelenie i antylopy. Niekiedy też łączył się z wyprawami myśliwych krajowców i zbierał o nich zajmujące szczegóły.

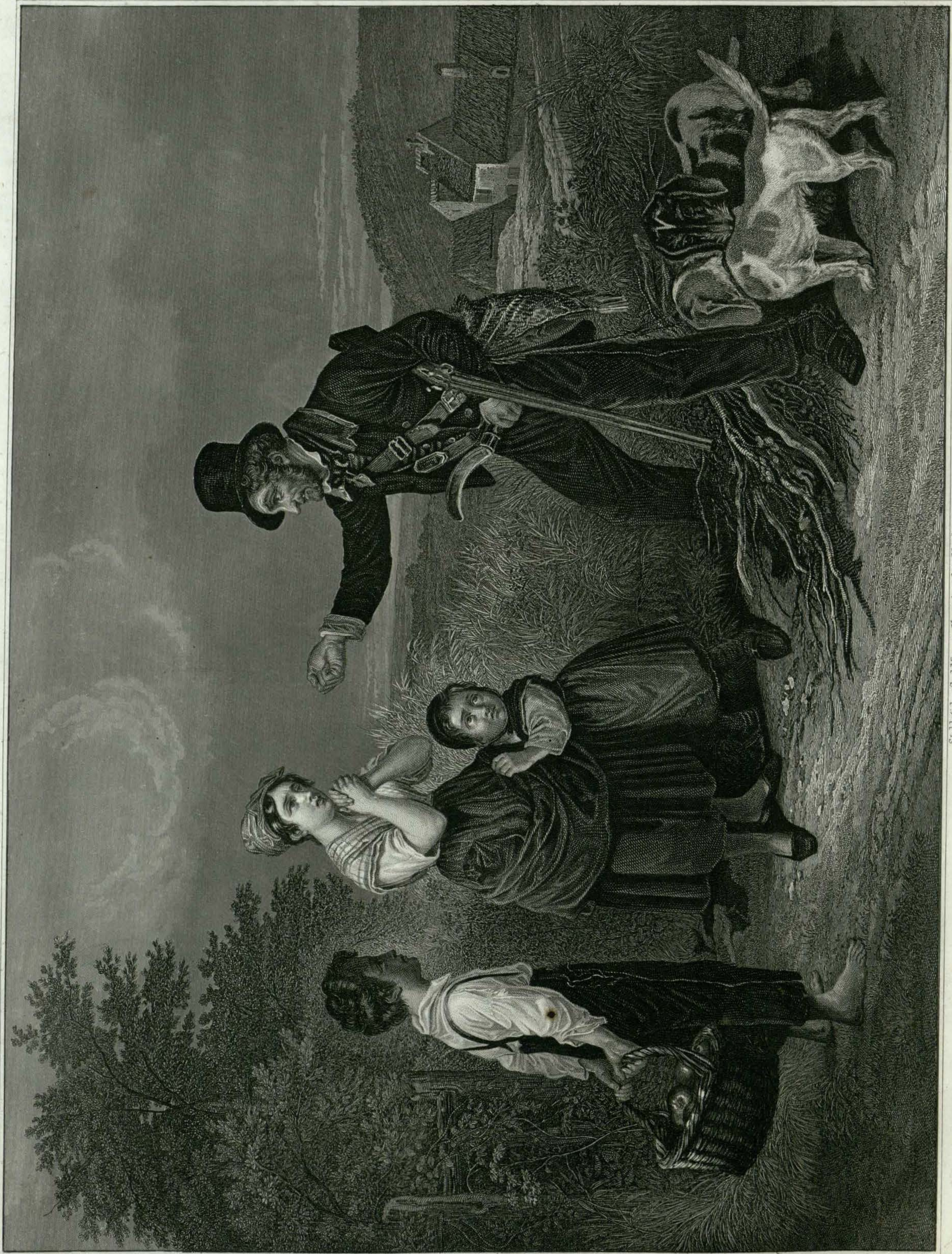
Żaden zapewne szczep ludzki, sąsiadujący z krajem oświeconym, nie jest więcej zbliżony do stanu pierwotnej dzikości jak myśliwi gór skalistych. Przyzwyczajenie do samotności nadaje im szczególną cechę prostoty, połączonej z okrucieństwem. Nie mając innych potrzeb, prócz niezbędnych dla natury ludzkiej, jedyną ich troską jest zaopatrzyć się w żywność i zabezpieczyć przeciw ostrości klimatu. Te dwie potrzeby mogą zaspokoić za pomocą dobrej strzelby, jednak nie bez wielkich niebezpieczeństw i trudów. Nieustanni badacze natury, nabywają instynktu i przezorności zwierząt. Wystawieni na ciągłą walkę, zahartowują się w końcu na wszystko, i z równą łatwością poświęcają życie bliźniego, z jaką narażają własne. Z małymi też wyjątkami są charakteru okrutnego, nieubłagani w zemście, gracze i rozpustnicy. Lecz za to mają najglówniejsze przymioty zwierząt: przebiegłość li-

sa i siłę niedźwiedzia; zrećnie używają broni, jednym słowem są tēm, czem mogą być ludzie biali, nieoświeceni i przyprowadzeni do życia instynktowego. Od Mississipi aż do Rio Colorado, od lodowatych stref północy aż do płaszczyzn Meksyku znajdują oni każdy zakąt i zasadzają się na zwierzynę nad brzegiem każdej rzeki. Okolice przez nich zamieszka pod każdym względem jest jeszcze dla jeografów *ziemią nieznaną*. Oni to ponadawali nazwiska rzekom i gór, oni torują drogę do kolonizacji w nowych niezajętych jeszcze przestrzeniach.

Przepędziwszy całą zimę wśród śniegu gór skalistych, naścigawszy się zwierząt do woli, Ruxton, nie bez żalu, postanawia opuścić te dzikie okolice, gdzie jego myśl i męskie serce doznało tylu niezwykłych wzruszeń. Odjeżdża do Stanów zjednoczonych i wsiada na paropływ który go zawozi do Saint-Louis. Zdawało się że przybywszy do wygodnego hotelu powinien się być rozplywać w rozkoszach życia zmysłowego; lecz on przeciwnie czuł tylko niespokojne podziwienie z nagłej zmiany swego położenia. „Gdy się położył w łóżko pierwszy raz po dziesięciu miesiącach, zdawało mi się że moje ręce i nogi nigdy nie będą się mogły przyzwyczaić do tego zbytowego położenia. Użycie krzesła także było dla mnie męczącym, i nieraz usiadłem na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, jak niegdyś przy ogniu biwakowym. Z zastawionych w hotelu potraw chleb tylko jeden mi smakował, i zjadłem go wielką ilość. Podczas obiadu ciągle zapominałem o użyciu widelca, i w miejsce tego narzędzia, któremu odtąd nie przyznaję użyteczności, używałem palców. Ale któż wypowiedzieć zdoła cierpienia jakich doznawałem, gdy usiłowałem wzuć buty, będąc od roku przyzwyczajonym do noszenia tylko mokassynów, gdy w miejsce obszernego turbanu musiałem włożyć kapelusz, co palił i cisnął mi skronie. Męczarni jaką mi sprawiał surdut, rękawiczki i inne oplakane wymysły cywilizacji nie będę tu opisywał; wolę spuścić zasłonę na te nieszczęsne wynalazki ukształconego świata.

Takim wybrykiem kończy się zarys podróży, która, obok brytyjskiej ekscentryczności, zawiera przecież poważne opisy i mnóstwo ciekawych szczegółów.

T. M.



Stahlstich v. Carl Meyer's Kunst-Anstalt in Nürnberg.

WIĄZKA GAŁĘZI.

OBRAZEK

PRZEZ

ANTONIEGO WIENIARSKIEGO.

Ktokolwiek patrzy na ludzi nie dlatego tylko, aby tu obaczyć paryzki frak, tam koronkową suknią, indziej płaszcz lub sukmanę, kto zastanawia się nad życiem i śledzi jego ruch, jak matematyk obrót kół w różnych kierunkach ustawionych, ten pewno przyzna, że są w życiu ludzkim chwile krótkie jak mgnienie oka, drobne jak nitka pajęczyny, przegradzające niedolę od ulgi, występki od poprawy, łzy od uśmiechu. Często boleść, nieszczęścia, pokusy już mają zerwać ostatnie ogniwa wiążące człowieka z nadzieją, z mężstwem, już zdaje się że niepodobieństwo podnieść się przyciśnionemu ołowianą ich ręką, gdy nie wiedzieć z ką, z obłoku czy z trawki, ze skrzydeł wiatru lub z piórek ptaszyny, z pyłku lub ziarenka deptanego piasku, spływa jasno-lica pociecha, dźwiga człowieka od ziemi, pokazuje mu niebo, każe ufać i iść dalej.

Kto też wierzy w tę chwilę, ten choć wszystko utraci, nie jeszcze nie stracił, temu ów potwór, *rozpacz*, nie stanie na najwęższej, nad przepaściami wijącej się drodze.

W Galicyi, o półtoręj mili od Żółkwi, jest wioska której nazwiska nie pamiętam, licho zabudowana, jak prawie wszystkie jej siostrzyce, otoczona wiankiem gajów, z podesłanym pod nogi gobelinem łąk, z rzeczulką wijącą się przez sam jej środek i pluszczącą nieraz pod oknami chatek, z gościńcem pnącym się pod górę najeżoną sosnowym borcem, i z karczmą przy gościńcu, budowniejszą od dworu i od mieszkania plebana.

Do twarzy jej jednak z tém zaniedbaniem, z tą prostotą, do której jeszcze nie zajrzał germański porządek, aby ją pod sznur wytknąć i chaty rzędami ustawić. Pięknie wygląda dla tego, który się w niej urodził, którego nie nauczono jeszcze że dobry ton nie każe się unosić nad pięknnością takich powsze-

dnich rzeczy, i w którego nie zdołano wmówić, że piękność nad Wisłą lub Sanem jest taką osobliwością, jak w Laponii motyl, a renifer nad Tybrem.

Widziałem zacnych bardzo ludzi, którzy kilku włók błot augustowskich albo piasków podlaskich nie zamieniliby na rozkoszne posiadłości Chantilly lub Tivoli, i którym widok sędziwej lipy albo poważnego z bocianiem gniazdem jaworu, stokroć był miłszy od widzianych w tułaczce po świecie cytrynowych i pomarańczowych gajów. Kochałem ich za to, choć niektórzy letkiewicze i pędziwiatry zwali ich barbarzyńcami.

Ów tedy gościec, od któregośmy mimo woli trochę zboczyli, wydarłszy się na górę, wcisnął się pomiędzy dwa szeregi starych sosen, zwartych między sobą krzewami bujnej leszczyny młodzieńkami w białych koszulkach brzoza, i popędził prosto przed siebie, wiodąc podróżnych ku jakiemuś miastu, o którego nazwisko nie będziecie się zapewne czytelnicy upominać, bo przecież wiecie, że mam zamiar opowiedzieć jedno z codziennych prawie zdarzeń życia, a nie uczyć geografii.

Sierpień r. 1819 dochodził do połowy, południowe słońce dopiekało uczciwie, na gościńcu za każdym wozem podnosiły się tumany kurzu; nie dziw więc że dwóch podróżnych zeszło z gościńca, szukając w głębi lasu miejsca na odpoczynek.

O parę staj od drogi była przegalinka, nad jej brzegiem wyrósł siérola dąb, zagnany burzą między kolczate sąsiadki. Czuli to że sam jeden, a jednak, jak szlachcic między chłopami, nie podał im ręki, nie zbratał się z niemi konarami, tylko wspañiałą koroną wystrzelił wysoko i szeroki cień rozesał w okolo siebie.

Podróźni usiedli na murawie, odetchnęli po utrudzeniu, posilili się skromnym jadłem, i jeden z nich, wydobywszy z torby garść ziól, rozłożył je przed

sobą, porównywał, dobiérał, pisząc coś ołówkiem w książeczce i rozmawiając często i długo ze swoim towarzyszem. Mógł mieć lat dwadzieścia lub trochę więcej, twarz blada, prawie nędzna przekonywała, że niewiele dbał o to, co inni za główny cel życia uważają, o *wygody*, a jednakże w dużych czarnych oczach tlał ogień wydobywający się z serca przepelnionego młodzieńczymi żądzami, z duszy wzniosłej i szlachetnej.

Ubranie na nim, podług zwyczajnego światowego języka, trzech groszy nie było warte; kapelusz słomiany okrągły przykrywał krótko przyszczyżone włosy, płócienny szary kubrak, ściśnięty rzemieńnym pasem, stanowił jedyne okrycie, a spodnie w niebieskie paski i bóty wypowiedające widocznie ze wszystkich stron służbę dopełniały ubrania. Towarzysz jego z tej samej widać szwalni zaopatrzył się w garderobę, tylko jeszcze uznawszy bóty za rzecz zbyteczną, zastąpił je łyżakami. Strzelba dubeltówka, torba skórzana i dwa żołnierskim sposobem zwinięte i na skórzanych pasach umocowane zawiniątka leżały oparte o pień drzewa.

Godzina mijęła za godziną, już słońce zniżało się ku zachodowi, a podróżni nie opuścili jeszcze stanowiska. Coraz to jakiś inny egzemplarz rośliny zajmował ich uwagę; czasami kamyk albo bryła torfu były przedmiotem rozpraw, i czas niepostrzeżenie mijał, gdy dobiegł ich jakiś gwar, niby rozmowa dwóch osób, i zwróciwszy oczy ku stronie gościńca, z kąd gwar pochodził, ujrzeni stojącego pod sosną leśniczego w zielonej kurtce, w kapeluszu na bakier, z dubeltówką pod pachą, a przed nim rudobrodego żydka.

Wiatr powiewał od gościńca, mogli więc doskonale słyszeć ich rozmowę.

— Czego ty mnie szelmo kusisz? rzekł leśniczy.

— No, na co wiele gadać. Sosen w lesie i gwiazd na niebie, to sam rabin berdyczowski nie porachuje.

— A sumienie?

— Ha! ha! a kiedy pan się z nim spotkał? czy nie wczoraj na jarmarku?

— Już ja ci powiadam, że ty ruda wiewiórko zdechniesz na szubienicy.

— Choćby i tak było, co mi to szkodzi? dłużej o mnie ludzie gadać będą.— Głupi i goły czy żyje czy gnije, wszystko jedno. No, pięćdziesiąt reńskich i zgoda!

— Ale kiedy furmanki przyjadą?

— Jutro o północku.

— Zgoda, tylko pamiętaj, drożyną na lewo, koło maćkowej gruszy, a potem przez lisi rozdół i w las.

— No, no, przecież mnie nie pierwszyczna.

— Ale dwadzieścia pięć reńskich zaraz.

— Nie, tylko dziesięć.

— Dwadzieścia pięć.

— Piętnaście.

I nastąpiła wypłata, poczem zaraz strony kontraktujące rozeszły się.

— Szlachetny układ, przemówił podróżny, przypatrując się drobnym listeczkom trzymanego w ręku ziela. I podobni temu jegomości ludzie narzekają na dziedziców, pomawiają ich o brak zaufania, często nawet o niewyrozumiałość, o nieludzkie obchodzenie się, a nie zapytają sami siebie czy zasługują na co lepszego. Dziedzic dość ma ufności kiedy powierza im swoje mienie, ale jakże tę ufność miéwa płacną? Zawód jeden, drugi i trzeci uprzedza go przeciw wszystkim, i potem kilku albo kilkunastu uczciwych cierpi za dwóch lub trzech łotrów. Piękny mi leśniczy, stróż lasów! Wierzy że sosen w lesie i gwiazd na niebie nikt jeszcze nie policzył, i stawia na kartę własny wstyd, potem dolę swoją, żony i dzieci. Ciężko, przykro spotykać się oko w oko z takimi czynami.

Po kilku jeszcze podobnych uwagach wrócono znów do ulubionej gawędki o roślinach, a gdy słońce pochyliło się znacznie ku zachodowi, nasi podróżni zapakowali przedniejsze ziela do torby, przewiesili przez plecy tłumoczki, ujęli sękacze i puścili się w dalszą drogę.

Wychodząc z lasu usłyszeli jakiś gwar, pomieszany z płaczem kobiecym i dziecięcym.

O parę staj od gościńca, między nadbrzeżnemi krzakami, stała zafrasowana kobieta, w lichiej odzieży, z oczyma ręką przysłoniętymi; mała dziewczynka, zachodząc się od płaczu, trzymała się jój za fartuch, a ośmioletni chłopiec stał trochę opodal, chowając za siebie koszyk z grzybami.

Do nich, w groźnej postawie, ze ściśniętą pięścią przyskakiwał znany nam leśniczy. Strzelbę miał jak wówczas pod pachą, a w lewej ręce trzymał nóż ogrodniczy, odebrany zapewne kobiecie.

Przed niemi leżała *wiązka gałęzi*. Dwa gończe psy, jedyne obojętne świadki tej sceny, stały przy

sobie, i jeden z nich bawił się podrzucając pyskiem lśniąca sierć na grzbiecie swego towarzysza.

Nie wyszło kilka minut, a nasi podróżni stanęli przed opisaną wyżej grupą.

— Czego waszmość chcesz od téj kobiety? zapytał jeden z nich, ów blady z pełnemi ognia oczyma, z których sypały się iskry szlachetnego oburzenia.

Stanowczy ton zapytania zmieszał gorliwego sługę; zmierzwszy jednak badawczém okiem przybyłych, odrzekł:

— A aspanu co do tego?

— Czy mnie do tego albo nie do tego, potem się dowiesz, a teraz odpowiadaj.

— Panie! zalkała kobieta— ubierałam sobie trochę gałęzi i trochę grzybów na wieczerzę dla dzieci, a ten pan odebrał mi gałęzie i odbiera grzyby, i wymyśla że aż trudno przesłuchać.

— Bądź spokojna, on ci nic nie zabierze.

— Zobaczymy.

— Nie zabierzesz — a co więcéj powiem ci, że sam na własnym grzbiecie zaniesiesz te gałęzie do jéj chaty, i że co tydzień furę takich gałęzi jéj dostawisz.

Leśniczy zaśmiał się na całe gardło.

— Nie śmiej się mój panie, aż dosłuchasz! krzyknął podróżny, któremu nie wiedzieć z kąd sił i głosu przybyło. Nie śmiej się! bo ja ci powiadam żeś niegodziwy sługa, że frymarczysz pańskiem mieniem, a wydzierasz biédnej wiązki suchych gałęzi i kilka grzybów, które Pan Bóg nie zarodził ani dla dziedzica ani dla ciebie, ale dla wszystkich. Że, dodał ciszej, nachylając się ku blednącemu winowajcy, wyznaczasz tajemne podejrzanym ludziom szlaki, że w téj chwili masz w kieszeni 15 reńskich, przyjętych na zadatek nieuczciwego kontraktu.

Leśniczy osłupiał, nóż wypadł mu z ręki, kroplisty pot wystąpił na czoło.

— No, czemuż się panie teraz nie śmiejesz?

— Panie! miej litość nademną, rzekł ów łutny niedawno jegomość, zdejmując kapelusz, miej miłosierdzie nad moją żoną i trojgiem drobnych dzieci, nie gub nas.

— A ty miałeś litość wydzierać téj kobiecie garść gałęzi i kilka grzybów? miałeś sumienie odgrywać rolę wiernego sługi, wtenczas właśnie kiedyś popełnił szkaradny występki? No, uderz się w piersi i odpowiedz!

— Oj prawda panie, że on niéma sumienia, bo wie jaka ja biédna, wie że nie mam co na siebie włożyć, czém dzieci okryć i czém ich i siebie wyżywić. Wie że i ja niegdyś nie chodziłam prawie nago i głodno, że byłam w lepszym bycie, że mój nieboszczyk mąż nie umarł za piecem ani z rozputy, ale tam gdzie tysiące ginęły, gdzie armaty pogrzebne wygrywały im pieśni, że nie umiając ciężko pracować, z temi dziećmi nie mogę sobie dać rady, że chyba z głodu przyjdzie umrzeć! Wie, a wydziéra mi to, bez czego by moje dzieci musiały głodno pójść spać. Oj, gdzie u niego serce, gdzie miłość Boża i politowanie nad bliźnim?

— No i jakaż na to odpowiedź?

— Ha prawda, ale rządzca zakazał zbiórki gałęzi i włóczenia się po lesie.

— A pozwolił zawięrać takie piękne układy?

— Nie pozwolił, i mogę za to dziś stracić służbę; ale czego człowiek z biédy się nie dopuści? Panie, ja mam jak powiedziałem żonę, troje dzieci i kalékę o kulach chodzącą matkę, a przytém wszystkiém 75 reńskich na rok i 20 korecy ordynaryi z posładem. Powiedz pan sam, czy mogę żyć uczciwie? tyle gęb trzeba nakarmić, tyle nóg obuć, tyle sukienek sprawić, a tu nie całe 20 reńskich na kwartał. Płacz mnie serdeczny bierze, kiedy rozliczam moję krwawą pracę. Sobie nie mam za co i szklanki piwa kupić, a rządzca ani chce słyszeć aby podwyżkę u dziedzica wyjednać. Grzech, sromota kraść, ale kraść muszę, bo inaczéj moje dzieci chodziłyby nago. Panie! dodał klękając, proszę w imię Boga, nie gub nas!

Podróżny podniósł klęczącego i rzekł:

— Bredzisz, mój kochany, żadne położenie nie upoważnia do występku. Kto w sercu chowa uczciwość i wiarę w Boga, tego odzianego łachmanami obłóż złotem, a on do złota ręki nie wyciągnie. I jam widzisz nie bogaty, bogatsi łożyli na moje nauki; mogłem powiedzieć dajcie mi pieniędzy, koni, karet, daliby bez wątpienia; a ja podziękowałem tylko za odebrany z ich ręki najdroższy skarb, za naukę, wziąłem kij podróżny i bodajby boso i o głodzie, z pracą i usiłowaniem, przy pomocy boskiej dojdę tam, gdzieby jedno ich skinienie mogło mnie zaprowadzić. Wytrwałości i ufności, mój człowieku, a przyjdzie czas że Bóg je wynagrodzi.

— I ja tak myślałem, ale kiedy jedno dziecko pokazało mi skalęczoną nogę, a nie było za co trze-

wików kupić, gdy drugie chorowało z przeziębienia, a lekarstwa na kredyt nie dano, uległem pokusie i teraz nie mogę jej od siebie odegnąć.

— Widzisz, znasz nędzę, a nie miałeś litości nad nędzą, poważyles się lżyć tę kobietę, chociaż jej całą winą było to, że sięgnęła ręką po gałąź którą Opatrzność rzuciła pod stopy wyniosłych drzew, aby ci co nie mają siekiery nie drżeli od zimna, po grzyb któremu Ojciec niebieski kazał wyrość dla tych właśnie, co nie mają łąnów obsianych zbożem, drzew obciążonych owocami, trzód zalegających pastewniki, którzy, jak ptacy powietrzni, wyglądają pożywienia z ręki swojego Stworzyciela. Rozważ, człowieku, na jak wielki grzech się narażałeś!

— Prawda, ale gdzie to pokusa człowieka nie zaprowadzi; chciałem pochwalić się przed rządcą z gorliwości.

— Za karę bierz na barki tę wiązkę gałęzi i nies. My ci przeniesiemy strzelbę.

— Panie, a jak nas kto spotka?

— Nie wstydziles się wydzierać biednej jej prawie całodniową pracę, nie wstydz się i pomocy. Jaka robota, taka zapłata. No, wiązka na plecy, koszyk z grzybami w rękę i dalej!

— Nieidźmy przynajmniej gościńcem, bo gdyby rządcza albo który z administracyi nas spotkał, przepadlbym.

— Zgoda, wybierz jaką chcesz drogę, tylko jeszcze jedno. Co tydzień masz własnym kosztem, jakim ci będzie najłatwiej sposobem, dostawić wdowie furkę takich gałęzi.

-- Dostawię.

-- I jeszcze nie koniec. Masz dziś pójść do księdza proboszcza miejscowego, z listem który ja napiszę.

— Pójdę.

— Ale pamiętaj, jak nie wiesz kiedy umrzesz, tak nie domyślisz się zkad na ciebie spadnie kara, w razie gdybyś którego z tych przyrzeczeń nie dochował.

— Dochowam, jak mi Bóg miły. jak pragnę pociechy z moich biednych dziatki.

— Dochowaj, popraw się, występku zaniechaj, a może nam Pan Bóg pozwoli ulżyć i tobie biedy.

Leśniczy westchnął, skłonił się, zarzucił wiązkę gałęzi na plecy, wziął koszyk w rękę i poszedł rążno przez pole ku wyzieraającym zdala dachom

wioski. Za nim udała się znana nam gromadka, dziewczynka już nie płakała, a z oczu chłopca obdartego i bosego wyglądała myśl: jak dorosnę i nabiorę siły, to nie dam także krzywdy robić biednym, bo i oni przecież nie z kamienia ani z błota, i dla nich dał Pan Bóg słońce, wodę, pole, las, sady i drzewa.

Psy szły leniwo, poglądając smutnie na swego pana, objuczonego dziwnym ładunkiem.

Po kilku chwilach malejąca coraz bardziej grupa zniknęła w wąwozie, a spłoszone z krzaków ptaki zaczęły wracać do swych zielonych altanek.

Nazajutrz raniutko leśniczy klęczał przy konfesjonale, bijąc się w piersi, a sędziwy kapłan nie szczędził mu ojcowskich rad i napomnień. Po półgodzinniej spowiedzi, gdy namiestnik Zbawiciela w imieniu swego pana rozwiązał sumienie grzesznika, gdy na zadatek pojednania przyjął święty chleb życia, pokarm odrodzenia, to skowronek w kwietniu nie był od niego lżejszy i swobodniejszy.

Tego samego dnia w południe *rudy* odebrał swoje piętnaście reńskich, i usłyszał groźbę, że jeśli nogą wstąpi w granice lasu, z kośćmi się nie porachuje.

Po trzech tygodniach rządcza otrzymał ze Lwowa od dziedzica następujące polecenie:

„Na wstawienie się znakomitego uczonego, podróżnika doktora Siestrzyńskiego, który przed niedawnym czasem przez dobra moje przechodził, polecam wdowie po podporuczniku, mieszkającej dotąd w komornym u tkacza, przeznaczyć na mieszkanie dworek za ogrodem, udzielać jej co miesiąc po dwa korce zboża na leguminy i wypłacać z kassy po piętnaście reńskich na sól i odzienie.

„Synka jej, roztropnego jak słyszę chłopaka, (jeżeli matka na to zezwoli) przysłać mi do Lwowa, gdzie moim kosztem oporządę go i oddam do szkół.

„Dowiedziałem się także że leśniczy, obarczony liczną familią i utrzymujący przy sobie kalékę matkę, z pobiéranéj pensyi nie może się utrzymać. Dziwię się że mi pan takich rzeczy nie przedstawiasz, gdyż nie spodziéwam się abys nie wiedział do czego nędza może człowieka doprowadzić. Potrzeba powiększyć mu pensyą o 50 reńskich, a za lata poprzednie tytułem gratyfikacyi 100 reńskich wypłacić.

„Spodzielam się że leśniczy wiernością i gorliwym wypełnianiem obowiązków zasłuży sobie na to, aby pamięć moja o nim nie była ostatnią.

„Żądam także, abyś mi pan udzielił wiadomości o położeniu familijném, o latach służby i o prowadzeniu się wszystkich moich officyalistów, gdyż najmocniej jestem przekonany, że wymagając od nich wiernego poświęcenia i uczciwej pracy, winniśmy nawzajem o ich potrzebach po ojcowsku pamiętać.“

Wdowa po podporuczniku zaraz zajęła domek za ogrodem. Przy wyznaczoném sobie wsparciu otrząsnęła się trochę z biedy i odetchnęła swobodniej. Ze łzami żalu i radości rozstała się z synem: żalu, że go wyprawia od siebie, radości, że pobić będzie nauki, których mu nie mogła zapewnić.

Traf zrządził, że po kilku latach dowiedziała się o niej jakaś daleka bogata krewna, mieszkająca koło Kamieńca podolskiego i zabrała ją do siebie, bo ten arlekin *traf* cuda czasem odgrywa w życiu ludzkim. Syn jój już był wówczas w wyższych klassach, uczył się wybornie i odslugiwał wdzięcznością swojemu dobroczyńcy. Trzeba było być świadkiem pożegnania się biédnej wdowy z człowiekiem który obszedł się z nią po bożemu, aby ocenić że nie wszystkie serca są tak niewdzięczne jak je niektórzy wystawiają.

Leśniczy z gratyfikacyi opędził wszystkie najpilniejsze potrzeby, i jeszcze w skrzynce zostawił dwadzieścia kilka reńskich na nieprzewidziany wypadek. Dopóki wdowa mieszkała w dworku, odwiedzał ją ciągle i ani razu nie przepomniał furkę gałęzi co piątek dostawić. U dziedzica zyskał ufność, u zwierzchników dobre imię, a u współkolegów szacunek. Nieraz więc w gronie dziatek i dobrych przyjaciół nie wstydził się przywołać przed

pamięć zdarzenie które wykierowało go na porządnego człowieka, i zakończając je zwykle sensem moralnym, powtarzał:

— Gdyby jaki król przyjechał kiedy tu na polowanie, i mnie za położonego u nóg swoich dzika chciał wykierować na szlachcica, to nie czepiałbym się *gryfów* ani *toporów*, ale na wieczną pamiątkę synom i wnukom, na zawdzięczenie Bogu za przestrożę, wziąłbym za herb *wiązkę gałęzi*!

Podróźni poszli w świat, jak podróźni, którzy tym jednym nałogiem grzeszą, że nie smakują w rzeczach arcy miłych: *dachu, posłaniu i ciepłym piecu*. U nich celem nauka i pożytek dla innych, a przecieź jasno jak na dłoni, że z temi pięknymi rzeczami daleko nie zajędzie. Historyi ich opowiadać nie mam zamiaru; smutna ona, jak prawie wszystkie jój podobne, a zresztą czas już zakończyć, bo zapowiedziałem wam czytelnicy tylko *wiązkę gałęzi*, a nie potężny ich stos lub czwórkonną furę! (1).

(1) Zdarzenie powyższe wzięte jest z opowiadań rodzinnych. Doktor Jan Siestrzyński znany jest i w Warszawie; któreś z pism czasowych niedawno o nim wspomniało, nie od rzeczy więc będzie przytoczyć niektóre o nim szczegóły. Ojciec jego mieszkał w okolicy Zamościa, trudniąc się dzierżawami w ordynacyi. Uchodził za dość zamożnego, ale nieszczęścia przywiodły go do ubóstwa. Umarł, zostawiwszy żonę Konstancyą z Zawadzkich z kilkorgiem dzieci. Synów wzięła do siebie daleka i majątna bardzo krewna, pani Skwarczyńska. Jan, oddany do szkół we Lwowie, potem do akademii w Wiedniu, nadzwyczajne rokował nadzieje. Po ukończeniu kursów młody doktor podziękował czule opiekunce za dobrodziejstwa i wybrał się na pieszą pielgrzymkę po kraju. Wtój pielgrzymce odwiedził matkę mieszkającą w Bzowcu pod Turobinem w Lubelskiem, i po kilkotygodniowym pobycie u niej wybrał się do Warszawy. Poprzedziła go wieść o jego zdolnościach i prawych chęciach, przyszłość zaczęła się do niego uśmiechać, gdy niespodzianie śmierć wydarła matce jedyną pociechę, a krajowi zdolnego i wiele obiecującego młodzieńca.

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

(WSPOMNIENIE).

Więrsz twój niech szanuje wiarę,
Obyczaje przodków stare.
Niech nie szarpie cudzej sławy,
Z win ludzkich nie ma zabawy.
Więrsz twój niech ma piętno cnoty,
Niech cieszy ziemskie kłopoty,
Niech zgodą, pokojem słynie;
Tak nam pisz, panie Marcinie!
(Karpiński do młodego poety).

Starożytni wyznaczali osobne uroczystości na przypomnienie imion i zasług sławnych mężów, aby pamięć ich utrwałała się w umysłach żyjących pokoleń i aby współcześni w tej powszechnie objawionej czci czerpali zachętę do pracy i poświęceń.

Teraźniejszość jest zwykle przedmiotem który oczy nasze uderza i serce za sobą pociąga; nie od rzeczy więc będzie oderwać się od niej choć na chwilę, przenieść w ubiegłe czasy, zająć wspomnieniem imienia, które niegdyś brzmiało czcياً i poważaniem, wspomnieniem zasług pyłem czasu pokrytych.

Dziś, mimo różnorodnych pojęć o poezji i poetach, wyrabia się przynajmniej to ogólne zdanie, że serce powinno być głównym przewodnikiem poety; że jak najkształtniej aż do złudzenia wyrobiony kwiat zniknie przy jednym skromnym bratku, tak najmisterniej wypracowane dzieło sztuki straci swą wartość przy jednej prostej zwrotce, wyszlęj z głębi przejętego uczuciem serca.

Prawdę tę pojmują wszyscy, którzy nie z cyrklem w ręku, nie z encyklopedyą pod pachą, ale z uczuciem piękna w duszy zastanawiają się nad tym przedmiotem, i prawdzie tej oddał niedawno hołd publiczny niespracowany nasz pisarz Kraszewski, skopioawwszy i umieściwszy w pismach więrszyk na szybie w karczmie znaleziony. Autor tego więrszyka nie znał gramatyki, prawideł pisarskich; umiał tylko czuć i uczucie to w prostych słowach wyrazić.

Więrszyk ten jest następujący:

Za dar cie maione ot Boga najwyższy
Ciem natefszystko w rzyciu moim cenit,

Cie otrzymałszy byłbym nayszczeńsłifszy,
A cie straciłszy nikdym sie nie zmienitł. (1)

Ktoś, coby szukał w poezji erudycyi, wzniosłości, encyklopedycznych porównań, ominałby z uśmiechem owę szybę; ale Kraszewski poznał się na wartości tych kilku prostych wyrazów, zrozumiał że człowiek kręślący je, może oderwaną od pługa lub warstatu ręką, czuł wiele i cząstkę tego uczucia w nieforemne, a jednak piękne wcielił kształty.

Gdy więc ustalili się przekonanie, że poezya, jeśli nie wyszła z serca, nie trafi do serc czytelników, jakiejże wartości nabiorą prace Franciszka Karpińskiego, którego jeszcze dawni sędziowie *poetą serca* nazwali.

Nie mamy zamiaru rozbiierać po szczególe dzieł Karpińskiego; chcemy tylko dać poznać, że w całym tém wspomnieniu uważać w nim będziemy poetę serca, człowieka który szedł za uczuciem, za głosem prostego natchnienia, wskazującym mu nierozległe, a jednakże umiłowane przez niego szranki.

Franciszek Karpiński urodził się w pierwszych początkach panowania Augusta III d. 4 października 1740 r. w Hołoskowie w dawném województwie ruskiém, niedaleko Stanisławowa. Ojciec jego, właściciel wyżej wspomnionej wioski, oprócz niego miał jeszcze dwoje dzieci: syna, którego do

(1) Kuryer Warszawski i Gazeta Codzienna, z lipca 1853 r. Czynimy tu jednak jeden zarzut tym pismom: napisały że umieszczają ten więrszyk dla znakomitej oryginalności ortograficznej. Kraszewski nie dla ortografii go nadesłał; on chciał dać poznać że piękną myśl i uczucie można ocenić, choć nie są ortograficznie napisane.

stanu duchownego przeznaczył, i córkę Maryą, wydaną później za Kozieradzkiego. Dzień urodzin Franciszka upamiętnił się w rodzinie Karpińskich następującym zdarzeniem:

Około r. 1739 zaczęto głośno mówić o sławnym rozbójniku Aleksym Doboszu, i wkrótce imię jego napelniło postrachem całą okolicę. Dobosz, obrawszy sobie siedlisko w górach około Czerniej hory (czarnej góry) i zebrawszy liczną drużynę, zapędzał się nieraz na kilka mil wokoło. Napadł miasteczko Bolechów w czasie jarmarku, złupił kramy i rozpędził lud; potem spalił dwór szlachcica niedaleko Bolechowa, który nieraz ze swemi ludźmi go ścigał, i mając urazę do Szczeryny, właściciela wioski Borszczowy, napadł na jego dworzec, zamordował go wraz z żoną i dworzec w popiół obrócił. Takie wieści, przy licznych innych o pomniejszych sprawkach Dobosza krążących, napelniały trwogą całe prawie Kołomyjskie, i wśród takiego usposobienia umysłów dano znać Karpińskiemu, dziedzicowi Hołoskowa, że Dobosz gotuje się go odwiedzić. Karpiński, nie uważając na to że zostawia żonę bliską połogu, pakuje na wozy znaczniejszej wartości sprzęty, i zostawiając polecenie aby Dobosza jaknajgościnniej przyjąć, wyjeżdża.

Pocziwi słudzy nie idą za przykładem pana, nie odstępują rozpaczającej kobiety i postanawiają dziełić los jaki ją spotka. Przygotowują sute przyjęcie, wytaczają antalki węgrzyna i czekają strasznego gościa. Czwartego października wieczorem dają znać że Dobosz ze swoją drużyną jest już we wsi. Wiadomość ta wywiiera silne wrażenie na chorą, i chwila wejścia Dobosza w progi dworu jest chwilą urodzenia się dziecięcia. Słudzy, pomimo uczynionego przyrzeczenia, skryli się po kątach, tak że wchodzący do izby Dobosz spotkał tylko małą dziewczyneczkę Maryą, córkę Karpińskich.

— A gdzie ojciec i matka? zapytał dziecięcia.

— Ojciec wyjechał do Krakowa, a mama bardzo słaba; jęczy aż strach, odpowiedziała śmiało dziewczynka i dodała: ale niech pan siada, Jadwiga wiele dobrych rzeczy dla pana zgotowała, a Ignacy dużo wina z piwnicy wytoczył.

Dobosz się uśmiechnął, pogłaskał dziewczynkę po twarzy i krzyknął na swoich aby zachowali się spokojnie. Ośmieleni tém słudzy wyleźli z kątów i zaczęli gości przypraszać do wieczerzy. Dobosz nie chciał wprzód jeść i pić, aż słudzy posadzili przy

nim dziecię i ją najprzód podanemi potrawami częstowali; bał się widać podstępu. Potem zjadł wesolo wieczerzę, podpił dobrze winem i zapytał na co gospodyni chora. Gdy mu opowiedziano powód słabości, rzekł:

— Muszę położnicę odwiedzić i obaczyć dziecię.

Nie śmiano go wstrzymywać, poszedł więc do chorój, zbliżył się do łóżka i rzekł:

— Nie bój się jójmość, nie taki diabeł straszny jak powiadają; i Dobosz nie taki srogi jak o nim ludzkie języki roznoszą. Ja wam nic złego nie zrobię, przyjęliście mię po chrześcijańsku, Bóg wam zapłać i bądźcie zdrowi! Ale obracając się jeszcze dodał:

— Córka, czy syn?

— Syn.

— No, to daj mu jójmość imię Aleksy, dali Bóg dobre imię.

Chora skinęła głową, Dobosz ujął czapki i wyszedł.

Siadając na konia dobył kilka tureckich piastrów, i dając je służbie, rzekł:

— To dla was na piwo, a szanujcie tych państwa, bo to niczego ludziska.

Wkrótce wróciło wszystko do dawnego porządku; nie dotrzymano jednak słowa Doboszowi, i narodzone dziecię otrzymało imię Franciszek.

Nie wiadomo z pewnością, ale zdaje się że z tego powodu, Rozalia Karpińska, chorując długo, nie mogła już przyjść do siebie i zostawiła dzieci sierotami przy ojcu, który trzymając się ściśle upowszechnionego wówczas zwyczaju, surowém obchodzeniem się z dziećmi i wymaganiem od nich ślepego posłuszeństwa niewiele był usposobionym do zastąpienia matki i przygotowania światu poety, u którego czułość serca największą była zaletą. Mimo to jednak uczucie szukające koniecznie przedmiotu z którymby się łączyć mogło, podało dziecięciu sposobność wykształcenia serca czystą braterską miłością; mały Franuś kochał do ubóstwienia swoją siostrę i był od niej wzajemnie kochany. Kiedy surowość ojca wyciskała mu łzy, kiedy zfukany słuchać musiał w milczeniu surowych napomnień, Marya jedném czułem spojrzeniem, jednym gestem łagodziła boleść brata. Nie można było wstrzymać się od wzruszenia, patrząc z jaką radością zalany łzami chłopczyzna, zyskawszy pozwolenie odejścia, biegł w objęcia siostry; jak ona go

ściskała, koła łkania, zachęcała do posłuszeństwa, tłumacząc że tak być musi, że ojciec go kocha, że pragnie aby wyrósł na porządnego człowieka, że co mówi i robi, to wszystko dla jego dobra.

To święte rodzinne uczucie, otaczające młode serce niebiańskim urokiem, wcieliło się w nie na zawsze. Franuś, oddany do szkół w Stanisławowie, tęsknił do domu aby ujrzeć Maryą, pocieszyć się jej pieścizotami, usłyszeć jej głos czuły, łagodny, obudzający już w nim te melodyjne tony, które później przez całe życie brzmiały w jego piersiach.

Nie można jednak powiedzieć aby i ojciec Karpińskiego, obok wad znamionujących wiek w którym żył, nie miał także i przymiotów z udziału tychże samych czasów pochodzących. Wychowany w ciągłym ruchu, przyzwyczajony do prac publicznych, do życia obozowego i do żołnierskiej karności, nie umiał cackać się z dziećmi; ale kto wie czy w tém jego surowém obchodzeniu się nie leżał zaród owych cnót obywatelskich, które się nie pieścizotami, ale życiem ostrém i trudami nabuwają.

Gdy Karpiński skończył szkoły i wrócił do domu rodzicielskiego, ojciec wziął go, jak mówił, na egzamin, i na pierwszy wstęp uderzył go w twarz. Młodzieniec nie odrzekł ani słowa, stał jak posąg, i tylko zalał się rzewnymi łzami. Wtedy ojciec wypogodził chmurną twarz, ujął go w objęcia, przycisnął do piersi i rzekł:

— Widzę że nie urosłeś w dumę, że umiesz szanować ojcowską rękę. Będiesz dobrym obywatelem.

Franciszek od dzieciennego wieku najbardziej lubił nauki. Nie nęciły go zabawy rówieśników w drewniane pałasze, unikał od bójek i kłótni; jedyną jego zabawą była książka i przysłuchiwanie się piosneczkom wieśniaczek. Po powrocie więc ze szkół wyblagał u ojca, że go nie przeznaczył ani do szabli ani do ławki dependentskiej, ale pozwolił mu starać się o wejście do dworu wojewody ruskiego, pana na Puławach, Sieniawie i licznych włościach, słynącego z wspaniałości, protektorskiej opieki nad naukami, uczonemi i poświęcającemi się naukom. Ubogiemu a zdatnemu młodzieńcowi dość było dostać się do jego dworu, aby i o los swój się nie kłopotał i zwrócił na siebie uwagę. Ale jakim sposobem trafić do księcia wojewody i zaskarbić sobie

jego łaskę? Młody Karpiński gubił się w projektach, nie mogąc wynaleźć trafnego.

Tymczasem los nastreczył młodzieńcowi to, co było jedyném jego pragnieniem. Niedaleko Sieniawy jest miasteczko Przeorsk, z klasztorem panieńskim. Przełożona tego klasztoru, podobno krewna z Karpińskimi, miała wielkie łaski u księżnej wojewodziny. Napisała więc długi list rekomendacyjny i wyprawiła go z nim do Sieniawy. Starą klasztorną kolaską i zaprzęgiem od pluga lub brony oderwanym, zajechał kandydat do dworskości przed podwoje sieniawskiego pałacu, ustrojony w ojcowski mundur województwa ruskiego. Księżę przyjął go uprzejmie, a gdy odczytał list panny zakonnej i zabięrał się do wyegzaminowania kandydata co umie, Karpiński wręczył mu parę ćwiartek papieru, z próbkami własnych więrszy. Księżę okiem znawcy przebiegł myśli rzucone poraz pierwszy w świat, i uśmiech zadowolenia przebiegł po jego ustach. Więrsze schował, przywołał marszałka, i prezentując mu młodzieńca, rzekł:

— Oto jeden młodzieniec z naszego województwa, pan Karpiński Franciszek, poeta, proszę wyznaczyć mu mieszkanie i usługę, a o reszcie potem pomówimy.

Żalujemy że Karpiński nie zostawił pamiątki jakie to więrsze złożył księciu wojewodzie; bo nie wątpimy że te pierwsze próbki nosiły w sobie zaród czułości i zapalu, któremi ów skromny młodzieniec później zajaśniał.

Ale bliższe zapoznanie się z dworskością przekonało Karpińskiego, że on do niej nie stworzony. Szlachetny, poczciwy, brzydził się pochlebstwem, kłamstwami, fałszem. Prawdę czuł w głębi serca i prawdę zawsze mówił. To mu robiło nieprzyjaciół; talent obudzał zawiść, i tak w goryczy i odczarowaniu przebiegły pierwsze chwile zawodu, o którym młodzieniec tak świetne roił marzenia. Przymtem Karpiński, jak człowiek, miał wadę która go przez całe życie ścięgała: żądał, prawie domagał się, aby go wszędzie według jego pracy i zdolności sądzono i wynagradzano, aby nieproszącego o to obsypywano darami, zaszczytami, mieniem. Rzeczywistość, sprzeczna zawsze z temi widokami, nie mogła go zadowalać; bo ludzie z któremi miał stosunki otaczali się zwykle pochlebcami, dworakami, garnącemi wszystko pod siebie i nie cierpiącemi właśnie tych, co tylko na zasłudze opięrali swoje

nadzieje. Zawody takie nieraz poeta napotykał w swoim życiu, i dlatego nawet w jego pismach widzimy często narzekania na świat i ludzi.

Nadzieja znalezienia pomiędzy ówczesnymi magnatami takiego któryby się na nim poznał, wiodła go koleją w domy Potockich, Ponińskich, Radziwiłów, Sanguszków; ale wszędzie jednakie obejście się, jednaki zawód. Zazwyczaj używano Karpińskiego do wykładania nauk młodzieży kształcącej się pod okiem rodziców i opiekunów; ale czyż młody Polak, nie znający nic prócz prostoty i nie wielbiący nic prócz prawdy, mógł się docisnąć do łask pańskich przed zagranicznymi przybyszami, którzy gradem sypali się do Polski?

Do tego wszystkiego jeszcze niemało goryczy przydała poecie miłość. Uczucie to silne, wielkie, wywarło wpływ na całe jego życie, a było, jeśli tak się wyrazić można, wytryskiem tego samego źródła, które wyżej za wadę poczytaliśmy. Karpiński zakochał się gwałtownie, pierwszą, najsilniejszą miłością, w dziewczycy znakomitego rodu, głośniejszą z wdzięków i dostatków. Blizkie codzienne stosunki, upodobanie z jakim młoda, czująca potrzebę kochania, dziewczica słuchała czułych piosnek poety, wreszcie zgodność myśli i usposobień, rzuciły tę iskrę, która straszliwym wybuchła płomieniem.

Karpiński, jako domownik, miał zawsze wolny wstęp do pokojów ukochanej przez siebie dziewczycy. Miłość, która cuda z ludźmi wyrabia, w poetyczne jego serce rzuciła takie zdroje czułości, natchnienia, że wyobraźnia dziewczycy musiała im uleżeć. Mówimy wyobraźnia, bo choć powiadali niektórzy że i ona go kochała, my jednak nie chcemy przypuścić aby prawdziwa miłość mogła takie przynieść skutki. Poeta jednak ani na chwilę nie wątpił że jest kochany; z prawdziwego zdarzenia, w którym on i ona główną grali rolę, napisał swego Filona. Śpiewali go nieraz razem, w cichym ustroju, gdzie tylko słowiki podsłuchać ich mogły, i serce biedaka tonęło w szczęściu, w radości; sądził że chwila w której ukochana wobec świata nazwie go swoim jest blizka, a tymczasem nieprzebyta przepaść rozdzielała ich na zawsze.

W domu zaczęto uważać że leceye za długo się zwykle przeciągały, że dziewczica za wiele przywiązywała upodobania do wiejskich (jak je nazywano) piosnek poety, i ciekawe oczy zaczęły pilniej wglądać w zatrudnienia kochanków. Dziewica z oboję-

tniała, nudził ją Filon, z roztargnieniem słuchała i piosnki do motyla i śpiewu o Ludgardzie.

Karpiński, zrozpaczony, odważył się na krok ostateczny; w upatrzonj chwili wyznał kochance swoją miłość i błagał o rękę.

— Pójdę za ciebie, odrzekła z dumnym wyrazem twarzy, ale nazwiska twego nosić nie będę.

Poeta powstał, lśniące szlachetnym uczuciem własnej godności spojrzenie utkwiał w marmurowym obliczu kochanki, popatrzył tak chwilę, uklonił się i wyszedł.

Na drugi dzień już go nie było w starożytnym zamku, i tylko na okładce książki którą w chwilach zapалу przepisał dla dziewczycy znaleziono takie wiersze:

Och pocóż, pocóż ciebie poznałem,

Pocóż twa pamięć w duszy utkwiała?

Och pocóż, pocóż ciebie kochałem,

Kiedyś wzajemną nie była?

Pocóż okrutne me przeznaczenie

Każde dzień szalu życiem opłacić?

Pocóż na ciężkie tylko cierpienie

Kochałem, by spokój stracić?

Ciebie kto inny posiadać będzie,

Inny dziedzictwo moje dostanie,

Inny me szczęście, radość, posiadzie,

A ze mną co się też stanie?

Ja cierpieć tylko i płakać muszę,

Bo z głębi serca rzeknę dziś tobie,

Żeś wiecznym smutkiem dotknęła duszę,

I lzy nie oschną, aż w grobie (1).

Uciekając od miejsc co tak srogie pamiątki zostawiły w jego sercu, Karpiński zabiegł aż do Warszawy. Sądził że w miejskim gwarze rozerwie się i znajdzie gonione ciągle szczęście. Bawił w Warszawie blisko rok, próbował tu i owdzie, ale niecierpliwy jego charakter nie mógł nigdzie znaleźć punktu oparcia. Zawiedziony, zniechęcony, powrócił do szczupłej zagrody, która mu się z podziału ojcowizny dostała, i pod wpływem tej głęboko uczutej niechęci napisał: „Powrót z Warszawy na wieś.“

Otóż mój dom ubogi! też lepione ściany,

Też okna różnoszybne, piec niepolównany,

I nizka strzecha moja!... Wszystko tak jak było,

Tylko się ku starości więcej pochyliło.

(1) Wiersze te dotąd drukowane nie były.

Naruszewicz, który zawsze był głodnym łask królewskich i wiecznie czegoś żądał, podał Stanisławowi Augustowi ten wierszyk, mówiąc:

— Czytaj, Najjaśniejszy Panie, jak to dobrze u nas być poetą!

Stanisław August odczytał, wzruszyły go z serca wyszłe skargi, ubodło go że taki poeta pod jego ścianą wyrzeka na losy i prawie rękę wyciąga, i kazał zaraz napisać do Karpińskiego aby przyjechał do stolicy.

Już téż imię poety zaczęło i po kraju nabierać rozgłosu. Wdzięczne i tkliwe sielanki i piosenki jego nucono w najpiérwszych towarzystwach; od tych towarzystw szybko dostały się do ludu, lud je zrozumiał, pojął sercem i zaczął niemi prace swoje umilać. Nabożne pieśni i psalmy odezwały się pod sklepieniami świątyń, a listy jego o sprawach publicznych przeszły w ręce krzątających się około wykorzenia dawnych przesądów. Jak tylko więc król raczył zwrócić na poetę swoją uwagę i wezwać go do swego boku, tu i owdzie ozwały się przyjazne głosy, i powtórny przyjazd Karpińskiego do Warszawy poprzedzony był niejaką już sławą. Jednocześnie z zaprezentowaniem się u dworu otrzymał Karpiński przywilój na pięćdziesięcioletnie posiadanie dwóch wiosek w powiecie prużańskim. Łaskę tę przyjął z wdzięcznością, ale bez uniżoności, i to się zaraz dworakom nie podobało. Tak więc, w wieku ubogim w czyny prawdziwej publicznej zasługi, zdobywano królewszczyzny piórem i kilkoma pieśniami. Nie mówimy aby w tém było co złego, maluje to tylko wyraźnie usposobienie wieku, więc warte jest krótkiej wzmianki.

Rzuciwszy się w gwarne wiejskie życie, Franciszek Karpiński, ów cichy, sielski poeta, a teraz uczestnik czwartkowych obiadów i zaszczytany łaską protektora nauk, króla Stanisława, zawiązał liczne stosunki i znajomości. Zaprzyjaźnił się z Franciszkiem Dmóchowskim, z kanclerzem litewskim Chreptowiczem, z Piramowiczem, Zabłockim i wielą innemi znakomitemi mężami.

Na czwartkowych obiadach nie często bywał; gniéwał go wesoly i zawsze w epigrammat uzbrojony dowcip Naruszewicza, oburzało nędzne ubieganie się o łaskę Molskiego, wymęczone ramoty Bielawskiego; z uprzykrzeniem słuchał długich rozpraw o zdrowych i niezdrowych pokarmach, odwracał się kiedy czytano elegie na skon piesków;

bo w prawej duszy brzydził się temi mdlącemi, wysmażonemi łakotkami, któremi dworacy usiłowali zwrócić na siebie oczy. On czuł powagę, świętość talentu i nie śmiał go użyć za narzędzie.

Pomimo to jednak Stanisław August, (który w całym swém postępowaniu modelował Ludwika XV z jego upodobaniami i przywyknieniami), lubił sielankarza, jak go w chwilach dobrego humoru nazywał, i często z nim rozmawiał. Mówiono że to wszystko działo się pod wpływem wiadomości iż Marya Antonina założyła dla siebie chatkę wiejską w Trianon, że Ludwik XVI sam za pługiem chodził a Voltaire pełnił obowiązki ogrodnika; ale gdzież to i w czém ludzie złej strony nie upatrzą?

Trafiło się w tym czasie, że matka księcia Dominika Radziwiła, przyszłego kilkudziesięciu milionów dziedzica, wspomniała królowi iż do czuwania nad wychowaniem swego syna potrzebuje przyzwoitego i rozsądnego człowieka. Stanisław podał jej Karpińskiego. Warunki były bardzo korzystne i zapewniające Karpińskiemu po pewnym czasie byt najświetniejszy. Przyjął je Karpiński, ale gdy przyszło do ułożenia planu wychowania, i matka księcia Dominika wypisała długi szereg warunków, wyjętych żywcem z dzieł francuzkich i dążących do wychowania, zamiast użytecznego krajowi obywatela, wypieszczonego ksiązątka, Karpiński z szlachetną prawością rzekł się własnych widoków, ustępując dobrowolnie komu innemu i korzyści i odpowiedzialności.

Takie przejście nie obyło się bez przykrości. Polowa warszawskiej magnateryi okrzyknęła poetę dziwakiem; a on przecież tak postąpił, jak każdy rozsądny i uczciwy człowiek postąpić był powinien. Różne gadaniny i wnioski uprzykrzyły się Karpińskiemu, zbrzydło mu miasto; postanowił więc opuścić je na zawsze, zwłaszcza że obowiązki i serce wzywały go gdzieindziej.

Marya, owa czuła i ukochana siostra Karpińskiego, wydana za mąż za Kozieradzkiego, trafiła nie bardzo szczęśliwie. Małe fundusze jakie jej się w posagu dostały znikły prędko w ręku nieumiejącego ich szanować człowieka, bięda zazięrała nieraz w progi nieszczęśliwej kobiety, matki kilkorga dzieci, i byłaby jeszcze więcej jej dokuczała, gdyby nie troskliwa pamięć brata: on ostatnim gro-

szem dzielił się z nią, przepraszając jeszcze za każdym razem, że nie więcej dla niej zrobić nie może.

Bięda i zgryzoty prędko spożywają ludzi. Poczciwa matka, patrząc na coraz smutniejsze położenie chwiejących się interesów majątkowych, płakała i cierpiała; to wprowadziło ją w chorobę i zgon przyspieszyło.

Umiérając zaklęła brata aby się jęj dziećmi sierotami opiekował; musiał więc Karpiński pomyśleć o własném schronieniu, aby pomieścić przy sobie liczne rodzeństwo.

Odwidziwszy więc raz jeszcze dawną siedzibę, z której napisał ów piękny list o niej do Chreptowicza, kończący się temi słowy:

Gdzieś mi, mój wieku młody,
Upłynął z szybkimi wody?
Pociech prawdziwych pozbawił
I ślady tylko zostawił.
Te ślady mnie dzisiaj bawią,
Bo mi przeszłość w myśli stawia.
Nie mając pociech, tym razem
Szczęścia cieszę się obrazem.

i zajechawszy na pożegnanie do Sieniawy, nachylony już dobrze ku drugiej połowie wieku poeta porzucił tułaczkę po świecie i upędzanie się za losem i osiadł w nadanej sobie królewsczyźnie Krasniku, którąto wieś zaraz Karpinem przezwał.

I w tej małej napozór okoliczności upatrujemy cel jaki do schyłku życia miotał Karpińskim. Panowie, magnaci, od swych imion i nazwisk nazywali grody i siola; czemużby i on, poeta, nie miał zostawić po sobie w nazwie swęj siedziby pamiątki?

Osiadłszy w Karpinie, otoczył się najprzód siostrzeńcami, a następnie pomyślał o urządzeniu czasowego dziedzictwa. Wszystkie królewsczyzny zazwyczaj bywały zaniedbane; Karpiński zaczął od poprawienia bytu włościan, od wystawienia najpotrzebniejszych budowli, i po kilku latach doszedł do tego, że nietylko wyłożone nakłady wróciły się, ale i znaczny kapitalik mógł sobie ubierać. Wtedy podzielił czas między zatrudnienia gospodarskie i literackie, utrzymując ciąglą korespondencyą z literatami warszawskimi, a szczególniej z Franciszkiem Dmóchowskim.

Umieszczamy tu list jeden do Dmóchowskiego pisany, jako rzucający wielkie światło na jego stosunki z Karpińskim:

„Słodko mi przychodzi pisanie do WW MC. pana Dobr., bo się zatrudniasz losem dziecięcia mojego, nową edycyą dzieł moich. Jestto naturalném że radbym widział jaknajprędzej tę pociechę w domu moim. Dlatego, łaskawco mój, przyspieszaj ją według obietnicy swojej najprędzej, ażebym wcześniej zaczął ci być wdzięcznym do śmierci. Tego roku dokończę ostatniego dzieła swojego pod tytułem: *Historiya ludzi z któremi żyłem*. Będzie to książka ciekawa z wielu zdarzeń, ale ciekawa razem z historyi Polski w czasie życia mojego. Będzie wiele opisów takich, które dziejopis, na prawdę tylko wzgląd mając, potomności podać powinien. Dlatego książka ta za życia mojego drukowaną być nie może, i tylko w manuskrypcie u WW. MC pana dobr. zostanie trzymaną, a dopiero po mojej śmierci wydaną. Że jednego WWMC Pana dobr. do tej pogrobowej dla mnie roboty wybieram, skutkiem to jest jedyne w nim zaufania.“

50 maja 1805 r. z Karpina.

W roku 1806, staraniem Dmóchowskiego, wyszły w czterech tomach wszystkie pisma Karpińskiego, ale wspomnionęj w liście ostatnim: *Historiya ludzi z któremi żyłem* nie było w tém wydaniu. Później śmierć Dmóchowskiego stała się zapewne powodem, że dzieło to, tyle ciekawe i pożądane, nie tak prędko ujrzało świat i że długo w zapomnieniu pozostawało.

Zajęty całkiem losem swoich siostrzeńców, zapragnął ustalić ich przyszłość nabyciem majątku któryby po jego śmierci przeszedł w ich ręce. Upatrzywszy więc sobie w piękném miejscu włość Chorowszczyznę w powiecie wołkowyskim, niedaleko Łyszkowa położoną, kupił ją i przeniósł się do niej z Karpina.

Życie obywatelskie, które ciągle tkwiło w jego wyobraźni, całkiem go wtedy zajęło. Urządził najpiękniej nabyty majątek, zajął się z troskliwością ojcowską bytem włościan, wiedział o każdej ich potrzebie i starał się uprzedzić chęci.

W Łyszkowie, w szkole powiatowej księży misjonarzy, utrzymywał własnym kosztem kilku ubogich uczniów, odwiedzał ich często, przyglądał się ich postępowi, zachęcał do pracy i w całym znaczeniu tego wyrazu rodziców zastępował. Niedość na tém: w Chorowszczyźnie założył szkółkę, pełniąc

sam obowiązki nauczyciela, i zachęcając włościan aby dzieci swoje do szkółki posyłali.

Raz jeszcze, za czasów księstwa warszawskiego, zamierzył odwiedzić stolicę. Wybrał się z pełną teką projektów; sądził że głos sędziwego starca będzie z uwagą słuchany, a tymczasem projekta przyjęto ze czcią należną dobrym chęciom, ale z nich nie korzystano. Nacieszywszy się więc widokiem zdarzeń i wypadków, wrócił do Chorowszczyzny, unosząc z sobą wiele miłych pamiątek a między niemi i wiadome zajście na granicy, które go do łez rozczuliło.

Odtąd nie wychylał się za granicę Chorowszczyzny, chyba do sąsiada w odwiedziny, albo na odpust do poblizkiego kościoła. Często się jednak i to zdarzało; sąsiedzi bowiem kochali sędziwego starca, lubili miłe jego towarzystwo, ożywione zazwyczaj wesołością i piosnkami. Bo trzeba wiedzieć że Karpiński znał muzykę, i do wielu swych śpiewów trafną nutę dodawał.

Niecierpiał tylko fireyków, pomiatających zasługą i siwym włosem i paplających francuzczyzną; jak tylko spotkał takiego w towarzystwie, tracił humor i najczęściej cichaczem wynosił się.

Raz zdarzyło się że jeden taki młodzik, wychwalając na cały głos zagraniczne poezye, zaczął sztydzić z polskiego języka, nazywając go grubym, nieharmonijnym.

— Wać pan podobno byłeś poetą, rzekł obracając się do Karpińskiego, powiedz mi jak dobrać rymu do wyrazu cietrzew?

Karpiński stuknął laską w posadzkę, oczy zapłonęły mu ogniem, i nie namyślając się odpowiedział:

Z pomiędzy drzew

Wyleciał cietrzew.

Szukał bałwana,

Siadł na Wać pana.

Śmiech ogólny powstał w izbie; młodzik zaczął się zżymać, ale otoczyli go poważniejsi ludzie, wytłumaczyli że niewłaściwie zaczepił sędziwego i szanownego starca, i jakoś burza wkrótce ucichła, a poeta wyszedł zwycięzko.

Lud wiejski z Chorowszczyzny i okolicznych wiosek ubóstwiał starca. Żadne wesele, chrzciny, dożynki nie obeszły się aby dziedzic-poeta nie przyjął w nich udziału, nie przewodniczył obrzędom które go od dzieciennego wieku zachwycaly. Jeżeli zaś choroba, smutek albo nędza zajrzały pod ubo-

gą strzechę, to nikt temu prędkiej i skuteczniej nie zaradził jak dziedzic, nikt ochotniej nie wspomógł nędzarza i kaléki od niego.

Prześliczny był widok patrzeć na właściciela przodującego w tańcu z panną młodą, albo hożą żniwiarką, trzymającego do chrztu nowonarodzone dziecię, odprowadzającego na wieczny spoczynek tych co na niego pracowali, obchodzącego na przednówku chaty, zaglądnącego do komór i składów czy gdzie nie brakuje chleba, spieszącego z podręczną apteczką do chorych i opatrującego przytulkiem i pożywieniem kalékę. Duch boży unosił się wtedy nad miejscem zgody, pokoju i chrześciańskiej miłości z błogosławieństwem, jakiego dziedzic i włościanie liczne mieli dowody.

Raz tylko trwoga nawidziła ciche ustronie. Wczasie przejścia wojsk z Francją sprzymierzonych w r. 1812 Sasi napadli na dworzec sędziwego starca, zrabowali go i o mało samego Karpińskiego życia nie pozbawili.

Przyjął starzec tę klęskę z poddaniem się woli boskiej, i wkrótce oszczędnością nagroził doznane straty.

Ale zbliżał się wiek zgrzybiałości i powtórnego prawie na ziemi dzieciństwa. Karpiński, przeszedłszy 75 rok życia, utracił pamięć, tak że nawet mało które ze swych pieśni mógł powtórzyć; zmantyczał, wszystkie gusta i skłonności, jak powiada szanowna autorka *Pamiętki po dobrej matce*, przybrały u niego postać przesady; prawie zawsze potoczną mowę rymował; żył według zegarka. Każde zatrudnienie miało u niego wyznaczoną godzinę: o 12 jadał, a gdy o parę minut obiad się spóźnił, był niepokojny, groził że zachoruje. Po obiedzie kładł się; czy spał czy nie spał, godzinę wyleżeć musiał; potem wychodził na dziedziniec. Tam o 80 kroków od domu miał słup wbity, do tego słupa szedł i wracał po dwa razy; jeżeli zaś słotna była pora, tę samą liczbę kroków odbywał w izbie na przechadzkę przeznaczonęj, ozdobionęj obrazami historycznymi, z których każdy miał podpis wierszami własnej jego roboty. Po przechadzce zjadał jeden rodzynek i jeden migdał, i siadał do warcab lub kalabraki z sąsiadem, który nie wahał się przez szacunek dla starca poświęcić się dobrowolnie na nudy. W chwilach dobrego humoru brał się jeszcze do gitary, drżącemi palcami przebieierał po jęj strunach i słabym głosem chciał nucić Filona, hymn

do Boga i inne pieśni; ale pamięć mało kiedy do-
trzymywała mu placu. Wreszcie, prawie nie choru-
jąc i na kilka chwil przed zgonem powtarzając je-
szcze ziębnącemi usty:

Ale odarty, jak przed Tobą stanę?
Cechę wierności z piersi moich startem,
I niewinności odzienie mi dane
Ociierając się między ludźmi zdarłem.

umarł d. 16 września 1825 r., mając blisko 85 lat wie-
ku. Pochowany na cmentarzu parafialnym w Łysz-
kowie, z tym jedynym na grobowym kamieniu na-
pisem:

Otóż mój dom ubogi!

Napis ten wybrał sobie sam Karpiński, zalecając
aby żadnych innych przy nim nie kładziono; i za-
prawdę, w tym wyborze widzimy odblysk tego
wzniosłego uczucia, które cechowało młodzieńcze
lata Karpińskiego. Ze wszystkich pism wiérsem
i prozą przez niego wydanych, nawet z rozmów
Platona, trudno było wyszukać stosowniejszego
i wymowniejszego godła.

Pisma Karpińskiego kilkakrotnie rozbiérane
i oceniane były. Kaulfuss, cudzoziemiec, w dziele:
„O duchu języka polskiego“ powiedział: „Karpiń-
ski jest nadzwyczaj przyjemnym; mowa jego jest
czystą i naturalną, obrazy dobrze dobiérane i szla-
chetne, a we wszystkich jego pieniach panuje jakaś
spokojność i łagodność, złączona z niezwykłą
delikatnością uczucia. Często ma wiele podobień-
stwa z Gökingiem i Mathissonem; czasem wznosi
się jak Rammler, najczęściej zaś zostaje pomiędzy
niemi. Sam on swemi dziełami dowodzi wewnętr-
znego bogactwa języka polskiego.“ A w inném miej-
scu, mówiąc o Krasickim, dodaje: „Gdyby naród
polski tych dwóch tylko autorów, Krasickiego
i Karpińskiego, miał do okazania, już dzieła ich
nagradzałyby dostatecznie prace cudzoziemca w na-
uczeniu się polskiego języka podjęte.“

Trudno także nie przytoczyć pięknego zdania
autorki: *Pamiętki po dobrej matce*. „Karpińskie-
mu, powiada ona, do grobu niewygasła poniosę
wdzięczność; jemu winnam zamiłowanie naszego
języka. Wtenczas, kiedy podobnie jak wszystkim
niemal rówieśnikom moim, obca mowa więcej mi
była znaną niż własna, kiedy wraz z innemi wątpi-
łam nawet czy delikatne i tkliwe myśli można po
polsku wyrazić, pisma jego dostały mi się w ręce.
Luba w nich prostota od razu do młodego serca
trafiła, dzikie zbila powątpiewania; oceniłam mowę,

którą on mową uczucia uczynił, i zapragnęłam poznać
ją bliżej, i jeśli dziś jako tako nią władam, jemu to
winnam po części.“

Śmiało powiedzieć można iż żaden z naszych
poetów nie zyskał takiej popularności jak Karpiń-
ski. Był czas kiedy od pałaców do chatek wszędzie
jego piosnki nucono, kiedy *Filon, Brat i siostra,*
Duma Ludgardy, Dzieci u matki i wiele innych ty-
siące pięknych ust powtarzało, kiedy hymn do Bo-
ga, psalmy i pobożne pieśni brzmiały w świątyniach
Pańskich. Nieraz poeta podsluchał własną piosen-
kę, nieraz rozczulał się z ludem śpiewającym: „Po-
tężny Boże na ziemi i niebie!“ a powiedzmy szcze-
rze w głębi serca, czy to się któremu z jego poprze-
dników i następców trafiło?

Takato jest potęga wszystkiego co wzniosłe, czu-
łe i szlachetne! Satyry Naruszewicza i Krasickiego,
Monachomachia i Myszeida Krasickiego, dowcipne
epigrammata Węgierskiego, obudzały zajęcie, po-
szukiwano je, rozrywano, ale po zadowoleniu cie-
kawości nikt prawie drugi raz nie wziął ich do ręki;
gdy tymczasem drobne, ale z serca wysnute, piosenki
długo, bardzo długo przechowywały się w pamięci.

Oprócz sielanek i pieśni własnych, Karpiński
przełożył z obcych języków *Psalterz Dawida* i *Ogro-
dy*, poemat *Delilla*. W stylu poważnym napisał
Rozmowy Platona, O wymowie, Listy o szczęściu,
O sprawach publicznych, Podróż do Krakowa i jego
okolic, i przetłumaczył z francuzkiego Micheaud
Wiara, prawa i obyczaje Indyan. Probował także
sił w zawodzie dramatycznym i napisał: *Judytę* tra-
gedyą, *Alcestę* operę i *Czynsz* komedyą. W rozbiór
tych wszystkich prac nie wdajemy się, bo powie-
dzieliśmy na wstępie że to jest tylko krótkie i po-
święcone plodom serca *wspomnienie*.

Jak dalece Karpiński wykonywał własne przeko-
nanie, dowodem jest z jednej strony wiérzyk do
młodego poety, a z drugiej wszystkie jego poezye.
Przytaczamy tu ustęp z tego wiérzyka, raz dlate-
go aby poprzec przytoczone zdanie, drugi raz w chę-
ci przypomnienia jakiemu młodemu poecie planu
pisarskiego zawodu.

Ale piérwój trzeba siła
Zrobić, niżli zrobisz wiérsze;
Twoje obowiązki piérwsze
Oddać co czyje każdemu:
Bogu, krajowi, bliźniemu.
Gdys z temi wierzycielami
W pokoju, baw się wiérzami.

Ant... Wiśniarski.

BRZYDOTA W ZWIERCIEDLE NAUKI.

Mało zapewne jest ludzi na świecie którzyby własnym nie stwierdzili doświadczeniem, iż pewne przedmioty niezwykłą przejmują ich odrazą, a przynajmniej wstrętem mimowolnym. W niektórych to uczucie wzmagają się do potęgi choroby, znaną w medycynie pod nazwiskiem idiosynkrazji. Jak indyka widok szmaty szkarłatnej przyprowadza do wściekłości, a struchlałą ptaszynę czaruje wzrok węża przyczajonego, aż w końcu odurzona łatwą dlań staje się zdobyczą; tak i ludzie, często-kroć nawet najrozumniejsi, podlegają pewnym wpływom nerwowym, mniej więcej silnie działającym. Ten omdlewa na widok zajęcia; tamtego dreszcz przechodzi gdy niespodzianie ujrzy żabę; ów znieść nie może myszy; inny jeszcze dostaje konwulsyj gdy przypadkowo zetknie się z pajakiem. Drażliwość ta, powszechna szczególnie między płcią słabszą, lecz nierzadka i u mężczyzn, niejednę w istocie chwilę życia naszego zatruwa. Tę przyroda nie chciała i chcieć w żaden sposób nie mogła; nie zna ona brzydoty, zna tylko piękno, na podstawie rozumowej. Wszystko więc co się jej prawom nie sprzeciwia musi być piękne, bo też istota tego *piękna* na tem się głównie zasadza, że ono jest częścią rozumnej całości stworzenia.

„Nie mogę przewyciężyć swęj natury,“ odpowiadamy nieraz, w zamiarze usprawiedliwienia dziecinnej jakiej odrazy; ależ to jest bluźnierstwo oczywiste przeciw Stwórcy, którego dziełom temi słowy zaprzeczamy doskonałości! W obec nauki wszystko jest piękne, gdyż ona bada właśnie odwieczne prawa rozumu, jakimi przyroda się rządzi. Najwyższym jej zadaniem jest zespolenie się z przyrodą i nastrój myśli do swobodnego, jasnego pojmowania cudów stworzenia. Ktokolwiek przeto nie nauczył się jeszcze panować nad uczuciem wstrętu jakie w nim budzi przedmiot choćby najmniej powabny, według panujących ogólnie wyobrażeń, ten, pod tym przynajmniej względem, nie może się nazwać swobodnym. Otrząsnąć się z więzów ciemnoty i słabości, oto dążność konieczna każdej istoty rozumnej!

Dlaczegoż to, pytamy, wielu z nas wzdrygnie się mimowolnie, gdy im kto poda owoc który dojrzał na cmentarzu? Zapewne dlatego tylko, że widzą w nim plód podsycony śmiertelnymi szczątkami swoich bliźnich, wybujały zgnilizną i zniszczeniem. Nie pamiętają oni że z kloak ludzkich pochodzi większa część mierzwy użyzniającej nasze pola i ogrody, że wszędzie życie wykwiła ze śmierci, by znów po życiu śmierć mogła nastąpić. Zwierzęta drobne giną pod naszymi stopami; z ich ciał wyrosła trawa służy bydłu za paszę, a prochy ich pośrednio zmartwychwstają w naszym ciele, gdy mięso bydłęcia znów ludzkim staje się pożywieniem. Szczęśliwi w swém złudzeniu i nieświadomości praw przyrody, zapominamy iż fizyczna istota nasza żywi się bezustannie trupami może tych właśnie zwierząt, które wstrętem nas przejmują.

Z uczuciem zgrozy młody uczeń medycyny wchodzi do zakładu anatomicznego; widok trupów porozkrawanych niewymownie go przeraża. Lecz wkrótce to uczucie ustępuje, nie dlatego że stępiło nawyknięciem, tylko że anatomik pod roboczym skalpelem w każdej części nauczył się dopatrywać wszechpięknej całości. Pośród gnijących trupów serce jego przepelnia najwyższe uwielbienie przyrody, której twórczość cudownie harmonijna w najdrobniejszym nawet włóknie żywo mu się przedstawia. Uwielbienie to wspiera go w trudnej częstokroć drodze obranego zawodu, została wolę wobec tysiącznych niebezpieczeństw i wlewa w jego piersi zbawienną chęć poświęcenia się dla ludzkości. Z zimną determinacją, chociaż pełen troskliwości, wytrawiony lekarz wchodzi na salę chorych. Oprzała trądem skóra nie sprawia mu już wstrętu; owszem, jeśli szczególniejszą może bacność poświęcił tej chorobie, tajemnym przynęca go urokiem. Szukając praw swęj nauki, nie zna odrazy, i w samej nawet szpetności upatruje stronę piękną.

Chemik w swych retortach, napełnionych odchodami, nie widzi obrzydliwej nieczystości, bo i on także szuka w nich myśli i prawideł. Z roz-



kładu wydzielonych części stara się dociec tajemnicy żywienia się ciała ludzkiego i ocenić wartość nawozu. Wié on że pracą nad rozwiązaniem tych zadań przyłożyć się może niepomalu do postępu ludzkości, zapewniając jéj z jednej strony czerstwość fizyczną, warunek zdrowia duchowego, z drugiej zaś — możność materyalną, ułatwiającą rozwój moralny.

Badacz żyjącej przyrody, co nieraz długie lata poświęca studyowaniu obmierzłych dla nas istot, niemniej przeto wysokiéj w tém zajęciu doznać może rozkoszy. W pełzaniu i wiciu się węża nie upatruje on podstępnej chytrności, gdyż jedno i drugie jest dla niego koniecznym wynikiem wewnętrznej tego gadu budowy. Ruch węża nastrocza badaczowi uwagi nad składem kości pacierzowej; długa i jednostajnie prawie gruba kolumna szpiku pacierzowego każe mu wnioskować że nie wszystkie nerwy wychodzą z mózgu, lecz znaczna ich liczba bierze początek z pacierzy; a z tego wniosku ogólnego nowy tworzy sobie pogląd i na organizm człowieka. Lecz nietylko względy fizyologiczne ważnym czynią dla badacza ciało węża, łączy on z niem także interes morfologiczny (kształtu zewnętrznego). Wąż stanowi w jego oczach ważne

ogniwo wielkiego łańcucha zwierząt ziemnowodnych, wyższy niejako stopień płazów z pokrewieństwa żab. Bo wężowi niezupełnie zbywa na nogach; posiada ich zawiązki w mało wystających chrząstkach, które u różnych gatunków żab coraz wyraźniej się rozwijają.

I w świecie nieorganicznym znajdujemy wzniosłe w poziomém, piękno w brzydocie. Wiadomo np. że rubin jest tylko najczystsza gliną, diament najczystszym węglem. Od wieków laguny Toskanii uważane były za siedlisko duchów piekielnych; buchając z nich z łoskotem wyziewy przerażały nieoświeconą ludność, i okoliczne strony zamieniały w pustkowie. Dziś, gdy badawczość nauki wykryła w nich szacowny kwas boraksowy, służący w metalurgii do lutowania, stały się ony źródłem nieprzebranego bogactwa.

Lecz gdybyśmy w zupełności wyczerpnąć chcieli przedmiot niniejszego artykułu, trzeba by nam przebiec ogrom całego wszechświata! Poprzestańmy więc na tych kilku dobitniejszych przykładach, dostatecznie już przekonanych że niema w naturze brzydoty, bo wszystko w niej jasno-wytkniętym posługuje celom.

ŻMIJA RUDA.

Zwierzęta czyli gady zwane w ogólności *wężami* w jednych okolicach naszego kraju, mianowicie w guberniach augustowskiej i plockiej, są rzadkie, w południowych zaś, szczególnie w gubernii lubelskiej, bardzo częste, a nawet w niektórych miejscach mnogie. Wężę i żmije dwa różne od siebie stanowią rodzaje. Gdzie widzą jedno, tam zwykle bywają i drugie; wszakże żmije są u nas daleko radsze jak wężę. Nie po samém tylko ubarwieniu ale i po ogólnym kształcie ciała te gady na pierwszy rzut oka rozeznac można. Żmije różnią się od wężów głową prawie sercowatą, to jest w tyle mocno rozszerzoną, tarczami pokrytą, i stosunkowo cienką za nią szyją; szyja zaś wężów wygląda grubsza, ponieważ głowa ich od tyłu mniej jest rozszerzona, a ciało w ogólności bardziej walczkowate, kiedy

u żmiji jest wyraźniej wrzecionowate. Przy każdym téż spotkaniu wężę okazują się żywsze, ruchawsze, płochliwsze, a żmije ociężałe, leniwe; co może pochodzi z ufności w jadowitą broń swoją, której wszystkie zwierzęta lękać i strzedz się muszą. Jednego ich gatunku szczegółowy podajemy tu opis.

Żmija ruda (łac. *Vipera cherssea*, niem. *Kreuzotter*, fran. *Vipère rouge*) na wierzchu głowy, w środku między oczami ma dużą tarczę, a za nią ku tyłowi dwie jeszcze większe, tu i owdzie na 4 części się dzielące. Reszta głowy pokryta drobnymi łuskami. Z pośrodku wierzchu głowy ciągną się ku tyłowi na boki dwie ciemne, sierpowatą wklęsłością na zewnątrz obrócone pręgi, które już się rozchodzą, już zbiegają, i tworzą wtedy sercowatą plamę. Po między temi pręgami zaczyna się ciemna, rzadko

tylko tu i owdzie przerywana, zygzakowata linia, i ta idzie przez cały grzbiet i ogon żmiji. Po obydwóch jej bokach naprzeciw każdego zagięcia widać po jednej małej, ciemnej plamce, których dwa tak rzucone szeregi ciągną się również wzdłuż całego ciała. Oprócz tych stałych cech gatunkowych widzieć się na niej jeszcze dają znaczne odmiany co do maści ubarwienia, a to według płci i wieku tego gadu. Główna maść wierzchu ciała samca bywa białoszaro-błękitnawa, czasami w srebrzystosiwy kolor wpadająca; wymienione zaś wyżej pręgi, plamy i ogólny kolor na brzuchu bywają czarne. Maść samca z wiekiem żadnym prawie nie ulega zmianom; samice zaś znacznie ją zmieniają. W pierwszym roku ogólna ich barwa na wierzchu ciała jest blado-siwa lub blado-rdzawo-siwa, a pręgi i plamy mniej więcej brunatne. W drugim i aż do czwartego roku główna maść utrzymuje się pięknie jasnoczerwono-brunatna. Zygzakowata na grzbiecie pręga tu i owdzie bywa siwo-srebrzysto obwiedziona. W miarę starzenia się gadu główny kolor staje się coraz mętniejszym, bardziej szarym, a nareszcie przechodzi w brudnoszary, a plamy i pręgi stają się brudnorudawo-czarne. Na brzuchu w młodości przemaga kolor czerwony lub jasno-brunatny, z wiekiem zaś coraz więcej przybywa czarnego.

Tak zwana *żmija czarna* (*Vipera prester*) cała czarna lub czarno-siwa, ledwo ślady tu i owdzie ciemniejszych pręg i plam mająca, zdaje się być raczej odmianą jak oddzielnym gatunkiem.

Prócz koloru różni się jeszcze powierzchownie samiec od samicy tym, że ogon ma grubszy i dłuższy, choć cały znacznie od niej bywa mniejszym. Najdłuższy widziany samiec miał 2 stopy i 1 cal, a samica 2 stopy 6 cali długości. Liczba listew na brzuchu u samca wynosi 140—145, u samicy 144—150. Organa zmysłowe ukształcone są tak samo jak u wszystkich węzów jadowitych. Oczy skórą pokryte, która w tych miejscach jest nader przezroczysta, a oko rusza się pod nią jak zegarek pod szkiełkiem; zaproszyć się więc nie może. Żrenica, podobnie jak u kotów, jest w kształcie pionowej wąskiej rozpadliny, która na słońcu zwięza się tak, iż ledwo jest widzialna. Ta zdolność ściągania się tęczy ocznej zastępuje niejako powieki. Tęcza ta w oku żmiji rudą jest żywo-płomienisto-czerwona. Z takiej budowy oczu wnosić już można że

wzrok tego gadu dosyć jest słaby; szczególnieź źle widzi on w czasie lenienia, gdyż wtedy skórka schodzi i z oczu. Słuch zato zdaje się być daleko delikatniejszy; ciało łuską pokryte i wszędzie bezpośrednio ziemi się dotykające, musi przenosić szelst i dźwięki do uszu daleko lepiej, aniżeli powietrze, którym się ony do uszu innych zwierząt dostają. Takito środek wynagradza im brak uchowej konchy zewnętrznej i bębenka. Co do smaku, zmysł ten u żmiji, równie jak u innych gadów, zdaje się być bardzo mało rozwinięty. Zmysł dotykania, bardzo delikatny, ma siedlisko w owym z dwóch pręcików nerwistych składającym się, bardzo szybko wysuwalnym i cofalnym języczku, którego węże używają wszędzie i zawsze, tak samo jak owady swych macków, do przekonania się o jakości bliższych przedmiotów. Wąż wysuwa ten język, bez otworzenia szczęk, rynienkowatym wycięciem w końcu wierzchniej szczęki.

Pysk żmiji jest bardzo głęboki i aż prawie do końca głowy rozszczepany; może ona, równie jak wszystkie węże, otworzyć go tak, iż wierzchnia i dolna szczeka zejść się na jedną płaszczyznę. To otwieranie i nadzwyczajne rozszerzanie się paszczy następuje u tych zwierząt tym łatwiej, że dolna ich szczeka nie schodzi się bezpośrednio z kością czaszkową, tylko pośrednio przez kostkę ruchomą, tudzież że żuchwy dolnej szczęki nie są połączone z sobą masą kościaną, ale długim, bardzo rozszerzalnym więzadłem. Dlatego wąż polykać może przedmioty o wiele grubsze od zwyczajnej swego ciała objętości.

Przyrząd do poruszania się z miejsca na miejsce i sposób jakim ten ruch się wykonywa są ciekawe i węzom tylko właściwe. Na brzuchu węża jest szereg długich, w poprzek ciała jedna za drugą ułożonych łusk, *listwami* zwanych; każda listwa odpowiada parze żeber w szkielecie węża, i osadzona na ciele jednym bokiem, drugi ma wolny, oddalać się od ciała czyli podnosić i opadać mogący. Gdy wąż chce się posunąć muszkularną siłą żeber, podniósłszy łuskę, opiera się dolnym jej bokiem o chropowatość powierzchni ziemi, kamienia i t. p. i tak się, wszystkimi działając listwami, szybko popycha i sunie; skoro zaś, położony będąc na gładkiej powierzchni, np. na tafli szkła, nie znajdzie punktów oparcia, wtedy się z miejsca ruszyć nie może. Takim samym sposobem węże wylazą na

drzewa i wiele ich w tém czolganii się bardzo jest zrzecznych.

Nie w owym to szybko wysuwalnym języku, jak pospolicie lud sądzi, ale w odpowiedniej budowy zębach żmija ma straszną swą broń jadowitą. Wszystkie węże mają zęby i kąsać mogą, ale te tylko są jadowite, co posiadają właściwe do tego zęby, a właśnie takimi natura zaopatrzyła żmije. W tyle głowy, po obu bokach, jest po jednym podługowatym gruczole, gdzie się jad zbiera. Od każdego gruczola idzie ku przodowi kanał, którym jad dostaje się do skórkowatej pochwy zęba w górnej szczęce. Ząb ten w spokojnym stanie żmiji cały w pochwie jest ukryty, hakowato w tył zakrzywiony, bardzo ostry. Przy nasadzie od przodu znajduje się w nim dziurka prowadząca do kanału wewnątrz zęba, ktorego maleńki otwór wychodzi przy ostrym końcu w delikatną rynienkę; od tego jeszcze otworu idzie przodem, po wypukłości zęba, rynienka odkryta do pierwszego przy nasadzie otworu. Przeznaczeniem jest, jak się zdaje, tego misternego dodatku, aby przyjmował i prowadził do rany nadmiar jadu niemogącego się pomieścić w wewnętrznym kanale. Gdy więc żmija chce kąsać, podnosi do góry ruchomą kość wierzchniej szczęki, w której ząb jest osadzony, a wtedy ten przybiera kierunek pionowy, a razem elastyczna pochwa jego ściga się do jego nasady i tak ją obtula, iż jad z pod niej kanałem tylko zęba i jego rynienką sączyć się może. W tyle za tym głównym zębem stoi zwykle kilka jeszcze mniejszych podobnych zębów zapasnych, które posuwają się ku przodowi i zastępują dawny gdy wypadnie. Jadowy ząb żmiji bywa od 1 do 1³/₄ linii długi.

Jad żmiji i każdego węża jadowitego działa na krew w bezpośrednim tylko zetknięciu; na skórę zaś ciała i w kanale trawienia nie wywiera szkodliwego wpływu, dlatego może, iż przez trawienie się rozkłada. Trucizna, łącząc się z krwią, zaraz ją ścina, a wtedy część płynna rozchodzi się po przyległej tkance, gdy pozostała część skrzepla, czarno-czerwona kanał żyły zatyka i krążenie wstrzymuje.

Głównymi lekarstwami na ukąszenie od żmiji są: ammonia, chlor, i różne rośliny, między którymi najlepszą być ma kolumbijska roślina zwana *Miconia guaco*. Podają ją za tak dalece skuteczną, iż ukąszenia żmiji nie szkodzą osobie której sok tej rośliny zaszczepiono. Wszakże skutki szczepienia

do kilku tylko tygodni rozciągać się mają. Pierwsze pewniejsze wiadomości o skutkach tej rośliny podał Aleksander Humboldt. Zaslugują także na polecenie, według okoliczności, wyssanie jadu z rany, jej wymycie, lub wyrznięcie skalęczonego miejsca, jak również postawienie baniek na ranie, przewiązanie nad nią ciała i t. p. Ukąszenie od żmiji, gdy się prędko użyje środków zaradczych, nie jest śmiertelne, zaniedbanie jednak narazić może na niebezpieczeństwo. Ukąszenie to bywa szczególnie szkodliwe w czasie letnich upałów, i kiedy miejsce ukąszone znajduje się blisko ogólnego środka krążenia krwi, blisko serca. Tylko bosy lub w cienkich trzewikach chodzący ludzie potrzebują się obawiać ukąszenia od tej żmiji, bo przez grubą skórę butów zęby jej ranić nie zdołają. Botanicy rośliny po zarosłach zbierający, toż zbierający grzyby, jagody, suche gałęzie, powinni zachować ostrożność w miejscach gdzie się żmije znajdują.

Żmija ruda chętnie przebywa w miejscach gdzie są jamy, gdzie dosyć słońca dla wygrzewania się, w miejscach zasłoniętych od wiatrów, a nade wszystko gdzie wiele jest myszy, najulubieńszego jej pokarmu. Dlatego to lubi szczególnie obrócone ku słońcu pochyłości wzgórz zarosłe wrzosem, odkryte miejsca w gajach, między pojedynczo tu i owdzie rozrzuconymi krzakami; lubi zamieszkiwać zarosłe młodych drzew iglastych, lecz oddala się z nich gdy młode drzewka tak podrosną, iż wszędzie grunt ocieniają. Widzieć się także daje na błotach i mokradłach gęsto trzcina, sitowiem, trawą, turzycą zarosłych, gdy tam nie trudno o myszy.

Takie to miejsca zamieszkując żmija, gdy w południowych godzinach najmocniej słońce świeci, wygrzewa się, leżąc zwinięta w krąg i głowę z ognisto iskrzącymi oczyma trzyma w pośrodku, oczekując rychło się z kądem nieostrożna myszka przybliży. Wtedy to jak strzałę wypuszcza do niej głowę, i zanim biedne zwierzątko spostrzeże swojego nieprzyjaciela, już jest śmiertelnie ugodzone jadowitymi zębami; jeszcze uciec usiłuje, lecz zaciekle ścigane i rażone, chwieje się i pada bezwładnie. Wtedy żmija swą zdobycz od głowy polykać zaczyna, i choćby to być miał kasek trzy, cztery razy grubszy od jej głowy, to przecież go nie porzuci; ale ta czynność niekiedy potrwa godzinę i więcej. Po takiej uczcie leży znów na słońcu wyciągnięta jak długa, bez najmniejszego poruszenia.

Świeżo najedzona bywa niezmiernie gruba. Tak wielkie ma upodobanie w myszach, iż bardzo rzadko zdarzyło się znaleźć w zabitej szczątki żaby albo ptaszka.

W niewoli żadnego nie przyjmuje pokarmu, a nawet złowiona będąc zaraz wszystkie jadło z siebie wyrzuca, jak gdyby rozmyślnie umorzyć się chciała głodem. Zresztą bardzo długo bez pożywienia wytrzymać może, tak iż niekiedy pół roku żyje w zamknięciu, najmniejszej skłonności do jadła nie okazując. Ale choć nie je w niewoli, to przecież wstrzymać się nie może od zabicia myszy, jeśli się którą doń w puści. Spokojnie leżąc w klatce grzeje się na słońcu; lecz niechże spostrzeże myszkę, podnosi zaraz głowę, szeroko otwiera paszczę, rusza językiem i patrzy na nią jaskrawemi oczyma, rychło się do niej zbliży, a wtedy wymierzonym ciosem rzadko ją kiedy chybi. Zabiwszy ofiarę leży znowu spokojnie.

Żmija ta chętniej zwykle kąsa zwierzątka ciepłanizeli zimnokrwiste, i w ostatniej tylko potrzebie rzuca się na żaby lub jaszczurki; tak zaś podrażnić ją można, iż cień swój lub własny ogon kąsać będzie. Ukąszenie jednak ani jej samej, ani drugiej żmiji bynajmniej nie szkodzi, o czém się wielą doświadczeniami przekonano.

W piątym roku życia staje się płodną; parzenie następuje na wiosnę, a poród w sierpniu lub wrześniu. Żmija wydaje płód żywy, (ztaąd pochodzi jej nazwa łacińska *Vipera* czyli *Vivipara*, co znaczy żyworodna); rodzenie to przecież różni się od ssących zwierząt tém, że płód żmiji, w żadnym nie będąc związku z ciałem matki, przed narodzeniem wylęga się w niej w jajach, podobnie jakby się wylęgało kurczę w jajach kury przed jego zniesieniem.

Powiedziéby przeto można o żmiji, że znosi żywe żmijki w jajach, których obsłonki wtedy pękają i żmijki suwać się zaraz zaczynają, część jeszcze żółtka przez jakiś czas z sobą unosząc. Żmijki te po narodzeniu bywają do 7 cali długie, i wszystkiemi już cechami zdradzają drapieżność; otwierają pyszczki i pokazują jadowite ząbki, sykają i do obłowy się gotują. Zaraz po narodzeniu ukąszenie ich nie jest szkodliwe, ale w tydzień już kilkakrotném ukąszeniem mysz zabić mogą. Jak stare tak i młode w niewoli, choćby się w niej zrodziły, jeść nie chcą. Nie widać w tych zwierzętach, tak samo jak w ptakach, ani śladu macierzyńskiej lub ro-

dzinnéj miłości; zaraz po narodzeniu się małe to lichó czółga się samotnie gdzie oczy je wiodą, i nie dbając ani o matkę ani o siostry albo braci, własnym tylko zawiera siłom. Dopiero pod jesień pokazuje się między żmijami jakiś ślad towarzyskości. W tej porze często widzieć się je zdarzy po kilka razem. Czynią to, jak się zdaje, dla wyszukania wspólnego zimowiska. Na ten cel wybierają sobie jamy w ziemi, rozpadliny w skałach, lub dziuple w wypróchniałych drzewach, i zimę przepędzają w stanie odrętwienia, ale zaraz się budzą gdy do cieplej izby zostaną wniesione; widziano téż nie-raz jak w ciepłych dniach zimy ze schronień swych wylazily. Marzną gdy temperatura powietrza niższy się pod zero; co przecież tylko w najteższych zimach nastąpić może, gdyż ich kryjówki bywają zwykle tak głębokie, że mróz tam nie dosięgnie.

Kilka razy do roku żmije zrzucają wierzchni naskórek czyli lenią się w zupełności, bo nawet z oczu złazi im skóra; po każdym zaś wyleniu maść ubarwienia ich staje się żywszą.

Że u nas żmije dosyć są rzadkie, że niebardzo się rozmnażają, przyczyną tego liczni i przeważni ich nieprzyjaciele, jak również ta okoliczność, że żmija, ufna w gwałtowność swego jadu, nie ucieka przed napastnikiem, choćby spostrzegła jego zbliżanie się, kiedy inne niejadowite węże, jak widzimy, na najmniejszy około siebie szelest szybko umykają. Najwięcej pewnie węzów i żmij w ogólności wytępia sokół myszolów (*Falco buteo*). Rzecz osobliwsza jak ten ptak za jednym rzutem oka rozpoznać umie węże jadowite od niejadowitych. Niejadowite łapie od razu za którąkolwiek część ciała, i nie zważając na ich syczenie, pożera. Wcale inaczej bierze się do żmiji rudéj. Patrzy się na leżącą przed sobą, oka z niej nie spuszcza; i ona téż, znając w nim wroga śmiertelnego, do walki się gotuje. Staje nad nią głośno krzycząc i skrzydłami bijąc, przyczém głowę zawsze do góry trzyma, i szybko ją usuwa od ciosów, które żmija raz po raz nań wymierza. Potém nagle się na nią rzuca, porywa w pół szponami i biciem skrzydeł stłumić ją usiłuje. Żmija miota się kąsając bez ładu, to w powietrze to w pierze nieprzyjaciela, aż nareszcie dobrze wymierzony raz dzioba głowę jej rozplata i życia pozbawia. Wtedy myszolów, radośnie krzyknawszy, puszcza ją, a gdy żmija żadnego już znaku życia nie daje, bierze się do jej spożycia, od



Veit Stols fec.

N. P. Marya bolejąca nad zwłokami Chrystusa

(DZIEŁO WITA STWOSZA KRAKOWIANINA.)

głowy zawsze zaczynając. Gdy czasem uda się żmiji ukąsić go, ucierpi cokolwiek, lecz nietylko co inne zwierzę lub człowiek, tak iż go to od ścigania jęj wcale nie zraża. Drugim z pomiędzy ptaków równie wielkim nieprzyjacielem żmiji rudęj jest sójka, która ją znienacka, ostrożnie przyskakując, silnie dziobem w głowę uderza, odskakuje i znowu ciosy powtarza, dopóki nie zabije. Trzecim z ptaków jest bocian, który na żmiję śmiało uderza, gdyż jęj kąsania to w nogi, to w dziób bynajmniej szkodzić

mu nie mogą. Z pomiędzy zwierząt ssących polują na żmiję jeże, które nie zważając na kąsanie, żywcem jęj głowę chrustają, choć reszta ciała jeszcze się konwulsyjnie miota. Również dybią na nią tchórze, łasice, a myszy, co to latem główną są karmią żmiji, mszczą się na nięj zjadając ją odrętwiałą w kryjówce zimowęj.

Na załączonęj obok rycinie widać: 1) starego samca; 2) bardzo starą samicę; 3) podrosłą samicę i 4) niedawno wylęglą, młodą żmijkę.

E. L. b. pr. n. p.

WIT STWOSZ

I J E G O P R A C E.

Ostatnie lata XV i pierwsze XVI wieku stanowią świetny okres w dziejach Europy. Jedni po drugich zjawiają się ludzie znakomici to w sztukach i naukach, to wynalazkami rozmaitego rodzaju wsławieni, to znowu wojownicy, historycy, mężowie stanu; mnożą się odkrycia zmieniające postać świata; słowem jestto jedna z tych wielkich epok, które zrzadka w dziejach ludzkości jaśnieją, a prawdziwe zajęcie w oczach głębięj myślącego człowieka wzbudzać powinny. Szczególnięj w dziedzinie sztuk obrazowych epoka ta piękne i liczne zostawiła ślady. Pomiedzy znakomitemi podówczas mistrzami, równie ich wiekiem i zdolnością, a z najbieglęjszemi o piérwszeństwo ubiegać się mogący, kwitnął rodak nasz Wit Stwosz. Potomność przyznała mu nawet że był największym swego czasu snycerzem; poprawnością kształtów, rzewną i wzniosłą prostotą myśli przewyższył on Wohlgemutha, Krafta i Surlina, nielicząc już innych rzeźbiarzy niemieckich, gdyż z niemi tylko prace Stwosza porównywać można wedle ich rodzaju. Po długim zapomnieniu znowu teraz zaczynają sprawiedliwość mu oddawać, i skrzętnie poszukują znamienite zawsze, chociażby najdrobniejsze nawet, okruchy utworów jego. Zasluga wydobywania u nas z trzechwiekowego prawie ukrycia imienia Stwosza i upowszechnienia wiadomości o nim i o pra-

cach jego należy się wyłącznie czcigodnemu p. Ambrożemu Grabowskiemu; jego téż niezmordowanęj gorliwości winniśmy zaszczyt odzyskania Wita Stwosza jako naszego współziomka. Niemcy bowiem, piérwęj nieco postrzegłszy się na wartości dzieł jego, i świadomi czasowego w Norymberdze pobytu, koniecznie chcieli za czysto niemieckiego podawać go snycerza, podobnięj jak ciągle jeszcze usiłują dowieść, że Kopernik był Niemcem, pomimo iż śp. Adryan Krzyżanowski stanowczo udowodnił narodowość jego polską. Nie możemy sobie bynajmniej pochlebiać że coś nowego napiszemy o Wicie Stwoszu lub o pracach jego, po tém co już o nim powiedzieli: pp. Ambroży Grabowski, w licznych dziełach swoich będących owocem długoletnich poszukiwań w archiwach akt dawnych krakowskich; Ed. bar. Rastawiecki, który w nader szacownym słowniku malarzów polskich zebrał skrzętnie wiadomości o pracach i życiu Wita Stwosza, rad korzystając ze wzmianki jakoby on i malarstwem zajmował się; J. Łepkowski w krytycznym przeglądzie prac Stwosza w gazecie warszawskięj umieszczonem; po tém wreszcie co o mistrzu Wicie pisali różni niemieccy autorowie, wychwalając dzieła tego niemieckiego snycerza. Nie pozostaje nam, oddalonym zwłaszcza od najcelniejszych robót Stwosza, i po upływie

prawie lat dwunastu od czasu gdyśmy się w Krakowie nasycić mogli widokiem kilku wybornych rzeźb jego, nie pozostaje nam podobno, jak zebrać razem porządkiem czasu i w jedną powiązać całość w przytoczonych powyżej i kilku innych źródłach znajdujące się wiadomości o mistrzu Wicie i o robotach które w ciągu długiego swego wykonał żywota. Przyjemnie nam że ta drobna praca przyozdobiona być może dobrą ryciną, wedle jednej z najpiękniejszych a najmniej znanych rzeźb naszego mistrza, w której znaleźć można cechy odznaczające utwory Stwosza. Stawiamy ją oraz za przykład jak podobnego rodzaju rzeźby rysunkiem upowszechniane być powinny. Dobra rylcem wykonana rycina bez porównania lepiej oddaje zalety i przymioty właściwe rzeźby, niż najstaranniejsza i najpokazniejsza chromolitografia, której zawsze brak czystości i wierności kształtów, stanowiących najgłówniejszą wartość snycerstwa. Takie to ryciny pragnęlibyśmy widzieć zdjęte z ołtarza Maryackiego, we wzorach sztuki średniowiecznej, z nieznanym dotąd przepychem u nas wydawanych, a jeżeli koniecznie i chromolitografowany ma być wizerunek tego ołtarza, to przynajmniej życzylibyśmy należało ażeby przy ogólnym barwistym widoku szczegółowe części w większym rozmiarze, a dobrym prostym sztychem, były wydane. Dotąd bowiem nic z dzieł Wita Stwosza u nas znajdujących się w podobnych rycinach nie posiadamy, prócz kilku mniejszej wartości litografij.

Że Stwoszowie lub Stossowie zdawien już Kraków zamieszkiwali, i nie byli nowymi do tego miasta przybyszami, niezmordowany w swych poszukiwaniach p. Ambroży Grabowski codziennie nowymi jeszcze stwierdza dowodami. Mieszczkańska, a może nawet szlachecka, ta rodzina od pierwszych lat XV wieku przez kilka pokoleń często w aktach krakowskich jest wspominana. Posiadała ona w Krakowie kilka domów i urzędami miejskimi zaszczyconą bywała. Potomkowie jednak Wita Stwosza, dla niewiadomych przyczyn, zmienili podobno swe nazwisko na przydomek Szwabów, gdy inne gałęzie tej rodziny przy dawnym Stossów imieniu pozostały⁽¹⁾, i dotąd bodaj istnieją. W War-

(1) Ambr. Grabowski star. Krak. zabytki etc. Kraków 1850 r. str. 156—161; tegoż starożyt. Wiadom. o Krak. Kraków 1852 r. str. 282—285; tegoż Skarbniczka naszój Archeol. Lipsk. 1854 r. str. 83—93.

szawie także jest kilku Stossów; jeden z nich, niedawno zmarły, był urzędnikiem w Kom. Rządow. Przych. i Skarbu.

Stwoszowie zatrudniali się rozmaitemi wyższego rzędu rzemiosłami: brązownictwem, puszkarstwem (Hanusz r. 1432 i 1433), złotnictwem (Maciej 1482), ciesielstwem i t. p.; a wszyscy synowie mistrza Wita niepoślednie miejsce pomiędzy zwolennikami sztuk obrazowych zajmowali.

Wit Stwosz, lub jak go niekiedy piszą Stoss, najznakomitszy z całego tego gniazda, urodził się w Krakowie r. 1447 i tamże przez lat blisko 50 stale zamieszkiwał⁽²⁾. O pierwotnym życiu jego i wychowaniu, oraz o mistrzu u którego rozpoczął naukę rzeźbiarstwa, żadnych pewnych nie posiadamy wiadomości. Niektórzy domyślają się że mógł być uczniem Wohlgemutha (ur. 1434 zm. 1519),⁽³⁾ znajdując niejaki podobieństwo w sposobie wyobrażania Bogarodziecy przez obu tych wielkich współczesnych sobie mistrzów. Zdanie to atoli wątpliwym się okazuje, jeżeli zważymy na ogólne cechy ich utworów, tamtego smagłych, a niekiedy wymuszonych nawet, tego zaś pełnych prawdy i wdzięku, na małą różnicę w wieku pomiędzy nimi i w reszcie na tę okoliczność, że zpośród dochowanych dotąd dzieł rzeźbiarskich Wohlgemutha najdawniejsze, to jest ołtarz w Norymberdze, pochodzi za ledwo z czasu między 1470—1475 rokiem⁽⁴⁾. Trudno więc aby tak mało znany, już równie swego mógł być mistrzem. Prędzej sądzić można z p. A. Grabowskim, że Wit w Krakowie się kształcił, gdzie podówczas nie brakło na dobrych miejscowych rzeźbiarzach i snycerzach, jak tego dowodzą częste o nich wzmianki w aktach krakowskich i liczne kamienne, drewniane i brązowe rzeźby bardzo dobre, a widocznie miejscowej roboty. Lecz któryby z rzeźbiarzy krakowskich miał być nauczycielem Stwosza, trudno jest dociec;⁽⁵⁾ to tylko pewna, że w utworach Wita znać odmienną, wcale nie niemiecką szkołę; mają ony jakiś rodzaj pokrewieństwa z postaciami właściwymi owoczesnym

(1) Conversat. Lexic. für bild. Kunst, T. IV str. 502 kładzie urodzenie Wita między 1438 a 1447 r.

(2) Sobieszcz. Wiad. Hist. o Szt. P. w dawniej Polsce 1847 T. I str. 230.

(3) Istnieje jednak niepewna wiadomość o innym jego ołtarzu, jakoby w r. 1454 do Rothenburga zrobionym a w r. 1494 zgorzałym. Convers. Lexic. f. b. K. T. IV str. 564.

(4) Skarbn. naszój Archeol. str. 84.

budowlom kościelnym i innym w Polsce, które prostotą swą w oczach nieuprzedzonego badacza i znawcy wielce się różnią od podobnych pomników budownictwa w Niemczech, Francyi i Anglii.

Ktokolwiek jest wtajemniczonym w zwyczaje i prawa cechowe wieków średnich, kiedy to nieinaczej można było samodzielnie trudnić się jedną ze sztuk pod cechowe podciągniętych karby, aż za złożeniem jawnych dowodów swego usposobienia, które przez starszych cechu surowo, a często pomimo całej sumiennosci zawistnie nawet, sądzone i oceniane bywały; ten łatwo pojmie że Wit Stwosz, nim został mistrzem w snycerstwie, musiał już wprzód odznaczyć się niejedną pracą, i zyskać w bardzo młodym jeszcze wieku znamienitą w Krakowie wziętość, gdy najdawniejsze wiadomości w r. 1477 już go za ledwie trzydziestoletniego, mistrzem mianują, i to niepospolitą biegłości i sławy. Jakoż ufając wprawnemu oku p. A. Grabowskiego, kilka niepoślednich rzeźb w drzewie i kamieniu znajdujących się dotąd w Krakowie do tych pierwotnych prac Wita Stwosza policzyćby należało⁽¹⁾. Zpomędzy tych, których lata wykonania są wiadome, za najdawniejszą robotę młodzieńca Stwosza przyjąćby potrzeba *dwa drewniane ołtarze szafaste* w kaplicy jagiellońskiej czyli ś. Krzyża w katedrze krakowskiej na Wawelu⁽²⁾. Stoją one po obu stronach wejścia do tej kaplicy; gdy są otwarte widać w ich zagłębieniu, wśród ozdób tak zwanego gotyckiego kroju, w jednym ołtarzu w wypukłej rzeźbie wykonaną św. Trójcę, w drugim zaś Matkę Boską bolesną i Pana Jezusa. Pod ołtarzem św. Trójcy jest rok 1467, pod ołtarzem zaś Matki Boskiej umieszczone herby: Polski, Litwy i Rakuz, wskazują czas roboty i fundatorów króla Kazimirza Jagiellończyka wraz z żoną jego Elżbiętą arcyksiężną rakuzką. Uważać można w tych ołtarzach niedość poprawną rzeźbę osób, przy dobrze wykonanych ozdobach i innych przydatkach, mianowicie pięknym kobiercu z wyciskanemi na tle złocistém kwiatami, rozciągniętym poza Matkę Boską. Są to cechy dosyć powszechne każdej młodzieńczej ręki, która jeszcze nie mogła podolać trudnościom roboty posażniczej.

W innych późniejszych pracach Wita Stwosza, obok wybornych już postaci ludzkich, zawsze jeszcze podziwiać trzeba doskonałość i bogactwo wykonanych ozdób, przydatków, a zwłaszcza piękność odzieży, z niezrównaną łatwością, różnaitością, a przytém prawdą ufałdowaną. Przymioty te wybitnie cechują wszystkie, a zwłaszcza dawniejsze, utwory mistrza Wita, i dlatego właśnie że już zarodek ich przebija się w rzeźbach wspomniane ołtarze zdobiących, można tę pracę zdaje się z pewnością za jedną z najpiérwszych Wita uznać. Rzeźby te, zwyczajem średniowiecznym, złożone są i różnemi ubarwione kolorami, a drzwi czyli skrzydła rzeźby zamykające wzbogacone nader szacownemi malowaniami, w których wizerunki Władysława Jagielly, Kazimirza syna jego i całej prawie królewskiej rodziny rozpoznać się dają⁽¹⁾. Drugim utworem Stwoszowi przypisywanym, na którym znajduje się naznaczony rok 1471, jest kamieniana płaskorzeźba wielkiego rozmiaru, niegdyś w ścianie bursy prawników umieszczona, a dziś osadzona w murze dziedzińca kollégium jagiellońskiego, wykonana ku pamiętce założyciela wspomnionój bursy, historyka Jana Długosza, którego herb Wieniawę widać u dołu rzeźby⁽²⁾. Płaskorzeźba ta, wraz z drugą nade drzwiami kollégium księży psalterzystów w dziedzińcu zamku krakowskiego umieszczoną w r. 1480, również ku pamiętce fundatora tego kollégium Długosza, której robotę także Wito wi Stwoszowi przyznają, układem swoim niemniej jak i sposobem roboty przypominają bardzo płaskorzeźbę na bursie Jeruzalem r. 1453 wykonaną⁽³⁾, zbliżając się jednak więcej do późniejszych prac Stwosza, coby przyjąć można za wskazówkę, iż rzeźbiarz kamienia bursy Jeruzalem mógł być nauczycielem Wita Stwosza⁽⁴⁾.

Zapewne wiele innych dzieł pomniejszych wyjść jeszcze musiało w tym piérwszym okresie z pod dłuta naszego młodego snycerza, a zdaje się że i rzeźbę kamienną przedstawiającą Chrystusa Pa-

(1) Obrazy te wydane zostaną wkrótce we Wzorach sztuki średniowiecznej.

(2) Skarbn. n. Archeol. str. 84.

(3) Skarbn. n. Archeol. str. 85. Rysunek jój dosyć wierny u J. Lępkowskiego. Staroż. i Pomn. Kra. 1847 zeszyt 4ty.

(4) Rysunek kamienia z Bursy Jeruzalem znajduje się w zeszytce VI Wzorów szt. średniowiecznej. Skarbn. n. Archeol. str. 84.

(1) Skarbn. n. Archeol. str. 84.

(2) J. Mączyński pamiątka z Krakowa. Kraków. 1845 r. Cz. II str. 100.

na w ogrójcu, o której trudno wątpić aby inszej była ręki, do pierwszych robót jego policzyć należy. Płaskorzeźba ta 2¹/₄ lok. wysoka, 2 l. szeroka, w ramach 1/4 lok. szerokich, cała z jednego kamienia wykuta, w samym środku pola wyobraża klęczącego Chrystusa Pana na skale góry oliwnej; u stóp jego trzej apostołowie spoczywają snem ujęci; na prawo unosi się w górze na obłokach niewielki anioł z kielichem goryczy; na lewo w oddaleniu przez bramę ogrodu Getsemani wstępuje właśnie Judasz prowadzący zbrojnych; w głębi widać Jerozolimę. Układ rzeźby, jakkolwiek prosty, szczęśliwie jest pomyślany; zachowane stopniowanie wielkości i wypukłości wydaje dobrze w płaskorzeźbie oddalenie i perspektywę powietrzną, rzecz zawsze, a tem bardziej naówczas, trudną. Głowy śpiących apostołów, pełne dobroci i spokoju, są wyborne. Mniej może odpowiada życzeniom głowa Chrystusa P. w której nie dość jeszcze Boskiego wyrazu, nietyle co w następnych utworach tego rodzaju Wita Stwosza.

Jakkolwiek draperya dobrze tu jest ułożona, jednakże nietyle ma owęj miękkięj lekkości, jaką się zwykle dalsze prace naszego mistrza zalecają. Szacowny ten ze wszech miar pomnik sztuki rzeźbiarskiej, dawniej kolorami ukraszony, których dziś lekkie tylko gdzieniegdzie są ślady, znajdował się przedtęm na kościelnym, w r. 1802 zniesionym cmentarzu kościoła P. Maryi; dziś mieści się nad bramą przytykającego doń domu N. 55 (1). Zapewne rzeźba ta należała do jednéj ze stacyj drogi boleści, jakie zwykle na cmentarzach przy większych kościołach urządzano. Takie i tym podobne pomniejsze roboty musiały już wcześniej zjednać Stwoszowi, młodzieńcowi zaledwie lat trzydziestu podtenczas dochodzącemu, szacunek i wielkie poważanie w rodzinnym Krakowie, kiedy wkrótce powierzono mu ważną i znakomitą pracę około wielkiego ołtarza w tamecznym kościele Panny Maryi. Rajcy krakowscy, którzy szczególniej opiekowali się przyległym sobie a starożytnym i pięknym kościołem Maryackim, postanowili około 1477 na miejsce dwakroć już przestawianego wielkiego ołtarza fundacyi Wierzynka rajcy krakowskiego i podskarbiego Kazimirza W., wznieść

wspanialszy; ustanowili więc prócz innych zawia- dowcami i budownikami (erectores et aedificatores tabulae in Eccl. B. V. M.) bogatego mieszczanina i rajcę krakowskiego Jana Turzo, pochodzenia węgierskiego, oraz Jakuba Glaser i Ignacego Hejdeka pisarza miejskiego; wykonanie zaś dzieła poruczyli Stwoszowi. „A mistrz albo rzemieślnik tęj roboty był mistrz Wit,— dziwnie stateczny i pilny i życzliwy, którego rozum i robota po wszystkiém chrześcijaństwie z pochwałą sływie, którego tēż ta robota zaleca się na wieki“, tak powiada przez tegoż Hejdeka sporządzony opis stawiania, w samymże ołtarzu niegdyś złożony (1). Płynęły od pobożnych mieszczan krakowskich ofiary na budowę cudnego dzieła, które prosto ze składek wykonano. Umięrając zapisywały na ten cel różne osoby domy swoje, srebro i naczynia, a gotówki z tych zapisów było przeszło 4,000 złp., cały zaś ołtarz kosztował 2808 złotych ówczesnych (26,114 zł. dzisiajszych) (2). Nie szczędziło tēż i miasto niczego dla zachęty mistrza w podjętęj pracy. Jakoż 1484 r. rajcy krakowscy, w nagrodę za pilność i sztukę w wykonaniu wielkiego ołtarza, uwolnili Wita Stwosza, po wiek jego i pokąd mieszczaninem krakowskim będzie, od płacenia wszelkich podatków szosu, danin i t. p. (3) zapewne z domu który jeszcze w r. 1481 za 300 zlot. węgierskich od Zofii Lejmiterowej kupił (4). Dom ten dotąd istnieje, położony przy rogu ulicy grodzkięj i poselskięj N. 197 znakiem słonia ocechowany, a poznać go można po szerokięj skarpię od ulicy poselskięj, na budowę której od rady miejskięj w tymże r. 1481 pozwolenie otrzymał (5). Należałoby może upatrywać potwierdzenie zdania rajców o wielkięj i serdecznęj pilności Wita przy wykonywaniu powierzonego mu ołtarza w pełnomocnictwie daném przezeń w r. 1482, któręm upoważnia brata swego rodzonego Mateusza do zastępowania go we wszelkich sprawach. (6). Zdaje się że w tym drobnym szczególe mo-

(1) Ambr. Grabowski, Kraków i jego okolice r. 1844, (wyd. 4te, stron. 513—516) w całości go przytacza.

(2) Starożyt. Wiadom. o Krak. stron. 28—30.

(3) Ambr. Grabowski Staroż. histor. polskięj, T. I. Kraków 1840 r. stron. 441, 442.

(4) Staroż. Wiado. o Kraków. str. 283.

(5) Skarbn. n. Archeol. str. 85. Starożyt. hist. pol. T. I, str. 441.

(6) Starożyt. wiad. o Krak. stron. 283.

(1) O Ogrójcu w Krak. w J. Łepkowskiego Star. krak. zesz. II, gdzie i rysunek; oraz Pam. z Krakowa, część II, str. 170.

żna poznać zamiłowanie mistrza w swém zatrudnieniu, od którego nie rad się odrywał. Zgromadzenie cechu malarzów krakowskich, podówczas ze snycerzami wspólność mające, chcąc także ze swjej strony cześć okazać mistrzowi, który w miarę postępującej roboty ołtarza coraz większej nabywał wziętości, w r. 1484 obralo go swoim starszym czyli cechmistrzem, i następnie kilkakroć w latach 1489, 1491 i 1495 na tę godność znowu go wybierało lub potwierdzało (1). A tak budowa i rzeźbienie wielkiego ołtarza P. M., oprócz tego że jest szacownym pomnikiem sztuki, stanowiła jeszcze nader ważną w życiu Stwosza epokę; odtąd bowiem szybko wzrasta i rozszerza się jego wziętość, zaszczyty nań spływają, i od postronnych nawet otrzymuje wezwania.

Dwanaście lat najpiękniejszych życia swego poświęcił on prawie bez przerwy tej wiekopomnej pracy, którą rozpoczął r. 1477 około św. Urbana, a skończył dopiero około św. Jakuba 1489 r. (2). Działo się to za długiego panowania Kazimierza Jagiellończyka, kiedy kraj świeżem przyłączeniem Litwy wzmocniony, w kwitnącym znajdował się stanie, kiedy zamożność we wszystkie rozlewała się klasy, a nawet czasem w zbytki się przeradzała. Kraków podówczas, jako stolica, zamożnością, ludnością, oświatą i swobodą mieszczan swoich nie tylko w Polsce, ale nawet w całej Europie do najznakomitszych grodów mógł się liczyć. To też kwitnęły w nim kunszta, na równi z najslawniejszemi pod tym względem w owym czasie niemieckimi i włoskimi miastami. Zdaniem zaś wielu znawców ołtarz P. Maryi krakowski, pod względem sztuki snycerskiej, myśli w układzie i jej wykonania, równego sobie nie miał, a podziś dzień do rzędu najznakomitszych dzieł snycerstwa należy.

Rzeźby te dotąd istnieją, a zważając na dawność i na nieumiejętne poszanowanie ich, jeszcze bardzo dobrze są zachowane. Zwyczajem ówczesnym było nad właściwym ołtarzem (mensa) umieszczać szafiastym sposobem urządzone obrazy, malowane, rzeźbione, albowi też, co najczęściej, jedno i drugie razem.

Prawdziwy i główną rzecz przedstawiający obraz znajdował się we środku, w głębi tej niby szafy;

przedmioty inne podrzędne lub będące dalszym ciągiem głównego, wyobrażane były na wewnętrznej i zewnętrznej powierzchni drzwi dwu lub trzyskrzydłowych szafę owę zamykających. Odkrywano obraz główny rzadko kiedy, tylko w dnie uroczyste, podobnie jak to i teraz zwyczajem jest przy wielu obrazach cudownych, pospolicie jedwabną zasłoną lub też innym wierzchnim obrazem przed okiem widza zakrytych, a tylko w pewne dnie odsłanianych. Takiego to rodzaju jest wielki ołtarz Maryacki przez Wita Stwosza z drzewa modrzewiowego wyrobiony, malowany i wyłaczany, mający wysokości 22 łokci, szerokości gdy drzwi dwuskrzydłe otworzą 17, a głębokości łok. 2. Osoby w środkowym obrazie nadnaturalnej wielkości mają po $4\frac{3}{4}$ ł. wzrostu. W zagłębieniu objętym ozdobną dwuluczną (gotycką) ramą, wyobrażone jest zaśnięcie Bogarodziicy. Klęczącą i tonącą w niebiańskim zachwycie Maryą otacza 12 Apostołów. Postacie wszystkie pięknie i umiejętnie ułożone, poszykowane i połączone z sobą, wykonane są z zadziwiającem pojęciem i poprawnością form, zachwycając myśl i oko wyrazem twarzy i wykończeniem doskonałym aż do najdrobniejszego szczegółu nawet, co nie tylko zwolennicy średniowiecznej sztuki, ale mistrze rzeźbiarze klasycznych form hołdownicy z Thorwaldsenem na czele, jednozgodnie przyznają. (1) Krawędzi łuku tworzącego ramę zagłębienia czepiają się liczne osóbkki, z ulubioną w dziełach rzeźby XV wieku dobroduszną swobodą i niejako swawolą myśli upostaciowane i rozrzucone w splotach gałązki liści zdobiących, które, jak to dobrze p. J. Łepkowski zauważył (2), stanowią niby ziemię ludzi przyglądających się z różną ciekawością nadzwyczajnemu zjawisku. Jako zaś z jednej strony przez przeciwieństwo wielkości i wyrazu pomagają do podniesienia obrazu głównego; tak z drugiej służą do związania w jedną całość myśli, dwóch ostatecznie przeciwległych pojęć, ziemi i nieba. Na drzwiach ołtarza znajduje się 12 rzeźb kwadratowych pomniejszych, nietyle wypukłych, ale również dobrze wykonanych jak wielki ołtarz. Przedstawiają ony dwanaście epok życia Chrystusa P., jego narodzenie, mękę i zmartwychwstanie.

(1) Sobieszcz. Wiad. Hist. o Szt. P. w d. Pols. str. 230. J. Mącz. Pam. z Krak. Część II, str. 172. A. Grab. Kraków i okolice str. 187 (wyd. 4).

(2) J. Łepkowski Gaz. Warsz. 1853 r. N. 62.

(5) Starożyt. hist. Polś. T. I, stron 440, za nim inni.

(6) Kraków i jego okolice stron. 513—514.

Wreszcie ogromną tę całość zakończają wybiegające ku górze liczne głąbiaste iglice (gotyckie), które się czysto odrzynają na różnobarwném a jaśniejącém dotychczas kolorami tle starodawnych okien kościoła (1).

Oprócz doskonałego, jak mówiliśmy, wykończenia, w rzeźbie téj zdaniem znawców szczególnie zachwyca niezrównany boski wyraz twarzy i całej postaci N. M. P., układ szlachetny we wszystkich figurach i umiejętne okrycie szatami bez zbytniego zasłonięcia (2). Są ślady że około tego czasu Wit Stwosz robił inny jeszcze ołtarz, albo może i więcej podobnych do Maryackiego kościoła, ale ma się rozumieć daleko mniejszych. Zapewne téż do jednego z nich należały dwie podłużne tafle z dwiema na każdej płaskorzeźbami, dziś w kościele św. Floryana na Kleparzu zawieszzone, robotą i wszelkimi zaletami nieustępujące rzeźbom na skrzydłach Maryackiego ołtarza (3). Przedstawiają ony na jednej tafli dwa wypadki z dziejów św. Jana Chrzciciela, na drugiej zaś z życia św. Jana Ewangelisty. Płaskorzeźby te były skrzydłami ołtarza, który później znajdował się w opustoszałym dziś kościele św. Scholastyki, z kąd wraz z wierzchnią częścią ołtarza do kościoła św. Floryana przeniesione zostały; teraz zaś wiszą na pierwszych słupach głównej nawy, a wierzchnia część ołtarza zawieszona jest tamże nad drzwiami bocznymi.

Jeszcze Wit Stwosz nie skończył wielkiego dzieła swego, gdy nowe dla niego otworzyło się pole. Katolicka jeszcze i pobożna wówczas Norymberga, posiadając szanowne relikwie patrona swego św. Sebalda, pragnęła, za powództwem znakomitego tamiecznego mieszczanina Sebalda Schreyer, uczcić je pomnikowym grobowcem, godnym wielkiej wziętości której miasto używało, jako jedna ze stolic sztuk pięknych w Niemczech. Dowiedziawszy się o tém, a prawdopodobnie przez tegoż Sebalda Schreyer wezwany (4), Wit Stwosz, postanowiwszy r. 1486 (w 3cia niedzielę po św. Brygi-

dzie) księdza Jana Heydeka pisarza miejskiego pełnomocnikiem swoim i opiekunem nad żoną i dziećmi, udał się do Norymbergi (1), i zapewne tamże na miejscu wykonał 1488 r. rysunek, który szczęśliwym a nader rzadkim trafem dotąd w całości się dochował. Na pergaminie zrobiony, 1,56 metr. długi, rysunek projektowanego grobowca św. Sebalda, którego autentyczność stwierdza obok roku 1488 znajdująca się, z kądinąd już znana, cecha Stwosza (krzyż na niepełnym trójkącie, co według symbolizmu przyjętego u mistrzów sztuki w wiekach średnich oznacza „że wiara przewodniczy sztuce, która nigdy skończoną i doskonałą być nie może,“) dziś jest w posiadaniu znakomitego norymberskiego budowniczego i wielkiego znawcy sztuki średniowiecznej prof. Kar. Hejdeloffa (2). Daje on nam dokładne wyobrażenie o wspaniałości pomysłu Stwosza i o biegłości jego w rysowaniu; wszystkie figury i rzeźby z wielkiem czuciem i poprawnością umiał oddać na tym pergaminie, a w dokładném wykreślaniu części ornamentowych i budowlanych równał się on z najlepszymi owego czasu rysownikami. Podstawę pomnika tworzy rodzaj tumby czyli zamkniętego grobowca; ściany jego dłuższe na trzy części rozdzielone są wysmukłymi słupami, które i wieko czyli podniebie (baldachin) utrzymują, a potem ponad grobowcem w górę wybiegając, rozmaicie ozdobnymi łukami z sobą połączone, wreszcie we trzy różnej wielkości kilkopiętrowe ostrza złączone, dosięgłyby wysokości stóp 60. Pomiedzy słupami w ścianach podstawy porobione zgrabne zagłębienia, przyozdobione być miały wybornymi płaskorzeźbami z życia św. Sebalda, z których trzy widne są na rysunku Stwosza, przedstawiając: 1) jak św. Sebald w podróży swój do Rzymu spotyka śś. Willibalda i Wunibalda, i przyjmuje ich za towarzyszy drogi; 2) jak św. Sebald z towarzyszami, zbłąkany w dzikich górach, strudzony i zgłodniały, od anioła jest posilany; i 3) jak Święty z towarzyszami swemi zeslanego cudownie używa posilku. Na téj ozdobnej, a jednak

(1) Rysunek Maryackiego ołtarza ma być wydany we Wzorach sztuki średniowiecznej.

(2) Mącz. Pam. z Krak. Część II, stron. 173.

(3) Mącz. Pam. z Krak. C. II str. 226. Rysunek jednej z tych płaskorzeźb znajduje się w J. Łepk. Staroż. i Pom. Krak. Zeszyt 6.

(4) Hejdeloff Ornamentik des Mittelalters. Zeszyt XIII, str. 7.

(1) J. G. Wolf und D. Fr. Mayer Nürnbergs Gedenkbuch T. I, str. 58. A. Grabowski Star. Hist. Pols. T. I. str. 443.

(2) Wysztychowany w wyżej przytoezoném dziele Hejdeloffa Orn. d. Mittelalt. w zesz. 6 pl. 3, zesz. 9 pl. 5 i 6 i w zesz. 10 pl. 2, 3 i 4. Tamże zesz. 6, str. 28—32 opis tego grobowca i ważne uwagi o Vischerze i Stwoszu.

wielką prostotą odznaczającą się podstawie, spoczywać miał dawny jeszcze w 1397 r. sporządzony relikwiarz dębowy, srebrem okładany, ze szczątkami św. Patrona Norymbergi. Wszystko to, jako do odlewu brązowego przeznaczone, wysmukłe, lekkie i bardzo ozdobne, wzbogacone kilkudziesięcią rozmaitej wielkości posągami, posążkami i symbolicznymi potworami, paraset wieżyczek i iglic (gotyckich) i tysiącem liściastych głąbiów (*Krappen, Vialen, feuilles rampantes*) wreszcie mnóstwem luków i wąsów ozdobnych, kształtu właściwego tak zwaną trzecią epokę stylu gotyckiego a powiązanych w jedną całość, stanowiło pomnik w istocie przepyszny, i śmiało powiedzieć można niezrównany. Zapewne tylko wielkość jego (stóp. 60 wys.) i kosztowność stanęły na przeszkodzie, iż wykonany nie został. Widoczną jednak jest rzeczą, że Piotr Vischer (1), któremu między r. 1507 a 1519 poruczonem zostało zrobienie dziś istniejącego grobowca św. Sebalda, przyjął pierwotną myśl Stwosza, lecz odtrącił z niej wszystko co nad podniebnie w górę się wznosiło, zmniejszając przez to wysokość pomnika z 60 na 15 stóp. Z resztą także w kształtach budowlanych i ozdobach oddalił się Vischer zupełnie od krojów użytych przez Stwosza, a przejął się cakiem poczynającym podówczas upowszechniać się tak zwanym stylem odrodzenia. Utrzymują jednak, że przy wykonaniu grobowca św. Sebalda Wit Stwosz, już wtedy stale od lat kilku w Norymberdze osiedlony, pomagał przyjacielowi swemu Vischerowi, rzeźbiąc niektóre do odlewów modele. W każdym razie rysunek mistrza naszego chlubnym pozostanie dowodem bogactwa jego myśli i biegłości ręki. Do czasu tego pierwszego pobytu Wita Stwosza w Norymberdze odnieśćby należało (idąc za zdaniem prof. Heideloffa) model do pomnika grobowego Ottona IV hrabi hennebergskiego, który między 1487 a 1490 r. Piotr Vischer odlał z brązu do kościoła w Römheld. Leżący posąg hrabiego na tym pomniku, nader pięknej roboty, ma ukazywać widoczny ślad ręki i myśli Stwosza (2).

Cóżkolwiek bądź, mistrz ten w końcu 1488 lub na początku następnego roku wrócił już do Krako-

(1) Znakomity ten norymberski brązownik (Rothgieser) dopiero w r. 1489 mistrzem został.

(2) Convers. Lex. f. b. K. Tom IV stron. 516.—Heideloff Orn. d. Mitt. Zeszyt 6 str. 29.

wa, zrażony może nieprzyjęciem jego pomysłu do grobowca św. Sebalda, lub też spiesząc się dokończyć Maryacki ołtarz, który na wiosnę 1489 roku około św. Jakuba już w kościele Panny Maryi zupełnie ustawionym został. W tymże roku Stwosz znowu cechmistrzem był obrany, równie jak i w roku 1491, o czém już wyżej napomknęliśmy.

Mnożą się teraz dzieła Wita Stwosza, jedne prawie od drugich lepsze i szybko wykonywane. Za ledwie bowiem umarł w Grodnie d. 25 czerwca 1492 r. łagodny król Kazimirz Jagiellończyk, aliści już w tymże roku skończony, stanął przepyszny jego grobowiec w katedrze na Wawelu, cały z czerwonego centkowanego zrobiony porfiru. Król jeszcze go za życia swego rozpocząć kazał (jak świadczy Strykowski), sądząc zaś po ogromie roboty, zapewne wkrótce po powrocie Stwosza z Norymbergi. Grobowiec Kazimirza Jagiellończyka należy bez wątpienia do lepszych dzieł naszego mistrza, ułożony w bogatym tak zwanym stylu gotyckim trzeciej epoki czyli XV wieku, doskonałym wyrobieniem swoim, wszędzie w nim rozpostartym symbolizmem myśli zastanawia każdego, kto go w starodawną ogląda katedrze, jakkolwiek znacznie przez czasu nadwerężony jest koleje. Pod przykryciem czyli podniebnie, wspartem na 8 porfirowych słupach, znajduje się sarkofag z jednej sztuki tegoż kamienia wyciosany. Na wieku jego spoczywa postać Kazimirza w bogatym i ciężkim ornacie królewskim; u nóg lwy strzegą berła i korony, a poniżej przy krawędzi wieka widać podpis mistrza i cechę jego wraz z rokiem FITSTVOS ± 1492. Boki dłuższe sarkofagu, każdy na trzy pola rozdzielony, również jak i dwa pola w nogach i głowach, przyozdobione są osobami wspartymi na tarczach z herbami ziem i posiadłości króla. Osoby te z różnych stanów, przesłicznie wyrobione, przedstawiają w pełnych wyrazu rysach rozmaite odcienia boleści i smutku po stracie Kazimirza. Na podstawie na której stoi sarkofag wznoszą się tuż przy nim, ale odosobnione, ośm wysmukłych porfirowych słupów, parami coraz odmiennych, utrzymujących z takiegoż jak i cały pomnik kamienia wyciosane podniebnie, które zewnątrz obejmują splecione z sobą dwugięte (en accolade) łuki przyozdobione liściastymi głąbiami i strzelającymi niegdyś w górę iglicami, których miejsce zastępują teraz nie-

zgrabne gipsowe kule. Najbardziej w tej części grobowca zastanawiają uwagę bogato i niezmiernie delikatnie w porfirze rzeźbione głowice słupów. Tworzą je rozmaicie i dosyć dziwnie z sobą powikłane postacie, dotąd przez nikogo należycie niezbadane ani objaśnione. Na jednej z tych głowic znalazł p. A. Grabowski ukryty dotąd napis, który wskazuje że robotą w kamieniu (podniebia przynajmniej, jeśli nie całego pomnika) trudnił się pod okiem Wita Stwosza i wedle jego rysunku snycerz *Jerzy Huber*, o którym i księgi radzieckie krakowskie wspominają, że w r. 1494 przyjął prawo miejskie, jak zwykle przed wyjściem na mistrza: *Jorg Huber von Passau, Bilderschnitzer* (1).

Następnego zaraz roku 1493 postawiony został staraniem Kallimacha w kościele katedralnym we Włocławku piękny pomnik grobowy Piotrowi z Bni-na Moszyńskiemu biskupowi kujawskiemu, którego układ nierównie prościejszy, a głównie doskonała robota i sposób jej wykonania do poprzednio opisanego pomnika podobne, dają prawie pewność, że i ten aczkolwiek skromny grobowiec jest dziełem Wita Stwosza, albo przynajmniej że z jego wyszedł pracowni. Wyrobiony z czerwonego marmuru szwedzkiego, przedstawia on na prostym czworobocznym sarkofagu spoczywającą postać biskupa w uroczystym stroju, z pastorałem w jednej, a książką w drugiej ręce; twarz wybornie rzeźbiona odrycha podobieństwem, a całość zupełnie mistrzowskie objawia dłuto. Szczególniej układ fałdów szaty żywo przypomina pomnik Kazimierza Jagiellończyka. Na ścianie przodowej sarkofagu wyrzeźbione są w płaskorzeźbie dwie postacie duchownych, utrzymujących napisową tablicę (2). W r. 1495 znowu akta krakowskie cechmistrzem mianują Wita Stwosza, i zachowały nam ślad, że w tymże roku we wrześniu (w 5 niedz. po św. Mateuszu) wykonał snycerską robotą ozdobne formy czyli ławki przed radzieckim oltarzem do kościoła Panny Maryi w Krakowie, za które mu 150 ówczesnych zło-

(1) Opis grobowca znajduje się między innymi w Pam. z Krakowa część II str. 104 i w Gaz. War. 1853 r. N. 66. O odkryciu pana A. Grabowskiego patrz Bibl. Warsz 1853 r. T. IV str. 577 i r. 1854 T. I str. 535, oraz Skarbn. n. Archeol. str. 71.

(2) Sobieszcz. Wiad. Hist. o Szt. Pięk. w D. P. T. I str. 248. Rysunek tak tego grobowca, jako i pomnika króla Kazimierza Jagiellończyka, umieszczonym będzie we Wzorach Sztuki średniowiecznej.

tych zapłacono. Ławki te podobno już dziś nie istnieją (1).

Zdaje się że to były ostatnie w Krakowie roboty Wita Stwosza, albowiem odtąd nie ma już o nim wzmianki w aktach tamecznych. Nawzajem Niemcy od tego właśnie czasu bliższe u siebie posiadają wiadomości o tym niemiecko-polskim rzeźbiarzu, o którym wątpią nawet by się w Krakowie urodził (2).

Prawdopodobieństwem jest, że widząc coraz większy napływ do kraju Włochów, (którzy pod opieką współrodaka swego, przemożnego Kallimacha ulubieńca i nauczyciela panującego naówczas Jana Olbrachta, poczęli osiedlać się w Krakowie i zręcznie rozpościęrać na wszystkie strony przewagę swoją, usiłując sztuki obrazowe i budownictwo w swoją wyłącznie przejąć ręce, jako potomkowie w tym rodzaju klasycznego ludu rzymskiego), nasz rodzimy rzeźbiarz Stwosz, zniechęcony zapewne coraz jawniejszą dla nich stronnością możliwych w kraju osób, przytém jak się zdaje owdowiały, wspomniawszy na znajomą już sobie świetną i przychylną dla sztuki Norymbergę, może nawet przez Vischera wezwany do wspólnej nad grobowcem św. Sebalda pracy, zapragnął przesiedlić się do tego miasta, i zamiar swój około r. 1495 uskutecznił.

My w dziejach sztuki polskiej z tym także rokiem odjazdu Stwosza do Niemiec powinniśmy kończyć okres krajowej, oraz pod wpływem niemieckich mistrzów rozwiniętej u nas sztuki średniowiecznej, a rozpoczynać okres tak zwanego odrodzenia, przez mniej lub więcej dobrze pojmowany zwrot ku formom starożytnym, którego przewodnikami u nas byli Włosi.

Nim jednak przyjdziemy do opisu życia i działań Stwosza z czasów jego w Niemczech, a mianowicie w Norymberdze pobytu, wspomniéć tu winniśmy, że tak w kraju naszym, jak i na sąsiedniem pograniczu węgierskiem, znajdują się nieliczne wprawdzie, ale piękne i chętnie przez badaczy Stwoszowi przypisywane rzeźby, które do czasu przed oddaleniem się jego z Polski około 1495 r. odnieśćby należało.

(1) Star. hist. pols. tom I str. 445 i Staroż. wiad. o Krak. str. 285.

(2) J. D. Passavant w Deutsches Kunstblatt, 1850 stron. 228.

Między temi zdaje się że co do wiarogodności pierwsze miejsce trzymać powinny dwie niewielkie rzeźby drewniane, w posiadaniu p. A. Grabowskiego w Krakowie będące. Z nich jedna owalna, wys. cali 4, szer. cali $3\frac{1}{2}$, misternego wypracowania, przedstawia św. Stanisława wskrzeszającego Piotrowina; druga zaś przedstawia chrzest Pana Jezusa w grupie z dwóch osób złożonej, wysokości cali 10 (1).

W Rudawie w Krakowskim znajduje się drewniana ołtarzowa rzeźba, przez p. Łepkowskiego w czasie jednej z niedawnych jego wycieczek archeologicznych odkryta. Wyobraża ona ukrzyżowanego Chrystusa Pana. Po obu stronach krzyża ugrupowane są osoby; w jednej z grup św. Stanisław przedstawia Chrystusowi Panu pokutę z grzechu obmytego zbrojce swego, króla Bolesława śmiałego. Mianowicie głowa Zbawiciela na krzyżu ma być znamienitej piękności. Szczątki ołtarza tego które się dotąd przechowały świadczą o wysokiej biegłości mistrza co go wykonał, a że nim był Stwosz, domyślać się można po podobieństwie roboty i po tém, że w wypukło-rzeźbach przedstawiających zdarzenia z życia Chrystusa Pana w tymże kościele znajdujących się, a które dawniej służyły za drzwi czyli skrzydła wspomnianego ołtarza szafastego, widać w jednym oddziale wyraźne powtórzenie kamienną rzeźbą znanego już nam ogrójca (2).

Na pograniczu węgierskim w hrabstwie spiżkim w miasteczku Lewoczy (Leutschau) przechowywane w kościele św. Jakuba w zupełnej dotąd całości utrzymywany ołtarz snycerskiej z drzewa roboty, z posągami N. M. Panny, św. Jakuba i Jana; u dołu zdobi go pięknie wykonana wieczerza Pańska, wieniec wokoło opasana. Tamże znajdują się bardzo dobrze zrobione pomniki grobowe węgiersko-polskiej rodziny Turzonów, z którą przez Jana Turzo rajcę krakowskiego i nadzorcę przy budowie ołtarza P. Maryi w Krakowie Wit Stwosz w blizkich zostawał stosunkach; co daje powód do sądu, że wspomniane pod każdym względem odznaczające się rzeźby jego są dziełem (3). Podobnie i dla téjże przyczyny nasi i niemieccy staroży-

tnicy Stwoszowi przypisują wspaniałe ołtarze rzeźbione w kościele św. Marcina we wsi Kościelną (Kirchdorf) o milę od Lewoczy. Niemniej ołtarz chrzest Pana Jezusa wyobrażający, który znajduje się w parafialnym kościele miasteczka niegdyś Turzonów własnego Bystrzycy (Neusohl) w komitacie orawskim; i wreszcie bogate ołtarze w kościele św. Idziego (Aegidius) w Bardyowie (Barthfeld), miasteczku u stóp Karpatów w górnych Węgrzech (1). Lecz wszystkie te prace nie są jeszcze dosyć krytycznie obejrzone, i nie mają za sobą dostatecznej powagi, ażeby je niemylnie za dzieła Stwosza podawać.

Niezupełnie też pewne są pierwsze roboty mistrza Wita na ziemi niemieckiej.

Szereg utworów snycerskich Wita Stwosza, których posiadaniem chlubią się różne okolice Niemiec, a głównie Bawaryę (jeśli wszystkich prawdziwość pochodzenia udowodnioną zostanie), otwiera się już z rokiem 1495, więc równo z wyjazdem mistrza naszego z Polski. W tym bowiem 1495 r. ukończony został wspaniały brązowy grobowiec, który sobie jeszcze za życia w katedrze magdeburskiej wystawił książę Ernest saski arcybiskup magdeb. prymas Niemiec (zmarł r. 1513). Piotr Vischer w Norymberdze trudnił się odlewem jego. Ale głęboki znawca średniowiecznej rzeźby, prof. Kar. Heideloff, utrzymuje stanowczo, że tak do tego grobowca, jako też do wielu znakomitszych odlewów P. Vischera (2), drewniane modele wykonywał nasz mistrz Wit; we wszystkich bowiem widzi P. Heideloff żywotną myśl i biegłą rękę Stwosza;

(1) Słown. Mal. P. T. II str. 229—30. Staroż. i Pom. Krak. Zeszyt II str. 29. Convers. Lex. f. b. K. T. II st. 55.

(2) Takiemi są mianowicie: 3 grobowce biskupów w Bambergu wykonane między 1492 a 1506 r; grobowiec Jana Roth bisk. wrocławskiego r. 1496 we Wrocławiu; kurfirsza Joachima w Berlinie; kurfirsza mogunckiego Albrechta r. 1525 w Aschaffenburgu; kurfirsztów saskich Fryderyka Mądrego i Jana Stałego r. 1527 w kościele zamkowym w Wittenberdze i t. p. W zapale przypisywania Stwoszowi znacznej części zasług Vischera sądzi P. Heideloff, że mógł mistrz Wit robić rysunek i niektóre modele do sławnego pomnika ces. Maksymiliana I w Insbruku, odléwanego między 1508 a 1582 po większej części przez Godla i Löfflera; co jednak, również jak przypisywane Stwoszowi współdziałanie przy pięknej chrzcielnicy w Wittenberdze (odléwanej r. 1457 przez Hermanna ojca Piotra Vischera) nietylko jest wątpliwem, ale całkiem do prawdy niepodobnem.

(1) Skarbn. n. Archeol. str. 84.

(2) Słown. Mal. Polsk. T. II str. 229.

(3) Starożyt. i Pom. Krak. Zeszyt II str. 28, oraz Illustrirte Zeitung. 1846 r. Nr. 170.

w podrzędnych zaś częściach, małych figurkach i ozdóbkach znajdując daleko słabsze wykonanie, sądzi że te tylko części inni do odlewów modelowali. Jakoż wiadomo jest że P. Vischer i biegły syn jego Hermann, głównie tylko woskowe i gliniane robili modele, zdatne do pomniejszych jedynie odlewów (1). Co się Stwosza tyczy, można to uważać że on zawsze chętniej trudnił się rzeźbą w drzewie; że kamienne jego własnoręczne prace są bardzo nieliczne i do dawniejszych należą, i że (jak przy grobowcu Kazimirza Jagiellończyka, a zapewne i przy pomniku Piotra z Bnina) wyręczał się wrzeźbieniu kamienia biegłym snycerzem Jerzym Huber; odtąd zaś nie znajdujemy wcale innych robót Stwosza jak drewniane. Przystając więc chociaż w części na pochlebne dla naszego mistrza zdanie P. Heideloffa, przyznać należy że znaczny udział swojej sławy z pięknych brązowych odlewów, które około tego czasu wychodzić poczęły z pracowni Piotra Vischera, winna Norymberga Stwoszowi; ale z drugiej znów strony dodać trzeba, że oprócz poważnego i na biegłej znajomości sztuki średniowiecznej opartego wyroku kilku niemieckich badaczy nie za niem nieprzemawia, bo żaden z brązowych Vischera odlewów nie nosi na sobie wyraźnej cechy lub nazwiska Stwosza, chociaż i to jest szczególnym, że na niektórych Piotr Vischer skromnie tylko odlewaczem (Rothgiesser) się mianuje, gdy inne za swe własne dzieła (opus) przyznaje.

Zawsze jednak pewne są ślady, że obaj ci wielcy i niezrównani swego czasu mistrzowie, Stwosz i Vischer, przyjaźnili się z sobą, i że niekiedy Stwosz pomagał Vischerowi, bądź to robiąc pomysły czyli rysunki, bądź wyrzynając ważniejsze drewniane modele do znakomitszych pomników, które potem Piotr Vischer z pięcią czy czterema synami swymi odléwał i umiejętnie wyrabiał (cyzelował). Nic też dziwnego że imię modelatora w niepamięci zagrzebaném zostało, jak to najczęściej i dziś dzieć się zwykło. W Norymberdze dotąd przechowuje się mnóstwo, niekiedy wielkiej wartości, drewnianych, niegdyś do odlewu używanych modeli, pomiędzy którymi możeby się i prace Stwosza przypadkiem wynaléźć dały.

W każdym razie prawdopodobnym jest, że we wspomnionym pomniku arcybiskupa magdebur-

skiego posąg tego prałata i posąжки sarkofagu otaczające są przez Wita Stwosza rzeźbione, a podobieństwo w układzie grobowca z tym który niedawno wtedy Stwosz Kazimirzowi wystawił przypuszczać każe, że i rysunek pomnika jego jest dziełem.

Śliczny ten monument, przy wejściu do katedry magdeburskiej stojący, składa się z czworobocznego sarkofagu i leżącego na nim posągu arcybiskupa. Sarkofag przybrany w wieżyczki i w arkady (gotyckie) oraz liczne tarcze herbowe i symboliczne potwory, ma po bokach posąжки 12 apostołów w ozdobnych zagłębieniach umieszczone, w końcach zaś jest u nóg św. Stefan patron katedry Halberstadt, a u głów św. Maurycy patron magdeburskiego kościoła. Na sarkofagu w pełnym ornacie, z pastorałem w jednej ręce, z krzyżem prymasowskim w drugiej, leży Ernest, nogi mając wsparte na lwie pilnującym tarczy herbowej domu saskiego. Posąg ten, wypukło rzeźbiony, w głowach ma ozdobne nadgłowie, *tabernaculum* zwane. U dołu pomnika jest napis świadczący że Piotr Vischer pomnik ten odléwał. Wszyscy uznają że zarówno posąжки w koło sarkofagu, jako i sama główna postać są wyborniej roboty i stylu zupełnie stwoszowskiego. Widać w nich życie i prawdę w fizyognomiach, i pod tym względem wyższymi są nad posąжки przy grobowcu św. Sebalda w Norymberdze (1), które jak wiadomo po większej części sam Piotr Vischer i syn jego Hermann modelowali.

W tych ostatnich znać wyraźnie holdowanie zaczynającemu odradzać się klassycyzmowi, a Vischer właśnie należy do pierwszych którzy w Niemczech temu wznowieniu rękę podali, i jego roboty raczej do epoki odrodzenia, niż do średniowiecznej sztuki liczyć się powinny. Stwosza zaś wszystkie prace należą do trzeciego okresu tak zwanego gotyckiego stylu, w którym bogactwo i swobodny układ zajęły miejsce pierwotnej bizantyjskiej sztywności, prawda zastąpiła dawniejszą ugodliwość, a umiejętność w wykonaniu do wysokiego stopnia doskonałości doszła. Z pierwszych lat pobytu Stwosza w Niemczech pochodzić ma także piękna drewniana rzeźba, znajdująca się w zbiorze dziekana Dr. Dursch w Wurmlingen pod Tuttlingen (na drodze ze Sztutgardu do Szafhuzy). Przedstawia

(1) Heideloff Ornament. des Mittelalters. Zeszyt IV str. 28 — 32.

(1) Convers. Lex. f. b. K. T. IV str. 512.

ona w połowie naturalnej wielkości św. Rodzinę. Na małym wzgórku siedzi św. Anna z Dzieciątkiem Jezus i Matka Boska; na bokach stoją św. Joachim i św. Józef, piękne i pełne wyrazu postacie; u dołu klęczą aniołowie, którzy Chrystusowi z dzieciną prostotą podają owoce oberwane z krzaków na wzgórzu rosnących. Całość należy do najpiękniejszych dzieł jakie Stwoszowi przypisywać można (1).

Dziwny i dotąd niewyjaśniony wypadek, wedle niektórych, acz dawnych, źródeł niemieckich, miał spotkać około tego czasu mistrza naszego, o którego życiu nader czynnym a tak wstrzemięźliwym że nawet wina nie używał, świadczy Neudorffer, współczesny kalligrafista i nauczyciel synów Wita. Rymowana kronika norymberska z roku 1503 i współczesne akta karne tameczne zawierają wzmiankę, że w dniu św. Barbary (w grudniu) r. 1503 Wit Stwosz, snycerz znakomity był piętnowany na obu policzkach za pisanie jakichś listów fałszywych, przez co miał wiele nieprawych zysków osiągnąć; lecz co szczególniejsza, że mu przysiędz kazano iż póki życia Norymbergi nie opuści (2). Mimowolnie wobec tak stanowczych napozór dowodów podejrzenie się budzi, azali wypadek ten jest prawdziwym, i czyli on rzeczywiście przestępstwem jakowym Wita Stwosza był powodowanym. To piętno, zwykle tak hańbiące, nie znać iżby najmniejszy wpływ na poważanie mistrza Wita w Norymberdze i postronnych krajach wyrzucić miało. Owszem tak samo jak dawniej powierzano mu najcenniejsze roboty, najpierwsi patrycyusze i mistrzowie norymberscy: jak Sebald Schreyer, Antoni Tucher, Jakub Welser, Adam Kraft, Albrecht Dürer, Michał Wohlgemuth i inni wciąż po dawnemu w przyjaźni z nim żyli, opieką swą zaszczycaли i chętnie roboty mu dawali, a utwory Stwosza coraz, jeśli można, większej jeszcze nabywały wziętości i rzeczywistej doskona-

łości. Wkrótce nawet ożenił się w Norymberdze z Barbarą Hertzin, a synowie jego z tego małżeństwa później przez cesarza Maksymiliana II uszlachceni zostali. On sam do śmierci zwany byłobywatelem norymberskim, spadkobiercom zaś swoim wcale szczupłą zostawił puściznę w porównaniu do wielu i drogocennych prac które wykonał (1).

Cóżkolwiekby, około tego czasu liczne zjawiają się utwory rzeźbiarskie, które Stwoszowi przypisują. I tak prof. Heideloff utrzymuje, że modele do kilku odznaczających się pomników brązowych, których odlewem w tych latach trudnił się Piotr Vischer, są roboty Stwosza. Do takich należy grobowiec Eitel-Fryderyka hrabiego Zoller zm. roku 1512 i żony jego z domu margrabianki braniborskiej (Brandenburg) zmarłej r. 1496, który wystawiony był jeszcze za życia Eitel-Fryderyka między 1500 a 1506 r. w fundowanym przez nich obojga kościele w Hechingen (stolicy księstwa Hohenzollern-Hechingen). Z niego już tylko wieko pozostało z pięknie wyrobionemi postaciami obojga fundatorów, resztę zaś sarkofagu ozdobnego przetopiono na 22 świeczniki kościelne przed 80 około laty (2).

Prawdziwie wstydzić się potrzeba że tak mało wiemy szczegółów o najcenniejszych pomnikach, zwłaszcza sztuki rzeźbiarskiej, które się u nas nawet po znakomitszych znajdują miejscach. I tak oto nie wiemy kto robił modele do brązowego grobowca kardynała Fryderyka biskupa krakowskiego, syna Kazimirza Jagiellończyka, który odlany między 1503 a 1510 r. na rozkaz brata jego króla Zygmunta I, umieszczony jest u stopni wielkiego chóru w katedrze na Wawelu. W głowach tego pomnika, u zwykłego a gładkiego całkiem sarkofagu, szczególnież zwraca uwagę tablica brązowa, która w wyborniej wypukło-rzeźbie przedstawia kardynała Fryderyka klęczącego przed siedzącą na tronie Matką Boską; za nim widać św. Stanisława z Piotrowinem jako symbolem swoim, lub, jak inni tłumaczą, św. ten biskup przybywa tuż za zbliżającą się do kardynała śmiercią. Zważając na piękność i styl roboty, są słuszne powody do mniemania, że model do niej dał Wit Stwosz (3).

(1) Convers. Lex. f. b. K. T. IV str. 515.

(2) *Kaiser Maximilian I und Albrecht Dürer in Nürnberg, ein Gedenkbuch für die Theilnehmer und Freunde des Maskenzugs der Künstler in München am 17 Februar und 2 März 1840 v. Dr. R. Marggraf, Nürnberg 1840 str. 152*, gdzie umieszczone ciekawe i nowe podówczas wiadomości o Wicie Stwoszu, którego w tej zabawie artystycznej przedstawił p. Aleks. Lesser znany malarz warszawski. Także Słow. mal. Polsk. T. II str. 231.

(1) A. Grabowski Starożyt. Wjedom. o Krak. str. 284.

(2) Heideloff Orn. d. Mittelal. Zesz. XXIV str. 50 i pl. 6.

(3) Starożyt. Wiadom. o Krak. str. 284. Convers. Lex. f. b. K. T. IV str. 516. Pam. z Krak. Cz. II str. 20.

W r. 1504 znowu znajdujemy pewne dzieło mistrza Wita; w tym bowiem roku ze zwykłą sobie doskonałością, wykończył on wielki ołtarz szafasty do kaplicy Panny Maryi w Norymberdze, fundacyi Jakuba Welsera, znakomitego tamiecznego obywatela. Po rozebraniu ołtarza, przy nieszczęśliwej restauracyi kaplicy, tylko prześliczny posąg Bogarodzicy z Dzieciątkiem Jezus w całości z niego pozostał, i w późniejszych czasach pstro pomalowany, znajduje się obecnie na północnej ścianie kościoła P. Maryi w Norymberdze (1).

Powtórzeniem prawie wspomnianego wyżej grobowca Eitel-Fryderyka hr. Zoller jest pomnik który sobie i żonie swój Elźbiécie margrabiance brandenburskiej (zm. r. 1507) wystawić kazal Hermann VIII hr. na Hennebergu (zm. 1535 r.) w zbudowanym przez się kościele w Römheld mieście księstwa Sachsen-Meiningen. Długo jeszcze żył hrabia po wystawieniu sobie pięknego grobowca; ale zwyczajem to było dosyć w owych czasach powszechnym, że znakomitsze osoby wcześniej za życia swego, albo po śmierci najbliższych sobie krewnych, urządziły dla siebie wspólne miejsce wiecznego spoczynku; ztąd często wynika pozorna sprzeczność i wątpliwość w oznaczeniu czasu wykonania pomnika. Grobowiec Hermanna VIII, który szczęściem zupełnie cało się zachował, odlwany był najpodobniej przez Piotra Vischera z modelu, jak twierdzi P. Heideloff, roboty Wita Stwosza. Stanowi go zwykła skrzynia sarkofagowa, wsparta na sześciu lwach leżących; boki jej i narożniki przyozdobione są wieżyczkami, w których mieści się 10 figurek świętych Pańskich, wcale nieosobliwego modelowania i widocznie rozmaitej ręki. W trójkreśnych (trilobées) zaś wnękach pomiędzy niemi są herby przodków, również jak wszystkie ozdoby tego pomnika wybornie rzeźbione.

Lecz najcenniejszą jego częścią, i to właśnie Witowi przypisywaną, jest wyobrażenie obojga dostojnych osób dla których grobowiec ten wystawiony. Na wieku sarkofag przykrywającym znajdują się dwie wpół wypukłe postacie, niby stojące naprzeciwko siebie pod trójkreśnym ozdobnym łukiem. Hermann VIII w rycerskiej zbroi, w szyszaku pierzastym i zbrojnych rękawicach z chorągwie-

(1) Convers. Lex f. b. K. T. IV str. 517.—Heideloff. zeszyt X str. 32. Słow. Mal. Pol. T. II str. 232.—Staroż. Krak. Zesz. II str. 24.

wną kopią w jednej a koncerzem w drugiej ręce. Twarz jego, arcydzieło wykończenia i piękności, ustąpić jeszcze musi pod tym względem przed obliczem klassycznie pięknej Elźbięty, jego młodej małżonki, która tu w postawie pełnej ujmującej skromności wyobrażona, odziana bogatą szatą z różańcem w rękę. Układ i fałdowanie szaty, przy odznaczającej się na owe czasy i wcale u norymberskich mistrzów niezwyčajnej miękkości, celuje zarazem prostotą i prawdą. Rycerz stoi na lwie, symbolu mocy i władzy, jego zaś żona na psie, przypominającym wierność.

Na około tej rzeźby, na spadzisto pochyłym brzegu wieka jest napis; w czterech zaś rogach na okrągłych podstawach znajdują się swobodnie stojące cztery małe posążki Ewangelistów, widocznie innego dłuta. Na samym brzeżku wieka można dostrzedz małe znaki M. F. (może Meister Fischer) a w inném znowu miejscu W. S. 15 C. (zapewne Wit Stwosz 1500) (1).

Od r. 1504 do 1518 nie mamy pewnych wiadomości o robotach naszego mistrza, lecz może właśnie do tego długiego przeciągu czasu, oprócz grobowca Hermanna VIII, należy odnieść niektóre inne utwory rzeźbiarskie, dotąd nieoznaczone a Stwoszowi przypisywane, które po większej części znajdują się w Norymberdze, oraz w kilku innych miastach niemieckich. Wyznać jednak trzeba, że nie trudniejszego jak z pewnością rozróżnić jedno od drugich prace średniowiecznych mistrzów, nawet wtedy, gdy tajemniczy znak lub monogram naprowadzać się zdaje na prawdziwego twórcę. Trudność ta szczególnie w rzeźbach daje się uczuć, gdyż w malowidłach więcej można różnic upatrzeć. Dlatego też nigdy z całkowitą pewnością nie można utrzymywać, że ta lub owa rzeźba jest dziełem tego lub owego mistrza, jeżeli inne autentyczne źródło: podpis, rachunki lub wzmianka współczesnych, nie przychodzi w pomoc dla potwierdzenia domniemań na podobieństwie roboty i innych cechach opartych. Ten właśnie wypadek zachodzi z utworami Stwosza, któremu przyznają wiele rzeźb bez innego na to dowodu.

(1) Convers. Lexic. f. b. K. T. V str. 404. Heideloff obszernie dowodzi, że Stwosz robił modele do pomników Eitel-fryderyka i Hermanna VIII, również jak i Ottona IV, w dziele Ornäm. des Mittelalt. Zesz. VI str. 28—32 i Zesz. XXIV str. 49—51; tamże rysunki grobowców w Römheld i Hechingen. Zesz. XXIV pl. 5 i 6.

Gdy jednak zamierzaliśmy sobie zebrać w jedno wszystkie o znakomitym naszym mistrzu po różnych miejscach rozpierchnięte wiadomości, obowiązani jesteśmy pomiędzy niezawodnymi i te, acz niepewne ale prawdopodobne, dzieła Wita wyliczyć pokrótce.

Do takich należą: piękny ołtarz z drzewa rzeźbiony, który dawniej zdobił stary kościół P. Maryi w Hersbruck mieście bawarskiem, w dawnym okręgu Norymbergi, a po zniesieniu, czyli przebudowaniu kościoła 1737 r. wyrzucony, dziś stoi gdzieś w prywatnym miejscu (z niego krzyż i pastorał bardzo starannej roboty w drzewie złoconem podał P. Heideloff w szacownym dziele swoim) (1). Ołtarz w kościele św. Salwatora i drugi drewniany, również snycerskiej roboty w kościele św. Krzyża na św. jańskim przedmieściu, oba w Norymberdze (2). Tamże jest znacznego wymiaru Zbawiciel na krzyżu, umieszczony nad wielkim ołtarzem w kościele św. Wawrzyńca. Drewniana ta rzeźba, uznawana powszechnie za jeden z najlepszych utworów Stwosza, świeżo całkowicie wyzłocona, wiele na tém straciła; dawniej zaś tylko szaty złocono, przez co twarze i ciało lepiej odbijały (3).

Norymberski niegdyś cesarski zamek (die Burg) w swój starodawniej kaplicy, pomiędzy wielą kamiennymi i drewnianymi rzezbami, zawierać ma także niektóre Stwoszowi przypisywane, a mianowicie wypukło-rzeźbę z drzewa, koronacją N. P. przedstawiającą, wielce podobną do jednej z płaskorzeźb słynnego pozdrowienia anielskiego, (o którym niżej będzie). Rettberg utrzymuje, że ona jest rzeźbionem powtórzeniem znaniej ryciny Schöngauera (zm. 1488) (4). W szkole sztuk pięknych w Norymberdze ma się także znajdować N. M. P. z Dzieciątkiem Jezus tegoż mistrza Wita (5). Do pomniejszych robót Stwosza w Norymberdze liczą jeszcze świecznik drewniany w izbie radnej ratusza, wyrobiony wedle rysunku Albrechta Dürera, w postaci

smoka o trzech głowach i dwóch ogonach (1); a w kościele św. Idziego (Aegidius) w kaplicy św. Eucharystusa dwie w ołtarzach znajdujące się rzeźby drewniane. Jedna z nich wyobraża św. Pawła apostoła z mieczem w ręku, a druga Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus, któremu św. Katarzyna pierścień podaje (czyli ślubuje) (2).

W okolicy i pobliskich Norymbergi miastach znajdują się następne, rokiem wykonania ani też cechą mistrza nieopatrzone, drewniane rzeźby za utwory Stwosza poczytywane. O dwie mile od Norymbergi, w Schwabach, szafiasty ołtarz rzadkiej piękności, mający w swém zagłębieniu wyobrażoną Matkę Boską, która podaje Dzieciątko Jezus św. Annie; na boku stoją św. Józef i św. Joachim. Na stronie zewnętrznej skrzydeł ołtarza mieści się dziesięć płaskorzeźb przedstawiających rozmaite osoby św. Rodziny, na dwóch zaś bocznych przedziałach postacie dwóch Świętych.

W Heilbronn niedaleko Karlsruhe, w tamecznym kościele klasztornym, ma się znajdować Chrystus Pan ukrzyżowany roboty Stwosza, również jak w Rothweil (nie Bothweil) o 4 mile od Hechingen posąg Chrystusa Pana (3). Kugler, który szczegółowo opisywał dzieła sztuki na Pomorzu zachowane, twierdzi że dwa wielkie ołtarze, jeden w Anklam w kościele P. Maryi, drugi w Kołobrzegu (Kolberg) miastach pomorskich, są także dziełem Stwosza. Gdybyśmy zaś chcieli posłuchać różnych niemieckich pisarzy, tedy niemal każdą znakomitą rzeźbę drewnianą z tego czasu przyznaćby należało mistrzowi naszemu.

W liczbie tych wiemy z opowiadania, że w bogatym zbiorze bamberskich starożytności u prof. gimn. Rieder znajdować się ma kilka rzeźb pomniejszych, jakoby Stwosza (4). Podobnie i w innych miastach niemieckich; co zresztą nie dziwnego, gdyż mogą to być ułamki z jakich większych utworów tego snycerza, które, gdyby zebrane być mogły, możeby się okazały należącemi do jednego z wymienionych tu ołtarzów lub innych wielkich jego robót. Zawsze jednak prawdziwszemi mogą

(1) Heideloff Orn. d. Mittelalt. Zesz. I str. 5 pl. 8.

(2) Rastaw. St. Mal. Pols. T. II str. 232—233. — Na cmentarzu przy tym kościele pochowany Stwosz; tu także ma być pod ołtarzem wizerunek jego, o czém na końcu wspomniemy.

(3) Wolff und Mayer, Nürnbergs Gedenkbuch T. I str. 11.

(4) Conv. Lex. f. b. K. T. IV str. 523.

(5) Wolff u. Mayer N. G. T. I str. 52. — Rastaw. Sł. Mal. Pols. T. II str. 233. Staroz. i Pom. Krak. Zesz. II str. 24.

(1) Skarbn. n. Archeol. str. 91.

(2) Wolff u. Mayer N. G. T. I str. 58 Starozyt. i Pom. Krak. Zesz. II str. 24.

(3) Rastaw. St. Mal. Pol. T. II str. 235.

(4) P. A. Maciejowski widział je w przeszłorocznej podróży swojej.

być te dwie płaskorzeźby drewniane, które posiada biegły w tém znawca Heideloff. Są ony kwadratowe, po trzy stóp w boku mające. Jedna z nich przedstawia Dziecię Jezus, którego Józef i Marya znajdują między doktorami (1); druga zaś wyobraża obrzezanie.

Jeżeli więc chociaż część wyliczonych powyżej robót, pewną datą nieoznaczonych, pozostanie nadal przyznana Stwoszowi przez bezstronną porównawczą krytykę, tedy przeciąg lat kilkunastu, z którego nie mamy bliższych szczegółów do życia mistrza Wita, byłby niemniej jak inne epoki żywota jego obfity w utwory jeden drugiemu nieustępujące. Do innego albowiem czasu trudnoby odnieść wspomniane roboty; raz że i tak ciężko pojąć jak mógł podolać tylu i tak ogromnym pracom, które zapelniają życie jego aż do 1504 r., a powtóre że sądząc po sposobie wykonania i wedle opisów jakie nam o nich podają, utwory te myślą i robotą bardziej zbliżają się do późniejszych prac tego mistrza.

Rok 1518 odznaczony został ukończeniem wielkiego dzieła Stwosza, które powszechne pochwały ściera, zdobiąc w Norymberdze pyszny kościół św. Wawrzyńca. Jestto słynne pozdrowienie anielskie. Dzieje i przygody téj starannój rzeźby warte bliższego poznania. Mieszczanie norymberscy w latach blisko poprzedzających rozwinięcie się zobojętniającej do sztuk pięknych reformacyi Lutra, zamożni, czynni i oświeceni, przesadzali się jeden nad drugiego w zakładaniu kościołów, gmachów społecznego użytku, fundowaniu ołtarzów, obrazów, wzbogacaniu miasta w pożyteczne dzieła przemysłu lub przystrajaniu go w wyborowe utwory rzeźby i malarstwa. Starożytnie rody Imhof, Holzschuher, Welser, Schreyer, Tucher i t. p. stanowiły patrycyat do weneckiego podobny, a wielce od cesarzów i rozmaitych władców niemieckich poważany, który liczne i drogocenne pod każdym względem w Norymberdze i okolicach tego miasta zostawił pomniki hojności swojej i prawdziwie obywatelskiego ducha. Jeden z Tucherów, Antoni, był właśnie fundatorem rzeźby pozdrowienia anielskiego, na którą wyłożył 593 złotych (guldenów) ówczesnych. Zawieszona w powietrzu w większym chórze (presbyterium) kościoła św. Wawrzyńca, wkrót-

ce po rozszerzeniu w Norymberdze reformacyi uległa ona losowi wspólnemu wówczas wielu innym dziełom religijnym dłuta i pędzla.

Jeden z purytańskich pastorów, upatrując zbyt wiele wyrazu prawdy z pięknnością połączonój w postaci Bogarodzicy, spowodował zakrycie całej téj rzeźby osłoną, która dopiero w r. 1806 zdjętą została; ale za to umieszczono pozdrowienie anielskie nieco głębiej w chórze. W r. 1811 przeniesiono je do kaplicy zamkowej, ztamtąd do kościoła P. Maryi, aż wreszcie zwrócone zostało do kościoła św. Wawrzyńca na pierwotne swe miejsce. Przez ten czas jednak znikł bezpowrotnie misternój roboty mocny łańcuch, co dotąd przez trzy wieki prawie dźwigał w powietrzu ogromną tę rzeźbę, która, jakkolwiek z drzewa, przeszło 5 centnarów ważyła (13 stóp bawarskich wysoka, 11 stóp szeroka). Zastąpiono go sznurem, który w r. 1817 zerwał się, a delikatny utwór, spadłszy z wysokości stóp 40, w setne rozleciał się kawałki. Zebrano je wprawdzie, lecz zrzucone na kupę w składzie zakrystyjnym, byłyby może uległy zupełnemu zniszczeniu lub częściowo zostały rozprzedane, (jak to się stało z koroną zdobiącą niegdyś wierzchołek wieńca, która po upadku najcalszą się została i za blahe pieniądze sprzedaną była bez śladu); staraniom jednak p. Hejdeloffa i biegłości p. Rottermundt rzeźbiarza norymberskiego winniśmy, że w r. 1825—26 pokruszone kawałki dobrano, zlepiono pracowicie, naprawiono o ile się to dało bez zbyteńgo uzupełnienia, i że sławne to dzieło napowrót w dawném swém miejscu na mocnym żelaznym łańcuchu zawieszono, jest znowu przedmiotem podziwu i uwielbienia.

Pomysł rzeźby jest niezwyčajny; całość składa się z wianka owalnego i rzeźby w nim zawartój; wianek tworzą szeregiem obok siebie idące pięciolistne gotyckie róże, które co ośm oddzielone są pięcią okrągłymi niewielkimi płaskorzeźbami, wyobrażającymi ustępy z dziejów świętych. Do nich jeszcze należą dwie także okrągłe płaskorzeźby u wierzchu wieńca będące, na których, otoczona promieniami od dołu, wspiera się piękna postać Boga Ojca błogosławiącego, ze światem w lewój ręce, a koroną na głowie. Na promieniach ulatują dwa małe aniołki, a przy dwóch górnych płaskorzeźbach dwaj anieli śpiewają z towarzyszeniem instrumentów. Pod spodem wieńca znajduje się zwinięty wąż ku-

(1) Grab. Skarbn. n. Archeol. str. 90.

siciel z jabłkiem w pysku; od góry zaś do połowy wieniec opasany i wzmocniony jest różańcem papierowym, którego dwa końce po bokach zwieszane. Wewnątrz takiej ramy wskrós przejrzysto (à jour) wyrobionej mieści się właściwy obraz. Anioł z rozpostartą szatą służy za podstawę; na tém N. Panna w obszerniej zwierzchniej odzieży, okrywającej nieco obciślejszą spodnią suknią, w postawie pełnej skromnego wdzięku, książkę lewą ręką trzyma, prawą na piersi kładzie i w pokorze niewinności słucha zwiastowania. Na swobodnie spadających bujnych warkoczach N. Panny spoczął Duch Boży w postaci gołębicy, z rozpostartymi skrzydełkami, nad nim zaś ulatujący aniołek trzyma światłość (nimbus). Archanioł Gabryel, jako młodzieniec skrzydlaty, w sutój kapłańskiej szacie, której połę utrzymuje w fałdach ukryty aniołek, w postawie pełnej natchnienia prawą rękę podniósł do góry i z obliczem ku niebu zwróconém zwiastuje N. M. Pannie, a słowa anielskiego pozdrowienia wypisane są na wstędze obwijającej laskę którą w lewej ręce trzyma. Ponad głowami téj prześlicznej grupy, w czystych i poprawnych kształtach na tle powietrza wybornie odrzynającej się, ulatują aniolki skrzydlate, chór śpiewu i muzyki tworzące; każdy z nich, podobnie jak i archanioł Gabryel, ma na głowie mały krzyżyk, jako godło przyszłej męki Zwiastowanego. Dodać tu potrzeba że cztery z okrągłych płaskorzeźb wieńca, modelowane w gipsie przez samego Stwosza, znajdują się w ozdobnym suficie izby wystawy dzieł sztuki, w domu który niegdyś do przyjaciela jego Albrechta Dürera należał, a teraz przez norymberskie zgromadzenie przyjaciół sztuk pięknych w porządku jest utrzymywany (1).

Zdaje się że arcydzieło to, w którym Wit Stwosz sam siebie, jeśli można, przewyższył, było jedną z ostatnich jego prac tak wielkiego rozmiaru.

Coraz ku starości chylący się mistrz Wit, już przeszło 70 letni, może niechętnie większych podejmował się robót; lecz każda z pod ręki jego w tym czasie wychodząca odznaczała się wykończeniem i w wyższym jeszcze jak przedtem stopniu temi wszystkimi przymiotami, które główną

(1) O pozdrowieniu anielskiem piszą wszyscy; najobszerniej Wolff u. Mayer Nürnbergs Gedenkbuch T. I str. 9—11, tamże dobry rysunek na pl. 52. Conversat. Lex. f. b. K. T. IV str. 522. T. I str. 323.

zaletę utworów Stwosza stanowią. Oryginalność pomysłu, prawda w jego oddaniu, poprawność proporcji i kształtów, lekka naturalna i miękka draperya, odbija znacznie od współczesnych niemieckich, gdzie szaty jakby papierowe, pomięte (gekittert) wyglądają, którą to wadę i Stwosz w pierwotnych swoich rzeźbach nieco podzielał.

Okolo r. 1519 Konrad Imhof wybudował kaplicę na cmentarzu św. Rocha w Norymberdze, na którym spoczywa Piotr Vischer. W jednym zbocznych w niej ołtarzów znajduje się rzeźba drewniana, przypisywana Stwoszowi. Przedstawia ona ukrzyżowanego Zbawiciela, otoczonego aniołami i świętymi. U dołu aniołowie pocieszają cierpiących czyścówce męki (1).

W Schwäbisch Gmünd w Wirtembergu o mil 7 od Sztutgardu, Sebald Schreyer, ów protektor sztuk pięknych, (ur. 1446 zm. 1520) zbudował przy tamiecznym kościele św. Krzyża kaplicę na cześć patrona swego św. Sebalda, a według zdania p. Heidehoff piękny i wybornie zachowany ołtarz w téj kaplicy, z przepysznyim posągiem św. Sebalda, jest także dziełem naszego Stwosza (2).

Do tegoż czasu odnosiłaby się mała rzeźba na drzewie, wybornie zresztą wykonana, którą J. G. Korn 1838 r. we Wrocławiu posiadał, i która przy sprzedaży zbiorów jego za niewątpliwe dzieło Stwosza w Norymberdze roku 1520 wykonane podana jest w spisie. Wyobraża ona zdjęcie z krzyża Chrystusa Pana, i w przestrzeni dł. 17 cali, a wys. 8 c. mieści 30 osób. Dowodu jednak niemyślności tego twierdzenia żadnego nie posiadamy (3).

Niemniej koło tego czasu zapewne zrobioną została drewniana grupa Adama i Ewy naturalnej wielkości, doskonale zwyczajem średniowiecznym po wierzchu umalowana, którą Stwosz dla króla Emanuela portugalskiego (ur. 1469 zm. 1521) wykonał, ku wielkiemu podziwieniu tego króla, znawcy i miłośnika sztuk pięknych, jak tego ślad w starych kronikach odszukał p. Aleksander Lesser (4).

(1) Wolff i Mayer Nürnbergs Gedenkb. T. II str. 56.

(2) Heidehoff Ornam. des Mittel. XIII Heft str. 7.

(3) Verzeichniss der J. G. Kornschen Kunstsammlung welche öffentlich versteigert werden soll. Breslau str 14 N. 7, cena rzeźby 15 talarów; patrz o tém Łepk. Gaz. Warsz. N. 66 z r. 1853.

(4) R. Marggraff Kaiser Max. I u. Albr. Dürer in Nürnberg, str. 52.

W kościele P. Maryi czyli wyższym parafialnym na górze Kaulberg w Bambergu, wszedłszy przez drzwi przy wieży będące, widać na lewo od ściany drewnianej wyborniej snycerskiej roboty szafiasty, dawniej główny, ołtarz, jak anagramma na zworniku (Schlussstein) świadczy w r. 1523 wystawiony; na przeciwległej zaś jemu ścianie pod organami zawieszono są dwa skrzydła czyli drzwi od tegoż ołtarza, równie dobrze wykonane. Rzeźby te przynajmniej powszechnie Stwoszowi, którego znak ma być przy roku umieszczony (1). W środkowym obrazie ołtarza, wysokim stóp. 11 cali 9, a szerokim stóp 9 cali 11, przedstawione jest Narodzenie Chrystusa Pana, któremu w Betleem pasterze część oddają. Postacie tu w naturalnej wielkości, częścią całe, częścią w pół wypukłe, bez żadnego malowania, przedziwnie są oddane i należą do najlepszych robót Stwosza. Na skrzydłach ołtarzowych na cztery pola rozdzielonych znajdują się płaskorzeźbione: narodzenie N. M. Panny, Zwiastowanie, Nawidzenie i Oczyszczenie. Cały ten utwór, wykonaniem swoim bardzo przypominający Pozdrowienie Anielskie tegoż mistrza, odznacza się szczególnie szlachetnym a prawdziwym wyrazem twarzy, tudzież właściwym jemu lekkim i miłym układem (2).

Nim zakończymy przegląd utworów Stwosza na ostatniej jego pracy której rok wykonania pewny, zastanowimy się chwilę nad precudną rzeźbą niedawno w kościele św. Jakuba w Norymberdze umieszczoną. Przedtém zdołała ona jeden z kościołów, których tyle w Niemczech w skutek bądźto reformacyi, bądź opuszczenia lub starości zruinowanych albo całkiem zniesionych zostało. Wypukło-rzeźba ta, nieco mniej niż naturalnej wielkości, z drzewa wyrobiona (której sztych przy niniejszym dajemy) przedstawia Matkę Boską ubolewającą nad zwłokami Zbawiciela. Cudny jej układ niemniej zachwyca jak samo wykonanie. W postaci Jezusa Chrystusa nie martwe zwłoki jego oglądamy, lecz ciało które na chwilę duch opuścił, by je znowu potem ożywić. Niema tu sztywności tworzącej, pozostała żywotna miękkość, tak dobrze

mianowicie w rękach oddana; piersi tylko zanadto wypukłe zdają się.

U Matki Boskiej, którą z rafaellową jaką Madonną porównać się godzi, widzimy oblicze pełne idealnej, głębokiej chrześcijańskiej myśli. Nie znać tu ziemskiej rozpacz; w swój niemiej boleści zdaje się Ona jeszcze uwielbiać Syna Bożego, a wśród macierzyńskiej tęsknoty widać promień pociechy, czerpanej w przecuciu zbawienia ludzi, które srogim cierpieniem Zbawca okupił. Prostota i prawda wszędy u Stwosza przemagają; dusza jego musiała dobrze pojmować wszystkie szczytne i rzewne uczucia, a biegła ręka bez wysilenia umiała je oddać. Szata Matki Boskiej odznacza się naturalnym fałdowaniem i miękkością; znać nawet różnicę wątku pomiędzy płaszczem i podwiką. Podziwiać także potrzeba znajomość anatomii, umiejętność kształtowania kończyn ciała; ręce bowiem i nogi zwykle u Stwosza doskonale są rzeźbione.

Jako ostatnią wreszcie wielką jego rzeźbę, którą wykonał mistrz Wit w r. 1526, uważać należy wyobrażenie Ukrzyżowanego Zbawiciela, kolosalnej wielkości, umieszczone nad ołtarzem w kościele św. Sebalda w Norymberdze. Głowę Chrystusa Pana uważają powszechnie za arcydzieło snycerskiej sztuki. Przy tymże ołtarzu stoją, zapewne jedną całość z krucyfiksem tworzące, niemniej piękne dwa posągi N. M. Panny i św. Jana.

Kurfirszt moguncki, jak powiadają, dawał za te trzy rzeźby tysiąc dukatów w r. 1652 (1).

Od 1526 r. ustają wiadomości o pracach Wita Stwosza; około tego czasu bowiem, skutkiem wieku (miał lat 79) i pracy usilnej, ociemniał, i odtąd aż do śmierci w Norymberdze na ustroniu spokojnie przebywał, gdzie sędziwego jeszcze doczekał wieku.

W Krakowie ożeniony, snać tamże owdowiał po roku 1486, gdyż w Norymberdze w pierwszych latach swego pobytu już pojął Barbarę Herczin za żonę. Z pierwszego małżeństwa miał kilkoro potomstwa, które pozostało w Krakowie po przeniesieniu się ojca do Norymbergi. Dwaj starsi jego synowie, Stanisław i Marcin, także snycerstwu się oddawali, a Stanisław od r. 1515 do 1527 pięćkroć obierany był starszym zgromadzenia malarzów i snycerzów. W Norymberdze z Barbary Herczin

(1) Conv. Lex. f. b. K. T. IV. str. 525.

(2) Sind ganz in der zarten, edlen, anziehenden Art des krakauer Meisters.—Con. Lex. f. b. K. T. II str. 38 i tamże T. I str. 322.

(1) Convers. Lex. f. b. K. T. IV str. 526. Wolf. u. Mayer Nürnbergs Gedenkbuch T. II str. 58.

miał znowu Wit Stwosz trzech synów: Wita, Filipa i Krzysztofa, którzy wyuczywszy się sztuki ozdobnego pisania od Jana Neudorffer sławnego kaligrafa, a dla nas i ztego wielką mającego zasługę, że pozostawił niejaki szczegóły do życia Stwosza, byli potem w Wiedniu pisarzami cesarzów niemieckich Karola V, Ferdynanda I i Maksymiliana II, i od tego ostatniego prawem szlachectwa zostali udarowani.

Kiedy ich stary ojciec ociemniał, Stanisław około 1527 r. pośpieszył do Norymbergi, lecz niezadługo, bo przed 1530 r., uprzedził tam ojca do grobu.

Przeżył nasz znakomity rodak przyjaciół, współpracowników i rówieśników swoich, a największych współczesnych mistrzów niemieckich i włoskich, którzy się niejednokrotnie z sobą znosili i wzajemnie siebie wyprzedzać usiłowali na polu sztuki. Pochował on w roku 1500 protektora swego, znakomitego Sebalda Schreyera; w 1528 przyjaciela Albrechta Dürera, blisko którego na cmentarzu św. Jana spoczął. W roku 1529 umarł Piotr Vischer; Rafael już w 1520 nie żył, a Leonardo da Vinci umarł w 1527. Słowem wszystkie prawie naonczas w dziedzinie sztuki jaśniejące gwiazdy razem prawie zagasły, kończąc wraz z sobą ów świetny periód, o którym na początku wspomnieliśmy. Pozostali tylko dwaj młodzi jeszcze podówczas mistrzowie na dwóch krańcach Europy, z których każdy miał nowy a właściwy sobie popęd nadać malarstwu i rzeźbie, Holbein i Michał Anioł.

Dzieła Stwosza świetnie zamknęły okres snycerstwa właściwie średniowiecznego, i to zaiste nie należy do najmniejszych jego zalet, że jednakim pozostał aż do końca, nie przechwytyjąc z tamtej strony Alp zalatujących wznowień. Ociemniały, osierocony prawie, a może i zapomniany wpośród uwielbianych arcydzieł swoich, zgasł w Norymberdze w jesieni 1533 r.

Wielki mistrz krakowski dożył późnej starości, Neudorffer powiada że 95go roku życia, coby urodzenie jego na rok około 1438 odnosiło, nie zaś na 1447, jak powszechnie za Doppelmayem przyjmują. Że w roku 1534 już nie żył, są ślady w aktach krakowskich, zapisujących w kwietniu tegoż roku spadkowe po nim spory (1). Zwłoki jego pochowane zostały na cmentarzu św. Jana, niedaleko

od miejsca gdzie pogrzebiony był Albrecht Dürer. W kilkadziesiąt lat dopiero po jego śmierci położono wielką płytę kamienną dotąd istniejącą na grobie Stwosza, z brązową tablicą na której taki napis:

Veit Stwosz und seine Erben auch

Hansen Kezler und

Hansen Karner und Iren

Erben Begrebnisz 1591 (1).

Przejrzeliśmy wszystkie roboty snycerskie Wita Stwosza o jakich tylko zdołaliśmy wiadomości zasięgnąć. Przegląd ten nie może być ani zupełnym, ani też ściśle krytycznym; potrzebaby do tego na miejscu starannie każdą pracę jego zbadać, i zebrawszy po różnych stronach rozpierchłe o nich wiadomości, sprawdzić je głębszym rozbiorem. Tylko zamożni protektorowie sztuki krajowej mogliby tę wielką i istotnie pożyteczną dla niej wyświadczyć przysługę, łożąc na potrzebne w tym celu poszukiwania i wydanie ich owoców w oddzielnej monografii, opatrzonej dokładnymi rycinami wszystkich jakieby się wynaléć dały rzeźb Wita Stwosza. Byłby to pomnik godny takiego mistrza, którego prawdziwa wartość i wpływ niezmierny jaki na sztukę owoczesną wywiéwał, wtedy dopiero w prawdziwém okazałyby się świetle.

Średniowieczni mistrzowie mieli chwalebny zwyczaj przy znakomitszych dziełach umieszczać swój wizerunek na pamiątkę łożonej pracy i myśli, które zarówno w sobie jak i w drugich sprawiedliwie oceniać lubili. Pod jednym tedy z norymberskich ołtarzów Stwosza roboty, a podobno w kościele na cmentarzu św. Jana przechowującym zwłoki Wita, znalazło się popiersie rzeźbiarza, które świeżo w Norymberdze dobrze wysztychowano (2). Głowa piękna, pełna ognia i myśli, taka właśnie jakbyśmy wyobrażać sobie mogli mistrza naszego w 60 roku jego życia. Znany warszawski malarz historyczny p. Aleksander Lesser posiada znowu w bogatym zbiorze swych podróźnych rysunków wizerunek, który z innego względu niemniej wiarygodnym się zdaje. U jednego wspornika pod schodami organów w kościele św. Wawrzyńca w Norymberdze, w którym właśnie znajdują się najcenniejsze utwory Stwosza, widać z kamienia wyciosanej pół postaci rzeźbiarza, z młotem w ręku, twa-

(1) A. Grab. Skarbn. Archeol. str. 92.

(2) Przy dziełku: Scenen aus Nürnbergs Künstler Welt v. T. Wagner 1852 r. Łepk. Gaz. Warsz. 1853 r. Nr. 60.

(1) A. Grabowski Star. Krak. Zab. str. 158.

rzy średniego wieku, typu polskiego, z wąsem dużym, czapka długa na lewe ucho zwieszona głowę mu przykrywa, a czamara ma pętlice. To wszystko daje powód do domysłu iż wizerunek ten Stwosza przedstawia.

Powiadają że Wit Stwosz oprócz rzeźbienia osób biegłym był w wyrabianiu z drzewa planów czyli mapp wypukłych, pokazujących wszystkie zmiany powierzchni okolicy, góry, rzeki, miasta, lasy i t. p. w naturalnej ich formie (1). Żadna jednak z tych mapp nie pozostała na świadectwo tego twierdzenia. Utrzymują także iż niekiedy zajmował się malowaniem obrazów. Że był dobrym rysownikiem wiemy dowodliwie, ale dotąd żadnego nieznanego obrazu, któryby jemu z pewnością przypisać można; to tylko pewna, że wszystkie jego rzeźby, prócz dwóch lub trzech, starannie i umiejętnie malowane były, obyczajem zaś wieków średnich szaty wzorzysto złożone bywały.

(1) R. Marggraff Kai. Max. I und A. Dürer in Nürnberg str. 53.

Świeże poszukiwania p. J. D. Passavant (1) upewniają, że istotnie Wit Stwosz trudnił się czasami rytowaniem, jak to już Bartsch dawniej utrzymywał. Do trzech rycin przez Bartscha znanych i wiadomą cechą mistrza oraz literami F. S. oznaczonych, dodaje on jeszcze ośm podobnych, powiadając że w rycinach tych znać zupełnie wszystkie też same przymioty i szczególności co w rzeźbach Stwosza.

Dla dopełnienia wreszcie tej rzeczy zajmującym będzie wspomnieć o pięknym przedsięwzięciu pp. braci Lorenz i Michała Rotermundt, rzeźbiarzy w Norymberdze, którzy dla upowszechnienia pysznych dzieł sztuki średniowiecznej, tak obfitych w Norymberdze i jej okolicach, ciekawsze rzeźby, ozdoby i tym podobne części robią w dobrych, odlewach gipsowych, których już znaczny zbiór posiadają, a między niemi wiele odlewów z robót Wita Stwosza. Odlewy takie są u nich do nabycia (2).

(1) Deutsches Kunstblatt 1850 N. 29 str. 228.

(2) Heideloff Orn. d. Mittelalt. zeszyt XX. str. 16.

B. Podczaszyński.

ŁABĘDŹ.

„Nadobność, wdzięk postawy, piękność kształtu odpowiadają w łabędziu łagodnej jego naturze; podobna się on wszystkim nań patrzącym; zdobi, upiększa miejsca w których przebywa; lubimy go, poklaskujemy mu, podziwiamy go, i żaden też ptak więcej na to nie zasługuje. W rzeczy samej na żadne może stworzenie nie wylała natura tyle darów powierzchniowych: wytworny układ ogółu ciała, zaokrąglone jego części, mile wpadające w oko kontury, świetna i czysta białość, łatwe, giętkie, a zawsze pełne lubości poruszenia, postawa już ożywiona, już miękkim zaniedbaniem ujmująca, wszystko to w łabędziu sprawia urok jakiego doświadczamy na widok powabnej piękności, wszystko w nim do nas przemawia i wszystko usprawiedliwia ów myt dowcipny, co ptaka tego robi ojcem najpiękniejszej kobiety.

„Przypatrzwszy się jego szlachetnej postawie, jego łatwym i swobodnym ruchom na wodzie, uznać go koniecznie musimy nietylko za pierwszego pomiędzy istotami skrzydlatymi pływacza, ale za najdoskonalszy wzór jaki natura podać mogła dla sztuki żeglarskiej. Jego wysmukła szyja, jego pierś podniesiona i zaokrąglona zdają się rzeczywiście przedstawiać przód okrętu fale morskie prującego; szeroki brzuch jego, to spód okrętowy, a naprzód pochylone ciało w żegludze podnosi się od tyłu, jak zwykle tył okrętu; ogon prawdziwym jest stérem, a nogi szerokimi wiosłami; wielkie zaś, na wpół do wiatru otwarte i lekko rozdęte skrzydła, to żagle, co pędzą ten żywy statek, będący razem okrętem i stérnikiem.

„Dumny ze swój piękności, łabędź zdaje się chcieć nią popisywać, zdaje się pragnąć pochwał, zwraca



cania na siebie oczu wszystkich. I w rzeczy samej miło nań patrzeć, już to gdy stadem nadpływa, już gdy, na zawołanie lub dany znak zbliżywszy się pojedynczo do brzegu, dozwoli podziwiać powabne swe kształty i zachwycać się wdziękiem swych poruszeń zawsze miłych i zręcznych.“

Takito wspaniały obraz łabędzia podał Buffon, i nie w nim nie przesadził. Szlachetny ten ptak pokazuje prawdziwie, że wie o korzyściach jakimi go natura powierzyła; lubi on szczególnie swobodę, a chociaż nietylko dziko ale i przyswojony żyje na naszych wodach, to przecież do pewnego tylko stopnia przyjmuje opiekę i przysługi ludzi, których zdaje się uważać jakby za swych gospodarzów, gości i przyjaciół, a nigdy za panów. Szczególniej we wzajemnych stosunkach między samcem a samicą, w ich zobopólnych pieczętach, widzieć się daje moc wewnętrznych uczuć któremi się te ptaki nawzajem ku sobie powodują. Samiec i samica równie są troskliwe o swe pięskłeta, jak przywiązane jedno do drugiego. Samica we dnie i w nocy tuli je pod swe skrzydła, a samiec, ojciec, broni je nieustraszenie od wszelkiej napaści; jego odwadze w takich okolicznościach zrównać tylko może zapalczywość z jaką występuje do walki z rywalem, coby zakłócić mu chciał spokojne posiadanie ukochanej towarzyski. W tychto dwóch okolicznościach, zapominając o wrodzonej łagodności, staje się okrutnym, bije się zawzięcie, i częstokroć zadaje śmierć nieprzyjacielowi lub sam ją ponosi, jeżeli inne łabędzie, świadki téj walki, przewidując pewno jej skutki, nie wmięszają się między walczących, nie rozłączają ich i jakbądź nie pojednają. Siła u tych ptaków jest głównie w skrzydłach; skrzydłami téż ony zadają razy tak mocne, iż przebrać mogą nogę lub rękę człowiekowi. Przy takiej sile i odwadze nie lękają się żadnego drapieżnego ptaka; samemu nawet orłowi obronić się potrafią.

W ogóle jednak spokojne są ich skłonności i obyczaje, byle tylko zostawić je samym sobie; gdyż nie lubią sąsiedztwa innych, nawet powinowatych ptaków, jakoto gęsi lub kaczek. Nadzwyczaj będąc schludne, codziennie troskliwie porządkują, układają i myją na sobie piérze; biorąc wodę dziobem polévają nią grzbiet i skrzydła, ze starannością okazującą chęć podobania się. Same tylko troski macierzyńskie względem piskląt przerywać mogą

w samicy nieustanne zajęcie około czyszczenia swego pokrycia.

Żyją towarzysko, czy to w dzikim stanie latając bardzo wysoko, i prawie podobnie jak gęsi i kaczki, szykując się wtedy w trójkąt, dla łatwiejszego przerzynania powietrza, czy téż, jako oswojone, pływając po większych rzekach, stawach i parkowych kanałach. W pływaniu łabędzie są tak zręczne, iż człowiek idący szybko nad brzegiem kanału lub stawu zaledwo zdążyć za nimi może. Z trudnością im przychodzi wzbić się w powietrze, ale za to wznoszą się i latają wysoko i bardzo długo bez odpoczynku. Jako zaś zręcznie i biegle pływają na wodzie, tak przeciwnie trudno, niezgrabnie chodzą po lądzie, i wiele wtedy tracą z nadobnego kształtu swojego.

Wspomnieć nam tu wypada o zdolności jaką łabędziowi przypisują poeci, a której jednak całkiem odmówiła mu natura. Według nich ptak ten słysząc daje przy wschodzie jutrzeńki, na kilka chwil przed zgonem, śpiew cudownie melodyjny; a przecież całym jego głosem jest tylko mocne sykanie, które zdaje się być u niego znakiem odgróźki lub gniewu; zresztą łabędź jest niemy. Z tém wszystkiém na wolności w dzikim stanie żyjący wydaje niekiedy pojedyncze przerywane krzyki; ale to bardzo dalekie od melodyi jaką mu poeci przypisują.

W historii naturalnej łabędź u jednych autorów stanowi oddzielny rodzaj, u drugich, zacząwszy od Linneusza, jest podrodzajem w wielkim rodzaju kaczki (Anas). Gatunków łabędzi liczą już do dziewięciu, rachując w to łabędzia czarnego, mieszkańca Nowej Hollandyi. Łabędzie w rodzaju kaczek i gęsi odznaczają się szczególnie gołym paskiem skóry, zwanym *uzdą*, który od dzioba zachodzi na głowę aż do oczu, a którego kolor u różnych gatunków bywa różny, i zmieniając się z wiekiem ptaka, po pewnych dopiero latach nabiera stałej barwy. Dziób łabędzi jest poziomo wyprostowany, płaski, na przodzie zaokrąglony, wogólności dłuższy od głowy. Brzegi górnej szczęki w kierunku do wewnątrz, a dolnej na zewnątrz osadzone są wielą ostremi poprzecznymi listewkami, które jedne za drugie zachodząc służą ptakowi do babrania szlamu, tak iż najmniejsze pomieszane z nim żdźbło, na pożywienie przydatne, wynaléć i przytrzymać potrafi. Język ma dosyć szeroki, płaski, mięsisty; szyję bardzo długą, którą zwykle esowa-

to zagiętą trzyma. Ciało łabędzia jest długie, obszérne, wysmukłe, do pływania usposobione. Skrzydła wielkie, i, jak się już powiedziało, nadzwyczaj silne; ogon przykrótki, ostro zbiegający. Nogi krótkie, mocne, palce ich połączone błoną pomagającą do pływania. Wyżej od przednich osadzony palec tylny jest krótki, ledwo ziemi sięgający. Palce zakończone małemi, zaokrąglonemi pazurkami, których brzegi są ostre.

Pospolita barwa upiérzenia łabędzia jest biała, na młodych przed wypiérzeniem czarna lub brunatno-szara, wyjąwszy gatunek nowo-hollandski, który cały i we wszystkich porach wieku jest czarny. Raz tylko do roku piérzą się, a to latem; przy nadchodzącej zimie ciągną ku południowi; liczą się więc do ptaków przelotnych. Główném ich pożywieniem są różne części roślinne; jedzą téż owady, drobne mięczaki i płazy, rzadko kiedy ryby. Samica znosi od 5 do 8 jaj, które są podługowate, gładkie, zielonawe lub brudno-białe. Polujący na łabędzie liczą je do najprzezorniejszych i trudnych do ubicia ptaków.

Z pomiędzy europejskich gatunków zamieszczamy tu, z ryciną, opis gatunku *łabędź nadobny* czyli *swojski* (*Cygnus olor*, *C. gibbus* v. *C. sibilus*); figura na prawo u dołu wystawia samca starego, u góry młodego łabędzia, a na lewo młode, jeszcze w gniaździe piskłę.

Stary łabędź nadobny, w zupełnej, właściwej mu barwie, odznacza się szczególniej ceglasto-czerwonym dziobem, który ma po bokach brzegi czarno obwiedzione. W tymże kolorze są: obiedwie uzdy czyli gołe miejsca między dziobem a oczami, garb okrągławy na wierzchu dzioba blisko czoła, koniec przedni dziobu i nogi. Tęcza w oku ciemno-orzechowo-brunatna; zresztą całe upiérzenie śnieżnej jest białości; na głowie tylko i na szyi, od ciągłego babrania w brudnej, szlamistej wodzie, nabiera z czasem żółtawego, brudnego koloru. Długość tego ptaka, od końca dzioba aż do końca ogona, wynosi do $5\frac{1}{2}$, a szerokość w rozciągniętych skrzydłach do $8\frac{1}{3}$ stóp; wymiary te jednak u samicy bywają nieco mniejsze. Wysmukła szyja mierzy zwykle 2 stopy. Ogon krótki, ostro-klinowato kończący się. W młodości dziób i nogi są błękitnawe, szare, a garbu ledwo znak. Z góry uważany młody okazuje się jakby brunatno-czarno-luskowaty, także boki i brzuch. Policzki także, szyja

i piersi nie są tak czysto-białe jak na świeżo wypiérzonym starym łabędziu. Nakoniec miękkie puchowe upiérzenie piskląt w gniaździe jest na przodzie szyi, na piérsiach i brzuchu matowo-białe, a na głowie, na tyle szyi i grzbiecie popielate. Nogi ich są ciemno-błękitno-popielate, takiż dziób, na którym jeszcze niema śladu garbu. Piérzenie się tego łabędzia przypada w miesiącach lipcu i sierpniu. W tym czasie, dopóki mu lotki nie odrosną, naturalnie nie jest zdolny do lotu; dziko więc żyjące łabędzie trzymają się wtedy przez ostrożność na środku obszérnych wód.

Łabędź nadobny lubi klimat umiarkowany; dlatego na wielkich jeziorach południowej Syberyi bywa dosyć pospolity. Nietyle liczny jest w Prusach, w Polsce, i w krajach środkowych Niemiec. Na południu pokazuje się aż do Włoch południowych, Grecyi, a nawet Azji mniejszej i Persyi.

Naturalnie mowa tu tylko o dzikich łabędziach, gdyż oswojone i chowane w parkach wszędzie być mogą, i te na zimę nie odlatują. Godne są szczególnej wzmianki niezmierne kolonie łabędzi w okolicach Berlina, na wodach rzeki Sprei. Kolonie te składają się jużto z przyswojonych, których jest większa liczba, już z dzikich z piérwszemi łączących się łabędzi. Ostatnie téż na zimę odlatują, a z wiosną powracają i znowu gnieźdzą się wspólnie.

Łabędź nadobny jest ptakiem, bardziej niż inne tego podrodzaju gatunki, kłótliwym, i swoją złośliwość wywiéra nietylko na drobniejsze od siebie ptastwo, ale nawet na czworonożne zwierzęta i ludzi. Oswojony, szczególniej nienawidzi dzieci.

W czasie letnim, gdy się zaczyna niesienie jaj i wysiadywanie piskląt, łabędzie żyją parami, w jednym obranym obwodzie, gdzie wtedy innym przebywać ani gnieździć się nie pozwalają. Kąsając dziobem i bijąc skrzydłami usiłują oddalić sąsiadów, a to tak zapalczywie i zawzięcie, iż widziano podobne walki kończące się śmiercią jednego z walczących. Gdy zaś nadchodzi czas odlotu, w jesieni, zbierają się w stada częstokroć do 60 sztuk liczące. Do lotu szykują się w szeregi, nie tak ostry jak dzikie gęsi, ale bardziej roztwarty kąt tworząc.

Łabędź o którym tu mówimy żywi się miękkimi częściami różnych roślin wodnych, owadami, robakami, ślimakami, tudzież ikrą żab i innych po-

dobnych zwierząt. Szuka zwykle pożywienia w miejscach płytkich, po brzegach wody, gdzie dziobem gruntu dosięgnąć może; nie nurza się bowiem pod wodę, jak gęsi lub kaczki.

Dziko żyjąc, w marcu już gniazdo słać zaczyna, czém szczególnież zatrudnia się samica. Obiera do tego miejsce jużto na łądzie, już w połamanych i przygiętych źdźbłach suchej trzciny, sitowia, rogoży i innych wodnych roślin. Pierwszy pokład gniazda daje z suchych badyli roślin i gałęzi; dalej nakłada drobniejszych, miększych materyałów, cieńszej trzeinki, liści rogożowych i drobnych różeg. a w końcu urządza na tém posłanie z liści, suchej trawy i t. p. Gniazdo mało bywa pogłębione, w średnicy do 4 stóp obszerne. Przy końcu, a nawet już około połowy, kwietnia samica znosi 5—8 jaj 4 $\frac{1}{2}$ cali długich, 3 cale grubych, koloru brudno-

popielato-zielonawego. Wysiada je bardzo długo, bo 5 do 6 tygodni, poczem wylęgłe, puchem szarym pokryte pisklęta drugiego lub trzeciego dnia udają się z matką na wodę, i zwykle się jej trzymają.

Mięso młodych jest bardzo smaczne; ztąd w wielu okolicach pilnie na nie polują. Ponieważ zaś nigdy się od matki nie oddalają, nie można więc tyle do nich się zbliżyć, iżby je szrótem strzelać, i dlatego w większych odległościach sztućca i kuli używać trzeba. Starsze téż są tak mocne, że strzał szrótem nie zawsze dla nich bywa śmiertelnym. Biją je nietyle dla mięsa, ile dla kosztownego puchu, który razem ze skórą wyprawioną daje drogocenne futerko łabędziowe.

E. L. b. prof. n. p.

POLOWANIE W AFRYCE.

Z pomiędzy wszystkich ludzi, (przytaczamy tu słowa jednego ze znakomitych pisarzy i wojowników francuzkich, jenerała E. Daumas) jakich spotkałem w zawodzie który do różnych zbliżył mnie osobistości, jeden tylko posiadał głęboką znajomość i jasne, pewne pojęcie o ludzie arabskim: człowiekiem tym był Abd-el-Kader. Udałem się do niego na kilka miesięcy przed ułaskawieniem wracającym mu wolność, prosząc o udzielenie spostrzeżeń nad kołmi Sahary, a razem o jakie szczegóły bytu afrykańskiego. Szkic ten prawie cały jest wyciągiem z długiego listu pisanego jego ręką. Przysłowia arabskie, wyrażenia wschodnie, powszechne w Afryce przesady, słowem wszystko co tylko może zająć umysł w przedmiocie na który zwracam tu uwagę, zostawiłem bez zmiany. Opowiadanie zaś swoje rozpocznę, podobnie jak Abd-el-Kader, podaniem, posiadającym według mnie niepospolitą prawdę i żywość.

Powiadają że pewien szejik arabski siedział pośród licznego zgromadzenia, gdy człowiek który utracił osła stanął przed nim, pytając czy kto nie

widział zbląkanego bydłęcia. Szejik natychmiast obrócił się do obecnych i rzekł: „Czy jest kto między wami coby nie znał polowania? coby nigdy nie ścigał zwierza, bojąc się narazić na śmierć lub kalectwo przez upadek z konia? coby z obawy podarcia sukni i podrapania twarzy nie rzucił się w krzaki cierniste, dla osiągnięcia dzikiego zwierza? Czy jest kto między wami coby nieczuł szczęścia z wynalezienia, a rozpaczy z opuszczenia ukochanej kobiety?“ Jeden z słuchaczy odrzekł: „Ja tego o czém mówisz nigdy ani robiłem, ani doznawałem.“ Szejik spojrział na właściciela osła: „Oto bydłę którego szukasz, zwołał, zabierz go sobie!“

Rzeczywiście Arabowie mówią: „Kto nigdy nie polował, nie kochał, nie zadrzał na dźwięk muzyki i nie szukał zapachu kwiatów, ten nie jest człowiekiem, lecz osłem.“ U narodu który wojnę uważa za popis w zręczności i przebiegłości, polowanie jest najpierwszą z rozrywek. Ściganie dzikich zwierząt uczy ścigania ludzi. Oto arabska pochwała téj sztuki, której nie brak ani myśli rozsądnej, ani poezji, dwóch rzeczy częściej chodzących w parze

niżby kto może mniemał: „Polowanie uwalnia umysł od trosk, dodaje siły pojęciu, sprowadza radość, rozprasza smutek, i utrzymując ciągle zdrowie w ciele ludzkim, czyni naukę doktorów bezużyteczną. Ono tworzy dobrych jeźdźców, uczy bowiem szybko dosiąść konia, prędko zeń zeskoczyć, przesadzać konno skały i przepaście, pędzić czwałem po kamieniach i krzakach, i biedz bez zatrzymania, nawet wtedy gdy uzda się rozerwie. Człowiek oddający się polowaniu, codzien odważniejszy, uczy się gardzić niebezpieczeństwem. Dla ulubionej zabawy rzuca on ludzi przewrotnych, pokonywa kłamstwo i potwarz, wydzięra się zepsuciu, uwalnia od tych nieszczęsnych namiętności, co przypuszczają brody siwizną, a ramiona nasze przed czasem ciężarem lat obarczają. Dnie polowania nie liczą się pomiędzy dnie życia.“

W Saharze jedynym zajęciem naczelników i ludzi bogatych jest polowanie. Za nadejściem pory deszczów mieszkańcy tej okolicy kolejno przenoszą się na brzegi małych jeziorok utworzonych przez nieba krynice. Jak tylko im zbraknie zwierzyny na jednym punkcie, zakładają swoje koczowisko w drugim. Zdarzenie w którym, podobnie jak w wielu innych podaniach arabskich, znaleźć można ducha legend średniowiecznych, dowodzi z jaką siłą namiętność myśliwstwa może ovladnąć duszę Afrykanina. Pewien bogaty człowiek strzelił razu jednego do gazelli, i chybił. W przystępie gniewu przysięgł że nie dotknie żadnego pokarmu ustami, aż zje wątrobę tego zwierzęcia. Jeszcze dwa razy strzela do gazelli, i jeszcze dwa razy chybia; niemniej jednak ściga ją przez dzień cały. Z nadejściem nocy siły go opuszczają; lecz, wierny przysiędze, nie przyjmuje żadnego pokarmu. Słudzy jego dalej ścigają zwierza, i polowanie to trwa trzy dni. Nakoniec gazella pada, a wątrobę jej przynoszą Arabowi, który zbliża ją do ust, a potem ostatnie wydaje tchnienie. Czyż to nie podobne do ślubów religijnych dawnych rycerzów, ze względu na skrupulatną ścisłość, niezwykłość i romantyczne rozwiązanie?

Arabowie polują konno i pieszo. Jeździec, chcąc ścigać zająca, musi wziąć z sobą charta. Charty nazywają się *slugui*; nazwisko to biorą od miejsca gdzie się rodzą, podobno z połączenia wilczyc z psami. Takie mieszanie się nie jest niemożliwym; Buffon przytacza na to świadectwa niepo-

szlakowanej wiarogodności. Gazellę także zwykle konno ścigają, lecz przeciw niej używają zawsze strzelby, gdyż slugui mogące uchwycić ją w biegu bardzo są rzadkie. Gazelle nadchodzą w stadzie, łowiec puszcza konia galopem, mierzy w gromadę do upatrzonego zwierzęcia i strzela, nie zatrzymując wcale konia. Przysłowie arabskie mówi: „Krótszej pamięci niż gazella.“ Rzeczywiście to piękne zwierzę, ze słodkim jak wzrok kobiety i tajemniczym spojrzeniem, równie też jak ona jest płochę. Gazella chybiona biegnie trochę dalej, nie troszcząc się o olów co za chwilę w nią uderzy. Niektórzy z Arabów wypuszczają na nią sokoły, przyuczone do wydziobywania oczu swjej ofiary.

Ten rodzaj polowania używany jest szczególnie w kraju Eszul. Abd-el-Kader napotkał tu małe pokolenie zwane *Es-lib*, żyjące tylko polowaniem. Jeden z członków tego pokolenia mówił emirowi, że zwykle wychodził z domu z osłem obładowanym solą. Jak tylko powalił gazellę, podrzynał jej gardło, rozparał brzuch, nacięrał wnętrzności solą, a potem zostawiał na krzaku żeby wyschła. Powracał następnie tą samą drogą, i tak przygotowaną zdobycz przynosił rodzinie; niema bowiem w tym kraju ani jednego mięsożernego zwierzęcia, któreby z człowiekiem spór wiodło olupy. Es-libowie tak są przyzwyczajeni do mięsnego pożywienia, że dzieci ich rzucały suchary które im dał Abd-el-Kader, nie mogąc sobie wyobrazić żeby ony zdatne były do jedzenia.

Niebezpiecznym bardzo jest polowanie na leruja, zwierzę podobne do gazelli, lecz znacznie od niej większe. Leruj, zwany także *tis-el-dzebel* (kozieł skalny), mieszka wśród skał i przepaści; zwyczajny pies jednak chwytą go z łatwością gdy tylko zejdzie w dolinę. Leruj, ścigany przez łowców, rzuca się jak mówią w przepaść sto łokci głęboką i pada na głowę, nie zrobiwszy sobie szkody. Wiek tego zwierzęcia pozują po kręgach jego rogów, których corocznie przybywa po jednym.

Jeżeli łowy na leruja są tryumfem pieszego człowieka, polowanie na strusia jest tryumfem jeźdźca. W dniach panowania sirokko, gdy jakieś ciężkie zdrętwienie całą ogarnia przyrodę, gdy każda żyjąca istota szukaćby powinna spoczynku, nieustraszeni myśliwi siadają na koń. Wiedzą oni że strus, najmniej ze wszystkich zwierząt przebiegły, ufny tylko w swą szybkość, biegiem prostym jak strza-

ła ucieka przed nieprzyjacielem. Pięciu więc jeźdźców rozstawia się w pewnej odległości na przestrzeni mili francuzkiej, po linii którą zwierzę ma przebiegać. Każdy z nich pędzi naznaczoną sobie drogą. Gdy jeden staje, drugi natychmiast puszcza się w czwał za śladem strusia, który tym sposobem, gnany ciągle świeżemi końmi, koniecznie paść musi ofiarą. Zwycięstwo to nie jest jednak bez niebezpieczeństwa. Strus padając, zwykle poruszeniem skrzydeł nabawia konia przestachu, co nieraz zgubnym bywa dla jeźdźcy. Na konie używane do tych wyścigów kładą tylko czaprak i siodło nadzwyczaj lekkie. Niektórzy jeźdźcy używają nawet drewnianych tylko strzemion i wędzideł przywiązanych szpagatem. Myśliwy bierze z sobą mały bukłak z wodą, i od czasu do czasu zwilża nią wędzidło, dla utrzymania pyska swego konia w świeżości.

Te gonitwy pięciu jeźdźców nie są zresztą jedynym sposobem polowania na strusia. Czasami Arab, doskonale znający zwyczaje tego zwierza, umieszcza się na czatach w miejscu którego strus zwykle przechodzi, naprzykład przy jakim wzgórzu: ujrzawszy go zaś, natychmiast puszcza się za nim i prawie zawsze dopędza. Jakkolwiek koń zwykle bywa używany przeciw strusiom, jednakże nie jest on dla łowców niezbędnym towarzyszem. Ograniczają się oni częstokroć na wybiegu dla podejścia strusia w czasie niesienia jaj. Kopią wtedy doły w pobliżu gniazd, i ukrywając się w nich, zabijają samice gdy przychodzi obejrzyć swoje jaja. Wreszcie Arabowie uciekają się także do przebrań, przypominających przebrania dzikich, tak poetycznie opisane przez Coopera. Niektórzy okrywają się skórą strusia, i tak zbliżają się do ptaka którego chcą zabić.

Gdy strus, mówią Arabowie, ma nogę strzaskaną od wystrzału, nie może wtedy, jak inne dwunożne zwierzęta, skakać na jednej nodze, a to z przyczyny że w jego kościach niema szpiku. Arabowie zapewniają także że strus jest głuchy i że węch zastępuje u niego zmysł słuchu.

Przystąpmy teraz do polowania na lwa, godnego rzeczywiście zająć umysły dzielne i wojownicze, tém bardziej że zwierzę to w Afryce jest istotą bajeczną, o której istnieje mnóstwo tajemniczych podań, i której straszliwą władzę podtrzymuje przestach zabobony.

Lecz rzadko kiedy w dzień uderza na człowieka; zwykle nawet, gdy kto przechodzi obok niego, odwraca głowę i zdaje się go nie spostrzegać. A jednak jeśli nieroztropny myśliwy, przedziurając się przez krzaki, nagle zawoła. *Ra hena!* (on jest tam), lew rzuca się na tego co zakłócił jego spoczynek. Z nadejściem nocy usposobienie lwa zupełnie się zmienia. Niebezpiecznie jest po zachodzie słońca zapuszczać się w okolice lesiste, nierówne i dzikie; tamto najczęściej lew czatuje w zasadzkach, i tam go się spotyka na ścieżkach, które przecina, zawalając je swoim ciałem. Skreślmy tu, podług opisu Arabów, scen kilka z dramatów nocnych jakie się wtedy odbywają na pustyni.

Jeżeli człowiek pojedynczy, kurjer, podróżny lub roznosiciel listów, gdy spotka lwa, ma mocny hart serca, to idzie prosto do niego, wstrząsając szablą albo fuzyą, i woła: „O złodzieju zastępującego na drogach! czy sądzisz że boję się ciebie? Czyż nie wiesz że jestem ten a ten, syn tego a tego? Wstań, i pozwól mi iść dalej.“ Lew czeka aż człowiek zbliży się do niego, potem wstaje i idzie położyć się o tysiąc kroków dalej. Ale podróżny straszne przejść jeszcze musi próby. Opuściwszy ścieżkę lew znika, lecz tylko na chwilę. Wkrótce znowu się ukazuje, a wszystkim jego ruchom towarzyszy straszliwy łoskot. Ogonem swoim łamie on gałęzie, wyje, ryczy, krzaka, wypuszcza zaraźliwy oddech, igra jak kot z myszą z przedmiotem swych licznych i dziwacznych napadów, trzymając go ciągle w niepewności pomiędzy bojaźnią a nadzieją. Jeśli ten co się wplątał w tę walkę nie czuje słabnącej odwagi, jeżeli zdoła, podług wyrażenia arabskiego, *dobrze utrzymać ducha*, lew go opuszcza i gdzieindziej idzie próbować szczęścia. Przeciwnie zaś, jeśli lew spostrzeże że ma do czynienia z człowiekiem lęklwym, podwaja opisane już obroty. Przybliży się do ofiary, spycha ją ze ścieżki, bawi się nią tysiącami sposobami, aż dopóki nie skończy na tém, że napół omdlała pozrze. W zjawisku tém, poświadczonem przez wszystkich Arabów, nie zresztą niema niepodobnego. Wpływ odwagi na zwierzęta jest faktem niezaprzeczonem. Poskramiacze dzikich zwierząt codziennie podobne przedstawiają nam widoki, które w lasach i górach Afryki kryje pomroka nocy.

Podług Arabów niektórzy złodzieje z rzemiosła, co chodzą nocą uzbrojeni od stóp do głowy, spo-

kawszy lwa, wołają: „Nie jestem twoim przeciwnikiem, bom złodziej jak i ty, ruszaj swoją drogą, albo też pójdźmy kraść razem.“ Dodają że niekiedy lew idzie za nimi i próbuje napaść na *duar*; i prawda że przyjaźń ta między lwami a złodziejami objawiać się zwykła dosyć uderzającym sposobem. Widziano złodziejów obchodzących się z nimi jak z psami, rzucających im do pewnej odległości części pożywanych zwierząt. Kobiety arabskie także skutecznie używały przeciw lwu nieustraszoneści; gonily go gdy pochwycił owcę, i zmuszały do puszczania zdobyczy uderzeniami kijów i wołaniem: „Złodzieju, synu złodzieja!“ Wstyd, powiadają Arabowie, ogarniał wtedy lwa, który jaknajspieszniej umykał. Ostatni ten rys dowodzi, że lew dla pokoleń pustyni jest oddzielnym stworzeniem, trzymającym środek pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, stworzeniem obdarzonym szczególną pojętnością. Następująca powiastka potwierdza to mniemanie. Pewnego dnia lew, przechwalając się z swojej siły, zawołał: *An cha Allah*, (jeżeli się Bogu podoba) bez trudu porwę konia. *An cha Allah*, jeżeli zechcę porwę jałówkę, a ciężar jej nie przeszkodzi mi w biegu. Gdy kolój przyszła na owcę, on ją osądził tak słabą, że zaniedbał religijnej formuły: *jeśli się Bogu podoba*; a Bóg za karę zawyrokował, że lew barana będzie mógł wlec tylko po ziemi.

Wiele jest sposobów polowania na lwy. Gdy zwierz ten pokaże się wśród pokoleń arabskich, wszystko wskazuje jego obecność. Najprzód ryczenie, od którego zdaje się drżać cała ziemia, potem ciągle spustoszenia, nieustanne wypadki. Glinie jałówka, źrebie, znika nawet człowiek; popłoch rozszerza się po wszystkich namiotach, kobiety truchleją o dobytek i dzieci. Myśliwcy wydają wyrok śmierci na niewygodnego sąsiada. Ogłaszają po miejscach publicznych żeby w tym i tym dniu, o tej a tej godzinie, wszyscy mężczyźni zdolni do polowania zgromadzili się w oznaczonym miejscu. Po rozpoznaniu gęstwiny w której lew się ukrywa, wszyscy udają się w drogę, mając pieszych na czele. Przybywszy o 50 kroków od gęstwiny gdzie nieprzyjaciel jest spodziewany, zatrzymują się, czekają, zgromadzają i formują w trzy kolumny, z których druga gotowa jest zająć miejsce otwarte pierwszej, a trzecia, mocno ściśniona i złożona z wyborowych strzelców, tworzy niezwykłą rezerwę. Wtedy szczególna następuje scena. Pierwszy

szereg zaczyna wymyślać lwu, a nawet wypuszcza kilka kul, aby go zmusić do wyjścia: „Oto jest ten co się ma za najwaleczniejszego! Nie śmie ukazać się ludziom; to nie on, to nie lew, to tylko podły złodziej; niech go Bóg potępi!“ Lew w ciągu tej przemowy ogląda się spokojnie na wszystkie strony, ziewa, przeciąga ciało i zdaje się nie zważać na to co się w okolo niego dzieje. Tymczasem kilka kul weń uderza; wtedy wspaniała śmiałością i odwagą wychodzi z krzaka który go ukrywał. Wszystko ucieka, lew ryczy, przewraca iskrzącymi oczyma, cofa się, kładzie, wstaje, ciałem i ogonem łamie otaczające go gałęzie. Pierwszy szereg daje wystrzał, lew rzuca się naprzód, i najczęściej spotyka strzały drugiego zastępu, który zajął miejsce pierwszego. Ta chwila jest stanowczą, gdyż lew wtedy dopiero pada, gdy kula go trafi w głowę, albo w serce. Często, chociaż przeszyty dziesięcią lub dwunastą kulami, nie przestaje walczyć, póki trupem nie położy kilku przeciwników.

Jazda towarzysząca tej piechocie dopóty niema nic do czynienia, dopóki lew nie opuści górzystego gruntu; jej rola wtedy się zaczyna, gdy, jak to się nieraz trafia w kolejach natarcia, piesi zdołają wyprowadzić lwa na równinę. Wtedy nastaje nowa walka, której nie zbywa ani na zajęciu ani na oryginalności. Każdy jeździec, stosownie do swjej śmiałości, wypuszcza konia, strzela do lwa jakby do celu, i wystrzeliwszy odjeżdża dalej, dla nabicia broni i rozpoczęcia na nowo boju. Lew, opadnięty ze wszech stron, raniony co chwila, mężnie stawia czoło, rzuca się naprzód, ucieka, powraca, i pada dopiero po chlubnej walce, która jednak koniecznie skończyć się musi jego zgubą, bo nie nie podła jeźdźcom i koniom arabskim. Pierwsze tylko trzy skoki jego są straszne, potem biegowi lwa zbywa na szybkości, i koń zwyczajny z łatwością go wyprzedza. A żeby sobie wystawić podobną walkę, trzeba ją widzieć naocznie. Każdy jeździec rzuca lwu obelgę, wyrazy się krzyżują, burnusy powiewają, grzmiały strzały, łowcy cisną się, rozbiegają, lew ryczy, kule gwiżdżą. Pomimo wszakże zamieszania, rzadko nieszczęśliwe zdarzają się wypadki. Myśliwi obawiają się jedynie albo potknięcia konia, któreby ich rzuciło w lwie szpony, albo zbłąkaną kulą przyjacielskiej.

Poznaliśmy z tego szkicu najwięcej malowniczą stronę polowania na lwa; odbywa się ono przecież

innemi jeszcze sposobami, nierównie prędszemi i skuteczniejszymi. Arabowie spostrzegli, że nazajutrz po porwaniu i pożarciu bydła, lew, pod wpływem ciężkiego trawienia, leży w kryjówce zmęczony, uspiiony, niezdolny do ruchu. Gdy miejsce grzmiące zwykle rykiem jest cały wieczór spokojne, można być pewnym że straszliwy jego mieszkanię znajduje się pogrążony w tym rodzaju ociężałości. Wtedy człowiek odważny, zrezygnowany, idąc za tropem, przybywa do gęstwiny gdzie się znajduje nieprzyjaciel, mierzy, i trafiwszy pomiędzy oczy, kładzie go trupem na miejscu. Powiadają że Kadur ben Mohamed, z pokolenia Ulad Messelem, wielu lwów zgładził tym sposobem.

Używają także na lwa różnych rodzajów zasadzek. Tak np. Arabowie-Beduini kopią na drodze kędy zwykły chodzą dół i kładą nań lekkie pokrycie. Zwierz załamuje je swoim ciężarem i wpada w łapkę, zupełnie jak wilk wpada w doły przez naszych przygotowane wieśniaków. Często także przy trupie kopią dół pokryty mocnymi deskami, zostawiając pomiędzy niemi tylko otwór którydyby mogła przejść lufa od broni. W tym dole, zwanym *melebdą*, ukrywa się myśliwiec, a w chwili gdy lew idzie ku trupowi, starannie mierzy i strzela. Niekiedy lew, nie będąc trafiony, rzuca się na melebdę, kruszy ją swemi łapami i pożera łowcę za jego zniszczoną warownią.

Wreszcie niektórzy przedsiębiorą na lwa łowy przypominające czyny średniowiecznych rycerzów. Oto jak się brał do nich Si Mohamed Esnussi, człowiek zupełnej wiarogodności, który mieszkał w Dżebel Gerul, niedaleko Tiaretu: „Siadając na dobrego konia, (mówi sam Mohamed przez usta Abd-el-Kadera), jechałem do lasu podczas jasnej księżycowej nocy. Byłem wtedy dobrym strzelcem, a moja kula nigdy nie padała na ziemię. Kilkanaście razy zawołałem: *Ataiah!* Lew natychmiast wychodził i szedł w tę stronę z której krzyk słyszał, a wtedy ja doń strzelałem. Częstokroć jedna gęstwina ukrywała kilku lwów, które się odrazu ukazywały. Gdy jedno z tych zwierząt zbliżało się do mnie z tyłu, odwracałem głowę i mierzyłem przez grzbiet swego konia, a potem, z obawy czym nie chybił, puszczałem się galopem. Jeżeli był napađnięty z przodu, zwracałem konia i powtarzałem to samo.“ Mieszkańcy tamtejsi zapewniają, że liczba lwów zabitych przez Mohameda ben Esnussi

dochodziła prawie do stu. Nieustraszony ten łowca żył jeszcze w r. 1253 (1836 od N. Ch.). „Kiedym go widział, mówi Abd-el-Kader, utracił już wzrok; niech mu Bóg udzieli swego miłosierdzia!“

Jeszcze straszniejszym jak na lwa jest polowanie na jego dzieci. Są jednak ludzie co się kuszą o to niebezpieczne przedsięwzięcie. Lew i lwica codzień wychodzą ze swego ostępu o godzinie trzeciej lub czwartej po południu na dalekie zwiady, których celem jest bez wątpienia wyszukanie żywności dla młodych. Widać ich jak z wyżyn rozpatrują duary i miejsca gdzie są trzody. Wydawszy kilka okropnych ryków, jakby na ostrzeżenie okolicznych mieszkańców, odchodzą. Podczas tej nieobecności trzeba się zrećźnie podsunąć do małych i unieść je z sobą, starannie wprzód powiązawszy im pyski, gdyż krzyki ich niezawodnieby przywabiły ojca i matkę. Po takim czynie cała okolica podwoić powinna czujność. Przez siedm lub ośm dni lew odbywa nadaremne poszukiwania; wtedy on jest straszliwy, i niekoniecznie miło spotkać się z nim „oko w oko“ jak mówią Arabowie.

Mięso lwa, jakkolwiek miejscami pożywane, nie jest dobre; lecz skóra jego stanowi dar drogocenny dla sułtanów, sławnych wodzów, albo też marabutów. Według Arabów dobrze jest spać na lwięj skórze; oddala ona szatanów, broni od niebezpieczeństwa i od niektórych chorób. Pazury lwa oprawione w srebro, należą do ubrania kobiet. Skóra z jego czola jest talizmanem noszonym na głowie dla utrzymania w umyśle wojownika śmiałości i energii.

Słowem polowanie na lwa, to rzecz wielkiej wagi w kraju arabskim. Każda walka przeciw niemu może mieć za godło słowa don Diega do Rodryga: „Zabij lub umieraj!“ „Ten co go zabije, zjé go, mówi przysłowie, a kto nie zabije, zostanie od niego pożartym.“

Dlatego też człowiekowi co zabił lwa dają krótką i meżką pochwałę, mówiąc: „To on. *Hadak-hua.*“

Podanie ludowe wskazuje wielkość roli jaką gra lew w życiu i wyobraźni Arabów. Gdy król pustyni zaręczy, lud utrzymuje że można z łatwością rozróżnić następujące wyrazy: „*Ahna u ben el mera*, (ja i syn kobiety.)“ Wszakże, ponieważ *ben el mera* powtarza dwa razy, zaś *Ahna* tylko raz, wnoszą z tego że syna kobiety uznaje wyższym od siebie.

Życie myśliwca, jak dostatecznie dowodzą te kilka epizodów, jest życiem całej Afryki. Jestto zawód niebezpieczeństw, gonitw i zuchwałych wycieczek. Ziemia afrykańska, to ostatnie schronie-

nie, gdzie heroizm osobisty, z każdym dniem mniej użyteczny w Europie, nie przestaje dotąd jaśnieć pełnym blaskiem awanturniczéj dzikości.

T. M.

NOWE ZASTOSOWANIE ELEKTRYCZNOŚCI

DO BEZPIECZEŃSTWA DRÓG ŻELAZNYCH.

Podług urzędowych wykazów statystycznych, ogłaszanych w krajach gdzie koleje żelazne najbardziej są rozpowszechnione, liczba wypadków zdarzonych na tychże kolejach z każdym prawie rokiem idzie w stosunku rosnącym. Wprawdzie jest to następstwem naturalném coraz rozciąglejszéj budowy dróg żelaznych, a tém samém powiększonej liczby przejeżdżających; zawsze atoli zaprzeczyć niepodobna iż, stosunkowo nawet, zbyt często jeszcze powtarzają się te nieszczęścia. Dowiedzioną nadto jest prawdą że znaczna część wypadków na kolejach, pomimo zastosowania sygnałów i cudownego wynalazku telegrafów elektrycznych, wynika z dopędzenia się lub spotkania dwóch pociągów, a katastrofy takie bywają tém straszniejsze, iż zabierają zwykle wielką liczbę ofiar. Miliony głosów wołają o bezpieczeństwo nietylko względne, ale bezwzględne, to jest takie, jakie dać mogą najdoskonalsze środki ostrożności; z radością więc donosimy czytelnikom o nader prostym, a dowcipnym i skutecznym, wynalazku pana M. Vérité z Beauvais, którego opis tygodnik francuzki „Cosmos,” wychodzący w Paryżu pod redakcją księdza Moigno, daje w następujących słowach:

„Przypuśćmy, dla jaśniejszego przedstawienia rzeczy, że chodzi o uregulowanie biegu pociągów na północnej drodze żelaznej, w przestrzeni od Paryża do Amiens. Na każdej stacyi urządza się po dwie połączone z sobą tarcze okrągłe, z których jedna obróconą jest ku Paryżowi, druga ku Amiens. Tarcze te ustawione są na słupach w ten sposób, że maszynista, zbliżając się do stacyi, z łatwością może je rozeznąć; każda z nich ma wskazówkę

bardzo wydatną, a obwód ich na tyle podzielony jest części, ile kilometrów (1) zawiera przestrzeń pomiędzy dwiema odpowiednimi stacyami. Każda podziałka, począwszy od wierzchu tarczy, gdzie mieści się 0, oznaczona jest liczbą porządkową.

„Dajmy nato że pociąg odchodzi z dworca kolei północnej ku pierwszej stacyi Saint-Denis, odległej od Paryża na ośm kilometrów; tarcza więc paryzka podzieloną będzie na ośm równych części, i w chwili ruszenia pociągu wskazówka, prostopadle w górę wzniesiona, stać będzie na 0. Gdy pociąg przebieży pierwszy kilometr, wskazówka przejdzie na 1, potem na 2 i t. d., a gdy pociąg stanie w Saint-Denis, wskazówka tarczy paryzkiej, zrobiwszy obrót całkowity, spocznie znów na 0, aż do czasu odejścia następnego pociągu. Tymczasem pierwsza lokomotywa, przybywszy do Saint-Denis, wchodzi w związek z tarczą, mającą także wskazówkę na 0 i podzieloną na tyle części, ile jest kilometrów między Saint-Denis i Enghien, drugą z rzędu stacyą. Posuwając się dalej, pociąg działać zacznie na wskazówkę tarczy w Saint-Denis, a gdy dosięgnie Enghien, wskazówka ta, przebiegłszy podobnie wszystkie liczby porządkowe, zatrzyma się na 0. To samo powtórzy się na stacyach następnych, dopóki pociąg nie przybędzie do końca zamierzonego biegu.

„Tym sposobem krok w krok, że się tak wyrazimy, śledzić można ruch pociągu i wiedzieć miejsce w którym się znajduje, chybiając o mniej niż jeden kilometr; gdyby zaś w drodze zdarzył się jakiś wypadek lub opóźnienie biegu, wskazówka na

(1) Kilometr równa się 0,8505 wiorsty.

stacjach zaraz o tém zawiadomi, zatrzymując się jednocześnie z pociągiem i oznaczając przez przybliżenie punkt w którym wypadek się wydarzył.

„W zwyczajnych okolicznościach służba najbardziej nawet uczęszczanych linii nie wymaga znajdowania się dwóch razem pociągów w przestrzeni między dwiema stacyami. Rzeczywiście, największa odległość między jedną stacją a drugą nie przechodzi zwykle dwudziestu kilometrów, którą drogę lokomotywa przebież może w dwudziestu pięciu minutach; a zdaje się że zarówno interes podróżnych, którym chodzić powinno o bezpieczeństwo, jak interes towarzystw kolejowych, które dbać winny o całość taboru, nie wymaga częstszego pociągów wyprawiania.

„To założywszy, ponieważ maszynista, przybywając na którąkolwiek stacją, wiedzieć zaraz będzie gdzie się znajduje poprzedzający go pociąg, ponieważ w dalszą nie ruszy drogę póki wskazówka, wróciwszy na 0, nie oznajmi mu że pierwszy pociąg dosięgnął już stacyi następnej, niepodobna też aby pociągi wpaść mogły jeden na drugi.

„W przypadkach wyjątkowych, wymagających wyprawiania pociągów w przerwach mniejszych jak dwadzieścia pięć minut, gdzie zatém konieczne dwa z nich znajdować się muszą jednocześnie na drodze między dwiema stacyami, dosyć będzie w przestrzeni tychże stacyj umieścić jeden jeszcze lub dwa takie systemy tarcz wskazujących.

„Tyle o stronie praktycznej wynalazku. Zobaczmy teraz jaki jest sposób mechaniczny, którego zastosowaniem p. V^érité wywołuje ruch wskazówki.

„Za każdą tarczą znajduje się koło, z liczbą zębów odpowiednią liczbie podziałek czyli liczbie kilometrów między dwiema stacyami; koło to obracane jest przez wychwyty przepuszczający po jednym tylko zębie za każdym poruszeniem; motorem znów wychwyty jest kawał miękkiego żelaza, namagnesowany przez prąd, którego działanie sama

lokomotywa, ilekroć przebieży jeden kilometr, wywołuje następującym sposobem:

„Jeden z biegunów umieszczonego na stacyi stosu galwanicznego styka się z jedną ze szyn kolejowych; drugi łączy się z drutem wiodącym, poprowadzonym na słupach, jak zwykle druty telegraficzne. Co kilometr odnoga tego drutu, zakończona płaszczyzną pochyłą (1), zbiega ku szynom, nie dosięgając ich jednak, i tworzy tym sposobem z baterią stacyjną przerwany w jednym tylko miejscu łańcuch elektro-magnetyczny. Lokomotywa albo tender opatrzone są podobnie w pręt metalowy, zakończony płaszczyzną pochyłą, i tak urządzony, że konieczne w przebiegu dotknąć musi płaszczyzn owych odnóg druta wiodącego, rozmieszczonych w odstępach kilometrowych. Tak więc, z jakąkolwiek szybkością pędzić będzie maszyna, zawsze po przebyciu każdego kilometru spoi ona na chwilę łańcuch elektryczny, krążenie prądu namagnesuje żelazo poruszające wychwyty, ten popchnie koło zębate, i wskazówka przeskoczy na cyfrę następującą.

„Gdyby chodziło o zapobieżenie nierównie radszym wypadkom ze spotkania się pociągów idących naprzeciw siebie, trzeba by ustawiać miejscami oddzielne także systemy tarcz, na którychby maszynista wyczytać mógł w przejeździe odległość dzielącą dwa pociągi, i podług tego stosowne przedsięwziąć środki.

„Pan V^érité w warsztatach swych w Beauvais wykonał na małą skalę próbę tego wynalazku, a wypadek tyle był pomyslnym, że z pewnością już prawie przepowiedzieć można praktyczną jego stosowność. Gotów on zaprowadzić takowy na którejjebądź z linii dróg żelaznych, i oczekuje w tej mierze wezwania ministra robót publicznych.“

(1) *par un plan incliné*. Pismo francuzkie nie podaje rysunku; nie możemy więc określić z dokładnością kształtu, rozmiarów i kierunku tej płaszczyzny czyli płyty pochyłej. Ludwik J.....

SWISZCZ.

Wystawiony na przyległej tablicy gatunek amerykański, *swiszcz psi* (*Spermophilus Ludovicianus*) nazywają krajowcy *pieskiem łąkowym*, nie z powodu jakiegokolwiek podobieństwa do psa kształtem zewnętrznym, ale dla jego głosu, z którym się jak szczekające szczenię słyszeć daje. Rodzaj swiszcza, obfity w gatunki, z ukształcenia, natury i sposobu życia podobny jest do szczurów, i dlatego liczy się do pokrewieństwa zwierząt szczurowatych. Gatunek o którym mówić mamy jest od końca pyszczka do końca ogona 16 cali długi, z czego ogon 3 cale zajmuje. Głowę ma grubą, krótką, z wierzchu przyplaszczoną; oczy duże, uszy krótkie, kosmate i prawie zakryte siercią głowy; szyja jest krótka, gruba; nogi również niskie, grube. U wszystkich nóg po 5 palców, niewyraźnie wykształcony palec wielki u przednich nóg zakończony dużym, ostrym pazurem. Pazury innych palców są dosyć długie, prawie proste, ostre. Ogon krótki, kiściasty. Sierć na wierzchu ciała i na ogonie kasztanowato-czerwono-brunatna, koniec ogona czarny. Często jeszcze widzieć się daje przy końcu ogona czarna obrączka. Podbrzusze zwykle brudno-białawe.

Swiszcz psi zamieszkuje północną Amerykę, szczególnie zaś często napotykać go można w prowincyi Missuri. Zwierzątko to, nader towarzyskie, żyje stadkami po kilkaset familij wynoszącemi. Na rozległe tamtejsze niwy łąkowe nie można bezpiecznie wjechać konno, z przyczyny gęstych a głębokich podziemnych kopanek, w które koń co krok zapada się. Są to jeden przy drugim kopce, jak kretowiska; spodem obszerne, wydrążone kotliny i w różnych kierunkach, od jednej do drugiej, podziemne ganki, korytarze. Mieszkańcy tamtejsi nazywają te kolonie *psiemi miastami* (*dog-towns*). Mówią że swiszcze w utrzymaniu ich przestrzegają ochędóstwa i bezustannie na zewnątrz wszelkie nieczystości wynoszą.

Lecz i w tych podziemnych labiryntach nie zawsze mogą one być bezpieczne. Wąż grzechotnik często je tam odwiedza, gatunek sowy (*Surnia cucularia*) zewnątrz na nie czatuje, i wielu jeszcze innych mają nieprzyjaciół między zwierzętami ssąciami i ptakami.

Zamieszczamy tu w wyciągu wiadomość o sposobie życia i naturze tych swiszczów, z opisu jakiego podał o nich sławny Audubon.

„Pierwsza kolonia swiszczów którąśmy napotkali podczas wyprawy w 1843 r., mówi on, znajdowała się na wielkim zakręcie rzeki Missuri. Wyspane kopce dosyć były niskie, a wnijscie do każdego po największej części otwarte. Bardzo mało spostrzeegliśmy tam swiszczów. Moi towarzysze strzelali do nich, ale ani jednego niedostali; a tak, nie nie wskórawszy, musieliśmy jechać dalej, gdyż spieszyliśmy się aby na nocleg znaleźć gdzie schronienie pod dachem. Niedaleko zamku św. Jerzego, nieco dalej w górę rzeki jadąc, napotkaliśmy drugą kolonią swiszczów. Wielu jej mieszkańców siedziało przed swemi norami, a za zbliżeniem się naszym wszystkie piskliwie wrzasknęły, za każdym krzyknięciem ogonem do góry miotając.

„Ich jamy nie idą w ziemię prostopadle, ale pochyło (pod kątem około 40°), i potem albo na bok albo w górę zwracają się. Strzeliliśmy do dwóch sztuk, z których jedna natychmiast znikła w norze, drugą zaś ujrzelśmy ciężko ranioną przed samym otworem jamy; ale i ta, nim pośpieszyliśmy uchwycić ją, gramoląc się, uciekła. Widywaliśmy często kroć po dwa i trzy zwierzątka do jednej jamy kryjące się; czasem stały na tylnych łapkach do góry wyprostowane i pilnie śledziły nasze poruszenia; potem podskakiwały, z oka nas nie spuszczając, i w końcu znikły do swych podziemnych kryjówek. Kiedyśmy się zaś nieco oddalili i cicho zachowaliśmy, wytrzymałszy mniej więcej kwadrans, znowu na wierzch wychodziły. Wychyliwszy się wtedy z jam tu i owdzie pojedynczo, wołały na siebie przeciągłym, gwizdającym, głosem, na który, jakby na hasło, coraz więcej ich z jam wychodziło, pilnie się w około oglądając.“

Na źer więcej w nocy niż we dnie wychodzą, a żywią się korzonkami, trawą, ziołami i nasionami. Zamieszkałe w północnych okolicach, odbywają sen zimowy. W tym celu ścielą sobie w kotlinie jamy kuliste gniazdo z suchych ździebeł trawy, jeden tylko, i to bardzo mały, otwór w niem zostawia-



jąc. Gniazdo to bywa tak zbudowane i uplecione, iż taczać je można po ziemi, a nie rozsypie się.

Według wiadomości o tych swiszczach z Meksyku, nie odbywają tam ony snu zimowego, lecz przeciwnie nawet w zimnej porze roku zjawiają się przed swemi jamami. Pokazuje się ztąd że zimowy sen zwierząt w ogólności zależy głównie od temperatury okolicy w której żyją.

Podajemy tu jeszcze z Audubon'a następujące o swiszczach szczegóły:

„Przybywszy na rozległe niwy łąkowe w Teksas, ledwośmy odbyli kilka staj, a już natrafiliśmy na przedmieścia wielkiej kolonii swiszczów, które pojedynczo jeszcze tu i owdzie rozproszone, spieszyły co żywo do swych jam, krótko przerywanym świstaniem nas przyjmując. Hasło to, szybko rozniesione, wywołało trwogę i popłoch w całej kolonii. Krzyk od przedmieścia kolejno powtarzany doszedł do środka swiszczego miasta, i w jednej chwili słychać było powszechne gwizdanie. Widać że te zwierzątka o naszych odwiedzinach znać sobie dały, bo wybiegały ze wszystkich jam na kopce, wspinały się na tylnych łapkach, oglądały, podskakiwały, i tak się o naszym zjawieniu przekonawszy, z krzykiem do jam uciekały. Taż samo scena powtarzała się wszędzie po całej kolonii, jak tylko okiem dojrzyć można było. Powoli jechaliśmy dalej, i przybyliśmy do miejsca najgęściej zamieszkałego. Tu zatrzymaliśmy się, a posiadawszy z koni i wykielznawszy je, dozwoliliśmy im paść się na łące, sami zaś postanowiliśmy formalnie polować na owych podziemnych mieszkańców. Jamy ich były około 30 stóp jedna od drugiej odległe; łączyły je ścieżki wydeptane, i, jak się zdawało, regularnie pozakładane. Przy każdej jamie kopiec, jak kretowisko.

„Usiedliśmy na małym pagórku w cieniu drzewa, i spokojnie przypatrywaliśmy się otaczającemu nas widowisku. Za naszym zbliżeniem się wszystkie swiszcze, aż do pewnej w około nas odległości, w jamy się pokryły; w odległości dopiero dwustu może kroków, na każdym kopcu przy otworze jamy, siedział na tylnych łapkach podziemny jej mieszkaniec i pilnie uważał nasze poruszenia. Tu i owdzie śmielsze od innych odważały się zbiedz ze swych strażnic dla odwiedzenia najbliższych sąsiadów; odwiedziny te jednak trwały bardzo krótko,

jakby tylko w kilku słowach rozmówić się i porozumieć chciały.

„Czasami i bliżej nas, gdyśmy się spokojnie i cicho zachowywali, bardzo ostrożnie głowy z jam wychylały, i pilnie się wokoło obejrzawszy, jakby dla przekonania się co robimy, znowu się chowały. Gdzieniegdzie wyszedł jeden ostrożnie z jamy, obejrzał się naokoło, postąpił na wierzch kopca, usiadł na tylnych nóżkach i jak młode szczenie szczeakać zaczynał. Potem znowu zbiegł do jamy.

„Mieliśmy dubeltówkę, pojedynkę do strzałów małemi kulkami i krótki do kul zwyczajnych sztuciec. Gdyśmy strzelili do swiszcza małą kulą, jeszcze zwykle, choć trafiony, miał czas w kilku poskokach schronić się do jamy; skoro zaś wypaliliśmy ze sztucca zwyczajną kulą nabitego, wtedy zwierzątko pozostawało na miejscu. Strzały z dubeltówki, chociaż nabój był mocny i odległość niewielka, były nadaremne; swiszcze bowiem, pomimo że ciężko ranione, uciekały. Zabawiliśmy w miejscu trzy godziny, chcąc się przypatrzeć dobrze tym osobliwszym zwierzątkom; wystrzeliliśmy po kilkanaście razy, a jednak dostaliśmy ich tylko 9 sztuk. Małe te stworzenia dawały nieraz dowody prawdziwie rozczulającej miłości towarzyskiej, jakiej na próżnoby szukać przyszło pomiędzy innymi większymi zwierzętami. Jeden z nich np, jak sądzić było można odważniejszy i dla dobra rodziny poświęcić się gotowy, wyszedłszy na wierzchołek kopca i na tylnych łapkach prosto usiadłszy, uważał co my robimy; drugi tymczasem, bojaźliwy, nie śmiąc wyjść z jamy, wyglądał tylko z jej otworu, i ciągle to w głąb się cofał, to znowu wychylał główkę. Gdy jednak pierwszy od kuli ze sztucca wystrzelonej głowę postradał i padł nieżywy, drugi śmiało wybiegł z jamy, uchwycił martwego za nogi, i szybko ciągnąc w głąb powłókl, zanim my nadbiedz zdążyliśmy. Widok ten tak mocne zrobił na mnie wrażenie, iż długo nie miałem serca strzelać do tych niewinnych zwierzątek, i głodem dopiero zmuszony, nowego na nich dopuściłem się morderstwa. Mięso swiszczów jest bardzo delikatne i smaczne, szczególnie gdy są tłuste.

Z pomiędzy gatunków europejskich najlepiej znany w tym rodzaju jest *swiszc alpejski*; z pomiędzy zaś bliżej nas obchodzących: *bobak* i *suseł*.

E. L. b. prof. n. p.

PORUSZENIE MUSZKUŁÓW

JAKO WYRAZ WEWNĘTRZNYCH UCZUĆ.

Jedna tylko ogólna i nieodmienna w całej przyrodzie panuje zasada. To samo prawo co ciałom niebieskim naznacza ich szlaki, kieruje także ruchem falujących w powietrzu pyłków słonecznych. Na téjto jednostajności polega właśnie różnorodność zewnętrznych i wewnętrznych objawów życia, tudzież możliwość naukowego zbadania jednych i drugich. Bez niej błędzilibyśmy wiecznie po manowcach dowolności, szukając nadaremnie klucza na rozwiązanie napotykaných tajemnic. Wtedy tylko, gdy w życiu widzieć będziemy ściśnięcie się sił przyrodzonych, gdy wszystkie jego zjawiska uznamy za wypływ téj samej konieczności, co w uderzeniu o siebie dwóch kul zawieszonych na nitkach jedną z nich zmusza do odskoczenia; wtedy tylko, powtarzam, pojmiemy jego cuda, wtedy tylko z jego kształtów materialnych duch nas owionie; lecz duch nie obcy, jak w dziele artysty-człowieka, tylko nasz własny, czyli, co jedno znaczy, tchnienie ożywiająca harmonią całego wszechświata.

Już w wiekach starożytnych, kiedy ludzie marzyli jeszcze o tajemniczej sile żywotnej, zapelniając niebo i ziemię wyrojonemi z swéj wyobraźni duchami, nie zdołali oni sobie wytłumaczyć wpływu tych ostatnich, jak tylko za pośrednictwem organów cielesnych. Już wtedy przeczuwano ściśle między duszą a ciałem zespolenie, i przymioty duchowe z własnościami fizycznymi starano się zlewać w jeden obraz zmysłowy. Starożytni siedlisko bojaźni kładli w podkolanku, siedlisko siły w lędźwiach. Teraz przecucie owo zamieniło się w pewnik naukowy. Nie umiemy sobie wyobrazić wrażeń zmysłowych bez przewodnictwa nerwów, a nieskończone rozgałęzienie tych ostatnich w mózgu i szpiku pacierzowym narzuca nam przekonanie, że z pojawami cielesnymi łączą się duchowe, których świadomości nabywamy w uczuciu. Jeżeli zaprzeczyć niepodobna, że wraz z przytępioną czynnością nerwów gaśnie w części i zdolność tworzenia wyobrażeń, że zwykle z ciałem upada i dusza, to jakże nie uznać że duch co nas ożywia jest wię-

ciej niż doczesnym ciałem naszego mieszkańcem, że w samym organizmie fizycznym tkwi jakieś tchnienie duchowe. Tym sposobem czynność organów staje się dla badacza prawdziwym życiem wyrazem, i nawet w pozornym spoczynku każe mu się domyślać zarodu drzemiącej namiętności. Głównie przecież ruch tylko zewnętrzny wnioskować pozwala o wrażeniach wewnętrznych; bo ruch wszelaki mieć musi przyczynę, a przyczyną w tym razie są właśnie uczucia i popędy duchowe.

Jednakże niełatwo jest zrozumieć ten język tajemniczy, którym do nas przemawiają rysy podobnych nam istot; bo nigdzie może własne uczucie nasze bardziej uludnej nie wywiiera potęgi. Nic pospolitszego w człowieku, jak przenoszenie osobistych usposobień na przedmioty zewnętrzne; dlatego co dzisiaj silnie nas porusza, jutro zostawia nas zimnemi. Podobnie jak fizyk narzędzia swoje uregulować wprzód musi do stanu temperatury i ciśnienia atmosferycznego danéj miejscowości, zanim rzetelnego spodziewać się może wypadku; tak człowiek, gdy sądzić przedsięwzięcie o innych, dojrzałe zbadać powinien pierś własną, aby fałszywych nie wyprowadził wniosków.

Wszystkie oznaki zewnętrzne jakimi objawia się wewnętrzny stan duszy, np. gra twarzy, gesta, mowa, są to ruchy cielesne, ściągnięcia pojedynczych części naszego aparatu muskularnego. Najwybitniej ony przemawiają w chwilach wielkiego wzruszenia, w których wola najmniej jest sposobną do oparcia się prawom organicznym działania nerwowego. W stanie dopięro wzburzenia, wywołanego namiętnością, ocenić możemy znaczenie owych ruchów, dowolnych niby, któremi wrażenia duszy wylęwają się na zewnątrz. Zbadajmyż więc najprzód istotę tych pojavów organicznych, co w chwilach przeważnie panujących namiętności to całej twarzy wyrazem, to lekkim poruszeniem źrenicy, to wreszcie gwałtowném miotaniem się ciała, zręcznemu badaczowi najskrytsze rozkrywają tajemnice.

Ruchy cielesne, jak powiedzieliśmy wyżej, odbywają się przez ściągnięcie mięśni, a mięśnie działają tylko mogą przez pośrednictwo nerwów. Jaka zaś siła pobudza nerwy, czy ta którą znamy od stulecia dopiero pod nazwą elektryczności, czy inna może podobna, jestto pytanie dotychczas przez naukę nierozwiązane. Zawsze jednak i nerwy wtedy tylko zdolne są czynność swą rozwinać, gdy jako ogniwa pośrednie wchodzi w skład organizmu; bo nerw oderwany obumiera, jak każda inna część ciała. Mikroskop pokazuje nam nerwy w postaci pęków złożonych z nieskończenie drobnych włókien, otoczonych świetnie połyskującą tkanką. Każde takie włókno napelnione jest lepka masą, której cząstki przez wpływy wewnętrzne lub zewnętrzne wprawiane być mogą w drganie, tworząc tym sposobem jakby łańcuch galwaniczny, jednym biegunem oparty w mózgu, a drugim dotykający poruszanego mięśnia; podczas gdy grupy nerwów pośrednich wyobrażają ogniwa baterii wywiązującej prąd, co z szybkością błyskawicy organizm nasz przenika. Wszędzie gdzie tylko istnieją naczynia krwiste, gdzie powstać może ruch albo czucie, widzimy rozpostarte włókna nerwowe, których krocie, w większe skupione konary, w kierunku od dołu ku górze łączą się z kolumną pachnącą i tak dosięgają mózgu. Jakkolwiek włókna te w kształcie swym i w budowie widocznej nie okazują różnicy, to przecież każda ich grupa do innej przeznaczona jest czynności. Podczas gdy jedną pobudza subtelne już światła falowanie, druga potrzebuje silniejszego uderzenia dźwięku; w innych jeszcze dotknięcie tylko sprawia uczucie ciepła, bólu, wężu albo smaku. Są dalej nerwy, co w pewnych okolicznościach wywołują kurczenie się mięśni; są wreszcie i takie, których dotknięcie nie boli, których drażnienie mechaniczne nie ściąga już mięśni, ale bez których zarówno poruszenia jak pojęcia byłyby niepodobne.

Grupy te nerwowe tak cudownie są z sobą splecione, iż częstokroć za pobudzeniem jednego ich włókna wszystkie inne nieuniknioną koniecznością rozpoczynają swe działanie. Jeżeli więc udowodnionym jest faktem, że czynność nerwów z czynnością duchową w ścisłym zostaje związku, to również nie ulega wątpliwości, że związek ten następcza nam sposobność wnioskowania z pojawów

widzialnych o całym pasmie ukrytych przed wzrokiem naszym działań, a tém samym i o przyczynie ich umysłowej.

Podobnie jakżeśmy raz już nerwy porównali z przyrządem galwanicznym, tak i teraz działalność ich na mięśnie najlepiej uzmysłowimy, wystawiając sobie nieskończenie szybkie uderzenia galwaniczne, których siedlisko jest w mózgu i szpiku pachnącym, a które przez pośrednictwo nerwów wpływają na cały aparat mięśniowy. Nagle więc podjęta lub mocno osłabiona czynność tych organów centralnych budzi w nerwach i mięśniach owo drżenie, jakiego doznajemy w nadzwyczajnych przystępach radości, gniewu i bólu, albo skutkiem obumarłego już życia nerwowego. Jakkolwiek drżenie to całe ogarnąć może ciało, najwyraźniej jednak spostrzegać się daje w głowie, w dolnej szczęce, w rękach i kolanach, gdzie następuje skutkiem wprost przeciwnego działania mięśni, z których jedne służą do zgięcia, drugie do wyprężenia organów, jedne w prawo lub na dół, drugie w lewo lub ku górze ruch wyrzucić usiłują. W stanie spoczynku przeciwne te mięśnie mniej więcej się równoważą; ale przez wpływ rozbudzonych nerwów jedne z nich częstokroć przemagają nabiierają władzy. Dlatego pod tchorzem drżą, jak to mówią, łytki, a raczej chwieją się kolana; dlatego z przerażenia lub bólu dzwoniemy zębami; dlatego w gniewie i trwodze latają nam ręce.

Na tymto związku między systemem nerwowym a napięciem mięśni polega umiejętność poznania się na ludziach, to jest wnoszenia z gry twarzy i ruchów ciała o charakterze i uczuciach. Gdybyśmy znali dokładnie tajemnicę powinowactwa nerwów i mięśni, snadniebyśmy z wyteżenia jednego tylko mięśnia odgadnąć mogli całe pasmo wewnętrznych uczuć. I w dzisiejszym jednak stanie nauki bystry dostrzegacz znajdzie sposoby zbadania myśli za pomocą objawów zewnętrznych, na których ogół poznać się nie umie.

Gdy człowiek niemający żadnego wyobrażenia o składzie telegrafów elektro-magnetycznych popatrzy na przebieganie klawiszów lub ruch skazówki, nie pojmie jego znaczenia. Tak samo dzieje się z owym telegrafem, w jaki nerwy i mięśnie przemieniają nasze ciało. Kto nie zna kierunku działania pierwszych i położenia drugich, jakże ten są-

dzieć może o znaczeniu wywołanych niemi ruchów? Jeżeli więc zdarza się niekiedy w ludziach zupełnie nieukształconych napotkać dosyć rozwiniętą znajomość charakterów, to ona wypływać nie może jak tylko z doświadczenia, téj silnej i szerokiej podwaliny, na której tyle spraw naszych wygodnie dotąd się opiera. Przekonywamy się najprzód na sobie, że między uczuciem a gestem jest jakaś odpowiedniość, spostrzeżenie to staje się zawiązkiem poznania samego siebie, które następnie służy nam za miarę do ocenienia drugich. Znając przytém często zewnętrzne przyczyny uczuć w taki lub owaki objawiających się sposób, wnosić możemy jakiego ony są rodzaju, i z wolna wyrabiamy sobie system, używając, jak wszędzie, rzeczy dobrze nam znajomych do objaśnienia innych, nieznanych.

Bez sztuki czytania w rysach i gestach wzajemne między ludźmi stosunki bardzo byłyby utrudnione. Zbliżając się do kogoś, pragniemy poznać jego charakter, a jeśli tego nie zdołamy, czujemy mimowolne niedowierzanie. Mowa, zamiast być kluczem myśli, częstokroć obłudnie je ukrywa, a czyn, najpewniejszy objaw duszy, zbyt późno czasem przeciera nam oczy. Dlatego w ocenianiu innych za przewodnika obieramy doświadczenie, tworząc sobie z zewnętrznych kształtów widzialnych zarys niewidzialnego wnętrza. Lecz jakże często w podobnym sądzie pod wpływem własnej zostajemy osobistości! Wyrokując o cudzych czynach, kładziemy za podstawę indywidualne usposobienie swoje, i nieraz tym sposobem uprzedzamy się nieśluszenie lub doznajemy zawodu. Ileżto razy np. zdarza się że kogoś nazwiemy zimnym, iż schlebić nie umiał naszej próżności, upartym lub samolubnym, dlatego że samiśmy tacy. Pierwszym więc, powtarzam, warunkiem trafnego sądzenia o drugich jest ocenienie sumienne własnych usposobień swoich.

Jednakże najskrupulatniejsze nawet ważenie okoliczności mogących rzucić światło na charakter otaczających nas ludzi niezawsze zapewnić nas może o prawdzie. Wszak sami zwykle ukryć się staramy przed światem miotające piersią naszą burze, a silnym organizacyom aż nadto dobrze nieraz to się udaje. Zresztą uczucie rzadko kiedy wydobywa się na jaw w pierwotnej swój czystości, postronne bowiem namiętności wpływają na jego przeistoczenie. Wtedy téż tylko dokładniej ocenić możemy innych,

gdy całkowicie ich owładnie silne i jednolite wzruszenie; mniemana bowiem potrzeba tłumienia w sobie tego co serce smutkiem przejmuje lub radością, dziś stała się tak powszechną, że pysznić się nawet lubimy z téj obłudy. I rzeczywiście, jak z jednej strony to nieustanne nad sobą czuwanie jest złem wynikłym z cywilizacyi, tak z drugiej panowanie namiętnościom świadczy o potędze ducha, i najdosadniej cechuje boskie jego pochodzenie. Upokarza to naszą dumę, gdy spostrzegamy że jedno wyłączne uczucie kierować zaczyna myślami i czynami naszemi; nazywamy to słusznie niewolą umysłową, przeciw której walczymy całą siłą rozumu, za którą karci nas sumienie, niebędące czém innym, jak spokojnym, harmonijnym ustrojem naszego ducha. Najszlachetniejsze popędy, jak miłość, jak poświęcenie dla wiary, skoro ujarzmią wolę, poprowadzić mogą do zbrodni; w chwilach bowiem gdy ulegamy sile przeważnie wpływających wrażeń, dusza nasza, a z nią i ciało, utracą swobodę działania, i wtedyto związek prawidłowy wnętrza z objawami zewnętrznymi uwydatnia się najwyraźniej.

Stopniowe już wzrastanie czynności muskularnej w człowieku miotanym namiętnością przekonywa, że związek ten między duchem a ciałem na stałych opiera się zasadach. Pierwszy zaród wzruszenia zdradzają zwykle zaledwo dostrzegalne wahanie oczu; za niemi w ślad następuje drganie muskułów twarzy, dalej ożywiona działalność narzędzi oddechowych, a w końcu całego ciała. Gdyby człowiek na posługę każdego uczucia oddzielny posiadał organ, łatwoby było oznaczyć układ muskułów właściwy rozmaitym usposobieniom wewnętrznym. Ale namiętność, zwłaszcza gdy dosięgnie swego szczytu, jeden zawsze przedstawia obraz; tam zaś, gdzie wola ślepemu jeszcze nie uległa popędowi, uboczne nieraz wpływy obalamucić mogą dostrzegacza. Dlatego przedewszystkiém należy wszelkie ruchy dowolne odróżnić od mimowidnych, będących wpływem wewnętrznej konieczności, tłumacząc tamte na zasadzie indywidualnej właściwości charakteru lub innych zewnętrznych okoliczności, skoro już nie możemy wnioskować z nich bezwzględnie o celu swojego badania.

Najwierniej i najwyraźniej odbija się obraz duszy w przystępach gniewu, radości i bólu, które, że szybko i gwałtownie się wywiązują, nie zosta-

wiają nam czasu ani siły potrzebnej na obleczenie się maską. Spójrzcie na tę oto grupę trzech dziwnie z sobą sprzecznych postaci! Chwila jedna wystarczy na odgadnięcie panujących uczuć jej działaczy! Na przodzie stoi mężczyzna groźnego pozoru, z pomarszczonem czołem, z zaiskrzonymi oczyma, których źrenice jakby wyskoczyć miały z swjej oprawy. Usta jego drgające, oddech nierówny i dyszący, ręce podniesione i konwulsyjnie zacisnięte pięście dadzą wam obraz gniewnego uniesienia. Rzućcie teraz okiem na tę postać kobięcą! Blade jej oblicze, oczy słupem stojące i zapadłe, ręce obwisłe i pochylone kolana, wymowniej jeszcze od westchnień wydziérających się z jej piersi, świadczą o boleści, co razem z duszą złamała i ciało. Ten znowu kwitnący młodzieniec, z pogodnem czołem, z błyszczącym spojrzeniem, z uśmiechem igrającym na ustach, nie jestże on uosobieniem radości, której ożywcza potęga obumarłe nawet rysy starca urokiem chwilowej młodości przyozdobić jest zdolną? Lecz niechże ustąpi gniew męża, niech boleść niewiasty się ukoi, a radość młodziana przeminie; czyż wtedy namiętności, co niedawno tak wybitnie ich odróżniały, znikną, nie zostawwszy po sobie śladu? Zapewne, jeśli to były przełotne tylko objawy. Ale przypuśćmy że ów mężczyzna już nieraz podobnym zawrzał gniewem, że owa kobieta nie pierwszy ponosiła smutek, że ów młodzieniec już często, a może codziennie uśmiechał się radością; wtedy wątpić nie można iż ciągle powtarzanie się jednej i tej samej namiętności wycisnąć na nich musiało piętno swego przejścia, a kto dopatrzeć go umie, wyczyta zeń dzieje ich przeszłości. Bo w rysach tych niezatartych, co obok zmiennego, w miarę uczuć chwilowych, wyrazu trwale osiadają na twarzy, najwierniej odwzorowane jest życie. Podobne do potoków lawy, ponad którymi kwitnące wzniosły się ogrody, przechowują ony w sobie ślad dawno minionych wybuchów.

Po całym ciele ludzkim, a szczególnie na twarzy, drobne mięszki w najrozmaitszych kierunkach rozciągają się pod skórą, a będąc miejscami z takową zrosłą, przez częste kurczenie się tworzą zmarszczki. Z położenia tych zmarszczek wnosić można z niejaką pewnością które mięszki wpłynęły na wycisnienie takowych, bo wzajemny ich względem siebie kierunek tworzy zawsze kąt pro-

sty. Gdzie przeto, jak koło ust i oczu, mięszki rozłożone są kolisto, tam zmarszczki wybiegają nakształt promieni, podczas gdy na czole, gdzie mięszki idą niemal w trójkąt, wyrzynają się ony w liniach falistych. Wyrazistość zmarszczek zawisła jest naturalnie od siły ściągnąć mięszkularnych i stopnia elastyczności skóry. Charakterystyczne więc i ostro wypiętnowane rysy tém łatwiej się wyrabiają, im mniejsza masa tłuszczu tkwi między mięszkami a skórą, czyli im ta ostatnia słabiej jest wyprężoną. Dlatego nie znajdujemy ich u czerstwych dzieci i dziewic, których twarze są zwykle zaokrąglone, a rysy bez wyrazu i jakby złane. W miarę dopięro budzących się namiętności usposobienia duszy trwałemi na ciele występują znamiony. Wtedy czoło w bruzdy poorane świadczy o boleści, o troskach, o często powtarzanym gniewie lub przesyćcie życia; wtedy około ust osiadają zmarszczki szyderstwa, zawisłości, dumy i pogardy. Bo któżby w codziennie napotykanym obliczach daleko jaśniej nie wyczytał tego pisma niezmazanego, niżeli najwymowniejsze nawet pióro słowami określić je potrafi?

Uczmy się zbadać te życia pomniki, a ułatwimy sobie wytłumaczenie owych ruchów, jakimi oddać usiłujemy uczucia na które brakuje nam wyrazów, lub których pozór przybiéramy dla ukrycia prawdy. I te wszakże ruchy nie są tak dowolne, jakby się zdawać mogło na pierwszy rzut oka; przyroda bowiem zmusza nas niejako do obrania pewnych znaków na wyrażenie pewnych uczuć. Przekonywają nas o tém organa zmysłowe, którei głównie nasze wnętrze rozkrywa się dla świata zewnętrznego. Chciwie i szeroko roztwieramy oczy, gdy myśl przepelnioną jest podziwem lub uwielbieniem, chociażby nawet przedmiot wywołujący te uczucia czarodziejską tylko siłą wyobraźni przed naszym umysłowim się duchem. Lecz zamykamy je, jakby rażeni olśniewającą jasnością, przed widokiem wszystkiego co nas przeraża, choćby to było wspomnienie tylko lub przeczucie groźnego niebezpieczeństwa. Słyszac rzecz nową i niepojętą otwieramy usta, by fale głosu tém łatwiej naszego doszły ucha. Nakłaniamy głowę ku słowom mile dla nas brzmiącym; ale ze wstrętem odwracamy się, zatykając uszy, aby nie słyszeć straszliwej opowieści, naruszającej harmonię uczuć, podobnie jak dźwięk fałszywy harmonię tonów. Chronimy organ

węchu od przykro woniejących odorów, zadziérajac górną wargę i opuszczając klapy nosowe, a ruch ten powtarzamy i wtedy, gdy o nich wspomniemy tylko myślą lub mową. Tym sposobem z poruszeń wszelkich organów tłumaczyć możemy wrażenia odbierane zarówno przez zmysły jak przez ducha.

Lewarowate muszkuły nóg i rąk naszych służą do poruszenia ciała w przestrzeni i usunięcia przeszkód jakieby świat zewnętrzny stawić mógł temu ruchowi. Dopóki więc idzie tylko o pokonanie trudności mechanicznych, działanie tych muszkułów odpowiednie jest energii naszej woli. Lecz w drodze życia inne zupełnie walki, inne czekają nas zapory. Wszelako i człowiek dojrzały nie otrzasa się zupełnie z nawyknień owego czasu, w którym dziecię uparte, nie znając innych środków dopięcia swoich życzeń, biciem, tupaniem i krzykiem objawiało swe zachęcenia. Wszak każdy z nas, jeśli pragnie wywołać wrażenie, mówi z przyciskiem i głosem podniesionym, każdy zaciska pięści dla przetrzymania bólu, każdy tupie zniecierpliwiony, gdy niespodziane napotka przeciwności. Ale już teraz z żywości tych poruszeń wnioskować nie można o prawdziwej sile duchowej. Walka umysłowa innéj zupełnie wymaga broni, a wysilenia zewnętrzne wtedy dopiero następują, gdy zbraknie oręża duchowego. Ileżto razy niemoc charakteru zastawia się gwałtownymi gestami; jak często tchórze właśnie używają ich zwykli dla przybrania pozorów odwagi!

Wszelkie poruszenia muszkułów, za pomocą których wewnętrzne wyrazić usiłujemy uczucia, wtedy tylko odpowiedzieć mogą celowi, jeśli w patrzącym obudzają wspomnienie wrażeń spokre-

wnionych. Czyliż naprzykład nie istnieje powinowactwo między widokiem zięjącej przepaści, a niebezpieczeństwem jakie nam uobecnia rozogniona wyobraźnia? między kamieniem zawadzającym nam w drodze, a przeszkodą co tamuje nasze cele duchowe? Chcąc przeto dobitnie uzmysłowié jakie uczucie, staramy się uprzytomnić innym podobne, a znane już z doświadczenia obrazy, zmuszając ich tym sposobem do utworzenia sobie wstecznie odpowiednich takowym wrażeń. Jednakże w dziedzinie duchowej znajdujemy pojawy nie dające się wcale zespolić z przedmiotami podpadającymi pod zmysły. Do rzędu tego należą najskrytsze, a razem najpowszedniejsze wrażenia duszy, jak: miłość, wstyd, nadzieja, których przeto zbadać nie wymaga nader ścisłego uwzględnienia postronnych okoliczności. Lecz gdzie wystarcza gra twarzy, gdzie ruchy stan wnętrza naszego wyrazić są zdolne, tam stałe panują prawa, oparte na tajemniczym duszy i ciała zjednoczeniu; a prawa te, lubo ubocznym podległe wpływom, ogólnie jednak uważane wszędzie są te same. Przy ich to pomocy ocenić potrafimy sposobem przybliżonym właściwości charakterów i usunąć przesady tamujące nieraz bliższe między ludźmi stosunki. Dla bystrogo spostrzegacza wiecznie prawdziwemi będą słowa Lavater'a: „Gesta człowieka zależą od jego temperamentu i uzdolnienia; każde poruszenie mądrego różni się od takiegoż poruszenia głupca; inaczéj mędrzec podejmie swój kapelusz z miejsca w którym go złożył, inaczéj głupiec.“ Zaprawdę, we wszystkiém co widzimy w życiu nawet codzienném, myśl jakaś się ukrywa, potrzeba tylko byśmy wyczytać ją umieli.

L. J.



LUDWIK BEETHOVEN

PRZEZ JÓZEFA SIKORSKIEGO.

Są czasy jakby uprzywilejowane od przeznaczenia, by licznymi potokami zléwać nowe nabytki do dawniejszych zapasów, czasy w których wszystko co ludzi zajmuje zupełnie inaczej niż dotąd rozwija się i kroczy. Do takich należą ostatnie lata przeszłego stulecia, a między wielkimi ludźmi których ony wydały Beethoven jedno z pierwszych miejsce zajmuje. Sztuka której się poświęcał, muzyka, tak wielkiego doszła dziś rozrostu, tak się upowszechniła, że stała się jedną z główniejszych potrzeb społeczeństwa i bez zaprzeczenia znakomitości na nie wpływ wywiera. Nie od dziś on się zaczął, skoro jego źródło, muzyka, niedopiero dzisiaj bystrzejszym płynie strumieniem; ale od niedawnych lat potęga tego wpływu wzmogła się poważnym kierunkiem, poetycznym polotem sztuki i innymi licznymi przymiotami, zdobytemi przemożnym kilku ludzi gieniuszem. Ów wierz wieku upłynęło już od zgonu Beethovena, pół wieku świat się cieszy jego dziełami, a jeszcze nie ony nie straciły z dawniejszego uroku. I owszem niektóre z nich dojrzwały w czasie, jak owoc przedwcześnie zerwany na słońcu, tak, że Beethoven dziś lepiej pojmowany, mniej gęsto ale dokładniej oceniany bywa niż dawniej, a, wnosząc po licznych raz poraz wychodzących wydaniach dzieł jego, więcej jest upowszechniony niż za życia. Zdawałoby się że to co znakomitego w dzisiajszej, od wczoraj datującej, muzyce posiadamy, nie starczy jeszcze na nasze potrzeby; więc sięgnąć musimy do skarba tylko co ubiegłej, cieplej jeszcze przeszłości. A może płody muzyki dzisiajszej nie dosyć są dla nas jasne niekiedy, zbyt wyszukane, może zbyt przyszłością brzemienne, że się wracamy do ubiegłego, do tego co musi zawierać w sobie pojęcia z którymi więcej oswojeni jesteśmy, bośmy się pod ich wpływem urodzili i wychowali? Może też tak szeroko ale płytko płynąca muzyka dzisiajsza nas nudzi, że radzi na głębię sztuk się przenosimy? Cokolwiek bądź, dosyć że świat do Beethovena mocno się garnie. Nawet w naszym zakątku, do którego więcej wie-

ści niż pojęć muzycznych dochodziło dotąd, Beethovena dzieła coraz częściej słyszeć można. Więc czas nam już wielki rozpatrzyć się w nich cokolwiek lepiej, zrozumieć dokładniej powody tej uznanej oddawna u innych wielkości, dotąd niezaprzeczonej i nieprzewyższonej podobno; czas na kilka myśli wydatniej Beethovena przedstawiających.

Takiego olbrzyma obraz we właściwem okazać świetle, odpowiednio do jego przewagi wyrobić o nim zdanie w massach nie mających pojęcia sztuki i jej czystości, nie chcących się nią poważnie zajmować, byłoby u nas zasługą niemal równą owęj, którą Beethoven dla ludzi i sztuki w Niemczech położył. Byłoby to od razu podnieść naród cały z poziomu na stanowisko wzniosłe, do którego tylko długie lata doświadczeń na własnej niwie, mnogie a kwitnące instytucje, smak i wszechstronne wykształcenie w muzyce popierające, doprowadzić mogą. Co więcej, nam nie przystoi zapatrywać się na Beethovena cudzemi oczyma, podług obcych mierzyć go rozmiarów, bo u nas tkwią inne niż gdzieindziej widzenia, własnym podaniem, własną praktyką stworzone. Obraz Beethovena takim być dla nas powinien, by mógł zawisnąć w naszych pojęciach nie jak obraz lub posąg, ale jak człowiek żywy. Znajomość wielka plodów sztuk historycznie uporządkowanych, rozprzestrzenione o niej zdrowe pojęcia dałyby nadzieję, że mówiąc o Beethovenie obudzi się ogólniejsze w czytelnikach zajęcie, że się łatwiej zrozumianym będzie; lubo trudność w zadaniu nie mniejszą byłaby przeto. Bo aby mówić o Beethovenie stosownie do jego wielkości, raczej tomy pisaćby należało, niż krótką wzmiankę; trzeba by się zapuścić w zgłębianie życia i sztuki, gdy się ma rozpowiadać stosunek ich do siebie; trzeba by umieć przytrzymać słowem niepochwytne dźwięki i tak w niewolę wziętym kazać rozprawać o sobie. Jeśli pierwsze warunki są trudne dla człowieka, to ostatni niepodobny do spełnienia, bo człowiek, to indywidualność z zarodem śmierci w łonie; życie i sztuka, to zbiorowość i nie-

śmiertelności obraz. To możeby własne myśli Beethovena pismem muzyczném tu przedstawić? Szérokro niepodobna, a wreszcie znajdzie się to gdzieindziej; cząstkowo, dorywczo, na nic się nie przyda; cóż może powiedzieć listek o rozrosłym drzewie, piórko o orle? Więc kto chce poznać się z Beethovenem, niech wartuje dzieła jego, niech porównywaniem z dziełami poprzedników zrozumie ów postęp, który w muzyce nie tak daleko jeszcze od dzieł jego odbiegł. W nich on tkwi dotąd prawie cały, jakby, mimo prądu coraz dalej i dalej niosącego ludzkość, znajdował w nich coraz nowe stanowisko z którego jéjbiegowi się przypatruje. Ja tutaj pokrótce tylko pragnę wypowiedzieć na czém on polega, czego w dziełach Beethovena szukać należy, a czego się w nich nie znajdzie, jako w płodach człowieka indywidualnego i do pewnego czasu należącego, choć ta indywidualność za tysiące stanie, choć czasy jego nie skończyły się jeszcze.

Nie liczne i nie uderzające osobliwością były koleje jego żywota potocznego. Urodzony w Bonn (provincye nadreńskie) r. 1770, syn tenorzysty należącego do nadwornej muzyki elektora kolońskiego, zbiegiem okoliczności, równie podobno jak popędem wewnętrznym wiedziony, zawód muzyka sobie obrał. Ojciec wcześniej go doń przeznaczal jak się zdaje, nie mogąc z powodu ograniczonych bardzo dochodów i w braku wyższych pojęć myśleć o wykształceniu syna takim, aby go nad stan zwyczajnego muzyka wynieść. Na czytaniu, pisaniu, rachunkach początkowych i troszce łaciny cała nauka pierwotna Beethovena się skończyła. Kto wie jakby i z muzyką było, gdyby tylko ojciec, ledwie jaki taki śpiewak i nieznający się nawet z fortepianem, jedynym pozostał syna nauczycielem. Szczęściem młody Ludwik dostał się do instytutu koszttem elektora w Bonn utrzymywanego, gdzie dostanio muzyki uczono, a wychowaniem nietylko na wirtuozów kierowano, ale téż i z teorią sztuki a mianowicie z harmonią ich oswajano. Nie było to to samo co uczyć się w konserwatoryum wiedeńskim lub paryzkim; ale zdolności Beethovena wiele mu ułatwiły, a podobno i troskliwie napędzanie ojca, pragnącego mieć co prędzej finansową pomoc w synie. Więc młody Ludwik już w ósmym roku życia mógł się z czémś popisać na skrzypcach, lubo nigdy na nich znakomitym nie był; w jedenastym wykonywał już wielkie dzieła na forte-

pian sakramentalnego wówczas Sebastjana Bacha, i sam komponować zaczął. Te płody dziecinnéj muzy wyszły w Spirze pod tytułem: Trzy sonaty etc. przez jedenastoletniego Ludwika Beethoven. Nową ich edycyą zrobił Haslinger w Wiedniu, a autor uznał je za swoje stosowném pismem (r. 1822) do wydawcy.

Niedługo téż gorące ojca życzenia spełniać się zaczęły: Beethoven jał się dawania lekcyj rówiennikom prawie swoim, ale mimo ponętnej dla takiego młodzieńca myśli, że i on sam już coś zarobić umie, zatrudnienie to bardzo mu było nie do smaku, i do końca życia niechętnie i mało mu się oddawał. Dlatego téż prócz Riesa, (który potem w Anglii i w Niemczech, a dalej w całej Europie, zjednal sobie wziętość jako dobry kompozytor) i arcyksięcia Rudolfa (1) austriackiego (kardynała) nikogo nie uczył tyle, by ślad jego pracy pozostał, i nikogo więcej za swego ucznia nie uważał. Bystrość jego, żywość charakteru, rzutność myśli, przytomność, nie mogły się pogodzić ze spotykaną często w uczniach tępością, nierozgarnięciem w rzeczach muzycznych, marudztwem. Nie umiał, nie chciał może, ucząc muzyki rozwijać dopięro zmysł do niéj; porywczy, nie mógł poddać się z cierpliwością leniwym postępom systematycznej nauki; nie miał cierpliwości, na co dowodów w całym jego życiu nie brakuje. Głęboko czujący, ale nie tak skory do przyjaźni i dosyć szorstki w obejściu się z ludźmi, jakże mógł poddać się z cierpliwością obowiązkom pedagoga, które przedewszystkiém przyjaźń ucznia zjednać sobie każą? Więc jeśli w piérwszej młodości ile tyle oddawał się nauczaniu innych, to tylko ze względu na ubogi dom rodzicielski.

Daleko łatwiejsze były mu obowiązki organisty przy kaplicy elektora, które w piętnastym roku życia pełnić zaczął, a raczej podzielał z dawniejszym i jedynym aż do owego czasu organistą. To téż miejsce to wyraźnie dane mu było jako nieobrażające miłość własną wsparcie, bo w takiej kapliczce, przy mało rozwiniętej służbie Bożej, dwóch organistów nie miało co robić. Organy téż były ubogie, a wszystko razem połączone nie sprzyjało wykształ-

(1) W 1823 r. pisał Beethoven do Riesa: Cztérotygodniowy tu (w Wiedniu) pobyt kardynała zabrał mi wiele czasu, bom mu codzién 2 1/2, a nawet 3 godzin lekcyj dawać musiał. Po takiej pracy trudno myśleć nawet o czém, cóż dopięro jać się kompozycyi.

ceniu Beethovena na znakomitego organistę, choć w tamtych czasach, szczególnie w Niemczech, mistrzostwo tego rodzaju uważane było prawie za szczyt działalności muzycznej, którą znów (a nie bez powodu) miano za to samo co biegłość w kontrapunkcie. Beethoven zaś nigdy nie był wielkim kontrapunkcistą w ścisłym znaczeniu wyrazu, a raczej stał się nim później, ale zupełnie po swojemu. Kontrapunkt, rogata owa część nauki muzyki, odbiera wiele swobody artystycznej, szczególnie początkującemu a żywego charakteru uczniowi; więc chociaż Beethoven nie wdał się jeszcze wówczas z nią w zapasy, instynktowy miał pewnie wstręt do niej, i dlatego może nigdy w dziełach swoich późniejszych używać organów jak należy nie umiał, czy nie chciał⁽¹⁾. On, który tak mistrzowsko wszystkich narzędzi używał, każdemu też dowód swój miłości zostawił, prócz organów; wyłącznie dla nich nie napisał. Bo w jego widzeniu nie organy, ale coraz bardziej w potęgę rosnący fortepian był królem narzędzi muzycznych: jemu najwięcej swych prac nieśmiertelnych powierzył, a gdy go inne narzędzia pociągały, to najczęściej fortepian z nimi kojarzył.

Wnosząc z tego co dziś fortepian musi robić, dziwiłoby się należało rozmiłowaniu w nim Beethovena. Ale wówczas nie nadużywano tak szkaradnie potężnych jego zasobów, jak sobie tego dzisiaj pozwalają (coraz rzadziej, chwała Bogu); umiano z właściwości jego ciągnąć korzyści dla sztuki, nie dla siebie. A fortepian tyle ma przymiotów! on tylko jeden ze wszystkich narzędzi muzycznych umie oddać lekkość i powagę, powabnym tonów rozdźwiękiem nadać muzyce słodycz pieszczoną, i melancholijną powłoką połączyć wszystkie żywotne akcenta muzyce właściwe. Dlatego ze wszystkich narzędzi fortepian najwięcej upowszechniony; dla niego poświęca się przemożność liczych wirtuozów; on jest najlepszym kompozytora tłumaczem, stenografem jego natchnienia; w nim raczej jak w każdym innym narzędziu znajduje wszystko dusza lubiąca głębię myśli, rozmowę samą z sobą.

(1) We mszy D. dur np. (op. 123) jednym z najpoetyczniejszych i najpóźniejszych swoich utworów, używa Beethoven organów, jakby chciał niemi stwierdzić swój pogląd religijny, ale nie *obligato*, tylko w sposobie akkompaniamentu, jakby dla pomnożenia masy dźwięku mającego rozległą zapełnić świątynią.

Dowodem nasz Szopen. Dla obydwóch, Beethovena i Szopena, fortepian zamożny w harmonią chętnym był sługą w improwizacyi, w której obydwaj cudów dokazywali⁽¹⁾. Że u Beethovena musiało to być coś zachwycającego, wnosić trzeba z uniesień powszechnych za jego życia, które jednak niczego nas nie uczą. Więcej daleko poznać można ze spisanych muzycznie jego myśli, zapewne oględnie wykończonych, jak każde dzieło na zawsze do sztuki należeć mające, (a Beethoven innych nie zostawił) ale głęboko poczuty i gorąco wylany tuż po improwizacyi. Nią bowiem zawsze prawie rozpatrywał się Beethoven w swym przedmiocie; zwykł był nie kombinacją głowy, nie zastosowaniem nauki roztwierać swęj myśli do wylotu wrota, ale podżegać ją żywym dźwiękiem, nerwów własnych wstrząśnieniem w ruchu utrzymać, a dopiero wysnutą, rozwiniętą, rozpaloną jeszcze od szalonych z fantazyą hasań, wylać na papier. Taka metoda w pracy zalecanaby być winna każdemu kompozytorowi, i zapewne wielu jej używa, jako nastroczającej się mimowolnie. Ale u Beethovena nie było to metodą tylko; była to potrzeba tak silna, że od wczesnej młodości do dni ostatnich go nie opuściła. Płomienna jego dusza pragnęła spożyć całe bogactwo myśli, nasycić się nią do woli, wydobyć z niej wszystko co się wydobyć dało, by potem wybrać, uporządkować i dać światu do użycia. Ileż tam w improwizacyi skarbów być musiało, gdy spisane dzieło tak często łuną ich świeci? O tak! Beethoven umiał żyć muzyką, przenieść ją w krew swoją, utonąć w jej rozkosznej otchłani, zalać nią głowę i serce; on umiał w dźwięk się rozpląnąć.

Któż z muzyków nie doznał rozkoszy improwizacyi? Natchnienie leje się strumieniem, niestłumione formułowaniem przywołującym chłodną rozwa-

(1) Prócz nich słynął w Europie z improwizacyi Hummel, który ich w dziejach muzyki przegrodził. Wyborny fortepianista i znakomity kompozytor, szczególnie na swój instrument, więcej jednak miał zręczności i oglady niż gorącego uczucia, co się też i w chłodnej nieco grze jego przebijało. Jego improwizacya, której techniczną stronę do zadziwienia posiadał, błyszczała temi samymi co i kompozycya przymiotami; nie było w niej polotu lecz był concept, więcej miała umiejętności niż poezyi. Ale improwizacya świetnie wszystko pokazuje niż jest w istocie, a może też tu i owdzie strzeli natchnieniem prawdziwem, które znów swym urokiem odzieje to, co w reszcie poziomego być mogło.

sem ślady na rękopisach zostały. Tak np. przy jedném z wypracowań dwugłosowej fugi porównał ją na marginesie do dwunożnego szkieletu; przy inném do nudnego pas de deux i t. p. Ale pracował; i przez ciąg dwuletniej u Albrechtsbergera nauki do każdego zadania dostarczył od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu wypracowań, czasem znacznego rozmiaru. Jedna to z ważniejszych przyczyn przez które Beethoven wielkim i płodnym stał się kompozytorem. Niedosyć bowiem mieć pomysły; trzeba umieć je schwycić, obrobić, wydobyć z nich czego jak i gdzie potrzeba, to jest tak pomysł obracać, by w potrzebie nadał się do wszelkiego zachcenia, od igraszki do modlitwy, od skromnego frazesu do najsztuczniejszych kontrapunktu wybryków, wystarczył na kilka taktów, i na rozległe dzieło. Gdy to wszystko muzyk potrafi, stanie się istotnym panem pomysłu swego; bez tego tylko niewolnikiem jego będzie. Niechby o tém pamiętać chcieli nasi pseudo-kompozytorowie, którzy się nadyniają kilkunastoma lada jakimi piosenkami, choć w nich razem wziętych nie mieści się tyle wynalazku i siły, ile w jedném ćwiczeniu Beethovena (1). Nie dlatego to mówię bym chciał w kogo wmawiać że kontrapunkt go kompozytorem zrobi; ale dla zwrócenia uwagi na tę okoliczność, iż Beethoven, który wiele miał przenikliwości a nawet doświadczenia poprzednimi pracami w kompozycji nabytego, czuł potrzebę uczenia się kontrapunktu. Posiadłszy jego tajemnice, niekoniecznie wszędzie mu się oddawał, a gdzie to czynił, to zupełnie po swojemu. Z tego stanowiska patrząc na jego dzieła, możnaby je na dwie części rozdzielić. W pierwszej, starszej, widać niepowściągnięte uczucie, pojedynczo brykające, odporne rozważnym ale chłodnym kontrapunktu formom; ta połowa jest głównie jednogłosowa (homophonia). W drugiej młodszej połowie widać zagłębienie się w świat instrumentalny, coraz szerszy obręb widzenia, coraz rozleglejsze pomysły i obrysy, coraz wydatniejsze kształty. Więc wielogłosowość (polyphonia) coraz więcej górę brała, aż nakoniec całkiem niemal przeszła w warstwowanie, równoczesne rozwijanie myśli kilkoma pokładami. Możliwość prawie wskazać miejsca, gdyby tu o szczegółowy rozbiór dzieł Bee-

(1) Porównać: L. v. Beethoven's Studien im Generalbasse, Contrapunkte und Compositionslehre etc. von Ignaz Seyfried. Wien, bei Haslinger.

thovena chodziło, a nawet dopatrzeć tu i owdzie szczególnego związku, stosunku raczej, między indywidualnością kompozytora i osobliwością jego pomysłów a ich wypracowaniem, noszącém na sobie piętno spóźnionej i nierówno na wsze strony rozwiniętej nauki. Z tego wszystkiego urosły dzieła tak Beethovenowi tylko właściwe, że ich ani godziłoby się może naśladować we wszystkiém, aniby naśladować się udało.

Wspomniane wyżej studia techniczne umocniły Beethovena jako kompozytora, i odtąd zaczyna się świetnych prac jego szereg. Wiele z nich wywołało powszechny zapal, ale nieraz i równocześnie surową krytykę, której cechą w owe czasy było pilnowanie się ślepe ustalonej już techniki i opowiadanie jej szczegółów w rozbiórce, który istotnie nim nie był. Trudność opowiedzenia dokładnego mowy muzycznej za pomocą zwyczajnej, upędzanie się w kompozycjach głównie za mistrzostwem materyalném, liczebna większość prac tego rodzaju, choć nie miały wziętości ogólnej, i inne jeszcze coraz więcej z odrębnością muzyki zrosnięte powody, wprowadziły krytykę ówczesną na tę drogę, i tak głęboko wyrznęły dla niej kolę, że do dziś z niej wydobyć się jeszcze nie może, lubo coraz częściej tego pragnąc, opuszcza ją niekiedy, by się znów do niej stoczyć. Szczególniej rozumić to należy o krytyce muzycznej u Niemców, a najwięcej w kompozycjach czysto instrumentalnych, od których właśnie Beethoven zaczął. Gruntowność niemiecka za technikę chwytająca, z większą wówczas niż dzisiaj surowością przetrząsała prace kompozytorów, a w spotkaniu z Beethovenem, z zimną krwią i w imię dobra sztuki zamordować chciała pierwsze powstanie swobody, coraz potem energiczniej się tłumaczącej, coraz więcej odstępującej od tego co dotąd świat nawykł szanować, jako podanie od pradziadów do prawników przechowane. Podanie zwolna zamieniło się w przepis, tém ważniejszy, że pod jego przewodnictwem muzyka tak znakomicie się rozwinęła; a tu oto samowolność Beethovena coraz zuchwaliej przepis ów kruszyła. Krytyka nie od razu go odgadła, nie wyróżniła go od ómy kompozytorów dla których się ułożyła w pewne formuły. Miecz ten sprawiedliwości artystycznej dostał się w ręce ludzi którzy wiekiem albo pojęciem byli wychowawcami dawniejszych idei, o których nowe polityczne przewroty ocięrały się

jak lody o granitowe wybrzeże, rysując je ledwie lecz go nie krusząc; którzy odnośnie do siebie patrząc na sztukę, nie dostrzegali że ona jest, równie jak kościół, ciągle wojująca; zapomnieli że właśnie dlatego poprzednicy Beethovena odstępowali tyle razy od martwego przepisu, wyglądającego już jak tarcza połupana ciosami, podziurawiona strzałami. Gdy ją Beethoven do reszty zgruchotał, powstało narzekanie niezmierne, ale obok niego wzrósł okrzyk zwycięstwa. Poparty drugim, nie zważał Beethoven na pierwszy, bo był doń przygotowany niejednokrotnie dawniejszego nauczyciela przyganą; a że miał nieco zaciętości w charakterze i party był mimowolnie potrzebą ducha swego, więc nie ustąpił krytykom (lubo ich czytał), nie poświęcił im swych przekonań, ani nawet tak pozornie, jak kiedyś nauczycielom. Kto rozumie dzieła Beethovena jak je rozumieć należy, ten przyzna że u niego nowości nie przybywają im samym gwoli, ale niechcący się nasuwają z kierunku jego myśli, i dlatego prawo obywatelstwa w sztuce zyskały. Wcielone do dawniejszej techniki, przerobiły jej resztki w ten sposób, że dziś wszelkie przepisy toną w tym jednym; niema przepisu technicznego, jeno duchowy (1). To wyswobodzenie sztuki nie jest wprawdzie wyłącznie Beethovena dziełem. I owszem dla prawdziwych artystów istniało ono zawsze; ale gdy u nich spotykana swoboda pod tytułem wyjątków (licencyj) do teorii sztuki weszła, to Beethoven owe wyjątki w prawo zamienił, a innych wyjątków tyle nagromadził, że trzeba było nowe dla nich i dla tamtych miejsce w teorii obmyśleć, przerobić ją z gruntu. Jeśli się to stało już dzisiaj (choć niezupełnie i wszędzie), jeśli teoria muzyki ze szkolnictwa do artyzmu podskoczyła, świat Beethovenowi zawdzięczyć to powinien, więcej niż komukolwiek. Duchowe potrzeby nowego pokolenia, które Beethoven pierwszy śmiało wypowiedział, rozświeciły myśl wielu współczesnych, porwały późniejszych kompozytorów których sobie wychowały, i już dziś ich język nikogo nie dziwi. Więc Beethoven rozszerzył estetykę muzyki i zaprowadził ją na wyżyny, z których wszelkie wycieczki sztuki, nawet jej wybryki, jej zaciekania się marzące, dojrzyć, uznać, usprawiedliwić i odgadnąć można. Od-

(1) Nie należy jednak zapominać, że przepis duchowy rządzi techniką, i że ona tylko wtenczas swobody używać może bezwarunkowej, gdy jej tego myśl dozwala.

tąd nikt dalej nie zaszedł, ani ekscentryczny Schumann swém wysileniem, ani proroczy Szopen swém cierpieniem. Jeden chciał odebrać ziemi co miała, by już inni nie od niej nie dostali; drugi wznosił się do nieba i do piekieł zstępował, i opisywał co widział. Dla obojwóch, co Beethoven zarobił wystarczyło na sute uposażenie. Więc idź dziś kompozytorze gdzie wola! wszędzie droga otwarta, ale dla zaslonienia się od straży krytyką zwaną weź z sobą paszport nauki, przez natchnienie podpisany!

Co w Beethovenie musiało wspierać oryginalny rozwój ducha, to kształcenie się przez siebie samego i w jedyny prawie sposób jaki mu był dostępny: przez czytanie historyków, poetów i spokojny z samym sobą ich rozbiór, przez przyswajanie sobie wszystkiego w sposób samoistny i nieopisany. Zda się że wszelkie myśli, i te które tonami zeń wypłynęły, i te które w nim zostały, były jak tajemnicza tkanina, tu i owdzie jakąś nitką do wydatniejszych chwil zewnętrznego żywota przyczepiona, a z resztą jego nie niemająca wspólnego, pokrywająca inny świat wewnętrzny. Tak naprzykład miał niektóre ulubione sobie wyrażenia, pozostałe w pamięci jego po przeczytaniu anegdoty lub opisu wypadku. Charakterystyczne, schwycone ztamtąd orzeczenia, przypominające mu fakt pierwotny, przenosił wraz z pojęciem w siebie; tam je umieścił, otoczył towarzystwem własnych widzeń, upodobnił; a gdy znowu ich używał, to mimowolnie określał nimi nie to co dawniej znaczyły, ale to co się za ich podniętą w nim urobiło, własny oderwany pogląd, marzenie, zrozumiałe tylko dla tych którzy także anegdotę i opis czytali, tém samym orzeczeniem zostali uderzeni, a odstąpienie od dawnego znaczenia w Beethovena ustach, fantastycznym biegiem jego myśli wytłumaczyć sobie umieli. Tak i w kompozycjach jego można widzieć jak do pierwotnej, często obcej, myśli przyczepia się małeńki rys, niby z niej samej wzięty, ale już własny Beethovena. Rys ten coraz się więcej rozrasta, owija ową myśl pierwszą, pochłania ją, przerabia jej znaczenie, w nowy ją świat osadza, którego ani przewidywała. Tak ów przemożny wąż dusiciel schwytaną zdobycz urabia powoli do objętości swęj gardzieli, wciąga ją w siebie po trochu i połyka na koniec, a resztki formy pierwotnej przez skórę mu przeglądają.

Beethoven musiał więc być człowiekiem lubiącym odosobnienie, samotność; musiał mieć bogaty zapas myśli w samym sobie, gdy nie czuł potrzeby biegać za obcemi. Że tak było istotnie, uczą liczne szczegóły biograficzne, jego własne wyznania, i potwierdzają okoliczności o których dalej będzie mowa. Musiał też mieć środki do prowadzenia takiego trybu żywota, który mu pozwalał zakopać się w sobie. Tak też było rzeczywiście. Prócz mało znaczących obowiązków które pełnił w Bonn na dworze elektora kolońskiego, nigdy prawie nie miał innych, wymagających stale oznaczonych godzin, ułożenia życia na podobieństwo nieruchomych tafli posadzki, przerywania ulubionej pracy w najgorętszej może chwili. Ta swoboda zewnętrzna dozwalała mu wiele pracować u siebie, a co najważniejsza, nie przeszkadzała mu oddać się wyrobieniu jednej myśli. Pewnie to dlatego widać w jego pracach jedność i płynność, znać odlanie ich jednym technieniem, pod wpływem tego samego usposobienia. Świadomy swego położenia, ufny w swe siły, gorący w wykonaniu, pan samowolny technicznej strony, przekonany o znakomitej wartości wszystkiego co mu fantazyja poszepnie, bo poczynał i kończył w zapale, mnóstwo zostawił kompozycji⁽¹⁾, z których dochód stanowił czasem jedyny, a zawsze największy, fundusz na opędzenie niezbyt wykwinnych potrzeb⁽²⁾, nielicznych fantazyj,⁽³⁾

(1) Sformułowanie swych myśli pismem odwłóczył nieraz aż do ostatniej chwili. Zdarzało się że dopiero rano zaczynał pisać to, co na wieczornym koncercie miało być wykonane. Dowód niesłychanej łatwości i opanowania techniki muzycznej.

(2) W najświetniejszych dla siebie czasach nie lubił się zajmować interesami pieniężnymi, które najczęściej za niego brat jego Kacper, albo jaki inny zażyły załatwiał. Ile razy sam się brał do tego, zawsze prawie źle wychodził, szczególnie z przyczyny że nie znał praktycznej wartości pieniędzy. Dopiero w późniejszych latach, przy trudniejszych okolicznościach, złamaném zdrowiu, zmniejszonych dochodach a większych wydatkach, zaczął lepiej liczyć, kurczyć się i oszczędzać; ale to wszystko sztuki gospodarowania już go nie nauczyło.

(3) Do takich fantazyj należy trzymanie niekiedy kilku mieszkań na raz, z których każde z pewnych powodów mu było. Niepodległość jego i pycha także do kilku go powiodły wybryków, nie pozwalając mu żyć oszczędnie. By nie być zmuszonym do stawiania się o jedną godzinie na obiad do księcia Lichnowskiego, wolał jadać gdzieindziej i drogo płacić. By nie używać do usług strzelca książecego, który miał sobie nakazane by Beethoveno-

albo wsparcie rodziny⁽⁴⁾. Mieszkał prawie ciągle w Wiedniu, a jeśli się z niego oddalał, to tylko na czas krótki na letnie mieszkanie albo dla poratowania zdrowia, i znów co prędzej wracał do miasta które kochał jakby swoje rodzinne; tam wielu miał przyjaciół, lubo i niechętnych nie brakło. Jednych i drugich byłby wszędzie znalazł, gdzieby tylko był poniosł gieniusz swój i charakter; ale nigdzie jak w Wiedniu nie byłby miał tylu rozkoszy artystycznych, szczególnie w dziedzinie muzycznej. Bo ani świetny Paryż, ani miasto nababów, Londyn, mimo wabności pierwszego, mimo strumieni złota drugiego, nie miały tyle istotnego muzycznego życia, tyle szlachetnego do muzyki zapалу jak Wiedeń, prawdziwa wówczas stolica muzycznego świata. Okoliczności te, czy one przyjazne czy przykre były dla Beethovena, tak się jakoś układały, że mimo kilkakrotnego zamiaru opuszczenia na długi czas Wiednia tak dla korzyści finansowych jak i artystycznych widoków, nigdy do tego nie przyszło. W roku np. 1809 wezwany na dyrektora kapeli królewsko-westfalskiej, zatrzymany został przez arcyksięcia Rudolfa⁽⁵⁾, który z kilkoma innymi, wysoko położonemi towarzysko a finansowo zamożnemi, Beethovena przyjaciółmi, złożył się na dożywotnią dla niego pensją, aby go tylko zatrzymać w Wiedniu, jako najwyższą podporę i pychę muzyki południowo-niemieckiej. Niemniej jednak od roku 1817 ciągle przez lat kilka wybierał się do Londynu, wzywany przez tamtejsze filharmonijne towarzystwo do zaszczytnego w nim przewodnictwa i pociągany świetnemi warunkami, które przyjęto choć sam je nałożył. Ale znów okoliczności różnej natury zagraadzały mu drogę: to zajęcie się wychowaniem synowca, to chęć wyrobienia się pierwój z przyrzeczeń danych różnym nakładcom, wi pierwój niż swemu panu usłużył jeśliby tego równocześnie żądali, przyjął sobie własnego sługę; a gdy mu książę ofiarował swych wierzchowców do wolnego użycia, kupił sobie zaraz konia, jakby chciał pokazać że i jego także stać na to i t. p.

(4) Samemu bratu Kacprowi darował różnemi kwotami do 10,000 złotych austriackich, jak sam o tém w liście do Riesa powiada. Co go zaś kosztowało dostatnie wychowanie synowca przez lat dziesięć, od szkół aż do uniwersytetu, łatwo odgadnąć.

(5) Niektórzy mówią że książę Lichnowski fundusz ten z własnej mu kassy wyznaczył, ale to było tylko czasowo i co innego.

to wreszcie pogorszający się coraz bardziej stan zdrowia, które, mimo silnej jego budowy ciała, jakoś wczesnie majaczyć mu zaczęło.

Ze wszystkich cierpień najdotkliwszą mu była zwiększająca się ciągle głuchota, która go już około roku 1800 napadła. Tał ją lat parę przed wszystkimi, co tém łatwiej się udawało, że nawykniono już do jego roztargnienia i dziwaczności czasem postępowania; ale przed sobą samym zataić jej nie mógł. Wtenczas opromienione nadzieją w przyszłość życie zmieniło się dla niego w nieustającą tragedję, na lat trzydzieści blisko podzieloną; któż obliczy na ile dni smutku, na ile godzin rozpacz? Czasem usiłowanie lekarzów nową metody ratowania go używających, własne może złudzenie, napały go nadzieją, której widocznie więcej miał na ustach niż w sercu; a i tę trochę smutną rzeczywistość niebawem mu zabięrała. Nieszczęście to było dlań, jako dla muzyka, podwójnie straszne; chciało mu wydrzeć ukochaną sztukę, w której żył cały, przez którą sobie zapewnił stanowisko w świecie, chciało mu wydrzeć rozkosze tém droższe, że prawie zupełnie mu brakło innych; może i sławę dawniejszą, o którą walczył dotąd całą potęgą swego ducha, i sławę przyszłą, o którą mu jeszcze walczyć należało. Trudno wypowiedzieć wszystko czego wydarciem głuchota mu zagrażała. Muzyk głuchy! toć to najokropniejsze szyderstwo losu; dla nieprzyjaciół to zjadliwa rozkosz i broń straszna przeciw niemu, dla obojętnych to śmieśczość, dla przyjaciół to boleść, dla niego samego to rozpacz! Zaledwie pod nią nie upadł. A jednak nieszczęście to Beethovena było poniekąd dobrem dla sztuki, bo i tak już lubiącego samotność zmusiło do tém większego unikania ludzi, do wyłączniejszego oddania się sztuce, odtąd jedyną pocieszycielce i przyjaciółce niezłomnej. Jego nieszczęście, ktoby to powiedział, stało się dobrodziejstwem dla ludzkości; bo zmuszony zamykać się w sobie, spuszczał się uczuciem do najskrytszych serca tajników, jakby na dno wulkanu płomieniem wysłanego, a z tamąd rozżarzone nieziemskim prawie ogniem, w gwałtownych wybuchach rzucał na widok świata, by dojrzał jaka pod pięknymi na powierzchni kwiatami kryje się otchłań i czém bogata. Iluż to ludzi zrozumie rozpacz, jeśli się z nią sami od czasu do czasu nie złamią? Co skłonić ma chłodne samolubstwo do zajrzenia w niebezpieczny krater, na którego

dnie dymią zgliszcza minionych rozkoszy, zwiedzionych nadziei, tłumione tętną westchnienia? A tu Beethoven ciągle nosił żar w sercu; gdy mu go nieszczęście w płomień rozdmuchało, to olśnił nim oczy na zwyczajne uczucia patrzeć nawykłe, a większość go nie rozumiała i do dziś dnia nierozumie jeszcze. Można to powiedzieć szczególnie o ostatnich jego dziełach, przemożnych rozległym rozmiarem, a więc koniecznie głęboko pomyślanych, przedstawionych bogato. Ta rozległość niezwykła, ta głębia myśli, to nawalne ich bogactwo dochodzą nieraz tam, gdzie za nimi pogonić może tylko wielka artystyczna zdolność, osobistym wyrobieniem poparta, nawykła do rozważania wielu arcydzieł muzycznych, umiejąca w potrzebie nie uważać nawet na brak praktyczności w sztuce, zaciekać się w bezdno oderwanych pojęć, w labirynt myśli nic wspólnego ze światem niemających. Często kompozycje Beethovena do oceanu przyrównać można; o jego życiu czasem tylko drobna, peryodycznie napływająca fala świadczy. Bezpieczny żeglarz podziwia ogrom, spokojność i cudowność mnogich zjawisk, i zapominał nawet że sunie po bezdenną głębinie. Aż zjawi się na widnokręgu plamka chmurna i już słony żywioł silniej drgać zaczyna, pianą się tu i owdzie jak kwiatem obrzuci; dalej coraz więcej się rozkołysze, coraz silniejszą bije falą, coraz szerszą pianą zakwita, aż rozhulany pod obłoki podskakuje ku ciągnącej górą siostrze, przynęca ją roztwieraniem co chwila objęciem, dno jej swoje rozkrywa, nie dbając na wylekłych żeglarzów. Iluż ich wówczas ma siłę spojrzeć w przepaść, używać pełną piersią straszliwej przejażdżki, zapomnieć o sobie by podziwiać rozkielznane oceanu życie? Jeśli się kto przywiąże do jednej myśli, jak ów ciekawy burzy malarz do masztu, to tylko jedną jej stronę widzi czas jakiś, a potem dostanie zawrotu i straci nawet myśl przewodniczkę. Ten zaledwie wszystkiemu sprosta, kto pod wszystkimi strefami różne burzy widział stopnie i nawykł do nich, komu nietylko zewnętrzne objawy o jej postępie mówią, ale kto nawet każde drgnięcie okrętu, każdy w nim odgłos do właściwej odnieść umie przyczyny, a w ogólnym łoskocie wyróżni jęk koralowego lasu, natarczywy szturm na skałę, gromki ryk huraganu, i wszelkie tony gammy którą burza przebiega.

Porównanie to nie do wszystkich dzieł Beethovena

się odnosi, lubo cecha którą ono ma przedstawić przemagającą ich część z mniejszą lub większą siłą naznaczyła, a ostatnie prawie całkiem obsiadła. Pierwsze sonaty i koncerty wyrosły z zapatrywania się na Haydna i Mozarta, a styl ich i natura pomysłów i w późniejszych znacznie pracach Beethovena się zjawiają (np. op. 53 i 90), tylko że więcej niż u tamtych bywają rozrosłe i gęściej indywidualnością autora przeplecione. Rosła ona coraz bardziej, a świat zrazu sarkał, potem podziwiał i unosił się, nakoniec zdumiał i osłupiał prawie, widząc tyle siły w pomysłach, głębokości i rozległości w ich rozwinięciu, śmiałości, zuchwalstwa nawet w przedstawieniu, Co koniecznie uderzyć musi każdego oswojonego z dziełami Beethovena, to wieczna owa oryginalność, której się człowiek mimowolnie dziwi, choć wie że z gieniuszem ma do czynienia; to niezrównane bogactwo zwrotów zawsze świeżych (1), niebyłych, a jednak widocznie niewyszukanych. Wszędzie tam znać prawdę uczucia, tém większą że opowiada nieraz rzeczy o których się ludziom ani marzyło. Do téj ciągłej świeżości przyłożyły się różnorodne muzyki rodzaje którym się Beethoven poświęcał. Najwięcej jest prac solowych na fortepian, bo do ośmdziesiąciu. Wprawdzie w téj liczbie mieszczą się i drobniejsze rozmiarem rzeczy (których jednak zawsze po kilka na jedno dzieło się zbiera), ale są i takie co niesłychanych do Beethovena i po nim rozmiarów dochodzą. Naprzykład sonata op. 106, toć to wielka symfonia na fortepian napisana! A owoż op. 120 dające 33 wariacji z jednego walczyka Diabellego? Istotnie nie byłoby grzechem powiedzieć, że niektóre z fortepianowych kompozycji Beethovena są za długie, przynajmniej dla cierpliwości na nowszych kompozycjach zaprawionój. A jednak zaraz nasuwa się myśli obrona dla Beethovena, gdy się rozważy konsekwentność, rdzenność przeprowadzonój rozlegle myśli, stopniowanie jój ciągle utrzymujące interes! Wtenczas widać jak ta sama myśl daleką jest jeszcze od wyczerpnienia, jak jój skręty wiją się po jakichciś nieznanym obszarach. Głębokie zapatrywanie się Beethovena na swój przedmiot wiodło go do bezmiernego prawie przedstawiania; jemu każdy pomysł był dosyć bogatym by zeń ca-

(1) Choć dziś powtarzaniem długim i częstym przez różnych kompozytorów wiele ze swój pierwotnej siły straciły.

łe dzieło utworzyć, a w sztuce téj nikt nad niego nie celował; z dwóch tonów np. allegro symfonii tworzy (op. 67), trylu jako temat do fugi używa (op. 106). Zaraz się tu przypomina jego metoda fantazyowania przed spisywaniem; a że fantazyował na fortepianie, więc narzędzie to nad inne ukochał. To też uposażył go do tego stopnia, że choć później niezmiernie go jeszcze posunięto jako wyrób fabryczny i jako sługę artysty, to przecież nie tak już wiele po Beethovena nadać mu umiano. Przynajmniej w zaczątkach znajdzie się wszystko w fortepianie Beethovena, czém później fortepian Szopena i Liszta zasłynął. Dzisiajszych fortepianistów szkoła nadużywa niemal fortepianu; Beethoven nie potrzebował go do wysilen zmuszać, bo mógł mu dodać do pomocy inne także narzędzia, a umiał to lepiej jak ktokolwiek. Tego rodzaju prac, prócz dziesiątka wielkich koncertowych kompozycji na fortepian z orkiestrą, prócz kwintetu z dętymi instrumentami, prócz trzech kwartetów fortepiano-smyczkowych, spotykamy w katalogu z dziesięć to w trio, to jako trio, ze trzydzieści to w duet, to jako duet ułożonych; a wszędzie dodane fortepianowi narzędzia nie podrzędnie ale na równi z nim występują. Wprawdzie kompozytor nie wszczepia w nie takich nowości jak w fortepian, ale próżnować im nie daje i nieraz je zapędza do czego dawniej nie bardzo nawykły. Znać to szczególnie w jego pracach koncertowych na skrzypce z towarzyszeniem orkiestry i innych zbiorowych na różne instrumenta (septet, sextet, kilka kwintetów) między którymi skrzypce główną grają rolę; niemniej w kwartetach smyczkowych (około 20) i takichże triach (pięciu). Rozwinięcie przez Beethovena techniki narzędzi dętych, tak leniwo za innymi postępujących, wyszukanie wszystkiego do czego wówczas zdolne były, widzieć można w półtuzinie kompozycji zbiorowych różnego składu na same dęte narzędzia.

Jak Beethoven każdy instrument cenił, jak wezwawszy go raz do pomocy samoistnie i znacząco używać go umiał, dowodem dziewięć jego symfonij i kilkanaście uwertur na samą orkiestrę. W natłoku jego myśli i ich warstwowaniu tyle leży fantazyi, tyle życia rozpryskującego się na wsze strony, że każdy instrument był mu drogi, bo mu pomagał nie do łoskotu i wrzawy, ale do wypowiedzenia się więcej stanowczo. Natura myśli Beetho-

vena, bardziej fantastyczna niż idealna, nigdzie do tak szerokiego i swobodnego wyrażania się nie doszła, jak za pomocą tłumy środków które daje orkiestra. To też prace jego w tym rodzaju, jako najodpowiedniejsze jego gieniuszowi, najlepiej go przedstawiały, a raczej najobfitsze jego zebrały żniwo, i chociaż pilnie studyowane i naśladowane, niedoścignione zostały. Lecz nietylko symfonie jego przodkują do dziś dnia wszystkim które przed nim i po nim zrobiono; to samo da się powiedzieć w ogóle o triach, kwartetach i t. p. Niech mówią co chcą wielbiciele świetnego ale nie umiejącego utrzymać jedności Onslowa, o ciężale zawilego Spohra, Schumanna ekscentryka bodaj czy nie umyślnego, a nawet powściągliwie passyonowanego Mendelsohna-Bartholdy: żaden z nich nie ma tak jasnego wykładu i pomysłów, takiego stopniowania ich, takiej fantazyi, a mimo jej wybryków takiej jednolitości i związku.

Dla tém lepszego oznaczenia miejsca które Beethoven między najznakomitszemi zajął kompozytorami, nie od rzeczy będzie porównać go z niektórymi. Z poprzedzających go najbliższy mu jest Mozart szczególniejszą niekiedy energią, boleścią serca pełnego miłości. Chwile te są rzadkie i krótkie, bo łagodna słodycz, pieszczota, to naturalny stan jego. W Haydnie, owym twórcy symfonii, chwil Beethovenowskich mniej jeszcze; bo u niego humor, naiwność, prostota przeważają, przechodzą często w wielkość, ale niema szeroko roztoczonej namiętności, niema rozterki w sercu. U Haydna tego rodzaju rysy rozléwają się w surową powagę, u Mozarta w boleść dotkliwą, u Beethovena w niepowściągniętą fantastyczność. Z nowszych a najważniejszych kompozytorów najbliższy Beethovenowi Szopen; on byłby go najlepiej odtworzył, gdyby był szérzej się rozwinął i różnorodniej, albo przynajmniej gdyby był swoje jedyne trio o jakie dziesięć lat później napisał. Tak jak ono jest dzisiaj, przedstawia wprawdzie natarczywość Beethovena, ale bez właściwej mu jasności i stopniowania; może zbyt bogato jest uwarstwowane, podobne coś do rwącego potoku, zbyt głęboko płynącego w przepaść, byśmy dobrze widzieć mogli jakiej natury są przeszkody dla złamania których tyle siły używa. Lecz Szopen ma inne jeszcze strony któremi się z Beethovenem wiąże: raz nowością traktowania fortepianu, rozwinięciem dotkniętych przez tamtego

szczegółów, lecz tak bogatém, że je za własność jego uznać należy i przyznać że to nie zapatrzenie się na innych, ale wynikłość osobistej potrzeby; dalej pomysłami, które zrazu czysto indywidualne, stały się potém echem idei ludzkość wstrząsających, daguerotypem jej zdjętym w świetle boleścią naniesioném. Ztąd pochodzi jego chmurność, srogość nieraz, pastwienie się nad boleścią, równie jak i u Beethovena w abstrakcyą zamienioną. W tém różnica, że u Beethovena nigdy ona nie przestała być obrazem własnych jego marzeń, tłumaczem jego własnej fantazyi, u Szopena zaś stawała się często wynikłością poglądu na cierpienia przeciskające się po kropli przez grubą warstwę spraw potocznych. W miejsce dawniej używanego w sonatach i podobnych im kompozycjach menueta, wprowadził Beethoven scherzo; uczynił je igrającém, zadąsaném, zrzędném, a przy tém wszystkiém i zadumaném, jak człowiek sam z sobą w głos mówiący. Szopen ze scherza utworzył szérsze i oddzielne obrazy, a nakładł w nie szyderstwa, chłosty wymierzonych życiu za to że ono boleje.

Gdyby mi kazano streścić pojęcia o wywołanych tu do porównania duchach, powiedziałbym że z dzieł Haydna wygląda człowiek dobry i stateczny, z Mozarta serce dobre i głęboko czujące, bijące namiętnie, z Beethovena zatopiony sam w sobie marzyciel szlachetny, z Szopena poświęcający się męczennik. Nie są to naturalnie wyłączone każdego z nich cechy, bo każdy z nich czerpał w różnowzorém życiu swe barwy; ale znamiona tamte przeważają, szczególniej w ostatnich dziełach, w których też każdy ostatnie swe na ziemi wypowiedział słowo.

Marzenie, fantazyja, jakkolwiek ciekawe i pętnie, nie same tylko i nie najprzeważniej rozświecają artystyczne Beethovena myśli, bo są to zbyt wiotkie, niepraktyczne przymioty; nie w nich tkwi rdzeń pierwotności. Ony są ustrojem, nie samą postacią. Co tedy jest pierwiastkiem, początkiem, rdzeniem? Jedno tylko uczucie. Jeślim tu dotąd mniej o niém mówił, to dlatego, że go domyślać się należy zawsze gdy o sztuce mowa; dlatego, że wszyscy istotni artyści bez zatonięcia w jego głębiach nie stworzyć nie mogą, że przeto nie tyle ono wyróżnia Beethovena od innych kompozytorów jak marzenie i fantazyja, w których dziedzinę myśl swoją, swoje uczucie wprowadzać lu-

bił, na które się ono często u niego zmienia. Niemniej wszakże uczucie istotne liczne stronnice dzieł Beethovena zapełnia uroczym i tęskliwie najczęściej, nieraz radośnie i humorystycznie, słowem zupełnie po ludzku. Gdyby nie to, byłaby Beethoven uznany i wielbiony od ludzi? Przecież i on sam, nim marzycielem został, był pierwój człowiekiem, ani nim przestał być kiedykolwiek! Więc nie mógł pominać najwięcej ludzkiego muzyki środka, głosu ludzkiego, bo w nim miał potężnego uczuć tłumacza, narzędzie o uroczym dźwięku, celujące przed innemi żywotnością akcentu, podtrzymujące rzeczywistość w napływie fantazyi za pomocą tekstu, przedstawiającego niemal plastycznie tę samą myśl którą muzyka instrumentalna eterycznie rozwijała, przerabiała w marzenie. To też między pracami Beethovena mnóstwo jest pieśni różnego rodzaju, od tych które prostotę pieśni ludu, a raczej ich ducha, powtarzają, (np. 25 pieśni szkockich przepelnionych uczuciem i pełnych głębokiego pojęcia tekstu) aż do luźnej sceny dramatycznej (op. 65).

Rzadko się zdarza by który kompozytor, znakomitszy płodnością i siłą, nie oddał się pracom scenicznym; więc i Beethoven niejednokrotnie na tę drogę wstępował, to całą operą (Fidelio, znany także pod nazwą Leonora), to dramatyzowanemi obrazami (Ruiny Aten Kotzebuego, Egmont Goethego), to choć uwerturą streszczającą widzenie dramatu (Koryolan, król Stefan). I wszędzie się znalazła dramatyczność pełna życia, choć odmiennego toku niż u innych dramaturgów muzycznych, przecież najwięcej w części instrumentalnej. Część wokalna jest tam znacznie słabsza. Czemuż Beethoven nie dał pierwszeństwa głosowi ludzkiemu tam właśnie gdzie mu się ono niezaprzeczenie należy? Uważałże go za narzędzie mniejszych fizycznych zasobów? Czy mistrz we władaniu innemi, zadowolniony tém co z nich wydobył, co mu się zdawało wystarczające do malowideł dramatycznych, używał tylko głosu ludzkiego do wypowiedzenia tekstu objaśniającego, jako tkaniny na której swe obrazy rozkładał? Jakkolwiek bądź, dosyć że śpiew u Beethovena daleko pozostał za muzyką narzędziową, albo się z nią łączył jakby jeden z jej czynników, zamiast odrębnemu uledz traktowaniu, i to właśnie tam, gdzie dla sprzeczności należało go uwydatnić, gdzie użyty w sposób zgodny z jego naturą byłby pozór rzeczywistości nadał marze-

niom, w których tak lubił Beethoven tonąć w kompozycjach lirycznych głosowo-narzędziowych. Tu należą: cisza morska i szczęśliwa żegluga Goethego, tegoż pieśń związkowa, pieśń ofiarna Matthissona, śpiew elegijny, fantazyja instrumentalna z chórem, nakoniec symfonia ostatnia pod nazwą dziewiątej znana, olbrzymia, przepelniona kreacyą, z finałem instrumentalno-wokalnym. Z muzyk kościelnych napisał Beethoven jedno oratorium: Chrystus na górze oliwnej, i dwie wielkie msze łacińskie. W nich, jak i we wszystkich większych kompozycjach w których głos ludzki do współdziałania jest powołany, ogrom pojęć nawalnych, lejących się jak wezbrana rzeka, zaprowadził Beethovena niekiedy do zupełnego zinstrumentalizowania głosu ludzkiego, do całkowitej niepraktyczności (np. wyniesieniem do wysokości jakiej osiągnąć niepodobna chyba wyjątkowym organizacyom), by już nie mówić o trudnościach innego rodzaju, które się przedstawiają w wykonaniu jego dzieł najogromniejszych. Tyle tam działaczyw jakby dla zwalczania się wzajemnego zwołanych, a nie mogących się zwalczyć dla ciżby, nie mogących się zatrzymać dla rozprawy, bo ich popychają nowo przybywające siły! Odmęt i natarczywość, a jednak porządek i logika zwycięzko z nich wyglądają! Jakimże cudem? Oto jasną peryodów budową, determinacyą wyrażen, wyróżnianiem kolorytu, stopniowaniem. Wszystko czego używa Beethoven taką od razu odbiera impulsyą, że idzie śmiało i stanowczo gdzie jest przeznaczone, jak strzał między tysiącem krzyżujących się strzałów. Wszystkie razem tworzą bitwę, ale każdy z innej strony, różną siłą wyrzucony został, do różnego punktu sięga, a jednak w jednym celu działają wszystkie: dla zwycięstwa. Instrumentacya Beethovena, chociaż tak często pełna a zawsze energiczna, nie jest nigdy nadużyta; i owszem, rzeczby można że oszczędna. Tak naprzykład w symfonii heroiczej, w której fantazyja przedstawiała obraz najzawziętszych bitew (1), nie użył strasznych puzonów i dzikiej pikuliny. Taką to oszczędnością, której przykładów

(1) Jakie myśli w nim grały przy pisaniu tej symfonii, zgadnąć można z nadpisu: *Buonaparte*, który sam na niej położył. Jego bohater był jeszcze wówczas konsulem. Gdy się cesarzem zrobił, chciał go Beethoven wniwecz obrócić, a nie mogąc tego uczynić, odebrał swęj symfonii jego imię (niby szefostwo pułku jakiego) i nazwał ją: *eroica*.

więcej łatwoby było wymienić, wprowadzaniem narzędzi kolejnym, zachowaniem niektórych aż na później, by ich w stanowczej użyć chwili, mnożył Beethoven swe siły instrumentalne, umiał do końca logicznym, konsekwentnym i zajmującym pozostać. To także jest jeden z powodów które go na czele wszystkich na orkiestrę kompozytorów postawiły.

Od tego pobieżnego rzutu oka na dzieła, wróćmy do coraz bardziej głuchnącego artysty. Nieszczęście tego rodzaju łatwoby mogło być złamać słabszego duchem człowieka; Beethovena nie złamało. A jeśli w walce z niem nie wyszedł zwycięzcą, to spotęźniał i obronił prawie wszystko czego wydarciem groziła mu głuchota. Bo też ona nigdy zupełną nie była. Sluch tępiał, stawał się nieczułym na delikatniejsze odcienie mowy i muzyki, a dla człowieka muzyką przedewszystkiem żyjącego już i to była strata nienagrodzona. Ale on żył najwięcej muzyką własną; co w nim grało, to słyszał uchem duszy aż do najłżejszego tchnienia; co pisał, albo inni pisali, słyszeć mógł uchem muzycznego rozumu, mógł ubrać w barwy fantazyi tak właśnie, jak można czytać książkę i używać skręślonych w niej myśli, nie drgnawszy nawet ustami.

Złoto ogniem, człowiek cierpieniem się czyści. Jak w sztuce przebywał Beethoven swój czyściciel na ziemi, usiłowałem opowiedzieć wyżej. Geniusz jego nietylko nie zgubił nabytego już rozgłosu, ale coraz szerszą zyskiwał sławę, która i w niższych klassach społeczeństwa wiedeńskiego za życia jeszcze artysty się rozeszła. Gdzie się pokazał, cichł gwar około niego; opowiadają nawet że raz cały szereg ludzi obciążonych węglem stanął, ustępując mu miejsca, dopóki zagłębiony sam w sobie mistrz nie przeszedł. Nie był jednak bez przeciwników. Zarzucano mu, i dziś jeszcze zarzucają, że, jako głuchy, nie czuł rażących szorstkością tonów które niekiedy popisał, że jego niemoc powodem jest odmetu tu i owdzie spotykanego. Śmieszny zarzut, dowodzący że nie rozumiano czém jest muzyka i kompozytor. Tamta jako sztuka przedstawiać ma życie i uczucia; jeśli więc jedno i drugie niezawsze różami ubrane, jakżeż muzyka ma być zawsze łagodną i pieszczoną? Alboż tkliwości i pieszczoty brak u Beethovena? Taki jak on kompozytor potrzebuje słyszeć w żywym dźwięku oddane to co się w nim poczęło, skoro je doskonale rozumie, ja-

ko przez siebie stworzone, skoro tylko to spisuje, co mu podaje głos wewnętrzny, niezależny od fizycznych ciała przypadłości? (1)

Gdyby wreszcie zarzuty owe ścigały się nawet do istotnych jego dzieł usterków, (a tak nie jest) to jeszcze zalet tyle pozostaje, że możnaby niemi licniejsze okupić błędy, nie dopiero owe szczególne powawy niektórych chwil życia odrębnych, cechujących właśnie ducha wyswobodzającego się zupełnie od materji. Kto zdolny je pojąć, ten tylko artystę uwielbiać może. Jak już powiedziano wyżej, dziś świat (rozumie się wykształcony) nie dziwi się wyrażeniom Beethovena, choćby i najzuchwalszym, bo widzi w nim niejako proroka czasów których doczekać nie miał; widzi że wyrażenia te przedstawiają prawdę, nie są gonieniem za efektem, nie pochodzą z wyczerpięcia, bo równie w początkowych jak i w ostatnich spotkać je można dziełach. To samo i inne rysy, jak to wyżej okazano. Wędrując myślą coraz głębiej i wyżej zarazem, na każdym kroku spotykał obfite pomysły, a niepodobna mu było okazać je w całości. Co się w człowieku raz znajdzie, to go już nigdy nie opuszcza; więc stosownie do uczucia którym gorzał, stosownie do kierunku myśli który nim zawładnął, czerpał Beethoven ze swego skarbcza nieprzebranego, i nieraz w późniejszym wieku wracał do zielonych dni młodości, tak jak w młodości przepowiadał nieraz to co go później przeważnie zajmować będzie. Ztąd we wszystkich jego dziełach rozsypane są rysy wszelkiego rodzaju: humorystyka i naiwność Hajdna, prostota, tkliwość i bystrość Mozarta (że tych tylko mistrzów przytaczam), a obok nich energia, fantastyczność polotu, może najglówniej stanowiąca nieopisaną barwę Baethovenowi tylko właściwą. Nawet pamięć lat pracy naukowo-muzycznej poświęconych odzywać się niekiedy zdawała, jakby jeszcze pragnął ćwiczyć swą siłę wynalazku, jakby sam dla siebie robił przegląd różnostronnych zdolności, stylów, form, jakby w jednym dziele cały swój żywot artystyczny chciał zestrzelić (op. 120 i wiele innych, szczególnie w waryacji). Dowód to że wszystko co przezeń mówiło, było głosem prawdy, której każdy objaw musiał mu być drogim.

(1) Powtarzam, Beethoven nigdy zupełnie sluchu nie stracił; a jednak taka opinia u nas obiega i dała powód do drukowania bredzących anegdot, których wyszukiwać nie warto, ani odpiierać krzywo podanych okoliczności.

Tak też i w stosunkach jego ze światem, mimo zmiennych okoliczności, nic się nie zmieniło. Beethoven podobny sobie pozostał, bo miał silny charakter. Miłość rodzinna, w braku droższych osób, zwróciła się na braci i synowca, i nieostygła, choć mu ją źle odplacali. Młodzieńczą przyjaźń dochował do grobu godniejszym towarzyszom, lubo nie było przyjaciela z którymby choć raz nie zerwał (1). Czułość na wdzięki natury, do której się zbliżać lubił, tęsknota do miejsc rodzinnych, do których zawsze wzdychał, chętna pomoc przyjaciołom (2), porywcze wypowiedanie prawdy bez względu na okoliczności i osoby (3), rezygnacja i meztwo w nieszczęściu, niepodległość w życiu (4), wdzięczność za doznane dawniej dobrodziejstwa (5); oto główne rysy człowieka; ony nas uczą że był czu-

(1) Beethoven był łatwy do rozdrażnienia, a wtenczas gwałtowny dla najlepszych nawet przyjaciół. Jeśli umieli burzę przeczekać, to potem daleko więcej o przebaczenie błagał niż zawinił. Do częstego z przyjaciółmi zrywania usposabiała go dobroduszna łatwowierność w charakterze jego leżąca, od której do nieufności jeden krok tylko. Gluchota popchnęła go do niej podobno więcej, niż wpływ braci, o których mówią że czernili przed nim najbliższych, by sami opanować go mogli i ciągnąć z niego dochody.

(2) Dał jej niejednokrotne dowody. Nawet wtenczas gdy sam bardzo wiele potrzebował, pisał do Riesa: Dopóki ja żyję, nikt z moich żebrać nie będzie.

(3) W domu hr. Brown grał raz swego marsza na 4 ręce z Riesem. Obecny tam młody jeden panicz (jak to zwyczajem paniczów bywa) gawędził sobie dosyć głośno z młodą jakąś damą, mimo zabiegów innych przytomnych o spokojność. Oburzony Beethoven zerwał się od fortepianu i krzyknął: Dla takich bydląt grać nie będę! I na tém się skończył muzykalny ów wieczór.

(4) Wyrobił ją sobie geniuszem i oddzielnym postępowania trybem, idącym wprost z charakteru. Niezależność ta tém dziwniejsza, że nie odrzucał dowodów czynnej pomocy możnych, których zwyczajem było jeszcze wówczas nietylko exploatować talent, ale i ułatwiać mu chropowatą drogę potocznego życia. Beethoven rozumiał że można to odplacić sztuką, której plody, piérwój niż wyszły na widok publiczny, swym opiekunom poznać dawał.

(5) Hr. Waldstein był jednym z najmożniejszych mecenasów Beethovena i najpiérwszym. Jeszcze w Bonn, poznawszy zdolności młodzieńczego artysty, popiérał je to naprowadzeniem na nieznanne mu drogi muzykalne, to piénieżnym zasiłkiem, ze wszelką względnością na drażliwość ubogiego, to wyrabiając mu miejsce organisty, które dla Beethovena było istną synekurą, to namówieniem elektora by go swym kosztem do Wiednia wysłał. Pamiętał o tém Beethoven, nawet po zerwaniu stosunków ze swoim niegdyś opiekunem, i nie mogąc inaczej, wywdzięczył mu się

jącym i szlachetnym. Jego pycha artystyczna, przekonanie o swojej wyższości, upór, lekceważenie wygładzonych form towarzyskich, zaniedbanie swój powierzchowności i inne tym podobne wady i usterki, raczej jemu samemu niż innym szkodzić mogły, a cechowały człowieka istotnie wyższego, głęboko myślącego, przepelnionego oryginalnością i siłą.

Gdyby niniejsze wspomnienie było biografią, trzeba by przeprowadzić Beethovena przez to ziemskie życie aż do śmierci, nastąpionój w 1827 r. Wtedy pokazałby się lepiej i obszérniej jako artysta i jako człowiek w zapasach ze sztuką, która mu wiele winną była, z ludźmi, którzy mu wiele zawinili, z cierpieniem, które niemało mu dokuczyło. Ale już dosyć moich wyrazów: niech się sam Beethoven przedstawi. Wyjątki przytoczone tu z jego listów pokażą dokładniej jaki to był człowiek, jak go okoliczności nekaly, jak pracując bez ustanku i ciągle cierpiąc, zarobił sobie na nieśmiertelną sławę, którą uczczono w 1845 r. pomnikiem, w rodzinném jego mieście Bonn wystawionym, i uroczystością nietylko narodową lecz europejską.

Wiedeń 1800 r. (1)

Mój dobry, kochany Wegelerze! Jakżem ci wdzięczny za twoję na mnie pamięć! Anim na nią zasłużył, anim zasłużyć na nią się starał, a jednak tyś zawsze dla mnie równie dobry, mimo mego zaniedbania cię, zawsze wierny, poczciwy przyjaciel! Nie myśl bym was zapomniał, boście mi zawsze drodzy; są chwile, że sam się ku wam myślą zwracam, radbym przebywać z wami. Moja ojczyzna, okolica w której światło dzienne ujrzałem, równie mi są piękne jak dawniej były, równie wyraźne w pamięci jak wtenczas gdym je opuścił, a chwila w której was znów ujrzę, gdy powitam Ren ojczysty; będzie jedną z najpiękniejszych chwil mego życia. Kiedy to nastąpi, nie wiem, ale mnie ujrzycie innym niż byłem. Nie artystę większego, ale lepszego, doskonalszego człowieka we mnie znajdziecie... Pytasz się o moje położenie! Wcale dobrze mi idzie; Lichnowski od przeszłego roku daje mi pensją roczną 600 fl., dopóki sobie nie znajdę stosownego pomieszczenia. Może nie uwierzysz tém, co wówczas świat cenil niemało, dedykacją sonaty op. 53.

(1) Biographische Notizen über L. v. B. von Wegeler und Ries. Koblenz 1838.

gdy ci powiem że on zawsze do najgorętszych moich przyjaciół należy (1); miéwam wprawdzie małe z nim zadarcia, ale ony właśnie ściésniają jeszcze naszą przyjaźń. Kompozycye wiele mi przynoszą, i mogę powiedzieć że więcej mam obstalunków niż zrobić zdołam. Na wszystko co zrobię mam sześciu, siedmiu i więcej nakładców; nie targują się ze mną, tylko płacą co żądam (2). Nie prawda? to ładna rzecz! Widzę np. przyjaciela w potrzebie, a nie mam dosyć zapasu, to napiszę coś, i pomoc zaraz przybywa. Oszczędniejszy téż jestem niż dawniej... Tylko zdrowie jakoś mi nie służy; mój słuch od trzech lat już słabnie... szumi i piszczy mi w uszach dzień i noc. Nędzne wiodę życie, od dwóch lat unikam ludzi, bo nie mogę im wyznać że jestem głuchy. Gdybym miał inny zawód, byłoby to jeszcze pół biédy; ale dla muzyka to okropne. Cóż powiedzieliby moi nieprzyjaciele? a mam ich niemało! By ci dać wyobrażenie o téj dziwnej głuchocie, powiem ci że w teatrze muszę stać tuż przy orkiestrze, by słyszeć aktora; wysokie tony narzędzi muzycznych i głosów ludzkich wymykają mi się, gdym nieco odległy. Mówiących cicho ledwie słyszę, i to więcej głos niż wyrazy, i dziwna rzecz, że jeszcze ludzie méj biédy nie poznali; mają mnie za roztargnionego. Ztémwszystkiém krzyk razi mnie niezmiernie... Już dawno byłbym przeklął swoje istnienie, ale mnie Plutarch rezygnacyi nauczył. Stawię czoło losowi, lubo wiem że będą chwile w których za najniezszczęśliwsze na ziemi stworzenie mieć się będę... Nie dbajcie, że wam o sobie znać nie daję; wiesz że pisać listów nie lubię. Moi najlepsi przyjaciele po parę lat ich odemnie nie dostają. Żyję całkiem w nutach: za ledwie jedno skończę, zaraz

(1) W jego domu przebył Beethoven kilka lat od r. 1794; tam się zbierało co najświetniejszego w sztuce Wiedeń posiadał; tam wzrosła Beethovena wziętość; tam pierwsze dano mu polecenia do kompozycyji i t. d. Lichnowski sam pracował nad kompozycyami Beethovena, by grając je dowieść mu że niepotrzebuje łatwiej ich pisać. Słowem: czém, gdzie i kiedy mógł, popierał Lichnowski Beethovena.

(2) Właściwie bracia jego prace zbywali, i tak się krzątać umieli, że i szkice nawet przechodziły do wydawców. Dlatego téż Ries słusznie nie wierzy w prawdziwość jego dzieł pośmiertnych. Ku końcowi życia Beethoven sam nie mógł nastarczyć obstalunkom i prośbom wydawców, a że wiele potrzebował pieniędzy, byłby zbył, gdyby coś gotowego posiadał.

drugie zaczynam, a czasem około kilku rzeczy na raz pracuję... Zaczęj radczyni donieś, że zawsze jeszcze niekiedy *raptus* mnie napada (1).

1801.

...Gdyby nie mój słuch, byłbym już z pół świata objechał, i przyjdzie do tego; bo dla mnie niéma większej rozkoszy jak zajęcie się sztuką, okazanie czém jestem (2). Nie myśl bym z wami mógł być szczęśliwszy; cóżbyście dla mnie zrobić mogli? Nawet wasza troskliwość bolesnąby mi była; litowanie się wasze nademną niezszczęśliwszymby mnie jeszcze uczyniło. Cóż dla mnie zostało z owych pięknych ojczystych okolic? Nic, tylko nadzieja lepszego bytu (3). Gdyby nie moje cierpienie, nadzieja byłaby się spełniła. Wolny od niego, światbym ogarnął, bo czuję że teraz dopiero młodość moja się poczyna. Od niejakiego czasu przybywa mi sił fizycznych i umysłowych. Codzień bliższy jestem celu który czuję, ale którego opowiedzieć nie zdołam. Precz ze spoczynkiem! tylko we śnie go pojmuję, a i tak boleję że mu się więcej niż przedtém oddawać muszę. Niech mnie tylko moja niemoc na wpół przynajmniej opuści, a wtenczas stanę między wami jako dojrzały, skończony człowiek, nie jako niezszczęśliwy. O! złamać się losowi nie dam! Tak pięknie jest w jedném życiu żyć tysiące razy! Ale czuję że już do tego niezdolny.

1810.

Dobry, stary przyjacielu! zdaje mi się, że się zdziwisz odbierając list odemnie; ale choć piśmiennych nie daję dowodów, zawsze cię w żywej chowam pamięci. Nawet między memi rękopismami oddawna już jeden tobie poświęcony... Od kilku lat skończyło się moje dawniejsze spokojne życie; gwałtem mnie w odmęt świata wciągnięto. Korzyści jeszcze żadnej z tego nie widzę, coś przeciwnego raczej; ale na kogoż burze zewnętrzne nie działają? A jednak byłbym szczęśliwy, może najszczęśliwszy z ludzi, gdyby zły duch w moich uszach się nie rozgościł. Gdybym nie był gdzieś czytał, że niewolno człowiekowi samowolnie życia opuszczać dopóki coś dobrego zrobić na świecie ma nadzieję, dawnobym

(1) Znaczy to wybryk jakiś niezwyčajny.

(2) A jednak nieraz narzekał że go do grania zmuszają, i zmuszony tracił humor na dni kilka.

(3) Co za sprzeczność z odpowiedniami miejscami poprzedniego listu! Widocznie cierpienie mocno go przygniotło.

już nie istniał. Piękne jest życie, ale dla mnie na zawsze ono zatrute!

1816 (do Riesa).

... Śmierć mego brata wpłynęła mocno na mnie i na moje dzieła; przysporzyło mi to i kłopotów, ale mam słodką pociechę że wydarł niewinne dziecię z rąk niegodnej matki... Odpowiedź moja się spóźniła, ale był słaby i zatrudniony... Z owych dziesięciu dukatów złotem nie dostałem jeszcze ani grosza... Książę też regent (angielski) za posłaną mu bitwę ⁽¹⁾ nawet kosztów kopiowania mi nie zwrócił, ani nawet nie podziękował. (Tu wymienia kosztą swego utrzymania się w Wiedniu i wydatki na synowca). Ileż to zarobić trzeba, by tutaj żyć; a to jeszcze nie koniec, bo-bo-bo... domyślasz się zapewne. Prócz koncertu, pragnąłbym mieć kilka obstalunków od towarzystwa filharmonijnego ⁽²⁾... Weź się też do roboty, kochany mój uczniu, i coś tegiego mi przypisz! odplacę ci takąż samą monetą... Piękne ukłony twój żonie; niestety! ja jej nié mam. Znalazłem wprawdzie jedną kobietę, ale jej nigdy nie posiadę. Nie jestem jednak nieprzyjacielem kobiet... Pokłoń się też odemnie wszystkim pięknym Angielkom, o których mniemasz że z tego będą rade.

1818.

Nie mogłem tego roku przybyć do Londynu, mimo najszczerzej chęci; proszę cię powiedz towarzystwu filharmonijnemu że lichy stan mego zdrowia jest tego powodem... Spodzielam się że ci się coraz lepiej powodzi; o sobie tego powiedzieć nie mogę... Ucieknę ztąd jak tylko będę mógł najprędzej, by uniknąć zupełnej ruiny... Pozdrów odemnie Cramera, choć slyszalem że on jest moim

(1) Bitwa pod Vittorią, obraz muzyczny na orkiestrę, op. 91.

(2) Koncerty coroczne wielkim były dla Beethovena zasilkiem; że zaś chciał pisać dla Londynu mając w Niemczech gotowych wydawców, to dlatego że tam lepiej płacono.

kontrasubiektem ⁽¹⁾, ale się już trochę nauczył z takimi obchodzić, i w Londynie będziemy w dobrej harmonii. 1819.

Nie rozumiem jak tam w kopię tej sonaty (op. 106) tyle błędów wcisnąć się mogło; ja z biegiem okoliczności nie mogę trzymać własnego kopii-sty ⁽²⁾... a tu jeszcze rok trzeba będzie wytrzymać (bo się do Londynu ciągle wybié rał). Straszna rzecz co się z moim dochodem stało! ani zgadnąć co się jeszcze stanie. Jeśliby ta sonata nie była dla Londynu stosowną, to przyślę inną; lecz i tę możnaby pozmienić (tu instrukcja). Pisałem ją w smutnych okolicznościach. Jakże to przykro pisać dla chleba prawie! Do tego doszedł!... Jeszczem nigdy nie był w takich obrotach, i to przez zbytę dobrą dobroć dla ludzi... Teraz ściskam tylko w myśli twoją żonę, a slyszalem że ładna; na przyszłą zimę zrobię to na prawdę...

1822.

Choruję od pół roku i dlatego nie pisałem. Odebrałem 26 fun. ster. i dziękuję ci za nie... Co mi ofiaruje towarzystwo filharmonijne za symfonią?... Zawsze jeszcze żywię myśl przybycia do Londynu; może na przyszły rok... Gdybym nie był tak ubogi, pisałbym darmo dla takich jak tam są artystów. Bo Beethoven, dzięki Bogu, może jeszcze pisać. Niech tylko zdrowie mi wróci, niech się trochę przynajmniej polepszy, to wystarczę nietylko europejskim, ale nawet amerykańskim obstalunkom...

1823.

... Smutne moje położenie zmusza mnie bym co chwila pisał, skoro mi to tyle pieniędzy przynosi, które także tylko na chwilę wystarczają. Słaby też jestem z powodu kłopotów, a nawet i oczy coś mi majaczą. Ale nie bój się, symfonią wkrótce ci nadesłę... tylko pamiętaj, mój kochany, przysłać mi co prędzej co tam dla mnie dostawiesz...

(1) Cramera cenil Beethoven jako fortepianistę. Kontrasubjekt, wyrażenie techniczne z fugi wzięte, znaczy tyle co przeciwnik.

(2) Dawniej kilku ich trzymał.



2.

1.

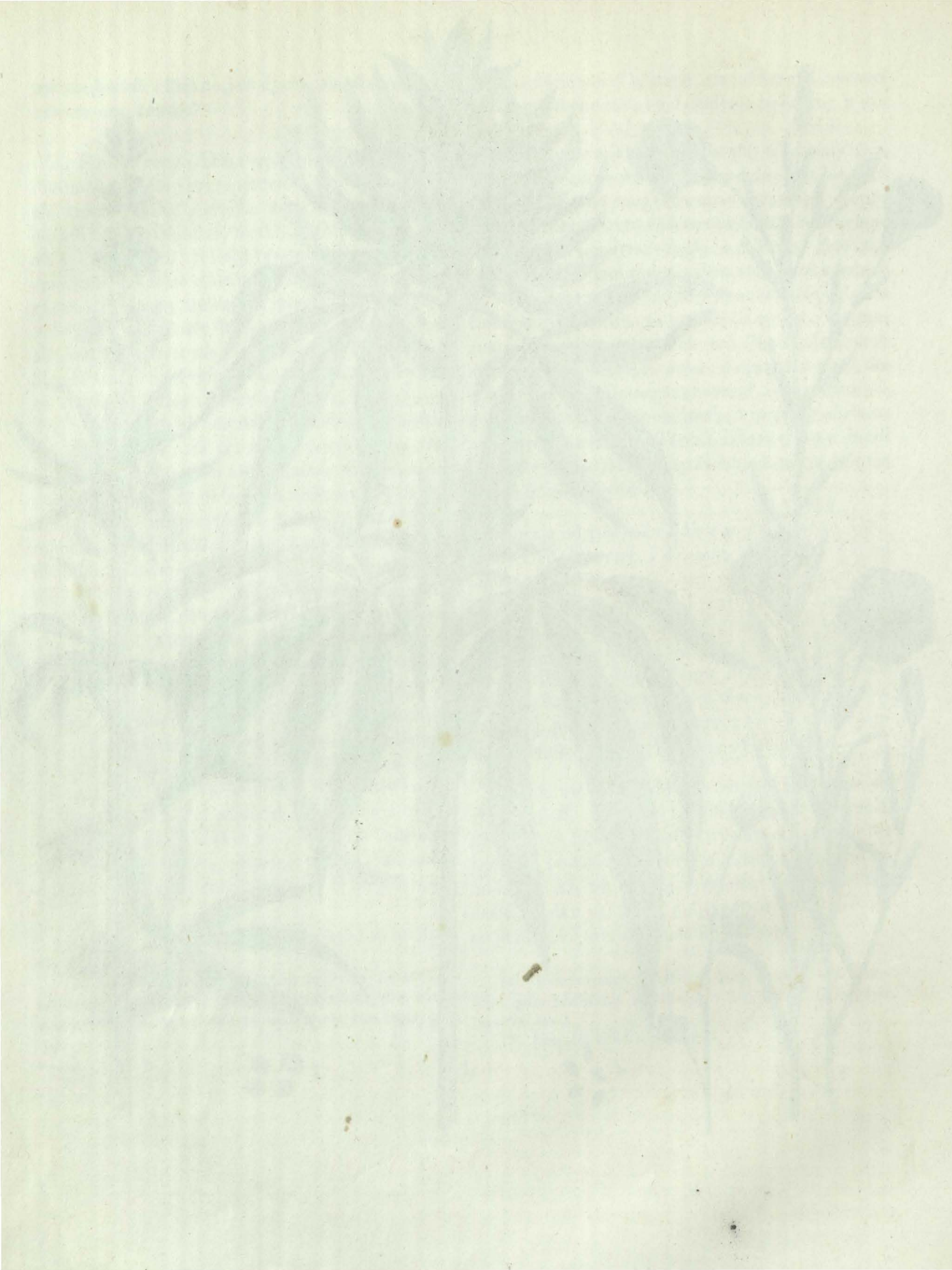
3.

4.

5.

7.

6.



LEN I KONOPIE.

Zamieszczamy tu krótkie opisy lnu i konopi, dwóch roślin przedziwnych zwykle razem wspomnianych, chociaż nietylko do różnych rodzajów, ale nawet do różnych familij roślinnych należą. Ze względu atoli na użytek, uprawę i obrobienie ich produktu, to jest włókna, len i konopie wielce do siebie są podobne, tak iż pod względami gospodarskimi i fabrycznymi uważać je można jakby za dwa jednego rodzaju gatunki.

LEN.

Powszechnie to znana w całym niemal świecie roślina. Wystawia ją na załączonej tablicy fig. 1 i 2 w stanie wyrosłym, rozkwitłą; fig. 3 wierzchołki z główkami nasiennymi po opadnięciu kwiatu; fig. 4 ziarna nasienia, które pospolicie *sie-mieniem* bywają nazywane. Korzeń lnu jest włóknisty, łodyga 1—4 stóp wysoka, pojedyncza, gładka, w wierzchołku tylko gałęzista. Im len rośnie gęściej, tém i wierzchołek jego łodygi bywa mniej gałęzisty, tak iż zbyt gęsto posiany, po jednej tylko na łodydze miéwa główce nasiennéj. Kolor kwiatu jest jasno-błękitny, korona i kielich pięciolistkowe, ostatni trwałe. W kwiecie jest dziesięć nitok pyłkowych, a pięć słupków; ztąd i główka nasienna pięciokomórkowa, a w każdéj komórce po jedném ziarnku. Lancetowate listki rozstawione są na łodydze naprzemian. W ogólności len podzielić można na *letni* i *zimowy*, a z tych pierwszy ma kilka gatunków; liczą prócz tego mnóstwo odmian, ale te nie miéwają cech stałych, i zależą od gruntu, sposobu uprawy i t. d.

Uprawa lnu sięga najodleglejszój starożytności. Już w drugiej księdze Mojżesza napotykamy o niéj wzmiankę; powiedziano tam, że grad w Egipcie zniszczył zasiéwy lnu i jęczmienia. Mumie egipskie zwykle lnianém płótnem bywały obwijane; kapłani tamtejsi ubiérali się w białe szaty lniane. Napotykamy także ślady lnianych tkanin w starożytnéj Grecyi, w Rzymie, w Gallii i Hiszpanii. Pliniusz wyraźnie mówi, że Germanie i Batawowie używali na suknie tkanin lnianych. Pierwiastkowém okryciem Skandynawów były skóry ze zwierząt, futra,

kożuchy i grube tkaniny wełniane, a w wieku IX książęta tylko, szlachta i wolni chłopci mieli prawo używania na odzież lnianego płótna; słowem napotykamy len i lniane tkaniny na północy i na południu, na wschodzie i na zachodzie.

Len jest rośliną bardzo prędko peryód wzrostu i dojrzałości odbywającą. W przeciągu trzech, najdalej do czterech, miesięcy od posiania wschodzi, wyrasta i dojrzawszy kryje w komórkowatych główkach brunatne nasienie; dlatego w krajach północnych zasiéwają len w końcu wiosny, na południu zaś uprawa odbywa się w porze zimowéj. W Egipcie zasiéwają go w grudniu lub styczniu na gruncie z którego niedawno wody Nilu ustąpiły, a zbierają w kwietniu lub maju. W krajach północnych czas siéwu przypada w miesiącu maju, a zbioru w sierpniu lub wrześniu. Niéma w Europie kraju gdzieby lnu nie uprawiano; z największą atoli znajomością rzeczy hodują go w krajach nad brzegami mórz północnych niemieckiego i bałtyckiego, mianowicie: w Belgii, Hollandyi, Irlandyi, Anglii, Szkocyi, w Hanowerze, Holsztynie i Szlezwigu, tudzież w Pomeranii i innych północno-wschodnich prowincjach pruskich; największe zaś łany zasiéwają lnem w Inflantach, Kurlandyi i Estonii. Niemniej sięją go w Szlązku i w środkowych Niemczech; zresztą uprawa téj rośliny, na taką jak pospolicie u nas stopę, rozciąga się po wszystkich krajach Europy, aż do pirenejskiego półwyspu. W naszym kraju najgłówniejszym jéj punktem jest gubernia augustowska, powiaty zwłaszcza maryampolski, kalwaryjski, sejneński i augustowski, gdzie szczególnie zajmują się nią starowiercy czyli filipony. I w naszych wprawdzie stronach każdy folwark, każda osada rolna, każdy nawet wiejski zagrodnik i wyrobnik stara się przysiać sobie choć dwa zagonki lnu; lecz pospolicie sięją go tyle tylko, ile kobiety folwarczne, włościańskie, komornice, w czasie jesiennym obrobić, w czasie zimowym wyprząść, a w wiosennym, przy innych zatrudnieniach około wiejskiego gospodarstwa, wytkać i wybielić zdołają, co starczy ledwie na potrzebę domową. Rzadko się téż zdarza aby len we włóknie,

u nas sprzedawano; prędzij kobiety wiejskie i folwarki mają czasem do zbycia sztukę płótna. Inaczej rzecz się ma w gubernii augustowskiej, szczególnie w wymienionych wyżej powiatach: tam zasięwiają len na handel, sprzedają wymiędlone i wytarte włókno i przytém lniane nasienie, których obojga wielkie massy odchodzą do Królewca i Tylży, a odchodzą po to, aby przerobione na warstatach angielskich, belgijskich, hollenderskich, wróciły do nas drogą handlu, w stanie pięknego płótna.

Pomijając tu opis uprawy lnu, pod względem czysto rolniczym, jako w zakres tego pisma nie wchodzący, ograniczymy się na powiedzeniu kilku jeszcze wyrazów o sposobie otrzymania z dojrzałej już rośliny ziarna i przędzy.

Gdy len wyrwany dobrze wyschnie, jedni u nas kijankami wylacają z niego nasienie, drudzy czochraniem główki obrywają i suszą, a len zaraz moczą lub roszą; dwa bowiem są sposoby oddzielenia włókna od właściwej łodygi: moczenie albo roszenie. Łyko łodygę otulające składa się z delikatnych nitek czyli włókien, sklójonych istotą żywicowatą; roszenie więc czy moczenie, to jest długie wystawianie lnu na wilgoć powietrzną i słońce, lub też na krótsze działanie wody, sprawia ten skutek, iż owa zielna materya żywicowata i kleista rozpuszcza, rozpływa się, i po należytem wysuszeniu łodyga połamana wykrusza się za pomocą roboty zwaney międleniem albo tarcieniem, do czego różnych używają narzędzi. Obydwa działania, moczenie i roszenie, w obróbce lnu wymagają wielkiej troskliwości, bo od dobrego ich poprowadzenia zależy głównie piękność, a szczególnie moc i delikatność włókna. Za długie moczenie, choćby też o kilka godzin na kilku dniach, wiele włókno osłabia i całkiem niszczyć je może. Toż niedbale roszenie uczyni je twardym, szorstkim, trudnym do wybielenia. Oddzielenie od właściwej łodygi czyli paździoru włókna wiele kosztuje pracy nasze wiejskie kobiety, i w ogólności umiejętnie, pilne wypielęgnowanie i obrobienie przędzy lnianego taką dla wiejskich dziewczuch są zaletą gospodarczą, jak dla pań salonowych dobre ukończenie nauk z guwernantkami i metrami, tudzież nabycie pięknych talentów, a może jeszcze większą, bo im nawet brak posagu zastąpić może. Potrzeba suszenia przy ogniu lnu wycierać się mającego nastroczyła mieszkańcom gubernii augustowskiej pożyteczną myśl stawiania

opodal za wsiami umyślnych do tego, wspólnych dla całej wsi suszarni, przez co unikają pożarów, tak często obróbką przędzy w innych okolicach powodowanych.

W krajach gdzie uprawa lnu na rozleglejszą prowadzona jest stopę, jak w Irlandyi, Belgii, Hollandyi i t. d., staje się ona znakomitą źródłem bogactwa i ważną stanowi gałęź przemysłu fabrycznego. Niedawnemi jeszcze czasy Szląsk pruski wyrabiał rocznie za 14 milionów talarów lnianego płótna; dziś Anglia większą część tej produkcji sobie przywłaszczyła, a to od czasu wynalezienia maszyny do przędzenia i zastosowania jej po zakładach rękodzielniczych. Prowincye nadbaltyckie rossyjskie, jak zdawna tak i teraz, dostarczają dla zagranicznych fabryk ogromne massy surowego włókna; Ryga jest tego handlu stolicą. Ztamtąd także rozchodzi się rok rocznie wielka ilość nasienia lnianego, którego nietylko używają do sięwu, ale nadto do wybijania oleju niezbędnego dla malarzów i lakierników. Ważny jest także pod względem lekarskim użytek tego nasienia do emulsyj.

KONOPIE.

Na załączonej rycinie fig. 5 wyobraża konop' maciorkę, a fig. 6 samca czyli płoskunę w stanie rozkwitnienia, bo jestto roślina oddzielnopłciowa; fig. 7 przedstawia dojrzałe ziarna nasienne. Konop' (Cannabis) na odpowiednim gruncie wyrasta 8--10 stóp wysoko, a na złym, niedogodnym ledwo parę stóp bywa wysoka. I tę roślinę przedziwną także od najdawniejszych już czasów uprawiano. Herodot pisze że znano ją w starożytniej Grecyi i odzież z niej wyrabiano; w Grecyi, w Rzymie, jak w dzisiajszych czasach, worki i żagle bywały zwyczajnie z płótna konopnego. Za pierwiastkową ojczyznę konopi uważają Persyą i Indye wschodnie; dziś uprawiana jest po całej kuli ziemskiej, ale tylko przez narody mniej więcej ucywilizowane, bo ludy koczujące lub napół dzikie, uprawy roślin nieznające, użytek konopi i lnu zastępują skórami i kizkami zwierząt.

Z troskliwej uprawy konopi powstały mniej więcej wyraźne odmiany i gatunki tej rośliny, jakoto: konopie zwyczajne, bolońskie, sybirskie, reńskie i t. d.

Konop', jak się już rzekło, jest rośliną oddzielnopłciową, to jest na jednej łodydze są same kwiaty

samcze, gronkowe, z kielichem pięciolistkowym, bez korony, na drugiej same samiczne, także bez korony, z kielichem niepodzielnym. Nieco przyplaszczone ziarno nasienne ukryte jest w dwóch szarawych łupinkach i zawiera w sobie dużo tłustego oleju.

Konopie zasiwane są i udają się prawie w całej Europie, tak na południu jako i ku północy, lepiej jednak w klimacie umiarkowanym i gdzie wilgotne jest powietrze. Szczególniej w położeniu na słońce wystawioném, na wilgotnym, dobrym gruncie, zasłonionym od zimnych wiatrów, spodziwać się można z pewnością obfitego plonu konopi. Sposób ich siéwu i uprawy jest dwojaki i zależy od użytku na jaki włókno ma być przeznaczone; jeżeli zamiarem jest uzyskać włókno przydatne na płótno, a do takiego użytku powinno być, ile można, cienkie, najwięcej trzy stopy długie, wtedy siać je trzeba gęsto, a takiego siéwu łodyżki będą drobne; przeciwnie gdy się pragnie otrzymać wiele i mocnego, długiego włókna, jak np. na powrozy, liny i t. d., siać trzeba nasienie rzadziej, a wtedy łodygi wyrosną do 6 stóp przeszło wysokie i stosunkowo grube. Konopie zbyt rzadko, pojedynczo rosnące miéwają łodygi ku wierzchołkowi, podobnie jak len, gałęziste, i takie wydają obfity plon nasienia. Zwyczajnym sposobem z ręki zasiane nie potrzebują żadnej około siebie troskliwości, gdyż gęsto i razem powschodziwszy, wszelkie chwasty przygłuszają. Żaden owad konopiom nie szkodzi, owszem niektóre gospodynie zasiwają je rzadko, między zasadzoną kapustą, dla odwrócenia od niej liszek. Od ptastwa tylko, które jest bardzo łakome na to nasienie, najprzód posiane ziarno, a potem dojrzewające konopie muszą być pilnie strzeżone. Niektórzy gospodarze uwiązują tu i owdzie do

wierzchołków dojrzewających konopi białe wiązające się nici; skuteczny to jest środek odstraszania wróbli i t. p. ptastwa, które unika tych nici, uważając je pewno za sidła niezręcznie zastawione.

Konop' daje zbiór podwójny, gdyż łodygi samcze czyli płoskunki blisko trzema tygodniami wcześniej od maciorek dojrzewają; pojedynczo, więc wybierać je i wrywać trzeba. Gdyby się czekało aż wszystkie konopie dojrzeją, straciłoby się połowę zbioru, z tém większą szkodą, że włókno płoskunek jest bielsze i delikatniejsze. Po wyrwaniu téż konopi samców, pozostałe maciorki, przerzedzone, lepiej dorastają i ich nasienie doskonałej dojrzewa. Do wrywania maciorek przystępuje się zwykle gdy wierzchołkowe ich listki brunatnieją, a nasiona wysypywać się zaczynają. Wyrwane konopie układają się równo małemi garściami na ziemi, lub ustawiają przy urządzonych naprędce kobylicach, aby nasienie dojrzało i razem z łodygami wyschło. Teraz to dopiero ptastwo chciwie się zewsząd zlatuje i odpędzane być musi, gdyż zjadłoby większą część plonu.

Z wyschłych na gruncie konopi wymłacają nasienie cepami, a potem jeszcze wymłócone i wyczyszczone, cienko rozpostarłszy, troskliwie dosuszają, albowiem w grubo na kupę zsypane pleśń łatwo by się wdała. Potem pozostają już tylko te same co ze lnem działania, których celem jest oswobodzenie włókna najprzód ze sklejającej je istoty żywicznej, następnie z paździory.

W ogólności jednak uprawa konopi, z wielu względów, mniej jest korzystną od uprawy lnu; dlatego w pewnych tylko, szczególnie przyjaznych, okolicach na większą stopę bywają uprawiane.

E. L. b. prof. n. p.

ZIMA W KORSYCE.

W końcu listopada 1848 r., mówi p. Karol Reynaud, utalentowany podróżopisarz francuzki, ja i towarzysz mój wysiedliśmy na ląd w Ajaccio, mając zamiar wynagrodzić sobie w Korsyce chybiłone polowanie na pobrażach Delfinatu. Miasto Ajaccio niejednym podróżnego nęci powabem; cudoowny jego klimat dorównywa klimatowi Neapolu, i nie rzadkiego ujrzyć tu drzewa pomarańczowe, pokryte owocem około Bożego Narodzenia. Ulica prowadząca do kaplicy greckiej, pomiędzy morzem a ogrodami, oparta o wzgórze które ją zasłania od wiatru, współzawodniczyć może w piękności z nasłyniejszemi Włoch miejscowościami. Trudno także przemilczeć o zaletach jego gastronomicznych, o kosach jakby oblanych tłustością, o narodowem *bruccio*, o winach przyładka korsykańskiego, o pomarańczach mandaryńskich tak delikatnych, że długo jedna tylko Malta dzierżyła przywilęj ich hodowli. Szczególniej kosy godne są rzeczywiście wysokiego rozgłosu swojego. Przełot ich trwa od 15 grudnia do 15 lutego; jestto czas w którym jeżówka włoska i mirt, wonnemi pokrywszy się owocami, skrzydlatych gości wzywają do biesiady. Trzeba być w Korsyce żeby mieć pojęcie o tuczności tamtejszych kosów; włościanie łowią je w sidła i setkami przynoszą na targ do Ajaccio. *Bruccio* jestto rodzaj ciasta ze śmietaną, które z dodaniem rumu wyborną stanowi potrawę.

Ale nie wybraliśmy się do Ajaccio dla przepędzenia zimy w beczynnym używaniu; trzeba więc było poczynić przygotowania do drogi. W Korsyce, jak na Wschodzie, podróżuje się konno. Dziwna ta wyspa, obok przyjmującej się cywilizacji europejskiej, obfituje w rysy pierwotnej niemal dzikości, odznaczające nietylko mieszkańców, lecz nawet i zwierzęta. Koniki korsykańskie, niestarannie utrzymywane, źle żywione, skarłowaciałe, zachowały jednak odrębny swój charakter rasowy. Puszczane samopas po lasach i pastwiskach, żyją w stanie zupełnej niemal wolności, dopóki nie zląpią ich na postronek, jak konie *pampas*'ów amerykańskich; oblaskawione zaś, do późnej starości zachowują niezwykłą siłę i energią. Wieprze tutajsze

mało też są podobne do braci swoich na stałym lądzie; dziki bowiem sąsiednich lasów mieszają się z maciorami domowemi, dając życie plemieniu znikczemiałemu wprawdzie, lecz pokrytemu, podobnie jak sami, długą, siwową sierścią. Widząc je, łatwo sobie wytłumaczyć pomyłkę podróżnika angielskiego, który wysiadłszy na ląd dla zabicia kilku kuropatw, ujrzał pod lasem trzodę dzików. Nabił więc dubeltówkę kulami, zbliżył się ostrożnie i wypalił: dwa dziki legły na miejscu, reszta pierzchnęła w gęstwinię. Anglik powtórnie nabijał strzelbę, nie śmiąc przystąpić do ranionych zwierząt, gdy nagle przybiegli pastuchy, i dosyć niegrzecznie przybysza uczęstowali. Napróżno myśliwy wy dobywał pieniądze, ostatni ten argument naszej stariej Europy; dumni Korsykanie nie przyjęli wynagrodzenia, ale zabrali mu strzelbę i zmusili podobno ponieść im do chaty zabite wieprze.

Wybraliśmy cztery konie, kosmate jak niedźwiedzie, ale dorodne: dwa dla siebie, trzeciego pod bagaże, a czwartego dla przewodnika; tu bowiem nadaremnieby kto szukał owych nieustraszonych mulników, co to w pustyniach syryjskich pieszo towarzyszą karawanom. W parę dni później już mały nasz orszak podróżny przebywał miasto, poprzedzony przez dzielne dwa wyżły angielskie, które w wesołych podskokach biegały tam i nazad, jak gdyby przeczuwały czekające ich gody. W dość ożywionej z przewodnikiem pogadance stanęliśmy na wyżynie gór otaczających Ajaccio. Słońce zapadało nad malowniczą doliną Ornano, a gdyśmy na nocleg wjeżdżali do wioski Grossetto, już blask łagodny księżycy zastąpił nam gwiazdę dzienną.

Do sali oberży miejscowej, gdzie skromną pożywaliśmy wieczerzę, gromadzić się zwolna zaczęli okoliczni włościanie. W tych stronach przybycie cudzoziemców niepospolitęm jest zdarzeniem; zarzucano nas przeto pytaniami o nowiny z Francji. My jednak, zbywając się kłopotu jakiby nam sprawiło skręślenie wizerunków ówczesnych znamienitości politycznych, zwróciliśmy zrećznie rozmowę na przedmioty potoczne. Za godzinę w najlepszej z wyspiarzami byliśmy przyjaźni. Jeden z obecnych

dobył z kieszeni akordeonu i zaczął wygrywać na nim jakąś melodią walcową, a nasi wieśniacy, wpół się ująwszy parami, puścili się w taniec wirowy. Przez tuman dymu fajczanego przypatrywa-
 liśmy się szybkim tych piasów męzkich obrotom, gdy jeden z tancerzów zaproponował wykonanie tańca narodowego. Rozpoczęło się solo. Za-
 ledwie mierzonym rytmem pierwsze przebrzmia-
 ły takty, gdy wszedł młodzieniec szczupły i bla-
 dy, w aksamitnym, kroju korsykańskiego, ubra-
 niu i postawy nakazującej; za nim postępowała ko-
 bięta piękna i młoda, z zarzuconą na głowę białą
 chusteczką; oboje zajęli miejsce w kącie izby przy
 ogniu. Taniec, przerwany na chwilę przybyciem
 tej pary, z podwójnym teraz ponowił się zapalem
 i przybrał wkrótce charakter dosyć rubaszny.
 W chwili największego ożywienia młodzieniec, bez-
 czynny dotąd świadek zabawy, powstał nagle z miej-
 sca, i zmierzając prosto ku jednemu z zapamięta-
 łych tancerzów, zawołał: „Nędzniku! jak śmiesz
 wyprawiać tak bezwstydną pozę w obec mojej żo-
 ny, siostry, lub wreszcie towarzyszki? Na krew Zba-
 wiciela!...“ W mgnieniu oka z dziesięciu włościan,
 przyłożywszy dłonie do rękojeści swych sztyletów,
 rzuciło się na młodziana. I myśmy też przypadli
 dla rozłączenia zwaśnionych; ale już jakiś człowiek,
 wyższego od innych wzrostu, wstrzymał gestem
 napastników, i kładąc rękę na ramieniu nieznanome-
 go, rzekł głosem nakazującym: „Zapomniałeś się,
 przyjacielu! Myśmy tę salę zajmowali przed two-
 jęm nadejściem; jeżeli więc nasza zabawa nie przy-
 padła ci do smaku, to mogłeś dla siebie i towa-
 rzyszki swojej, która nie jest ani twą żoną, ani twą
 siostrą, tylko dziewczyną z Olmeto, zażądać od-
 dzielnej izby. Gdyby nie ci panowie, źle byłoby
 z tobą; przez szacunek jedynie dla nich przebacza-
 my ci; lecz wara odtąd wtrącać się do nas!

— Nie lękam się waszych pogroźek, zawołał
 młodzieniec chwytając również za sztylet.

Zaledwośmy zdołali zapobiedz wybuchowi kłó-
 tni. Ale co nas najwięcej zadziwiło w tej scenie
 gwałtownej, to obojętność młodej niewiasty. Sie-
 dząc twarzą do ognia, nie odwróciła się nawet
 w chwili najgroźniejszego sporu; zdawała się obcą
 zupełnie spowodowanemu obecnością swą wypad-
 kowi. Jakże pragnąłem przeniknąć historią tej dzie-
 wicy z sercem żelaznym! Ileżto epizodów roman-
 tycznych podróżnik napotyka w swjej drodze, któ-

rych najczęściej jedna tylko scena ulotnie się przed
 nim przewija! Rzeczywistość w tym względzie mniej
 jest uprzejmą od książek; bo rzadko kiedy dozwala
 nam być świadkami rozwinięcia dramy, jakiej przy-
 padek zrobił nas uczestnikami. Tym razem na-
 przykład droga nasza rozmijała się zupełnie z dro-
 gą młodej pary, i kiedy nazajutrz kochankowie
 wchodzili do Ajaccio, myśmy dosięgli Olmeto.

Po jednodniowym pobycie w tej wiosce, uroz-
 maiconym wyprawą łowiecką, pobrzeżem odnogi
 Propriano zwróciliśmy się ku Sartenie, leżącej na
 wyniosłości wśród winnic i pól uprawnych. Sartena
 jestto osada raczej jak miasto, ale posiada słusznie
 zarobioną sławę z *wendetty*, która w największym
 istnieje tu rozwinięciu. Nie należy tego jednak
 w fałszywym brać znaczeniu. Okolice gdzie panu-
 je wendetta najtęższe zwykle i najdzielniejsze wy-
 dają charaktery. Znany jest rys bohaterski szlache-
 tnego Cervoni, który na czele swych krewnych
 i przyjaciół pospieszył w pomoc obsaczonemu
 w klasztorze Bozio Paoli'emu, chociaż oddawna
 pałał ku niemu nienawiścią, poświęcając tym spo-
 sobem zemstę osobistą dla dobra ogólnego. Gdy
 jednak Paoli, oswobodzony, pragnął uścisnąć dłoń
 swego zbawcy, ten już odjechał, unosząc nieprzy-
 jazń w sercu po spełnieniu świętego obowiązku.
 Wendetta w Korsyce jest przesądem społecznym,
 jak w innych krajach pojedynk, rodzajem sądu
 bożego. Celem jej nie sama tylko pomsta, lecz mo-
 ralne zadosyćuczynienie za krzywdy; strzelba
 i sztylet zastępują tu miecz sprawiedliwości „Góra-
 le korsykańscy, powiada historyk Filippini, wszyscy
 noszą rusznice; najbiedniejszy nawet posiada broń
 wartującą pięć do sześciu talarów, bo dla nabycia
 jej sprzeda chętnie choćby winnicę lub sad kaszta-
 nowy. Zaiste, godzien podziwu jest widok tych lu-
 dzi, których całe odzienie niewarte i pół talara,
 z kosztowną na ramieniu strzelbą; lecz pola zato
 leżą odłogiem, i codziennie prawie zdarzają się zabój-
 stwa.“ Te słowa, napisane w wieku XVI, i dziś
 jeszcze możnaby powtórzyć, ze zmianą tylko wy-
 razu rusznica. Broń postąpiła w doskonałości, lu-
 dzie zostali ciż sami.

W ciągu ostatnich lat dwudziestu Francuzi usil-
 nym staraniem dokonali częściowego Korsyki roz-
 brojenia; lecz jeden dzień zniszczył owoc długo-
 trwałej pracy. Rusznikarz pewien miejscowy za-
 pewnił mnie, że w samym roku 1848 sprzedano

w Korsyce przeszło 20,000 fuzyj. Co do mnie, wiem tylko iż trudno tu spotkać człowieka nieuzbrojonego; wieśniacy korsykańscy noszą fuzye z pewnym rodzajem zalotności, jak dawniej noszono szpady, jak teraz noszą trzcinki lub szpicruzgi. A niedość jeszcze fuzyi: do zupełnego przyboru potrzeba im koniecznie pistoletu i kindżału; słowem szerokie ich kamizelki aksamitne prawdziwym są arsenałem. Śród nieustannych zatargów i wojen domowych rodzina w Korsyce niezmiernego nabrała znaczenia, i koła familijne najściślej od siebie się odstrychnęły.

Uczucie to głębokie, przesadzone nawet, obowiązków rodzinnych nie uwłacza jednak bynajmniej domowym cnotom Korsykanów. Oddają w tém szczególniej sprawiedliwość mieszkańcom Sarteny, z któremi zresztą i niebezpiecznie jest zadziierać. Pan Valéry, autor zajmującego dzieła o Italii, zanadto podobno rozpisawszy się o wendecie sarteńskiej, o mało nie padł ofiarą swój prawdomówności; gdyż jeden z obywateli tutajszych wybrał się umyślnie do Wersalu, gdzie mieszkał p. Valéry, by zbrojną ręką zażądać od niego tłumaczenia. Niechże więc Pan Bóg strzeże każdego podróżnika zaczepiać ludzi tak dbałych o sławę rodzinną!

Ruszając w dalszy pochód, przez góry przyległe zatoce Figari, przybyliśmy do wioski Caldarelli, gdzie w domu miejscowego proboszcza gościnnego doznaliśmy przyjęcia. Nazajutrz była niedziela; wysłuchaliśmy mszy świętej w kościółku parafialnym, a po nabożeństwie sam proboszcz, ująwszy kij swój mirtowy, udał się z nami na polowanie, którego wypadek dosyć był pomyślny. Kilka dni upłynęło nam przyjemnie w towarzystwie zacnego kapłana na rozmowach o stanie towarzyskim tego kraju, tyle i tak dziwnych łączącego w sobie sprzeczności.

Jużto przyznać należy, rękę położywszy na sercu, że w ogólności oświata więcej upowszechnioną jest w Korsyce, jak w wielu niby cywilizowanych krajach Europy. Rzadko tu znaleźć dziecko nieumiejące czytać i pisać, a włościanie, gardzący pracą przemyślową, wysoko cenią zdolności duchowe i samirzadkiej są pojętności. Korsykanie, to naród arystokratów, nie lubiących pracować na siebie; to też po większej części pracę ręczną zostawiają cudzoziemcom, marząc dla siebie o dostojnościach i odegraniu roli politycznej.

Potrzeba jednak było rzucić to spokojne schronienie, bośmy w kierunku na Bonifacio zmierzali do Porto-Vecchio. Droga nasza prowadziła przez pasmo skaliste, w dziwacznych kształtach odrysovane na nieboskłonie, a gdyśmy takowe przebyli, ujrzelśmy obraz tak odmiennego charakteru, jakby do innego zupełnie należał kraju. Zamiast pastuchów odzianych w kozie skóry, oko nasze spotykało wszędzie pracowitych uprawiaczów roli i winnic w białych płóciennych kaftanach, ogrodników niosących kosze z jarzynami, pokryte zbożem pola i sady drzew oliwnych; a za tém wszystkiem, na krańcu pochyłości z którejśmy się spuszczały, miasto Bonifacio, przeglądające się w morzu, strojne warkoczem wieżyc.

Nieszczęściem gród ten, tak powabny w oddaleniu, wewnątrz jest brudny i ponury. Bonifacio zawieszona jest nad falami, gdyż burze podmyły skałę służącą mu za podstawę; a przecież rzadko z kądu ujrysz tam morze, tak niegodziwie i ciasno poprowadzone są ulice. Ale ktokolwiek jesteś, nieświadomy zwyczajów korsykańskich podróżniku, nie kosztuj, zaklinam cię, tutajszego rosołu! Nie pamiętam nazwiska pocziwca co nam sporządził ten przysmak, ale rosołu jego nie zapomnę do śmierci. Zaraz po przybyciu do Bonifacio zajęliśmy w oberży małą izbetkę z alkierzem. Wieczorem, po zamknięciu okien, towarzysz mój uczuł woń jakąś przykrą, i wiedziony delikatnym węchem, znalazł na półkach alkierza ogromne udo niezupełnie już świeżego mięsa.

— To baranina, zawołałem.

— Nie, odparł mój przyjaciel po dokładnym obejrzeniu, to końskie, zdaje się, mięso.

— Co zaś!

— Spójrz sam na te piszczele; toć ony nie mogły należeć jak do konia.

Powątpiewanie moje ustąpić musiało oczywistości. Otworzyliśmy okno i wyrzucili udziec na podwórze.

Długo gubiliśmy się w domysłach względem użytku jaki gospodarz zrobić zamierzał z tak niezwykłej zwierzyny, aż wreszcie sen zamknął nam powieki; nazajutrz zaś aniśmy już myśleli o wczorajszej przygodzie. Przez kilka dni najspokojniej wspólne zjadaliśmy obiady, i w przeddzień dopiero wyjazdu, skosztowawszy z niesmakiem podany sobie

rosół, żartami spytałem gospodarza, czy unich gotują mięso końskie.

— Czasami, kochany panie, odpowiedział z uśmiechem. Tutajsza wołowina jest ekliwa, dodajemy więc dla smaku trochę koniny.

Oslupiliśmy na to wyznanie, z łyżką w trzech palcach zawieszoną na powietrzu. Lecz co się stało, odstać się już nie może; jeden tylko pozostawał nam środek, i tegośmy też użyli: pospieszyliśmy dokończyć obiadu w Porto-Vecchio.

Miasteczko to, o trzy mile tylko odległe od kwitnącego Bonifacio, jest niezawodnie jednym z najmniej uprawnych i najdzikszych na Korsyce punktów. Zbliżając się do niego, mniemaliśmy widzieć jaką niedawno powstałą osadę na brzegach Nowej Hollandyi lub Ameryki północnej. Dla większego jeszcze złudzenia na wstępie zaraz spotkaliśmy tu człowieka, którego charakter dziwnie się zgadzał z okoliczną przyrodą, jedną z owych istot wyjątkowych, które znaleźć można niekiedy na krańcach cywilizacyi. *Burasca*, jak go nazywano, kilkanaście lat temu przybył tu z Włoch, tyle tylko o nim wiadano; a że był dobrym i uczynnym, chociaż niebardzo rozmownym, sąsiadem, nie przeszkadzano mu więc w pędzeniu tego bytu samotności i swobody, jakim żyć zwykli ludzie z dosadnie nacechowaną osobistością.

Widywaliśmy go niekiedy w okolicach miasta, i zdawało się że niewiele ma ochoty wejść z nami w jakiegokolwiek stosunki. Pewnego ranku jednak zdołaliśmy go namówić że podzielił z nami łowiecką strawę i dokończyliśmy razem polowania. Towarzysz mój był jednym z najznakomitszych myśliwców tegoczesnych, a miał dwururkę wyborną; rzadko jęj wprawdzie używał, ale gdy strzelił, niemal zawsze dosięgał celu. *Burasca* oglądał ją z uwielbieniem; lecz kiedy w bajecznej odległości ujrzał padające kuropatwy, gdy poznał mistrza po strzale i zimnej przytomności, czoło jego zupełnie się rozchmurzyło, i ofiarował się dobrowolnie zaprowadzić nas na słomki.

Od téj dopięro, rzec można, chwili zaczęliśmy polować, a trzeba przyznać że położenie Porto-Vecchio bardzo w tym celu jest dogodne, i mniej tu nierównie myśliwych jak gdzieindziej. Przepyszne stawy, po których nigdy nie przesunęło się czołno, prawdziwym są kojcem dzikich kaczek i innego ptastwa, a wkoło różnorodna snuje się zwierzyna. Powo-

dem téj nadzwyczajnej obfitości jest w części i ta okoliczność, że od początku maja do jesieni zjadliwa panuje tu gorączka, przez co mieszkańcy zmuszeni są wtedy szukać przytulku w górach. Wyznaję jednak że po ochłonięciu z pierwszego zapału wołałem nieraz pozostać nad brzegiem morskim, niż towarzyszyć na łowy niezmordowanym myśliwym. Poznałem się był z osiadłym tu od lat kilku rodakiem, panem de X., niegdyś oficerem marynarki francuzkiej, który jest teraz jedną ze znakomości swojego kantonu.

Pan X., opuszczając służbę, znalazł się posiadaczem dość znacznego majątku. Nie chciało się dawnemu, jak mówią żeglarze, *wilkowi morskiemu* zagrzebać w miasteczku prowincjonalnym; marzył o czémś inném na stare swoje lata: o małym domku na dzikim pobrzeżu, o łodzi z wszelkimi przyborami, któraby mu pozwalała utrzymywać jakie takie stosunki z oblubienicą swoją, z morzem. Upakował więc mały tłumoczek, objechał brzegi Francyi, a nie znalazłszy tam czego szukał, zawinął w końcu listopada do Porto-Vecchio. W prześlicznych okolicach tego miasta upatrzył sobie lasek oliwny na łagodnie pochylonym wzgórzu i nabył go za podwójną cenę wartości. Potém wrócił do Francyi, zebrał co miał pieniędzy i począł zaraz stawiać swój domek wymarzony. Budowle drogo w Korsyce kosztują, bo robocizna w wysokiéj jest cenie; wydał więc na założenie nowej siedziby większą część ojcowizny; ale téż wkrótce o dwadzieścia kroków od brzegu stanął ładny domek, z fasadą o trzech oknach wychodzącą na morze, a mały statek, sprowadzony z Bastyi, wdzięcznie kołysał się na falach.

I otóż nasz samotnik, u celu swoich życzeń, zaczął rozkoszne pędzić życie. Zima przeszła mu przyjemnie na nowych i rozlicznych zajęciach; lecz gdy nadeszła wiosna, spostrzegł z zadziwieniem że wszyscy sąsiedzi powoli zaczynają się wynosić. Cóż to znaczy? zapytał. Czy myślicie odbyć pielgrzymkę?

— Przenosimy się w góry, odpowiedziano.

— A to poco?

— Dla uniknienia gorączki. Zapewne udasz się pan z nami?

— Ja miałbym opuścić wille? (tak nazywał pan X. swą posiadłość). Nie lękam się waszój febry; nie pierwszy mi raz z nią się spotkać!

— Do woli pańskiej!

I miasto z bagażami wyniosło się w góry, a nasz filozof sam został w swój willi, w towarzystwie kilku tylko celników. Gorączka tym razem uszanowała odważnego posiadacza, który naśmiał się do woli z powracających na jesień mieszczan. Ale w roku następnym stało się inaczej; pan X., ciężko dotknięty, zaledwo oparł się chorobie, i musiał odtąd wyrzec się letniego nad morzem pobytu. Zresztą stał on się prawdziwym Korsykaninem, pracującym dla dobra swój przybranój ojczyzny z całym zapalem prawego obywatela.

Dobrze nam było w Porto-Vecchio; lecz przeznaczeniem jest podróżnika iść ciągle naprzód, zachowując tylko wspomnienia i nieraz żal po minionej chwili. Odesławszy już dawno konie i przewodnika, najęliśmy teraz muła dla dźwigania pakunków, a sami pieszo ruszyliśmy drogą prowadzącą do folwarku Migliaciaro. Mała rzeczka płynąca u stóp folwarku nadała nazwę całemu kantonowi Fiumorbo, który należy do miejscowości najbardziej obfitujących w zwierzynę; to też zaopatrzyliśmy się w list polecający z Ajaccio do jednego z tutajszych obywateli. List ten, jako charakterystyczny, uważam za stosowne tu przytoczyć: „Kochany krewniaku, pisał mieszkaniec Ajaccio, polecam ci dwóch nieznanym dążących do Fiumorbo. Wiem tylko że to wielcy myśliwi, i wyrozumiałem że gdyby ubili jelenia lub dzika, to pewnieby go posłali do Paryża. Staraj się więc aby ci panowie mieli dobre polowanie, i niech powiedzą na stałym lądzie: Oto plon łowów korsykańskich!“

Na kilka dni przed wyjazdem z Porto Vecchio odesłaliśmy to szczególne pismo, oznaczając dzień swego przybycia do Migliaciaro. Zastaliśmy tam zaimprovizowanych gospodarzów swoich zupełnie już przygotowanych do wielkiego polowania. W godzinę po nas zjawił się inny oddział myśliwych, przywiedziony przez jednego z naszych przyjaciół. Rad byłem temu, gdyż połączenie obu towarzystw w jedno, dla odbycia wielkich łowów, zdawało mi się rzeczą bardzo naturalną. Inaczej jednak myśleli Korsykanie. Nowo przybyły orszak należał do stronnictwa angielskiego, gospodarze zaś nasi trzymali z Francuzami; a są to w Korsyce kwestye żywotne, rozdzielające nieraz sąsiednie osady dozgonną nienawiścią polityczną. Dziwnym zapewne wydać się może podobne rozróżnienie w kraju odda-

wna podległym zwierzchnictwu francuzkiemu; lecz Korsykanie dobrą mają pamięć. U nich do stronnictwa angielskiego liczy się każdy obywatel, którego przodkowie podczas zajęcia wyspy przez Anglików (od 1794—1796) oświadczyli się za Anglią. Zgoda więc była prawie niepodobną, bo każdy oddział dobijał się o zaszczyt naszego towarzystwa, i byłoby niezawodnie przyszło do bójki, gdyby mój przyjaciel nie podał myśli rozdzielenia się w ten sposób, aby przy każdym z orszaków współzawodniczących jeden z nas tylko zostawał.

Gmina Ghisonaccia, do której mnie przydzielono, wezwała na te łowy cały zastęp swych myśliwych, począwszy od mera, aż do nauczyciela wiejskiego i młodzi szkolnej. Ta ostatnia użyta być miała do nawoływania. Podług obmyślonego więc planu ogromném kołem otoczyliśmy las przeznaczony na widownię naszych czynów myśliwskich. Włóścianie z psami na smyczy weszli do kniei, i wkrótce usłyszeliśmy w gęstwinie rozgłośnie wy-cia i szczekania, na które dzieci przeraźliwym odpowiedziały krzykiem. Oczekując nieruchomie na stanowisku, z niecierpliwością wyglądałem chwili zjawienia się którego ze stropionych jeleni; lecz niezadługo granie psów w inną zwróciło się stronę. Jelenie, a było ich dwa, przerznęły linią nawoływaczów i schroniły się w przeciwległą część kniei. Spuszczono psy i zdołano je przecież nawrócić. Po chwili na linii mojej padły dwa strzały, a jednocześnie prawie, w odległości trzydziestu kroków odemnie, mignęło w krzakach coś płowego. Strzeliłem na los, i zdało mi się że zwierz się potoczył, a potem zniknął w zaroślach. Psy rozjuszonye po-pędziły za nim, ja zaś przez kwadrans jeszcze czekałem na stanowisku, nie słysząc nic prócz szczekania, głosu trąby myśliwskiej i wołania dzieci. Nareszcie doniesiono mi że łania, bo takie było po-strzelone zwierzę, rzuciła się w staw i tam schwy-taną została przez dzieci. Przyprawdzono niewol-nicę z postronkiem na szyi, drżącą i jakby obląka-ną. Smutnym wzrokiem biędna wodziła wkoło sie-bie, usiłując kiedy niekiedy rozpaczliwém targnię-ciem oswobodzić się z więzów. Włóścianie wska-zywali na nią z dumą.

— Trzeba ją wyléczyć z rany, zawołał mer, za-bierz ją pan do Paryża.

Nie wiedziałem co odpowiedzieć, lecz w głębi serca życzyłem aby postronek się zerwał. Odezwa-

łem się nieśmiało, że pragnąłbym uwolnienia zdobyć; ale wyrazy moje przyjęto z ogólną niechęcią: myślano o tryumfie powrotu. Gdy jednak łania coraz bardziej opierać się zaczęła przymuszonemu pochodowi, mer dobył sztyletu, i przebiwszy jej gardło, kazał ją wtroczyć na konia.

W porządnym szyku wróciliśmy do wioski, mając na czele konia z ubitą zwierzyną. Oddziałowi *francuzkiemu* nie powiodły się łowy; w godzinę po nas wrócił prawie z niczem, a wtedy trzeba było widzieć radosne towarzysów moich upojenie. Lękałem się co chwila, by podżegnęta miłość własna krwawego nie wywołała sporu; lecz, dzięki Bogu, wszystko przeszło spokojnie. Ofiarowaną sobie skórę zwierzęcia zabrałem, chociaż wyznaję że długo łup ten myśliwski smutne we mnie budził wspomnienie.

Z Migliaciaro zwróciliśmy się ku Puzzichello, polując ciągle po drodze w towarzystwie Burasca. Z zachodem słońca dosięgliśmy małej doliny, w głębi której obszerna wznosiła się budowla: jestto zakład wód mineralnych w Puzzichello. Dyrektor zakładu kazał dla nas przygotować dwie izby pobielane z żelaznemi łózkami, i tu dopiero mieliśmy sposobność podziwiania talentów gastronomicznych naszego Burasca. Dotychczas filut umiał się z niemi ukryć, z obawy abyśmy go nie odrywali od łowiectwa; ale z przyjaźni dla nas zniżył się do podrzędnej roli kuchcika. Słone jeziora okolicy dostarczały nam wybornych ryb i zielonych ostrzyg; nie brakło także zwierzyny, a Burasca był człowiekiem który korzystać umiał z tak obfitych materiałów. Dziś jeszcze mam w pamięci jego przepyszne sałaty ostrzygowe i zające *à la cacciatore*.

Po raz pierwszy więc od wyjazdu z Ajaccio używaliśmy komfortu, i to tém rozkoszniej, że własnym staraniem pokrywać nam przyszło swe potrzeby. Nadto dla postrzegacza pobyt w tym domu niemalą był rozrywką i nauką. Mieszkało w nim kilkanaście rodzin, a ludność ta, dumna i ociężała, używając pięknego klimatu równiny, po całych dniach w ogrodzie rozkładała się na słońcu, polowała, kurzyła lulki i cygara lub grała w karty; żony zaś i córki zajmowały się gospodarstwem. Podobnie jak u wszystkich narodów przywykłych do słodkiego *far niente*, znaleźć tu można w kobietach ową czynność i energią, na jakiej zbywa mężczyznom. Niewiasta korsykańska nie ulęknie się naj-

cięższej nawet roboty. Widzieliśmy w Calvi młodą i ładną mężatkę, dźwigającą na barkach ciężki tłumok podróznego, podczas gdy jej małżonek z fajką w ustach szedł obok, ręce założywszy, i swobodnie sobie gawędząc z cudzoziemcem. Zwyczaj ten zresztą odległych sięga czasów, i jakieśmy wyżej przytoczyli Filippini'ego mówiąc o mężczyznach, tak teraz w Piotrze Korsykaninie znajdziemy wierny obraz kobiet. „Można je widzieć codzien, pisze on, jak idą do studni z kubłem na głowie, konia prowadząc za uzdę obwiniętą koło ręki, a w drugiej trzymając kądziel (*vas capite continentes, equum, si eum habent, brachio trahentes, linumque nentes*). Przybywszy do źródła dają pić koniowi, napelniają kubel i kręcąc wrzeciono wracają do domu. Są one cnotliwe i mało bardzo sypiają.“ Nie jestżeto obraz jakby żywcem wyjęty z biblii lub z Odyssei?

Puzzichello, to raj prawdziwy dla myśliwych. Codziennie ubijaliśmy po kilka sztuk zwierzyny, a resztę czasu trawiliśmy na rybołówstwie, na używaniu kąpieli, co w Korsyce rzadkim jest zbytkiem, i wespół z innemi na obsaczeniu dzików, których tu jest dosyć. Trzy tygodnie upłynęły nam szybko, chociaż w obławach towarzysze tylko nasi spotykali się z dzikami, a myśmy proch marnowali na lisy, co, mówiąc nawiasem, właścianom bardzo zdawało się być na rękę; podejrzewam ich nawet że nieraz umyślnie zamiast na dzika wyprawiali nam łowy na lisa; tu bowiem, w braku wilków, częstokroć lisy porywają jagnięta. Bądź jak bądź, wcale niemiła to rozrywka czekać godzinami z okiem wlepionem w ścieżkę, z palcem przy cynglu, a potem znaleźć się wobec tak nieszczęśliwego zwierza: ja i przyjaciel mój możemy o tém zaśpiewać piosenkę.

Słyszając wyrzekania nasze, Burasca przyrzekł nam wreszcie polowanie na dzika. Dzień cały nasz towarzysz poświęcił rozpoznaniu miejscowości; wieczorem zaś, obwinawszy nam nogi w lisie skóry, dla omylenia zwierza, umieścił nas w pokrytym gęstą zaroślą wozie. Staliśmy wszyscy trzej w jednej linii, o dziesięć tylko kroków od siebie; przed nami była łysina, na którą księżyc krąg białawego rzucił światła. Dwie godzin upłynęło, a ja, zziębnięty i znudzony, zacząłem już tracić cierpliwość, gdy nagle na krańcu światłokręgu ujrzałem cień dzika, który cichym i ostrożnym krokiem postępował w kierunku mego przyjaciela. Po chwili za-

blysło w krzakach, i dzik potoczył się na murawę; powstał, lecz druga z téj saméj ręki kula położyła go na miejscu.

— Brawo! zawołał Burasca.

Muś nasz uwiązany był o kilkaset kroków dalej; obciążwszy go więc zdobyczą, przy świetle księżyca wróciliśmy do wioski. Burasca, spokojny jak przystało na wychowanka natury, powtarzał tylko niekiedy mówiąc sam do siebie: — Otóż tak dobrze, tak trzeba zabić odyńca!

Płaszczyna pochyła prowadząca z Puzzichello do Aleria bogatą jest także w zwierzynę, ale téż tu najwięcej przebywa zagranicznych myśliwych. W téjto wiosce Aleria przed stu kilkunastu laty wylądował ów słynny Teodor v. Neuhof, przez cztery miesiące piastun korony korsykańskiej, ośmieszony przez Voltaire'a, a jednak tyle wzniosłych posiadający przymiotów. Nieznany z obcego kraju przybysz, obrany został królem przez tych niepowściągniętych wyspiarzów, i zdołał się oprzeć potędze genueńskiej; co więcej, zdołał urządzić w krótkim czasie sprawę kraju targanego przez wojny, i gdyby nie interwencja Francuzów, byłby ocalił Korsykę. Zaiste, rycerski ten człowiek godzien jest zająć piękną w historii kartę; a przecież obrzucono go szyderstwem i pamięć jego sponiewierano!

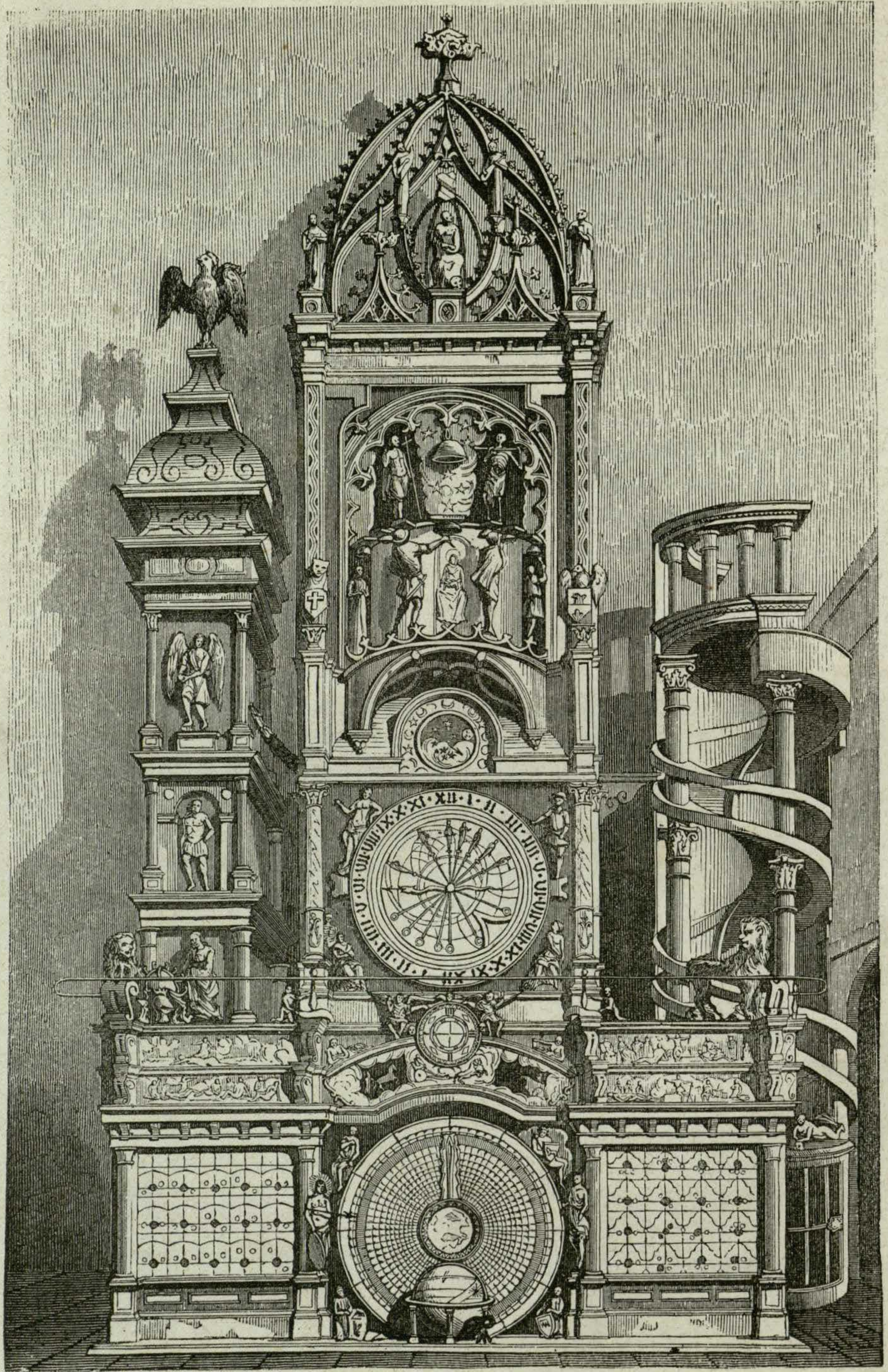
W Aleria spotkaliśmy się z młodym lekarzem, który nauki uniwersyteckie ukończył we Francyi. Byłto człowiek bardzo ujmującej powierzchowności i wysoko ukształcony, lecz na nieszczęście uwikłany w nader drażliwą przygodę. Powróciwszy z Francyi, zastał ojca na łóżku śmiertelném, a mały mająteczek, którego był spadkobiercą, w największym nieładzie. W kraju gdzie całe rodziny abonują sobie lekarza za 12—15 franków rocznie, medycyna niebardzo jest popłatna; postanowił więc ciągnąć jakie takie dochody z odebranej schedy. Najznakomitszą jej częścią był dom zamieszkały od lat kilkunastu przez biedną rodzinę, która nigdy ani grosza nie płaciła komornego. Ojciec doktora patrzył na to przez szpary, bo wiedział że tam są dzieci nieodchowane; lecz dzieci tymczasem dorosły i mogły już zapracować na siebie. Nasz doktor pomyślał bardzo słusznie, że czas upomnieć się o swoje, choć nie za przeszłe lata, ale na przyszłość. Jakież więc było jego zadziwienie, gdy stary lokator żądanie opłaty komornego odparł zobu-

rzeniem. „Dwadzieścia lat blisko, była odpowiedź, mieszkam w tym domu; on do mnie należy prawem przedawnienia.“ Interes poszedł na drogę sądową, i byłby się niezawodnie skończył pomyślnie dla lekarza, gdyby w tym dramacie nowy nie wystąpił aktor. Był nim osławiony bandyta Decio, pod którego opiekę udał się stary Korsykanin. Lekarz listownie odebrał rozkaz tego nędznika zapłacenia kosztów prawnych i zostawienia lokatorów w posiadaniu spornego domu. Ale młody wyzwolnieniec szkoły medycznej w Montpellier niełatwo dał się zastraszyć: rozkaz pozostał bez skutku. Decio napisał po raz drugi, potwierdzając pierwszy swój wyrok, i nadto skazując lekarza na zapłacenie sobie, tytułem kary, 800 franków; czego jeśli nie dopełni, zamordowany zostanie w pierwszym lepszym kącie ulicznym. Doktor nasz list ten odesłał do prokuratora jeneralnego i *miał się na baczości*; w tym razie jednak mieć się na baczości, znaczyło wyrzec się praktyki lekarskiej. W przeciągu sześciu miesięcy zupełnie prawie zniszczony, biédak postanowił umrzeć, albo wydobyć się z kłopotu. Napisał do bandyty, zezwalając niby na wszystko i prosząc go o schadzkę. Ułożono się co do miejsca, lecz pod warunkiem żeby doktor przybył sam i bez broni. I tak się téż stało napozór, tylko że pod surdudem nasz lekarz miała parę doskonałych krucieczek kieszonkowych. W miejscu umówioném zastał nie Decia, lecz małego pastuszka, który poprowadził go o pół mili dalej, i to powtórzyło się kilka razy, aż wreszcie ujrzał bandytę stojącego na skale, w towarzystwie dwóch kolegów od stóp do głowy uzbrojonych. Wymagania nieproszonego rozjemcy były następujące: uwolnienie lokatora, którego prokurator jeneralny kazał uwięzić, prawne zrzeczenie się domu na korzyść tegoż, dla siebie zaś podpisanie sola-wekslu na 2000 franków. Doktor zaczął się niby targować i wymógł zniżenie téj summy do 1200 franków. Decio wszystko miał w pogotowiu, kałamarz, pióro i papier stemplowy.

— Jeżeli się ruszysz, rzekł schodząc z swéj warowni i wskazując na towarzyszków, te oto draby trupem cię położą.

— Wszak widzisz że jestem nieuzbrojony.

Decio przybliżył się, dobywając z kieszeni materiałów piśmiennych, ale w téj saméj chwili, doktor strzaskął mu głowę wystrzałem z pistoletu.



Zegar astronomiczny w kościele katedralnym w Strasburgu.

i pochwywszy jego strzelbę rzucił się za skałę. Dwie kule świsnęły mu koło ucha, lecz młody zwolennik Eskulapa, nie tracąc przytomności, zręcznie jak koza skalna spuścił się z wysokości i uszedł szczęśliwie pogoni bandytów. Zresztą ci ostatni sami później przyznali, iż doktor gracko się spisał, a że Decio nie był ich krewnym, więc sprawa ta poszła w zapomnienie.

Czyn ten waleczny zjednał doktorowi wielu przyjaciół; lecz na nieszczęście Decio zostawił syna dziesięcioletniego, który już się wprawia w strzelanie do celu; przyszłość więc pierwszemu w niebardzo różowej przedstawia się barwie, i biédak ze smutkiem opowiadał nam szczegóły tego wypadku. Co jednak najbardziej cudzoziemców w tym kraju przeraża, to ciągle i nieodmienne powtarzanie się jednych i tych samych okropności. Instytucja sądów przysięgłych nie zdoła także wykorzenić złego pośród téj dzikiej społeczności; fałszywe bowiem świadczenie, które powszednim tu stało się chlebem, paraliżuje wymiar sprawiedliwości i samo nieraz staje się powodem większych jeszcze nieszczęść. Pamiętny jest czyn straszliwy owego Santa-Lucia, co widząc brata niewinnie skazanego na galery, poprzysiągł ukarać wszystkich ośmnastu świadków, których fałszywe zeznanie wywołało wyrok. I dotrzymał słowa: kilku pozabijał wystrzałami, drugim powydziérał oczy, innych niemiłosiernie pokaléczył. Jeden tylko pozostał, główny sprawca zbrodni, żyjący na łonie swój rodziny w Ajaccio. Tego, nie mogąc zdybać gdzieindziej, położył trupem na

progu świątyni, w samo południe. I Santa-Lucia, dokonawszy zemsty, jak anioł niszczyciel przeszedł przez tłum zdumiony, dosięgnął morza i wsiadł niezaczepiony do łodzi co go przywiozła.

A jednak któżby nie kochał téj Korsyki, gdzie ani jedno zjadliwe nie żyje zwierzę, gdzie zwrotnikowe rośliny udają się obok winokrzewów burgońskich, gdzie rosna bez uprawy wszelakiego gatunku jarzyny i zboża; tę wyspę z brzegami wyżebionemi w odnogi jak pobrzeża Neapolu, obfitującą w wody mineralne z których nikt nie korzysta, w płody kopalne których nikt nie dobywa? Te góry niedostępne, te płaszczyzny i doliny zaczynają zwolna pokrywać się drogami; błota zostaną wysuszone, przystanie rozszerzone, cywilizacya przestoczy całą powierzchność kraju, ale któż przestoczy ludzi? Ileż jeszcze na téj wyspie potrzeba będzie wieków, by zatrzeć ślady długoletniego bezrządu, by wykorzenić tyle błędów, tyle występków przesądem narodowym do rzędu cnót podniesionych?

Tak sobie marzyłem, gdy powołani głosem obowiązku, na pokładzie pakebotu płynącego do Marsylii widzieliśmy znikające brzegi Korsyki. I długo jeszcze przedmiotem naszych wspomnień pozostała ta wyspa dzika lecz czarowna, o której pięknie powiedział poeta: „O Kyrnos, uwieńczona mirttem! Uśmiéchasz się pośród fali jako dziewica płocha i nieprzystępna. Słodko na ciebie spoglądają narody i pragną pojąć cię w małżeństwo; ale ty wolisz pozostać niepodległą.“

RZUT OKA

NA HISTORIĄ ZÉGARÓW.

Dziwne to, jednostajne musiało być życie, gdy człowiek nie wynalazł jeszcze sztuki mierzenia czasu. Trudno nawet wyobrazić sobie dokładnie owę epokę pierwotną, w której ludzkość, pozbawiona wszelkich środków pomocniczych, siłą tylko dziewięcigo geniuszu z ciemności przedziérała się ku świa-

tu; trudno, powtarzamy, bo dziś wynalazki i nauki na tak niezmiernéj stanęły wysokości, że niepodobna już rozróżnić z tego szczytu zamierzonych nizin niemowlęcój ich przeszłości.

Wszędzie teraz nasuwają się środki podziału czasu i zmierzenia jego upływu. Bogaty i ubogi, miesz-

kaniec pałacu i strzechy może dziś porównywać i obliczać godziny, dni, miesiące, całe zresztą życie; a jednak były chwile, kiedy godzina po godzinie, dzień po dniu, rok po roku jednostajnym szły biegiem, kiedy człowiek nie spostrzegał nawet ich przelotu, chyba po następstwie dnia z nocą i zmianach księżycowych. Jakże wtedy duch jego, spragniony wiedzy, targać się musiał w więzach nieudolnej ciemnoty! To też w kolébce już swojej ludzkość silila się na sposoby mierzenia czasu, przeczuwając instynktowo ważność tego zadania.

Pod poetycznym Indyj niebem, w owych równiach osutych złotymi słońca promieniami i najcudniejszą roślinnością, zawiązały się pierwsze początki podziału dnia, wedle wskazówek czysto przyrodzonych. Uważano że róża z pierwszym braskiem jutrzeńki wynurzała z zielonego pączka piękne swe oblicze, zwilgocone rosą nocy; że rozwijała się w miarę jak słońce wyżej wschodziło na widnokręgu; że potem, gdy gwiazda dzienna dosięgła już zenitu, kwiat róży smutnie się pochylał. Ale w tej właśnie chwili heliotrop, wznosząc ku słońcu delikatne pręciki, zdaje się czerpać w gorących pocałunkach jego balsamiczne swe wonie. Później jeszcze krzew tulipanowy złoto-purpurowe rozdziela liście, a płaty ich, oderwane od korony, z wieczora barwnym ziemię zaścielają kobiercem.

Znamionujące te właściwości wyryły się głęboko w wyobraźni pasterzy-rolników indyjskich, służąc im za wskazówkę do mierzenia czasu. Mówiono więc: godzina pączka, godzina róży, godzina wędnięcia, godzina heliotropu, godzina tulipana, jak my mówimy: godzina czwarta rano, godzina dziesiąta, południe, trzecia po południu, szósta wieczorem. Kwiaty więc złożyły pierwszy na świecie czasomierz, który następnie udoskonalono dodaniem kalendarza Flory, dzielącego rok na pory, stosownie do kwitnienia różnych roślin.

Od niemowlęcych tych usiłowań, w dzień tylko i pod niebem uprzywilejowanym zastosować się dających, do zegarów słonecznych, których wynalazek zawdzięczamy Chaldejczykom czy Egipcyanom, postęp już jest ogromny.

Zdaje się że w tych krajach, będących kolébką nauk matematycznych, sztuka podziału dnia za pomocą cienia pionowo utkwionej igielki, przebiegającego stosownie rozmierzoną tarczę, powstała jednocześnie z ustanowieniem tygodni, miesięcy i lat.

Podobno nawet granitowe Egiptu piramidy w zasadzie swojej nie są czém innym, tylko wskazówkami ogromnych linii południkowych.

Godną uwagi jest okoliczność iż, za czasów Mojżesza, Żydzi, chociaż w niewoli egipskiej, nie znali użycia zegarów słonecznych, upowszechnionych już wtedy u wszystkich narodów azyatyckich. Mojżesz, lubo dzielił rok na dni, tygodnie i miesiące, obcym był, jak się zdaje, rozkładowi dnia na godziny; określając bowiem wypadki, nie umie wyrazić się inaczej, jak: „Byłoto z rana.—Było to wieczorem.—Słońce miało się ku schyłkowi.—Noc zapadała.—Gwiazdy błyszczały na niebie,“ i t. p.

Jakkolwiek bądź przecież, geniusz człowieka nowe wkrótce ulepszenia zaprowadził w czasomierzach. Zegar słoneczny, dziś jeszcze służący do sprostowania niedokładności naszych narzędzi matematycznych, w użyciu o tyle jest niedogodnym, że radzić go się można w dzień tylko i w sprzyjającym stanie atmosfery. Nocną więc porą przybliżonym tylko sposobem, za pomocą śledzenia biegu gwiazd i księżyca, oznaczano godziny; co, jako z jednej strony nieprzystępnym dla ogółu było środkiem, tak z drugiej, w czasie pochmurnym, stawało się zgoła niemożliwem. Okoliczność ta dała pochop do wynalazku tak zwanych klepsydr, czyli zegarów piaskowych i wodnych.

Zegary piaskowe odległej bardzo sięgają starożytności. Uczony Winkelmann zapewnia że znaleziono wyobrażenie ich na płaskorzeźbie przedstawiającej gody weselne Tetydy z Peleuszem. Narzędzie to w owym już czasie zupełnie tę samą miało formę w jakiej je znamy dzisiaj: artysta jednak grecki nie umieścił go, jak zwykle, w ręku czasu, gdyż na zebraniu nieśmiertelnych byłoby to niewłaściwem, tylko w ręku Morfeusza, który bogom zarówno jak ludziom wymierza swoje dary. I teraz jeszcze zegar piaskowy, mimo niedokładności swojej, używanym bywa niekiedy w marynarce.

Nierównie już doskonalszym, choć bardzo także prostym, był zegar wodny. Składał się on z naczynia napelnionego wodą, która drobniutkim otworem przeciekała w drugie naczynie kryształowe opatrzone podziałką, i tam, podnosząc się stopniowo, oznaczała dość dokładnie godziny. Mechanicy greccy uzupełnili później ten narząd dodaniem tarczy zegarowej i wskazówki; podobno nawet jednemu z nich udało się, za pomocą kólek poruszanych

ciężarem wody, oznaczyć, oprócz godzin, dni, miesiące i znaki zodyakalne.

Wymienić jeszcze należy z pomiędzy czasomierzów wodnych starożytności maszynę hydrauliczną jakiegoś króla perskiego. Oślaniało ją pokrycie kryształowe tak wielkich rozmiarów, że urządzono w niem rodzaj gwiazdarni, w której, według podania, sam król oddawał się często badaniom astronomicznym.

Najznakomitszym jednak postępem sztuki mierzenia czasu u starożytnych, jeżeli wierzyć można świadectwu tamtoczesnych pisarzy, niezaprzeczenie był wynalazek Archimedes. Wielki ten matematyk złożył, jak mówią, zegar poruszany przez ciężary i sprężyny, przedstawiający nietylko rozkład dnia na godziny, lecz nadto bieg słońca, księżyca i znanych wtedy planet.

Nieszczęściem tajemnica składu tej maszyny zaginęła ze śmiercią wynalazcy, nastąpioną przedwcześnie przy zdobyciu Syrakuz. Po nim postęp astronomii i mechaniki wstrzymuje się u starożytnych. Potrzeba było szesnastu wieków aby początkowe tych nauk rozwinięcie przyniosło ludzkości w plonie dość niedokładne do mierzenia czasu narzędzia; a jeszcze dwanaście upłynąć ich miało, zanim rozum badaczy, jakby znużony wysiłkiem, posunął się krokiem naprzód. Kalendarz, wprowadzony przez Juliusza Cezara, popsuty przez Augusta i jego następców, dotrwał w takim stanie do wieku XVI ery chrześcijańskiej, w którym poprawił go Grzegorz XIII; sztuka zaś zegarmistrzowska cofać się raczej jak postępować zdawała w tym czasie.

Chińczycy i Arabowie, do których nauki matematyczne przeszły z Grecji i Italii, ograniczyli się na doskonaleniu zegarów wodnych, przydając do nich, zwyczajem azyatyckim, fantastyczne ozdoby. W ósmym wieku naszej ery astronom chiński Hang wystawił klepsydrę przedstawiającą ruch słońca, księżyca i pięciu planet, tudzież zaćmienia ich i przejścia przez tarczę słoneczną. Dwie wskazówki oznaaczały na niej, jedna setne części doby, druga godziny, a każdy z tych podziałów drewniane osóbki wybijały młotkiem na dzwonku.

W początku IX stulecia Kalif Harun-al-Raszid przesłał Karolowi Wielkiemu, między wielą drogocennymi darami, zegar miedziany damaszkowany złotem, poruszany za pomocą kółek i wskazu-

jący godziny na tarczy. W chwili gdy wskazówka dosięgała której liczby, odpowiedniej ilości kulki żelazne spadały jedna po drugiej na dzwonek metalowy; poczem z dwunastu okienek wychodziło tyluż rycerzów uzbrojonych, którzy, po wykonaniu kilku obrotów, wracali do swych kryjówek.

W tej samej prawie epoce słynny Pacyfik, arcybiskup Werony, złożył zegar oznaczający, prócz godzin, datę i zmiany księżyca. Motorem jednak tych wszystkich, mniej więcej sztucznych, mechanizmów zawsze była woda; zastosowane niegdyś przez Archimedes ciężary i sprężyny popadły zapomnieniu, a wychwyty nie były jeszcze wynalezionym.

Ale żył w owym czasie (w drugiej połowie IX wieku) ubogi zakonnik benedyktyński, znakomity nauką i przymiotami, którego szczęście i zasługa wzniesć miały na wyżynę hierarchii chrześcijańskiej. Urodzony w górach Owernii z rodziców niskiego stanu, w młodocianym wieku był pastuchem. Zakonnicy reguły św. Benedykta, poznawszy przypadkiem chłopca i dostrzegłszy w nim rozum na wiek i położenie jego niepospolity, zabrali go z sobą do klasztoru. W lat kilkadziesiąt (r. 999) biedny pastuszek Gerbert włożył potrójną tiarę, wstąpiwszy na tron papieżki pod imieniem Sylwestra II.

Wielki ten człowiek, przedstawiciel zarazem nauki i kapłaństwa, lubił dla rozrywki zajmować się mechaniką, a zwłaszcza zegarmistrzostwem. Składając zegary słoneczne, klepsydry, organy hydrauliczne, zastosował on do nich działanie ciężarów, znane jeszcze na 1,200 lat wcześniej za Archimedes. Nierównie atoli ważniejszą przysługę papiermechanik wyświadczył sztuce czasomierczej wynalazkiem *wychwyków*. Od tego dopiero odkrycia zaczyna się postęp rzeczywisty nowożytniej chronometrii.

Zdaje się jednak iż ważne to ulepszenie nierychło utorowało sobie drogę; widać że dla większej liczby ówczesnych sztukmistrzów było ono za uczonne. W trzynastym dopiero i czternastym stuleciu zegary ciężarowe upowszechniły się, mianowicie po miastach, gdzie tłumy z dziwnym upodobaniem przypatrywały się obiegowi wskazówek i przysłuchiwały uderzaniu dzwonków.

Zapał ogólny do najwyższego doszedł stopnia, gdy słynny Jakub z Dondis wykończył w Padwie wspianiały swój zegar. Znakomite to dzieło mecha-

niczne, wyobrażające cały system planetarny i znaczące godziny na globie, silnie obudziło współzawodnictwo. Książęta panujący i mieszczanie, panowie feudalni i gminy dobijali się o posiadanie podobnych arcydzieł, a włoscy i francuzcy artyści nastarczyć ich nie mogli dla miast, pałaców i kościołów.

Gdybyśmy tu opisać chcieli wszystkie czasomierze znakomitsze czternastego i piętnastego stulecia, należałoby wspomnieć zegary w Metz, w Sens, w Auxerre, na kościele św. Marka w Wenecyi, a szczególnie w Lund, w Szwecyi. Ten ostatni niezaprzeczenie najciekawszy był z wymienionych: godziny wybijało na nim dwóch rycerzów, uderzając w siebie włóczniami odpowiednią liczbę razy; następnie otwierały się drzwiczki i ukazywała się N. P. Marya z Dzieciątkiem Jezus na ręku, przyjmująca odwiedziny trzech królów i ich orszaku.

Katedra strasburska dwa, jak wiadomo, miała zegary. Pierwszy, którego ściany zewnętrzne były z drzewa, rozpoczęty w 1352 a skończony w 1354 r., składał się z trzech części: dolna obejmowała kalendarz i obracała się raz na rok; środkowa przedstawiała ruchy słońca i księżyca, godziny i półgodziny; w najwyższej wreszcie mieścił się obraz Matki Zbawiciela, przed którą trzej królowie bili pokłony ilekroć zegar uderzał godzinę.

Około r. 1547 dzieło to uległo zniszczeniu; przystąpiono więc zaraz do budowy nowego zegara, wzywając do tej pracy największe owego czasu znakomitości naukowe i artystyczne: Konrada Dasypodius, profesora matematyki przy uniwersytecie strasburskim, jako naczelnie kierującego; Tobiasza Stürmer, malarza, któremu powierzono przyozdobienie; i Izaaka Habrecht z Szafhuzy, najbieglejszego w całej Europie zegarmistrza.

W teraźniejszym stanie swoim (zob. dołączony drzeworyt) składa się on z trzech pięter. Na pierwszym planie dolnego piętra znajduje się glob astronomiczny, oparty na grzbiecie pelikana. Kula ta, mająca trzy stopy średnicy, obraca się około swęjosi w przeciągu dwudziestu czterech godzin, przedstawiając wschód i zachód słońca i księżyca tudzież bieg ciał niebieskich, które wszystkie poruszają się za pomocą sprężyn i kólek ukrytych w pelikanie.

Okrągła tarcza umieszczona za tym globem dzieli się na trzy części: największa z nich obejmuje wieczysty kalendarz, znaczący miesiące, tygodnie i dni.

Po bokach kalendarza stoją posągi Dyany i Apollina, z których pierwszy wskazuje strzałą bieżący dzień roku, drugi zaś trzyma palec na dniu zamykającym półrocze. Część ta obraca się z lewej strony ku prawej raz na rok.

Druga część, obracająca się z prawej ku lewej, raz tylko na sto lat dopełnia swego ruchu. Ma ona sto równych podziałek obejmujących lata od 1573 do 1673. Wskazywała także rok od stworzenia świata, porównanie dnia z nocą, datę Wielkiej Nocy i adwentu, lata przybyszowe i t. p. Gdy jednak rachuba tej części ma za podstawę kalendarz juliański, jest przeto dzisiaj bezużyteczną.

Środkowe koło tarczy tworzy część trzecią; mieści ono w sobie mapę Niemiec, plan miasta Strasburga, tudzież nazwiska budowniczków zegaru.

Po czterech rogach tego piętra widać wyobrażenia pór roku, w postaci czterech wieków człowieka.

Zewnętrzne krańce drugiego piętra, powyżej płaskorzeźb wieńczących pierwsze, zdobią dwa lwy; dalej po lewej ręce idzie wieżyczka zawierająca ciężary i ważniejsze koła obrotowe; po prawej zaś, jako obocznik, (pendant) kręca się w ślimaka kamienne schodki, któremi dostać się można do wnętrza maszyneryi. Środek zajmuje właściwy zegar, pokazujący godziny, minuty i sekundy.

Między drugim a trzecim piętrem niewielka tarcza uzmysłowia zmiany księżyca za pomocą obłoku zasłaniającego kolejno wyobrażenie tego ciała niebieskiego.

Na trzecim piętrze cztery automaty okręcające się na kole wybijają kwadranse. Nieco wyżej Zbawiciel i śmierć stoją po obu stronach dzwonu; śmierć zbliża się co kwadrans do dzwonu, lecz Chrystus Pan ją odpycha, pozwalając jej tylko uderzać godziny.

Całość zakończają ozdobne łuki gotyckie, z pośród których grający zegar słyszeć daje niekiedy starodawne śpiewy niemieckie. Zaszczyt tego wynalazku, naśladowanego później we Flandryi i w Belgii, należy się organmistrzowi Dawidowi Wolckstein.

Na szczycie lewej wieżyczki, przyozdobionej w malowidła Tobiasza Stürmer, jako szczątek dawnego zegaru, umieszczono mechanicznego koguta. Po każdym odezwaniu się grającego przyrzędu kogut ten trzepocze skrzydłami i pieje dwukrotnie głosem naturalnym.

Takim jest, w główniejszych swych szczegółach, słynny zegar strasburgski, chluba całej Alzacyi, tworzący z gmachem do którego należy całość tak harmonijną, że dziś jeszcze znawcy podziwiają w nim jeden z najszacowniejszych pomników sztuki szesnastego stulecia.

Po arcydziele tém czasomierstwa i mechaniki, inne, skromniejsze, wydać się musiały pośledniemi. Wewnętrzne zresztą urządzenie coraz się bardziej uproszczało, i wychwyty stawały się powszechniejszym, nadając pracom chronometrycznym nieznaną dotychczas pewność i ścisłość. Zegary więc zstępować zaczęły ze szczytu kościołów i wież, by zająć miejsce po mieszkaniach prywatnych, w kształcie najodpowiedniejszym wymaganiom miejscowości.

Powierzchność ich w początkach bardzo była prostą, bo zbliżoną do wyrabianych dziś w Norymbardze zegarów drewnianych; wieszano je na ścianach, albo stawiano na słupkach wydrążonych wewnątrz, dla ukrycia ciężarów. Zwolna atoli sztuka kształtowała je i zdobiła: niezgrabna skrzynka drewniana zamieniała się w wieżyczkę lub świątynią; następnie rzeźba i rytownictwo zajęły się ich upiększeniem, a materiały surowe pod dłutem ówczesnych artystów w wytworne przemieniały się cacka.

Dodać tu należy że jeśli zegarmistrzostwo od XII do włącznie XVI stulecia świetnie się rozwinęło, to najważniejszym tego powodem była opieka magnatów i panujących. Filip austriacki, Ludwik XII, Maksymilian I, Franciszek I, Karol V i inni zachęcali je i okrywali dobrodziejstwem. Zamiłowanie mechaniki do tego stopnia opanowało ostatniego z wymienionych władców, że po zrzczeniu się tronu zawezwał do swój samotni w Saint-Just jednego z najslawniejszych matematyków tamtoczesnych, Jana Torriano (1). Lecz były cesarz wkrótce się przekonał iż równie trudno, a nawet niepodobna, osiągnąć ścisłą zgodność dwóch,

(1) Torriano, mówi historyk Strada, był Archimede-sem swego wieku. Oprócz słynnego zegaru w Pawii, złożonego z 1,500 kółek, zbudował on w Toledo maszynę hydrauliczną wznoszącą wodę Tagu do wysokości Alcazar'u i dostarczającą miastu dziennie 600,000 wiader. W Saint-Just z Karolem V wyrabiał latające ptaki drewniane, konie chodzące samopas po klasztorze, walczących z sobą ryce-rzów i tym podobne dziwa.

choćby najdoskonalszych zegarów, jak natchnąć nią głowy ludzkie. Nie było jeszcze Galileusza, i Huygens nie zastosował jeszcze wahadła do sztuki czasomierczej.

Trudno oznaczyć z pewnością datę wynalazku zegarków kieszonkowych; ogólne jednak mniemanie kładzie ją w wieku XV. Kółka stopniowo coraz bardziej drobniały i całość dogodniejsze przybięrała rozmiary. Powiadają że słynny Mermecides sporządzał zegary wielkości migdału; może to być przesadzone, lecz nie ulega zaprzeczeniu że ku końcowi panowania Ludwika XI używano już zegarków kieszonkowych. Piotr Hele w Norymbardzie (około r. 1500) wyrabiał je w kształcie owalnym, z czego nadano im nazwę *jajek norymberskich*.

Roku 1542, według rękopisów współczesnych, Ubald książę Urbino otrzymał w podarunku bijący zegarek zamknięty w pierścieniu. Henryk VIII król angielski posiadał także bardzo mały zegarek, który raz tylko na tydzień potrzeba było nakręcać. Z pewnością więc przyjąć można, że w owym już czasie zegarmistrzostwo dokonywało względnych do okoliczności arcydzieł; ale chód ich był jeszcze niepewny i częstym podlegający zboczeniom.

Jakże daleko od tych narzędzi wadliwych do terazniejszych chronometrów, tak lekkich, tak wykwintnych, a przytém tak ścisłych! Najprzód Hook w Londynie wzbogacił zegarmistrzostwo wprowadzeniem wychwyty kotwicznego; następnie Szwajcary udoskonaili łańcuszki; dalej inne i coraz inne ulepszenia szybko i bez końca po sobie następowały. Przed laty stu pięćdziesięciu Anglia i Szwajcarya najlepszych dostarczały wyrobów zegarmistrzowskich; Francya zaś szła dopiero po Niemczech i Hollandyi. W piérwszej atoli połowie ósmnastego wieku, dzięki usiłowaniom artystów jak: Thiout, Berthoud, Le Roy, z którymi w Anglii współzawodniczył jeden tylko Harisson, Francya zrównała się z Anglią i Szwajcaryą, a w krótkce słynny Breguet (ojciec) zapewnił jój nawet piérwszeństwo.

Napoleon I, będąc sam biegłym w matematyce, wspierał téż ludzi poświęcających się téj nauce. Breguet i jego koledzy ciągle i kosztowne obstarunki odbiérali w imieniu cesarza, który potém mistrzowskie ich prace rozdzielał hojnie między jenerałów, dostojników korony, członków ciała dy-

plomatycznego i wszystkich w ogólności co go bliżej otaczali. Szczodroblliwość ta naturalnie korzystny wpływ wywrzeć musiała na rozwój sztuki zegarmistrzowskiej, i Paryż przez lat kilkadziesiąt piastował jój berło. W najnowszym jednak czasie

znów po nie sięgnęła Genewa, i zdaje się że olbrzymi zakład pp. Patek i Czapek, (obecnie Czapek i spółka), doskonałością swych wyrobów przyćmił wszystkie inne.

L. J.

DZIĘCIOŁY.

Ogólnym kształtem, lotem i sposobem łażenia po drzewach za wyszukaniem żeru, a nawet ubarwieniem, dzięcioły tak się odznaczają między inném ptastwem, iż każdy je łatwo pozna. Należą ony w systematycznym porządku do ptaków *łażących*, do pokrewieństwa strzałojęzykowych i stanowią rodzaj *Dzięcioł* (*Picus*) liczący przeszło 60 gatunków. Cechy ich rodzajowe są: dziób pospolicie prosty, wieloboczny, klinowaty, na końcu ostry, silny, jak dłuto; nozdrza piórami szczecinowatemi zakryte; język długi, kończysty, na bokach wstecznie zadzierzysty, wysuwalny, ogon klinowaty, składający się z kilkunastu stérówek tęgich, krótkich; nogi krótkie czéropalczaste, rzadko trójpalczaste, do łażenia sposobne. Ptaki te bezustannie a dziwnie zręcznie łażą po drzewach, kuja dziobem i przy téj robocie podpiérają się ogonem, jak trzecią nogą, a to wyszukując owadów i ich liszek, któremi się po większej części żywią; należą więc unas do najużyteczniejszych w lasach ptaków. Jedne gatunki są przelotnemi, drugie stale w miejscach przebywają. Wszystkie gnieźdzą się w dziuplach drzew.

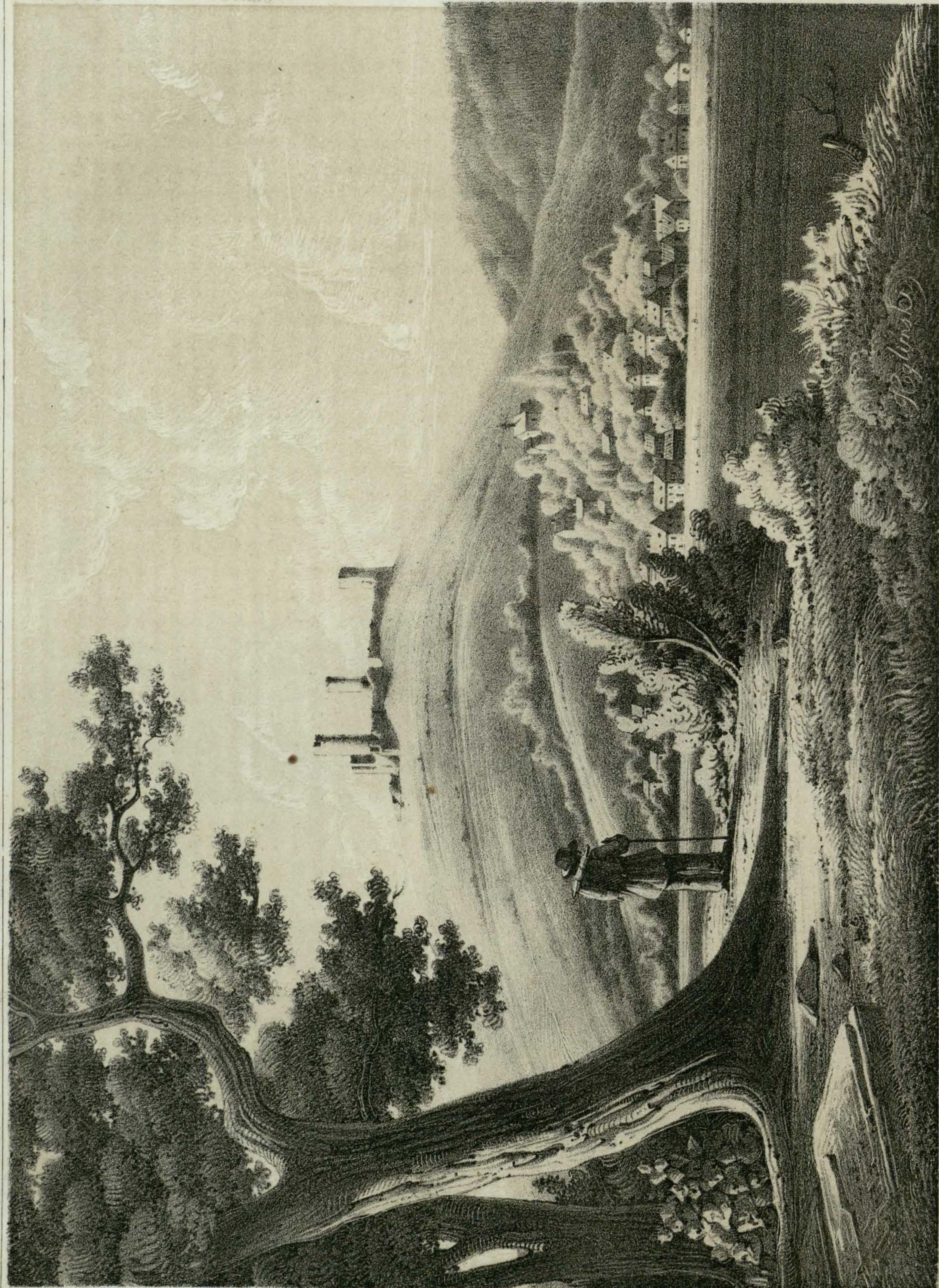
Dzięcioł zielony (*Picus viridis*) jest dosyć znany, piękny ptak; dziób ma długi, silny, kolor ubarwienia w ogólności, jak to widać (fig. 1) na starym samcu, żywo-oliwkowo-zielony, a mianowicie zaczyna się on od karku, ciągnie przez grzbiet i rozszerza po całych skrzydłach, prócz lotek pierwszego i drugiego szeregu, które, na czarno-brunatném dnie, ubarwione są dosyć regularnie rozłożonemi, jasno-brunatnemi, podługowatemi plamkami. Podgarle jest koloru żółtawo-białego, piersi matowo-żółto-zielone, a ten ostatni kolor ku brzuchowi staje się coraz żywszym. Boki brzucha i pióra przy osadzie

ogona są jasno-popielato-zielonawe, a na nich wpoprzek prążki koloru ciemniejszego. Ogon silny, z 12 piór składający się, jest ciemno-oliwkowo-zielony, z poprzecznemi czarno-brunatnemi pręgami. Piérze na kuprze i ogonie przy jego osadzie ognisto-żółte, po bokach w kolor zielony wpadające. Wierzch głowy i czaszka żywo purpurowe, a pod czerwonością przebija się tło siwo-błękitnawe. W oku tęczka niebieskawo-biaława, otoczona ciemno-czarnemi piórkami; prążka czarna, wychodząca z innéj nieco szerszej czerwonej, zaczawszy od nasady dzioba ciągnie się aż na szyję. Stara samica niewiele się różni od samca, ale zawsze braknie jój owéj czerwonej od dzioba zbiegającej prążki; okrąg téż czarnych około oczu piórek jest u niéj mniej szeroki i czerwony, a ubiór głowy mniej żywy.

Upiérzenie tego gatunku za młodu (fig. 2) jest bardzo pstre, i tém szczególniej różni się od upiérzenia starego ptaka, że na piersiach i na całym spodzie ciała jest mocno upstrzone, na grzbiecie zaś i na wierzchnich skrzydłach jaśniej nakrapiane. Długość dorosłego ptaka wynosi od końca dzioba aż do końca ogona 14 cali, a w rozciągniętych skrzydłach około 23 cali. Język tak długi, iż ptak wysunąć go może za koniec dzioba przeszło 6 cali.

Dzięcioł zielony zamieszkuje prawie całą Europę; znajdują go także w północnej Azji. Woli przebywać w lasach liściowych jak w szpilkowych, podobna sobie raczej okolice równe, płaskie aniżeli górzyste. Lubi szczególniej lasy dębowe, w których jest wiele dębów starych, próchniejących; nie tylko bowiem nastreczają mu takie drzewa więcej pożywienia i dogodniejsze miejsca na pomieszczenie gniazda, ale także do noclegu, do spoczynku.





Rys z natury i lit. J. Cegłowski

w Lit. M. Fajans w Warszawie N° 550.

Kontent podobnież gdy mu się zdarzą przyległe drzewom bujne łąki, na których lubi uganiać się za owadami. Stale jednak okolicy rzadko się trzyma; najwięcej z jednej w drugą przelatuje. Gdy w lipcu lub w sierpniu piskłeta gniazdo opuszcza, wylatać z niemi zaczyna; właściwe atoli wędrówki odbywa dopiero w jesieni. Zjawia się wtedy w wielu okolicach gdzie go w ciągu lata nie widziano, przeciąga około wsi i miast, odwiedza ogrody, parki, winnice, siada nawet i łązi po ścianach domów odosobnionych, zagląda do ulów pszczolnych i pukaniem pszczoły do otworu zwabiwszy, na swój strzałkowaty język nawdzięwa; dlatego polują nań większy pszczolarze i w niektórych okolicach mylnie żółną go nazywają. Głos który zwykle na wiosnę słyszeć daje jest urywany i bardzo donośny. W szyi i głowie tyle ma siły, iż zdoła wykuć głęboką jamę w drzewie morszywém, (1) gdzie zwykł zakładać sobie gniazdo. Jego bębnienie dziobem przy tej operacji o ćwierć mili w lesie słyszeć można. Samica znosi w kwietniu 6—8 jaj, czysto białych, połyskowanych, z których blisko we trzy tygodnie piskłeta się wylęgają. Trudno ubić tego ptaka, bo bardzo jest ostrożny. Spostrzegłszy człowieka, nie ucieka

(1) Zagranicą zrobiono spostrzeżenie że dzięcioły psują nawet słupy sygnałowe na kolejach żelaznych i słupy podpierające druty telegrafów elektrycznych; o czém niedawno jedno z pism warszawskich doniosło.

z drzewa, ani przerywa poszukiwanie owadów, tylko zaraz kryje się na przeciwną jego stronę.

Dzięcioł szary (*Picus canus*), czasem także mylnie *zielonym* nazywany, podobny jest do pierwszego, od którego jednak różni się cieńszym dziobem i bardziej wysmukłym ogólnym kształtem. Od końca ogona jest do 13 cali długi, a w skrzydłach 18 do 19 cali szeroki. Język też ma mniej długi. Stary samiec (fig. 3) ma na głowie czerwono-karminową plamę. Pręga idąca od oczu aż do szczecinowatych piórek, przez nozdrza, jest czarna. Tęczowa w oku różowo-czerwona. Zresztą na głowie kolor pięknie zielony. Gardło, piersi, brzuch są jasno-zielonawo-szare. Ubarwienie na grzbiecie i skrzydłach (wyjawszy lotki podobne jak u poprzedzającego) jest koloru pięknie oliwkowo-zielonego, świetniejsze jak na zielonym. Samica (fig. 4) ma prawie też same kolory, ale brak jej czerwonej plamy na głowie. Młodych tego gatunku ubarwienie mniej różni się od ubarwienia starych.

Ojczyzna tego dzięcioła bardzo jest rozległa, bo od północnych części Europy rozciąga się aż na Azyą i Amerykę. W Szwecyi, Rossyi, Syberyi i w środkowej Azyi bywa dosyć pospolity. Lubi prawie też same co i *zielony* okolice, a w obyczajach i sposobie życia wielce do niego zbliżony.

E. L. b. prof. n. p.

CHĘCINY.

Na stromiej lecz wyniosłej górze opodal dają się widzieć trójramienne szczyty zamierzchłych rozwalin, co mimo szczerb swoich, śmiało opierają się żelaznym zębom czasu. To zamek chęciński, który w wytwornych komnatach swoich przyjmował królów, panów, biskupów i możnowładców, jeszcze na początku czternastego wieku, a urodzeniem trzynastego może sięga stulecia. Pięć już wieków niebotyczne czoło swoje śmiało trzyma podniesione w obec tyłu burz i gromów co zczerniły jego wieże, co mu, dzień po dniu zabięrają kamyk

po kamyku i strącają z wierzchołka gór na ziemię pospolitą. Ale taka nieodmiennie bywa kolej rzeczy ludzkich! My i poprzednicy nasi kamień po kamieniu znosimy do budowy wspaniałej, do wspanialszej jeszcze jej ozdoby; a wieki przyszłe, co gorsza, często następcy już nasi, jak dzieci kwiaty po listku obrywają, tak oni stopniowo pracę przeszłości niszczą. I zawsze w dodatku znajdują wymówkę: to zły i przykry do zamku przystęp, to niezdatność do naprawy i t. p. (S. P. II. 380). A jednakże, rzućwszy okiem na wszystkie zamki starożytne, co

się wznoszą na największych górach naszych, nie umiemy wcale ocenić trudów praocjów, którzy w dawnych wiekach, przy daleko mniejszych zasobach, bez pomocy tylu maszyn i nowych środków, dźwigali ogromy skał, niezważając ani na trudny przystęp, ani na stromość góry, ani na brak wynalazków.

Ale od tych wszystkich rozumowań, tak dziś spowszedniałych i będących głosem wołającego na puszczy, wróćmy do ruin zamku sterczącego jeszcze jak szkielet wieloryba, i przez otwory kości murowanych spojrzmy na przesliczną okolicę.

W dolinach rozsiadły się tu i owdzie wioski z wystrzelonemi do góry wieżycami i kopułkami świątyn pańskich. U stóp góry okala miasteczko rzeka, a raczej prąd strumyka Jasionki; dalej niebieści się kręta Nida, sławna podaniami ludu; a jeszcze dalej i dalej ciemnieją niebotyczne grzbiety gór naszych, zamykając widok od południa. Z przeciwnej znowu strony oko spotyka to wysoką, skalistą, lasem okrytą górę Karczówkę, na której biskup krakowski Marcin Szyszkowski założył kościół i klasztor księży bernardynów; to osadę hutniczą Białogon, posepnie iglastemi drzewy otoczoną; to tu lub owdzie mknące strumienie; to wreszcie za ledwo widne Kielce, miasto największe w tej okolicy, a mimo to w oddali i chmurach niknące. A w około zamku, gdziekolwiek się obrócimy, spotkamy mnóstwo jeżących się mniejszych lub większych gór, nieplodnych, pustych, zieleniących albo łysych: Sosnowkę, Rzepkę, Tarnoską, Miedziankę, Zelejową, (Zelcową?) Szewską, Jerzmaniec, Zajączkowską, Sowią, Bolechowską, tudzież idącą od Gałęzicz ku miastu. Wszystkie te wyniosłości są albo były kopalniami bądź kruszcem ze srebrem, bądź ołowiu i marmurów.

Mnóstwo w pomienionych górach znajduje się wyrobisk, czyli zarobisk, to jest wypróżnionych lub zarzuconych kopalni. Z rachunków jednak za Zygmunta III i Władysława IV królów polskich, które nam przytacza Hieronim Łabęcki, autor ważnego dzieła p. t. *Górnictwo w Polsce*, widzimy że w 1531 roku wykopano półszosta tysiąca korey rudy, z kąd otrzymano ołowiu 4,750 centnarów, wartości 300,000 złp. Dziś jednak, znajdują się tutaj tylko łomy marmurów, których żyły ciągną się aż pod Kielce i Kunów. Kamień ten bywa najrozmaitszej barwy, na którą w starych lustracyach znajdujemy wyrażenie „różnej maści,” a mianowicie: brudno-

białej, popielatej, brązowej, żółtej, brązowo-czerwonej, czerwono-centkowanej, ciemnej, w plamy żółte z żyłkami czerwonymi, zielonej z nakrapianiem czerwonym i tym podobnych odmian. Wiele bardzo świątyn pańskich, w kraju i zagranicą, pałaców, a nawet domów zwyczajnych przyozdobiono wyrobami z tych kopalni. Słupy w naszym obserwatorium astronomicznym w Warszawie, oraz kolumna posągowa Zygmunta III na krakowskim przedmieściu, są z marmuru chęcińskiego. Na ten ostatni pomnik dwie nawet przygotowano odrazu bryły, ale większa w drodze zepsuła się, a mniejsza tylko użytą została. Do roku 1830 w tych łomach marmurów pracowało około stu ludzi i wyrabiało różne przedmioty do trzydziestu tysięcy złp. (4,500 r. s.) wartości. Dziś te kopalnie wraz z miasteczkiem, jako dobra donacyjne, należą do JW. senatora Storożenki.

Nim opowiemy dzieje zamku, zejdzmy spadzistością góry, i pod jej skrzydłami tulące się z boku opiszmy miasteczko. U podnóża skalistych wyniosłości, w określonym już wyżej przeslicznym położeniu, wybudowano, daleko później od zamku, kilka ładnych domków murowanych, dosyć starożytnej powierzchowności. Szczególniej odbija pomiędzy niemi gotycki gmach sądowniczy, fara, kościoły i klasztory pp. franciszkanek, dawniej księży franciszkanów, którzy na same *prima aprilis* roku 1657 napadnięci przez Węgrów, trzech zakonników swoich, barbarzyńskim zamordowanych sposobem, utracili. Smutna to, bo męczeńska była niespodzianka! Dziś stoi w tym miejscu dom poprawy i kary.

Rynek, jak w każdym miasteczku, wybitniejszą ma tu cechę; reszta domków z drzewa. W opisie miasteczka przed laty dziewięćdziesiątą znajdujemy, że budynki na podzamczu były mieszkaniem starostów; pałacyk na najwyższym wymurowany miejscu, o dwóch kondygnacyach, był pusty. Obok tegoż drugi pałacyk o kondygnacyi, murowany, do mieszkalnych liczył się wtedy. Obléwał je kanał. Za murem ku południowi był ogród w guście włoskim, szpalerami i bramą z ciosowego kamienia wspaniale wystawioną ozdobny. Do wrót tych wiodła nlica lipami sadzona, a w końcu jej mieściła się piękna altana murowana, w samym już będąca ogrodzie. Cały ogród murem był obwiedziony; brama kosztowna w kapitelach już się psuć zaczy-

nała. U téj to bramy (według mniemania jednego ze współczesnych pisarzy J. M. W.) miały stać dwa dziwaczne posągi, Dziadem i Babą zwane. Zdaniem zmarłego przed dwudziestą laty Tomasza Ujazdowskiego (1) niewiadomém jest miejsce z kąd się wzięły te zabytki i gdzie były umieszczone. Wydawany przezeń *Pamiętnik sandomiérski*, należy już dziś do rzadkości bibliograficznych; zamieszczamy tu przeto wyjątki z artykułu: „Baba chęcińska.“

Miasto Chęciny, niegdyś powiatu i starosty grodowego stolica, jest jedném z najdawniejszych miast w Polsce. Leży o mil 5 od Łyséj góry, półtoréj od Kielc, 13 od Krakowa. Okolice jego są górzysto-skaliste. Marmury różnokolorowe, lazur i inne rudy zapewniały temu miastu sławę w kraju i za granicą. Gdybym pominął kościoły wiedeńskie w marmury chęcińskie przybrane, czyż dzieła Starowolskiego, Rzączyńskiego, Krzystanowicza, Duclosa, Maltebruna i innych wielu nie są zdolne sławę trwałą u obcych mu zapewnić? Lud w okolicy miasta, a nawet i w samém mieście zabobonny, dotąd wiele zatrzymał dawnych zwyczajów pogańskich; inne pomieszał ze zwyczajami chrześcian, o czém dokładniéj przekonać się można przy pogrzebach, obrzędach weselnych i w domowém życiu. Upiór, Strzyga, Zmora i Płaczka, są u nich dotąd bóstwami niepokoju...

Płaczkę nazywają tu miejscami Boginką, i mówią że wyrabia psoty szczególniéj niewiastom w pewnym stanie będącym. W piérwszych chwilach przyjścia na świat niemowlęcia, jeśli niewiasta odbierając je nie użyje środków zaradczych, odmienia niemowlę... W innych miejscach utrzymują że jest ich trzy siostry; a ztąd to przysłowie idzie: „*Czy cię Boginki odmieniły?*“... Łysa góra głośną jest w całej Polsce jako miejsce schadzek i biesiad wszystkich czarownic i złych duchów... Nasi dziejopisowie i podania ludu dowodzą, jako bóstwa pogańskie miały tu świątynie i tu cześć religijną od naszych przodków odbierały... Jeśli Łysa-góra miała świątynie pogańskie, dlaczegóż góry chęcińskie, nieodległe zbyt od niéj, nie miały mieć podobnych lub różnych w znaczeniu? Okolica Chęciny

wystawia oku widok okazały, a razem zdolny wzniecać bojaźń i uszanowanie religijne. Góry skaliste, z których jedna drugą przenosi wysokością i ogromem, jednostajność barwy, ponurość i cichość pomiędzy niemi ciągle panujące, mogły sprawić iż któremu z bóstw miejsce tu przeznaczono.

Miasto Chęciny między pomnikami starożytnymi liczyło dwa posągi osobliwe, od mieszkańców zwane *Baba* i *Dziad*. Kiedy, gdzie, przez kogo i w jakim zamiarze wyrobione? nikt nie wie, i mała nadzieja na przyszłość pozostaje, by takowe pytania rozwiązane były, bo podaniom w zupełności zawierzyć nie można. Przecież i te, choć w słabych promieniach, rzucają światło na niektóre szczegóły prawdy. Wiadomo iż jeden z tych posągów znajduje się w Warszawie. (?)

Baba, posąg tak zwany od pospólstwa, jest z marmuru szarego zwyczajnego, wyobrażający niewiastę średniego wieku, obnażoną, tuszy nadzwyczajnéj, twarzy płaskiéj; usta ma uśmiechające się, na głowie czepiec, piersi w stosunku ciała za małe, żywot wydatny, na tym okrąg; lewa ręka wsparta na biodrze dłonią, palce spuszczone, prawa ręka wzniesiona, w ramieniu strąconą; nogi w stosunku ciała za małe, dziwaczne, strącone; w pasie przepaska z liścia dębowego. Wysokość posągu przechodzić musiała stóp cztery. Domu o który ten posąg się wspiera właścicielem jest Pieniążek. Jak go dawno w tém miejscu złożono? nikt nie pamięta. Pieniążek utrzymuje iż kamieniarze, jako znak gospody kamieniarskiéj, wyrobili ten posąg i tu go złożyli. Posąg ten przenoszeniem z miejsca na miejsce, przez rozpustę motłochu, czy téż wzgardę religijną, postradał nos, rękę prawą i nogi, a będąc razy kilka, wraz z domkiem, o który się wspierał, pobielany, nietylko że bozką, ale ledwie i ludzkiéj postawy nie utracił.. Piérwszym którego posąg ten zwrócił uwagę był jakowys cudzoziemiec w r. 1820 przejeżdżający; wziął on go z sobą w rysunku za granicę; czy zaś zrobił jaki użytek naukowy? niewiadomo... Następnie K. W. Wójcicki, Ferdynand Chotomski i Stanisław Borzęcki rysunki jego do Warszawy przysłali.

Niezgrabność roboty i postawy, niektóre szczegóły miejscowe i samo imię nawet, dają temu

(1) W piśmie czasowém wydawaném w Warszawie 1829—1830 r. p. t. *Pamiętnik sandomiérski* od str. 92 do 104 z dwiema rycinami (a i b) *Baby chęcińskiej*.

(?) *U kogo*, autor nie pisze, jak również niżej nie kładzie imienia *Sokołowskiego*.

posągowi miejsce w odległych wiekach starożytności i naprowadzają na myśl, że inne kiedyś miał przeznaczenie. Co do prostoty w wykonaniu rzeźbiarskiem, nie jest on tak prosty, owszem nie zbywa mu na tém, co bojaźń i uszanowanie może sprawić. Co do postawy, zbliża się do bóstw słowiańskich w podobieństwie. Co do miejscowości, okolice zwane *Babiniec*, *Babice*, *Dziadzieniec*, oraz podania ludu, zdają się oznaczać że wspomniane posągi tu niegdyś zostawały. Co do imienia, wiadomo z ułamków mitologii słowiańskiej, że czczono bóstwo pod imieniem *Złotój Baby*, (*Dea obstetrix*) która miała w swój pieczy niewiasty w poważnym stanie i niemowlęta na świat przychodzące... Syryjczycy w odległych wiekach starożytności czcili bóstwo pod imieniem podobnym i przypisywali mu też samą władzę, jaką miała u Słowian *Złota Baba*. *Babija* miała mieć świątynią w Damaszku; jest więc podobieństwo, że albo Słowianie od Syryjczyków, albo ci od Słowian wyobrażenie o tém bóstwie powzięli. Rosyjanie mieli to bóstwo z kamienia, siedzące, a na łonie utrzymujące dziecko, jako godło swego znaczenia. U Polaków mogło ono wyrażać to znaczenie przez brzemienność. Więcejbym jednak był za zdaniem, że posąg ten przedstawia bóstwo *Siwę* albo *Żywie*, za czém najbardziej przemawia przepaska z liścia dębowego... *Babia góra* pod tém imieniem i Grekom znaną była; według podania czczono na niej jakoweś bożyszcze, a lud utrzymuje dziś, jakoby czarownice na ożogach udawały się tu na biesiadę. Jeślić Kluk w *Złotój górze złota*, w *srébrnej srébra*, w *solnej soli* szukać radzi; dlaczegoż na *Babiój górze*, w *Babieńcu*, w *Babim Moście* i w *Babicach* o naszych bóstwach podań szukać nie mamy. Dotychczas między ludem pospolitym w miasteczkach jedni drugich straszą *Babą*, której pierwszy raz zwidzający powinien oddać attencyą, co frycówką nazywają.

Drugi posąg z marmuru szarego, starożytności równej, zwany od ludu *Dziadem*, zniszczony przez Sokołowskiego 1827 roku. Był to figura również dziwna; wyobrażała starca, ręce jakby do jałmużny złożone, na łonie coś trzymał, ale przedmiotu nie umiano mi wskazać; twarz miła, szeroka, posępna. Zkądby się te posągi wzięły w Chęcinach? nikt niewie, a w aktach chęcińskich niczego się doczytać nie można. O *Babie* już wspomnieliśmy

mniemanie ludu; ale kto *Dziada* wyrobił i w miejscu obrzydliwém,... umieścił w klasztorze franciszkańskim? Jedni utrzymują iż *dziad* ten z wody⁽¹⁾ wydobyty został i miał stanowić granicę łąk i pól starościńskich z Murowaną Wolą, że łąka ta od niego *Dziadzieniec* nazwana; inni że go niegdyś mieszczanie sprowadzili i przy ulicy tylnej nad rynsztokami klasztorne wmurowali. Gdy zaś przed laty (około r. 1826 lub 1827) wszczął się spór ze starostą chęcińskim, który łąkę *Dziadzieniec* zwaną chciał sobie przywłaszczyć, natenczas mieszczanie chęcińscy, chcąc prawo swe dowodem oczywistym poprzeć, pochwycili sarkofag, (nie wiadomo jednak zkąd?) walecznego Stanisława z Gorzkowic Gorzkowskiego, (który przy boku *Chodkiewicza* pod *Chocimem* walczył),⁽²⁾ i na ową łąkę zawieźli. Później z polecenia K. Wielogłowskiego, prezesa K. W., ten sarkofag przeprowadzony do Warszawy. Chorągiew z portretem podobnym do popiersia w sarkofagu będącego, z herbem i oznakami rycerskimi, która przeszło półtora wieku wisiała na sznurze w kościele farnym chęcińskim, w r. 1829, z powodu zerwania się sznuru, spadła i leżała w tyle ławki przy murze wilgotnym. (Gdzieby się dziś obracała? nie wiemy)... Wracając do *Dziada* i *Baby*, kończymy słowami wydawcy *Pamiętnika*: „Może się komu nie będzie zdawać, by doszły naszych czasów posągi bóstw pogańskich. Niech więc pamięta to, że i *Miechowita* oglądał jeszcze za swoich czasów w Krakowie bóstwa przodków naszych, a dlaczegoż my nie moglibyśmy tego szczęścia doczekać? Nie zawadzi jeszcze i tę uwagę zrobić, iż obydwie posągi z swoich figur nie mogły być użytymi do ozdoby żadnego gmachu, w żadnej jego części architektonicznej.“

Dziś miasteczko Chęciny, największe prawie w tych stronach po Kielcach, bardzo jest handlowe, do czego bodźcem najgłówniejszym staje się ludność izraelska. Wiadomo że dawne przywileje wyłączały Żydów od społeczności miejskiej. Z początku za ledwo dwóch starozakonnych miało pozwolenie zamieszkania w Chęcinach. Według lustracyi z r. 1564 znajdowało się tu 4ch tylko Żydów, najmujących sobie domy; podług lustracyi zaś z r. 1765 były w rynku chęcińskim 4 tylko domy ka-

(1) Czy się tam nie dostał d. 7 marca 965 roku, pod *Mieczysława I* panowaniem?

(2) Umarł 28 października 1649 r.

tolickie. Za konsensem starosty Bidzińskiego rozpocząwszy ulubiony przez się handel, Żydzi otrzymali wolność budowania się, robienia miodu, piwa, wódek i t. d. Zyskali przywileje Michała Korybuta, Jana Sobieskiego i Stanisława Poniatowskiego, który wracając z Krakowa 1787 roku, gdy 11 lipca zbliżył się do miasta, poczęto z dział strzelać zamkowych, a kahał i magistrat powitali panującego.

O czasie zbudowania zamku nie pewnego rzecz nie można. Wiadomo tylko że 1331 roku Władysław Łokietek odprawił tu 14 czerwca zjazd dla naradzenia się względem wojny z Krzyżakami, dla sądów wolnych i dla oświadczenia, iż widząc się starym i słabym, umyślił rozdzielić ciężar panowa-

nia. Jakoż księstwo wielkopolskie oddał synowi Kazimirzowi, z zupełną władzą. W sześćdziesiąt lat potem osadzono tu Jędrzeja Olgierdowicza, przyrodniego brata Jagielly, którego 3 lata w okropnym więzieniu trzymano, zato że był przyczyną najazdów krzyżackich. Zamknięto tu także w r. 1410 wziętego do niewoli pod Tannenbergiem wodza krzyżackiego Michała Kuchmeister. W r. 1465 przez ogień, w roku 1655 przez Szwedów zamek wiele ucierpiał. Po zgorzeniu umocniony został przez miecznika Stanisława Branickiego; około zaś roku 1789 starostwo z jurysdykcją zamkową było w posiadaniu kasztelana buskiego Teofila Załuskiego.

Hip. Skimborowicz.

WPŁYW ZMYŚLÓW NA DUCHOWOŚĆ.

Gdyby kto, posłyszawszy że ciało ludzkie tworzy się skutkiem procesu chemicznego, przez połączenie różnych części składowych, zawołał płochy: „Naco mi myśleć o zdrowiu? wszak nie odmienię prawa natury;“ takiemu radziłybyśmy odpowiedzieć: Właśnie dlatego że ciało twoje ze stałych składa się pierwiastków, potrzeba też abyś zachował odpowiednią składowi jego dyetę, dla dostarczenia mu najwłaściwszych żywności; inaczej to prawo natury, na które się powołujesz, nie utrzyma cię, ale skruszy! Podobną odpowiedź udzielićby można i temu, co, wychodząc z zasady że duch człowieka z fizycznym jego organizmem w niewolniczym zostaje związku, uprawę moralnych swych przymiotów uznałby niepotrzebną. Im bardziej bowiem utwierdzimy się w przekonaniu, że niema duszy bez ciała, że zmysły z duchowością ściśle i tajemniczym spojone są węzłem, tém więcej też dbać powinniśmy o rozumowaną dyetetykę duszy, czyli, innemi słowy, o wychowanie duszy przez ciało. Wygodniej to wprowadzić spocząć na miękkim wezglowiu teorii o *wrodzonych przymiotach*, wygodniej stokroć niż przyjąć na siebie odpowiedzialność za własne i cudze ułomności; ale, jak wszę-

dzie, tak i tutaj, nie *spoczynek* prowadzi do celu, lecz *działanie*.

Organy przeto zmysłowe, to znaczy nie tylko zewnętrzne ich narzędzia, ale nerwy odbierające wrażenia, starannego potrzebują wychowania. Należy w tym celu unikać wszystkiego, co zniszczyć lub osłabićby mogło wrażliwość tych ostatnich, strzegąc się mianowicie dwóch przeciwności: zbyt silnego drażnienia i zupełnej bezczynności. Gdy się wpatrzymy niebacznie w promienną tarcz słońca, wzrok nasz na chwilę utraci zdolność widzenia; lecz również oko przywykłe do ciemności, niczego potem nie rozezna w świetle. Tak samo dzieje się i z innymi zmysłami: po mocno korzennych potrawach następne wydają się mdłemi, a silny łoskot czasowo może ogłuszyć. Drażnienie zawsze ma miejsce, lecz nerw pośredniczący nie przenosi już wrażeń do mózgu. Dlatego niezmiernie ważną jest rzeczą, aby dzieci, w niemowlęctwie szczególnie, strzeżone były od wpływów zmysłowych zbyt silnie na nerwy działających. Rażące blaskiem oświetlenie, wrzaskliwy śpiew, huczająca muzyka narzędziowa, mocno woniejące kwiaty na całe życie podkopać mogą w dziecięciu zdrową działalność zmy-

słów. Z drugiej przecież strony nie należy przytępiać organów, ochraniając je zupełnie od wrażeń, albowiem i narzędzia zmysłowe dla ukrzepienia się nieodzownie wymagają wprawy. Jak ręka wyrobnika przez ciągłą pracę nabywa muskularności, tak również i organom zmysłowym, skutkiem trafnego przeplatania czynności i spoczynku, przybywa nie tylko siły, lecz nawet materyalnej objętości. I organ zmysłowy w działaniu swoim cząstkowo się zużywa, a wtedy krew, dla zrównoważenia ubytku, obficie ku niemu napływa, sprzyjając tém samém rozwijaniu się nerwów i muszkułów. Ztąd może nie bezzasadne jest spostrzeżenie, że słynni malarze miéwają często brwi mocno sklezione i wypukłe, znakomici zaś muzycy niezwyklej wydatności skronie.

Najpewniejszym sposobem dokładnego zmysłów ćwiczenia jest trwale i ponowne zajmowanie ich jednym i tym samym przedmiotem. Potrzeba koniecznie żeby odbierane wrażenia były zupełne i skończone; nic bowiem szkodliwszego nad połowiczne ich przyswajanie. Każda czynność z natury rzeczy wymaga pewnego czasu; potrzeba go więc i nerwom, zwłaszcza gdy wątłe i niewprawne jak u dziecięcia, aby wrażenie jakiegokolwiek całkowicie przenieść mogły do mózgu. Jestto względ na nieszczęście w piérwiastkowym wychowaniu zupełnie zwykle pomijany. Obrzucają dziecię nawallem, najczęściej jeszcze karykaturalnych, obrazków i zabawek, i przyuczają je do przelotnej tylko uwagi na wszystko co w ręce mu wpadnie, do upędzania się ciągle za nowością. Takie dziecię nigdy już nie nabędzie prawdziwego na świat i na siebie poglądu; skrzywione wieku dziecinnego pojęcia i w późniejszym ściągać je będą życiu. W igraszce już, blahéj napozór, myśleć powinien, kto w wieku dojrzałym zbadać ma głębie tajemnicze świata i ludzkości!

Niejeden ojciec mniema że czyni bardzo wiele, gdy dziecku swemu wymienia po nazwisku napotykané na przechadzce rośliny, a pyszni się z jego pojętności, jeśli po roku może spamięta ze sto takich nazwisk. Ale lepiejby zrobił, zaprawdę, gdyby dziecięciu onemu dwie tylko lub trzy rośliny pokazał w różnych dobach i w różnych miejscowościach, by poznać je mogło wszechstronnie i samo w sobie wyrobić całkowite o nich pojęcie. Bo dziecię aż nazbyt chętnie chwyci się zewnętrznosci i do

niej posłyszane przyczepia nazwy; pozwólcieź mu jeszcze myśleć że razem z nazwiskiem rzeczy uchwyciło jej istotę, a będzie na wieki już straconém dla wszelkiej dojrzałej rozwagi. Człowiek co jedném wejrzeniem prześlizguje się po pięknościach krajobrazu lub dzieła sztuki, co śród rozpoczętej symfonii opuszcza salę koncertową, co lubi porzucać pracę nieukończoną, a wziąć się do innej, ten pewnie w wieku dziecinnym bawił się i pracował tak samo. Każde jabłko niedojedzone, każda gra niedograna, każda książka niedoczytana wróży dziecięciu tyleż niedokończonych robót w wieku dojrzałości.

Zupełne i całkowite powinny być wrażenia, jeżeli wpłynąć mają na ducha ukształcenie; aby zaś były takimi, potrzeba z jednej strony zostawiać dziecięciu czas dostateczny, z drugiej stosowne podsuwać mu przedmioty. Podajcie pacholęciu otworzony zegarek, to płatanina kółek i związek ich między sobą pozostanie dlań zagadką, wrażenie więc nie będzie zupełne. Usiłujcie obznajmić je z kształtem roślin albo zwierząt za pomocą choćby najlepszych rysunków, a wywołacie wrażenie połowiczne, bo brak tam wypukłości, ruchu i głosu. Kaźcie mu czytać książkę dla pojęć jego nieprzystępną, a w myśli jego, zamiast żywotnej całości, utkwili tylko szkielec. Bo téż przyroda tylko jedna dostarczyć może młodocianej wyobraźni obrazów świeżych i skończonych; ze zmysłowego jej źródła płynąć muszą dziecku pojęcia, jeżeli dobitne być mają i jasne. Na zmysłowym więc wskazaniu oprzeć się powinna nauka piérwiastkowa, aby młodemu rozumowi niepożywnéj nie przyniosła karmi, aby nie przerobiła go w sztucznie, lecz obcą siłą, poruszający się automat, jak to niestety zdarzać się zwykło w modnym u nas wychowaniu, a raczej *wyuczaniu* dzieci.

W całości swéj uważane, wszystko cokolwiek podpada pod zmysły, daje dostrzegaczowi poczucie harmonii, porządku i piękna. Wprowadzając przeto młodych w ten świat przyrody, tak cudny i doskonały, kształcimy i rozwijamy cielesne i duchowe ich organy w sposób najodpowiedniejszy celowi. Niewprawne lecz drażliwe nerwy dziecięcia przyjmują snadnie i przechowują wrażenia zarówno piękne jak potworne, prawdziwe jak uludne; niechże więc wczesnie wykrzywią się w niém i stymulują te subtelne czynniki organizmu, to niepodobna

już będzie w przyszłości na spaczonj zmysłów podwalinie wystawic jaśniejącą pięknem i harmoniā budowę duchowā. W naturze tylko pięknosc dziewicza z nieskażonā łączy się prawdā; wskażcie ją dziecku, zamiast przez cacka i obrazki karykaturalne, przez ucho rozdziérające piski trąbek i skrzypek dziecinnych przytępiac wyobraźni jego i zmysły, a wychowacie zeń człowieka!

Lecz jako zdrowe i krzepkie wychowanie zmysłów w ogólnosci wymaga nieodzownie jasnego, całkowitego uchwycenia przedmiotów w związku ich zewnętrznym i wewnętrznym, tak podobnież i każdy zmysł pojedynczy kształcić należy odpowiednio przeznaczeniu jego i ważności w organizmie cielesnym. Piérwotne wychowanie dziecka odbywa się przez drażnienia; najczęściej więc powtarzane drażnienie najsilnież téż wpływać musi na ogólne jego rozwinięcie. Niewłaściwie mówimy: to dziecko z natury jest gnuśne, jeżeliśmy z niemowlęctwa zajmowali je tylko jedzeniem i trawieniem, nadając przez to żołądkowi przewagę nad mózgiem; niewłaściwież jeszcze: to dziecko z natury jest łakome, skorośmy przez pokarmy zbyt ostre zmysł smaku nadmiarowo w niem rozdrażnili. Kształćmy przedewszystkiē oko i ucho dziecięcia, te dwa organy najszlachetniejsze, któremi głównie człowiek w świat wchodzi i świat się odbija w człowieku. Smak, powonienie i dotknięcie podrzędną tylko, jako środki dopełniające, odgrywać powinny rolę, jeśli w wieku późniejszym doskonała nastąpić ma równowaga.

Widziemy przeto że wypadkiem trafnego wychowania zmysłowego jest harmonijne wyrobienie systemu nerwowego i mózgu, przez które człowiek zdolnym się staje zdrowo czuć, sądzić i działać. Wszelako i dojrzały już organizm podlegac winien prawidłom dyetetyki, jak fizycznej, tak duchowej. Ileżto razy uprawiac niwy umysłowej, ufny w swā siłę i wytrwałość, naznacza sam sobie, jak wyrobnik, codzienne jakieś *quantum* pracy obowiązkowej, niepomny iż tym sposobem osłabia działalność mózgu. Gdy wreszcie tępość i znużenie myśli ostrzeże go że i wysilek duchowy ma swoje granice, stara się podniecić wycieńczony organ sztucznie drażniącemi środkami, jak kawā, winem, tytu-

niem, i wpada samocheąc w rodzaj umysłowego odurzenia, z którego łatwe już przejście do złudzeń zmysłowych i obłąkania. Dla młodzieży niemnież zgubnie jest sztuczne przetęzenie wczesnie obudzonych zdolności i niewłaściwe wciāgnięcie takowych w sferę pojęć oderwanych i poważnych; a własnje fizyczne takie i moralne zabójstwa zdarzają się dosyc często. Powinniśmy zawsze o tém pamiętać, że w organizmie człowieka wszystkie części składowe utrzymywać należy w zmiennj a harmonijnj czynności, że nawet duch nasz działać nie może jak tylko przez pośrednictwo organów, i że organy w tém działaniu koniecznie zużywać się muszą. Jak rzemieślnika, po ciężkiej pracy muskularnej, głód zmusza do przywrócenia ciału zużytych części, tak również myśliciela, po natężonej pracy mózgowj, natura znagła do spoczynku. Ścisłe nadto zespolenie ducha z materjā czyni go zawisłym od warunków zewnętrznych, przeciwko którym człowiek napróżno usiłowałby walczyć. Pogoda, światło, wilgotność i ciśnienie powietrza najrozmaitsze wpływy wywierają na działanie mózgu. Ten w lecie silnież czuje się pobudzonym, tamten w zimie, ten podczas suchego, ów podczas wilgotnego powietrza. Przyroda nigdzie i nigdy nie pozwala bezkarnie uragać się swoim prawom. Zbyteczne zaprzātnienie mózgu wywołuje cierpienia umysłowe; pojęcia wikłają się i wykrzywają, a nowe, lecz uludne już, obrazy powstają w zapalanej wyobraźni. Każdemu kto pracuje umysłowo zdarzyło się pewnie nieraz, iż najpewniejsze wnioski przeistoczyły się w ciągu myślenia do tego stopnia, że sam ich nie poznał, gdy przebiegl powtórnie to co niedawno nakręsil. Niech malarz zdjęty na miejscu krajobraz odrysuje później z pamięci, a przekona się niezawodnie że szkic zupełnie będzie odmienny; bo dawny obraz przyćmiony został w mózgu nawałem nowych wrażeń. Gdy przeto czynność mózgu, skutkiem gwałtownego podniecenia, przejdzie w stan chorobliwy, wtedy już stwarzac on zaczyna obrazy całkiem różne od prawdziwych, znane w mowie potocznej pod nazwiskiem *złudzeń zmysłowych*, nad któremi w oddzielnym artykule bliżej zastanowić się zamierzamy.

HELGOLAND.

Mówimy o mężu, co dzielny stawia opór namiętnościom i niebezpieczeństwom tego życia, że stoi niewzruszony jak skała pośród morza. Jestto porównanie zużyte, lecz prawdziwe i pod tym nawet względem, iż jako człowiek tęgiego hartu duszy ostać się wprawdzie zdoła przeciw gwałtownie uderzającym nań ciosom, ale upada częstokroć pod nawalem skrycie a ciągle trawiących go cierpień, tak podobnie i skała, samotnie wśród niezmiernego stercząca oceanu, odtrąca szeroką pierśią zapienione wały, urągając wściekłemu ich natarciu. Ale burza ucicha, i fala za falą w nieustannym powrocie, łagodnie niby szemrząc, podmywa twarą opokę. I skała kruszeje powolnym ich działaniem; kamyk po kamyku nieznacznie stacza się w przepaść. Tu żywioł nieprzeparty maleńką tworzy wklęsłość, owdzie głęboką nurtuje sobie jamę: aż wreszcie olbrzym granitowy, zdradziecko podkopany, z łoskotem zapada się w morze!

Na pobrażach Bretanii i Anglii starożytne podania mówią o pochłoniętych lasach i włościach, których szczątki dziś jeszcze mieszczą się na dnie morskim. Cały brzeg wschodni Anglii podobny jest do ogromnego zwaliska, z którego znaczne nieraz przestrzenie, po kilkaset morgów obejmujące, z hukiem się obrywają. W zatoce Wash morze północne zalało obszerne lasy, a drzewa ich nietknięte mieszkańcom okolicznym dostarczają jeszcze żywicy. Gdzie dzisiaj ocean szeroko roztacza swoje fale, stał niegdyś kościółek zatopionej wioski. Miasto Brighton pod panowaniem Elżbiety leżało w miejscu, gdzie teraz wkracza w morze rząd tylko słupów kamiennych. Wyspa Shepey przy ujściu Tamizy co chwila runąć może w przepaść; a przecież za czasów Henryka VIII kościół jej, samotnie dziś stojący na urwistym wybrzeżu, o milę przeszło odległym był od morza. Cmentarz i domy sąsiednie już nie istnieją, i sztuka tylko ludzka, za pomocą grobli kamiennych i słupów, chroni resztę od zagłady. Płaskie na zachodzie pobraża Jutlandyi od wieków są widownią walki między morzem a lądem. Lat temu trzydzieści pędzona burzą powódź przerwała przesmyk lądu, łączący część

jej południową z częścią północną, i fale morza północnego przez zatokę Lymfiord spłynęły w objęcia Kattegatu. Przed 600 laty Fryzya północna, żyzny i obszerny półwysep, oderwaną została od stałego lądu szlezwickiego, a w 400 lat później mała wyspa Nordstrand uległa niespodzianemu zalaniu, przyczem do 6000 ludzi utraciło życie. Nad morzem bałtyckim przechowują się wieści o pochłoniętych miastach, jak butna owa i bogata lecz grzeszna Vineta, której pałace dziś jeszcze wychylać się mają z topieli; o związku niegdyś Rugii ze stałym lądem Pomeranii i z krédowemi ławami wysp duńskich; nakoniec o gwałtownym oderwaniu od Rugii wyspy Hiddensee. Teraźniejszość potwierdza tę niszczącą potęgę, jaką podanie przypisuje Bałtykowi. Gdziekolwiek na niskich i piaszczystych jego brzegach znajdują się obszary pokryte krzewami i murawą, lub wzgórza uwieńczone lasem, tam grunt jest podmyty, korzenie obnażone i bryły oberwanej ziemi dokoła rozrzucone. Potężne głazy granitowe, burze aż za ochronne miotają tamy i nieraz piaskiem morskim na kilkadziesiąt stóp wysoko zasypują lasy.

Tak więc pobraża morskie niemal wszędzie przedstawiają obraz dzikiego spustoszenia. Daremnie martwa nieruchomość głazów opiera się niszczącemu żywiołowi: nietylko miękkie, krzemienne lub ziemiste pokłady, ale najtwardsze nawet formacje potędze jego ulegają. Stracone łomy tworzą wprawdzie tamę powstrzymującą czasowo wściekłość bałwanów, lecz w krótkie i ony ustąpić muszą przed burzą. Morze głębokie wykopuje sobie jamy w zawieszonych nad swą powierzchnią skałach, i fale z hukiem się tłoczą pod wyżłobione sklepienia, zapelniając takowe tysiącem fantastycznych postaci i sposobiąc na nieprzystępne wodnego ptastwa mieszkanie, gdzie śmiały myśliwiec dostać się tylko może zawieszony na linie.

Skała w morzu, zaprawdę to obraz wierny ulegającego po dzielnym oporze bohatera! Jak zaś przyroda na samotnej wyspie w dziką przyobleka się szatę, tak podobnie i charakter jej mieszkańców wyrabia się, hartuje i sobie tylko właściwego

nabięra piętna. Jędrnie i swobodnie rozwija się tam plemię pierwotnej nieokrzęsaności i prostoty. Życie jego domowe upływa na zatrudnieniach rolniczych i pasterskich, a duch przedsiębiorstwa rzuca je na morze za handlem, rybołówstwem, korsarstwem. Lecz jako wały uderzają o schronienie tych śmiałych marynarzów, tak obca chciwość i oświata wszczynają walkę z ich swobodą i prostotą obyczajów. Długo, bardzo długo utrzymać się może zdołali przeciw temu natarciu; ale nakoniec zewnętrzny wpływ bierze górę, i tylko ruina przeszłości do naszych przechowuje się czasów.

Taki to widok przedstawić zamierzamy swoim czytelnikom, wiodąc ich ku maleńkiej wysepce morza północnego. Na zachód od brzegów holsztyńskich, w równej prawie odległości od Hanoweru i Szlezwigu, na czerwonej opoce wznosi się wyspa Helgoland. Ściany jej od północo-wschodu prostopadle prawie stromym sterczą spadkiem, a pas łączący przylądek Nordhorn z przylądkiem Südhorn przedstawia obraz wspaniały dziwnie fantastycznego spustoszenia. Nieustannie działająca potęga oceanu martwym tu głazom nadała postać czarodziejską. Widzimy olbrzymie wieże, od macierzystej oderwane skały, ciemne rozpadliny i jaskinie, smagłe kolumny i w bryły potarganą opokę. Miejscami, stokroć okazalsze od łuków gotyckich wzniesionych ręką ludzi, piętrzą się bramy skaliste, przez które z głuchym szumem przewalają się balwany. Ptastwo wodne, wesoło gwarząc, okrąża to czerwone zwałisko; w licznych jego grotach gnieźdzą się mewy, orły morskie i kaczki, a kiedy niekiedy i foka wynurzy się z fali, szukając odpoczynku na brzegu.

Ziemia Helgolandu w tém miejscu przedstawia powierzchnią piaszczystą, pokrytą trawą morską i muszlami. Rzędy domów drewnianych ciągną się wzdłuż brzegu, a z nich gdzieniegdzie okazalsza wystrzeli budowla, jakby dla pokazania przybyzszom, że w takiej nawet samotni zbytek życia cywilizowanego umiał się rozkrzewić. Sąto zajazdy dla gości kąpielowych, pawilony i domy przeznaczone do zabawy. Wązka ulica, z wykwintnemi sklepami i wystawami, prowadzi do wschodów, co trzema śmiałymi zwrotami po 186 szerokich stopniach, wspinają się na szczyt skały. Niższą ich część ocieniają wiązy i lipy, środkowa krzakami bzu i róży wdzięcznie jest okolona, w najwyższej zaś wino

dzikie gęstemi sploty opasało opokę, której tło ciemno-czerwone tu i owdzie biało-zielonawe przeryniają pasy. Przed 20 jeszcze laty Helgolandczycy po wązkiej i niebezpiecznej ścieżce drapali się na skałę, aż nakoniec w r. 1834 kosztem rządu angielskiego wzniesiono potężne te wschody.

Obok przyjemnych Helgolandek, z czerwonymi chustkami na głowie w kształt zawoju spiętemi, co niosą torf lub wodę, czerpaną w dole z jedynej na całej wyspie studni, obok krępych rybaków, za którymi obojój płci wyrostki dźwigają złowione ryby, obok postrojonych gości wstępujemy na szmaragdową murawę górnej części Helgolandu.

Gwar ulic ożywionych przechodniami, odgłos przygrywającej pod nami muzyki zupełnie już ucichły. Ludzie rojący się koło domów czarnymi tylko wydają się punktami. Lecz wzrok nasz, dalej sięgając, puszcza się ku przystani, gdzie powiewają flagi różnobarwne mnóstwa statków płynących tam i nazad. Odpływ morza odsłania teraz obszerną przestrzeń białego piasku nadbrzeżnego. Zielono omszone kamienie wynurzają się z oceanu, a między niemi połyskują jasne smugi wody, w której brną chłopcy szukając muszli i raków. Dalej odsepy morskie (duny) rozległym ciągną się łańcuchem, a tło ich w promieniach słońca srebrzystym razi nas blaskiem. Nieraz już te odsepy postać swą zmieniły; ich piaski burze poniosły ku brzegowi, aż póki nowy orkan potarganych nie urównał im wierzchołków. Zdarza się często słyszeć narzekania podróżnych na smutną jednostajność Helgolandu. Trudno też rzeczywiście zdaniu temu odmówić słuszności, jeżeli piękność zakładać będziemy na różnaitości tylko widoków. Jednakże, dla umiających z niej czerpać, skarbnica dziejów i przyrody tej wyspy nieprzebranych dostarczy zasobów, chociaż pod względem rozrywek li zmysłowych mało ona przedstawia zajmującego. Nowsze dosyć kształtne budowle, stanowiące tak zwany *Falm* i ciągnące się u stóp skały, są ogniskiem życia zagranicznego, kąpielowego, jeśli tak wyrazić się wolno, które, jak przyszło szybko i sztucznie się dziś utrzymuje, tak szybciej jeszcze, niestety, może się rozpierzchnąć. Ciasne zato uliczki górnego miasta, we wschodniej stronie skały, czysto już swojskie noszą piętno. Najoczywiściej burze to i sloty zmusiły te gromady domków do skupienia się w jaknajmniejszym obrębie i przytule-

nia do siebie, a wyziérające z ich grona małe ogródki warzywne i kwiatowe zabiegłość tylko tych skrzętnych wyspiarzów z niewdzięcznego wskrzesić mogła gruntu. Skromny, ubożuchny w środku kościołek, podparty kamiennymi pasierbami, wiernym jest całej wyspy obrazem, uzmysłowieniem prostoty jéj mieszkańców. Naprzeciw, jako godło tegoczesnej oświaty, usiłującej wyprzeć pierwotne nieokrziesanie, wznosi się okazały gmach szkolny, z wesołemi dokoła ogródkami kwiatowemi. Szczególny także, na wstępie zaraz do górnej dzielnicy, przedstawia widok drewniane z wielkimi oknami więzienie, szczęściem prawie zawsze stojące pustkami.

Wzdłuż ścian skalistych postępując, mijamy ostatnie domy Falmu i zwracamy się na południe wyspy, ku dwom jéj morskim latarniom. Dawniejsza z nich, zbudowana r. 1678 z natchnienia Hamburgczyków, ma postać wieży kwadratowej, z której przed laty jeszcze 40 ogromny ogień, podsycany węglem kamiennym, przyświecał żeglarzom morza północnego. Mieszkańcy Helgolandu na tę starą budowlę z nałogowém patrzą przywiązaniem, podczas gdy nowa latarnia, wystawiona przez Anglików w r. 1810, niechętnie tylko ściąga na się spojrzenia, lubo metalowe na jéj szczycie rewerberii rzucają snopy światła nierównie rześistszego. Z téj ostatniej budowli objąć można wzrokiem cały ów odłamek, rzucony na łono niezmiernego oceanu. Powierzchnia skały łysą i jednostajną przedstawia równinę, przerwana w jednym tylko miejscu niewielkiém wzgórzem Flaggenberg. Grunt wszędzie uprawiony i w cyplu szczególniej północnym całkiem pokryty kartoflami; z kąd goście kąpielowi wijącą się tam ścieżkę przezwali żartobliwie aleą kartoflaną. Rosłe, najwięcej czarne, owce fryzjskie pasą się tu i owdzie, uwiązane postronkami do wbitych w ziemię żelaznych kółek, by ze stromego nie spadały brzegu. Miejscami téż widać rozpięte sieci ptasznicze; wiatr bowiem wschodni liczne na tę wyspę sprowadza ptastwo przelotne. Drozdy, bekasy, dziecioly, krzywonosy, kukulki, czaple, kraski, dudki, wywilgi, zimorodki i t. p., w wędrówkach swoich czasowego szukają tu schronienia. Niekiedy napotkać nawet można dzieci dalekiej północy; jak: sowę-śniegulkę, skowronka sibirskiego, grenlandzkiego gołębia i gęś edredonową; lecz wszystko to chwilowi tylko mieszkańcy

Helgolandu. Z rodzimych, na odsepach w znacznej niegdyś ilości chowały się króliki; obecnie jednak, czy skutkiem myśliwskiego Helgolanczyków zapalu, czy, jak niektórzy utrzymują, przez szczury z rozbitego okrętu, wszystkie niemal zostały wytępione.

Czerwona skała szmaragdowym przykryta kołbiercem, to wyspa Helgoland, klejnot o który kiedyś książęta Szlezwigu i Holsztynu krwawe toczyli boje. Przyrównać ją można do okrętu, zawieszonemu nieruchomie na falach oceanu. Morze jest ojczyzną, ląd tylko schronieniem jéj mieszkańców. Modre zwierciadło wody jaśnieje przed nią w blasku słonecznych promieni, przechodząc na skraju w szafir, a miejscami mieniąc się zielono. Wtém silne tchnienie wiatru, pędząc od zachodu, uśpione rozbudziło bałwany. Białoskrzydlate statki, co jeszcze niedawno tak dumnie i bezpiecznie szybowaly, stawszy się teraz igraszką rozhukanéj burzy, z pośpiechem zwijają żagle. Niebo ciemnymi pokryło się chmurami, których czarna opona ponuro na rozkołysanym odbija się oceanie. Ale szybko znów rozstępują się obłoki, i słońce wystrzela z nich snopem olśniewających promieni. Jeszcze fale kipiące z hukiem i szumem roztrącają się o brzegi; lecz ponad urwiskami, na znak łaski bożej, wspaniała zawisła już tęcza... W téj zmiennéj igraszce żywiołów odbija się historia Helgolandu i jego mieszkańców, naprzemian pogodna i burzliwa.

W odległej starożytności, jak mówi podanie, wyspa Helgoland łączyła się z lądem macierzystym; lecz morze północne zalało kraj nadbrzeżny, i prądy jego poszarpały go na części. Zawsze jednak obwód wyspy pozostał znakomitym, sięgając na północo-wschód aż do brzegów Szlezwigu, dokąd, według wieści, przechodziło się po desce. Podania ludowe nie zawsze wprawdzie bywają zasadne, w tym razie przecież rzeczywistość wyraźnie za nimi przemawia. W czasie gdy Anglia była jeszcze półwyspem, a ciałnina kaletańska nie istniała, gdy morze północne ogromną przedstawiało zatokę, której wnętrze tworzyły brzegi hollenderskie i fryzjskie, wtedy i wyspa Helgoland zostawać mogła w związku z lądem stałym, podobnie jak szereg wysp hollenderskich niezawodnie dawne oznacza pobrzeże. Potęga wiatrów zachodnich rozbijała się o lądy, a brzegi Niemiec północnych były wówczas płaskie i spokojne. Że kiedyś tak być musiało, o tém, dowodniej niż podanie, przekonywa nas

nauka. Przyroda wszędzie nadaje zwierzętom kształt odpowiedni warunkom w których ony żyć przeznaczone. Dlatego skorupiaki na silne wystawiane balwany, bywają zawsze i mniejsze i grubsze jak w wodzie spokojnej. Otóż koło Jutlandyi dziś jeszcze znajdują się skorupy tak zwanych muszli sercowych jadalnych (*Cardium edule*), ale większe i węższe od skorup żyjących tam obecnie zwierząt tegoż rzędu. Musiały więc ony niegdyś w cichem przebywać morzu, zanim prądy zachodnie oderwały Anglię od lądu europejskiego.

Podanie również opiewa, że pierwsi apostołowie chrystyanizmu zastali wyspę Helgoland obszerną jeszcze krainą, z polami zbożem zasianemi, z lasami, kwitnącemi włości i obronnemi grodami. W cieniu lasów wznosiły się świątynie rzymskie i fryzyjskie, do których pobożni pielgrzymi niezliczonemi spieszyli tłumy. Tu stała słynna świątynia fryzyjskiego bożka Fosite; pierwotni bowiem mieszkańcy Helgolandu byli Fryzyjczykami, narodem dzielnym, przedsiębiorczym i burzliwym, jak otaczające go morze. Tu król fryzyjski Radbod, dwukrotnie przez księcia Franków Pipina Małego pobity, w r. 697 szukał schronienia; tu niezdojany jego zamek Rodenburg na skale piętrzył się pod obłoki. Tu także, zagnany burzą, wylądował apostoł fryzyjski Willibrord, arcybiskup Utrechtu, i przedsięwziął nawrócenie krajowców. On to, jak wieść niesie, ściąć kazał lasy poświęcone czci pogańskiej, i odtąd na wyspie obnażonej żadne już nie wyrosło drzewo. W dziewięćdziesiąt lat później Luidger, biskup Münsteru, do reszty wykorzenił bałwochwalstwo. W XI jeszcze stuleciu wyspa Helgoland miała podobno dwie mile długości, a jedną szerokości; lecz burze gwałtowne i żar słoneczny w XII wieku sprawiły rozpadnięcie się skały, i większa część lądu runęła w morze.

Zupadkiem pogaństwa zgasła i dawna świetność Helgolandu. Przez wieki wyspa była tylko siedliskiem północnych korsarzów. Pod koniec mianowicie XIV stulecia istniało tu bractwo podobne do Flibustierów amerykańskich, założone początkowo celem zaopatrzenia w żywność obleżonego przez Małgorzatę duńską Sztokholmu, lecz które później stało się postrachem całego morza północnego. Jedną z najszcześniejszych dla Helgolandu epok zabłysła w wieku XV, gdy przepływ śledzi od Szwecyi ku jego skierował się brzegom. Miasta

hanzeatyckie zwróciły wtedy uwagę na mało dotąd cenioną ziemię, i zaraz na niej urządziły swoje składy. Ale pomyslny ten wypadek sprowadził i klęski wojenne; księżę bowiem holsztyński Fryderyk, opierając swe żądanie na dziedziczonem po przodkach zwierzchnictwie, urosił sobie prawo do poboru cła od Hanzeatów, i krwawy bój przez lat kilka srożył się na wyspie. Kiedy w XVI stuleciu reformacya i do tego przeniknęła zakątka, śledzie, mówi legenda, zniknęły, a z niemi dobrobyt Helgolandu. W r. 1530 było jeszcze 2,000 ludności, ale w 80 lat później nie pozostało jak 200. Wprawdzie ku końcowi wieku XVII liczba ta podniosła się znów do 960; dawna jednak zamożność nie wróciła, lubo wtedy przestrzeń między skałą a odsepami była jeszcze ziemią urodzajną, na której uprawiano zboże i paszono trzody. Rok 1720, szósty po zdobyciu wyspy przez Duńczyków, nowym ciosem dotknął jej mieszkańców. W sam dzień św. Sylwestra okropna nawałnica wieczorem uderzyła o brzegi; bydło się potopiło, ludzie z życiem zaledwo uszli, a gdy po nocy przepędzonej w męczarniach niepewności zaświtał wreszcie ranek nowego roku 1721, pas łączący skałę z odsepami okazał się zerwanym, i jedno z głównych źródeł utrzymania Helgolandczyków na zawsze było zniszczone.

Od roku 1806 wyspa Helgoland przeszła w posiadanie Anglii, i jednocześnie, skutkiem francuzkiego systemu kontynentalnego, rozwinął się tu znakomity handel przemycarski, który, aczkolwiek zbogacał jej mieszkańców, wpływał zarazem na demoralizacyą ich i zatarcie piętna narodowego. Gdy w r. 1820 Anglicy cofnęli swą załogę, wyspa raz jeszcze zubożała. Na domiar straszliwa burza zniszczyła w jednej nocy wszystkie prawie statki krajowców, będące na kotwicy w źle ubezpieczonej przystani, i nędza już im zagrażać poczęła, gdy urządzenie w r. 1826 morskich kąpeli odrazu potężnie ich dźwignęło.

Charakter Helgolandczyków w ogólności przypomina Szwajcarów, ale się lepiej uchwala od wpływów cudzoziemskich, bo podejrzliwość wrodzona strzegła ich zawsze od bratania się z przybyszami. Inna zato wada fryzyjska, zawiść, srogie nieraz zadawała im rany. Helgolandczyk znieść tego nie może, gdy sąsiada niespodziane spotka szczęście, a obrażony egoizm staje się wtedy po-

wodem zaciętój częstokroć nieprzyjaźni. To też po wszystkie czasy rozterki domowe kraik ten podzielały na stronnictwa; obecnie zaś, pod opieką Anglii, wyrobiło się nawet coś nakształt arystokracji.

Hojność angielska i zbytek życia kąpielowego stanowią dziś zamożność mieszkańców Helgolandu, ale zamożność ta jest niepewną. Morze zwolna lecz bezustannie nurtuje łańcuch odsepów, znaczne

niekiedy zalévając wzgórze; jeśli więc sztuka nie ubezpieczy ich groblą, to wkrótce piaszczysta tylko pozostanie ława. Biada zaś ludności, gdy prędzej lub później wyniosła owa linia odsepów runie pod naciskiem fali; bo cios ten zniszczy kąpiele, ostatnie źródło utrzymania wyspiarzów, którym zbywa już na potrzebnej sile i energii, by nową pracą nową też stworzyć sobie przyszłość.

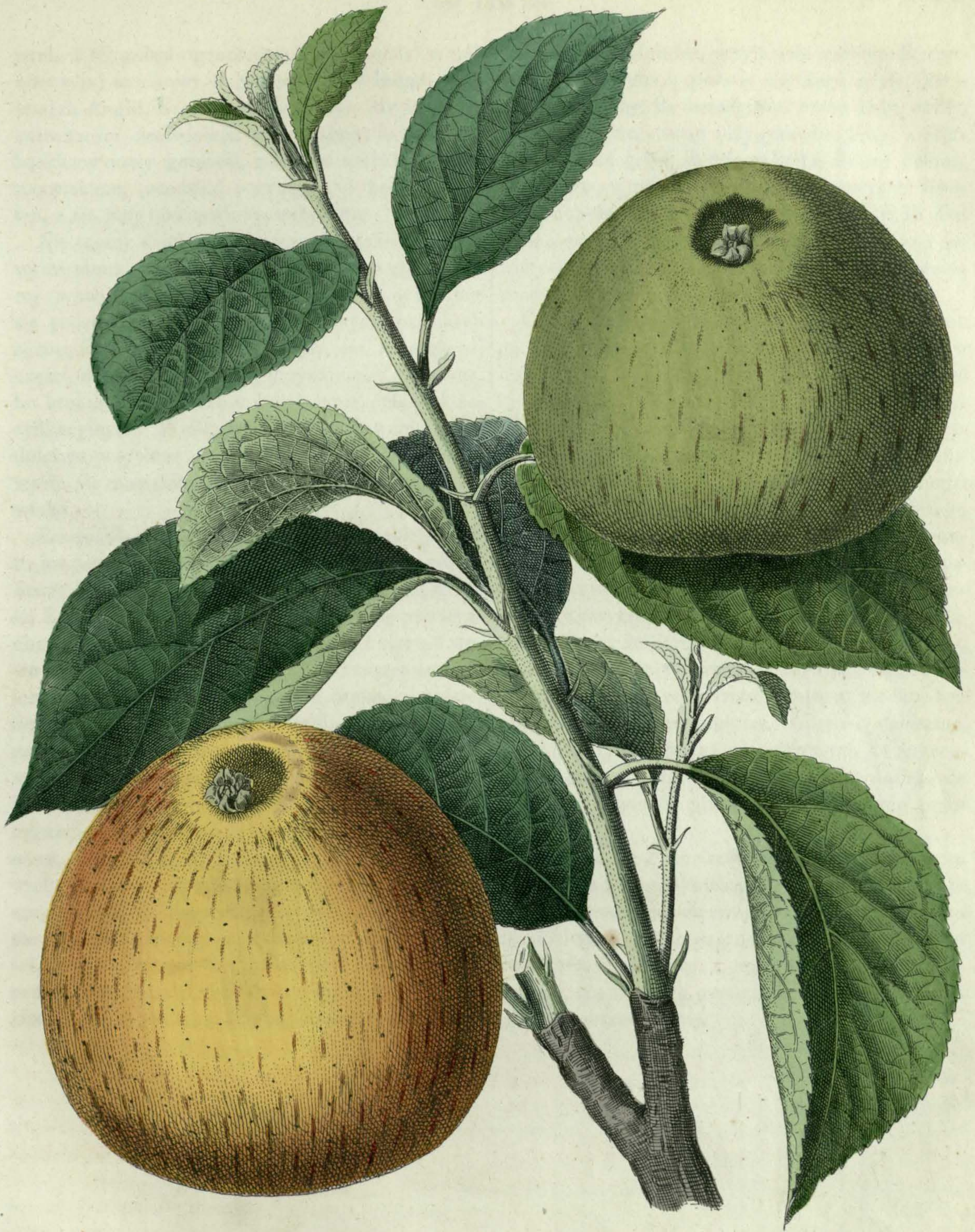
RENETY.

Bogate w drzewa owocowe sady szacownym niezaprzeczenie są nabytkiem dla siedzib, szczególniejszych wiejskich; a przecież stosunkowo niewiele ich u nas napotkać. Ale bodaj czy nie teraz, kiedy urządzające się wioski zamieszkanie włościan ustalić mają, najwłaściwszą byłaby pora do zaprowadzenia sadów; oby tylko znalazło się jaknajwięcej takich, coby do tego kmiotków zachęcali! Jakimby zaś sposobem dokonać się to dało, to każdy, według miejscowych okoliczności i swoich z ludem stosunków, najlepiej osądzi. Lat temu już przeszło trzydzieści, jak, mieszkając w Lubelskiem, poznałem obszérne dobra w których włościanie podostatkiem mieli owoców, nietylko [do własnego użycia, ale i na sprzedaż, tak iż dotąd podobno znaczna część galarami po Wiśle do Warszawy sprowadzanych ztamąd pochodzi. A z kądże owym włościanom przyszło takie bogactwo sadowe? Otóż powiadono mi, że właścicielka, aby skuteczniejszą była jej zachęta około zapomożenia włościan w sady, zobowiązała księży proboszczów parafij w swych dobrach, aby, nim dadzą ślub jakiej parze, żądali od pana młodego świadectwa wydanego przez wójta, że własną ręką zaszczepił i wypielegnował pewną liczbę drzewek owocowych w ogródku swjej siedziby. To żądanie tak było skuteczne, iż nikt się od spełnienia go nie wyłamywał i dla nikogo nie stało się przeszkodą do zawarcia związku małżeńskiego.

Nie sądzę aby powyższy ustęp niepotrzebnie tu był wtrącony; bo wszakże zakrzewieniu téj gałęzi

wiejskiego gospodarstwa wszyscy są życzliwi, a z życzeń powstają myśli, które, często powtarzane, w czyn się zamieniać zwykły. Zapomagają się i bogacą sady folwarczne, pańskie, czemużby razem nie miały wzrosć w tę ozdobę i wygodę siedziby włościańskie, zwłaszcza w czasie kiedy powszechnie zajmuje włościan myśl stalszego niż było dotąd usadowienia się. Bywają już u nas wsie i okolice dosyć obfite w sady, ależ niemało i takich, gdzie pieńka drzewa owocowego niedopatrzyć. Takie wsie, takie okolice przedstawiają oku przejeżdżającego smutny widok albo nędzy, ubóstwa, albo przynajmniej jakiejś dziwniej obojętności. Jakież więc pożytek przyniosłaby tam zachęta ze strony właścicieli dóbr albo ich rządzców?

Kiedy już tyle powiedzieliśmy pod względem ogrodnictwa wiejskiego, zakończmy te uwagi życzeniem dla ogółu sadów krajowych, aby więcej i troskliwiej krzątano się około ich zapomagania. Chcielibyśmy, dla prawdziwego dobra właścicieli sadów wiejskich, aby zamiast kupowania szczepów od pierwszego jaki się im nadarzy obcego handlarza, nabywali je raczej od krajowych, wiarogodnych ogrodników, a unikną tak często zdarzającego się zawodu i zyska na tém nomenklatura owoców, w której u nas największe jest zamieszanie i niepewność. Pożądaną byłoby rzeczą aby sprzedający drzewo pokazał albo w naturze, albo przynajmniej na dokładnej rycinie, jego owoc i ręczył za tożsamość, a takiéj rękojmi tylko od krajowego ogrodnika wymagaćby można. Tak postępują i kupujący i sprzedający w krajach słyn-



nych z téj gałęzi ogrodnictwa, mianowicie w północnych i środkowych Niemczech, w Belgii, Holandyi, Anglii, Francyi i Szwajcaryi. My ich w téj ostrożności naśladować powinniśmy; to choć nabędziemy nowy gatunek, z obcém zwykle dla nas nazwiskiem, wiedzieć przynajmniej będziemy że ten, a nie inny podstawiony, nabyliśmy.

Nie mamy dzieł pomologicznych, jakimi się już wymienione dopiero kraje szczycą, dlatego nie wiemy prawdziwie ile i jakich rodzajów owoce u nas się pielęgnują. Powtarzane w różnych okolicach różne ich nazwiska okazują się, po największej części, dowolne, mylne lub przynajmniej niepewne, bo braknie nam środków porównania, opisów klasyfikacyjnych. Wielką uczyniłby krajowemu ogrodnictwu przysługę, ktoby się zajął ułożeniem takich, ale musiałaby to być praca nie jednego człowieka.

Renety (*Reinettes*) pochodzenia francuzkiego, jak to już samo ich nazwisko pokazuje, są to jabłka liczną klasę stanowiące, znane i szacowane w całej Europie. W ogólności odznaczają się powierzchnie nabiegiem żywo-czerwonego koloru, a wewnątrz trzeszczącym w gryzieniu kruszeniem się ich mięsiwa, które jest pospolicie drobno-ziarniste, delikatne, jędrne. Piękne w ogólności kształtem, zalecają się nadto przyjemnym zapachem, lecz pospolicie są niezdatne do długiego zachowania. Prędko więdną i dlatego na drzewie aż do użycia zatrzymać ich należy. Dziela je zwykle na renety *czerwone*, *szare* i *żółte* czyli złote. Zpomiedzy bardzo wielu gatunków wymieniamy tu niektóre znakomitsze, jako to: *R. Aizerna*, *Auvergne*, *Breda*, *Bretagne*, *Clareval*, *franche*, z owocem średniej wielkości, żółtym, przyplaszczonym, słodkim, długo się przechować dającym; *R. mała* i *duża angielska*, *R. złota*, bardzo obrodna; *R. biała*, owoc średniej wiel-

kości, obficie obradza, przyjemnie pachnie; *R. czerwona*, owoc duży, grubszy niż długi, ścisły, kwaskowaty, późny; *R. kanadyjska*, owoc duży, obfity; *R. hollenderska*, owoc duży, przedni, żółty, z czerwonym nabiegiem; *R. triomphante*, której owoce, pojedynczo w papier zawinięte, z Francyi do Konstantynopola zdrowo zaprowadzić się dały; *R. Lunneville*, mająca czerwone wewnątrz mięsiwo, a po wierzchu pstrokata, zielono-czerwona; *R. Monbron*, *muskat*, *orleańska*, *roszelska*, *hiszpańska* it. d.

Oprócz już znanych przybywają jeszcze co rok gatunki nowo wypielęgowane przez ogrodników francuzkich, belgijskich, hollenderskich, angielskich i niemieckich. Do najnowszych należą; *R. Gathoye* i *Franciszek Gathoye* na załączonej tu rycinie wystawione. Wyhodowali je w Leodium (*Liège*, *Lüttich*) panowie Gathoye; pierwszy gatunek pochodzi z nasienia w 1843 r. zasianego. Kora na drzewie tego gatunku jest czarniawo-bronzowana, słabo popękana; liście szerokie, owalne, regularnie i mocno ząbkowane, z wierzchu połyskowne, ciemnozielone, spodem, jak zwykle, jaśniejsze. Kwiat jak u wszystkich renet. Owoc średniej wielkości, koloru zielonego, słabo różowo prążkowany, tu i owdzie czarno nakrapiany. Oczko regularnie w samym środku, bez zadnych naokoło wypukłości. Mięsiwo delikatne, przednie. Owoc ten, aż do pierwszych przymrozków nocnych na drzewie pozostawiony, dobrze się potem, w dogodnej piwnicy, aż do sierpnia przechowuje.

Gatunek *R. Franciszek Gathoye*, ma ku oczku kształt nieco kręgielkowaty. Owoc jest żółty, z bokiem czerwonym, czerwono i różowo regularnie uprążkowany, lekko czarno nakrapiany. Mięsiwo kwaskowate, soczyste, z przyjemną wonią. Oba te gatunki, dla wielkich owocu swego zalet, zasługują na upowszechnienie.

E. L. b. prof. n. p.

O KOZAKACH.

Kozacy, według twierdzenia Karamzyna historyka rosyjskiego (1), już w r. 948 byli znani; jakiś bowiem Szymon, wychodziec polski, założył przy ujściu Buga (Boha) osadę, która dotąd się zowie *Szymonowym rogiem*, i sprowadził tam przeszło 100 mężczyzn, którzy sporządziwszy sobie ubiór z futer kozich, a ztąd przewawszy się *Kozakami*, walczyli pod chorągwią cesarza greckiego przeciwko Turkom i w nagrodę za swe męstwo otrzymali od niego przyznanie nazwy Kozaków, a następnie, pozyskawszy łaskę królów polskich, osiedlili się nad Dnieprem pod Oczakowem.

Mikołaj Markiewicz wywodzi Kozaków od *Torków*, narodu zapędzonego na Rus przez Połowców, który miał zbudować nad Dnieprem miasto Czerkasy, a następnie w roku 1120 za rabunki wypędzony był przez Monomacha napowrót do stepów azyatyckich (2).

Według Siestrzencewicza, naród kozacki początek swój i nazwisko wziął z Azyi, od dawnego ludu *Kozary*, około morza kaspijskiego żyjącego, który potem ztamtąd aż do morza azowskiego siedziby swoje rozciągnął; że zaś lud ten zajmował część kraju w sąsiedztwie Tataryi i Persyi, a Persowie kraj ten nazywali *Kozachia*, co w ich języku znaczyć miało Scytyą górzystą, zatem Kozacy zaczęli się nazywać Kozachi, a z tego Słowianie utworzyli Kozak (3).

Inni jeszcze wywodzą nazwę Kozaków od wyrazu tatarskiego *kozak*, co ma znaczyć jeździec lekko uzbrojonego. Najprawdopodobniejszym z tych wszystkich jest wywód Karamzyna, z którym zgadzają się: Piasecki, Hartknoch, Lacombe, Chevalier i wielu innych historyków. Czy rzeczywiście Kozacy nosili futra kozie, niewątpliwych podań o tém nie mamy, témbardziej, że mieszkając w pustych stepach, z trudnością je w znacznej ilości dostawać mogli; nie ulega jednak wątpliwości, że po-

czątkowy ubiór Kozaków był ze skór zwierzęcych, które w języku słowiańskim zowią się *koża*, zkad nazwa *kozak* lub *kozak*.

Kozacy, dając u siebie przytułek każdemu, kto tylko bojaźnią kary za przestępstwo lub inną pobudką do opuszczenia rodzinnego kraju był zmuszonym, początkowo, podobnie jak w taborze Cyganów, rządili się patryarchalnie; lecz gdy zwolenników liczba się zwiększyła, zamienili rząd patryarchalny na konstytucyjny.

Jan Potocki, w dziele: *Histoire primitive des peuples de la Russie*, twierdzi, że za czasów Konstantyna Porfirogenity już byli Kozacy nad morzem azowskiem. Mścisław, syn Włodzimierza, w półwieku później już walczył z Kozakami. Około końca zaś wieku XII i początku XIII, gdy liczba ich znacznie się powiększyła, zaczęli być znani w krajach sąsiednich pod nazwą *Kozaków zaporozskich*.

Zaporoże oznacza kraj za progami Dniepru leżący. *Progi* (porohi) na Dnieprze są to skały różnej rozciągłości i wysokości, z których jedne ukryte są wrzecie, drugie równe z wodą, dwie zaś najwyższe wystają nad rzekę. Liczą ich 13.

Kozacy zaporozscy, stanowiąc sobą straż ludów słowiańskich od fanatycznych zapędów islamizmu, byli na południo-wschodzie Europy tém, czém na zachodzie Krzyżacy, oraz kawalerowie mieczowi i maltańscy, to jest: zakonem wojskowym. Uroczysko *Wielki-Lug* (4) czyli wyspa oblana Dnieprem i rzeczkami Chortyc oraz Końskie-wody, zwana inaczéj *wyspą Chortyc*, była piérwszém siedliskiem towarzystwa Kozaków zaporozskich i zawiązkiem sławnego zaporozskiego niżowego wojska.

Całe towarzystwo czyli wojsko zwało się *Koszem* lub *Krawczyną* (5) zaporozką. Najwyższym rządcą tego małego kraju był *ataman koszowy*, któ-

(1) *Исторія Государства Россійскаго*, V. стр. 416.

(2) *Исторія Малороссіи*.

(3) *Ukraina i Zaporoże, czyli historia Kozaków*, przez J. N. Czarnowskiego. Warszawa 1854 r.

(4) *Lug* czyli *łag* oznacza nizkie brzegi rzeki, które na wiosnę woda zajmuje, latem zaś wyborną i zdatną na siano dają trawę. Takim jest lewy brzeg Wołgi, który dotąd zowie się *stroną ługową*.

(5) *Krawczyzna* to samo znaczy co *ukraina*, kraj krańcowy, pobrzeżny.

rego władzę ograniczała *rada kozacka*, składająca się początkowo z dwunastu, a potem z kilkudziesięciu członków. Całe wojsko składało się ze *starszyny* czyli zwierzchności zakonu, i *towarzystwa* czyli braci. Starszyna stanowili: koszowy, sędzia, pisarz wojskowy i asaул. *Sędzia* był wyobrazicielem terażniejszego audytoryatu, ijako druga osoba w zakonie, zastępował atamana koszowego. *Pisarz wojskowy* był sekretarzem jeneralnym, a raczej ministrem wojny. *Asaул wojskowy* był jeneraladjutantem koszowego i ministrem policyi.

Pierwsi osiedleńcy Wielkiego-Ługu mieścili się w jednym domu, czyli koszarach, które się zwały *kurzeniem* i były tak obszérne, iż przeszło 600 Kozaków mieścić w sobie mogły. W późniejszym czasie, gdy kosz przybrał nazwisko *siczy chortyckiej*, było w nim 38 kurzeni.

Sicz lub *sicza* zaporozska, byłato twierdza, otoczona fossą i wałem, którego wierzchołek wieńczono ostrokołem. Kształt siczy pierwsiastkowo był trójkątny lub ośmiokątny; później cywilizacya i przepych od tego wzoru odstąpiły. Około siczy były szańce, rogatki, mosty zdradliwe, barłogi dla straży, wiechy ostrzegające, oraz mogiły, które zastępowały wiechy a nawet niekiedy i szańce. Kozacy obwarowywali swą sicz armatami i wszystkim czém mogli i jak umieli.

Ubiór Zaporozca składał się z koszuli grubój, czarnej, wysmarowanej słoniną dla zabezpieczenia się od nieczystości, z szarawarów sukiennych; na nogach lekkie bóty lub łapcie, to jest kurpie łyczane; wierzchniego stroju dopełniał krótki kontusz z cielęcój niewyprawnej skóry, bez pasa, z wielkimi wylotami wiszącymi lub w tył zarzuconymi; na głowie z takiejże skóry czapka, w kształcie ostro zakońzonego woreczka zrobiona, której koniec na prawą stronę się schylał. Cała prawie głowa była ogolona; nad czołem tylko wisiał *oseledec*, to jest pęk włosów czyli czub, który tak długi bywał, iż nietylko głowę, ale i twarz zakrywał; w takim razie splatali go jak warkocz i zakładali na ucho⁽¹⁾; wąsy nosili długie, brodę ogoloną.

W późniejszym czasie ubiór ich był wykwińniejszy: nosili bowiem *kozakinę* czyli kaftan z su-

(1) Ukraińcy *oseledec* czyli czub zwali *chochoł* (pagórek), od czego przezwani zostali przez Roszjan *Chochłami*, sam zaś ich kraj żartobliwie nazwany *Chochlandyą*.

kna granatowego, spencer kitajowy lub futrzany materyą pokryty, który zwano *kożanem*; przepasywali się pasem jedwabnym, na głowie zaś nosili czapkę kabardynkę; z wierzchu pokrywali się burką krymską. Starszyna, mianowicie na paradę, nosiła kosztowny ubiór. Każdy Kozak miał muszkiet, szablę, cztery pistolety i pikę czyli włócznią.

Pożywienie Zaporozców składało się z kaszy, *kuleszy*, to jest polówki pszennej, jęczmiennój lub gryczanej, z mléka i ryb z małym dodatkiem podpłomyków pszennych zwanych *pałenycami* i *korżow* czyli placków, a niekiedy z *pastramy* czyli mięsa baraniego, zasuszonego lub uwędzonego z solą. W czasie wojny zwykle jadali *tołokno*, to jest żytnią lub pszeną mąkę, rozprowadzoną na zimno kwasem chlebnym i zakraszoną olejem i solą, (jak to dotąd włościanie ruscy pożywają), które zwało się także *teterą*. Lubili gorzałkę, piwo, miód i *warenuchę* czyli krupnik litewski, to jest wódkę gotowaną z praśnym miodem i korzeniami.

Religia Kozaków, w początku tworzenia się tego oddzielnego szczepu Słowian, była żadna; znajdowali się bowiem pomiędzy niemi Polacy, Rusini, Żydzi, Tatarzy, Turcy, i każdy, jak wyżej powiedziano, kto tylko potrzebował schronienia od prześladowania lub komu własny kraj się sprzykrzył, mógł u Kozaków znaleźć przytułek. W późniejszym jednak czasie stale wyznawali religią prawosławną. Wówczas to wewnątrz siczy zbudowaną została cerkiew i wieża z granitu, na której umieszczona straż czuwała nad bezpieczeństwem od ognia, a zarazem od napadu nieprzyjaciela. Blisko tej wieży stał dom dla koszowego; w niewielkiej zaś odległości naokoło tego domu w podkowę wystawione były kurzenie, w których się mieściło całe towarzystwo i starszyna, a nadto był oddzielny *kurzeń radny* czyli biuro wojskowe.

Kurzeń lub *kureń* ⁽¹⁾ był dwojaki: letni i zimowy. Kilka żerdzi piramidalnie ułożonych, poprzek splecionych rokiciną i z wierzchu pokrytych trzcina lub sitowiem, stanowiły *kurzeń letni*, jaki stawiany bywał w ogrodach lub na łąkach, albo téż niekiedy na żniwach w polu. *Kurzeń zimowy* czyli *zimownik* był to dół, z wierzchu pokryty żerdkami

(1) *Kurzeń* pochodzi od wyrazu *kurzyć*, *dymić*, oznacza mieszkanie dymne. Na Litwie chałupy w których stawiane są piece bez komina, dotąd zowią się *kurnikami* lub *izbami kurnemi*.

i zasypany gliną lub darniną, z otworem we środku tego dachu; na dnie zaś dołu była niewielka kotłownia, w której rozniecał się ogień do ogrzania się i zgotowania jadła. Wspomniony otwór u sufitu a razem i dachu służył za komin do wypuszczania dymu, oraz za drzwi do wyjścia, które się ułatwiała przystawioną drabiną.

W późniejszym czasie, kiedy już kosz posiadał większe zasoby, kurzenie stawiane były z drzewa ciosanego i piłowanego. Wówczas to kurzeń oznaczał oddział wojska czyli pułk, który miał swego *kurenego atamana* (1) czyli dowódcę, swoją oddzielną chorągiew i kasę.

Na kurenego wybieranym był jeden z najwaleczniejszych Kozaków, składających towarzystwo kurzenia. Kurenni awansowali na sędziów lub koszowych. W koszu czyli siczy całe towarzystwo było bezżenne, uważane za szlachtę i obywateli; jeśli zaś kto chciał żenić się (co tylko w późniejszych czasach dozwalanem bywało), musiał się przesiedlić do stepu i tracił szlachectwo urojone, przybierając nazwisko *poddanego* wojska zaporozskiego.

Towarzystwu corocznie przez losowanie rozdawano stepy i rzeczki na *zimowniki*, na pastwiska i pola, na polowanie i rybołówstwo, część zaś gruntów wydzielano starszyźnie, duchowieństwu i poddanym. Na tych gruntach budowano zimowniki, które już w owym czasie miały postać folwarków i osad gospodarskich, gdzie Kozacy przez zimę mieszkali; latem zaś uprawiali rolę, kosili łąki, utrzymywali stada i trudnili się polowaniem i rybołówstwem. W początku takiego domowego gospodarstwa, podług zwyczajów innych zgromadzeń duchownych, dochód z zimowników wpływał do kassy całego towarzystwa; lecz od r. 1760, kiedy ustawy kozackie słabnąć poczęły, starszyzna posiadała już własne i bogate zimowniki.

Oprócz starszyzny, towarzystwa i poddanych,

(1) *Ataman*, to samo co *hetman*, właściwie oznaczał naczelnika, których w Zaporozżu było niemało, a mianowicie: *ataman* koszowy, *ataman* kurenni, *ataman* szkoły siczowej, *ataman* kramny (minister handlu), *ataman* lisicki (W. łowczy), *ataman* kozacki (sierżant), *ataman* gromadski (*sołtys*) i t. d. W późniejszym czasie przeznaczeni z ramienia królów polskich naczelnikami wodzowie Kozaków, dla odróżnienia od *atamanów*, zwani byli *hetmanami*. Obecnie jednak godność dawnych *hetmanów* mianuje się pierwotnym ich nazwiskiem *ataman*.

byli jeszcze w wojsku zaporozkiem starcy, młodocyki i argaty. *Starcem* zwano emeryta ze starszyzny, który potem znowu był Kozakiem czyli towarzyszem. *Molodykiem* nazywał się nowozacieczny Kozak, przed zapisaniem się do towarzystwa. *Argat* parobek, luzak, poddany kozacki.

Oprócz siczy, krawczyzna zaporozska posiadała jeszcze *okopy*. Jedne z nich miały postać niewielkich warowni, otoczone wałem i fossą; takie były po brzegach Dniepru, aż do samego Limanu, także nad Bugiem i w innych miejscach. Inne zaś urządzone były tylko w czasie wojennym i wtedy tylko miały załogę: do tych ostatnich policzyć należy cmentarze, opatrzone wałem i fossą, na których także wystawiano armaty.

Sicz chortycka, tak przezwana od rzeczki i wyspy Chortyci, pierwsze gniazdo Zaporozców, już w XV wieku miała postać warowni. Gdy sława waleczności i wolnego życia powiększyła ludność Zaporozża przybywającymi zewsząd ochotnikami, a oręż zagarnął znaczną przestrzeń ziemi, wówczas cały kraj zaporozski dzielił się początkowo na pięć, potem już na ośm, obwodów, zwanych z turecka *pałankami*.

Najwięcej na organizację wojska zaporozskiego wpłynął Eustachy Daszkiewicz (1), niegdyś wojewoda trocki, który w r. 1512, za panowania Zygmunta I, udał się do Zaporozża, gdzie jednogłosem wybrany został na koszowego. On zastał tam 3000 Kozaków, których rozdzielił na pułki i sotnie i nadał im postać wojska regularnego. A że wówczas już niemało było Kozaków po całej Ukrainie, którą rządził Przeclaw Lanckoroński, hetman małorossyjski, zięć księcia ostrońskiego, przeto król Zygmunt, za porozumieniem się z Daszkiewiczem, oddał Zaporozże pod rozkazy hetmana, któremu oddał sicz mniej więcej była posłuszną. Daszkiewicz zostawał w bliskich stosunkach przyjaźni z Lanckorońskim, i dlatego sam, jako hetman, wspólnie z nim rządził koszem.

Po Lanckorońskim był hetmanem Ukrainy i Zaporozża książę Dymitr Wiszniowiecki, od Kozaków przezwany *Bajda*, który w ciągu dwuletnich swych rządów sicz chortycką nanowo obwarował.

Trzecim hetmanem był książę Eustachy Różyński (1514—1534), mądry i waleczny, który zapro-

(1) Mikołaj Markiewicz nazywa go *Daszkowicz*.

wadził niejaki zmiany w urzędzeniu wewnętrzném Kozaków małorossyjskich, ze *szlachty kurennój i okolicznój* złożonych, dzieląc ich, podług wzoru Daszkiewicza, na pułki. Od tego czasu, wielbiąc męstwo i zapał wojenny Kozaków, na sposób innych wojsk uorganizowanych, wielu Polaków dobrowolnie zaczęło wstępować do tych nowych pułków i z chlubą przyjmować miano Kozaków.

Po śmierci Rożyńskiego był hetmanem Wacław lub Wężyk Chmielnicki (1534—1569), a po nim książę Michał Wiszniowiecki (1569—1570).

Od roku 1570 do 1573 szóstym z kolei hetmanem był Grzegorz Drużko Świerchowski, szlachcic polski z Lublina, który założył twierdzę nad Dnieprem, dziś zwaną *Krzemieńczukiem*. Ten, wezwany przez Mołdawian na pomoc przeciw Turkom, po bił na głowę nieprzyjaciela, lecz następnie, zdradzony przez Mołdawian, wzięty był w niewolę turecką i tam życia dokonał.

Po Świerchowskim, już za panowania Stefana Batorego, byli hetmanami: Teodor Bohdan lub Bohdanko Różny (1573—1579) i Han Podkowa czyli Sierpiaha (1579—1582), który roszcząc pretensye do tronu mołdawskiego, jako krewny hospodara, wkroczył do Mołdawii bez pozwolenia króla, i zajmąwszy miasto stołeczne Jassy, ogłosił się hospodarem; ale widząc nieprzychylność ku sobie bojarów, wrócił do Polski, gdzie schwytyany i odesłany do Lwowa, poniósł karę śmierci.

Odr. 1582 do 1585, za czasów Batorego, byli hetmanami Jakub Zach czyli Szach, który poprzednio był jeneralnym asałą Zaporozża, Samuel Zborowski i pułkownik Damian Skałozub, przewany Sulimą Barabaszem, który dostał się w niewolę turecką i umorzony głodem w Konstantynopolu.

Z koszowych wojska zaporozskiego trzej tylko do r. 1585 byli więcej znani. Pożytyła za hetmana Świerchowskiego, Pawluk za Bohdanka Różnego i Sahajdaczny Nieczaj za hetmaństwa Skałozuba.

Z wprowadzeniem unii religijnej wszczęły się pomiędzy Kozakami niezgody i nienawiści, tak wewnętrzne jak i zewnętrzne. Z kłótni wojska zaporozskiego powstały inne siece, między któremi więcej znaną była *siecz teszłycka*, założona przez wolnych Hajdamaków, przewanych Koratajcami, nad rzeczką Teszłyk, wpadającą do Dniepru niżej Chorotyczy, którzy wybrawszy ze swój drużyny koszowego, nazwali go Adamem Teszłyk.

Za panowania Zygmunta III byli hetmanami Kozaków małorossyjskich: Teodor Kosiński (1592—1596) szlachcic podlaski; Paweł Naliwajko, spółczesnik Michała Rogoży metropolity unitskiego, (1596—1597), stracony w Warszawie; tudzież Piotr Konaszewicz Sahajdaczny (1598—1622) po którego śmierci Ukraina przez lat sześć nie posiadała hetmana. Wybiérano wprawdzie naczelników, lecz ci nie byli przyznawani przez cały naród i króla i wkrótce składani z urzędu. Takiemi byli hetmani: Oliwer Steblewiec, Bogdan Konha, Zara, Maksym Grygorowicz, Michał Doroszenko i Hryćko Czarny.

Ponich odr. 1628 do 1632 byli hetmanami przez króla zatwierdzonemi: Taras Triasiło, Tymoteusz Arandarenko, Piotr Życki i Szymon Perewiazka.

Za Władysława IV byli hetmanami: Pawluk, Stefan Ostranica, Sawaltowicz, Karp Póltora-Kożucha, Maksym Hulak, Mikołaj Zaćwilichowski, Jan Barabasz i Bohdan Chmielnicki, który się poddał carowi.

Podczas panowania Jana Kaźmirza i następców aż do Augusta II byli hetmanami: Jan Wyhowski, Jerzy Chmielnicki, Paweł Tetera, Opara, Dziecik, Piotr Doroszenko, Sirko, Suchowy, Channenکو, Janenko, Gogol, Kunicki, Drahinicz, Mohiła, Samuś i Jan Mazepa, oprócz innych, mianowanych przez cara i sultana.

W r. 1707 d. 14 maja, za panowania Piotra W. Piotr Jakowlew, dowódzca wojsk rossyjskich, zdobył siecz chortycką i zburzył ją do szczętu (1). W roku 1709 całe Zaporozże przeszło pod władzę turecką; lecz tam Kozacy doznawali krzywd, i tęskniąc do rządu słowiańskiego, po otrzymaniu od cesarzowej Anny Joannówny przebaczenia, w r. 1734 powrócili na ziemię rodzinną i nad rzeką Podpalną, niedaleko od starój siczy, nieco niżej, założyli nową siecz, która przybrała postać warownego miasteczka, otoczona była wałem i palisadami i podzielona na trzy części czyli cyrkule. W pierwszym cyrkule był bazar kramny, gdzie się mieściły towary przyjezdnych kupców, szynkownie i kurzenie władzy dozorującej nad handlem. W drugim cyrkule było 38 koszar, zwanych kurzeniami, tudzież mieszkanie koszowego, cerkiew, kassa wojskowa i kancelarya. W trzecim oddzielna forteca,

(1) Byłato kara za przyłączenie się Jana Mazepy z Kozakami do Karola XII króla szwedzkiego.

rodzaj cytadelli, w której od r. 1735 znajdowała się stale załoga ruska.

Jeszcze za panowania Stefana Batorego, po dokonanej reorganizacji Kozaczyzny i przeznaczeniu na jej stolicę miasta Baturyn, hetman Bohdanko otrzymał od króla oznaki swęj godności, jakoto: buławę hetmańską, buńczuk i chorągiew z herbem orła w różowém polu, tudzież pieczęć i trzciny. Lecz w roku 1645, kiedy Zaporozcy przeszli pod zwierzchnictwo Rossyi, wówczas chorągiew wielka miała orła czarnego dwugłowego; przytém dodany był piernacz.

Buńczuk byłato wysoka żerdź, upiękzona u góry złotem jabłkiem, około której przymocowywała się mała chorągiewka i koński ogon, a niekiedy dwa ogony i więcéj. Ten znak oddawna używany był przez Turków, od których przejęli go Zaporozcy. Pochodzenie buńczuków odnieść należy do piérwszój połowy VII wieku, a mianowicie do r. 632, to jest do czasów Abu-Bekra, następcy Muhameda czyli Mahometa, który się zwał inaczéj Chalifem. Po przegranej pewnego razu bitwie w Syryi, Abu-Bekr opuszczonym został przez wojska, które na wszystkie pierzchnęły strony. Jeden z towarzyszących Abu-Bekrowi oficerów obmyślił środek połączenia ich, wziął długą żerdź, i nie mając nic takiego pod ręką, coby mogło zdala znak podać rozpierzchnionym, uciął swemu koniowi ogon i przywiązawszy go do żerdzi zaczął machać na wszystkie strony. Żołnierze, postrzegłszy znak zwołujący, zbiegli się do swego wodza i połączonemi siłami rozbili wrogów. Od owego czasu buńczuk, to jest ogon koński, stał się chorągwią honorową wojska Abu-Bekra i jego następców.

Piernacz, rodzaj buławy mniejszój, u której zamiast galki rogatój jest sześć piór wklejonych.

W czasie uroczystości na Zaporozu buławę niósł koszowy, trzcinę i pieczęć sędziego, drugą trzcinę asaui; chorągiew wielką, buńczuk i piernacz nosiła wojskowa starszyzna, a mianowicie: *wojskowy buńczuczny, chorąży i piernaczy*. Znamię koszowego zatkniętém było na wieży, gdy on zostawał w sicy i zdejmowało się, gdy ją opuszczał.

W r. 1775 w dzień Zielonych świątek generał Tekeli, z rozkazu księcia Potemkina, zajął sicz i odczytał Zaporozcom manifest Katarzyny II Cesarzowój Wszech Rossyi, znoszący na zawsze kosz

zaporozski. Sicz przezwana odtąd została *siołem pokrowskiém*, od cerkwi w niéj wystawionéj pod nazwą Opieki Matki Boskiej (*Покрова Богородицы*). Jednocześnie téż zniesiono hetmańszczyznę, której rządu ostatni piastował Grzegórz Razumowski.

W r. 1792 znowu przywróceniu zostali Zaporozcy pod nazwą *Kozaków czarnomorskich*, z nadaniem im wyspy Taman czyli Fanagorya, z ziemią między Kubaniem tudzież morzami azowskiém i czarném, gdzie w roku następnym założyli nowy kosz, przewawszy go, przez wdzięczność za otrzymaną łaskę od monarchini, *Ekaterinodar* (darem Katarzyny).

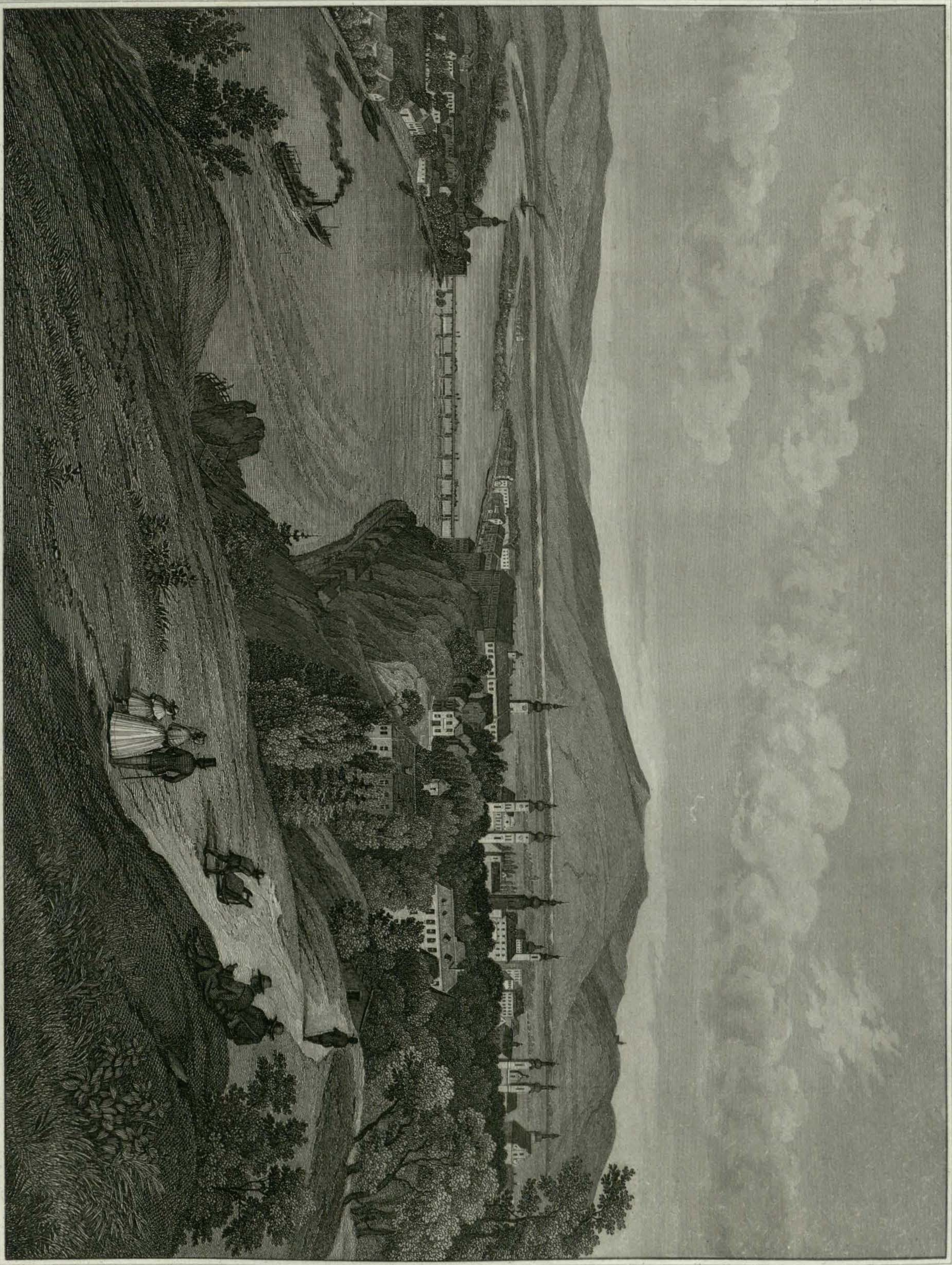
Z wojska zaporozskiego powstali Kozacy dońscy, uralscy, syberyjscy i inni. Główne zasady rządu i tryb życia wszyscy przejęli od Zaporozców, lecz następnie wprowadzili niektóre swobody i odstąpienia od piérwiastkowych zwyczajów.

Z tych nowych szczepów kosza zaporozskiego, najdawniejszemi byli Kozacy dońscy, zwani początkowo azowskiemi, którzy w wieku XV byli postrachem dla podróżujących w pustyniach Charkowa, Woroneżu i okolicach Donu; oni rabowali kupców moskiewskich jadących do Azowa i Kafy, chwyтали ludzi posłanych przez wojewodów ruskich na zwiady o Nogajcach i Krymianach, i tworzyli napadami swemi Ukrainę.

Dziś Kozacy dońscy zajmują kraj najzamożniejszy we wszystkie dary przyrody, i oddając się użytecznej pracy, w spokoju zażywają błógiego szczęścia.

Literatura kozacka, mianowicie na Zaporozu, ograniczała się na korespondencyi urzędowój, którą pisarz wojskowy układał. Nietylko towarzystwo, ale nawet starszyzna i koszowy, nie mieli obowiązku umieć czytać i pisać. W późniejszych dopiero czasach, gdy w sicy założoną została szkoła, nauka także więcéj znaczenia nabrała. Już na schyłku istnienia Zaporozia pojawili się bardowie ukraińscy, którzy chodząc od domu do domu śpiewali *dumki* czyli piosenki żałośne i *pieśni* czyli śpiewy wesole, głosząc w nich przy dźwiękach teorbenu, bałalajki (1) lub bandury, czyny przeszłe i waleczność Kozaków.

(1) *Bałalajka*, instrument z kształtu podobny do gitary, o trzech lub czterech strunach.



Stahlsich v. Carl Mayer's Kunst-Anstalt in Nürnberg.

LINZ.

L I N Z.

(Stolica wyższej Austrii [Ob der Enns]).

Gdy cesarz Oktawian August rozszerzył państwo rzymskie aż po brzegi Dunaju i wysłał legiony swoje na strzeżenie nowonabytych krajów, trybun oddziału jazdy, Lentulus, założył tam obóz i nazwał go *castra lentiana*; ztąd poszła nazwa miasteczka Linz, które wkrótce urosło z kilkudziesięciu rozproszonych chat rybackich i domków obozowych. W r. 1324 otrzymało ono prawo miejskie, a w kilkanaście lat później uległo pożarowi, z którego wkrótce świetniej nierównie zostało odbudowane. Około 1382 książę Albrecht nadał mieszkańcom Linzu prawo odbywania trwających dotąd jarmarków na św. Bartłomiej. Taniść wszelkich artykułów żywności, podług kronik współczesnych, bywała wtedy tak wielka, że korzec najlepszej mąki kosztował tylko 11 srebrnych fenigów, beczka wina złoty, krowa 3 — 8 groszy, beczka piwa 4 grosze, a płaca dzienna wyrobników wynosiła zwykle 3 fenigi. Była to w ogóle epoka nadzwyczajnych i wczesnych urodzajów: w roku n. p. 1429 wiśnie w okolicach Linzu dojrzały na Wielkanoc, a wino wytłaczano na św. Magdalenę.

Roku 1489 pierwsze tu odprawiano turnieje; następnie przez długi lat szereg przemieszkwały w Linzu dostojne osoby, jak: Fryderyk IV założyciel domu austriackiego, cesarze Maksymilian I i Ferdynand I, który w r. 1521 poślubił tu następczynią tronu węgierskiego. W czasie wojen religijnych o reformacyą miasto Linz dwukrotnie oblegane było przez tłumy uzbrojonych chłopów. Mieszkali w niem cesarze Maciej (r. 1614) i w ośmnaśmym już stuleciu Karol VI. W listopadzie 1741 zawitał do jego murów generał francuzki Seyne, wspierając Karola Alberta bawarskiego, współzawodnika Maryi Teresy o koronę cesarską. Rok 1784 pamiętny jest dla Linzu pobytem Piusa VI, wracającego z Wiednia. Na głównym placu miasta świętobliwy papież udzielał ludowi błogosławieństwo, a religijny ten obrządek uwiecznia napis na ratuszu: *Pius VI populo lincensi sollemniter bene-*

dixit. Nareszcie roku 1809 przybył do Linzu Napoleon I, po stoczeniu bitwy pod Ebelsberg.

Wyliczywszy zbiorowo znakomitsze chwile historyczne Linzu, przystępujemy teraz do opisanego go pod względem topograficznym. Linz, położony na prawym brzegu Dunaju, jest stolicą Wyższej Austrii, siedzibą biskupa i ma obecnie 1340 domów z ludnością około 30,000, oprócz przedmieścia po tamtej stronie rzeki, liczącego do 18,000 mieszkańców. Posiada kilkanaście kościołów, klasztory Karmelitów, Kapucynów, braci i siotr miłosierdzia, tudzież dom Urszulek. Z pomiędzy gmachów poświęconych czci Bożej najstarszym jest kościół św. Marcina, wybudowany jeszcze w r. 774 naszej ery. Wszystkie inne kościoły z późniejszej znacznie pochodzą epoki, a w liczbie ich zasługują na wspomnienie: fara, ukończona r. 1440 przez Fryderyka IV; tum, wystawiony w drugiej połowie XVII wieku przez Jezuitów, zawierający grobowce czterech biskupów i Elżbiety arcyksiężnej austriackiej; kościoły braci miłosierdzia i Urszulek; kościół Karmelitów, założony w r. 1679 i kościół Kapucynów z klasztorem, który podczas wojny chłopskiej wyborną dla mieszkańców stanowił warownią. W tej ostatniej świątyni znajduje się pomnik generała austriackiego Rajmunda Montecuculi, tego samego, co wysłanym będąc r. 1657 w pomoc Janowi Kaźmierzowi przeciw Szwedom, przyczynił się do odzyskania Krakowa, a później wojował w Danii wspólnie ze Stefanem Czarnieckim.

Znakomitym pod względem budownictwa i pamiątek historycznych jest zamek starodawny, wzniesiony na skale w wieku IX, a w wieku XV upiększony przez cesarza Ferdynanda IV, któremu tu nogę amputowano. Oprócz zabytków rzymskich i innych ciekawości, niedawno jeszcze pokazywano tu podróżnym tak zwaną *izbę adwokatską*, podziemne sklepienie, z wymalowanym na drzwiach wchodowych niedźwiedziem. Więżono w niem pod-

stępnych adwokatów, a dziwny ten sposób wymierzania kary usprawiedliwiał napis następujący:

*Ne noceant, ursos, rabidosque canes, rabulasque
Mordaces simili sorte punire decet.*

(Aby szkodzić nie mogły, jednakowo karać należy niedźwiedzie, psy wściekłe i złośliwych adwokatów).

Z zakładów dobroczynnych, naukowych i przemysłowych posiada Linz: dom sierot, instytutu obłąkanych, głuchoniemych i ślepych, gimnazjum z biblioteką zawierającą 25,000 tomów, szkoły: duchowną, wojskową, politechniczną i sztuk pięknych, muzeum; dalej liczne fabryki płótna, kilka fabryk bawełnianych i sukiennych, oraz rękodzielnię cesarską kobierców, w której dawniej kilka tysięcy robotników znajdowało zatrudnienie.

Od r. 1612 do 1628 mieszkał w tém mieście słynny astronom Keppler. Muzeum tutaj prze-

chowuje mnóstwo oryginalnych jego rękopisów. Tu także Keppler, jak się zdaje, ułożył dla siebie znany napis grobowy:

Mensus eram coelos, nunc terrae metior umbras.

Mens coelestis erat, corporis umbra jacet.

(Mierzyłem niebo, teraz podziemne mierzę cienie. Duch mój był niebiański, ciało spoczywa cieniem).

Wspomniane wyżej muzeum (*francisco-carolinum*) bogate jest w wykopaliska z czasów rzymskich i różne po znakomitych ludziach pamiątki, jak np. fortepian Beethovena i t. p.

Okolice Linzu rzadkiej są piękności, a samo miasto coraz nowymi wzbogaca się budowlami, których wznoszeniu sprzyja szczególnież dość ożywiona żegluga parowa na Dunaju i kolój żelazna, na południe do Gemünd'u, na północ do Budweis przeprowadzona.

PODATEK OD RZECZY ZBYTKOWYCH.

WYJĄTEK Z OBRAZÓW XVI WIEKU.

Gdy za przykładem autora: „Żywota poczciwego człowieka“ zaczęły się szerzyć narzekania na zbytki w strojach i biesiadach jakimi odznaczył się wiek XVI, wyszło w Krakowie r. 1603 w drukarni Łazarzowej dziełko noszące tytuł:

„Exorbitancye o rzeczach w każdym królestwie szkodliwych, na które ani prawa, ani winy żadnej nie masz, z uniwersałem poborowym na zbytki, utraty i niepotrzebne wystawy domowe.“

Zanim przytoczymy wyjątek z tego dziełka, odznaczającego się głębokim pomysłem i dobrą dążnością, skreślić nam wypada pokrótce przejście z dawniej rycerskiej prostoty, do zbytków jakie się w drugiej połowie XV wieku wyległy.

W XII i XIII wieku tak kobiety jako i mężczyźni używali sukna i płótna do ubioru, zostawiając bławaty i złotem przerabiane materye panującym. Krystyna żona Władysława II, Niemka, wyśmiewała Polaków z ich ubożego odzienia i obuwia (1).

(1) Boguchwał str. 41.

Uczty bywały także bardzo skromne, gdyż biesiadnicy woleli się zabawiać słuchaniem śpiewaków narodowych (bardów), aniżeli zaléwać gardła trunkami i zapychać brzuchy jadłem zbytecznym (1). Jedynym zbytkiem były upominki które gospodarz gościom rozdawał, aby pamięć miłych chwil z nimi spędzonych dłużej się przechowała (2). Powozów żadnych nie używano, bo odbywano podróże konno (3).

W XIV wieku powiększyły się już skromne dawniej potrzeby. Kilką parami sukien nie obszedł się pan możny; musiał mieć ich kilkadziesiąt. Zawisza biskup krakowski miał aż 70 par sukien i używał powozów, zaprzęgając do nich kilka koni (4). Niewiasty zaczęły nosić perły i drogie ka-

(1) Boguchwał str. 28. Długosz. Raczyński r. 4235 stron. 14.

(2) Długosz I, str. 1141.

(3) Gall, str. 114.

(4) Archid. Gnesn. str. 133. Gall str. 148.

mienie, przesadzając się na rańtuchy i welony (1). W uczyt wkradł się już zbytek; na owęj sławnej biesiadzie, którą w roku 1343 wyprawił Kaźmirz W. zastawiono więcej wszystkiego, aniżeli kto chciał (2).

Od połowy XV wieku zmieniły się znów zwyczaje, otwierając wrota wytworności i zbytkom. Przykład poszedł od panujących: Kaźmirz Jagiellończyk, przyjmując żonę swoją Elżbietę w Cieszynie, miał na sobie strój który na czterdzieści tysięcy złotych ówczesnych szacowano (3). Zaczęto używać drogich materyj, altembasów, teletów, podzielonych na złotogłowy i srebrogłowy, aksamitów, adamaszków, hatłasów (atłasów), kapicelów, czamletów i muchajerów tureckich, a z tańszych: szaszków, landyszów, breklestów, szychtachów, bai i karazyi (4). Wprowadzono różne kroje, nosząc się po turecku, po tatarsku, po włosku, po niemiecku, po madziarsku i t. p. „Niejeden, mówi Rej z Nagłowic, każąc krawcowi zrobić modną suknię, ani mu jej nazwać, ani opisać nie umiał, polecił ją tylko tak uszyć jak noszą (5). Postronni, szydząc z Polaków, malowali ich z postawem sukna i nożycami u nóg, z napisem: „Krajże sobie jako raczysz“ (6).

Bielski o czasach Kaźmirza Jagiellończyka pisze: „Po wojnie pruskiej nic innego mężczyźni nie robili, tylko włosy sobie czesali, które długo nosili, sprzeciwiając się we wszystkiem białogłowom“ (7). Niewiasty zaś przesadzały jedna drugą w drogich materyjach, fałdowanych sukniach, biretach, pantalach, krezach i t. p., nosząc na palcach wiele pierścieni, a na szyi mnóstwo bogatych ozdób (8).

Biesiady wzrosły w wymagania. Rej powiada, że kto chciał gościa uraczyć, musiał cały tydzień wprzód nad tém myśleć, kramy, apteczki przepatrzyć, Żydkom się wyspowiadać, aby pieniędzy dali; bo na uczenie wystąpić trzeba było z sowitemi potrzaskami (pólmiskami) i pozłocistemi główkami (9). Stanisław Lubomirski miał dwóch kuchmiistrzów, pod których zarządem pełniło służbę dwu-

nastu kucharzy, trzech pasztetników i czterech piekarzów (1).

Zaprzestano konnej jazdy, sprawiając sobie ozdobne i wygodne kolébki czyli pojazdy odkryte, na pasach i resorach, i rydwany czyli pojazdy przykryte, ozdabiając je kobiercami, wezłowiami altembasowemi lub szkarłatnemi oponami i mnóstwem pozłocistych świecideł, i zaprzęgając do nich po cztery, sześć, a nawet i po ośm koni (2).

„Tém téż się kraj uboży, powiada szacowny autor egzorbitancyj, gdy ludzie nie przestawają na tém co mają (3), swemi rzeczami gardząc, cudzoziemskich szukają potraw, szat, sług, broni, mając swe lepsze i mocniejsze, naszemu niebu, krajom i czasom przywykłe. Lepsze zamorskie rzeczy z Indyj, Arabii, Włoch, Francyi, Niemiec, Węgier, a nawet i z Turerek pogańskie.

Nuż zajścia niepotrzebne i walki o ład co prawie; nigdy za to sama rzecz nie stoi, co prawo albo zwody koło niej kosztować będą. O skórę wilczą jeden pan kilka wsi utracił.

A to jako szacować, że jedną białogłówkę, z którąby dobra mucha uleciała, sześć woźników tureckich, każdy po kilkaset i po tysiącu złotych kupiony, wozi. Boże! toćto konie niepotrzebnie koronę jedzą, bo potrzebują *pabulum, famulum, stabulum*. A do owych pocztów w aksamity, w adamaszki ubranych co rzeczemy? Owe orszaki sług i processye długie co przed niemi chodzą na co się zdadzą?

Do téjże fary utrat posługują próżne uczyt albo biesiady, na których biesiada. Bankiety, zbytnie stroje, szaty, wesela, chrzciny, pompy pogrzebów, mar, koni ubranych, giermków, herbów haftowanych i innych rzeczy siła. Azaż ony zbawią? azaż z tą pychą do nieba idą? Sami się sądzą mówiąc: Pomoże niby umarłemu kadzidło.

Cóż po kilkudziesiąt misach, gdy na jednej lub dwóch dosyć, albo gdy sześciu sług lekki ręcznik będą nosić? Że się woźnice popiją, pany poprzewracają, ręce i nogi połamią? Toćto zbytki, pany wprawiwszy w biędę, obracają w sługi sług swych.

Nie pomagają téż wielkie a kosztowne budowania, choćbyśmy na nie wyrabali całe bory. Jeden

(1) Maciejowski o daw. Pol. T. III, str. 344.

(2) Bielski str. 325.

(3) W powtórzonych ustępach egzorbitancyj zachowano styl oryginału, ze zmianą tylko pisowni.

(1) Maciejowski o dawniej Pol. str. 156, T. I.

(2) Boguchwał, str. 70, Dług. I, B. str. 220.

(3) Bielski, Kron. str. 399.

(4) Rej, Wiz. str. 15. Bielski Sejm str. 23. Strykowski.

(5) Wiz. str. 15, 64, 69.

(6) Rej Żyw. str. 57.

(7) Kron. str. 308.

(8) Jeżowski, Zabawy ziemianek.

(9) Przemowa str. 190.

Włoch, do dworu pięknie zbudowanego przyszedłszy, powiedział że nie widział piękniejszego stosu drzew ogniowi ułożonego.

I w tém téż szkoda niemała, iż na pijaństwo kary ani prawa nie masz. Turcy nas wstydzą, bo tam pijanicę kijem w podeszwy biją.

Dlatego radzę wam, mili bracia, wotujcie na mój uniwersał poborowy na zbytki, utraty i niepotrzebne wystawy, który jest następujący:

Najprzód, aby żadnego pijanicę do rady nie brano, ani mu przodu dawano, gdyż Solon filozof jawnym to dekretem osławił, mówiąc: *Princeps si sit ebrius, non regnabit*, i bliźniego pijanemu sądzić grzech. *Nullum enim secretum, ubi ebrietas dominatur*.

A każdy z nich który się opije, aby dał poboru złotych 10 wtenczas kiedy winem lub małmazją, a kiedy gorzalką złotych 15; bo panom senatorom sromota pić gorzalkę, a kiedy piwem zł. 5. Taki pobór za każdy raz powiniēn dać, *sub poena duplici*.

Szlachcice téż nie powinni się upijać, a któryby się zbyt nie opił, powinien poboru dać zł. 2, a który opiwszy się zwadę czyni, zł. 12, który opiwszy się żonę stłucze, zł. 6. Ci zaś co kmieci ani pieniędzy nie mają, niechaj wina ani małmazji nie piją, chyba kiedy przy wielkich panach pożywiać się mogą. Miód, iż się w domu rodzi, kto może niech go pije, a ktoby się nim opił powinien dać poboru zł. 2.

1.) Ze strony zbytków stołowych.

Od każdego stołu dwoma obrusami przykrytego, na którym serwety po włosku złożone, po gr. 10. Od każdego tortu po gr. 12. Od ciast formowanych, garnuszkowych i fumetowych po gr. 11. Od kijowego kołacza zł. 2, gdyż nadzienie jego niestrawne. Od bijanek po gr. 6. Od masła formowanego z migdałów po gr. 24. Od galarety zł. 1. Od głowy cukru gr. 12. Od pączków po gr. 4. Od pasztetu zł. 2. Od limonij po gr. 15, gdyż niezła pieczenia z ogórki z cebulą i dzbanem piwa. Od kaszy zapalanej małmazją zł. 1. Od parmazanu gr. 12, bo większa gomulka za grosz, niż parmazanu za dwa. Od haftowanych ręczników, co jeden sześciu sług trzymają, zł. 3. Od natrzęsania gmachów ziołami zł. 3. Od kadzenia, perfumowania zł. 2, bo jałowiec dobry i dębik od powietrza; niema się tego człowiek napięrać, co mu się w domu nie rodzi ale na tém trzeba przestawać co dom ma.

2.) Ze strony niepotrzebnych strojów i utraty od srebra stołowego:

Od łyżek, gdy się cynowemi naję na drewnianym talérzu, a którzy się na srebro sadzą, *sine fas, sine nefas*, powinni dać poboru zł. 100.

Od opon z jedwabiu ze złotem, w jedwab' od twarzy (1) haftowanych, które są po zł. 500, poboru zł. 100.

Od wezglów aksamitnych, hatłasowych, złotogłowych, ze srebrnymi galkami, z kosztownymi kutasami zł. 12, gdyż dobre zamszowe albo skórzane.

Od kolébki szkarłatowej kołdrą nakrytej(2) zł. 10.

Od karety frendzlą jedwabną i aksamitem podszytej zł. 20, gdyż bez aksamitu sama skóra, kiedy cała, wody nie dopuści.

Od woźników poszóstnych zł. 4, a osobno od forytarza zł. 2. Od rzędu aksamitnego zł. 1. Od siodła srebrem oprawnego zł. 5, gdyż dobra oprawa w żelazo.

Od szabel, koncerzów, pałaszów, karabinów, buław, czekanów i inszej armaty srebrem i pozłotą oprawnych zł. 12, gdyż się żelazem bez srebra, kto umie, bronić może.

Od srebrnego zegarka, gdyż dobry mosiężny, zł. 10.

3.) Ze strony szat białogłowskich:

Choć się nie uczą w szkole,

Przed się wywiodą w pole.

Od każdej jedwabnej szaty za którą ogon się wlecze zł. 4.

Za któremi białogłowami karzeł ogon niesie zł. 8, za któremi dwa, zł. 16.

Od mentlika kunami podszytego zł. 2, a sobolami zł. 4.

Od płaszczyka u którego przodki sobolowe, a pod całym nie masz nic zł. 6; gdyż lepiej barana pod cały kupić, niż wyłogami świat grzać a grzbiet ziębić.

Od szaty otworzystej, by czuha turecka zł. 6. Od obróży co ją trepelami zowią, to jest krezy, zł. 10. Od dyndela u ucha i od noszenia zł. 6. Od piórka za biretkiem zł. 1. Od pasa srebrnego tak wiele jako zankiel zaważy. Która się po mieście sześcią koni wozi, a processya sług przed nią idzie zł. 10. Od rucha, na którym się diabeł wozi, bo to jego

(1) W twarze haftowanych.

(2) Pod pokryciem.

sanki, zł. 1. Od trepelów, do których diabeł trafić pomaga, a jednej pani w szyję wrosły, talar. Od pierścienia co nim skazuje albo na pannę służebną kiwa zł. 1. Od nożyczek srebrnych gr. 24. Od bramek kosztownych zł. 4, od pożyczanych zł. 1. Od przyprawnych włosów trupich gr. 10. Od pokoszonej twarzy (1) zł. 1. Od kraszonych brwi gr. 14. Od umizgania gr. 24. Od strojenia postawy gr. 24. Od łańcuszka zł. 1. Od manelki zł. 1. Od patynek aksamitnych gr. 16. Od pontalów na szacie i na birecie zł. 3. Od korony (2) zł. 10. Od ubioru po hiszpańsku zł. 10, po włosku zł. 5, po francuzku zł. 6. Od przepalanych wódek do umywania lica gr. 6, gdyż się prostą wodą dobrze i zdrowo umywać.

Od koszuli z tkaniczkami zł. 1. Od pończoszek czerwonych gr. 24. Od namiotów do łoża zł. 8. Która długo sypia zł. 1. Która mężowi nie wierzy zł. 10, bo sama nie dobrego. Która mężem rządzi zł. 20, bo biada temu domowi, gdzie dobodzie krowa wołowi. Która tkanką czoło wyciąga, żeby za młodą uszła zł. 40, bo to młodzieńce zdradza. Które używają dragantu, kamfory, mastyksów mają dawać po zł. 10. Która nogę wystawia pół talara.

4.) Ze strony mężczyzn.

Młodzieńcy którzy szpetni a zalotni, mają dawać po zł. 6, którzy z rejestru się zalecają zł. 2, a którzy na pamięć zł. 1.

Który tańczy a nie umie gr. 10; który tylko na jednej nodze skacze zł. 10.

Biskup któryby tańcował, od każdego tańca zł. 30, opat zł. 20, kanonik zł. 10, proboszcz zł. 6, pleban zł. 2, wikary zł. 1; bo ci powinni wszelakiej pokory przykład dawać.

Pan który muzykę utrzymuje powinien dać poboru na rok zł. 60, bo lepiej na to miejsce puszkarzy chować.

Który chowa myśliwstwo, a dla niego się nędzy, zł. 20; bo lepiejby kilkanaście wieprzów ukarmił.

Pan który w łańcuszku złotym, a w jedwabnych szatach chodzi i słudzy za nim podpiory na baczmagach noszą zł. 40.

Od darmolega kołnierza co nim świat grzeją zł. 3. Od długich rękawów co niemi ziemię zamiatają gr. 20. Od kręcenia wasa i przegładania się gr. 10.

(1) Blanszowanej.

(2) Niewiasty zameżne nosiły we włosach korony.

Ktoby się nad 10 grzywien o mniejszą rzecz pozywał, od każdego pozwu ma dać grzywien 3; albowiem kto chce wygrać kaczoza, musi stracić gąsiora.

Łgarze, pochlebcy, zwodnicy powinni dać po zł. 40, bo ci mają jurgelt pewny. Kostera ma dać zł. 20, bo ten prędko zarobek miéwa. Który wschodek od brzucha do gęby z guzów uczyni, albo drabinkę z pętlic, albo nogi w pontaly lub w cza-pragi okuje, taki, jako Caligula, powinien dać zł. 2.

Szlachta brukowa od poboru wolna, jako *militēs sine equo*, bo przepiją by diabła, a przejedzą by dwóch. A więc ich od miast o swym groszu na wojnę wygnąć.

A gdyby chłop szlachcica w karczmie obił, od basarunku ma być wolen, i jeszcze obity szlachcic ma dać winę onemu co go obił, że pił w karczmie i dał się obić.

Te wszystkie artykuły rozumiejąc być potrzebne ku pohamowaniu zbytków i sprosnych nałogów, jako też pożytku skarbu pospolitego, podaję publicznej wiadomości.

A kto w nich co przejrzy, niech ku sobie weźmie, niech nie będzie jako on ślepy, co ominął dobrą ścieżkę, a wlaźł między chwasty i głogi.

Bo zaprawdę, mili bracia, zbytki nas zubożą, zatłumią rycerskiego ducha, i syny nasze kiedyś oplakiwać nas będą.

Jednak, pomimo tak licznych narzekań, nie zmieniły się głęboko wkorzenione nałogi. Głosy podnoszące się przeciwko nim, były głosami wołających na puszczy; każdy czytał zdania pełne prawd, lecz ani na krok nie odstępował od dawnych przywyknień.

Nadszedł wiek XVII, przepowiednie ziszczały się: zbytki wyrodziły najdziksze wyobrażenia, za temi poszło rozprężenie, a za niém w ślad klęski. Działalność osłabła, nauki zgasły, majątki zdrobniały, nie zmniejszając uznanych przesądem za konieczne potrzeb. Dążność do zaspokojenia tych wmówionych w siebie potrzeb wywołała przyjęcie bez braku środków podawanych przez następczące się godziwe i niegodziwe okoliczności. Gdy przyszło upamiętanie, było już zapóźno, już bowiem palec uczyty baltazarowej zakręślił na ścianach skalanych zbytkami ten wyraz: *ruina!*

SZCZYPAWKI.

Jestto bardzo liczny w gatunki rodzaj owadów chrząszczowatych, który u ks. Kluka ma nazwę *Poziomek*, a w ogólnej historyi naturalnej Linneusza *Carabus*. Właściwe szczypawki mają różki nitkowate, składające się z jedenastu stawków, których siedm ostatnich są drobnemi włoskami pokryte. Rogowa ich warga jest na przodzie wycięta, frenzlą obwiedziona, zaś rogawe szczęki do środka zakrzywione i na wewnętrznym brzegu, w środku, tępym zębem uzbrojone. Głaszczki także rogowe trzema ząbkami są opatrzone. Macki szczękowe dwa, a z nich przodowy dwu, a tylny cztero-stawowy, i tego ostatni staw jakby tępo ucięty, trójgraniasty. Macek wargowy składa się z trzech stawów, z których ostatni jest takiegoż kształtu jak ostatni staw macka szczękowego tylnego. Nogi długie, grube; uda miernie grube, nieco spłaszczone, ostro-krawędziste; na piszczelach z przodu po dwa długie ciernie, a u stóp po pięć palców, z których ostatni, czyli szpon, uzbrojony jest dwoma długimi pazurami. U samców cztery pierwsze członki stopowe u pierwszej pary nóg, od przodu, są rozszerzone. Owadom tym braknie skrzydeł, a ich pokrywy skrzydłowe są wypukłe, jajowo-podługowate, ostro-kończyste, z brzegiem gładko zaokrąglonym, różnych wzorów rysunkami oznaczone, co służyć może za cechy do ich podziału.

Szczypawki napotykać można na górach, w lasach, ogrodach, winnicach, na polach i na łąkach, gdzie we dnie przebywają ukryte pod mchem, opadłym liściem, pod kamieniami, korzeniami drzew, pod pniami i t. p., w nocy zaś wybiegają zwykle na połów gąsienic, poczwerek, innych owadów, robaków i t. p.; a ponieważ pożerają mnóstwo owadów, przeto dla leśnego, polnego i ogrodowego gospodarstwa bardzo są użytecznymi i zasługują aby ich nie wytępiano bez ważnej zkadinał potrzeby. Większa część gatunków szczypawek zamieszkuje w Europie, w Kaukazie i Syberyi; niektóre znajdowano także w północnej Ameryce, w Azji mniejszej, Syryi i na północnych pobrzeżach afrykańskich; ale dotąd nie znaleziono żadnego w połu-

dniowej Afryce ani w nowej Hollandyi, a jeden tylko gatunek napotkano w Ameryce południowej, w Chili.

Szczypawki, gdy się ich dotknie, wydają z pyszczka ciecz gryząca, nieprzyjemnej woni, która zdaje się być ich bronią od nieprzyjaciół.

Następujący przyjęć można podział gatunków w tym rodzaju:

a) Pokrywy skrzydłowe nieregularnie pomarszczone, nieregularnie kropkowane, i bez żadnych wyraźnych prążek.

1. *Carabus dalmatinus*, *Megerle*. Szcz. dalmacka fig. 1.

Czarnopolyskowna, tarcza piersiowa i pokrywy skrzydłowe fioletowe; na pierwszej szeregi dużych kropek zbiegają się, drugie nieregularnie nakrapiane, a między kropkami miejsca czarniawe, wyniosłe, tu i owdzie nieforemnymi dołkami przerywane; dołki tworzą trzy podłużne rzędy. Ojczyzną Dalmacya i Kroacya.

2. *Carabus caelatus*, *Fabr.* Szcz. Rzeźbiarek.

Czarna, nieco polyskowna. Na tarczy piersiowej szeregi dużych, czasem z sobą się schodzących, zakłęsłych punktów czarnych; zaś na pokrywkach skrzydłowych zmarszczki łańcuszkowo w podłużną jedną za drugą zachodzące, a między niemi w odstępach trzy rzędy dołków. Mieszka w Karyntyi i Krainie.

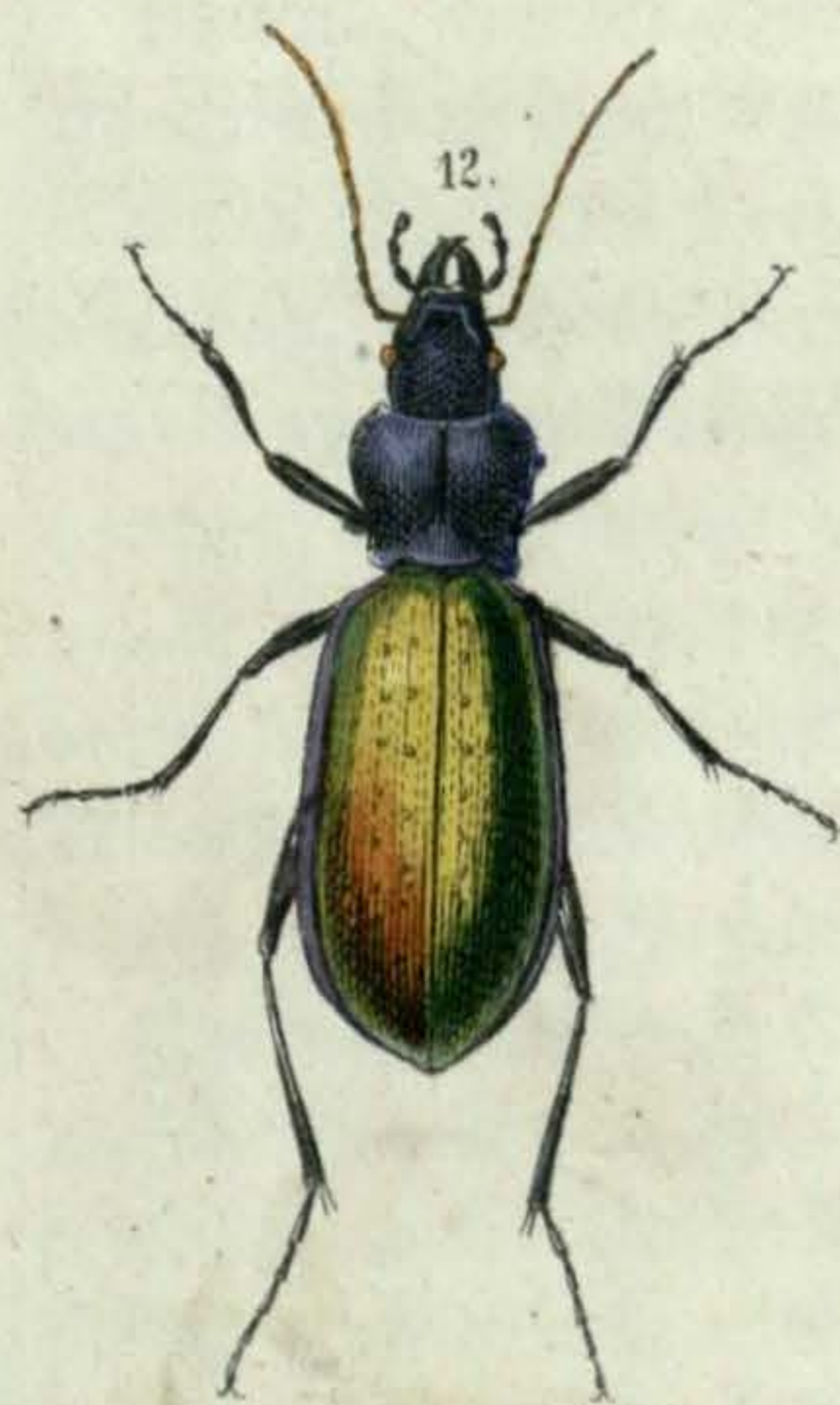
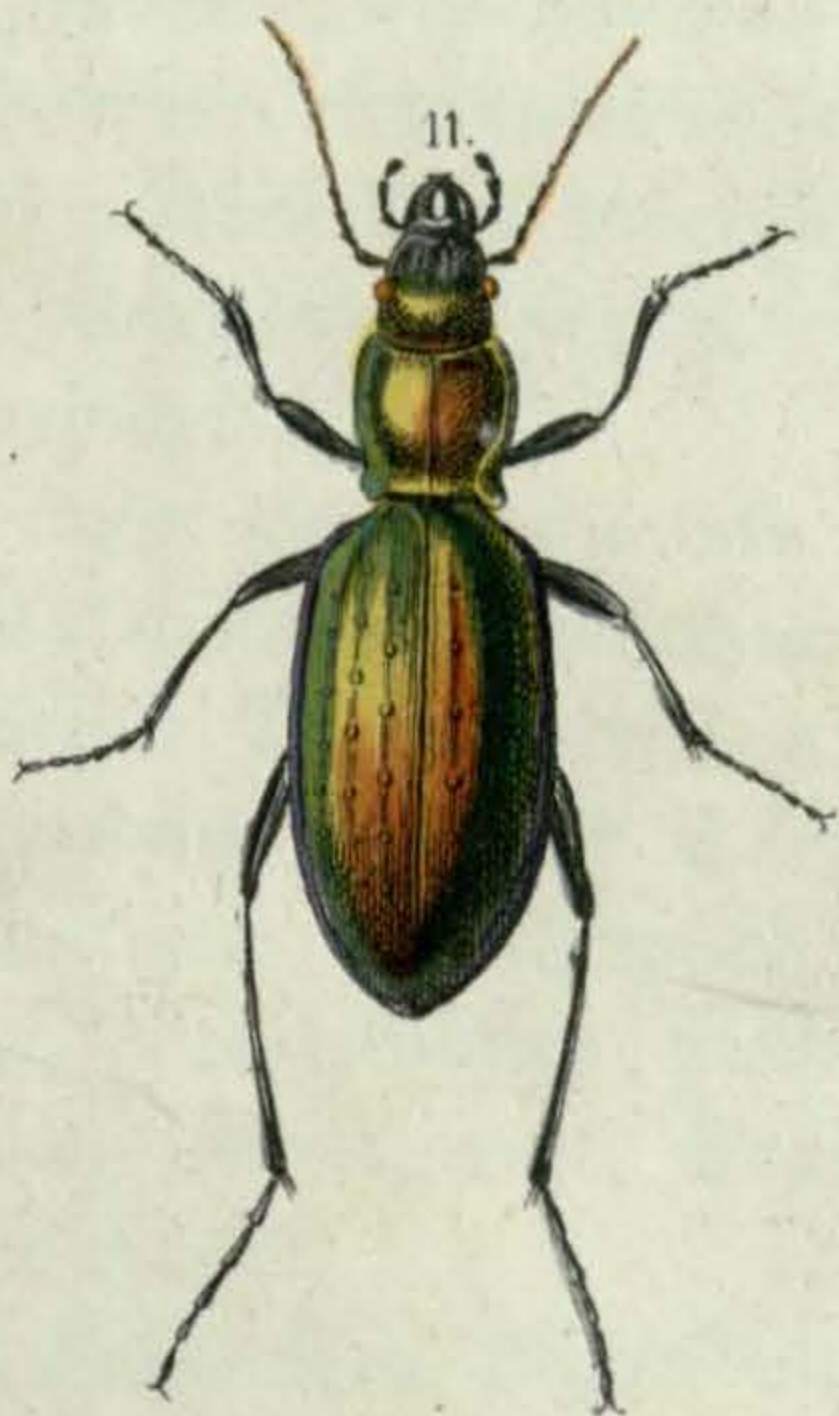
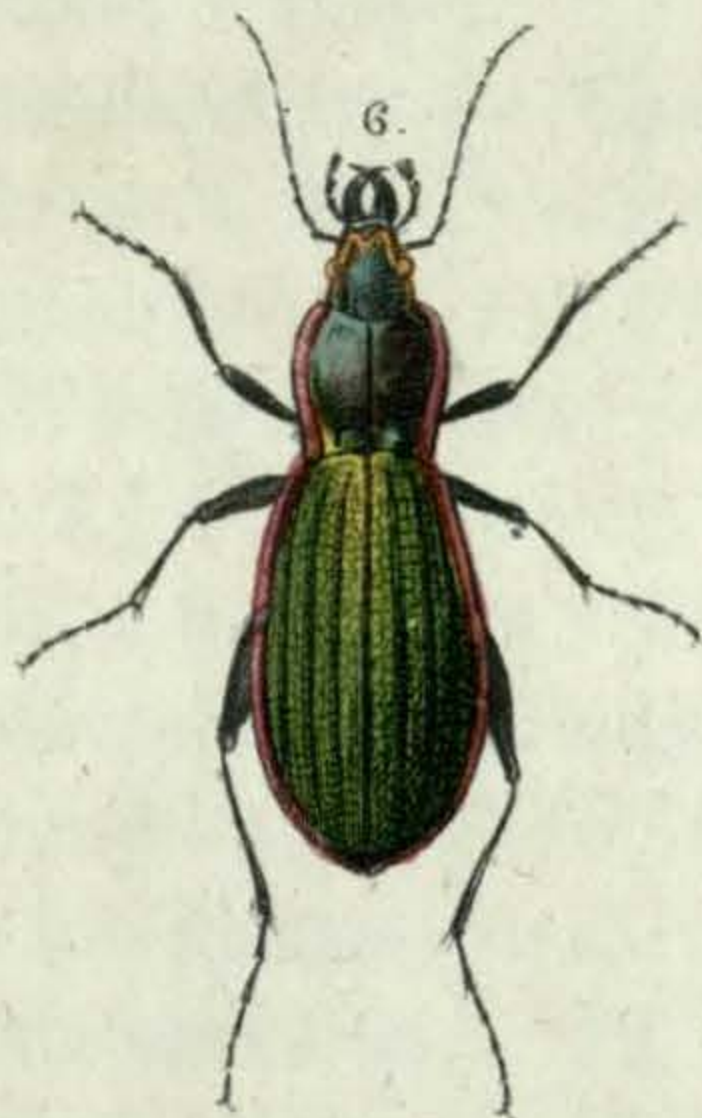
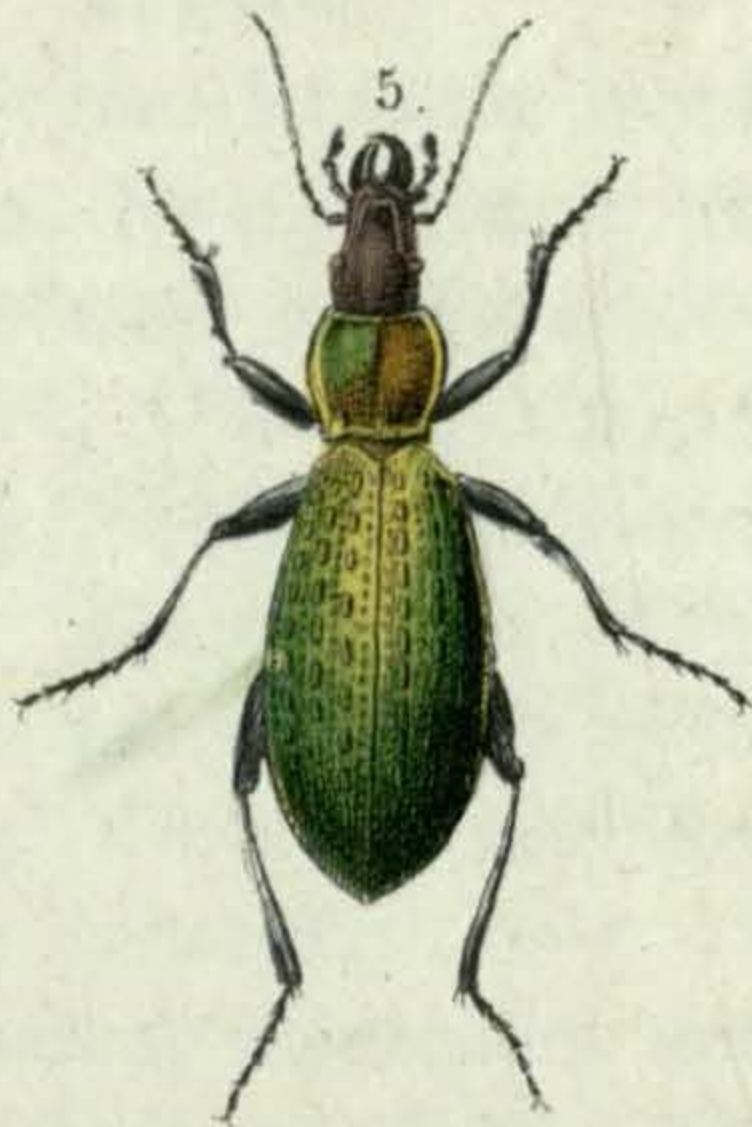
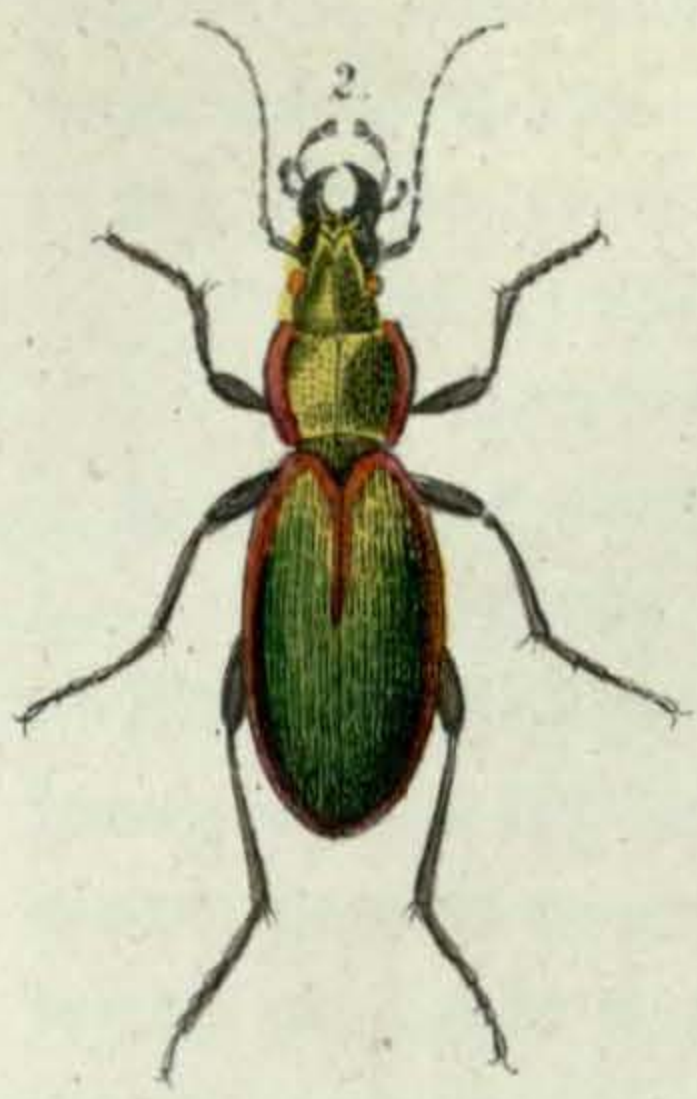
b) Na pokrywkach skrzydłowych wyniosłe, mniej więcej przerywane, podłużne pręgi.

3. *Carabus excellens*, *Fabr.* Szcz. Wytworniś. fig. 2.

Czarna, z wierzchu zielona lub zlocisto i purpurowo-czerwona. Obwód tarczy piersiowej i pokryw skrzydłowych zlocisto-putpurowo-czerwony; pierwsza jest gęsto pomarszczona, nakrapiana, na drugich przerywane, wypukłe, podłużne pręgi, w bruzdach między niemi szeregi kropek. Żyje w Austryi, na Podolu i w południowej Rossyi.

4. *Carabus Scheidleri*, *Fabr.* Szcz. Schejdlera.

Z wierzchu koloru zielono-miedzianego lub fioletowego, spodem czarna. Tarcza piersiowa lekko nakrapiana i marszczona. Pokrywy skrzydłowe pa-



skowane, nakrapiane, z wypukłemi, często przerywanemi ustępami. Ojczyzną Austria i Węgry.

c) Na pokrywach skrzydłowych trzy rzędy idących wzdłuż, wypukłych punktów, a między nimi wydatne żeberka.

5. *Carabus euchromus, Pallardi*. Szcz. Skorzynka. fig. 3.

Z wierzchu koloru miedziano-lśniącego lub zielonego, albo też czarno-fioletowego. Tarcza piersiowa prawie sercowata. Na pokrywach skrzydłowych wypukłe linie, ustępy lekko karbowane i trzy rzędy wydatnych, podługowatych punktów. Mieszka na górach Banatu.

6. *Carabus catenulatus, Fabr.* Szcz. Strojnisz.

Z wierzchu czarno-błękitna, a tarczy piersiowej i pokryw skrzydłowych obwódki fioletowe lub czerwono-fioletowe. Tarcza piersiowa marszczkowata, nakrapiana. Na pokrywach skrzydłowych prążki wypukłe, karbowane, kropkowane, a między nimi odstępy ziarniste, z trzema rzędami wypukłych, łańcuszkowo się ciągnących kropek. Pospolita w Niemczech, Francji, w Pireneach, w Anglii, Szwecji, Polsce, Węgrzech i we Włoszech.

7. *Carabus catenatus, Panzer*. Szcz. Zdobnisz.

Czarna, z wierzchu fioletowo-lśniaca, z fioletowymi obwódkami; rzadko zdarza się z wierzchu zielonawa, ze złocisto-zielonemi lub czarno-purpurowymi obwódkami, albo czarna, zielono lub fioletowo obwiedziona. Tarcza piersiowa pomarszczona, nakrapiana, szeroka, prawie czworoboczna. Pokrywy skrzydłowe karbowane, prążkowane, z wydatnemi, przerywanemi ustępami, na których trzy rzędy łańcuszkowych, oddzielnych prążek. Żyje w Austrii, Krainie, Karyntyi.

8. *Carabus monilis, Fabr.* Szcz. Samotnik.

Czarna, wierzchem zielona lub miedziano-pomarszczona, albo fioletowa. Tarcza piersiowa tu i owdzie miedziano-czerwona. Pokrywy skrzydłowe kropkowane i prążkowane, na odstępach trzy szeregi łańcuszkowych, przerywanych punktów. Mieszkanie w Niemczech, Szwajcaryi, Francji, wyższych Włoszech i w Anglii.

9. *Carabus arvensis, Fabr.* Szcz. Polowiec.

Czerwona, po wierzchu zielonawa lub miedziano-czerwona i zielono-obwiedziona lub też czarno-miedziana albo fioletowa. Tarcza piersiowa pomarszczona, kropkowana. Pokrywy skrzydłowe nakrapiane i prążkowane, a ustępy łukowato-po-

marszczone, z trzema rzędami podługowatych guzików, przegradzanych dołkami. Nogi jużto czarne, już brunatne. Żyje w całej umiarkowanej Europie.

d) Pokrywy skrzydłowe z trzema rzędami podługowatych, wypukłych guzików, między którymi wypukłe żeberka. Głowa duża, od tyłu pękata.

10. *Carabus macrocephalus, Dejean*. Szcz. Chudogłów.

Z wierzchu kolor miedziany. Głowa obdłużna, gruba. Na pokrywach skrzydłowych wypukłe linie; odstępy ziarniste, z trzema rzędami zakleszonych kropek. Ojczyzną Hiszpania.

e) Na pokrywach skrzydłowych trzy rzędy podługowatych, wypukłych punktów, między którymi idzie wydatna krawędź.

11. *Carabus morbillosus, Fabr.* Szcz. Przecherek.

Czarna, wierzchem miedzista, spodem bronzowo-zielona, miedziano-czerwono obwiedziona. Tarcza piersiowa drobno kropkowana, zmarszczona. Na pokrywach skrzydłowych trzy rzędy wydatnych, podługowatych sęczków, a między temi, w odstępach, trzy wydatne, czarne żeberka; nadto w odstępach szereg mniejszych, ziarnowatych guzików. Ojczyzną całe Niemcy, Węgry, Sycylia, Sardynia i Korsyka.

12. *Carabus cancellatus, Illiger*. Szcz. Trefnisz.

Czarna, wierzchem lśniaco miedziano-czerwony lub miedziano-zielony, rzadko zdarza się czarniawa. Tarcza piersiowa kropkowana, na zewnątrz marszczona. Pokrywy skrzydłowe mają trzy rzędy rozstawionych, podługowatych, wydatnych, czarniawych kropek, naprzemian z trzema czarniawymi prążkami; odstępy między nimi są ziarniste; pierwszy staw macków, tudzież nogi, miejscami czerwone. Mieszka w północnej i umiarkowanej Europie.

13. *Carabus granulatus, Linn.* Szcz. Krostawiec.

Czarna, z wierzchu brunatnawa, miedzista, lub ciemno grynszpanowo-zielona, rzadko czarniawo-metaliczna lub fioletowa. Tarcza piersiowa nakrapiana, marszczona. Na pokrywach skrzydłowych trzy rzędy podługowatych gruczołków, między którymi trzy wydatne prążki; odstępy ziarniste i nieregularnie marszczone. Często napotkać można okazy z czerwonymi nogami. Żyje wszędzie w umiarkowanej Europie.

f) Pokrywy skrzydłowe z wydatnymi żeberkami, a między nimi naprzemian szeregi obszerniejszych dołków.

14. *Carabus nodulosus*, *Fabr.* Szcz. Węzelek. fig. 4.

Czarna, matowo-połyskowna. Tarcza piersiowa kropkowana i marszczona. Pokrywy skrzydłowe, z przyczyny pasków marszczkowatych, kropek i brodawek, wyglądają chropowato; nadto jeszcze są na nich trzy rzędy wypukłych pręg, przerywanych tu i owdzie większemi, okrągłemi dołkami; brzegiem w około idzie jeszcze czwarty szereg znacznie mniejszych dołków. Ojczyzną Niemcy i południowa Rosya.

15. *Carabus clathratus*, *Fabr.* Szcz. Kratowiec.

Czarna, po wierzchu zielonawo się mieniąca. Tarcza piersiowa gęsto kropkowana, po brzegach marszczona. Na pokrywach skrzydłowych trzy wydatne pręgi, między którymi znowu szeregami idą złocisto lub miedziano-lśniące, głębokie punkta, łączące się delikatnymi wydatnymi krawędziami; po brzegach pokryw jest jeszcze na każdej jeden szereg małych, świetnych punktów; odstępy drobno ziarniste. Mieszka w Niemczech, Szwajcaryi, w wyższych Włoszech, Anglii i Szwecyi.

g) Pokrywy skrzydłowe pomarszczone, z dużymi wydatnymi sęczkami w trzy szeregi rozstawionemi.

16. *Carabus smaragdinus*, *Fischer.* Szcz. Szmaragdowiec fig. 5.

Czarna. Głowa i tarcza piersiowa połyskują się miedziano-zielono. Pokrywy skrzydłowe zielono połyskowne, mocno ziarniste, prawie marszczone, z trzema rzędami rozstawionych, dużych, czarnych, wydatnych gruczołów, między którymi jeszcze mniejsze, wydatne punkta szeregami są rozrzucone, tak iż na każdej pokrywie naliczyć można siedm szeregów punktów. Ojczyzną Syberya.

h) Na pokrywach skrzydłowych trzy wydatne pręgi.

17. *Carabus Solieri*, *Dejean.* Szcz. Soliera. fig. 6.

Czarna, z wierzchu popielata. Brzeg tarczy piersiowej i pokryw skrzydłowych miedziano-czerwony; na ostatnich mało wydatne czarne prążki i nieco pomarszczone odstępy. Żyje w południowo-wschodniej Francyi

18. *Carabus auratus*, *Fabr.* Szcz. Złocien.

Czarna, z wierzchu zielona, po brzegach złoci-

sto-żółta. Tarcza piersiowa wpoprzek marszczona. Pokrywy skrzydłowe z trzema tępo zakończonymi, mało wystającymi prążkami i drobnoziarnistymi odstęgami. Piérwsze cztery stawy rożków, macków i nogi czerwonawe. Chrząszcz ten żyje w umiarkowanej Europie pod nazwą złotnika, kowala i t. d.

19. *Carabus auronitens*, *Fabr.* Szcz. Złotniczek.

Czarna, po wierzchu złocisto-żółto-połyskowna. Tarcza piersiowa wpoprzek marszczona. Na pokrywach skrzydłowych trzy wypukłe, czarne żebra, ku tyłowi przerwane, odstępy między nimi marszczone i kropkowane. Piérwszy członek rożków i nogi brunatno-czerwone. Ojczyzną środkowa Europa.

20. *Carabus nitens*, *Fabr.* Szcz. Lśniczek.

Czarna, z wierzchu lśniaco-zielona, z połyskowną, miedziano-czerwoną obwódka. Tarcza piersiowa pomarszczona i głęboko dołkowana. Na pokrywach skrzydłowych trzy wydatne krawędzie czarne, ku tyłowi przerwane; odstępy między nimi wpoprzek marszczone. Żyje w Niemczech, Francyi i Szwecyi.

i) Na pokrywach skrzydłowych delikatne, łańcuszkowate żeberka.

21. *Carabus Dejeanii*, *Steven.* Szcz. Deżanek. fig. 7.

Czarno-fioletkowa; tarcza piersiowa marszczona, nakrapiana, czarno-błękitna, z jasno-błękitną lub fioletową lub zielonawo-błękitną obwódka; prążki są wąskie, gęste, karbowato-kropkowane; odstępy wyniosłe, a na trzech jest po jednym rzędzie zakłęsłych kropek. Ojczyzną Krym.

22. *Carabus imperialis*, *Gebler.* Szcz. Onota. fig. 8.

Czarno-fioletkowa. Tarcza piersiowa błękitno-fioletowo obwiedziona, głęboko kropkowana i falowato pomarszczona. Pokrywy skrzydeł zielono-złocisto-obwiedziona, a na wierzchu karbowato-kropkowane prążki, z których trzy mają po jednym rzędzie zakłęsłych kropek. Znajduje się w Syberyi.

k) Pokrywy skrzydłowe prawie gładkie, drobno-ziarniste lub nakrapiane, bez wyraźnych żeberk.

23. *Carabus Germarii*, *Sturm.* Szcz. Germara.

Czarna, matowo-lśniąca. Brzegi drobno pomarszczonej tarczy piersiowej i pokryw skrzydłowych stalowo-błękitne, a na ostatnich po pięć delikatnych

linij wystających i po trzy ledwo widzialne rzędy zakłesłych punktów. Widywana w południowych Niemczech, Styryi i Krainie.

24. *Carabus violaceus*, *Fabr.* Szcz. Fioletek.

Czarna, metaliczno-połyskowna, brzegi fioletowe, błękitne, złocisto-zielone lub miedziane. Tarcza piersiowa marszczona, kropkowata. Pokrywy skrzydłowe drobno-ziarniste, na nich czasem sześć lub więcej delikatnych, ledwo widzialnych krések. Ojczyzną cała umiarkowana Europa.

25. *Carabus glabratus*, *Fabr.* Szcz. Gładzik.

Czarna, jedwabisto-połyskowna, z błękitnawemi lub zielonawo-błękitnemi obwódkami. Tarcza piersiowa drobno marszczkowana. Pokrywy skrzydłowe gładkie, bardzo drobno i gęsto ziarniste. Mieszka w środkowej Europie.

l) Pokrywy skrzydłowe mniej więcej nakrapiane, ale nie ma wyraźnych żeber, tylko trzy rzędy zakłesłych kropek.

26. *Carabus hungaricus*, *Fabr.* Szcz. Węgierek.

Czarna, tarcza piersiowa czworokątna, pokrywy skrzydłowe bardzo drobno kropkowane, na każde po trzy rzędy zakłesłych kropek. Ojczyzną Węgry

m) Pokrywy skrzydłowe prawie żeberkowane, z trzema rzędami zakłesłych kropek.

27. *Carabus convexus*, *Fabr.* Szcz. Wydętek.

Czarna, zielonawo lub błękitnawo obwiedziona Tarcza piersiowa grubo marszczkowana i nakrapiana. Pokrywy skrzydłowe ściśle i drobno karbowato prążkowane, z trzema rzędami niewyraźnych, rzadkich dolków. Mieszkanie w środkowej Europie.

28. *Carabus hortensis*, *Fabr.* Szcz. Ogrodniczek.

Czarna, z wierzchu w brunatno-miedziany kolor wpadająca, z purpurowo-czerwonemi obwódkami. Tarcza piersiowa purpurowa, marszczkowato nakrapiana. Pokrywy skrzydłowe marszczone i kropkowane w wązkie prążki, z trzema rzędami świetnych punktów. Ojczyzną środkowa Europa.

n) Pokrywy skrzydłowe prążkowane, z trzema rzędami zakłesłych, bardzo wyraźnych kropek.

29. *Carabus silvestris*, *Fabr.* Szcz. Leśniczek.

Czarna, z wierzchu koloru miedzianego. Tarcza piersiowa nieregularnie pomarszczona i nakrapiana. Pokrywy skrzydłowe gęsto karbowato nakrapiane i kréskowane, z trzema szeregami miedziastych

dolków. Żyje w południowych Niemczech, Szwajcaryi i we Francyi w górzystych okolicach.

30. *Carabus gemmatus*, *Fabr.* Szcz. Klejnotek.

Czarna; wierzchem barwy brunatnawo-miedzianej, z matowo jedwabnym połyskiem. Tarcza piersiowa drobno zmarszczona. Pokrywy skrzydłowe bardzo drobno i gęsto prążkowane, między prążkami karbowato-kropkowane, z trzema rzędami głębokich, miedziano-złocistych dolków. Mieszaniem środkowa Europa.

o) Pokrywy skrzydłowe już to płaskie, już z trzema rzędami zakłesłych kropek.

31. *Carabus splendens*, *Fabr.* Szcz. Błyskotek. fig. 9.

Czarna, po wierzchu złocisto-zielona. Tarcza piersiowa drobno wpoprzek marszczona. Pokrywy skrzydłowe gładkie, po brzegach tylko drobno nakrapiane. Ojczyzną góry pirenejskie.

32. *Carabus viridis*, *Dejean.* Szcz. Zielonek. fig. 10.

Spodem czarno-brunatna, po wierzchu świetnie zielona. Tarcza piersiowa wpoprzek marszczona. Pokrywy skrzydłowe gładkie, z trzema rzędami płytko-wklęsłych punktów; boczne brzegi pokryw drobno-kropkowane. Według niektórych jest to tylko odmiana poprzedzającego gatunku. Jak poprzedzający żyje w Pireneach.

33. *Carabus rutilans*, *Latreille.* Szcz. Nadobniś. fig. 11.

Czarna, wierzchem złocisto-zielona lub miedziano-złocisto-zielonołśniąca. Tarcza piersiowa poprzecznie marszczona. Pokrywy skrzydłowe gładkie, z trzema purpurowo-czerwonemi liniami i trzema rzędami zielonych, zakłesłych kropek. Mieszkanie w Pireneach.

p) Pokrywy skrzydłowe niemal równe, mało co marszczone.

4. *Carabus hispanus*, *Fabr.* Szcz. Hiszpanek. fig. 12.

Spód czarno-brunatny. Głowa i nieregularnie marszczona i kropkowana tarcza piersiowa błękitno-fioletowa. Pokrywy skrzydłowe złociste, z purpurowo-czerwonemi obwódkami, marszczone, z trzema rzędami obrzednio rozstawionych, wklęsłych punktów. Znajdowano ją w południowej Francyi i Hiszpanii.

35. *Carabus intricatus*, *Linn.* (*C. cyaneus*, *Fabr.* Szcz. Błękit.

Czarna, wierzchem fioletowo-błękitna. Tarcza piersiowa poprzecznie marszczona. Pokrywy skrzydłowe w podłuż marszczone, z trzema rzędami wystających kropek. Ojczyzną środkowa Europa.

¶) Pokrywy skrzydłowe równe, mniej więcej prążkowane, z trzema rzędami zakłęsłych kropek; tarcza piersiowa sercowata; głowa niewydęta.

36. *Carabus Fabricii, Megerle. Szcz. Fabrycyusza.*

Czarna, wierzchem ciemno-miedziano-czerwona. Rożki i nogi brunatnawo-czerwone. Tarcza piersiowa poprzecznie marszczona. Pokrywy skrzydłowe nieregularnie kropkowane i prążkowane, z trzema rzędami zielonych, płasko zakłęsłych kro-

pek i z zieloną obwódką. Żyje w Szwajcaryi, Austrii, Styrii, Tyrolu i Karyntyi.

¶) Pokrywy skrzydłowe jak u poprzedzającego, tylko punkta na nich wydatniejsze; tarcza piersiowa prawie czworoboczna, głowa pękato wydęta.

37. *Carabus irregularis, Fabr. Szcz. Niezdarek.* Czarna, wierzchem miedziano-brunatnawa, lśniąco-złocisto obwiedziona. Tarcza piersiowa drobno w poprzek marszczona. Pokrywy skrzydłowe drobno ziarniste, gęsto, niewyraźnie prążkowane, z trzema rzędami większych, miedzianych lub złocisto-zielonych, świecących dołków. Mieszka w Niemczech i w Szwajcaryi, po największej części w lasach, zwykle pod olszowemi krzakami.

E. L. b. prof. n. p.

POLOWANIE NA SŁONIÓW W SUMATRZE.

Słyszałem nieraz w dzieciństwie o Sumatrze, i pragnąłem oddawna zwidzieć tę wyspę, na której rozpalona wyobraźnia moja tysiącznych spodziewała się cudów. Wiedziałem że złota tam podostatkiem, że ptaki i kwiaty Sumatry współzawodniczą świetnością z szlachetnymi kamieniami, że góry jej ogniem buchają.

A potem nie ogromnaż to rozciągłość, jak na wyspę, 376 mil (francuzkich) długości i 85 szerokości? A lasy jej dziewicze? a ludność, wyrównująca prawie ludności Neapolu! Nakoniec Sumatra, największa po Borneo wyspa archipelagu malajskiego, obfituje w dzikie zwierzęta. Potrzebaż było więcej aby zwabić młodzieńca, marzącego o polowaniach tylko i walkach?!

To też, nie namyślając się długo, wypłynąłem z San Sebastyan (1) do Amsterdamu, a z tamtąd na statku niderlandzkim do Sumatry.

Pomijam szczegóły długiej i przykrzej podróży, lubo w niej życie nasze kilka razy było zagrożone. Koniec końcem przybyliśmy do południowo zachodniego brzegu wyspy, której przyrodę znalazłem tak zachwycającą, że nie miałem już odwagi narze-

(1) Autor tego szkicu jest Hiszpanem.

kać na zbyt gorąco. A jednak cieplomierz stustopniowy pokazywał w cieniu + 37°.

Co do mnie, wyznaję otwarcie, że na słynnej tej wyspie nietyle mi zajęła piękność krajobrazów, ile poprostu drapieżni jej z królestwa zwierzęcego mieszkańcy, a zwłaszcza słonie, potężni i najdawniejsi na Sumatrze wielmożnicy. Olbrzymy te dochodzą tu od 12 do 14 stóp wysokości, a wyobrażenia oślepionych trwożą krajowców nadaje im nawet stóp 18 i więcej.

Chcąc poznać słonia w całej jego groźności, trzeba go widzieć wśród lasów, w pełnym użyciu siły, wywierającego gniew swój na wszystko co go otacza. Miałem wkrótce sposobność przekonania się o tym naocznie, zaproszonym będąc na polowanie przez markiza de Fienne, Paryżanina, którego z młodą małżonką interesa sprowadziły do Sumatry.

W dalekich stronach znajomości szybko się koczują; kilka też dni wystarczyło na zbliżenie mnie do pp. Fienne. Dodać tu winienem, że markiza miała oko żywe i wymowne; twarz pełną wdzięku, z której poważne rozmyślenia zetrzeć nie zdołały wyrazu dziecięcej wesołości; pleć przezroczystą,

bielejącą raczej na słońcu; a przytém energią i odwagę, z któremi, wyjątkowo, tak bywa dobrze niewiastom. Przyznacie więc, czytelnicy, że pod przewodem téj nadobnej Diany można było ochoczo polować, choćby na słonie.

Markiz, na przekór nowożytnym romansom francuzkim, w przykładowej żył harmonii ze swą małżonką, i godnym jój był pod wszelkiemi względami. Boleję nad tém, ze względu na panią Sand; ale prawdy obrazić nie mogę.

Czwartą w towarzystwie naszym osobą był bankier starozakonny, p. Izaak du Laurens, przyjaciel finansowy markiza, zapalony myśliwy na zajęce i niezmordowany przechwalca; zresztą poczciwy i tłuściutki, zdolny bez wątpienia rozprawić się zaszczytnie z najogromniejszych rozmiarów półmiskami, lecz w niebezpieczeństwie trochę pędem podszyty.

Taki był sztab jeneralny naszej wyprawy. Przybraliśmy jednak do pomocy kilku naczelników krajowców i znaczną liczbę Indyan, niosących broń i amunicyą, lub prowadzących posforowane ogary.

Miejsce schadzki oznaczono za jeziorem oddzielającym nas od lasu, gdzie, według Indyan, mnóstwo było słoni. Ze wschodem więc słońca wsiedliśmy na łodzie, zdążając szybkim pędem ku stronie umówionej.

Ranek był prześliczny; jezioro płonęło ogniem, a wielkie po brzegach jego drzewa, wstrząsane lekkim powiewem, niepewne, migocące rozsięwały cienie. Co za kraj, co za lasy mianowicie! Jak olbrzymie tu wszystko, jak świetne i niespodziane! By wspomnieć jeden tylko szczegół z tysiąca, nawielbiać się nie mogłem kwiatu zwanego *Rafflesia Titan*, którego korona trzy stopy ma średnicy.

Przybywszy do brzegu przeciwnego, niezwłocznie pospieszyliśmy w knieję. Przewodniczyli nam krajowcy, waleczny zaś du Laurens przezornie trzymał się w odwodzie.

Wkrótce ślad słoniów ostrzegł nas o bliskości potężnej zwierzyny na którą przedsięwzięliśmy łowy. Wrażenie jak iskra elektryczna przebiegło nas wszystkich, a biedny du Laurens widocznie pobladł. Pozajmowaliśmy stanowiska za trzecio-wemi zasiekami, przedstawiającemi w odległości kilkuset kroków dogodne dla całego towarzystwa ukrycie. Opatrzono strzelby, noże myśliwskie, kiewangi indyjskie i dzidy; wszystko było w pogotowiu.

Daliśmy znak Indyanom prowadzącym ogary aby się naprzód wysunęli; lecz zaledwo weszli w głąb lasu, gdy krzyk straszliwy, a raczej wycie gromadne ztamtąd się rozległo. Nie było już wątpiwości że natrafiliśmy na stado słoni gdzieś blisko w kniei przebywające. To nagle z groźnym nieprzyjacielem spotkanie rzuciło w pierwszej chwili popłoch nieopisany. Świadomość nadzwyczajnej siły tych zwierząt potwornych, którymby chcieć tylko potrzeba, aby wszystko w przebiegu swym zniszczyły i stratowały, instynktowo skłania do ucieczki; Indyanie téż rzadko kiedy dotrzymują im placu. I teraz przeto, jak zwykle, daremne były wołania naczelników: tłum Indyan, co temu starczyło, czmychnął ku jezioru.

Na szczęście jeden z naczelników, przewidując co nastąpi, kazał czółnom o kawał odplłynąć od brzegu. Nieboraki byliby chętnie rzucili się wplaw; ale tu pełno w jeziorze kaimanów; wpadliby z dészczu pod rynnę. Nie pozostawało im więc jak schronić się na drzewa. Dzielny du Laurens poszedł za ich przykładem.

Widok téj trwogi bezrozumnej przywrócił nam zimną krew i odwagę. Gdy mówię *nam* w liczbie mnogiej, znaczy to właściwie *mnie* w liczbie pojedynczej; pan de Fienne bowiem ani drgnął nawet; markiza zaś, lubo silnie wzruszona, niecierpliwie oczekiwiała walki, której czynną pragnęła być uczestniczką. Naczelnicy wreszcie, oswojeni z tego rodzaju walkami, okazywali trudną do uwierzenia obojętność.

Wtém z jakie trzydziestu słoniów szeregiem wystąpiło z lasu. Strach było patrzeć na nich jak z podniesioną trąbą groźnie szli naprzód, bijąc skronie szérokiemi uszami. Ziemia drżać się zdawała pod ogromnemi ich stopy, a tak potężne wydawały sapanie, że człowiek przed niemi nie ustałby na nogach.

Chwila była stanowcza, należało z nięj korzystać. Gdy przeto słonie zbliżyły się do zasieki na pięć do sześciu kroków, wystrzeliliśmy do nich z karabinów nabitych kulami miedzianemi. Biada myśliwym coby w podobnej wyprawie użyli kul ołowianych; splaszcząby się ony o twarde kości słoniów i rozdrażniły ich tylko, niewielką zrządziwszy szkodę.— Blizko uszu! blizko uszu! wołano zewsząd, i każdy z pośpiechem nabijał znów strzelbę, by w miejsce wskazane wymierzyć.

Potwory przerażone cofają się i zwracają ku lasowi; lecz tu je opada psów zgraja i zmusza do powrotu. Liczba ich tymczasem powiększyła się do sześćdziesięciu.

Spokojniejsi już teraz i śmielsi, jak żołnierze po pierwszym ogniu, skuteczniej też przywitaliśmy nieprzyjaciół. Słonie w szalonym przestachu rozbiegły się naokoło, rozbijając przeszkody i wydając krzyki przeraźliwe. Brak ten odwagi dziwnie sprzecznym się wydał z siłą niezmierną i ogromem tych olbrzymów. Markiza, przez organ tłumacza, objawiła z tego powodu zadziwienie swoje jednemu z naczelników indyjskich; odpowiedziano jej, trochę niedelikatnie, że stado napotkane składa się wyłącznie z samic. Pani de Fienne uśmiechnęła się do mnie znacząco, i drobną swą rączką dumnie podniosła strzelbę, jakby rzecz chciała: patrzcie, co może kobieta!

Właśnie ją podała do nabicia Indyaninowi, gdy słoń przenoszący wzrostem wszystkie inne, bo przynajmniej 14 stóp wysoki, wypadł sam jeden z gęstwiny, jak gdyby pomścić się chciał za klęskę towarzyszek.

— To samiec! to samiec! — zawołali krajowcy; i jednocześnie dwadzieścia wystrzałów ugodziło w nowego przeciwnika, dosięgając go śmiertelnie. Zachwiał się, i postąpiwszy kilka jeszcze kroków, runął właśnie pod drzewem gdzie siedział ciągle ukryty nasz bohater du Laurens, który silnie wstrząśniony, zarówno uderzeniem jak strachem, o mało że w upadku nie towarzyszył olbrzymowi.

Kilku słońców bez życia leżało na murawie; inne chwiałały się i opierały o drugich lekko tylko raniomych, które braterskiej udzielały im pomocy. Najbardziej jednak rozrzewniająca sceną jeszcze nas czekała. Młode jedno słońciatko, wspierane długo przez matkę, padło nareszcie pod ogniem nieustannym myśliwych. Biędna matka, wydając krzyk rozpaczliwy, starała się podnieść je, osłonić własnem ciałem, i tak w obronie dziecięcia sama w krótkce legła.

Markiza, do łez rozczulona, błagała o łaskę dla szlachetnego zwierza; lecz wspólne bezpieczeństwo nasze wymagało nieodzownie spełnienia ofiary.

— Czemuż, zawołała, myśliwstwo, równie jak wojna, tak srogie sprowadza konieczności? Wyrzekam się jego rozkoszy, jeżeli tak boleśnie trzeba je okupywać!

Nie było już nieprzyjaciół do zwalczania: trupy

tylko zalegały bojowisko. Indyanie z różnych stron nadbiegali, wydając okrzyki tryumfalne, a myśmy opowiadać sobie zaczęli doznane wrażenia.

Jak zwykle, tak i tym razem, najwięcej hałasu po skończonej rozprawie narobili ci właśnie, co w czasie niebezpieczeństwa siedzieli cichuteczko. Wielu bowiem jest ludzi którzy myślą że krzyczeć i rozprawiać szczytem jest waleczności; a tacy poczciwcy cudów zawsze dokazują... gębą. Podobnie teńkim był i kochany nasz du Laurens. Zaledwo zszedł z drzewa, gdy hałaśliwie głoście zaczął swoje czyny.

— A co najdziwniejsza, przerwała mu ze śmiechem pani de Fienne, że wszystko to uczyniłeś nie wypaliwszy ani razu. Musiałeś chyba, nieustraszony rycerzu, użyć na zwalczenie słońców trąby której odgłosem żołnierze Gedeona obalili kiedyś mury Jericho.

Tymczasem Indyanie rzucili się do zabrania kłów zwierząt poległych, jako pamiątki dnia tak świetnego, z której w dodatku znakomitą obiecywali sobie korzyść. Wiadomo bowiem iż kość słońcowa stanowi ważną gałąź indyjskiego handlu wywozowego.

Tak zakończyło się słynne z pomyślności polowanie nasze na słońce. Lecz był to tylko pierwszy akt dramy, której ciąg dalszy na inną scenie inni odegrać mieli aktorowie. W chwili rozstania się z nami naczelnicy krajowi zaprosili nas na walkę bawołu z tygrysami nazajutrz odbyć się mającą. Ulubiony to przysmak miejscowy, który podać nam miano na gorąco i krwią zaprawiony.

Następnego więc poranku, zaopatrzeni w list polecający od jednego z dostojników hollenderskich do najstarszego naczelnika Indyan, udaliśmy się w drogę ku pałacowi tego niby królika, i zostaliśmy przyjęci z największym, na jaki zdobyć się umiano, przepychem. Książę przywdział suknię bogatą, obsianą diamentami i szafirami, a wkoło niego, jak planety około słońca, jaśnieli bracia jego i krewni, w okazałym także stroju. Orszak jego był liczny, złożony w znacznej części z dziwacznie przybranych kobiet, z karłów i innych, mniej więcej ludzkich, potworności.

Cyrk mieścił się w samym końcu wielkiego dziedzińca pałacowego. Nas gości, z rozkazu władcy, pomieszczono w pierwszym rzędzie widzów, z czego p. du Laurens nie bardzo zdawał się zadowolony.

nym. O dziesięć może kroków od miejsca przeznaczonego dla księcia była klatka, zbudowana z mocnych palów i bambusów, zamknięcie czarnego, ogromnych rozmiarów bawołu, którego rogi rozłożyście w górę wzniesione, w końcach jeszcze zaostrzono. Oddzielna klatka zawierała dwa świetnie przegowane tygrysy.

Na dane hasło bawół i mniejszy z tygrysów jednocześnie wbiegli do cyrku. Zaledwo tygrys zoczył groźnego przeciwnika, gdy jednym skokiem rzucił się na niego. Bawół, w chwili natarcia bok podający napastnikowi, nagle obrócił się przodem, i to z gibkością jakiej trudno było spodziewać się po ciężkiej jego budowie. Spotkanie było okropne, bo tygrys, padłszy na zastrzone rogi nieprzyjaciela, i bólem do wściekłości podżegniony, zaczął szeroką jego głowę obrabiać pazurami i zębami. Przez chwilę pozostał zawieszonym; aż bawół rozpaczliwym zamachem przygniół go do klatki i strząsnął.

Obydwa zapaśnicy nosili na sobie ślady zapalczywej walki: powyżej pyska bawołu widać było głęboką ranę, z której krew sączyła się obficie; nozdrza straszliwie rozdęte i oczy zamglone świadczyły o jego zmęczeniu. Zaledwo jednak upływ krwi nieco się uśmierzył, gdy dzielny zwierz stanął znowu naprzeciw przycupionego w kąciku i ledwie dyszącego nieprzyjaciela.

Ale w tej chwili drugi tygrys, większy i silniejszy od pierwszego, pędem wpadł do cyrku, i szybko jak błyskawica rzucił się na bawołu. Zajęcie

widzów do najwyższego doszło stopnia: zadawano sobie pytanie który z dwóch przeciwników weźmie górę, czy ten co ze świeżemi występuje siłami, czy ten co je w poprzedniej stargać musiał rozprawie.

Odpowiedź niedługo pozostała wątpliwą: bawół, raz jeszcze tej samej używając taktyki, nadstawia tygrysowi rogi, chwytając go niemi, roztrąca o klatkę, a potem tratuje kopytami. Tryumf jest zupełny: oba tygrysy bez ducha prawie leżą na ziemi, a zwycięzca dwukrotny dumnie, lecz wolne już od gniewu, rzuca na nich spojrzenie.

Walka skończona, a przynajmniej byćby nią powinna; lecz okrucieństwo ludzkie, trudniejsze podobno do nasycenia jak wściekłość rozjuszonych zwierząt, wysila się na sposoby przedłużenia krwawego widowiska. Rany bawołu naciągają pieprzem tureckim, rzucają nań ostremi jak szpilki strzałkami, i zwierzę znów staje się szalonem.

Z drugiej strony na tygrysów rzucają zapaloną słomę; koty z okropnym rykiem zrywają się z miejsca; jeden z nich wpada na bawołu, ponawia z nim walkę, a gdy się zmęczy, drugi zajmuje jego miejsce.

Bój ten śmiertelny, podsycany ciągle rzucaniem strzałek i kłaków zapalonych, przy grzmiących oklaskach i odgłosie *gorgów*, rodzaju bardzo donośnych cymbałów, trwa póty, póki książę nie da znaku zawieszenia. Wtedy klatki napowrót się otwierają, i poszarpane zwierzęta, ostatnie wyężdżając siły, szukają w nich schronienia. Jeśli przeżyją, to później na drugie posłużą widowisko.

BRZEŹNICA.

Notatka historyczna

WŁADYSŁAWA WIECZORKOWSKIEGO.

I.

Śród puszczy dawnego sieradzkiego województwa, przetrzyniętych tu i owdzie rozkoszną Wartą, leży miasteczko Pajęczno, o którym dziwne prawią historye w gawiedzi. Mówią naprzykład jakoby w owym miasteczku miał się zjawić przed laty pajak potwornej wielkości, który wielkie robił w oko-

licy spustoszenia; aż nareszcie został zabity przez jednego ze śmielszych mieszczan. I od tej chwili miasto przezwano *Pajęcznem*.

Otóż niedaleko tego Pajęczna, o którego nazwisku tak szczególne krąży podanie, w połowie XIII wieku powstała nowa posada. Jakiś *Marcin* i drugi *Przebysław* otrzymali (w r. 1265) od księcia Leszka Czarnego 42 miar lasu zwanego brzeźnickim,

z warunkiem wykarczowania go i osadzenia kolonistów. A że Czarny książę chciał zapewnić nową posadzie świetną przyszłość, więc pozwalał kolonistom rządzić się prawem niemieckim, na wzór używanego już w mieście Nowymtargu na Śląsku (1); udzielił nadto kilka innych ważnych uwolnień (2).

W roku 1287 nie żył już Marcin. Ale jeszcze przed śmiercią umiał skorzystać z rozległych przywilejów jakimi obdarzył go książę Leszek. Padły pod toporem odwieczne drzewa i wzniosła się nowa osada... Niedosć na tém, tuż obok tej młodziutkiej kolonii, co zaledwie wyjrzała na świat, wnet stanęła i druga: obok *Brzeźnicy* wzniosła się *Nowa Brzeźnica*. Ta ostatnia miała zostać dość zamożnym miastem dawniej Polski i starostwem o które ubiegali się panowie, gdy przeciwnie pierwotna osada, przybrawszy nazwę *Starój Brzeźnicy*, do dziś dnia nie jest niczém więcej, jak tylko małą wioską.

Wdowa po Marcinie sprzedała dziewierzowi swemu Hankinowi wójtostwo Nowej Brzeźnicy, a książę Leszek potwierdził sprzedaż, i przy tej sposobności rozszerzył przywileje miasta. Tak więc kolonia Marcina i Przebisława, otoczona pieczołowitością Czarnego księcia, przemieniła się około r. 1287 w miasteczko, w którym niebawem musiało się rozwinąć i zagrać życie miejskie; boć prawo niemieckie ściągnęło do nowej osady rzemieślników i przemysłowców, a resztę ludności zwabiła znowu rodzajna ziemia tych okolic. Nawet znakomitą być musiała zamożność Brzeźnicy zaraz w końcu XIII wieku; bo gdy w roku 1291 król Wacław czeski wypuszczał z niewoli Władysława Łokietka, mieszczanie z *Brzeźnicy* i Brześcia byli rękojemcami księcia (3).

Pod Kazimirzem Wielkim spoważniała Brzeźnica. Król ten, który całą Polskę obmurował, otoczył murem i Brzeźnicę, nadto zbudował w niej zamek, popsuwszy stare gmachy (4).

Powiedzmy słówko o przywilejach Brzeźnicy,

(1) Nowytarg (Neumarkt) na Śląsku pruskim, nieopodal rzeki Odry, między Wrocławiem a Lignicą.

(2) *Codex diplomaticus* A. Muczkowskiego T. I, f. 88.

(3) *Palacki* T. II, str. 367, przywiedziony w *Bibliot. Warszaw.* z r. 1854, T. II, str. 252 w artykule Alexand. Przędzic. p. n. Paweł z Przemankowa.

(4) *Naruszewicz*, T. VIII, str. 16.

tych dowodach szczególniej łaski monarchów, którymi zresztą wszystkie miasta polskie szczerze były udarowane. Oprócz dyplomatów Leszka Czarnego, o których już wspomnieliśmy, natrafiamy na ślady przywilejów Władysława Łokietka (1318), Kazmirza W. (z r. 1345), Jagielly (z r. 1422), Warneńczyka (z r. 1441), i Kazmirza Jagiellończyka (z r. 1466). *Lustracya* z r. 1662 mówi o przywileju króla Aleksandra (r. 1504 w Krakowie), potwierdzającym wolności nadane Brzeźnicy przez jego poprzedników na tronie; między innymi przywilej ten uwalnia mieszczan od płacenia *wszelkich cel* (1). Zygmunt I uwolnił miasto od podatków na lat 8 (r. 1508) (2), a Zygmunt August dozwolił Brzeźnicy (r. 1551) wolnego używania pastwisk i drzewa po wsiach okolicznych; drugi zaś przywilej tegoż króla, wydany w Piotrkowie (r. 1563 d. 21 kwietnia) zamienia mieszczanom obowiązek naprawy dróg i mostów na opłatę pieniężną.

Pomniejsze potwierdzenia królów: Stefana Batorego (w Marienburgu 14 grudnia 1577), Zygmunta III (16 stycznia 1595 r. w Krakowie), Władysława IV (9 marca 1633 r. w Krakowie) i Jana Kazmirza (które zaginęło w czasie wojny), dowodzą jak wiele chodziło miastu o te przywileje i jak królowie ciągle pamiętali o Brzeźnicy.

W Brzeźnicy jest starożytny kościół farny muryrowany (3). Był tu także klasztor Franciszkanów, (nie wiemy czy dziś jeszcze istnieje). Założył go król Łokietek około roku 1286. Kiedy książę ten wstąpił powtórnie na tron polski, przeniósł wtedy Franciszkanów z Brzeźnicy do Radomska. Ale jakoś niewiodło się Franciszkanom na nowym mieszkaniu; klasztor, niszczone przez wojska nieprzyjacielskie i częste pożary, stał się wkrótce niepodobnym do zamieszkania, i zakonnicy zmuszeni byli wrócić na powrót do Brzeźnicy, gdzie mieszkali blisko lat 80. Dopiero za Zygmunta I, staraniem królowej Bony, odrestaurowano (r. 1543) kościół w Radomsku i wystawiono nowy klasztor drewniany (4).

II.

Dzieje naszego kraju przechowały kilka wspo-

(1) *Lustracya* Nr. 64 w archiwum głównym. Przywilej ten podobno jest i w *Metryce koronnej*.

(2) *Metryka koronna* Nr. 23, f. 215.

(3) *Łubieński* s. 388.

(4) *Pamięt. Relig. moralny* z r. 1843.

nień historycznych o Brzeźnicy, był nawet czas że miastem tém zajmował się kraj cały, i szeroko rozprawiano o niém nawet na zjazdach narodu, a zdarzyło się to za Ludwika węgierskiego.

Król ten, szczodry bez granic dla swego ulubieńca księcia Władysława na Opolu, odrywał całe prowincje koronne i nadawał je księciu. Tak z jednej strony dostały mu się mnogie ziemie i zamki na Rusi; z drugiej cały powiat wieluński i ostrzeszowski z Krzepicami, Bobolicami i Brzeźnicą (r. 1370) ⁽¹⁾. A chociaż wszystkie te ziemie i grody otrzymał Władysław prawem lenném, nie był przecież lennikiem, ale raczej zupełnie niezależnym władcą; ksiązę za zbyt był dumnym aby miał ugiąć czoła i wazalem się nazwać, i dlatego nieraz zdarzało się że występował jako nieprzyjaciel korony.

Rzecz prosta, że przy tak dowolném postępowaniu nie mógł utrzymać się długo przy swych posiadłościach. Zaledwie umarł Ludwik, a zaraz zjazd sieradzki (w r. 1383) domagał się od Węgrów zwrotu krajów nieprawnie w posiadaniu Opolczyka zostających; w żądaniu tém między innymi wymieniony jest i zamek brzeźnicki ⁽²⁾. Tymczasem w Polsce inną rzeczy przybrały postać, córka Ludwika, młoda królowa Polska, nie sprzyjała tak jak ojciec księciu na Opolu; owszem, skoro tylko nadarzyła się sposobność, ziemie nadane Władysławowi przez ojca wracała nazad nowęj swęj ojczyźnie. Najprzód Ruś odzyskała, potem za Jagielly przyszła kolej i na Brzeźnicę.

Ksiązę opolski nieraz stawał na zawadzie Jagielle w prowadzeniu wojny z Krzyżakami, bo Opolczyk był jawnym stronnikiem zakonu. Kiedy więc król wojował w Prusach, wtedy ksiązę wydawał załogom zamkowym rozkazy pustoszenia ogółocnych z wojska okolic. Uprzykrzyła się Jagielle ta nieznośna buta Opolczyka: trzeba było raz z nim skończyć; a że nie chciał robić sobie wiele zachtu z obleganiem i szturmowaniem każdego w szczególności zamku, więc użył, jak mówi Wapowski, wojennego podstępu. Udając że ciągnie na Dobrzyń, nagle ku Wieluniowi skierował drogę, gdzie naturalnie nie było przygotowaném do obrony; z wszelką więc łatwością zdobyto Krzepice i Olsztyn. Dowódcy zaś innych mniej obronnych miejsc, przerażeni tą niespodziewaną wojną, dobrowolnie poddali się.

(1) Naruszewicz.

(2) Naruszewicz, T. VIII, str. 232.

Wtedyto i Brzeźnica przyjęła w swe mury królewską załogę. Spytek z Melsztyna hetmanił téj szczęśliwęj wyprawie, która kosztowała zwycięzców zaledwie 7 dni czasu ⁽¹⁾.

Szwedzkie wojny, tak jak wszystkim miastom, dały się we znaki i Brzeźnicy; zdaje się że zamek ten był czas jakiś w ręku zabałtyckich przychodniów.

W drugięj wojnie szwedzkiej (r. 1702) Leszczyński jenerał wielkopolski stał czas jakiś pod Brzeźnicą z pospolitém ruszeniem województwa sieradzkiego ⁽²⁾. W téj także wojnie we wsi Prusiecku niedaleko miasta pojmany został z rozkazu jenerała Krassau Adam Smigielski, kolejno stronnik Leszczyńskiego i Augusta, zdradzony przez Potockiego wojewodę kijowskiego; okuto go w kajdany i do Szczecina odstawiono ⁽³⁾.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć w naszych notatach, że w Brzeźnicy urodził się Jan Długosz z szlachetnych rodziców Jana i Beaty Długoszków (r. 1415). Chwała którą opromieniona ta poważna postać historyka narodu, rzuca błyszczące światło i na jego miasto rodzinne, źle mówimy, takim historykiem jak Długosz szczyci się kraj cały.

Kronika Długosza, owoc pracowitych i umiejętnych studyów, będzie na zawsze kamieniem węgielnym dziejów Polski; kroniką Długosza objaśniamy, i długo jeszcze objaśniać będziemy, wszystkie inne źródła historyczne.

III.

Brzeźnica była starostwem niegrodowém, albo lepiej dzierzawą. W późniejszych czasach, kiedy świeże przykłady dowiodły korzyści z obronności klasztoru jasnogórskiego, sejm warszawski, potwierdzając r. 1717 wszelkie nadania i przywileje tego klasztoru, przeznaczył wiecznemi czasy starostwo brzeźnickie, wraz z wsią Dębowem i innymi przynależnościami, na utrzymanie załogi fortecznej ⁽⁴⁾.

Niesiecki mówi, że za króla Jagielle trzymał to starostwo brzeźnickie Jan Długosz; był to mąż rycerski; odznaczył się na wojnie pruskięj, wziął bo-

(1) M. Bielski pod r. 1396. Wapowski, T. I, str. 115.

(2) Erazma Otwinowskiego pamiętnik str. 41, wyd. Raczyńskiego.

(3) (tamże) str. 161, także w Bibliotece Warszawskiej z r. 1850 w artykule Adam Smigielski przez Tarnowskiego.

(4) Vol. legum T. VI, p. 293.

wiem do niewoli Marchwarda komandora brandenburskiego i kilku Niemców. Król używał Jana Długosza przy fortyfikowaniu twierdz i do innych tego rodzaju zajęć. Miałżeby to być ojciec naszego historyka, o którym wiemy z kądinąd że był rządcą (praefectus) miasta Brzeźnicy?

Zpomędzy dzierżawców Brzeźnicy, za Władysława III, snuje się ciągle w dziejach miasta i kraju całego postać pana starosty radomskiego Hinczy z Rogowa herbu Działosza; jestto jedna z ważniejszych figur historycznych za pierwszych Jagiellonów. Jak mógł zasługiwać się Hinko młodemu królowi Władysławowi, później nieszczęśliwemu bohaterowi Warny. W każdej potrzebie, czy to szło o dostawę koni dla wojska (1), czy o wynagrodzenie którego z dygnitarzów lub posłów, chociażby tylko bogatą suknią (2), słowem w każdym niemal przypadku nagłym, król udawał się do Hinczy, a kaleta starosty zawsze i wszędzie stała mu otworem; był to, że tak go nazwę, prawdziwy bankier Władysława.

Za swe zasługi przy wyborze i koronacji Władysława na króla węgierskiego, dostał Hincza 200 grzywien (3), później w r. 1442 przyprowadził mu posiłki do Węgier; bo wówczas kto w Boga wierzył, spieszył tam dla przypodobania się rycerskiemu królowi. Był nawet w bitwach pod Jagrą i pod Olno-fem, a król przeznaczył mu znowuż 500 grzywien wynagrodzenia za poniesione trudy i koszta. A że wszystkie długi zabezpieczał król na Brzeźnicy, więc znakomite summy miał Hincza na tém mieście (4).

Później, za Kaźmirza, Hinczko z Rogowa był podskarbidem nadwornym i kasztelanem sieradzkim (5), a w czasie wojny pruskiej kilkakrotnie używanym bywał do poselstw (6). Kiedy Kaźmirz pojechał do Gdańska (wr. 1457), gdzie się spotkał z wygnanym królem szwedzkim, wtedy i Hinczko był przy boku królewskim. Gwarno było wówczas w nadmorskim mieście, rozrywki, przeróżne widowiska, gonitwy na ostre, jedne po drugich następowały; we-

(1) Przypisy Malinow. w kronice Wapowskiego T. II, stron. 340.

(2) tamże T. II, 378.

(3) tamże.

(4) Wapowski T. II, str. 406, 416.

(5) (tamże) T. III, str. 80.

(6) tamże T. III, str. 231, 279.

soło bawili się w Gdańsku królowie, książęta, panowie polscy i szwedscy (1).

Mówią że Hinczko był bardzo hojnym w uposażaniu kościołów. Niesiecki wylicza te jego dobrodziejstwa (2); w liczbie zaś uchwał sejmu piotrkowskiego w r. 1459, między innymi wyczytuje my rozkaz zadzierżawienia żup Hinczowi z Rogowa, jeżeli zechce (3).

Widziemy więc że Rogowski dzierżawca brzeźnicki był prawdziwym magnatem polskim XV wieku, magnatem w całej pełni tego wyrazu, bo miał znaczenie w kraju, wpływy i łaski u dworu, bo zresztą... miał pieniądze.

W r. 1472 widziemy na starostwie brzeźnickim *Jerzego Jurcza* (4).

Czwartym znanym nam dzierżawcą czyli starostą brzeźnickim był *Hieronim Bużeński* sekretarz J. Kr. Mei, żupnik, burgrabia krakowski i podskarbi koronny, nadto dzierżawca kilku starostw, między innymi brzeźnickiego, dobrzyckiego i krzeczowskiego. Jako żupaik pozostawił on w Wieliczce ślady swój działalności, zniósł wspólny stół urzędników żupnych, a natomiast popodwyższał im pensje (r. 1540); kazał także wybić w Wieliczce nowy szyb (r. 1542), który od jego nazwiska szybem bużeńskim przewano (5). Pan to był rozsądny i zabiegły, starannie wychowywał dziatwę i wnuki, wybrawszy im na nauczyciela *Jerzego Szomana* z Raciborza, męża głośnego w owe czasy z nauki, i złączonego związkami przyjaźni z najświetniejszymi reformatorami polskimi i niemieckimi (6).

Pod koniec życia, nim jeszcze został kasztelanem sieradzkim, złożył w ręce króla Stefana urząd podskarbiego koronnego (7), a starostwa podzielił między dwóch synów. Umarł r. 1580.

Starszy syn kasztelana, *Paweł*, był starostą dob-

(1) Malinowski w przypisach do Wapowskiego T. III, stron. 333.

(2) Tom III, dawne wydanie, str. 871.

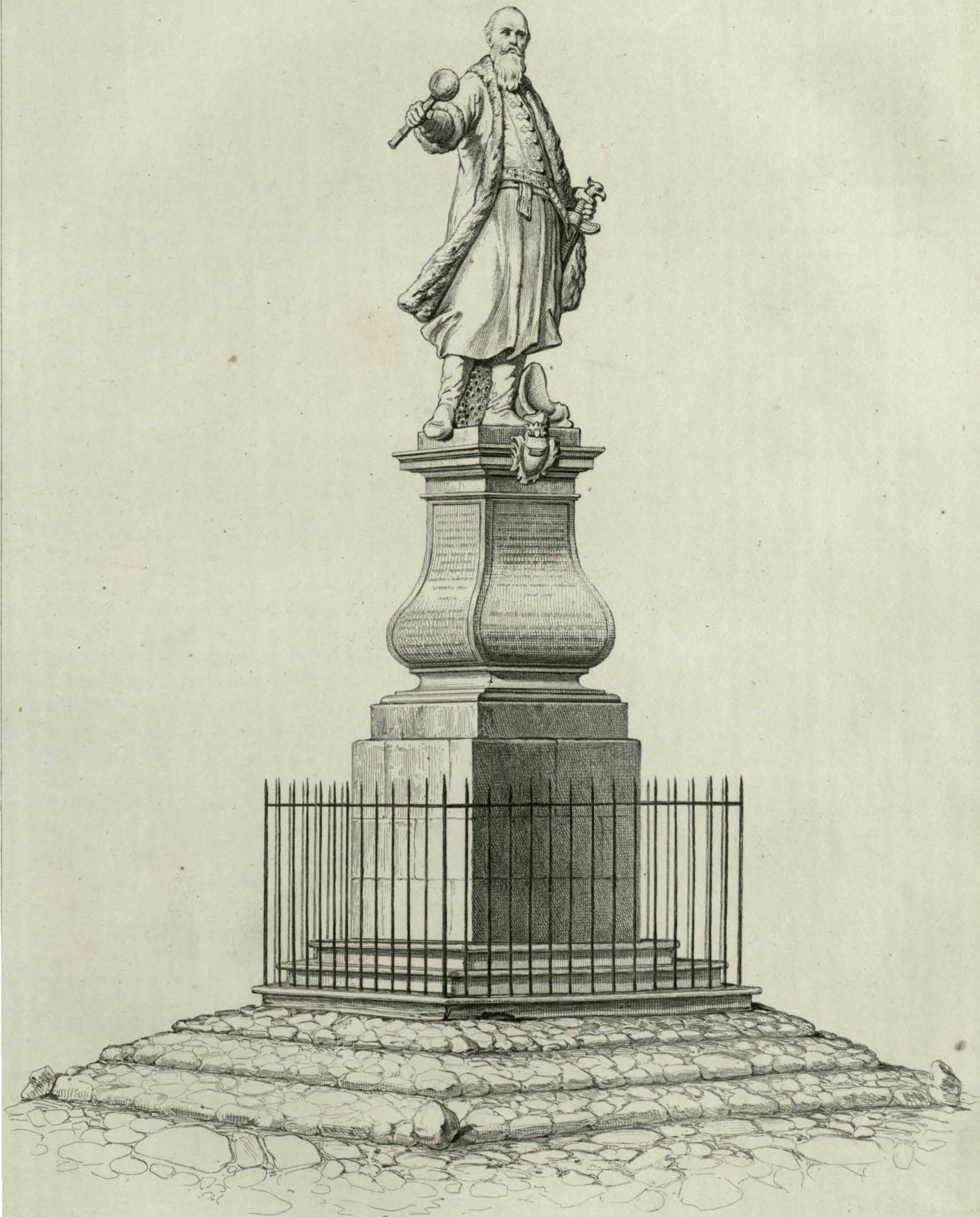
(3) Przypisy Malinowskiego, w kronice Wapow. T. III, str. 370.

(4) Metryka koronna, Nr. 12, f. 74.

(5) O *Wieliczce...* przez Feliksa Boczkowskiego (w *Bochnii* r. 1843).

(6) Testament Schomana.

(7) W roku 1573 był jeszcze podskarbidem *Łukasze-wicz* 122).



czyckim, i jako prawowierny katolik zakończył życie w Wiedniu 1575 roku. Młodszemu, *Piotrowi Bużeńskiemu*, dostała się dzierżawa Brzeźnicy. Ten właśnie Piotr jest autorem drukowanej biografii swego brata Pawła, którą Wiszniewski zaliczył do pism zaginionych (1).

Zdaje się że bezpośrednio po Piotrze Bużeńskim objął starostwo brzeźnickie *Andrzej z Kurozwęk Męczeński* kasztelan wieluński; jest o nim wzmianka jako o staroście brzeźnickim pod r. 1590, w de-

(1) *Wiszniewski*, T. I, str. 89.

dykacyi tłumaczenia ksiąg Salomona przez Jana z Sanoka (1).

Marcin Mielecki rotmistrz był starostą około roku 1650 (2).

Po Mieleckim piastował godność starosty od roku 1655 lat kilkanaście *Hieronim Olszewski*, chorąży wieluński (3).

(1) *Dzieje kościołów wyzn. helvec. w Małopolsce* J. Łukaszewicza str. 339.

(2) *Niesiecki*, T. III, 404.

(3) *Lustracya w archiwum główném* N. 64. W r. 1662 Olszewski był jeszcze starostą.

STEFAN CZARNIECKI.

PRZEZ LUDWIKĄ JENIKĘ.

Dzieje ludzkości, w jakim bądź czasie lub miejscu badawcze na nie rzucimy wężrzenie, potwierdzają tę prawdę, że w chwilach najważniejszych zjawiają się zawsze wielcy ludzie, co radą czy orężem dźwigając sprawę powszechną, uważani być winni za wybrańców Opatrzności, za narzędzia przez które konieczność historyczna odwiecznym spełnia się wyrokiem. Epoką podobną w dziejach dawniej rzeczypospolitej polskiej było panowanie ostatniego z Wazów, pamiętne nie tylko klęskami zewnętrznymi, ale nadto bezrządem wewnętrznym, a nade wszystko wyuzdaną swawolą stanu szlacheckiego, niezgodą domową i sobkostwem możniejszych, których działania, prywatnym zwykle nacechowane interesem, rozprzegając jedność rządu i osłabiając powagę królewską, rozsięwały tym samym po kraju zarzewie nieustannych zatargów. Jeżeli w takim czasie złewających się zewsząd na Polskę nieszczęść, pomimo niedostatku skarbu i wojska, męstwo jednego obywatela uchować ją mogło od zguby; jeżeli dzielne jego ramię oprzeć się zdołało przemocy i wrócić skolatanemu narodowi chwilową przynajmniej spokojność: to niepodobna w tym nie dopatrzeć palca Bożego, spełnienia wyższego wyroku, którego wykonawcą zo-

stał żołnierz-bohater, zasługą tylko i cnotą wzrosły wśród bitew i obozu.

Stefan Czarniecki urodził się r. 1599 we wsi dziedzicznej Żornawiu (1), w b. województwie sandomiérskim. Gniazdem starodawną lecz niebogatej rodziny jego, jak mówi Niesiecki, była wieś Czarnka, w powiecie chęcińskim, gdzie jeszcze w r. 1184 jeden z przodków Stefana wystawił kościół na pamiątkę przeniesienia do Polski kości św. Floryana męczennika. Najpierwszy Budza pisać się zaczął na Czarnce, i ten r. 1366 część swoją dziedzictwa odstąpił bratu Dobkowi (2). Za Władysława Jagiełły pięciu braci rodzonych: Tomko, Janusz, Sędziwój, Włodko i Pelka, otrzymali w r. 1423 na Czarnkę przywilej prawa magdeburskiego. Z nich Janusz około r. 1427 był archidykanem kurzelowskim, a potem referendarzem i podskarbisem koronnym. Mikołaj z Czarnki po zwycięstwie grunwaldskim jeździł w poselstwie do Krzyżaków, aby poddali Malborg (3). Bliższymi

(1) *Dykc. Biogr. Powsz. Warsz. 1851*. W dziele tym jednak żadnej niema wzmianki, z kąd wyczerpnięta wiadomość o urodzeniu się Czarnieckiego w Żornawiu.

(2) *Niesiecki*.

(3) *Niesiecki*.

czasy Floryan zginął w potrzebie kluszyńskiej pod hetmanem Żółkiewskim. Ojciec nareszcie bohatera naszego, Krzysztof starosta żywiecki, był dworzaniem Zygmunta III, i z Krystyny Rzeszowskiej zostawił jedną córkę i dziesięciu synów, z których Stefan szóstym był z rządu.

Wiek dziecinny i młodzieńczy wszystkich niemal znakomitych ludzi, z wyjątkiem tych może, których samo już urodzenie wyżej stawiało od innych, bywa zwykle nieznaną, i rzadko kiedy późniejszym biografom uda się pochwycić z tej epoki jaki szczegół rzucający światło na pierwotne ich kształcenie się i usprawiedliwić poniekąd mogący dalszy ich kierunek umysłowy. Czarniecki zwłaszcza, który własną tylko zasługą i późno dosyć wydzwignął się z tłumu towarzyszy swych w sztuce rycerskiej, mało też w pierwszej życia połowie zwracał na siebie uwagę. Wnosząc atoli z charakteru jego ojca, jak go określał Niesiecki (1), i z trybu ogólnego wychowania owoczesnej młodzieży, przypuścić należy że Stefan, starodawnym zwyczajem, ćwiczony był wcześniej w pobożności i enocie, czego ślady w całym jego życiu późniejszym napotykamy, oraz w rzemiośle wojennym, ku któremu osobliwsze wiodło go zamiłowanie. Obóz był wtedy dla młodzieży zarazem i szkołą rycerską, i polem do kształcenia się w naukach zawodu publicznego, i szczeblem wreszcie do najwyższych w kraju dostojności. To też Czarniecki, zagrzany niedawną jeszcze sławą Chodkiewiczów i Zamojskich, prosto ze szkół zaciągnął się jako towarzysz pod chorągwie Stanisława Koniecpolskiego hetmana wielkiego koronnego; ale w r. dopiero 1632 pod Marcinem Kazanowskim hetmanem polnym dosłużył się porucznikostwa. Ten brak powodzenia w pierwszym czasie służby nie zraził jednak Stefana, jak możeby zraził człowieka mniej szczerze mającego powołanie do obranego zawodu. Sztuka wojenna, mało jeszcze wtedy rozwinięta pod względem naukowym, (2), tém

(1) „Mąż to był rycerski, w wielu ekspedycjach doświadczony, wszystkim miły, ale najbardziej Bogu.“ i t. d.

(2) Żył wprawdzie już Krzysztof Arciszewski, słynny biegłością w fortyfikacji, a z książek traktujących o sztuce wojennej istniały: pisma Jana Tarnowskiego, mianowicie jego „*Consilium rationis bellicae*“, dalej „Księgi hetmańskie“ Sarnickiego tudzież wcześniejsza „Sprawa rycerska“ Bielskiego i t. p. Siemienowicz także w kilkanaście lat później (1650) ogłosił drukiem znakomite swe dzieło „*Ars magna artilleriae*“; lecz zawsze był to rozwój względny

więcej po wodzu wymagała doświadczenia, które znów z długoletniej tylko wypłynąć mogło wprawy; chętnie więc, jako dobry obywatel, Czarniecki poddawał się rozkazom starszych od siebie, aby sam potem trafnie umiał je wydawać.

Po raz pierwszy imię młodego bohatera wspomniane jest r. 1633, w wyprawie Władysława IV na Smoleńsk. Pod koniec takowej Marcin Kazanowski używał często do podjazdów Czarnieckiego, i ten znakomite już wówczas położyć musiał zasługi, kiedy król w obozie pod Szementowem obdarzył go przywilejem na 500 łanów, w powiecie starodubowskim przy Popowej górze (1).

Po zawarciu d. 15 lipca 1634 r. na lat 20 pokoju z carem Michałem Fedorowiczem Romanowem we wsi Polanówce, między Wiazmą i Drohobuzem, tudzież przedłużeniu r. 1635 w Stumsdorfie ugody ze Szwecją na lat 26, kiedy Polska, upewniwszy się od mocarstw pogranicznych, zaledwo że odechnęła po wojnie zewnętrznej, nowe i stokroć gorsze, bo wewnętrzne, zakłóciły ją niezgody. Około r. 1638 Kozacy na Ukrainie pierwsze wszczęli za targi o zamek Kudak, który Stanisław Koniecpolski kasztelan krakowski na poskromienie ich wystawił kosztem publicznym w widłach między rzekami Samarą i Dnieprem. Wysłany przeciw nim Mikołaj Potocki strażnik polny koronny, poraził powstańców pod Kumejkami za Korsuniem, a następnie tak ich ścisnął w obozie pod Borowicą, że sami przewódzcę swojego Pawluka wydać musieli zwycięzcy. Znajdował się w tej wyprawie i Stefan Czarniecki, w stopniu już rotmistrza usarskiego (2), i liczne nieustraszoneści swęj dąldowody.

Po uśmierzeniu tych smutnych zaczątków waśni które w późniejszych czasach tak srodze szarpać miały łono rzeczypospolitej, nastąpiła cisza sześcioletnia. Zapragnął wtedy i Stefan spokoju domowego, i osiadłszy czasowo w dziedzicznej po przodkach Czarnce, zajął się upiększeniem tego miejsca i pobożnemi fundacyami (3).

tylko do stanu ówczesnego nauki wojennej w innych krajach Europy.

(1) Niesiecki.

(2) Niesiecki mówi że „tak się podpisał *in Albo Congregat.* w Krakowie u św. Barbary, z drugim Stefanem Czarnieckim, usarskim towarzyszem.“

(3) Podług Krajewskiego (Historya Stefana Czarnieckiego) napis nad zakrystyą w kościele wsi Czarnki jest następujący:

Lecz przeznaczeniem widać było Czarnieckiego gościć tylko w domu, a życie całe w obozie z orężem w rękę poświęcać sprawie krajowej. W końcu stycznia 1644 r. Tatarzy, wbrew zwyczajowi swemu, podczas najcięższych mrozów w trzydzieści tysięcy zgromadzili się na polach oczakowskich. Uwiadomiony o tym przez szpiegów Stanisław Koniecpolski hetman wielki koronny, ściga na przódce pułki pod Winnicę, i z tamtąd Szemberga wysłał na zwiady, a dostawszy języka że czerń nieprzyjacielska zwróciła się ku Ochmatowu, zasłonięty taborem, natychmiast zapalczywie nacięra i zupełnie odnosi zwycięstwo. Najpierwszy w tym spotkaniu Stefan Czarniecki, pułkownik wtedy Stanisława Lubomirskiego wojewody krakowskiego, uderza na Tatarów i pięciuset kładzie na bojowisku, przymuszając resztę do ucieczki (1).

Nadszedł rok 1648, pamiętny dla Europy zawarciem pokoju westfalskiego w Münster, dla Polski zaś śmiercią Władysława IV i klęską pod Korsuniem, gdzie obydwaj hetmani, Mikołaj Potocki i Marcin Kalinowski, z Sieniawskim i wielą innemi panami, dostali się w niewolę kozacką. Na miesiąc jeszcze przed krwawą tą porażką przypadła bitwa pod Żółtymi wodami, o której, jako ściśle z losem Czarnieckiego związanej, obszerniej nieco pomówię.

Gdy król Władysław, pobudzony przez Wenecyę, marzyć zaczął o wyprawie tureckiej, był u Kozaków pisarzem polnym Bohdan Chmielnicki, Po-

D. T. O. M.

„*Beatissimae Virgini Mariae et S. Floriano, hujus ecclesiae patronis, generosus Stephanus in Czarnca Czarniecki, miles et aulicus S. R. Majestatis, die 20 Junii anno Domini 1640 sumptu proprio curavit.*“ Co znaczy: Najświętszej Pannie Maryi i św. Floryanowi, patronowi tego kościoła, urodzony Stefan na Czarnce Czarniecki, żołnierz i dworzanin J. K. Mości, dnia 20 czerwca roku Pańskiego 1640, własnym kosztem wystawił.

Na marmurze zaś wmurowanym w ścianę kościoła, który musiał być dawniej nad domem: „*Generosus Stephanus in Czarnca Czarniecki, vexillifer palatinatus Sandomirensis, ductor chiliarchiae regiae, dum in campo Bellonae hostem sternit, hic sibi suisque reparat avitam domum*“ (Urodzony Stefan na Czarnce Czarniecki, chorąży województwa sandomierskiego, pułkownik wojsk królewskich, gdy w wojnie gromi nieprzyjaciela, tu sobie i rodzinie urządza gniazdo ojcyste).

(1) Piasecki na str. 505. (podług Krajewskiego). Otrzymał wtedy Czarniecki od króla Władysława przywilęj na wieś Karyczyńce, dat. w Warsz. 13 maja 1644 r. (Metr. Kor. ks. 189, str. 50).

lak z urodzenia, który dosyć staranne odebrawszy wychowanie, przeniósł się z Litwy na Ukrainę i wielkie wkrótce między ludem kozackim pozyskał znaczenie. Król, znając jego męstwo i zdolność, wciągnąć go pragnął do zamierzonej wojny tureckiej; gdy więc po śmierci Koniecpolskiego Mikołaj Potocki otrzymał hetmaństwo wielkie koronne, posłał tajemnie Chmielnickiemu chorągiew z herbami i buławę hetmańską wojska zaporozkiego (1). Tymczasem zatargi Chmielnickiego z Czapllickim starostą czechryńskim o własność gruntową, zabicie syna kijami i odmówienie żony, w których pierwszy, mimo słuszności swjej sprawy, nie wskórać nie mógł na drodze sądowej, wielkie pomiędzy Kozakami sprawiły wzburzenie. Zaczęto naradzać się skrycie względem planów powstania; a gdy na jednym z takich zgromadzeń Chmielnicki wystąpił z oświadczeniem, że ma od króla buławę i czeka tylko sposobności aby ogłosić się hetmanem, starszyzna poprzysięgła mu wierność i posłuszeństwo. Wysłano zaraz poselstwo do chana tatarskiego Islan-Gereja, z wezwaniem o przymierze i spieszna pomoc przeciw Polsce; poczem Chmielnicki, gotując się do spotkania z niedawno mianowanym hetmanem Potockim, który w celu przytłumienia rozruchu ruszył z wojskiem kwarcianem na Ukrainę, stanął pod jeziorem Żółte wody. Hetman wielki koronny, złączywszy się nad Dnieprem z Kalinowskim hetmanem polnym, puszcza przodem po rzecę pięć tysięcy Kozaków rejestrowych, lądem zaś cztery tysiące dragonów i półtora tysiąca innego wojska, z dwunastą działami, pod dowództwem syna swojego Stefana, któremu przydaje doświadczonych pułkowników: Czarnieckiego, Szemberga i Sapiechę. Kozacy rejestrowi, jak tylko oddalili się od hetmanów, powyrzucali zaraz z czajek do Dniepru starszyznę swą Polakom przychylną, a sami połączyli się z powstańcami.

Młody Stefan Potocki, zastawszy Chmielnickiego w warownym obozie, którego zdobyć nie mógł tak małemi siłami, posłał po piechotę do szturmowania wałów, tymczasowo zaś podciągnął tuż pod obóz, aby mu nie dopuszczać dowozu żywności, nie wiedząc o tym że w tyle jego stali już Tatarzy. Nazajutrz zaraz zrana zaczęła się utarczka. Dzielny w liczbie szesnastu tysięcy nacięra od bagien, a wojsko polskie, uformowane w kosz wozowy, dzielny

(1) Pamiętnik Mik. Jemiołowskiego, str. 2. (Lwów 1850).

stawia opór, gdy nagle Chmielnicki z całą siłą wysypuje się z obozu. Polacy długo nie ustępują przemocy, ale gdy dragonia, złożona z Rusinów, przechodzi także w szeregi nieprzyjacielskie, zaczyna się rzeź okropna pozostałej garstki walecznych. Młody Potocki, ciężko ranny, spada z konia i umiera na boju; Czarniecki, Sapieha i Szemberg pojmani (1). Z całego wojska jeden tylko żołnierz ujął się do walki, aby donieść hetmanowi o rozgromie.

Było to 15 kwietnia 1648 r. W miesiąc później Władysław IV dogorywał w Mereczu, a jednocześnie prawie toczył się krwawy i zacięty bój pod Korsuniem, w którym Kozacy z Tatarami zniszczyli całe wojsko kwarciane, oprócz tysiąca pięciuset co się przerznęli z Koryckim, obydwoh zaś hetmanów, tudzież Odrzywolskiego kasztelana czernichowskiego, Sieniawskiego, Kazanowskiego, Bałabana, Henryka Denhafa i wielu innych zabrali w niewolę. Nieszczęścia hurmem waliły się na Polskę (2).

Zgodnie z zamierzeniem tej pracy, o tyle tylko trzymając się ciągu historycznego, o ile to nieodzownym się okaże dla wyświecenia życia i działań Czarnieckiego, pomijam tudalsze wypadki pierwszej wojny kozackiej, w czasie bezkrólewia poprzedzającego obiór Jana Kaźmirza, smutnie między innymi odznaczoną sromotną klęską pod Piławcami, (3) gdzie Chmielnicki łatwą miał sprawę z *pie-rzyną, łaciną i dzięcinną* (4). Zakończyła się ta walka ugodą w Zborowie d. 17 sierpnia 1649 r., którą Kozakom zatwierdzono dawniejsze swobody, a nadto przyrzeczono że metropolita ruski zasiadać będzie w senacie. Granicę ziem kozackich stano-

(1) Rudawski, str. 8.

(2) „Tegoż roku, mówi Jerlicz, (Latopisiec Joach. Jerlicza, Tom I, str. 72, Warszawa 1853) w jesieni podczas wesela JP. Lubomirskiego wojewodzica krakowskiego, kometa się dziwna nad zamkiem ukazała między obłokami: krzyż, do którego naksztalt człowieka dwiema strzałami złuku strzelił; jedna mimo poszła, druga w krzyż uderzyła; potem człowiek w zbroi z dobytym pałaszem czyli orężem okazał się. Co się tłumaczyło: śmierć króla Władysława, a potem zniesienie hetmanów i wojska kwarcianego przez Kozaków, poddanych własnych.“

(3) Porażkę piławiecką słusznie wtedy przewzano *plugawiecką*. (Pamiętnik Mikołaja Jemiołowskiego, str. 8).

(4) Tak nazywał Chmielnicki tymczasowych dowódców polskich: Dominika Zasławskiego, Mikołaja Ostroroga i Aleksandra Koniecpolskiego, pierwszego że wygodniś a nie żołnierz, drugiego że uczonec a nie do boju, trzeciego że młody i niewiele dokaze.

wieć odtąd ma Horyń, za którym nie wolno będzie królowi utrzymywać wojska kwarcianego, ani też panom polskim nabywać posiadłości. Dyżunitom zostaną powrócone kościoły, a Żydzi i Jezuici z Ukrainy wygnani. Chmielnicki, jako hetman Kozaków rejestrowych, których liczba stanowi się na czterdzieści tysięcy, (1) będzie pod rozkazami samego tylko króla, i otrzymuje Czehryn jako lenno. Traktat ten, z natury swój niepodobny do wykonania, stał się później Chmielnickiemu pochopem do ciągłego naruszania tylko co okupionej spokojności. Tymczasem jednak zbawiennym jego następstwem, prócz czasowego zawieszenia wojny, był powrót z niewoli hetmanów i Stefana Czarnieckiego.

Czarniecki, podstępnie pod Żółtymiwodami przytrzymany, bo w chwili gdy jako parlamentarz przybył do obozu kozackiego, wydany został Tatarom i uwieziony do Krymu. Bawiąc tam blisko dwa lata, przynajmniej tę odniósł korzyść, że się dokładnie obeznał z językiem i zwyczajami Tatarów, co w dalszych życia kolejach wielce mu było przydatnym. Po uczynieniu ugody zborowskiej za okupem uwolniony, miał zaraz sposobność pokazania, jak mówi Niesiecki, „że przeszłym nieszczęściem nie tylko w nim chęć do wojny nie ostygła, ale tém bardziej rozgorzała.“

Wszystko bowiem zapowiadać zdawało się ponowienie zatargów z Kozaczyzną. Obie strony nie dotrzymywały warunków zawartego układu, a nawet rzeczywiście dotrzymywać ich nie mogły. Magnatom polskim, jak Wiśniowiecki, Koniecpolski, Zamojski, niepodobna było wyprzedać się z rozległych swych posiadłości ukraińskich; trzymali je więc jak dawniej; metropolita ruski do senatu nie przypuszczony; Jezuici, którym zawsze unia ważniejszą była niż Polska, nie zaprzestawali intryg na Rusi; żołnierz wreszcie kwarciany, choć niby przestąpić nie miał Horynia, zajmował zwykle leże zimowe na Ukrainie. Chmielnicki znów, choćby nawet był nie chciał, musiał utrzymywać więcej jak zawarowanych czterdzieści tysięcy wojska, mołojcy bowiem w rejestr nie zapisani odgrażali się, że jeśli ich wróci szlachcie na niewolników, to pomyślą o innym hetmanie. Nie ulega zresztą wątpliwości

(1) Jemiołowski na str. 22 mówi o sześćdziesięciu tysiącach.

że Chmielnicki sam marzył już wtedy o utworzeniu oddzielnego państwa, i wchodził tym celem w układy z Turkami i z Rakocym księciem siedmiogrodskim.

Na sejmie przeto zwołanym w listopadzie 1650 r., a zakończonym 24 grudnia trzydziesto-czterogodzinnym posiedzeniem, uchwalono trzydzieści tysięcy wojska koronnego, dwanaście tysięcy litewskiego i pospolite ruszenie. Na początku lutego 1651 r. hetman polny Kalinowski spotkał się pod miasteczkiem Krasne z Nieczajem przewodzącą młodzieży kozackiej niezaciągniętą do rejestru, położył mu do siedm tysięcy na placu, a trzy tysiące zabrał w niewolę (1); Stanisław zaś Lanckoroński, wojewoda braclawski, ubiegł i spalił słynne handlem i bogactwy miasto Jampol.

Gdy się to działo nad Dniestrem, Potocki hetman wielki koronny, oczekując króla, zbierał wojsko pod Włodzimierzem. Nadciągnął Jan Kaźmirz pod Sokal z pospolitą ruszeniem, które przez wici wezwał, prowadząc przeszło siedmdziesiąt sześć tysięcy wojska, prócz ciurów rusznicami jako tako uzbrojonych. Pod Beresteczkiem, miastem niegdyś kniazów Prońskich, a wtedy Leszczyńskich, nad Styrem, król złączył się z hufcami hetmańskimi. Chmielnicki też od Dubna zbliżał się, jak mówiono, w dwakroć sto tysięcy Kozaków i sto tysięcy Tatarów. Wysłany w trzy tysiące na podjazd Stefan Czarniecki, wówczas chorąży i sędzia grodzki sandomierski, niemógł dokładniejszych zebrać o nim wiadomości. Po kilkodniowych utarczkach 30 nareszcie czerwca główne siły wojsk obu stanęły naprzeciw siebie w szyku bojowym. Środkiem wojska polskiego dowodził sam król, prawym skrzydłem Marcin Kalinowski hetman polny, a lewym Mikołaj Potocki hetman wielki koronny, który używał do pomocy pułkownika swego, Stefana Czarnieckiego, zlecając mu w potrzebie, jako doświadczonemu żołnierzowi, rządy całego wojska (2). W dniu tym i nazajutrz Polacy nad trzykroć liczniejszym nieprzyjacielem zupełnie odnieśli zwycięstwo, i położywszy niemało trupa, zabrali cały obóz przeciwników, ośmnaście armat i mnóstwo bogatej zdobyczy.

Po tym pogromie pospolite ruszenie domagało

(1) Jemiołowski (str. 19) zwycięstwo to przypisuje Kaźmirzowi Piasoczyńskiemu pułkownikowi.

(2) Niesiecki.

się rozpuszczenia, a król z częścią wojska powrócił do Warszawy, zostawiając hetmanów z ośmnaścią tylko tysiącami wojska, siłą niedostateczną oczywiście ku zakończeniu pomyślnie rozpoczętej wyprawy. Tak więc i tym razem owoc z chlubnego zwycięstwa zebrano prawie żaden, i gdyby Chmielnicki umiał być z chwili korzystać, byłby z łatwością wkrótce powetował klęskę berestecką.

Śród zawiązanych niby układów z Chmielnickim, którego już czerń tatarska zaczynała odstępować, ciągle się jednak uciérano, i w końcu dopiero września stanęła umowa w Hermanówce, korzystna dla Polski, bo znosząca w punktach najuciężliwszych ugodę zborowską. Chmielnicki zaprzysiął ją w obozie, wobec przedstawiającego osobę królewską hetmana wielkiego koronnego Mikołaja Potockiego. Było to ostatnią czynnością urzędową sędziwego hetmana, bo wkrótce potem, tknięty paraliżem, dokonał on żywota chlubnie na usługach kraju spędzonego (1).

Jednakże pokój nie mógł się jakoś ustalić: wojsko kwarciane nie cofnęło się, według umowy, za Horyń, ale trzymało Braclaw, a Kozacy ciągle się burzyli. Następnego roku 1652 Chmielnicki, pra-

(1) Jak wielkie już wtedy musiało być znaczenie Czarnieckiego, dowodzi list jego do króla, donoszący o śmierci Potockiego, w którym przymawiać się zdaje do buławy. Dokument ten, zamieszczony w tomie I „Zrót do dziejów polskich“ wydanych przez Michała Grabowskiego i Aleksandra Przeździeckiego, Wilno 1843, brzmi jak następuje:
Najjaśniejszy Miłościwy Królu, Panie a Panie Dobrodzieju mój Miłościwy.

Ubył W. K. M. stary a spracowany hetman, mnie i swój chorągwie osierociwszy żołnierzów. Wyprawuję towarzystwo z koła prywatnego: p. Olędzkiego, p. Borzewickiego i p. Wąsowicza, z uniżoną prośbą aby W. K. M. Pan mój Miłościwy, przygarnąwszy nas do strzemienia swego, w długim nie pozwalał nam zostawać sieroctwie. Pierwszą przytęm prośbę moję z poniżeniem głowy swęj podaję do miłościwój łaski W. K. M. Waleczność W. K. M. będzie mi najpierwszym promotorem, i nieśmiertelna W. K. M. sława, z małego żołnierza, co jest wrodzona Monarchom, uczyni większego do usługi W. K. M. Sam Pan Bóg pokazane z rąk W. K. M. dobrodziejstwa przyjmie wdzięcznie od W. K. M., a ja ochotnie, życzliwie i odważnie do skonu życia mego zasługiwać się W. K. M. nie przestanę. Uniżone usługi moje miłościwój łasce W. K. M. oddając, 29 Novembris 1651.

Majestatu W. K. M. Pana i Dobrodzieja mego miłościwego wiernie życzliwy poddany i uniżony sługa,

Stefan Czarniecki Cho. Sendo. M.

gnąc dla syna swego Tymoszka otrzymać przemocą rękę Rosandy (1) córki Lupuli'ego hospodara multańskiego, której starsza siostra była za Januszem Radziwillem, wyprawił syna na czele silnego wojska do Multan. Sprzeciwiało się to ostatniemu układowi, aby Kozacy na własną rękę wojnę z kimkolwiek rozpoczynali; Kalinowski więc hetman polny, podmówiony jeszcze przez stronników radziwilłowskich, udał się w sześć tysięcy jazdy i trzy tysiące piechoty na granicę multańską, dla zasłonięcia jej od Tymoszka, i pod Batowem nad Bohem rozłożył się obozem. Tymczasem nieprzyjaciel, przestrzegłszy dla pozorów Kalinowskiego, ale w sposób rozmyślnie dumę jego drażniący, 2 czerwca uderza na obóz hetmański w sto tysięcy wojska kozackiego i dwadzieścia tysięcy Tatarów. Polacy, zewsząd obkoczeni, po bohaterskiej walce giną prawie do nogi. Sam Marcin Kalinowski hetman polny, Zygmunt Przyjemski generał artylerji i pisarz polny, Marek Sobieski starosta krasnostawski i Samuel Kalinowski syn hetmana zostają na placu (2). Czarniecki tylko, ukryty przed srogością Chmielnickiego przez jakiegoś Tatarzyna (3), z Krzysztofem Grodzickim i niewielką towarzysząmi cudownym prawie sposobem ocalał, a król, nagradzając tyloletnie jego zasługi, po Samuelu Kalinowskim mianował go oboźnym koronnym (4).

(1) Nieznajomy tłumacz, a raczej przetwórca, trzech pierwszych klimakterów Kochowskiego, (Panow. Jana Kaźm. wyd. Rac. 1840) w tomie I, na str. 124 daje jej imię *Dumna*.

(2) Autor panowania Jana Kaźmirza, wyd. Rac. czyni wzmiankę (tom I, str. 150) że w Ładyżynie, mieście książąt Wiśniowieckich nad rzeką Bohem, z jaskini jakiegoś głos tajemniczy odezwał się do żołnierzy, przepowiadając w te słowa klęskę batowską: „Idźcie czémprędzej powiedzieć hetmanowi, aby się z tego kraju umknął, albo też miał się na ostróżności, bo przychodzi szalony pijak, który mu brodę chce ogolić; obawiać się trzeba żeby ta brzytew, ostra bardzo, głowy razem z brodą nie zerwała.“

(3) Jemiółowski, str. 37.

(4) Niesiecki dodaje, że miał sobie wtedy nadane starostwa: piotrkowskie, kowelskie, kaniowskie i ratneńskie. Tymczasem dobra piotrkowskie, a podobno i kowelskie, Czarniecki otrzymał dopiero r. 1657, ratneńskie r. 1659; starostą zaś kaniowskim nie był on sam, tylko synowiec jego tegoż imienia. Dokładnej daty tej nominacji na oboźnego koronnego, jako też późniejszych na kasztelana kijowskiego i wojewodę ruskiego, nie znalazłem ani w aktach Metryki Koronnej, ani w aktach kanclerskich, ani w Sigillatach. Jest tylko w Metryce (ks. 192, str. 283) przywi-

Wyniesiony tym sposobem do znakomitszej w rzeczypospolitej godności, Czarniecki szerszy już brał udział w późniejszych wypadkach wojennych. Na początku zaraz 1653 r., kiedy Bogdan Chmielnicki coraz wyraźniejszym przechyleniem się ku Turcyi obruszył na siebie lud i duchowieństwo, a wichrzyć kraju nie przestawał, Stefan Czarniecki otrzymał od Stanisława Potockiego, dowódcy po Marcynie Kalinowskim, rozkaz wkroczenia do Ukrainy w dziesięć tysięcy pancernych i tysiąc dwieście dragonów: „Jakoż, mówi Jemiółowski (str. 38), nie omieszkał ten dzielny mąż i prawie do wojny urodzony kawaler powinnosci swojej, a nie bawiać długo (bo to jego wrodzona była cnota, prędkość przy rozumie) w marcu w Ukrainę wpada i najpierw Porszczówki miasta swawolnego szturmem dobywa.“ Jeleńce, Jahubiec, Lipowiec, Pohrebiszcz podobnegoż doznają losu. Bohun pułkownik kozacki, zamknięty w Monasteryszczach, posyła do Chmielnickiego o pomoc; ale Czarniecki, nie tracąc czasu, podstępnie pod miasto i już zwycięzko ze swojemi w dzięra się na wały, gdy wystrzał z samopalu rani go w twarz na wylot i wyrwa podniebienie. Zdjęty z konia i położony na ziemi, po odzyskaniu przytomności: „Czy wzięte miasto?“ zapytał otaczających, a kiedy mu powiedziano że trwoga o jego życie zmusiła naszych do odstąpienia, wzruszony żalem i gniewem powtórnie krwią się zalał. Głęboka blizna w twarzy i blaszka którą zastąpił podniebienie aby wymawiać zrozumiale, na całe życie pozostały znamięm jego męztwa w tej wyprawie.

Tymczasem zbliżał się do końca dwudziestoletni pokój w Polanówce, a młody car Aleksy Michajłowicz rozpoczynał uzbrojenia. Król w czerwcu 1654 r., po zerwaniu przez posłów pruskich sejm zwyczajnego, zwołał sejm nadzwyczajny, na którym, prócz uchwalenia środków wojennych, nastąpiło wreszcie mianowanie hetmanów na miejsce Potockiego i Kalinowskiego, dotychczas pod różnymi pozorami odwlekane; co nawet szlachcie dało już pochoch do pomówienia króla o zamiar przywłaszczenia sobie władzy nieprawnej. Hetmanem

lój, dat. w Warsz. 24 sierpn. 1652 r., którym Jan Kaźmirz nadaje Czarnieckiemu dożywocie na miasteczko Swiniuchy z przyległościami, w województwie wołyńskim, wakujące po śmierci Marka Sobieskiego.

wielkim koronnym został Stanisław Potocki, od łacińskiego przysłowia swego (1) zwany *Rewerq*; litewskim Janusz Radziwiłł; buławy zaś mniejsze otrzymali Lanckoroński wojewoda ruski i Gosiewski podskarbi litewski.

W tę porę car Aleksy, wzięwszy błogosławieństwo od patriarchy moskiewskiego, wkroczył już do Litwy na czele czterdziestu tysięcy wojska regularnego i dwudziestu tysięcy Kozaków pod Złotarenką, Dorohobuz, Smoleńsk, Witebsk, Połock, Bychów, Mścisław, Mohylów, Newel, Rzeczyca, Mozyr, Homel kolejno, częścią przez wzięcie szturmem, częścią przez poddanie, stają się zdobyczą zwycięzcy. Jednocześnie na Ukrainie Antym i Buturlin, w połączeniu z Chmielnickim, zagarniają Perejasław, Braclaw, Humań i Kijów.

Rzeczpospolita zupełnie prawie wtedy była bezbronna, bo skarb jej wyczerpany, mimo uchwał sejmowych, nie miał czém wojsku opłacić zaległego żołdu. W takim więc położeniu należało koniecznie znaleźć silnego sprzymierzeńca, a mógł nim zostać jeden tylko Tatarzyn, zjednany niedawno ugodą w Żwańcu zawartą. Wysłany do Mechet-Gereja, nowego chana po zmarłym Islan-Gereju, Maryan Jaskólski, strażnik polny koronny, uczynił z nim przymierze, na mocy którego rzeczpospolita zobowiązała się płacić corocznie Tatarom, sposobem niby żołdu, dziewięćdziesiąt tysięcy złotych i brańców swych wykupić z jasyru, chan zaś przyrzekał dać trzydzieści tysięcy posiłków.

Jak tylko hetmani upewnili się o pomocy tatarskiej, zaraz trzema szlakami, dla snadniejszego pożywienia, pociągnęli ku Barowi, zostawiając obronę Litwy Radziwiłłowi: środek trzymał Stanisław Potocki hetman wielki koronny, prawe skrzydło Lanckoroński hetman polny, lewe zaś Stefan Czarniecki oboźny koronny (2). Zgromadziły się te wojska, w liczbie dwudziestu tysięcy jazdy i ośmiu tysięcy piechoty, pod miasteczkiem Szarogród, które za bramę do Ukrainy uważano; tam również przybyło tysiąc dwieście muszkieterów, przysłanych jako kontyngens lenniczy od elektora brandenburskiego, a przybyć miały obiecane posiłki od chana. Niektóre miasteczka poblizsze, jak Krasne, Morachwa, Czerniejowce, dobrowolnie pootwierały swe bramy; ale pod Buszą, niedaleko Dniepru na skale

zbudowaną, zacięty znaleziono opór. Czarniecki, osobiście szturmem tego miasta kierujący, postrzelony został w nogę; nie zsiadł jednak z konia, lecz z podwojoną natarlszy zapalczywością, dopadł nareszcie wałów. Wtedy obleźnicy, przywiedzeni do rozpacz, zaczęli sami podpalać swoje domy i wzajemnie śmierć sobie zadawać. Kobiety z dziećmi dobrowolnie rzucały się w ogień albo w studnie, a żona jednego setnika nazwiskiem Zawistny, zabiwszy własną ręką męża, siadła na baryłce z prochem i podpaliła ją pod sobą (1).

Po dokonaniu tej krwawej zdobyczy wojsko polskie obróciło się na Braclaw, gdzie Chmielnicki, jako w węzle wojennych komunikacji Ukrainy, osadził dwanaście tysięcy Kozaków pod dowództwem Bohuna. Wysłany naprzód Czarniecki z Jędrzejem Potockim przybył pod mury miasta, ale widząc że wały zostawiono bez obrony, domyślił się zasadzki. Wprawił więc wojsko w zwykły szyk bojowy i czekał na przybycie hetmanów. Bohun też, zobaczywszy że się na sztukach jego poznano, wystąpił w pole i rozłożył się nad Bohem. Przyciśnięto go całą siłą i ubito dwa tysiące z dwoma pułkownikami, skutkiem czego i Braclaw w samym końcu 1654 r. (2) stanął naszym otworem.

Nadciągnął tymczasem Melin-Gerej, szesnastoletni syn przeszłego, a synowiec panującego chana, z ośmnastą tysiącami Tatarów, z którymi połączywszy się Potocki, 20 stycznia 1655 r. przystąpił pod Humań i rozpoczął obleżenie tego miasta. Przestrzeżony jednak, że wielkie wojsko nieprzyjacielskie zbliża się na odsiecz, zwinął tabor i ruszył ku Ochmatowu zajętemu przez Puszkareńkę, dokąd pospieszył i Chmielnicki. Czarniecki, zwyczajem swoim, chciał zaraz uderzyć na Kozaków; lecz hetman polny Lanckoroński radził czekać aż przybędą armaty i piechota. Trzydziestego nareszcie stycznia przyszło do rozprawy z przeważnym w sile przeciwnikiem. Polacy oprócz bogatych łupów zdobyli dwadzieścia armat, i sam Chmielnicki o mało nie wpadł im w ręce.

Po tém zwycięztwie pomniejsze miasta Ukrainy

(1) Panow. Jana Kaźm. wyd. Rac. tom I, str. 200.

(2) Jemiołowski (str. 49) powiada że „wielkie i niezwyčajne tego roku było słońca zaćmienie w miesiącu sierpniu, przyszłych snadź hałasów i kłótni wróżba. Całe się albowiem słońce przez godzin dwie i więcej zaćmiło było tak, że o południu zdała się być wieczorna chwila, i człowiek człowieka rozeznac nie mógł.

(1) *Re vera*, istotnie.

(2) Jemiołowski, str. 48.

snadnie już wstępnym bojem zostały opanowane, i byliby niewątpliwie hetmani przywiedli do posłuszeństwa cały kraj między Bohem a Dniestrem, gdyby nowa od północy zbliżająca się burza nie wstrzymała ich pochodu. Lanckoroński hetman polny z Czarnieckim odebrali niespodzianie rozkaz od króla, aby z częścią wojska powrócili ku środkowi rzeczypospolitej.

Powodem tak nagłego odwołania były zdobywcze zamysły Karola Gustawa króla szwedzkiego, który po ustąpieniu z tronu Krystyny, córki Gustawa Adolfa, zasiadł na tronie. Jan Kazimirz, jako dziedziczne po ojcu do korony szwedzkiej mający prawo, przez posła swego Kanazylego zaprotestował przeciw temu oborowi, a w dokumentach urzędowych nie przestawał pisać się królem szwedzkim i polskim; czém urażony niby Karol, znalazł pochop wyborczy do wojny, której celem rzeczywistym było zamierzone jeszcze przez Gustawa Adolfa oderwanie od Polski Prus i Kurlandyi. Napróżno król, przez wysłanych do Sztokholmu Leszczyńskiego i Naruszewicza, podawał rękę do zgody, powołując się na nieupłyniony jeszcze rozejm stumsdorfski: interes własny i zabiegi Hieronima Radziejowskiego b. podkancelerzego, (za naruszenie pod okiem króla spokojności publicznej jeszcze w r. 1652 z kraju wygnanego) wzięły górę nad prawem i słusnością.

Król szwedzki miał już w Niemczech, pod dowództwem Wittemberga, hufce które walczyły przeciw Bremie; na pierwszy też posłuch o wojnie zjechali się do niego z całej Europy oficerowie, pozbawieni chleba przez zawarcie pokoju westfalskiego. Tak więc w połowie r. 1655 zebrało się pod Szczecinem doskonale wyćwiczone wojsko w liczbie siedmiu tysięcy jazdy i dziesięciu tysięcy piechoty, prócz artyleryi, które, w połączeniu z pułkami wysłanemi ze Szwecyi, złożyło w księstwie pomorskiem siłę zbrojną do czterdziestu tysięcy wynoszącą.

Dwudziestego czwartego lipca Szwedzi pod Wittembergiem stanęli na granicy Wielkiej Polski u Noteci, której przejścia broniło pod Uściem piętnaście tysięcy pospolitego ruszenia. Po krótkiej utarczce, za pośrednictwem odstępcy Radziejowskiego, skłoniono szlachtę do podpisania ugody, na mocy której województwa poznańskie i kaliskie poddały się królowi szwedzkiemu. Wittemberg przeto

2 sierpnia zajął bez oporu Poznań, a zaraz potem Gniezno, Kościan, Wschowę, Międzyrzecz, Leszno i Kalisz. Tymczasem i Karol Gustaw w siedmnaście tysięcy wojska, sześćdziesiąt dział ciężkich i sto osmnaście polowych przekroczył granicę polską, ciągnąc ku Warszawie przez Gniezno, Mielżyn, Słupcę i Konin, gdzie zastał już Wittemberga. Lanckoroński hetman polny, stojący z Czarnieckim, który w tym czasie po Zbigniewie Gorajskim otrzymał kasztelanią kijowską, w okolicach Piątku z garstką pięciotysięczną, ani pomyśleć mógł o wstrzymaniu tak groźnego nieprzyjaciela: osmnaście wrześnie Szwedzi bez bitwy (1) weszli do Warszawy (2).

(1) *Nec vana de se praedicatio est regis Sueciae*, (mówi Rudawski str. 178) *ante victum Polonum esse, quam visum*. (Niepróżna też przechwałka króla szwedzkiego, że zwyciężył Polaków wprzód nim ich ujrzał).

(2) Akta wójtowskie stariej Warszawy (w Arch. Główn. ks. 553, r. 1655 str. 40) zawierają ciekawą wiadomość o wejściu i pobycie Szwedów w Warszawie, spisana przez naoczego świadka, pod tytułem: „*Memorable pro studioso lectore przyjscia szwedzkiego*“, którą, dla braku miejsca, w wyjątkach tylko zamieszczam:

„*Fatalem na ojczyznę paroxismum chcąc opisać, trzeba by go z fundamentu okazyi i circumstancyi jego ab origine (qua et cujus causa, nie z influencyi niebieskiej, ale złości raczej ludzkiej, nagle i niespodziéwanie przypadł) zacząć. Ale żeby ta rzecz i bez szerokości pisania i bez naruszenia kogóżkolwiek (gdyż *veritas* zwykła *parturire invidiam* albo *odium*) była, dlatego *hujus rei naturam*, której zkad i z jakich przyczyn *partus* do nas przyszedł, historycznemu pióru i *cerebellowi* opisać zostawiwszy zabawę, krótko to co w tém zacném *accidit* mieście zanotować mi się zdało, dla zabawy ucha rado słuchającego i chciwego wiadomości przeszłych czytelnika.....*

Więc *in dies et horas*, jako na inne miasta, tak równie i na Warszawę *metus*, zwłaszcza że *sine praesidio omni* zostawała. Lud *consternatus* zostawał, co żywo się do miasta, do kościołów etc. garnał. *Actandem die 7 septemb.* z podjazdu z miasta wysłanego dostało się języka pewnego, że już wojsko szwedzkie naciągnąć miało w Błoniu; jednak czyli to tylko podjazd, czy samo *corpus* wojska, i jeżeli był sam król szwedzki *praesens*, żadnej nie było wiadomości. *Tota nocte laboravimus in vigiliis* Warszawy; aż nazajutrz, to jest d. 8 *septembris*, w dzień Narodzenia Panny Najświętszej, *hora circiter octava*, do niej trębacze, jeden Karola Gustawa króla szwedzkiego, drugi pana Hieronima Radziejowskiego, z *credensem* albo raczej listem królewskim przyjechali, któryte miał w sobie *contenta*, abyśmy się deklarowali jako chcemy witać króla szwedzkiego, czy mu *hostiliter se opponere*, czyli *protectioni* jego *se dedere*. Pomienionych trębaczów przed fórtą i zwodem przy kościele św. Ducha za bramą nowomiejską zatrzy-

Jan Kaźmirz jeszcze w sierpniu z gwardyami opuścił stolicę, i pod Wolborzem złączył się z Lancokorońskim. Cała ich siła, doliczając już i pospolite ruszenie małopolskie, nie przenosiła dwunastu tysięcy; miano jednak nadzieję że Wielkopolanie ockną się przecież z letargu za nadejściem wojska królewskiego. Wysłany w tym celu ku Kaliszowi Czarniecki, pod Inowłodzem zniósł oddział niemawszy, *ex consilio inter se facto* nie zdało się puszczać ich, lubo z zawiązanemi oczyma, do miasta, ale raczej u OO. Dominikanów w klasztorze dać im audyencyą... Którzy *in oratorio conventuali* czynili relacyą przyjazdu swego i ambasady, i *credens seu* list od króla oddali, który przeczytawszy i owych ustnie *commissa* wysłuchawszy, *omni opera* będąc *destituti*, nie mogąc przeskoczyć, podléżć raczej i w pokorę się udać *sentiatur*. Tam zaraz dawszy trębaczom deklaracyą, że przeciwko J. K. M. szwedzkiemu żadnej *hostilitatem attentare* nie myślimy ani chcemy, ale całe protekcyi J. K. M. upraszać *instituiamus, assecurati verbo* trębaczów, że i król sam jest *in persona sua*, i że to nie podjazd (któregośmy się bardzo obawiali), ale całe *corpus* wojska idzie, zaraz *ablegatos* do króla najprzód upraszano JMci P. stolnika wieluńskiego, p. Kociszewskiego, p. Łukaszewicza radziec, i p. Pruszowskiego pisarza, do których się przymieszał i p. Jan Kotyński sekretarz i pisarz kancelaryi J. K. M. koronnój; których, aby się prędko wyprawili, gdyż tuż, tuż król z wojskiem następował, trębacze *monuerunt*. *Interea*, nim się zgotowali *ablegati seu internuntii*, tymczasem zlecono p. Baranowiczowi aby do domu swego za św. Duchem trębaczów zaprosił, i *condigne* utraktował, *quod cum laude fecit*. *Interim* JMci p. stolnik wieluński, z p. Pruszowskim konno i wiele innych przy nich wyjechało z trębaczami, a widząc już do Woli przybliżające się wojska i króla szwedzkiego, musieli *citius et celarius* pospieszyć, nie czekając drugich *ablegatos*, zwłaszcza pp. radnych, którzy rydwanem się puścili. I tak w polu między Wolą a murowaną karczmą do wsi Włochy nazwanej należąca, z królem JMci szwedzkim i wojskami jego zjechałszy się, z koni posiadawszy i one trzymać czeladzi oddawszy, pieszo do pocałowania ręki i przywitania króla na koniu siedzącego, a rękę prawą na kolanie trzymającego, przystąpili; a oraz przez JMci p. Radziejowskiego, a *dextero latere* króla na koniu mrozowatym siedzącego, o audyencyą uprosili, któremu król, jako polskiego języka i łacińskiego *ignarus*, zlecił nas, czegośmy chcieli i żądali, wysłuchać. Zsiał tedy z konia p. Radziejowski i odwiódł się z nami na stronę, a król stał na miejscu *cum sua assistentia* różnych kawalerów, którego i nasze wojsko *medio lunari figura* otoczyło. *Exposuimus* tedy *nostram calamitatem*, i jako *sine praesidio* zostowamy i protekcyi J. K. M. szwedzkiego żądamy, i o przyczynę W. M. naszego Mćwego pana, jako *os de ossibus nostris, et carnem de carne nostra*, do króla JMci, abyśmy i wszelkiego stanu człowiek, *et utriusque sexus*, tak duchowni i świeccy, przy zdrowiu i substancjach *liberi religionis et devotionis exercitio* zostawali, upraszamy, *vitas et substantias nostras* pod nogi Majestatu J. K. M. (bo tak natenczas musiało być, choć nie ze szczerego serca) pokładając. *Vocatus* tedy znowu do króla, uczynił mu relacyą *propensionis nostrae*, przez którego król mile

tysięcy; miano jednak nadzieję że Wielkopolanie ockną się przecież z letargu za nadejściem wojska królewskiego. Wysłany w tym celu ku Kaliszowi Czarniecki, pod Inowłodzem zniósł oddział nie-

istam nostram facilitatem et propensionem przyjawszy, nietylko przy *petytach* i *desideriach* naszych nas wszystkich *conservare*, ale *optimam gratiam suam* przyobiecał *et indemnitate cavet*. Ruszył się potem król z miejsca, a pp. *conablegati* nasi z rydwanem dopiero nadjeżdżali i witania omieszkali....

Pominawszy wieś Wielką Wolą, król obrócił wojsko wszystko, potem *recta* ku Jazdowi, a sam do cekauzu jechał, gdzie porządną armatę obaczywszy, ruszył ramionami głową potrząsnawszy, i *Vladislai operam* być powiedzianą przez p. Radziejowskiego usłyszawszy, zapłakał. Zrewidowawszy wszystek tak dolny jak i górny cekauz, pojechał do pałacu do Jazdowa, a p. Radziejowski, *pro securitate* miasta i obywatelów, swoim pułkiem rajtarskim bramy i straż osadził, a *praesidio civili* kazał do domów znieść i bezpiecznemi być, bo bardzo bolało wszystko wojsko iżemy się poddali i *obviam* królowi jechali, żeśmy ani razu do nich ognia nie dali, żeby byli mieli *occasionem hostilitatis* i do rabowania pretekst.....

Potem *sensim* okup na miasto włożył pięćdziesiąt tysięcy twardych talerów; dało tedy miasto, za wielkiem uproszeniem, gotowemi piędzmi, srebrem, różnemi towarami, zbożem etc. dwadzieścia i jeden tysięcy twardych talerów; zosobna kościoły, szpitale, dwory, kamienice duchowne okupować się musiały.

Interim ruszył się ztąd król pod Kraków, zostawiwszy tu na swém miejscu *vice-regem seu praesidem Benedictum Oxenstierna comitem etc.*, człeka bardzo dobrego i cnotliwego, który żadnej *privatis* nie dopuszczał czynić krzywdy, i w wielkiej *discipline* miał *praesidium* tu zostające, nad którym był komendantem Nering *Scotus*..... Potem wszystkim mieszczanom komendant *cum praeside* strzelbę i wszelkie oręża do boju sposobne pod gardłem do najmniejszej sztuki na zamek znieść i oddać *quasi* do schowania (a to *metu* zdrady jakiej) rozkazał, assekurując *verbo*, że nie zginie, i każdemu czasu swego będzie co jego oddane, byle każdy swoją nacechował *sive* podpisał strzelbę i broń etc. Cechowali, podpisowali, kartki przylepiali nasi i do zamku oddali; a przed oddaniem strzelby, gdyśmy prosili aby nas nie *disarmowali*, obiecując wszelką *fidelitatem*, a w ostatku i *jurament* ofiarowaliśmy: oni na to replikowali, że wprzód trzeba się z wojskiem koronnem *Marte* rozprawić i probować Kraków posieść i koronę otrzymać, dopiero od was *jurament* odebrać. I pozwolił komendant broni zwyczajnej, jako szabel i po czworgu strzelby, osobliwie panu burmistrzowi i mnie pisarzowi; *de caetero* wszyscy od siebie broń wszelką złożyć musieli a przy nożach samych zostali“.....

W téjże księdze (pod rokiem 1656, str. 37) jest podobne *Memorable*, opisujące bardzo obszernie odzyskanie Warszawy, tudzież powtórne jój zajęcie przez Szwedów, skutkiem trzydniowej bitwy pod Pragą.

przyjacielski z pięciuset ludzi złożony, i pierwszy pokazał Szwedom że Polacy mają jeszcze oręż i rękę do boju zaprawną (1).

W drugiej połowie września król opuścił wojsko i udał się do Krakowa, gdzie go czekała królowa Marya Ludwika. Pospieszył za nim i Lanckoroński, ale już tylko z wojskiem najemnym czyli *komputowém*; szlachta bowiem pospolitego ruszenia wolała w domu *czapkę i papkę* (2), jak w polu szablą rozbijać najeźdźców. Chciał z razu Jan Kaźmirz sam stanąć na czele obrońców drugiej swój stolicy, lecz ulegając ogólnym prośbom, ustąpił do Szląska, zleciwszy Stefanowi Czarnieckiemu dowództwo załogi krakowskiej, urząd nierównie więcej niebezpieczeństwa i trudów jak chwaliły obiecujący. Ale Czarniecki nigdy nawet nie pojmował widoków poziomego samolubstwa; wzniosłym jego celem była obrona króla i sprawy publicznej, a poświęcenie w niej życia za prosty tylko uważał obowiązek.

Dwudziestego szóstego września Szwedzi, pod przewodem samego Karola, Duglasa i Wittemberga, rozpoczęli obleżenie Krakowa. Dowiedziawszy się jednak, że Lanckoroński z kwarcianami stoi koło Wojnicza, król szwedzki z przeważnymi siłami obrócił się przeciw niemu, i po zaciętej utarczce wojsko jego rozproszył. Za powrotem pod Kraków, nie obawiając się już natarcia z tyłu, kazał zaraz otworzyć przykopy od Kaźmirza ku miastu. Czarniecki miał do obrony trzy tysiące sześćset żołnierzy, a nadto dzielną pomoc w szlachcie i mieszczanach zaprawnych do broni ze strzelania kurkowego. Poprzednio jeszcze zburzono lub spalono wszystkie zabudowania zewnętrzne, w którychby nieprzyjaciel mógł się usadowić (3). Jednakże Szwedzi wkrótce opanowali przedmieście Stradom, i wprowadziwszy armaty do klasztoru bernardyńskiego, zaczęli z tamtąd ostrzeliwać za-

mek. Polacy nawzajem rzucali na obóz nieprzyjacielski ogniste kule i bomby. Jednego dnia pod wieczór obecny wszędzie Czarniecki, objeżdżając wały, znów kulą w twarz został raniony. Przez całą noc trwoga o życie jego była niesłychana; ale ze świtem wódz, lubo zboleły, ukazał się wojsku i mieszkańcom na rynku, i samym widokiem swoim ożywił upadających na duchu.

Siódmego października Karol wezwał miasto aby się poddało, jeżeli surowej uniknąć chce kary. Czarniecki trębacza odesłał z odpowiedzią: „Na wojnie wzrosłem, a między armat hukiem posiwiłem; ani teraz obawiam się ich impetu, a jak zważam już i chłopcy przywykli do nich w mieście, kule zbierając i do mnie przynosząc, abym wzajemnie niemi szwedzkie poczęstował wojsko“ (4).

Przez trzy tygodnie trwało już obleżenie, gdy przybył posłaniec z listem do Czarnieckiego od kanclerza szwedzkiego Oxenstierny, przekładający bezcelowość dalszego oporu, kiedy kraj cały i wojsko stoi już przy Karolu. Jednocześnie delegowani rady miejskiej naglili o poddanie miasta. Dał tedy Czarniecki na list ów odpis, w którym prosił o rozejm, dopóki nie zniesie się z królem Janem Kaźmirzem, a jeśli go ten uwolni od obowiązku, to gotów rozpocząć układy. Gdy jednak mieszczaństwo coraz bardziej się burzyło, zarzucając że odpowiedź ze Szląska nadejść może za późno, zwołał na zamku radę z duchowieństwem, szlachty i naczelników miasta, i kazawszy ułożyć warunki, posłał je do obozu przeciwników (5). Treścią ich było że religia, archiwa i własność prywatna zostaną nienaruszone, a cała załoga wyjdzie z nabitą bronią i rozwiniętymi chorągwiami, przy odgłosie tarabanów, prowadząc z sobą dwanaście sztuk armat; poczem przez trzy miesiące stać będzie na pograniczu szląskim, nie walcząc przeciwko królowi szwedzkiemu. Uradowany Karol że posiadzie nareszcie Kraków, a z nim, jak mniemał, całe już państwo, punkta te natychmiast podpisał; Czarnieckiego zaś zaprosił do siebie, ofiarując w zakład za bezpieczeństwo osoby jego Schlippenbacha. „*Nie potrzebuję zastawy*, odpowiedział Czarniecki, *dosyc*

(1) Panow. Jana Kaźm. wyd. Rac. tom I, str. 227.

(2) Kłanianiem się i karmieniem.

(3) „Stanawszy w kilka dni (mówi biskup warmiński Jan Stefan Wydźga w pamiętniku swym, wydanym przez K. Wł. Wójcickiego, Warsz. 1852, na str. 69), w pierwszym za granicą miasteczku szląskim Bielsk nazwaném, widzieliśmy w ciemny wieczór wielką łunę ognia; gorzały krakowskie okolice. Żaloszny to był widok: gorzały rozwlekłe i ludne budynki, kościoły, klasztory, ogrody, kamienice, domy, osady, Kaźmirza Kleparza, Stradomia i innych miejsc pod miastem.“ i t. d.

(1) Panow. Jana Kaźm. wyd. Rac. tom I, str. 242.

(2) Zapewne Czarniecki dowiedział się także o połączeniu Koniecpolskiego, Jana Sobieskiego i Sapięhy ze Szwedami.

mi słowa królewskiego.“ Przybył więc do obozu przeciwników, z arabską w ponsową delią odziany, i przypuszczony do stołu królewskiego, długo z Karolem rozmawiał o szczęściu i trybie wojennym. Było to 18 października, a dnia dwudziestego trzeciego od ukazania się Szwedów pod murami Krakowa.

Łanckoroński już wtedy, po rozbiciu jego wojska pod Wojniczem, usunął się od dowództwa, a objął je po nim Aleksander Koniecpolski chorąży koronny, skłonny już oddawna do porozumienia się ze Szwedem. Nie szczędził też Karol szumnych przyrzeczeń iż podeprze religią, wzmocni wymiar sprawiedliwości, rozszerzy prawa szlachty, a nawet pomyśli o odzyskaniu potraconych krajów rzeczypospolitej: słowem skończyło się na tém, że Koniecpolski ośm tysięcy kwarcianych przyprowadził pod Kraków, dla ucałowania w pokorze, z pułkownikami i rotmistrzami, ręki nowego pana. Odstępstwo to poruszyło odrazu chwiejącą się jeszcze szlachtę. Zjechali się do Karola z poddaniem swych województw wysłańcy krakowscy, sandomiérscy, lubelscy, ruscy i bełscy; do wyznaczonej w Warszawie kommissyi posłowie sieradscy, rawscy, mazowieccy, płoccy, podlascy i chełmińscy. Gdy zaś król szwedzki, zostawiwszy w Krakowie Wittemberga, odbył wjazd do Warszawy, miasto zajaśniało uroczystościami, a piękny świat waksamitach i perukach, ba nawet w kontuszach, służebne bił mu pokłony.

Tymczasem równie niepomyślne dla Polski wypadki zaszły na północy i południu. W Litwie car Aleksy Michajłowicz po wzięciu Witebska uderzył na Mińsk, i dalej, bez zdobycia już miecza, ciągnąc prosto ku Wilnu, zajął je 8 sierpnia. Książę Janusz Radziwiłł, dzielny dotychczas stawiający opór, poniósłszy klęskę pod Szklowem, a nie mogąc liczyć na pomoc Jana Kaźmirza, obejrzał się na Karola Gustawa, i w Rydze rozpoczął z nim układy. Wypadkiem takowych było że na zjeździe w Kejdanach uznano króla szwedzkiego wielkim księciem litewskim.

W stronie południowej hetman Potocki, nie mając sił dostatecznych dla zasłonięcia Podola i Wołynia, cofał się ku Rusi czerwonej, ścigany przez Chmielnickiego i Buturlina. Lwów obleżony, piędzmi tylko okupił ocalenie. Jednocześnie inne wojsko kozackie, spaliwszy przedmieścia Lublina, rozpostarło się w okolicy. Kraj cały bardziej je-

szcze stał się ofiarą zaślepienia własnych obywateli, jak igraszką przeciwnego losu.

Dziwną atoli sprzecznością w tej właśnie części dawniej Polski gdzie Karol Gustaw, jako współwyznawca, największe powinien był znaleźć poparcie, najwcześniej owszem objawiła się reakcja. Gdańsk, Elbląg, a nawet miasta portowe Prus lennych, prawda że w części powodowane interesem handlowym, oświadczyły gotowość walczenia za pozostaniem pod władzą rzeczypospolitej. Gdańsk najął własnym kosztem kilka tysięcy wojska, stawiając nad niem doświadczonego pułkownika Wintera. Całe też Prusy królewskie skwapliwie uzbrajały piechotę powiatową, miasta zaś swoje i zamki warowne przysposabiały do wojny.

Elektor brandenburski, wciągany przez Karola do przymierza, wyrozumiawszy że ten sojusz niewiele obiecuje mu korzyści, przeprawił się w ośm tysięcy przez Wisłę pod Mątunami, i zawiadomił stany pruskie, zwołane do Malborka przez wojewodę Jakuba Wejhera, że wspólnie z niemi działać będzie przeciw Szwedom, przyrzekając nawet liczbę swego wojska w ciągu dwóch tygodni podnieść do dwudziestu tysięcy.

Poprzednio jeszcze (15 września) admirał szwedzki Wrangel stanął z flotą pod Gdańskiem, żądając poddania tego miasta; ale mieszkańcy bez ogródki dali mu odpowiedź, że nie naruszają zaprzyjęzionej królowi polskiemu wierności, a lubo cały swój dochód ciągną z handlu, wolą jednak poświęcić go czasowo, jak skalać się wiarołomstwem i zdradą.

Karol Gustaw, uwiadomiony o takim stanie rzeczy, posunął ku Prusom od Nowogodworu generała Stenbocka, i sam ruszył za nim z korpusem szwedzkim, wzmocnionym siedmią tysiącami kwarcianych pod dowództwem Koniecpolskiego.

Gdy to się działo w Prusach, w Małéj Polsce, pośród kraju od nieprzyjaciół zalanego, pierwsza twierdza jasnogórska, pod dzielnym kierunkiem przeora swego Augustyna Kordeckiego, tudzież Stefana Zamojskiego miecznika sieradzkiego i Piotra Czarnieckiego, brata kasztelana kijowskiego, bohatérski stawiała opór. Kordecki niewątpliwie uczuciem religijném i obywatelskiém, wytrwałością i poświęceniem był jedną z najznakomitszych postaci swego wieku. Kiedy 8 listopada 1655 r. generał szwedzki Müller stanął niespodzianie u stóp

Jasnój Góry i wezwał Kordeckiego o poddanie klasztoru, szlachetny ten człowiek wyrzekł pamiętne słowa: „Choćbyśmy wiedzieli że nieprzyjaciel zwycięży, to póki tylko będzie można, póki dusza pozostanie w ciele, walczyć należy za cześć Bożą. Pamiętajmy że w zasłanianiu Jasnój Góry spoczywa obrona kościoła i kraju. Jeżeli Stwórca Wszechmocny wesprzeć nas postanowił, o czém powątpiewać niewolno, to z Jasnój Góry powinien być dany przykład wytrwałości.“ Sam pełen wiary serdecznej, umiał ją przelać we wszystkich co go otaczali. To też wśród szturmów najzaciętszego muzyka klasztorna na galerii wieżowej wygrywała hymny ku czci Najświętszej Panny, krusząc tym sumienie kwarcianych trzymających z Müllerem, a do wściekłości przyprowadzając Szwedów. Rozżarzona obrońców wyobraźnia widziała kule odbijające się od murów kościelnych i wracające do obozu napastników; widziała jak Najświętsza Panna Maryja w dzień biały klasztor okryła swoim płaszczem (1). Ta wiara rzewna i natchniona, obok sprężystej obrony materyalnej, ocaliła święty przybytek. Po siedmiu tygodniach daremnego kuszenia się o zdobycie Jasnój Góry, Szwedzi 27 grudnia zwinęli obóz, i w trzech oddziałach pociągnęli ku Krakowu, Piotrkowu i Wieluniowi.

W ciągu jeszcze obleżenia Müller napadł wiarołomnie na wojsko Czarnieckiego, stojące po wyjściu z Krakowa, według umowy, pod Siewierzem, i zabrawszy je przemocą, zmusił do wspólnego przeciw Częstochowie działania. Szczególnie tylko zrzuceniem Opatrzności bohater nasz wymknął się z rąk nieprzyjaciół, wolny już skutkiem tej zdrady od przyjętego zobowiązania trzymiesięcznej bezczynności.

Król szwedzki, jak nadmienilem, pospieszał z wojskiem własnym i kwarcianym do Prus, aby przytłumić szerszące się tam ruchy, a szczęście i tym razem jeszcze okazało mu się przyjaznym. Toruń, Grudziądz, Chełm i inne pomniejszych miasta podda-

(1) Jemiolowski, str. 72.—Autor Panow. Jana Kazimierza (wyd. Rac. tom I, str. 263) dodaje że sam Müller widział pannę w niebieskiej szacie ryczącą armaty klasztorne i odpychającą kule nieprzyjacielskie. Sędziwy jakiś staruszek odpędził Szwedów kującą skałę dla podsadzenia min. Żołnierzowi znów, mierzącemu do świętego obrazu, flinta przyrosła do twarzy; słowem nad obleżającymi widomie cudowna czuwała opieka.

ły się drogą układów; elektor zaś brandenburski, widząc przechylającą się szalę na stronę śmiałego najeźdźcy, zawarł z Karolem przymierze 18 stycznia zaczynającego się roku 1656.

Z pozyskaniem nowego sojusznika pomyslnie Szwedów, po sześciomiesięcznym wzrastaniu, stanęła na szczycie. Ale już ponad głowami napastników gromadzić się zaczęły chmury, z których coraz to częściej wydzięrały się groźne dla nich pobliski zbudzonej cnoty obywatelskiej. Czarniecki, stojąc przy królu jak kolos niewstrząśniony wszystko niszczącą burzą, z garstką wiernych wtargnął w Lubelskie, i tam przyłożył się najczynniej do zawiazania słynnego aktu konfederacyjnego w Tyśzowcach, którego głośno wyznawanym celem była obrona wiary i odzyskanie utraconej niepodległości. Jednocześnie Jan Kazimierz wydaje odezwę do narodu, obiecując przebaczenie wszystkim co zawiniwszy upamiętają się, i sam powraca do kraju, witany wszędzie z radosnym uniesieniem.

Na Litwie Paweł Sapieha wojewoda wileński, tradycyjny Radziwiłłów nieprzyjaciel, własnym kosztem uzbraja wojsko, i znaczne zebrawszy siły, Janusza Radziwiłła oblega w Tykocinie. Konfederacja tyśzowiecka, z zapalem przez naród przyjęta, szybko się rozkrzewia. Szlachta lubelska, ruska, wołyńska, podolska, a w innej stronie poznańska, rącho rwie się do korda; chorągwie wszędzie jakby zpod ziemi zdają się wyrastać.

Karol Gustaw na wieść o tych ruchach odstępował od Gdańska, niezachwianego w wierności ku Polsce, i zdawszy wojnę pruską na Stenbocka, pospiesznym marszem ściga do Łowicza. Koniecpolski, Dymitr Wiśniowiecki i Jan Sapieha, przez źle pojmovany honor, trzymali jeszcze ze Szwedem; ale dwaj pierwsi, wysłani przez Karola na odsiecz Tykocina, połączyli się w drodze ze swojemi, a w kilkanaście dni później Sapieha poszedł za ich przykładem.

Z Łowicza Karol przez Rawę i Radom udał się pod Solec, gdzie zbierał szlachtę Czarniecki; lecz ten, nie czując się na siłach przeciwko dziesięciotysięcznemu wojsku przeciwnika, uszedł za Wisłę. Bo już to taki zawsze był system Czarnieckiego, że męczył nieprzyjaciół podjazdami i szybkością obrotów, a potem niespodzianie ich napadał; słowem gdzie nie mógł przeskoczyć, jak mówi przysłowie, tam starał się podlęzc, i z każdej jakoś rozprawy

wyść umiał bez szwanku. Wiedział król szwedski że on jest ramieniem ocknionego ciała narodowego, i dlatego cofnął się zpod Solca, przebył Wisłę po lodzie w pobliżu Kaźmirza i wpadł na Czarnieckiego pod Gołębiem. Zmięszane zrazu wojsko polskie żwawo potem natarło na lewe skrzydło Szwedów pod dowództwem Duglasa, i znaczną część jazdy ze stromego brzegu Wisły zepchnęło na słabe już lody; ale gdy Karol nadciągnął z główną siłą, i armatami razić zaczął naszych, Czarniecki, nie mając ani jednego działą, ustąpić musiał z placu, straciwszy kilkuset poległych.

Po tej potyczce Karol w ośmnaście tysięcy obrócił się na Zamość i zażądał otworzenia bram twierdzy. Jan Zamojski podczaszy koronny, dziedzie tego miasta, zbaczając dał odpowiedź. Rozpoczęło się więc bombardowanie, ale że z armat polowych, żadnego nie odniosło skutku. Widząc iż próżno bez ciężkich dział obleźniczych kusi się o zdobycie Zamościa, król skręcił ku Jarosławiu, by ztamtąd rzucić się na Lwów. Już z większą częścią wojska 12 marca przeprowił się przez San, gdy niespodzianie Czarniecki, o którym Karol mniemał że gdzieś się tuła daleko, napada na tylną straż szwedzką, rozbija ją zupełnie i zabiera wszystkie sprzęty stołu królewskiego, część taboru i mnóstwo zapasów wojennych (1).

Duglas tymczasem (2 marca) stanął u Przemysła, lecz zagrożony przez Lubomirskiego, za którym ciągnął Jan Kaźmirz z hetmanami, zaniechał obleżenia i połączył się z Karolem idącym zpod Jarosławia do Przeworska. Po drodze oddziały konfederatów ciągle się przy nim wieszały od boków i tyłu, a że nacięrały z krzykiem, jak to było we zwyczaju u Tatarów, nieprzyjacieli, mniemając że Tatarzy naprawdę już mu jeżdżą po karku, w niezmiernym uchodził popłochu. Raz nawet w Rudniku król szwedski porwać się musiał od

(1) Niektóre zabytki tego zwycięstwa przechowują się dotąd w skarbcu Białegostoku. Najprzód; sztandar króla szwedzkiego srebrem na tle żółtawym haftowany, mający w środku gołębia z literami po bokach C. G. R. S. (Karol Gustaw król szwedzki). Powtóre szarfa takiegoż haftu i koloru, z wyszywaną gęsto literą S. Po trzecie dwa talerze srebrne płaskie z literami C. G. R. S., na których najmiliej było jadać Czarnieckiemu. Inne jego zdobycze wojenne zawiera częścią kościół św. Jana w Warszawie, częścią kościółek we wsi Czarnece. (Krajewski).

stołu, i wystrzeliwszy z obydwóch pistoletów, za ledwo dopaść mógł konia.

Odwrót Szwedów ku Sandomierzowi nie tyle nazwać można pochodem, jak raczej mozolnym śród ciągłych utarczek i nagabań wleczeniem się. Przybywszy nareszcie do wideł między Sanem i Wisłą, a nie mogąc przejść tej ostatniej, bo z tamtej strony czekali go już Czarniecki z Lubomirskim i Pawłem Sapiehą nadeszłym także zpod Tykocina, Karol okopał się tymczasowo we wsi Zalesiu. Sinclair komendant Sandomierza usiłował wprawdzie postawić most na Wiśle, lecz obkoczony przez naszych, rzucić musiał roboty i ledwie sam uszedł do zamku. Następnęj nocy pożar wzniecony przez Szwedów szerzyć się zaczął po mieście; Czarniecki przeto, aby zapobiedz zupełnemu zniszczeniu Sandomierza, nazajutrz wziął się do szturm. Wtedy Sinclair, przekonany że zamku długo utrzymać nie potrafi, podsadza pod fundamenta beczki z prochem, i zatliwszy siarniczki, z załogą na statkach odpływa. Już hufce polskie, rozchciwione spodziewaną zdobyczą, wpadają na mury, gdy nagle podminowana część zamku pryska w powietrze i pięćset ludzi zakopuje w swych zwaliskach (1).

Pomimo tej straty bolesnej byliby może Polacy w samolówce pod Zalesiem, gdzie Szwedzi z tyłu mieli Wisłę, z prawej strony bagna niedostępne, a z lewej koryto Sanu, odrazu zakończyli wojnę pojmaniem lub zgnieceniem Karola; ale brak regularnej i dobrze uzbrojonej piechoty wszelkie działania stanowcze czynił niepodobnymi. Król szwedzki téż, korzystając z tej przymusowej bezczynności, przeprowił się przez San, wyparł Litwinów z warownego obozu, zabrał im nawet działą, i spokojnie przez Lubelskie i Mazowsze przeszedł ku Warszawie.

Tymczasem lewym brzegiem Wisły ciągnęły

(1) „Godni zaprawdę takowej kary, mówi Jemiołowski str. 89, ci co tam byli, bo nietylko Żydów i inszych w zamku pozostałych przestrogi o zdradzie nie słuchali, ale i na zakaz Czarnieckiego, który tę zdradę z języków wyrozumiawszy otrąbić był kazał, nie dbali, mówiąc że to starszyzna sobie tylko skarby chcąc pobrać, nikomu ich udzielać nie myśli. Aleć doznał niejeden prawdy kiedy jako ptactwo, jedni bez rąk, drudzy bez nóg, bez głowy po powietrzu latać musieli, aż się w pół Wisły opięrali; drudzy rumem zamkowym przywaleni, albo poginęli, albo ze strachem, bólem i wstydem wyratowani byli.“

z Warszawy posilki pod dowództwem margrabiego badeńskiego Fryderyka, dla wybawienia Karola z kłopotliwego pod Sandomierzem położenia. Margrabia, dowiedziawszy się w drodze że król ocalony, postanowił idącemu na Łowicz Czarnieckiemu, który już przednią straż jego poraził pod Kozienicami, wzbronić przeprawy przez Pilicę. Ale Czarniecki, zastawszy most na tej rzęce zniszczonym: „Hardy nieprzyjaciel, zawołał, zastawiwszy się rzeką, drwi z nas; ale wnet zobaczy iż on, przebywszy morze spiesząc się na opressyą Polski, małej rzeki obawia się, a my tę rzekę w oczach jego przepłyniemy. Proszę za sobą!“ (1). I ścisnąwszy konia ostrogami, wplaw pierwszy się rzucił. W godzinę trzy tysiące jazdy przebywa wezbraną Pilicę i napada pod Warką na Fryderyka. Ten zrazu cofa się w porządku, lecz silniej przypierany, pierzcha, i w sześćset tylko koni dopada zamku czerskiego. Około dwóch tysięcy Szwedów poległo lub dostało się w niewolę, a w liczbie tych ostatnich był młodszy margrabia Adolf, hrabia Falkenstein, Weger i Poter (2). Pamiętne to zwycięstwo odniósł Czarniecki dnia 7 kwietnia 1656 roku.

Nie bawiąc się pod Łowiczem, z powodu że dobywanie tego miasta wiele zabrać mogło czasu, Czarniecki, odbiwszy dwa tysiące wozów, które Izrael komendant Łowicza z bogatemi łupy chciał wysłać do Szwecyi, pospieszył do Wielkopolski, gdzie wtedy już konfederaci, pod Piotrem Opaleńskim, wstępny bojem zabrali Leszno. Karol Gustaw pilnowanie Czarnieckiego zdał na brata swego, palatyna Adolfa Jana, a ten, po zajęciu Żnina, Golańczy i Rogoźna, stanął pod Gnieznem. Astrologowie dawniej jeszcze przepowiadali, że w tym miejscu zajdzie coś ważnego; jakoż w kościele katedralnym gnieźnieńskim na ołtarzu sączyła się krew z drewnianego krzyża świętego, i umaczał w niej podówczas palec towarzysza chorągwi Myszkowskiego, późniejszy historyk Wespazyan Kochowski.

W niedzielę 8 maja Polacy wyruszyli z Gnie-

(1) Panow. Jana Kaźm. wyd. Rac. tom I, str. 301.

(2) Jemiołowski (str. 94) utrzymuje że pojmano żywcem wszystkich nieledwie oficerów, a trupa położono ze cztery tysiące; ale liczba ta widocznie jest przesadzona, bo margrabia Fryderyk całego wojska pod Warką miał tylko trzy tysiące.

Czarniecki, dowodzący lewem skrzydłem, natarł zaraz na szwedzkie prawe pod Duglasem, lecz znieść nie mogąc silnego ognia nieprzyjaciół, cofnął się w porządku. Reszta też wojska polskiego, wstrzymana gęsto armatami najeżoną groblą, nie zdołała się rozwinąć (1); dosyć że zwycięstwo poszło za wyższością taktyczną (2). W rozprawie tej raniony był między wielą innymi Kochowski, za karę, jak sam się domyśla, że w świętej krwi Zbawiciela palec śmiał umaczać.

Po gnieźnieńskiej potrzebie Czarniecki ruszył ku Żninowi, i porozpraszał małe oddziały szwedzkie które zdybał na wypoczynkach. Tam otrzymawszy wiadomość że Jakub Weiher wojewoda malborski, chcąc zabiedz drogę Karolowi Magnusowi margrabiemu badeńskiemu, został przez niego pobity a następnie obleżony w Chojnicach, spieszy wojewodzie na pomoc i odpędza Badeńczyka; poczem, dla odpaszenia strudzonych koni, rozstawia swoje pulki po łąkach w województwie chełmińskim i ziemi dobrzyńskiej.

Król szwedzki z Warszawy wybrał się także do Prus, raz w celu powitania swjej małżonki, która, przypłynawszy ze czterema okrętami, wylądowała w Pilawie, a potem że koniecznie wziął się na pokromienie Gdańska. Przez parę już tygodni Karol zajmował się dobywaniem zewnętrznych okopów tego miasta, gdy doszła go wiadomość że Czarniecki, jak wspomnieliśmy, stoi w Chełmińskim. Niepokojony bliskością groźnego przeciwnika, postanawia wałą stoczyć z nim bitwę, szuka go długo nadaremnie koło Grudziądza i Chełmna, tudzież po drugiej stronie Wisły, w Koronowie i Bydgoszczy, ale wreszcie dopada obozującego pod Kcynią i znaczną zadaje mu klęskę. Czarniecki jednak zręcznymi obrotami potrafił jakoś uni-

(1) Jemiołowski (str. 94) nieczynność w tej potyczce części wojska przypisuje wzajemnemu między Jerzym Lubomirskim a Czarnieckim niedowierzaniu.

(2) Sprzecznie z tym wypadkiem bitwy gnieźnieńskiej podanym przez współczesnych historyków, królowa Marya Ludwika, w listach swych do pani *de Choisy* (Bibl. Warsz. 1851. Tom III, str. 199), utrzymuje iż Czarniecki doniósł jej, że byłby ze szczętem zniósł nieprzyjaciół, gdyby nie miejscowość bardzo dla nich dogodna. „Ocaliła ich piechota i armata, pisze królowa. Stracili do tysiąca ludzi, a my pięćdziesięciu do sześćdziesięciu. Pan Czarniecki dodaje: „Ta utarczka posłużyła tylko do przyzwyczajenia naszych jak pogardzać armatą, a szablą drogę sobie otwierać.“

knąć niebezpieczeństwa, a zebrawszy rozproszone pułki, pociągnął ku Warszawie.

Jan Kaźmirz po swym powrocie ze Szląska zatrzymał się we Lwowie, zbierając wojsko nietylko już ze szlachty, lecz w części także z ludu złożone. Lud wiejski w całej téj wojnie niesłychaną ku Szwedom pałał nienawiścią; bo ci przybysze palili i rabowali bez litości mieszkania jego i świątynie, zapijali kielichami mszalnemi i puszkami od Najświętszego Sakramentu, a markietanki ich z komży dalmatyk i ornatów robiły sobie stroje. To téż gdzie tylko Szwed który pokazał się pojedynczo, pewnie go żywcem nie puszczono. Daremnie Karol Gustaw usiłował podniecić cheiwość klasy nieoświeconej, przyrzekając znakomite nagrody za chwytnie i dostawianie konfederatów: ani jeden włościanin nie uległ pokuszeniu. Owszem przywiązanie chłopów skupiało się wyłącznie około najzarliwszych nieprzyjaciół Szwedów, a imię Czarnieckiego było dla nich świętém.

Prócz zaciągania pod swe chorągwie garnących się zewsząd ochotników, król polski pomyślał także o zawiązaniu rokowań dyplomatycznych. Cheiwy łupu Tatarzyn przyrzekł zaraz posiłki, a nawet przez posła umyślnego napomniiał elektora aby się wyrzekł Szwedów i baczył na obowiązek swój względem Polski. Do Kozaczyzny wysłany Lanc-koroński hetman polny i wojewoda ruski, mniej był szczęśliwy. Chmielnicki w Czehrynie stawiał się tak dumnie, że trudno było pomyśleć o układach. Jednego więc tylko uzyskano sprzymierzeńca, i to najmniej lubiącego statkować; ale przy szczupłych jeszcze, acz coraz rosnących, siłach konfederacyi i taka pomoc wielce była pożądaną.

W Warszawie marszałek Wittemberg miał na obronę miasta dwa tysiące wojska, któremu stojący na prawém pobrzeżu Wisły z Litwą i pospolitém ruszeniem mazowieckim Paweł Sapieha, starał się niedopuszczać posiłków i dowozu. Dwudziestego piątego maja nadciągnął zpod Lwowa Jan Kaźmirz z dwunastą tysiącami najemnej piechoty i pospolitém ruszeniem ruskiem. Przybył i Lubomirski z pod Łowicza, a nakoniec od Kcyni Czarniecki, który zaraz przeprowił się na drugą stronę Wisły, aby z Sapiehą odeprzeć nieprzyjaciela, jeśliby ten zamyslał dać odsiecz obleżoncom warszawskim. Cała siła polska wynosić mogła do sześćdziesięciu tysięcy.

KSIĘGA ŚWIATA B. IV.

Kiedy Wittemberg, wezwany o poddanie stolicy, odmówną dał odpowiedź, rozpoczęto strzelanie, i znaczne niezadługo w murach porobiono szczyby. Piérwszego czerwca szturmowano do klasztoru Bernardynów, a jednocześnie od bramy nowomiejskiej i klasztoru dominikańskiego nacięrał pułkownik Ernest Grothus, wspierany od kościoła Paulinów przez Czarnieckiego, który z oddziałem wojska litewskiego pospieszył ku miejscu najbardziej zagrożonemu (1). Ale Szwedzi dzielny stawiali odpór i kilka razy nawet pomyslnie robili wy-cieczki. Już miesiąc trwało obleżenie, a przecieź, mimo zdobycia klasztoru Bernardynów, pałacu biskupów krakowskich i pałacu Radziejowskiego, nieprzyjaciel mało poniósł szkody, bo król ile możliwości ochronić chciał swą siedzibę. Z tém wszystkiém komendant szwedzki, straciwszy już nadzieję odsieczy, oświadczył gotowość do układów. Podano więc warunki i podpisano takowe obustronnie 1 lipca 1656 r. (2). Szwedzi oddać mają zamek i miasto, ze wszystkimi działami i rzeczmi po kościołach zabranemi; sami pod strażą polską udadzą się do Torunia, ale żadnemu Polakowi zostać przy nich niewolno; kobiety i chorzy odesłani zostaną pod Nowydwór do obozu Duglasa; nakoniec kapitulujący przez cztery tygodnie walczyć nie będą przeciw Polakom. Wbrew jednak zobowiązaniom téj rzeczywiście zbyt łagodnej umowy, Wittemberg, Oxenstiernę, Forgla i kilku innych wyższych oficerów zatrzymano, i chroniąc ich od wściekłości pospólstwa, tymczasowo odesłano do Zamościa, gdzie Wittemberg umarł, nie doczekawszy się wolności. Oxenstierna, chory, pozostał w Warszawie; Forgel zaś nieco później otrzymał pozwolenie udania się do Krakowa.

(1) Znaczna ilość kościotrupów znalezionych niedawno przy kopaniu rowów na wodociągi, blisko kościoła popaulińskiego, prawdopodobnie z tego pochodzi czasu, jak to p. Wejnert w N. 150 Gaz. Warsz. z r. b. 1854 obszerniej wyjaśnił.

(2) Widać że Czarniecki niemało się przyłożył do odzyskania Warszawy, bo podług Rudawskiego (str. 250). Karol Gustaw, odebrawszy wiadomość o tym niepomyślnym dla siebie wypadku, zawołał: „Czarniecki, Czarniecki, poenitet me te aliquando dimisisse, quem nunc hostem atrocissimum experior supra caeteros.“ (Czarniecki, Czarniecki, żałuję zem cię dawniej [zapewne z Krakowa] wypuścił, kiedy teraz najszroźszego ze wszystkich mam w tobie nieprzyjaciela.

Niedługo jednak cieszyli się Polacy odzyskaniem Warszawy. Karol Gustaw, złączywszy się pod Płońskiem z elektorem, zabrał obozujących pod Nowymdworem Adolfa Jana i Duglasa, i 28 lipca stanął pod Warszawą. Wojsko polskie, osłabione odesłaniem Jerzego Lubomirskiego na obleganie Krakowa i rozpuszczeniem Wielkopolan, przeprowiło się na Pragę, gdzie w czasie już rozstawiania do boju Jaskólski zdążył przyprowadzić sześć tysięcy Tatarów. Wiadomy jest nieszczęśliwy wypadek trzydniowej (28, 29 i 30 lipca) walki pod Pragą. Jan Kaźmirz całą nadzieję pokładał w szczęściu i mężstwie Czarnieckiego, lubo ten narażaniu się na los wielkiej bitwy stanowczo był przeciwnym; ale brak wojska regularnego i jedności w poruszeniach, mimo wyższości liczebnej naszych, stał się powodem przegranej i powtórnego zabrania Warszawy. Król ostatniego lipca z kwarcianami, z piechotą i pospolitą ruszeniem lubelskiem, belzkiem i sandomiérskim ruszył ku Piasecznu, wyprawivszy w wigilią jeszcze królowę do Częstochowy; Szwedzi zaś dnia następnego wkroczyli do Warszawy, którą wstawienie się chorego Oxenstierny uchroniło od rabunku i zniszczenia (1).

Zpod Piaseczna król polski poszedł do Radomia, a potem, przebywszy Wisłę pod Kaźmirzem, zajął Lublin. Tu go dopędził wysłaniec szwedzki z ofiarowaniem pokoju, zawrzeć się mającego na podstawie przyłączenia Prus do Szwecji i zniesienia lenności elektora. Ale Jan Kaźmirz, zmiarkowawszy powody tej nagłej uprzejmości, bo wiedział już że Dania gotuje się do wojny, a wojska cara Aleksego Michajłowicza wtargnęły do Inflant i oblegają Rygę, z niczém posłańca odprawił.

Czarniecki po bitwie pragskiej udał się najprzód za królem, lecz posłyszawszy o rabunkach Szwedów po lewej stronie Wisły, zwraca się z Tatarami na Piotrków. Wtém dochodzi go wiadomość że Peter adjutant Wittemberga prowadzi kilka tysięcy wojska ściągniętego z różnych miast małopolskich; przecina mu więc gościniec przed Rawą, i pod Strzemieszną 24 sierpnia napada tak skutecznie, że znosi cały oddział. Co nie poległo, dostało się w ręce Tatarów, którzy, jak mówi Je-

miołowski (1), zmordowanych już Niemców napadłszy, jak czeczotki na lepie ich brali, jednych żywcem chwytając, drugich kładąc na placu, tak iż niebyło nawet komu zwiastować Karolowi o tej klęsce (2). Ale zginęło wielu także Polaków, a więcej jeszcze otrzymało rany, do których należał i sam Czarniecki, dość ciężko w nogę postrzelony.

Tymczasem Jan Konięcpolski wojewoda sieradzki na czele swego województwa zdobył Piotrków, a Wejher wojewoda malborski Kalisz; Opałęński zaś wojewoda podlaski, przenosząc wojnę do Brandenburgii, począł pustoszyć Nową Marchię. Od Litwy Gosiewski hetman polny, przeszedłszy z Tatarami granicę Prus lennych, pod wsią Prostkami pobił dowódcę brandenburskiego Waldecka, położył mu do trzech tysięcy ludzi, zabrał sześć dział, cały tabor i pojmał przychylnego Szwedom Bogusława Radziwiłła. Sam król z Lublina, przebywszy Wisłę, przez Sandomiérskie i Mazowieckie mimo Warszawy ściągnął pod Łęczycę, zdobył to miasto wstępny bojem, a potem zbrojnie także opanował Kruszwicę i Chojnice. Nakoniec, radośnie witany, 15 listopada odbył wjazd do Gdańska, którego wierni obywatele nietylko najskuteczniej ciągle opierali się Karolowi, lecz nawet marszałka Königsmarka, pierwszą po królu osobę, zabrali w niewolę (3).

Czarniecki po wyléczeniu się z rany dostał od króla rozkaz przeprowadzenia królowej z Częstochowy do Gdańska. Zabrał więc z sobą tysiąc dwie-

(1) Str. 107.

(2) Nieoszacowany nasz kronikarz-humorysta, Jan Chryzostom Pasek, dodaje (Pamiętn. wyd. 3 Rac. str. 6), że mało który z poległych uniknął egzenterowania, „a to z tej okazji: zbierając chlopi zdobycz na pobojowisku, znaleźli jednego trupa tłustego, z brzuchem okrutnie szablą rozciętym, tak że wnętrzności z niego wyszły; więc że kiszka przecięta była, zobaczyli jeden czerwony złoty; dalej szukając znaleźli więcej. Dopieroż zaczęli innych pruć, a tak znajdowali miejscami złoto, miejscami też błoto. Nawet i tych co po lasach żywcem znajdowali, to wprzód koło niego poszukali trzosa, potem brzuch nożem rozerzawszy i kiszki wyjąwszy, a tam nic nie znalazłszy, dopiero: „idźże złodzieju pludraku do domu, kiedy zdobyczy nie masz; daruję cię zdrowiem.“

(3) Jemiółowski (str. 3) powiada że Königsmark mile przez króla był przyjęty i we wszelakim dostatku i poszanowaniu trzymany, „który też napotem do traktatów w Oliwie umówionych między Polakami i Szwedami wielkim był incytamentem.“

(1) Jemiółowski, str. 105.—Jest także wzmianka o tém wstawieniu się Oxenstierny, waktach wójtowskich stariej Warszawy, ks. 553, pod r. 1656, na str. 42.

ście wyborowej jazdy i szczęśliwie z dostojną konwojowaną przybył do Chojnic. Tu otrzymawszy wiadomość że szwedzki pułkownik Aschemberg uderzył w pobliżu tego miasta na pułk Wiśniowieckiego, udał się do królowej, a że to było w nocy, kazał ją zbudzić i prosił o pozwolenie natarcia. Marya Ludwika, w niebezpieczeństwie największą zawsze okazująca energią, zezwoliła bez wahania. Czarniecki o świcie znienacka uderza na Aschemberga, rozprasza jego wojsko i przyprowadza królowej wziętych w niewolę pięćdziesięciu Francuzów, których wtedy nie mała liczba walczyła pod znakami szwedzkimi (1). Niepodobna jednak było wśród nieprzyjaciół zajmujących wszystkie przeprawy dostać się do Gdańska; postanowiła więc królowa z Chojnic powrócić do Częstochowy, z kąd nieznający spoczynku Czarniecki zaraz się nazad przebrał ku Prusom.

Widokrąg polityczny coraz bardziej w tym czasie dla Polski zdawał się rozjaśniać. Dom austriacki, w nadziei zapewne uzyskania korony polskiej, przyrzekał, chociaż nie czynną jeszcze pomoc, ale przynajmniej pośrednictwo. Dania, jak namieniliśmy, czyniła uzbrojenia. Z carem Aleksym, przez wdanie się cesarza Ferdynanda, 3 listopada zawarto w Niemieży pod Wilnem ugodę: że do pierwszego sejmku polskiego, na który car przysłać ma poselstwo aby go obrano następcą po Janie Kaźmirzu, zawiesi kroki nieprzyjacielskie; że wojskom polskim nigdzie wzbraniać nie będzie przechodu; nakoniec że króla szwedzkiego i elektora obie strony uważać będą za wspólnego nieprzyjaciela. Wszystko szło najpomyślniej, gdy na-

(1) „Pan wojewoda ruski (mówi Wydźga, str. 125) o północy przyszedł, dając znać królowej że na wojsko nasze, które się cofało ode Gdańska i niedaleko było Chojnic, napadli Szwedowie; zaczęłam on musiał iść tam na sukurs, i prosił królowej JMci, jeśliby Szwedowie chcieli uderzyć na Chojnice, żeby się nie trwożyła i żeby do żadnych akordów z niemi przystępować nie kazała. Królowa, najmniej się tą nowiną nie zalterowawszy, rzekła: „Jedź Wmć z błogosławieństwem Boskiem, a bądź tego pewien że się tu nie poddamy łatwo; doczekam tu Wn.ci.“ Poszczęścił Bóg; przywitani Szwedów dobrze Polacy, i lubo w niedobrym miejscu byli, tak się jednak sprawili dzielnie, bo im było *necessitas in loco, spes in virtute, salus ex victoria*, że podał nieprzyjaciel tył naszym, i nie mała więźniów posłał królowej pan wojewoda, między którymi też byli Francuzowie; postarała się aby ich uwolnić.“

gle nowy zjawił się przeciwnik: Rakocy książę siedmiogrodzki, podbechtany przez Karola Gustawa, pierwszych dni stycznia 1657 r. wkroczył z wojskiem w granice rzeczypospolitej (2), a napad ten niespodziany główne działania wojenne z Prus, jako mniej teraz zagrożonych, przeniósł do Małopolski.

Obecność Jana Kaźmirza, ciągle jeszcze w Gdańsku zamkniętego, koniecznie stała się potrzebną. Wysłany po króla Czarniecki dowiaduje się w Prusach, że Aschemberg, Duglas i Stenbock z trzech stron zabiegają mu drogę. Nieustraszony jednak wojownik, równie zręczny jak odważny, przez trafnie obliczone ruchy wydobywa się z matni, i zrobiwszy w dwóch dniach i jednej nocy 48 mil drogi, staje naprzeciw Płocka. Powtórnie tu od Szwedów zdybany na noclegu, kazał porozpalać ognie, jak gdyby miał zamiar rozłożyć się obozem, a tymczasem o świcie, mimo przeraźliwego zimna, szerokości i bystrości rzeki, wplaw Wisłę przebywa, straciwszy czterech tylko ludzi. Szwedzi, rozumując że już go trzymają, z zadziwieniem ujrzeli go nazajutrz spokojnie po drugiej stronie stojącego, a zanim zdążyli zebrać promy dla przeprawy, Czarniecki, wypocząwszy, pospieszył dalej, pobił pod Chorzelami i Działdowem oddziały brandenburskie, i przepłynawszy napowrót Wisłę niedaleko Grudziądza, przedarł się w nocy do Gdańska, gdzie w tryumfie od mieszkańców przyjęty i z pochodniami do miasta wprowadzony, sprawiając się z poselstwa, taką, według Krajewskiego, do króla miał przemowę:

„Od dzieciństwa mego aż do siwizny która mię okryła żołnierz pod panowaniem ojca, brata i Twojém, Najjaśniejszy Panie, użyty teraz jestem do poselstwa, abym oznajmił W. K. Mości o smutnym stanie ojczyzny. Jakby mi słodko było gdybym przynosił W. K. Mości pomyślniejszą wiadomość, że wyroki zmiękczone nieszczęśliwościami naszymi pozwoliły nam przecież używać miłego pokoju! Ale jeszcze nie rozjaśniało niebo,

(1) „Zachciało mu się polskiego czosnku, drwi sobie Pasek (wyd. Racz. str. 7), który mu ktoś na żart zachwalił, że miał być lepszego niżli węgierski smaku..... aleć dano mu nietylko czosnku, ale i dzięglu z kminem. Bo jak on tylko wyszedł za granicę, zaraz Lubomirski Jerzy poszedł w jego ziemię, palił, ścinał gdzie tylko zasiągnął, wodę a ziemię zostawując. Potem od matki Rakociego wielki okup wzięwszy, począł synowi perswadować żeby wszystkiego czosnku nie zjadł i przynajmniej na rozmnożenie zostawił.“ i t. d.

gdy prócz północnej burzy nowa nawałność od gór karpackich powstała, miotając nami. Hańba imienia chrześcijańskiego, Rakocy, bez żadnej przyczyny do nieprzyjaźni wkroczył w kraj, i dziec swoją chciwą łupu prowadząc, wszystko ogniem i mieczem pustoszy. Odgłos tych klęsk naszych obił się już może o uszy Twoje, Najjaśniejszy Panie; jednakże Ludwika królowa, równie troskliwa o zdrowie Twoje jak o całość ojczyzny, prymas koronny i pierwsze osoby posyłają mnie prosić Cię abyś szedł na ratunek ginącym. Niech Cię tylko zdrowego pośród nas oglądamy, to serca nasze nagrodzą męstwem poniesione klęski, i jeżeli kiedy zachwiał się nami los okrutny pogrążył nas w nieszczęśliwościach, teraz, przyzwawszy na pomoc męstwo, albo się wesprzemy w upadku, albo chwalebna śmiercią zatrzymamy niesławę; a co w przeciągu dwóch lat zdarzyło się złego, bardziej przeciwności losu niż naszej winie przypiszesz. Przeto abyś powrócił, Najjaśniejszy Panie, królowa Jęjmość małżonka, senat i ojczyzna doprasza się tego, ażebyśmy za poprzednictwem Twojem zachowali kraj wystawiony na łup najeźdźców, a ze wszech stron ogarnioną pożarem Polskę ugasiłi krwią nieprzyjaciół naszych.“

Król, pod noc złożywszy radę, zostawił w Gdańsku Grodzickiego pułkownika artylerji, sam zaś, z niewielej jak trzema tysiącami jazdy pod dowództwem Czarnieckiego, ruszył w pochód 31 stycznia przez województwo pomorskie, bez spotkania się z nieprzyjacielem, i doszedł do Kalisza, a ztamtąd do Częstochowy, gdzie oczekiwał nań senat z królową.

Wojsko Rakocego wynosiło dwadzieścia tysięcy Niemców i Węgrów, do sześciu tysięcy Multanów i Wołochów, tudzież piętnaście tysięcy Zaporozców pod Zeleneckim i Popeńką, razem przeszło czterdzieści tysięcy, którym Lubomirski, bezskutecznie dotąd zajęty obleganiem Krakowa, nie mógł stawić oporu. Wejście nowego nieprzyjaciela do Polski zmieniło niezmiernie postać wojny, dodając serca Szwedom, a trwogą przejmując konfederatów. Karol Gustaw, na wiadomość o postępach Siedmiogrodzanina, zostawiwszy w Prusach brata swego Adolfa Jana z Stenbockem, przez Toruń, Brześć Kujawski, Sobotę, Brzeziny, Rawę pociągnął pod Piotrków, zajął to miasto skutkiem poddania się nielicznej załogi, i oddał je Brandenburczykom;

lecz nie na długo, bo zaraz po ustąpieniu króla Czarniecki ztamtąd ich wypędził. Rakocy, po daremnem przez pięć tygodni obleganiu Przemyśla, po wzięciu okupu od Jarosławia i zbombardowaniu Łańcuta, własności nienawistnego sobie Lubomirskiego, przebywszy Wisłę u Opatowca, 28 marca odbył wjazd do Krakowa, z kąd Lubomirski cofnął się wcześniej ku hetmanowi Potockiemu na Sandomierz i Zamość. Czwartego kwietnia oba wojska napastnicze złączyły się z sobą we wsi Modliborzycach, między Opatowem i Rakowem, wśród huku dział i sypania wzajemnych grzeczności między królem a księciem siedmiogrodskim. Sprzymierzeńcy rzucili most pod Zawichostem⁽¹⁾ i przebyli Wisłę w zamiarze uderzenia na Zamość; ale nie nie wskórawszy, i nie mogąc dosięgnąć cofających się Potockiego i Sapiechę, przez Łuków na Siedlce zbliżyli się do Warszawy.

W tym czasie umarł Stanisław Lanckoroński hetman polny, po którym król województwo ruskie udzielił Stefanowi Czarnieckiemu, przydając mu starostwa piotrkowskie i kowelskie⁽²⁾; buławę zaś otrzymał Jerzy Lubomirski marszałek wielki koronny, lubo Czarniecki, co z ubogiego szlachcica wzbił się na najpierwszego w Polsce bohatera, przed innemi na nią zasługiwał⁽³⁾.

(1) Pufendorf, współczesny historyograf Karola Gustawa, (ks. IV, str. 257) przytacza w tém miejscu uderzający rys rycerskiej grzeczności Polaków i poszanowania ich dla majestatu królewskiego. Gdy w czasie stawiania mostu Karol Gustaw udał się osobiście na kępę w środku rzeki, dla rozpoznania miejscowości, stojący na prawym brzegu Wisły Polacy, chcąc przeszkodzić robotom, żwawy utrzymywali ogień. Zaklinali wodzowie króla aby na tak wielkie nie narażał się niebezpieczeństwo, ale Karol nie zważał na ich prośby. Wtedy pułkownik Korycki, trzymający do ostatka ze Szwedem, zawołał na swych rodaków by zaprzestali strzelania, bo król jest obecny, i mówiąc to wskazał nań ręką. Poczem przedniejsi Polacy, zeskoczywszy z koni, oddali Karolowi pokłony i stali póty z odkrytymi głowami, póki ten nie oddalił się; król szwedzki zaś, w odwecie za tę grzeczność, kazał również odwrócić skierowane przeciw nim armaty.

(2) Starostwo piotrkowskie otrzymał w Dankowie 40 maja 1657 r. (Arch. Gł. Lustracya 64, str. 232). Daty nadania starostwa kowelskiego, mimo starannych poszukiwań, nigdzie wynaléć nie mogłem; idąc więc za Krajewskim, kładę ją pod tymże rokiem.

(3) *Jam nie z soli ani z roli, ale z tego co mnie boli* (urósł), mawiał Czarniecki, przycinając tém Lubomirskiemu, którego ojciec wzbogacił się dzierzawą salin krakow-

Nowa, a stanowczo już dla Polski korzystna, epoka wojny szwedzkiej nastąpiła ze śmiercią cesarza Ferdynanda III. Syn jego i następca Leopold, który pod tytułem króla węgierskiego i czeskiego objął rządy Austrii, nieobojętnie patrzył na wzrastającą potęgę Rakociego. Stało więc w Wiedniu (27 maja) przymierze z Polską na lat dziesięć. Leopold zobowiązał się dostarczyć siedmnaście tysięcy wojska posiłkowego, zastrzegając sobie prawo obsadzenia załogami swemi Krakowa, Poznania i Torunia, a nadto biorąc w zastaw kopalnie Wieliczki, jako rękojmię zwrotu kosztów wojennych.

Gasnęła widocznie gwiazda Karola Gustawa; bo chociaż z jednej strony uzyskał sprzymierzeńca, byłato pomoc niedoleżna i zawodna, a z drugiej za to mnożyli się przeciwnicy. Stary Bohdan Chmielnicki, znacznie już na siłach i duchu upadły, świadczył się posłom polskim że pomoc przez Kozaków Rakocemu udzielona sprzeciwia się jego woli, i zaraz wyprawił rozkaz odwołujący Zelenecznego i Popeńkę. Ze Szwecyi nadeszła wiadomość o rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich przez króla duńskiego Fryderyka III, który już opanował Bremę z całym księstwem. Na tajnej więc radzie wojennej Karol postanowił tymczasowo udać się do Warszawy, dokąd i Rakocy, w uczuciu własnej nieudolności trzymający się protektora swojego za fałdy, ruszył z nim razem. Tutaj dopiero Rakocemu otworzyły się oczy, że Szwedzi jego ręką wydobyć chcieli ziemniaki z popiołu, a on i rękę sparzył, i ziemniaków nie dostał. Wiedział że Porta wyprawy jego nie pochwała; że przyrzeczone od Austrii przeciw niemu posiłki wkroczyły już do Polski pod dowództwem feldmarszałka Hatzfelda; że Tatarzy, a może i Kozacy, stoją po stronie Jana Kaźmirza. Naraz też Karol Gustaw począł dla niego obojętnieć, i własne tylko sprawy mając na pieczy, nie pożegnawszy się nawet z Rakocym osobście, wyjechał cichuteńko z Warszawy do wojska swego stojącego pod Błoniem, a ztamtąd przez Wielkopolskę ku Szczecinowi (1). Siedmiogrodzanin, własnym zostawiony siłom, już tylko nad tém przemyślał, jakby szczęśliwie przemknąć się do domu.

skich, i Konięcpolskiemu, którego ojciec doszedł ogromnego majątku przez wyjednanie sobie obszernych ról na Ukrainie.

(1) Jemiołowski, str. 122 i 123.

Tymczasem Lubomirski hetman polny, wzięwszy dwanaście tysięcy wojska, komunikiem, to znaczy bez taborów, ruszył na Skole przez Karpaty do ziemi siedmiogrodzkiej, wet za wet oddając Rakocemu. Przez dwa tygodnie hufce jego straszliwie kraj ten łupiły, pałac miasta, miasteczka, wsie i winnice, a „żadnej (jak twierdzi Jemiołowski, str. 124), w ludziach nie odniosły szkody, tylko w koniach, dla gór przykrych i gościńców ostrych, tak iż niektórym na wołach wyjeżdżać przyszło z Węgier.“ Poczém Lubomirski złączył się pod Stryjem z hetmanem wielkim Potockim, i obaj na pasach kędy Rakocy wracać miał ku domowi rozłożyli się kwaterami.

Rakocy, zmiarkowawszy ponieważ że porwał się, jak to mówią, z motyką na słońce, pociągnął od Warszawy w Lubelskie, a za nim od Częstochowy pogonił Czarniecki, przebywszy Wisłę pod Solcem, gdzie złączył się z nim w trzy tysiące Hilary Połubiński pisarz polny litewski. Siedmiogrodzanin jak mógł najspieszniej uchodził w kierunku Lwowa; ale Czarniecki, jak orzeł nad zdobyczą, ciągle nad nim wisiał, po trochu na tyłach go urywając. Już pod Kraśnikiem, mówiąc z Jemiołowskim, jechał prawie na karkach węgierskich, a pod Magierowem ubił mu kilka tysięcy ludzi i zabrał część taboru ze znaczną zdobyczą. Gdy ztamtąd Rakocy umknął przez Żółkwię do Glinian, zastąpili mu drogę obydwaj hetmani; skreślił więc na Wołyń do Zbaraża i dalej przez Ożygowce do Czarnego Ostrowa na Podolu, gdzie dopadnięty wieczorem przez hetmanów, za ledwo w nocy ujsć zdołał komunikiem. Nazajutrz o świcie staje pod Międzybożem, a Czarniecki z hetmanami depce mu tuż na pięty, wyraźnie do ostatecznej gotując się bitwy.

W tak kłopotliwem położeniu Rakocy posyła do Polaków trębacza, z prośbą o rozejm, albo przynajmniej o rozhovor. Dano mu tedy dwie godziny czasu, a wojsku rozjątrzonemu na Węgrów kazano trochę odstąpić i zabawić się trześniami poblizkich lasów, bo czego innego jeść nie było (1). Rozpostarto na trawie kobierce, i zjechał ze strony Siedmiogrodzan sam kanclerz Michał Mikes, ze strony zaś Polaków hetmani z Czarnieckim. Mikes w wyrazach dość ostrych zaczął wyrzucać

(1) Jemiołowski, str. 126.

Lubomirskiemu że pana jego wciągnął do téj wojny. Czarniecki słuchał go zrazu spokojnie, lecz w końcu, uniesiony gniewem, dobywszy w pół szabli zawołał: „*I ty i pan twój, przy łasce Bożej, obydwajście teraz króla i pana mojego!*“ To rzekłszy dosiadł konia, i nie czekając rozkazu, z Połubińskim na Węgrów chciał uderzyć. Wtedy Mikes, zmiarkowawszy że to nie przelówki, pokorniejszą przybrał postawę, i uniżenie kłaniając się Czarnieckiemu, zapytał jakim sposobem Rakocy nagrodzić ma wyrządzone szkody? „*Krwcią i złotem,*“ (1) odpowiedział Czarniecki. Zawieszono kroki nieprzyjacielskie, i 23 lipca spisano układ w Międzybożu. Warunki jego stanowiły: że Rakocy do Jana Kaźmirza wyszle poselstwo z przeproszeniem; że Szwedom i innym rzeczypospolitęj nieprzyjaciółom wypowie pobratymstwo; że bronić nie będzie swym poddanym wchodzić w służbę rzeczypospolitęj, i sam własnym kosztem wystawi w roku przyszłym dziesięć tysięcy wojska do jęj rozrządzenia; (2) że w końcu za szkody przez złupienie kościołów, miast i wsi polskich poczynione zapłaci sto dwadzieścia tysięcy czerwonych złotych węgierskich, i chanowi tatarskiemu złoży dary obiecane od Polaków za pomoc przeciw Szwedom. Punkta te Rakocy, dawszy zakładników, zaprzysiągł, i ostrzeżony że w drodze mógłby spotkać Tatarów, pod zasłoną oddziału polskiego nawrócił do Lwowa.

(1) Rudawski, str. 343.

(2) Jerlicz (tom II, str. 4) mówi tylko o sześciu tysiącach.

Zaledwo wojsko siedmiogrodskie, cicho bez muzyki, bębnów i wozów, z lekkimi tylko jukami odeszło, zgłasza się do hetmanów goniec tatarski, z doniesieniem że Jaskólski w sześćdziesiąt tysięcy nadciąga z chanem, który żąda aby w żadne z Rakocym nie wchodzono układy. Dowiedziawszy się że już po harapie (wyrażenie Jemiołowskiego), Tatarzyn odjechał, nie czekając dnia, i doniósł o wszystkiém chanowi. Rusza się horda rozgniewana zawodem, i uchodzących Siedmiogrodzan napadłszy pod Wiśniowczykiem, dwanaście tysięcy kładzie na placu, a zostawionych przy życiu odzięra i pędzi w jassy na Perekop. Rakocy z trzystą ledwie towarzyszymi trafił do ziemi ojczystej, gdzie wkrótce Porta, za zerwanie przeciw jęj woli pokoju z rzeczpospolitą, wyzuła go z władzy książęcęj. „Taki był koniec, mówi Jemiołowski, wojny węgierskiej, która jako się prędko i niesłusznie zaczęła, tak prędszej jeszcze, za łaską Bożą a dzielnością Polaków, w pół roku niemal skończyła, że Węgrowie szabeltasy swe pogubić mieli, na dawném fundując się przysłowiu: babi taniec, węgierska wojna niedługo trwać zwykła.“

Wkrótce potém (7 sierpnia 1657 r.) Czarniecki, będąc niedaleko Lwowa, oddzielił się od wojska z dywizją swoją i odbył wjazd wspaniały na województwo ruskie, przyjęty z okrzykami radości i powitany imieniem kapituły lwowskiej przez Wojciecha Pieglowskiego mową wystawiającą jęgo męztwo i czyny wojenne.

(Dokończenie w następnym zeszycie).

GOŁĘBIE.

Łatwo było, mówi Buffon, oblaszkać i przyswoić ptaki ciężkie, spokojne, jak np. kurę, indyka, pawia; ale jakich to trudności doznać musiano w przyswojeniu ptaków żywych, pierzchliwych, jak wiatr lotnych. Dostyc jakiś takiej ogrodzonej chaty, podwórza, aby można dużo chować różnych gatunków domowego ptastwa, drobiu; ale chcąc chować stado gołębi, trzeba dla nich stosownie urządzonego, na przegródki podzielonego,

umyślnie na ten użytek zbudowanego gołębnika, albo stosownie urządzonego poddasza, wieży. Zawsze to ich mieszkanie musi być wyniosłe, mieć łatwe wyloty na wszystkie strony, a szczególnie na obszerne pola lub place po miastach. Gołąb rzeczywiście ani jest domowém zwierzęciem, jak pies lub koń, ani więzaniem koniecznym do człowieka przywiązany, jak kura; jestto raczej jeniec dobrowolny, niestały gość, który dopóty tylko bawi



między nami, dopóki mu się spodoba dane mu schronienie, dopóki w niém znajduje podostatkiem pożywienia i inne wygody życia. Skoro mu się co niepodoba lub czego mu zabraknie, gdzieindziej szuka schronienia. Może przez upodobanie w zupełnej, pierwiastkowej od człowieka niezawisłości, widzimy niektóre przekładające zakurzone, spróchniałe belki, ładajakie dziury w starych murach, nad pięknie i ze wszystkimi wygodami urządzone gołębniki. Inne obiérają sobie siedziby w dziuplach wypróchniałych drzew; inne znowu zdają się stronić od mieszkań ludzkich i nie ich tam zwabić nie zdoła; kiedy przeciwnie inne jeszcze nie ośmielają się oddalić za budynek w którym mieszkają, i koniecznie żywić je trzeba, aby z głodu nie pomarły. Tak przeciwne sobie obyczaje i skłonności zdawałyby się wskazywać że pod jednym nazwiskiem *gołębie* rozumieć się powinno wiele różnych gatunków, z których każdy ma inną, właściwą sobie naturę; a myśl tę szczególnież zdawałaby się potwierdzać okoliczność, że wielu badaczów upatrują w nich mnogie gatunki, nie licząc jeszcze w to ani *grzywacza* ani *turkawki*. Buffon liczy ich pięć, inni do stu i więcej, a inni znowu trzy ich tylko upatrują, jakoto: *Gołąb jawański* (*Columba coronata*), *G. domowy* (*C. livia*) i *G. grzywacz* (*C. migratoria*), wszystkie zaś inne uważają za odmiany, powstałe z pomieszania.

Naturalne, mniej więcej stałe, cechy rodzajowe gołębi są te: wielkość średnia, jak małej indyczki, lub mała, jak sinogarlicy lub turkawki. Nogi mierne krótkie, częstokroć aż na palcach piérzem okryte; palców 4 wolnych, tylny cały następujący; skrzydła i ogon mierne; w ogonie zwykle 12 stérówek. Głowa mała, aż po oczy po największej części goła. Dziób średni, szczupły, miękki, prosty, przy nasadzie wypukły, z garbatą woskówką, z przodu na dół zakrzywiony; otwory nozdrzów w osadzie dzioba, wzgórki na bokach jego tworzącej. Gniazdo ścielą zwykle bardzo proste na drzewie, i to bywa z suchych drobnych różeg, w dziurach murów, skał lub w dziuplach drzew, a na te najwięcej używają słomy. Większa ich liczba należy do ptaków ciepłych i gorących krajów; w krajach zaś zimnych i umiarkowanych liczą się do ptaków przelotnych. Lot ich jest jednostajny, lekki, bystry. Przebywają najwięcej w lasach, zarosłach i okolicach skalistych. Żywią się nasionami, (których szukając, szczególnież świeżo zasianych, ziemię

dziobem grzebią) jagodami i t. d.; piją jednym ciągiem, aż do sytu. Lubią, jak kury, kąpać się w piasku i, jak wiele innych ptaków, w wodzie. Głos ich w ogólności jest jednotonny. Samice zwykle znoszą na raz po dwa jaja, i te naprzemian z samcem pilnie wysiadują. Mięso wszystkich gatunków jest smaczne. Choć z ukształcenia i pod wielą względami należą do ptaków grzebiących, we względzie jednak obyczajów tém się od nich różnią, że żyją w jednożeństwie tak przykładowie, iż stały się godłem miłości małżeńskiej, którą to skłonność nietylko w dziko lub półdziko żyjących, ale i w chowanych niezmienną spostrzegamy. Łagodność i przywiązanie, nietylko między parami, ale i między indywiduami, są im wrodzone, ochędostwo zaś, staranie około siebie, czyste ciała i jego pokrycia utrzymanie, każe niejako domyślać się w nich chęci wzajemnego podobania się. Spółność jakim się jedne drugim wdzięczą jeszcze wyraźniej miłej w nich zalotności dowodzi, i pod tym względem ich pieśczęty stały się przedmiotem poetyckich porównań. Nie widać nigdy między nimi złego humoru, wstrętu, ani zwady małżeńskiej; całe życie upływa im na wzajemnych pomocach, wspólnej a pilnej i uprzedzającej troskliwości o wychowanie potomstwa. Wszelkie w tym względzie trudy i starania samiec z samicą równo podziela; gdy na samca przyjdzie kolej, siedzi on pilnie na jajach lub karmi pisklęta, aby jego towarzysza mogła należycie posilić się i odpocząć. Na dowód wielkiej miłości macierzyńskiej tego ptaka Buffon przytacza przykład samicy domowego gołębia, której przemarzłe nogi odpadły, a jednak nie przestała wysiadywać jaj, aż się wylęgły. Gdy samica na jajach siedzi, samiec, dla jej towarzystwa, tuż obok niej przesiadywa. Jaja gołębi latem wylęgają się w ośmnastu, a zimą w dwudziestu dniach.

Gołąb, w swych rozmaitych odmianach, prócz wdzięcznego ogólnego kształtu, towarzyskiej, łagodnej natury, nie odznacza się ani świetnym, jak wiele ptaków, ubarwieniem, ani szczególnymi przymiotami lub celującą nad kury, indyki, gęsie i t. d. użytecznością, a przecież do jego chowu tyle zawsze było i jest zapalonych miłośników we wszystkich klassach ludzi, iż były przykłady że parę gołębi płacono po kilkanaście i kilkadziesiąt dukatów; niektórzy nawet dla miłości chowu gołębi znaczne majątki potracili. Są jednak gatunki, albo raczej

odmiany, odznaczające się świetnym ubarwieniem; takich tu opisy z rycinami zamieszczamy.

Fig. 1. *Gołąb czubaty* (*Columba lophotes*). Główną cechą tego gołębia jest długi czub na tyle głowy, składający się z piórek prawie prostych, frenalowatych, kończystych, podobnie jak u czajki pospolitej. Upiórzeń całej głowy, piersi i spodu ciała jest popielate, kark i boki szyi u spodu czerwono-siwawe. Grzbiet i małe pokrywy piór skrzydłowych siwo-popielato-brunatnawe, a na lotkach szerokie, czarne, poprzeczne pręgi i żółto-brunatne końce. Pióra większe lotki pokrywające są pięknie zielone, z metalicznym połyskiem, czysto-biało obwiedzione. Lotki drugie, równie jak pierwsze czyli skrajne, ciemno-popielato-siwe, biało obwiedzione, tu i owdzie purpurowo-czerwone mi plamkami upstrzone. Poboczne pióra w ogonie czarno-błękitno-połyskowe, z białymi końcami; dzióbek czarny, nogi czerwone. Długość ptaka cała 12. Gołąb ten odkryty został przez podróżników angielskich w górach Nowej Hollandyi i przed kilkunastą laty do Anglii sprowadzony, gdzie przez miłośników bardzo drogo bywa płacony. Jestto rzeczywiście bardzo piękna odmiana.

Fig. 2. *Gołąb naczółek* (*Columba diademata*). Ma cały wierzch głowy pięknie perłowo-siwo-bia-

ły, żółtą prążką obwiedziony. Podbródek także i podgarle żółte. Kark i piersi blado-zielonawosiwe. Środkiem brzucha idzie szara plama, reszta zaś żywo-żółta; tegoż samego koloru są pióra nasadę ogona spodem pokrywające. Upiórzeń na nogach, na bokach brzucha, na grzbiecie, skrzydłach, i większa część piór w ogonie, pysznie zielone. U większych, skrzydła okrywających piór i u lotek trzeciego rzędu obwódki szerokie, żółte. Ojczyzną tego pięknego gołębia są wyspy Celebes i Banda.

Fig. 3. *Gołąb porfirowy* (*Columba porphyrea*). Głowa, szyja i wyższa część piersi purpurowo-czerwone; ostatnia część otoczona przepaską, za którą znowu idzie druga, szersza, zielonawo-szarawa pręga. Spód ciała pięknie błękitnawo-szaropielaty. Boki brzucha i pióra na spodzie ogona zielonawo-żółte. Grzbiet i skrzydła zielone. Piórze na nogach zielone, palce żywo-czerwone. Środkowe stérówki, widziane z wierzchu, są ciemno-zielone, skrajne zaś jasno-zielone, z końcami siwawo-zielonemi. Pierwsza połowa ogona, od dołu widziana, jest ciemniejsza, druga jaśniej siwa. Długość gołębia 10 do 12 cali. Ojczyzną wyspy moluckie.

E. L. b. prof. n. p.

ZŁUDZENIA ZMYSŁOWE.

Jak cały organizm człowieka podległy jest wpływom nieprawidłowym, wywołującym cierpienia w niektórych jego częściach, tak podobnież i zmysły mają swe choroby: są nimi *złudzenia zmysłowe*. Przyczyny takowych szukać należy albo w nienormalnej budowie organów, albo w przerwaniu ich łączności, lub nareszcie w chorobliwym stanie mózgu; to znaczy że wynikają albo z wrodzonej, czy przyswojonej wychowaniem, ułomności, albo z niedokładnego przewodniczenia aparatu nerwowego, albo z niewłaściwego odbicia się otrzymanych wrażeń w rozstrojonym mózgu. Każde zwierzę doskonalsze oślepić można troistym sposobem: przez zniszczenie zewnętrznych jego oczu, przez przecię-

cie nerwów widzenia i przez zniszczenie *poczwońnej wydajności* w mózgu. Temiż samymi właśnie sposobami powstać mogą i owe zakłócenia organizmu, zwane złudzeniami zmysłowemi.

Nie będziemy się tu rozszerzać nad złudzeniami wynikającymi z wychowania, których sprawą lekkliwe np. dziecię w powiewającej w ciemności chustce białą widzi postać: nikną one zwykle w miarę doświadczenia, w miarę dojrzałości fizycznej i moralnej. Ale organy naszych zmysłów same w sobie tyle są sztuczne, tak delikatnie złożone i tak drażliwe, że każde silniejsze ich wstrząśnienie staje się powodem zjawisk nienormalnych. Uderzenie w ucho albo oko sprawia szum w głowie lub iskry

przed oczami. Obfitszy krwi napływ do tętnic naszego ucha zamienia najłżejszy szelest w huk uraganu. Błędny skład błony rogowej oka staje się powodem zamglenia wzroku lub podwójnego widzenia. Zmęczenie cieczy soczewkowej albo płynu szklistego zwykło iść w parze z niewyraźnym widzeniem, a kończy się szarą kataraktą. Gdy ciecz wodnista przedniej komory oka zmieszana się z żółcią, natenczas wszystkie też przedmioty przybięrają dla nas barwę żółtawą. Nieczułość błony siatkowej objawia się latającami przed okiem mroczkami i płatami, a prowadzi najczęściej do czarnej katarakty.

Niedosyć jednak na tém że sama już budowa naszych organów zmysłowych liczne w ich działaniu wywoływać może zboczenia, zostają one nadto w związku najściślej z innymi organami ciała, których przeto cierpienia oddziaływać muszą i na zmysły. Jeżeli są ludzie nie mogący rozróżnić kolorów, a nawet nie widzący ich wcale, którym wszystko, jak na rycinie, w czarnych tylko wydaje się odcieniach, to niezawodnie przyczyny tego zjawiska szukać należy raczej w mózgu, jak w budowie zewnętrznego oka. Rozstrój ogólny całego organizmu udziela się koniecznie i narzędziom zmysłowym. Dlatego choroby nerwowe bywają częstokroć poprzedzane drażliwością niektórych zmysłów, mianowicie węchu; cierpiący czują woń siarki, wapna i t. p. gdzie niema jej ani śladu. Migrenie towarzyszy niekiedy tak nadzwyczajna czułość na zewnętrzne wrażenia, że najmniejsze światło, najslabszy odgłos, zapach zaledwo dostrzegalny silne i szkodliwe na chorym wywierają działanie. W kurczach przeciwnie tak zupełne często następuje zdrętwienie, iż nawet najboleśniejsze drażnienia, jak np. szczypanie, klócie, parzenie topiącym się lakiem, pozostają bez skutku. Reumatyzmy sprawiają czasem gwałtownyszum w uszach i chwilowe ogłuchnięcie, jak katar znów, w ciągu swego trwania, odejmuje smak i powonienie. Cierpienia histeryczne do tego stopnia przerobić mogą organ węchu, że zapach kwiatów wstrętnym się staje dla chorych, gdy przeciwnie z upodobaniem wdychają oni woń czosnku, palonych włosów i t. p. Inne jeszcze choroby wpływają na zmianę smaku: zimnicom towarzyszy zwykle smak kwaskowaty, cierpieniom narządów oddechowych smak słonawy, krwotokom płucowym słodkawy. Zmysł nawet do-

tknięcia tak dalece w różnych przejściach organizmu może być rozstrojonym, że jednemu lada urażenie niezdolne sprawi cierpienia, gdy przeciwnie inny, a zwłaszcza melancholik i hipochondryk, najokropniejsze bóle poniesie bez narzekania. Nieczułość jaką w ostatnich czasach wzbudzić zdołano przez wzięwanie chloroformu, ważnym jest przyczynkiem do teorii nieprawidłowych tych przeistoczeń.

W szczególnie blizkim związku zostają organy zmysłowe same między sobą. Katar osłabia jednocześnie smak i powonienie. Znany środek ku złagodzeniu przykrego smaku leków jest zatkanie nosa przy ich zażyciu. Stwierdzonym także, lubo niejednokrotnie zaprzeczonym, jest faktem, że najbieglejszy znawca z zawiązanymi oczami i zatkanym nosem nie rozezna najróżniejszych gatunków wina. Z drugiej znów strony osłabienie albo zupełne zniszczenie jednego zmysłu, podwyższa nieraz działalność drugiego. Słuch zaostrzony i nader rozwinięte dotknięcie zawsze prawie ślepych są udziałem. Ale zmysł osłabiony lub zniszczony sam w sobie niekiedy odrębne rozwija usposobienia. Oko, gdy długo na czerwony patrzyło kolor, tworzy sobie zielony; znużone barwą niebieską, dla spoczynku wskrzesza żółtą. Zda się wreszcie że wzrok nasz własne, wewnętrzne posiadać musi światło, bo często, po spokojnie przespanej nocy, stają przed nim z rana jasne jakieś kręgi i różnobarwne snopy, bo nawet ślepi z urodzenia miéwają podobne uludy.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli naturalny wynika wniosek, że gdyby nie było cierpień naszego organizmu, nie byłoby tém samém i złudzeń zmysłowych. Zdrowy więc człowiek powinienby od nich być wolnym. Trudno to jednak i bardzo trudno ustanowić w téj mierze zasadę, gdyż większa część owych złudzeń nie wymaga bynajmniej stanu wyraźnie chorobliwego. Niejeden z nas szczyca się siłą swego wzroku, a przecież nie zdoła nawet obydwóch oczu używać jednostajnie. Gdy jedno oko pokryje blado-czerwoném, drugie blado-zieloném szkiełkiem, powinienby wtedy, podług teorii światła, widzieć otaczające go przedmioty bezbarwnie, a tymczasem widzi je czerwono lub zielono, bo jedno oko więcej się natęży od drugiego. Jakkolwiek więc organizm człowieka najdoskonalszym jest aparatem fizycznym, niedokładne wszakże użycie

onego liczne wywołuje usterki, podobnie jak najlepsze narzędzie muzyczne, w ręku nieumiejętnego, fałszywe wyda tony.

Zawodniejszém jeszcze staje się działanie zmysłów przez użycie sztucznych środków pomocniczych. Nie bez słuszności powiedział Goethe, że okulary, pod względem nawet moralnym, niekorzystnie na człowieka wpływają, bo znosząc równowagę między zmysłem jego widzenia a sądem i pojęciem wewnętrzném, czynią go przesadnym i zarozumiałym. Ale stokroć złudniejsze są szkła farbowane namiętności, temperamentu naszego i osobistych nawyknień, przez które aż nazbyt często lubimy przypatrywać się światu! Wszystko co nas otacza pozostaje niezmienném, lecz własne widzenie nasze nieustannie się przerabia. Dziecię inaczej widzi od wyrostka, wyrostek od młodzieńca, młodzieniec od męża i starca. Życie uśmiecha się szczęśliwemu, a mierzi nieszczęśliwego. Przyroda dla ludzi powszednich wiecznie jest martwą i niemą, gdy dla poety każdy głaz, każde drzewo nadobną tętni pieśnią. To właśnie przenoszenie osobistości swojej na przedmioty zewnętrzne tłumaczy nam rażące nieraz sprzeczności w opisach i obrazach tychże samych okolic, skręślanych przez podróżników lub malarzy.

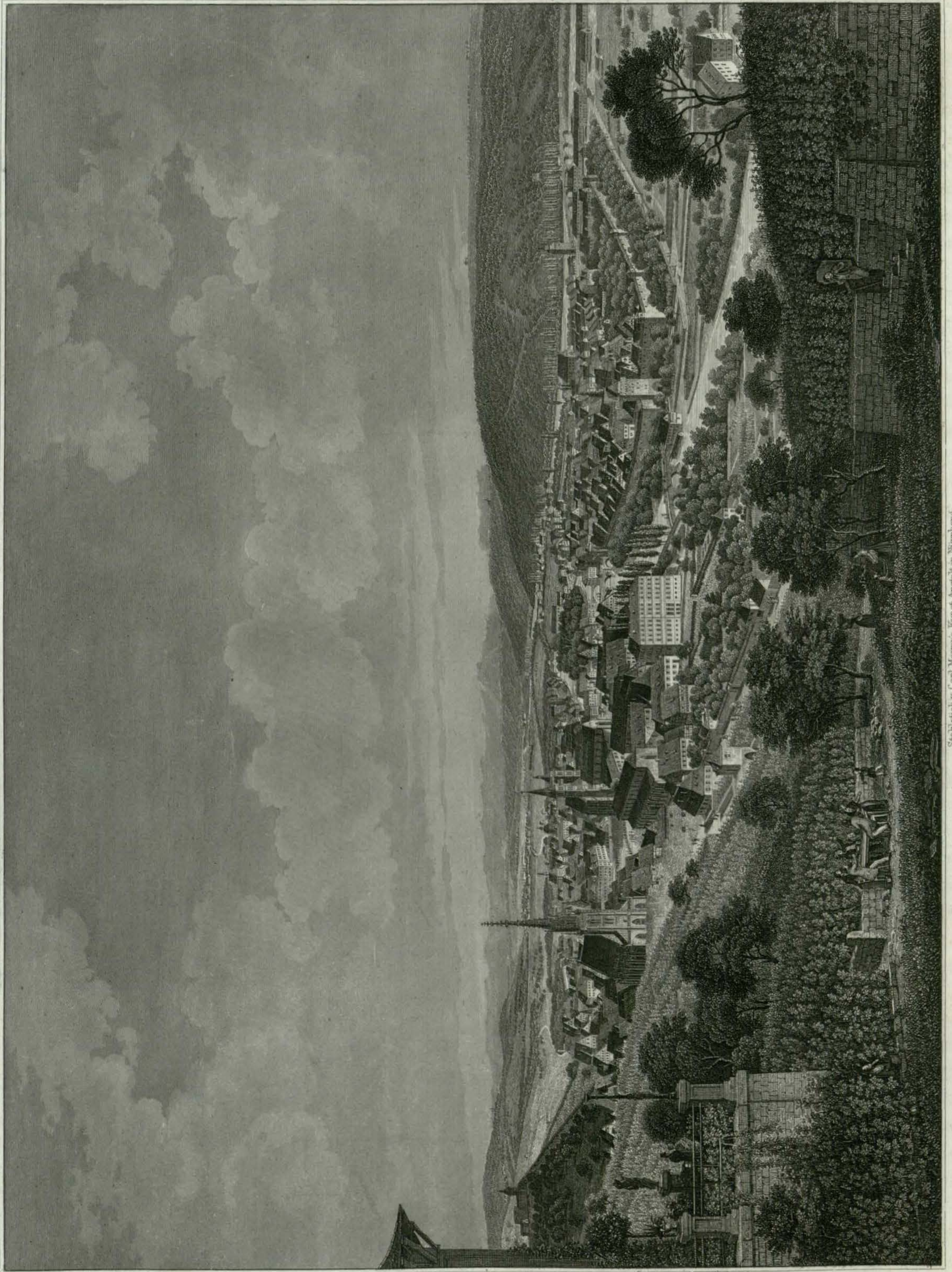
Z uznaniem tego wpływu moralnych usposobień naszych na działalność zmysłową przestąpiliśmy już w krainę duchową, najbardziej w złudzenia wszelkiego rodzaju obfitującą. Tu znajdujemy nie same już tylko wady organów zewnętrznych, ale cierpienia systemu nerwowego i mózgu. Lubo więc w takim stanie zdrowe wrażenia przez pośrednictwo zmysłów nie przestają być możliwemi, ulegają one jednak w pojęciu chorego przeistoczeniu, od których krok jedyntylko do obłąkania.

Cierpienia przeto mózgowe najbogatszém są źródłem coraz to nowych złudzeń zmysłowych. Poprzedzają je zwykle uludy smaku i powonienia, a najwyższemu dopiero rozwinięciu takowych towarzyszą uludy wzroku i słuchu. Obłąkany w swém więzieniu widzi rzeczywiście tylko lachmany, ożóg i stołek drewniany; lecz chorobliwy stan mózgu przerabia te przedmioty w pełne przepychu oznaki dostojności.

Cokolwiek atoli stanie się powodem obłąkania, czy rozdwojenie myśli, czy chorobliwość organów naszego ciała, nawet odleglejszych, jak np.

żołądka lub serca, zawsze mózg będzie główném i ostatecznym siedliskiem cierpienia. Silne już pobudzenie mózgu za pomocą spirytusowych napojów zupełną sprawia nieprzytomność, i rzeczywiście każdy pijany chwilowo jest obłąkanym. Gdy skutkiem nałogowego opilstwa skład mózgu trwałemu ulegnie przeistoczeniu, następuje wtedy tak zwana *gorączka pijacka* (*delirium tremens*), z okropnemi widzeniami swemi, mianowicie myszy i szczurów. Równie blisko z pomięszaniem graniczą owe choroby systemu trawienia, znane pod nazwiskiem melancholii i hypochondrii, a wywoływane najczęściej sposobem życia siedzącym i wysileniem umysłowym, których objawy nieraz sięgają krańców szaleństwa. Pascal obok swego krzesła widział zawsze przepaść ziejącą, a Nicolai zapełniał swój pokój w wyobraźni postaciami zmarłych przyjaciół, z którymi głośno się witał i rozprawiał. Jeden muzyk francuzki spisywał nawet melodye, jakoby podsłuchane w powietrzu. Podobnie chorobliwe przypadłości zdarzają się u kobiet skutkiem zatamowania fizycznego ich rozwinięcia. Uderzający tego przykład przedstawia dziewica orleańska. W trzynastym już roku podlegała ona złudzeniom wzroku i słuchu; tajemnicze głosy rozmawiały z nią w samotności; prąd światła opływał ją w dzień jasny, a święci i aniołowie zstępowali ku niej z nieba. Jak niepojęte złudzenia rozwinąć się mogą z cierpień historycznych, tego dowód w nowszych czasach widzimy w somnambulizmie, a dawniej w epidemicznych zachwytach, w tańcu św. Wita i cudownych niby widzeniach, szczególnie po żeńskich klasztorach i domach sierot. Do wad organicznych łączyła się tu drażliwość wynikająca z osamotnienia, pokut i postów, i uważano z przerażeniem, że wszystkie te środki, zamiast złagodzić maierane opętanie, jeszcze je powiększały.

Nie mamy tu zamiaru zdążać za przebiegiem złudzeń zmysłowych, aż do przetworzenia się ich w zupełne obłąkanie: obfitych tego przykładów dostarcza życie powszednie. Każde wzruszenie duszy, każda skłonność, namiętność każda wzbudzić może oznaki bardzo do obłąkania zbliżone. Namiętność, przez to właśnie że dąży do panowania, zakłóca harmonią organizmu i rozstraja prawidłowy jego związek, a wszakżeż nieinaczej działa i obłąkanie. Wspomnijmy tylko namiętności religijne wieków średnich, kiedy tysiące zagorzalców do-



Städtisch v. Carl Meyer's Kunst-Anstalt in Nürnberg

Esslingen.

browolnie się oskarżało o przestawanie z diabłem, opisując szczegółowo urojone schadzki czarownic i radośnie domagając się śmierci na stosie; czyż dzisiaj w podobnych czynach nie widzianoby dowodów obłąkania? a przecież były one tylko wpływem powszechnie wtedy panujących wyobrażeń.

Miłość zaślepia, mówi przysłowie. Powiédźmy raczej ogólnie: namiętność każda burząco działa na zmysły. Samo nawet obłąkanie przedstawia zawsze obraz jednej panującej namiętności, u mężczyzn najczęściej ambicyi, u kobiet miłości. Namiętność nietylko że zaślepia, lecz rodzi nadto odpowiednie dążeniu swemu uludy. Młodzieniec oczekujący przedmiotu swoich uczuć, w każdej sukni widzi postać kochanki, w każdym szeleście słyszy jej stąpnienie. Dla tchórza uderzenia własnego pulsu przestraszającym stają się łoskotem. Skąpiec w najlżejszym odgłosie przeczuwa zakradającego się do skarbów jego złodzieja.

Aż dotąd zdołaliśmy wszelkie złudzenia zmysłowe wytłumaczyć jako konieczne następstwo ukrytych w organizmie naszym przyczyn; obecnie z tajemną trwogą dotknąć się nam przychodzi owych zjawisk niepojętych, zagadkowych, co jakby z obcych zesłane światów, wkraczają niekiedy w ziemskie nasze życie. Są to złudzenia przerywające nagle, przy zupełnym na pozór zdrowiu, jednostajność prawidłowych działań organizmu. Przed uchem naszym zadźwięczy jakaś nuta dziwna, nie wiedzieć z kąd powstała i nieodstępnie nas prześladowająca. Obrazy ludzi i okolic

dawno, a może nigdy niewidzianych, stają nam przed wzrokiem. Zalata nas woń szczególna, której nikt nie dostrzega; czujemy smak wcale nieistniejący. Bez żadnej przyczyny zewnętrznej przebiegają nas dreszcze, klócie i palenie na skórze, owiéwa jakby przeciąg w zupełnie spokojnym powietrzu. Niewytłumaczona tęsknota lub trwoga ogarnia nasz umysł, widzimy wszystko czarno i oddech ściska nam się w piersi, jak gdyby ją góry przywalały. Kilka godzin spoczynku, a śmiać się będziemy z nicości tych urojeń. A jednak gdy one zbyt często się powtarzają, przechodzą w tak zwane *idiosynkrazye* (*idées fixes*) czyli stałe przywidzenia, napotykanie nieraz obok pełnego sił duchowych używania.

Stajemy tu nad straszliwą przepaścią; boć każde złudzenie człowieka wolnej woli pobudzić może do czynu, a jakież będą te czyny wyrosłe z fałszu? Wszak podnosimy rękę dla usunięcia zarówno prawdziwych jak urojonych niebezpieczeństw; niechże więc w mózgu człowieka zupełnie na oko zdrowego wylęgnie się niespodzianie groźne jakie widmo, to siła instynktu zachowawczego popchnie go ku gwałtom. Z pełnym niby rozumem i dojrzałą rozważą dopuści się on zbrodni, wynikłej rzeczywistość tylko z cierpienia któregoś włókna mózgowego; stanie się zabójcą, i ludzie, zamiast przed lekarzem, stawią go przed sędzią. Niechże teraz kto powie, że człowiek bezwarunkowo jest panem swojej woli...

ESSLINGEN.

Niegdyś wolne miasto, obecnie stolica powiatu tegoż nazwiska, leży w jednym z najpiękniejszych punktów doliny Nekary, otoczona winnicami. Otrzymałszy w r. 1200 prawo miejskie, Esslingen w połowie XVI wieku znacznego doszło rozwinięcia, i wtedy, jak mówi Sebastyan Münster w swojej kosmografii, ze wzgórzów przeciwnego brzegu, w otoczeniu potężnych swych murów, uwieńczone

mnóstwem kościołów i kapliczek, okazały przedstawiało widok. Mury, z obrodnymi niegdyś wieżami, prócz szczątków nielicznych, legły dziś w gruzach; dawne jednak budowle, a mianowicie kościoły, zachowały miastu charakter starożytności, podczas gdy nowsze gmachy przydają mu wesołości wygody. Nie jest to już wprawdzie ów gród potężny w wiekach dawniejszych; ostatniemi jednak

czasy wzrost przemysłu wiele się przyczynił do podźwignienia go z upadku.

Rycerskim niegdyś ożywione duchem, i często zbrojnym udziałem rozstrzygające spory wojenne, miasto Esslingen, po 600 latach bytu niezawisłego, spadło do nicości politycznej, gdy r. 1802 Napoleon przydzielił je do księstwa wirtemberskiego (1). Pod nowym rządem znikają coraz bardziej budowle średniowieczne, znikają uliczki ciasne a kręte, ustępując miejsca wykwinicie stawianym domom i rozległym zakładom przemysłowym. W ostatnich kilkudziesięciu latach zniesiono większą część poważnych starożytnością pomników; ale i tak jeszcze Esslingen z dwoma okazałymi mostami na Nekarze, z katedrą gotycką, z kościołami św. Dionizego i N P. Maryi, z których ostatni wysoko smagłą wybiegł wieżyczką, ze wspaniałym ratuszem, z zabudowaniami kolei żelaznej i wielkiej rękodzielni maszyn wzdłuż Nekary, miły i dość urozmaicony daje obraz.

Uprawa wina i hodowla owoców nie stanowi

(1) Wiadomo że Wirtembergia dopiero od r. 1806 jest królestwem.

już teraz, jak przedtém, głównej gałęzi przemysłu tutajszych mieszkańców: owszem zwracają się oni coraz bardziej ku zajęciom fabrycznym, a nawet prześcignęli w tym względzie wszystkie inne miasta wirtemberskie. Celują mianowicie w wyrobach sukiennych, bawełnianych i lakierowanych, w jubilerszczyźnie, w narzędziach matematycznych i w fabrykacyi win musujących. Lokomotywy z zakładów esslingskich przebiegają drogi żelazne południowych Niemiec, a budowane w nich parostatki krążą po jeziorze Boden.

Dzisiajsze miasto, liczące około 9,000 ludności, jest siedliskiem sądu apellacyjnego, (Gerichtshof); posiada szkoły: wyższą realną, nauczycieli elementarnych, przygotowawczą łacińską i głuchoniemych. Okolice, mianowicie ku Sztutgardowi, dokąd jazda koleją żelazną trwa tylko pół godziny, zachwycającej są piękności. Winnice przeplatane ogrodami obfitującymi w przedziwne owoce, pola pokryte bujną kukurydzą i pszenicą ciągną się od miasta ku sąsiednim góróm, stanowiącym granicę rozkosznej doliny Nekary, a lesiste gór tych wierzchołki ciemnym pasem zieleni krajobraz cały okalają.

PODRÓŻ PO SZWECYI POŁUDNIOWEJ I DANII.

„W piękny poranek lipcowy koleją żelazną wyjeżdżałem z Berlina, tego jaja strusiego olbrzymich rozmiarów, zniesionego w piaskach Brandenburgii i szybko wylęgłego na słońcu cywilizacyi.“

Takiémto porównaniem, nieco wyszukaném, podróżnik niemiecki, p. Edward Boas, zaczyna opowiadanie wycieczki swój na północ. Niedawno przedtém jedna ze słynniejszych rodaczek jego, pani Hahn-Hahn, ogłosiła dosyć złośliwe dzieło o Szwecyi, o którego bezstronności nasz autor słusznie wątpić sobie pozwalał; zamierzył więc sam przebiec kraje skandynawskie, aby z własnego osądzić je doświadczenia. Żywy z natury, lekki i ruchawy charakter p. Boas nadaje sprawozdaniu jego powab nie często w pismach poważnych synów Germanii napotykanym: możnaby raczej mieć go za Francuza jak za Niemca.

W Angermünde, dokąd dochodzi kolój żelazna, p. Boas wsiada na *Eilwagen*, i przybywa nim do Stralsunda, bogatego niegdyś i możnego grodu, słynnego w dziejach obroną przeciw armii Wallensteina (1). Obecnie niewielka to miejscina, bez

(1) Wallenstein usiłował zrazu zdobyć Stralsund ubezpieczeniem. Gdy się to nie powiodło, z licznymi hufcy podstąpił pod jego mury. Miasto, wspierane przez wojska szwedzkie i duńskie, dzielnie się broniło. Wallenstein, upokorzony niespodzianym oporem, zaklął się że je zdobędzie, chociażby diamentowemi łańcuchy przykute było do nieba. Codziennie ponawiał napaść, i zawsze ze stratą bywał odpiérany. Przypadek dopiero, a raczej zrządzenie Opatrzności, wstrząsnęło żelazną wolę niezłomnego dotąd wojownika. Jednego poranku, gdy otoczony jenerałami przyjmował przed swym namiotem śniadanie, w chwili właśnie kiedy do ust podnosił czarę z napojem, rzucona z miasta kula skruszyła naczynie w jego rękę. Traf ten,

znaczenia wojennego, zamieszkała przez spokojnych kupców i rybaków, którzy w prostocie swego ducha nie myślą bynajmniej o zbieraniu niebezpiecznych na polu walki wawrzynów.

Zmuszony oczekiwać tam przez czterdzieści ośm godzin na statek parowy, p. Boas używa chwil wolnych na skręślenie rysu porównawczego narzeczków szwedsko-pomerańskich, i opowiada dalej rubaszną legendę o żarłoku, który duszę zaprzedał diabłu za półmisek minogów. Ale, jak zwykle w średniowiecznych podaniach ludowych, nieborak szatan został zwiedzionym. Zażarty tedy w gniewie, wrzucił nietkniętą potrawę do jeziora Madue, i odtąd jezioro to słynie z obfitości minogów.

W dwadzieścia cztery godzin podróżnik germański przybywa do Ystad, najbliższego od strony południowej portu szwedzkiego. Jestto niewielkie ale ładne miasteczko, z pełną zawsze okrętów przystanią, z prostymi, szerokimi ulicami i schludnymi domkami, których ściany czysto pobielane i starannie hodowane ogródki przyjemny sprawiają widok.

W Ystad p. Boas wsiada na statek przybywający z Lubeki, i płynie prosto do Sztokholmu, w towarzystwie kilkunastu osób płci obojęd, których usposobienia i charakteru zajmująco w swém dziele opisuje. Podróżni zawijają do Waxholm, małej warowni złożonej z kilku szaniców i przedpiersi (parapetów), tudzież z baszty okrągłej, dosyć romantycznej, lecz mało bardzo zatrwajającej. Minąwszy warownię, okręt dostaje się na jezioro Mälaren, i w dwie godziny pasażerowie wysiadają na pobrzeżach Sztokholmu (1).

Żadne może miasto europejskie, z wyjątkiem Konstantynopola, nie przedstawia widoku tak malowniczego, a razem tak dziwnego, jak Sztokholm. „Wyobraźcie sobie rozległą stolicę, oblaną z jednej strony jeziorem, z drugiej morzem, poprzerzynaną kanałami, strojną wszędzie w ogrody, i spoczywającą na siedmiu wyspach, jak Rzym na siedmiu pagórkach. We środku stare miasto i zamek, jak mówi podanie, silny wpływ wywarł na umysł zaborczego wodza i skłonił go do zaniechania działań obleźniczych.

(1) W zeszłorocznej Księdze Świata, na str. 66 i nast. podaliśmy czytelnikom monografią tego miasta; w tém miejscu więc pomijamy szczegóły opisowe, o tyle tylko przytaczając słowa podróżnika, o ile koniecznym to uznajemy dla obeznania z jego stylem i poglądem.

przedmurze niegdyś kraju, siedlisko królów, wspaniale, jak Hradszyn pragski, wyniosłem czołem przechodzący okoliczne budowle. Na północ i południe ciągną się przedmieścia, mozaiką domów i zieleni rozesłane po brzegach Mälaren; tu gmach potężny arsenału, tam przystań, gdzie obok handlowej, powiewa bandera wojenna, i park, z tysiącem wijących się ścieżek; a wszystko to opasane widokreplem bez granic. Ziemia i woda, budowle i drzewa połączone wszędzie mostami, popod którymi naturalne kanały większe nawet okręty wiodą aż w serce miasta.

„Zbliżka obejrzone, budowle Sztokholmu okazują się jednotonnemi, bez stylu odrębnego i ozdób architektonicznych; wdzięk tylko położenia, cudowna harmonia świetnego blasku wody z ciemnonurą barwą zieloności północnej, ruch ciągły w porcie i na kanałach, nieopisany całości nadają urok. Dla podróżnika zresztą chciwego wrażeń romantycznych mało które miasto więcej przedstawia żywiołów. Gmach zwany *Riddarhus* (dom rycerzów) sam jeden na przykład mnóstwo pamiętnych przypomina zdarzeń. Niéma tam podwoi, niéma okna, niéma kamienia prawie, z którego by istnieniem nie łączył się jaki epizod z epoki zaburzeń wewnętrznych tego kraju. Sala zebrania stanu szlacheckiego pokryta jest herbami starodawnych hrabiów i baronów szwedzkich. Poznać w niej po surowém przystrojeniu, że nie była to widownia czcnych rozpraw parlamentarnych, ale przybytek poświęcony prawdzie i cnocie obywatelskiej. Wspaniale krzesło Gustawa Wazy, rzeźbione z kości słoniowej i wysłane zielonym aksamitem, wznosi się na jej środku.“

W dalszym ciągu sprawozdania swego p. Boas skręśla obraz dorywczy piśmiennictwa szwedzkiego. Silna, pełna wdzięku i zapału poezya pierwotna, zatarta w części pod rządami Gustawa III oglądaną akademicką i naśladownictwem wzorów francuzkich i niemieckich, otrząśła się wreszcie na początku bieżącego stulecia z wpływu obczyzny, odzyskując straconą samodzielność i na rodzimych opierając się źródłach. Już ludzie co stanęli na czele tej pamiętnej reformy, przodownicy romantyzmu szwedzkiego, po większej części zeszedli dziś z pola. Najznakomitszy z nich i najbardziej popularny, Tegner, piewca *Frithiofs Sag*'i, umarł, podobnie jak Goier i Franzen. Atterbom, jeden z naj-

gorętszych nowego kierunku obrońców, poświęca się w Upsali pracom estetyczno-naukowym. Stagnelius umarł w kwiecie wieku, a po nim czuły i melancholiczny Vitalis, tudzież szanowny arcybiskup Wallin, który w ostatnich jeszcze chwilach rewnemi tony wyśpiewał pieśń pożegnalną.

Młodsze pokolenie poetów mniej może świetnie, lecz z niezaprzeczonem talentem, uprawia niwę literatury krajowej. W Szwecyi gadulstwo polityczne i gorączka przemysłowa nie stłumiły jeszcze polotu wyobraźni zabójczą prozą utarczek parlamentarnych i twardo-rzeczywistych wykazów statystycznych. Oświata upowszechniona we wszystkich klasach społeczeństwa, samotność zrzadka rozrzuconych domowisk, długie wreszcie wieczory zimowe, dziwnie usposabiają do rozmyślenia i zajęć naukowych. W salonach Sztokholmu, podobnie jak w wiejskich ustroniach, zjawienie się nowej książki jest jeszcze ważnym zdarzeniem, a wdzięczne pienia Böttigera'a, Almquist'a, tchnące świeżością sielanki Runeberg'a rozchodzą się szybko od brzegów Mälar'u do równin Skanii i do Nordlandyi.

W tém kółku nowoczesnych pisarzy napotykamy imiona trzech kobiet, znakomitych talentem szkicowania obrazów życia codziennego i zarysów obyczajowych cechujących charakter narodowy: są niemi panie Carlen, Knorring i panna Fryderyka Bremer.

Pani Carlen jest córką duchownego; młodość jej upłynęła na wsi, umie więc z prawdą i uczuciem kręślić obrazy sielskie. To też jej powieść pod tytułem: „*Poświęcenie kościołka*“ niezmiernie miała powodzenie. Wydana bardzo młodo za wojskowego i owdowiała w lat kilka, poszła następnie za poetę Carlen'a, a teraz pędzi w Sztokholmie żywot spokojny i pracowity. Skromność charakteru i uwielbienie jakie głośno wyznaje dla literackich swych współzawodniczek, powszechny zjednały jej szacunek. Jestto kobieta przeszło trzydziestoletnia, żywa, dowcipna, która nie będąc ładną, silnie jednak pociąga wyrazem czarnych swych oczu.

Baronowa Knorring mieszka niedaleko Sztokholmu w dobrach swego męża. Wychowana w świecie arystokratycznym, doskonale też maluje świetne i wykwintne jego obyczaje. Jedna z najlepszych jej powieści nosi tytuł „*Kuzynki*.“

Panna Bremer, której dzieła w całej niemal Europie zdobyły sobie popularność, urodziła się r.

1802. Po śmierci ojca, majątnego właściciela kopalń czy kuzien, bawiła najprzód w Skanii, a potem u jednej ze swych przyjaciółek w Norwegii. Obecnie zimę przepędza w Sztokholmie, lato zaś w Aersta. Mała, nieco otyła i niekoniecznie odznaczającej powierzchowności, panna Bremer niejedno już pewnie zawiodła oczekiwanie, zwłaszcza u ludzi co z poetycznego jej pism charakteru idealne o autorce powzięli wyobrażenie. Wkrótce jednak wyraz intelligencji i dobroci, rozlany po łagodnej jej twarzy, zapominać każe o niekorzystnym pierwotnie wrażeniu.

W r. 1841 akademia sztokholmska obdarzyła pannę Bremer złotym medalem. Była to pierwsza nagroda przyznana publicznie jej talentowi pisarskiemu i moralnej dążności jej utworów. Od tego czasu sława autorki szwedzkiej dotyla się rozeszła po świecie, że, jak przytacza p. Boas, malarz jakiś amerykański umyślnie przebył ocean, aby w Rzymie zportretować papieża, a w Sztokholmie Fryderykę Bremer.

Ze wszystkich płodów jej pióra Szwedzi oddają pierwszeństwo powieści pod tytułem „*Hemmet*“ (strona rodzinna). W ogólności dziełom jej zarzucić można nieśmiałość kompozycyi i brak talentu wynalazczego. W wysokim zato stopniu posiada zdolność wystawiania z wdziękiem poetycznym drobnych zdarzeń życia domowego. Charaktery kobiece oddaje zwykle żywo i prawdziwie, lecz w określaniu męzkich postaci grzeszy najczęściej przesadą. Szkoda że autorka, tyle zkadinaż zasłużona, nie ogranicza się na rzucaniu najwłaściwszych talentowi swemu szkiców obyczajowych i rodzinnych, że lubi wątek najprostszy wikłać przygodami fantastycznymi i wprowadzaniem osób zupełnie nieprawdopodobnych. Dodać jeszcze należy że nie pomija żadnej sposobności wtrącania do pism swoich rozpraw filozoficznych, któremi nieraz szermuje poomacku, a zawsze męczy czytelników (1).

Ze Sztokholmu p. Boas robi wycieczkę do Dalekarlii, i poświęca cały rozdział opisowi tej prowincyi. Dalekarlia jest niezawodnie jednym z najciekawszych dla podróżnika-badacza krajów. Za-

(1) W dobrym przekładzie polskim posiadamy dwie powieści tej autorki: *Córki Prezesa* i *Sąsiedzi*, które księgarz warszawski, p. Henryk Natanson, wydał w swym „Wyborze przekładów z wzorowych pisarzy zagranicznych.“

mieszkana przez ludność w której najczystej przechowały się dawne podania i zwyczaje skandy-nawskie, posiada przytém urok nietkniętej jeszcze cywilizacją dziewiczości. Potargane jój szczyty, milczące i posępne doliny, jeziora obwiedzione rąb-kiem ciemnej jodeł zieloności, a przytém naiwne, głęboko-religijne obyczaje krajowców, otwarte i poczciwe ich twarze, na których snadno wyczy-tać i pełną rezygnacyi odwagę, i dumę szlachetną opartą na przeszłości, wszystko to przenosi myśl wędrowca w dawno ubiegłe czasy, kiedy twarde to plemię niepożytych góralów w najburzliwszych Szwecyi zamieszkach przeważny brało udział.

Ubiór narodowy Dalekarlijczyków (*Dale Karler*, mężowie dolin) składa się z białej sukmany i skó-rzanego fartucha, z którym nie rozstają się nawet i w niedzielę. Okrągłe ich kapelusze czerwona zwykle ozdobi opaska, a szarawary spięte są wyżej kolan ściągaczkami téjże barwy. Strój kobiet je-szcze jest dziwaczniejszy: noszą ony czépcy kolo-rowe, czarne z czerwonym wyszyciem staniki, spo-dnice w czerwone paski i czerwone także pończo-chy; przytém niezgrabne trzewiki, z całowemi po-deszwami, na wysokich i gęsto gwoździami pobi-tych podpiętkach (*abcasach*). W niedzielę widziéć je można idące do kościoła, a wtedy białe, szerokie rękawy, powiewające od czépków wstążki i kwiatki do piersi przypięte dopełniają ubioru świą-tecznego, pod którym nieraz spotkać się zdarzy wcale powabną twarzyczkę i ładne niebieskie oczy.

Niewiasty Dalekarlii pędzą żywot niezmiernie pracowity, trudniąc się już uprawą roli, już prze-noszeniem ciężarów. Jest także oddzielna ich kla-sa, zajęta wyłącznie wiosłarstwem. Na każdym czólnie przewozowém dwie młode dziewczyny ro-bią wiosłami, a kieruje niém zwykle staruszka. Ko-bięty te, mianowicie w Sztokholmie, większą część życia przepędzają na wodzie. Czerstwe i wesołe, a przytém bogobojne, pełnią ony bez szemrania tak ciężką dla płci swojej pracę; w niedzielę zaś lub w święto każda z nich woli stracić godzinny zarobek, jak opuścić nabożeństwo.

„Ze wszystkich prowincyj szwedzkich, mówi p. Boas, najwięcej podobała mi się Dalekarlia. Jój lud przedsiębiorczy i pojętny, przywykły do walki bezustannéj z niegościnną przyrodą, nie został je-szcze dotknięty zepsuciem narzuconej cywilizacyi. Zawsze téż, zwłaszcza w czasach wojennych, od-

znaczał się on mężstwem, przywiązaniem do tronu i bohaterską obroną odwiecznych swych przywile-jów. Dzieje Dalekarlijczyków ciekawy przedsta-wiają widok: odosobnieni od reszty świata, obce-mi nieraz się zdawali wypadkom politycznym; ale niech tylko nadeszła chwila czynu, waleczne to plemię niezawodnie stanęło na wyłomie.“

Gdy Gustaw Waza, uchodząc przed pogonią zabójców swego ojca, szukał schronienia w Dalekarlii, poczciwi górale najczulszą otoczyli go opie-ką. Historyk szwedzki Fryxell tak opisuje tułaczkę dostojnego wygnańca:

„Przebrany za wieśniaka, z siekierą na ramieniu, wszedł do mieszkania Andersa Persson. Szukając niby roboty, zaczął młócić w stodole; lecz domo-wnicy spostrzegli zaraz że praca ta nie idzie mu sporo. Służąca jedna pod grubą sukmaną zwierchnią dojrzała jedwabną kamizelkę i donio-sła o tém panu. Anders poznaje Gustawa, i prze-rażony niebezpieczeństwem na jakie gość taki mógł go narazić, błaga go aby inny obrał sobie przytułek. Przyszły król szwedzki, uznając słusz-ność téj prośby, puszcza się w dalszą drogę, i tra-fia na noc do domu niejakiego Swen Elfsson, gdzie również zostaje poznanym. Ale zaledwie się roz-gościł, kiedy oddział łuczników duńskich przyby-wa z zapytaniem, czy zbiega tam nie widziano. Gdy weszli siepacze, Gustaw rozebrany siedział przy ogniu kominkowym. W téj chwili stanow-czej żona Swen Elfsson'a uchwyciła pogrzebacz od pieca, i silnie nim młodzieńca uderzając po grzbiecie, zawołała z udanym gniewem: „Czego tu siedzisz trutniu i gapisz się na tych panów? Czy nie widziałeś nigdy żołnierzy? Zaraz mi ruszaj do stodoły!“ Zwiedzeni tym zręcznym wybiegiem, Duńczycy oddalili się, a wierny Swen Elfsson, umieściwszy gościa na wózku, przykrył go kupą słomy i powiózł do sąsiedniej wioski. W drodze napotykanii żołnierze po kilkakroć w słomę wbijali swe miecze, a jeden z nich ranił Gustawa w nogę; lecz ten, chociaż ciężko dotknięty, ani drgnął na-wet. Po jakimś czasie krew z rany obficie sączyć się zaczęła; Elfsson więc, aby uniknąć podejrzenia, skaléczył konia, przygotowany w potrzebie wy-tłumaczyć tém zbroczenie śniegu. Tym sposo-bem szczęśliwie dostał się do Marnas, gdzie Gu-staw, jak wiadomo, licznych znalazł stronników.“

Jakkolwiek Delekarlijczycy żywo się zajęli lo-

sem młodego wywołańca, który do nich z szlachetną odezwał się wymową, nie śmieli jednak zrazu w obronie jego chwycić się oręża; Gustaw więc udał się do Norwegii. Wkrótce wiadomość o nowych okrucieństwach popełnionych w Sztokholmie przez Krystyana II stanowczy nadała popęd wahaającym się umysłom. Głos dzwonów na gwałt bijących rozległ się po wszystkich parafiach; Duńczyków wyparto z kraju, a hufce młodych ludzi, na długich łyżwach śniegowych, rozbiegły się wszędzie szukając dostojnego tułacza. Znalezione go w górach norweskich, i niezadługo młodzian ujrzał się na czele pięciu tysięcy wieśniaków, gotowych życie poświęcić jego sprawie.

Tymczasem Duńczycy, zebrawszy znaczne siły, zaleli znów Dalekarię. Jeden z miejscowych biskupów zapytał młodego zaciężnika armii Gustawa ile wojska prowincya ich zdoła w potrzebie wystawić.

— Najmniej dwadzieścia tysięcy, odpowiedział stanowczo Dalekarijczyk, bo u nas starzy zarówno są mężni i silni jak młodzi.

— Lecz czémże żyć będą? zarzucił prałat.

— Chlebem i wodą. Przywykliśmy do głodu i pragnienia; a gdy zabraknie zboża, zamiesim chleb z kory brzoźowej.

— Zaprawdę, rzekł biskup, armii która się obejść potrafi wodą i korą drzewną, sam szatan nie zwycięży!

I rzeczywiście Dalekarijczycy ani razu nie zostali pobici. Massy ich jak śniegozwał (lawina) stoczyły się w równiny, gruchocąc wszędzie nieprzyjaciół, i póty nie ustały w walce, póki wybraniec ich, Gustaw Waza, nie zasiadł na tronie Szwecyi.

Wróciwszy do Sztokholmu, p. Boas z żalem rozstaje się z tém miastem i płynie do Gothenburga kanałem gotajskim (Götha), tym wspaniałym pomnikiem przemysłu i wytrwałości szwedzkiej, co łączy morze bałtyckie z oceanem północnym (1).

Daléj autor nasz mówi obszernie o Kopenhadze

(1) Kanał ten od marza bałtyckiego ciągnie się do jeziora Wener, a ztamąd do morza północnego idzie kanał Trollhätta. Rozszerzenie koryta tego ostatniego, dokonane za panowania króla Karola Jana, dopełnia komunikacyi obu mórz w ten sposób, że nawet okręty o 160—180 beczkach bez przeladowywania z jednego do drugiego przepływają.

i rozpisuje się z uniesieniem nad dotyczącymi jéj szczegółami. Może być że do tego zapалу przyczyniło się w części spotkanie w stolicy duńskiej z Thorwaldsenem; znajdujemy bowiem w dziele p. Boas wzmiankę o ścisłej jego ze słynnym rzeźbiarzem znajomości.— W jednym z następnych rozdziałów autor porównywa Szwecyą i Danią, dwa kraje z wielu ważnych bardzo względów, a mianowicie z charakteru zamieszkujących je ludów, nierównie silniej odstrychnięte, aniżeli by wnosić można z położenia ich jeograficznego. Porównanie to, jakkolwiek mylnie niekiedy, zasługuje na uwagę. P. Boas nazywa Danią krainą lasów, a Szwecyą krainą skał. Rzeczywiście wyspa Zelandya, na której leży Kopenhaga, gęsto pokrytą jest lasami; ależ Zelandya małą tylko jest częścią królestwa duńskiego, a inne jego strony bynajmniej nazwać nie można lesistemi. Szwecya znów, uważana od Sundu, przedstawia istotnie brzegi najeżone skałami, lecz w prowincyach jéj wewnętrznych nierzadko napotkać lasy na kilkadziesiąt mil długie.

Daléj p. Boas temi słowy określa narzecza obu narodów: „Język szwedzki jest słodki i dźwięczny; duński zaś ostry i silny.“ Otóż rzecz ma się zupełnie przeciwnie, bo właśnie mowa szwedzka, zbliżona do dawniej islandzkiej, ma brzmienia męskie i twarde; gdy duńska przeciwnie, obfitując w wyrazy zakończone na e nieme, staje się przez to miękką i prawie zniewieściałą. Piérwsza z nich przypomina poważny i energiczny język hiszpański, druga zbliżona więcej do włoskiego.

Myli się także p. Boas w definicyi charakteru obu sąsiednich narodów, mówiąc: „Gdy Szwed się śmieje, ma twarz poważniejszą niż Duńczyk gdy w złym humorze.“ Wszyscy owszem podróżnicy zgadzają się na to, że Szwedzi w ogóle swobodą umysłową, uprzejmém postępowaniem i wykwićnością obyczajów zasługują na udzielone sobie miano *Francuzów północy*.

Jedno jeszcze porównanie germańskiego podróżnika, chociaż dziwne na pozór, przytoczyć tu i ocenić zamierzamy. „W przekonaniu mojem, mówi p. Boas, Dania wiele ma podobieństwa do Italii; zawsze téż Kopenhaga wydała mi się częścią Rzymu przeniesioną na północ. Być może jednak że do tego wrażenia przyczyniła się trochę obecność Thorwaldsena; bo wszędzie gdzie mistrz ten przebywa, roztacza on wkoło siebie gorącą at-

mosferę sztuki i natchnienia (4). Dzień jego powrotu do Kopenhagi był dniem uroczystym dla miasta: majtkowie w świątecznych ubraniach odprowadzili go na ląd, a gdy już stanął na brzegu, prześliczna tęcza zajaśniała na nieboskłonie. Wtedy tłumy zebrane wydały okrzyk radości, widząc że sama przyroda uświetnia powrót do ojczyzny wielbionego artysty.

„Thorwaldsen zamieszkał na nowym placu królewskim, w zamku zwanym Szarlottenburg, i tamto przepędziłem najrozkoszniejsze chwile pobytu swego w Kopenhadze, przypatrując się z zachwyceniem posągom bóstw starożytnych i bohaterów, co w uroczystém a wymowném milczeniu otaczały wskrzeszającego je mistrza. Pracował on wtedy nad dwiema kolosalnych rozmiarów postaciami, wyobrażającemi *siłę* i *zdrowie*, Samsona i Eskulapa. Pierwsza z nich była już ukończona, a druga, w moich prawie oczach, cudownie wyrastała zpod dłuta wielkiego rzeźbiarza.“

W życiu prywatném podobnie jak w artystyczném, Thorwaldsen ujmującą zawsze odznaczał się prostotą. Za główną salonu swego ozdobę uważał sofę, wyhaftowaną dlań przez damy kopenhagskie. Na ścianach wisiało mnóstwo malowideł, po trosze dobrych, a więcej nierównie miernych, które zakupił w Rzymie od młodych, niezamożnych artystów, jedynie dla następczenia im zarobku. Odziany w niebieską bluzę, sam mistrz tłumaczył zwidzającym znaczenie tych obrazów, wskazując ich zalety i wady tak skromnie i z takim zajęciem, jak gdyby mówił o dziełach co najmniej rówienników swoich w dziedzinie sztuki. Niezmierny zapal z jakim go przyjmowano w kraju rodzinnym, zaszczyty jakie zewsząd nań spływały, nie wzbudziły w szlachetném jego sercu ani cienia nawet próżności. Do późnego wieku zachowując młodzieńczą prawie wesołość, lubił on przyjaciółom, z właściwym sobie humorem, opowiadać artystyczne swe wspomnienia. Pan Boas między innemi przytacza własnemi jego słowy fortel, jakiego artysta użyć był zmuszonym przeciw budowniczym kościoła N. P. Maryi w Kopenhadze:

„Architekci, mówił Thorwaldsen, to naród straszliwie uparty, i trudno nieraz dać sobie z niemi ra-

de; lecz ja, Bogu dzięki, dosyć w téj sztuce jestem biegły. Gdy stanęła świątynia, budowniczy kazał w murach jęj nawy porobić dwanaście wnęk (nisz), przeznaczonych na pomieszczenie posągów dwunastu apostołów mego dłuta. Napróżno przedstawiałem mu że posągi te powinny stać wolno, aby ze wszystkich stron mogły być widziane; błagałem o zmianę planu, ale prośby moje pozostały bezskuteczne. Pomyślałem więc: najlepiej radzić sobie samemu; i wykonałem posągi o pół stopy wyższe od wnęk. Możesz pan sobie wyobrazić pocieszoną minę architekta, kiedy za późno spostrzegł się na tym figlu. Niepodobna było podwyższyć wnęki; musiał więc nieborak zgodzić się na moje, i ustawiono apostołów na oddzielnych podstawach wzdłuż nawy, jak ich pan widzisz dzisiaj.“

Na poparcie swego zdania o podobieństwie między Danią a Włochami, p. Boas rozpisuje się o upodobaniu Duńczyków w sztukach obrazowych, poezyi i muzyce, tudzież o łagodnej brzegów Sundu temperaturze. „Podczas bytności mej w Kopenhadze prześliczna pogoda dużo zapewne przyczyniała się do utrzymania mnie w złudzeniu. Słońce ciągle niemal jaśniało na niebie włoskiego błękitu, a jeśli kiedy zjawiała się chmurka, to jako biała gołębica znikła wkrótce z widokręgu. Dzień bywał gorący, a noc rozkosznie balsamiczna.“

Rozmiłowany w północy, p. Boas nie mógł przyjąć obojętnie zjawienia się dziełka, w którym piękne jego kraje skandynawskie mocno zostały sportwarzone. „Rokiem wcześniej odemnie, mówi nasz autor, hrabina Ida Hahn-Hahn zwidziła Szwecyą, a rezultatem jęj podróży, jak tego spodziéwać się należało po znanęj turystce niemieckiej, była książka. Czytywano ją kiedym przybył do Sztokholmu i oburzano się powszechnie na zawarte w niej fałsze. I ja téż, jako oceniacz bezstronny, oświadczam najprzód że praca ta nie jest bynajmniej oryginalną, tylko widoczném naśladowaniem dzieła p. G. Nicolai: „*Włochy w obecnym swym stanie*.“ Podobnie jak Nicolai, hrabina Ida nagromadza mnóstwo faktów i mniemanych spostrzeżeń, rzucających niekorzystne światło na kraj który przebiega, zawsze prawie przesadzając, a niekiedy zgoła zmyślając. Nie widzi ona i nie pojmuje otaczających ją piękności, i zdaje się że pisze dlatego tylko, aby zniechęcić czytelników do przedsiębrania podróży w opisywane przez siebie strony.

(4) Poniższe szczegóły zajmującym będą dopełnieniem biografii Thorwaldsena, zamieszczonej w *Księdze Świata* za 1853, na str. 299 i nast.

„Nicolai udał się do Włoch, przekonany że dęszce tam nigdy nie pada i że pomarańcze rosną tam w płotach, jak u nas dzikie gruszki albo śliwki. Był to dzieciństwo. Lecz jeśli naśladowczyni jego narzeka bezustannie, że nad brzegami Mälär'u, pod pięćdziesiątym dziewiątym stopniem szerokości, nie znalazła temperatury krain południowych, jest to więcej już jak dzieciństwo, jest to głupstwo po prostu.

„Pani Hahn-Hahn przybyła do Szwecyi w porze dęszców, przepędziła w niej tylko miesiąc, i z góry dla wszystkiego co skandynawskie przyniosła lekceważenie i wzgardę. Nic dziwnego więc że zaledwo stanąwszy w Sztokholmie, zaczyna zaraz, pod wpływem złego humoru, niedorzeczne robić porównania. „Brak tu zupełnie, woła, świetności Neapolu i uroczego Wenecyi powabu!“—Czyż podobna być więcej przenikliwą?—Dalej przypomina sobie dawne swe podróże: „Dziś rok upływa jak byłam w Barcelonie. Wszystko to co widzę w stolicy Szwecyi, nie może iść w porównanie z ową ziemią kaktusów i pomarańczy. Przed trzema laty byłam nad jeziorem Como, którego brzegi, osłonięte przez Alpy, czarodziejski tworzą ogród. Przed pięć laty zwidzałam Wiedeń i spoczywałam w oplecionych różami altanach Laxenburga!“ Bo gdzieżby też nie była szanowna hrabina, i o jakimby kraju nudnych nie ogłaszała sprawozdań.

Opisała już Włochy, Szwajcaryą i Hiszpanią; wkrótce może opisze Egipt, Syryą, Mezopotamią, a wspomnienia wszystkich tych krajów służą jej tylko do poniżenia Szwecyi. Jednego wieczora naprzykład siedzi ona przy oknie wychodzącym na jezioro Mälär. „Otuliłam się mantylą, mówi, zamknęłam okno i zawołałam z westchnieniem: O Wenecyo! inne są twoje wieczory!“—Zaprawdę, mościa hrabino, jeżeli dlatego tylko zrobiłaś trzysta mil drogi, aby podobne wygłaszać prawdy, to lepiej było zostać sobie w domu. Wszystko ją gniewa w Szwecyi: drogi, domy, ludność, pożywienie, drzewa, skały, a przedewszystkiem powietrze i niebo. Książka jej podobna do tabelli hygrometrycznej; nie mówi prawie o niczym jak o dęszcu i o chmurach.“

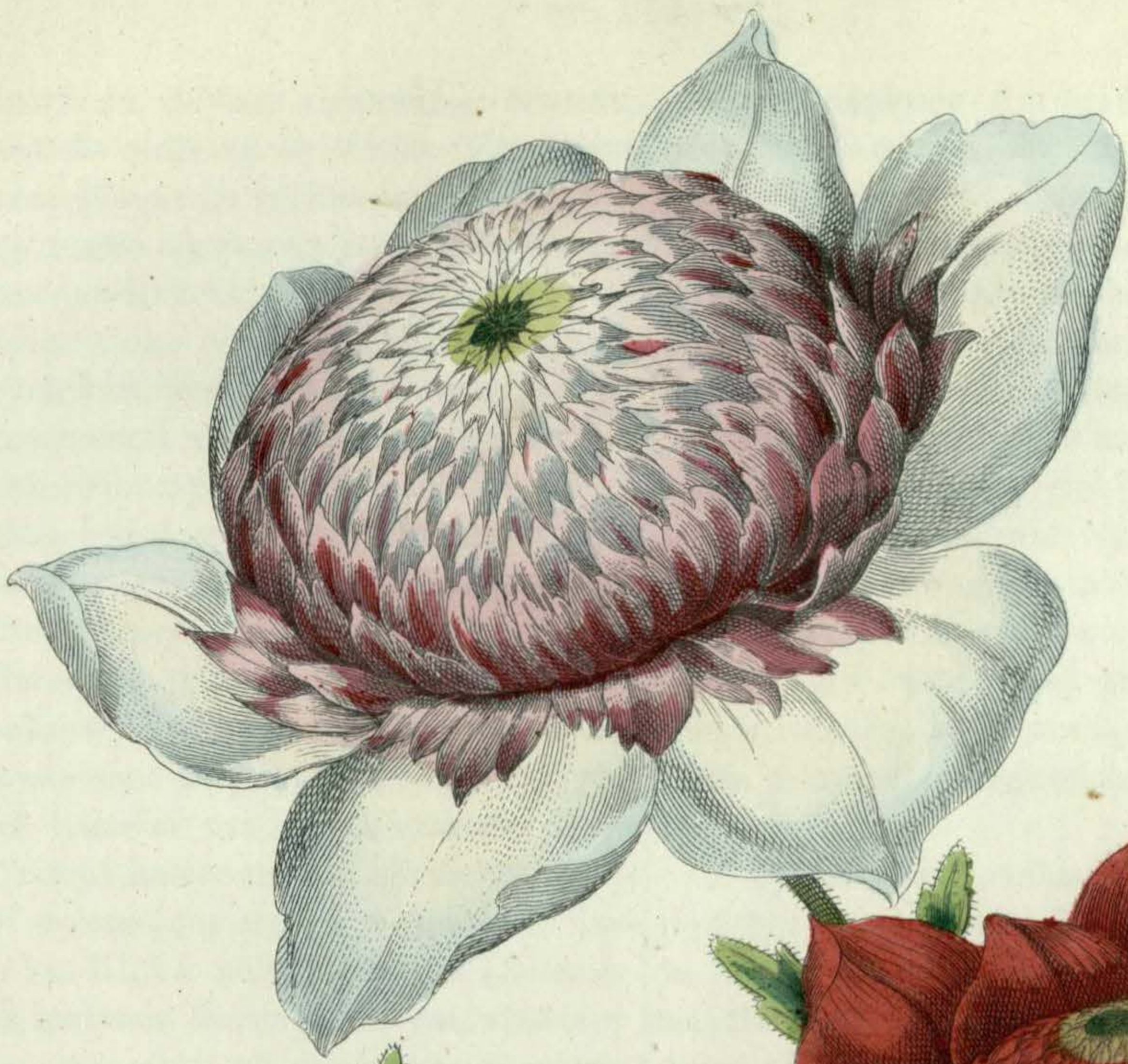
Ale porzucmy już niesmaczną gadaninę hrabiny meklemburskiej. Jest klasa podróżników co sądzą że wyższość umysłowa polega na wykonywaniu zasady „*nil admirari*“ i potępianiu wszystkiego co inni wychwalali. Do klasy tej właśnie należy pani Hahn-Hahn. Być może iż złośliwe jej docinki zabawią na chwilę czytelników, ale to pewna że nikogo nie przekonają. Co zaś do dzieła pana Boas, zawsze ono z przyjemnością będzie czytane, bo widać w niem szczerą chęć wyświecania prawdy i obeznania z rzetelnym stanem narodów nad którymi się zastanawia.

ZAWILEC.

Zaledwie w marcu słońce mocniej ogrzewać zaczęło nieocienione w zaroślach i w lasach wzgórki, zaledwo śnieg na nich stopnieje, choć ziemia tylko osiąkła i wszystko w zimowym jeszcze spoczywa letargu, już pierwsze zwiastuny wiosny: *sasanki*, *podleszczki* i t. p. najprzód główki swe, a potem liście z ziemi wychylają. Są to dzieci jednej rodziny *jaskrów*, rodzaju zwanego *zawilec* (*Anemone*), dzieci zdaje się równie za miłą stęsknione wiosną, jak dzieci wieśniaków, z którymi pospołu i skwapliwie pierwsze wiosennego słońca promienie witać pospieszają. Dziewczęta też i dzieci wiejskie

najpierw o ich zjawieniu się zwiastują, najpierw się nimi przystrajają, a od nich dopiero miejscy lubownicy kwiatów tę nowość otrzymują.

Niktby zapewne, patrząc na załączone tu litografie trzech okazałych, nadobnych kwiatów, nie pomyślał że to są plemiennicy i bardzo bliscy powinowaci naszych wprawdzie piękno-barwnych, ale zresztą niepozornych *podleszczków*, *wietrznic*, *sasank* i t. p. plebejuszów, a przecież tak jest w istocie; kształt liści, łodyg, kwiatu, nie pozwala tym wypieszczonym wychowañcom ogrodników zaprzecić się swego pochodzenia. Odjąć im tylko wy-



gody, pieczołowitość, słowem zostawić je naturze, a wnet się pokaże czém są w istocie. Zmniejszą się liście i zeszcupleje cała roślina, a kwiat dubeltowy lub pełny stanie się znowu pojedynczym, jak widzimy nasze podleszczki.

Jest u nas kilka dziko rosnących gatunków *zawilca*, należących kształtem powierzchniowym, a po części i wewnętrznymi własnościami, do rodziny jaskrów. Nitek pyłkowych, czyli pręcików, mnóstwo, i te na dnie kwiatowém są osadzone; kielicha braknie, a korona kwiatu jest sześć do dziewięciolistkowa. Gatunki, których w tym rodzaju jest bardzo wiele, jedne mają tylko znaki kielicha, u drugich widać pokrywę kwiatową na szypulce kwiatowej i ziarna nasienne z ogonkami; u trzecich pręt kwiatowy jest liśćmi osadzony; czwarte mają kwiat nagi i ziarna nasienne bez ogonków. Najprzód z zimy pokazujący się u nas gatunek jest *podleszczek*, u ks. Kluka zwany *trojanek* (*Anemone hepatica*), z kwiatem żywo-błękitnym, zjawiającym się daleko wcześniej od liści korzeniowych. Rośnie w lasach i zaroślach, i bywa najpierwszym z kwiatów które wieśniacy do miast przynoszą. Pszczoły, pierwszy raz na wiosnę z ulów wyleciawszy, biegną na wyścigi z wiejskimi dziećmi na podleszczki i miód z nich zbierają. Nazwisko łacińskie gatunkowe tej rośliny: *hepatica*, pokazuje swém znaczeniem że dawniejsi lekarze używali jej do leczenia chorób wątrobianych. Wrzeczy samą rośliną ma moc ściągającą. W ogrodach widzieć się dają odmiany tego gatunku z kwiatem już dubeltowym, już pełnym różnego koloru.

Drugim, równie u nas powszechnie znanym i równie wczesnym gatunkiem jest *zawilec sasanka*, u Kluka *czarne ziele*. Jestto kwiat wiele od poprzedniego okazalszy, z początku purpurowy, a potem, gdy więdnąć zaczyna, fioletowy, sześciolistkowy, kosmaty. Żółte główki pręcikowe pięknie odbijają od żywej purpury lub fioletu korony. Rośnie osobliwie w końcach lasów lub na wzgórkach ku słońcu obróconych, szczególnie na chudym piaszczystym gruncie. Nasze wieśniaczki kwiat ten ugotowawszy z alunem, nici i tkaniny na zielono, a na wielkanoc jaja na granatowo nim farbują. Zwiérzeta, mianowicie owce i kozy, jedzą tę roślinę; dla ludzi jednak, podobnie jak jaskier, jest szkodliwa. Położona za świeża na ciało, pryszczy je jak wezykatorya.

Zawilec łąkowy (*An. pratensis*) trzecim jest u nas pospolitym gatunkiem, chociaż mniej gęstym jak poprzedzający; podobny nawet do tamtego, ale kwiat jego mniejszy, prawie czarny, stulony, z odwróconemi ku końcom brzegami. Rośnie na suchych łąkach i pagórkach.

Czwartym, powszechniejszym może jeszcze jak pierwszy, szczególnie w lasach liściowych, gatunkiem jest *zawilec niestrettek* (*An. nemorosa*). Kwiat biały, od spodu czerwony, sześć, czasem ośmiolistkowy. Pełno go w lasach naszych, osobliwie wilgotnych, kwitnie w kwietniu i maju. Chcąc go mieć w ogrodach, trzeba przesadzać korzonki. Korzenie, szczególnie wewnątrz użyte, byłyby szkodliwe i przyłożone na ciało skutkują jak wezykatorya.

Piąty gatunek: *zawilec żółty* (*An. ranunculoides*) podobny do poprzedzającego, w tém tylko różny, że kwiatów jego żółtych, z pięciu okrażonych listeczków złożonych, bywa dwa lub więcej na jednym pręcie. Lubi zarośle i blizkie im łąki; kwitnie w kwietniu i maju. I z tego kwiatu pszczoły na wosk materyały zbierają, chociaż ludziom do wewnętrznego zażycia jest szkodliwy. Ks. Kluk przywodzi że Kamczadalowie sokiem korzenia tej rośliny swe strzały napuszczają, a rana od nich być ma śmiertelna, jeżeli wcześniej nie będzie wyssana.

Ostatnim z dziko u nas rosnących gatunków jest *Zawilec rozłożysty* (*An. patens*). Tém się różni od poprzedzających, że ma liście korzonkowe trzy razy palczaste, z listkami bezogonkowemi, podartemi i zastrzonemi; średni listek trzy razy, poboczne dwa razy przedarte. Pręt jednokwiatowy ma pokrywę od kwiatu oddaloną, kosmatą. Kwiat biały, od spodu kosmaty. Rośnie w cienistych lasach. Roślina ta również ostra, gorzka i dla ludzi szkodliwa.

Oprócz pięknych odmian z powyższych gatunków pochodzących, wiele pielęgnowanych bywa w zdobnych ogrodach odmian i gatunków *zawilców*, zwanych ogólném łacińskim nazwiskiem *anemony*, znakomitych okazałym, pięknym kształtem, pełnością i barwą kwiatów. Takimi są: np. *an. biały* z Tauryi i Krymu, wielkie swe kwiaty w czerwcu rozwijający; *an. błękitny* sybirski; *an. narcyzokwiatowy* ze Szwajcaryi, Austryi i ze Szląska, którego kwiaty białe są bardzo piękne; *an. jaskrowaty* z Syberyi, mający kwiaty żółte, świetnie po-

łyskowne; *an. gwiazdkowaty*, z Francyi i Włoch, którego kwiat jest wewnątrz czerwony; ten, jak i wiele innych gatunków anemonów, wymaga ochrony na zimę; *an. wirgiński*, z kwiatem zielonym i *anemon-Bach*, w którego ślicznym kwiecie białym główki pyłkowe są żywego błękitnego koloru.

Najszacowniejszym jednak i najpiękniejszym między ogrodowymi anemonami jest gatunek u ks. Kluka zwany *cudzoziemski* (*An. coronaria* v. *chinesis*) a lepiej podobno *chiński*, który od miesiąca maja kwitnie aż ku końcowi lipca, lubo i później jeszcze można go mieć kwitnącym, gdy się umyślnie opóźni posadzenie korzonków. Korzonki te rozrastają się poziomo, w różnych łukowatych lub kątowatych odnogach, a zawsze mają na sobie drobne włókniste strzępy. Znana to wszystkim miłośnikom kwiatów roślina, dlatego obszerniej opisywać jej nie będziemy. Wiele jest odmian tego gatunku z kwiatem białym, czerwonym, szarym w różnych odcieniach, już to prążkowanym już płomykowatym lub nakrapianym, pojedynczym i dubeltowym.

Niektóre także gatunki anemonów hodowane bywają w oranżeryach, jak np. *dziesięciolistkowy* z Peru i Brazylii, z białymi, zewnątrz niebieskawymi kwiatami; *pawikowaty* z południowej Francyi, odznaczający się pysznymi, ognisto-karmazynowymi kwiatami; *japoński* koloru purpurowo-różowego; *tepolistkowy* z Nepalu i gór himalajskich, mający kwiat czysto-biały i t. p.

Piękny anemon powinien mieć pręt prosto w górę stojący, nie pochyły; kolor kwiatu czysty, świetny; kwiat powinien być duży, pięknie zaokrąglony w ogóle, i także być mają listki kwiatowe czyli listki korony, z których zewnętrzne niezupełnie okrywać mają ogół listków kwiatu wewnętrznych, środkowych.

Dawniej sprowadzano wysadki anemonów z Holandyi, teraz dostać ich można w Niemczech, mia-

nowicie u ogrodników w Hamburgu, Kwedlinburgu, Erfurcie i t. d. Ceny ich w Erfurcie są według najnowszych katalogów: za 100 sztuk z kwiatem pełnym od 8 do 12 złp.; japońskie purpurowo-czerwone tuzin po 3 złp., a odmiana *japonica hybrida* tuzin po 4 złp.

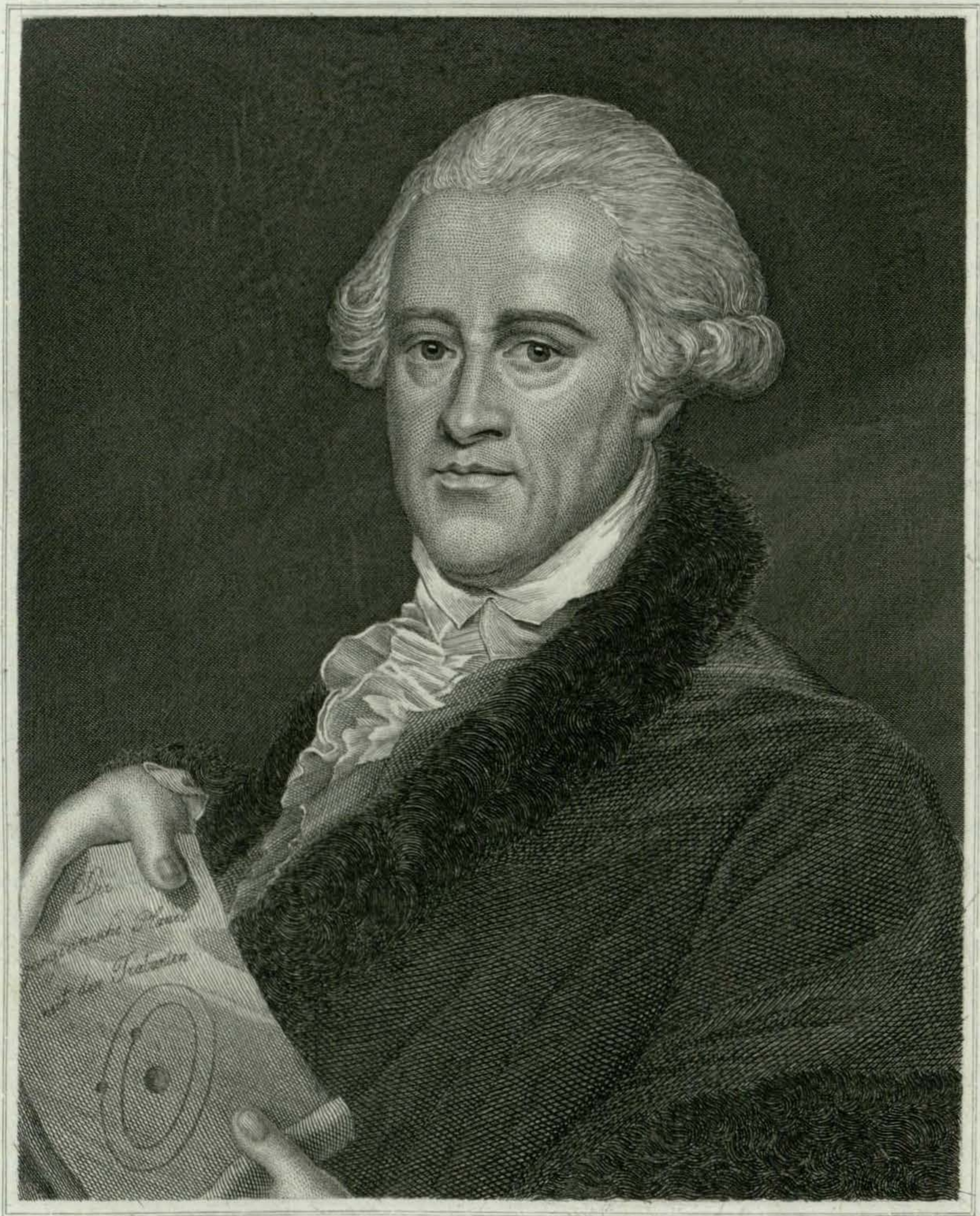
Co się tyczy uprawy tej pięknej rośliny, wymaga ona w ogrodach miejsca od gorących południowych promieni słońca zakrytego, gruntu z piaskiem pomieszanego, półtoręj stopy głębokiego, żyznego. *Bosse*, sławny kwiatowy ogrodnik, zaleca, według okoliczności, zwyczajną ziemię ogrodową wymienionej głębokości, która się składać ma z dwóch części ziemi czarnej darniowej lub z rowów wyrzuconej, z dwóch części ziemi drzewnej albo ze zgniłych liści pochodzącej, z jednej części ziemi gliniastej i z jednej mialkiego rzeczno piasku, dobrze z sobą pomieszanych i niezbyt mialko przesianych.

Do sadzenia przystępuje się wcześniej na wiosnę, według stanu powietrza w ostatnich dniach marca lub w kwietniu, wprzód już w jesieni grzędę do tego przygotowaną. Nadmienilo się wyżej że można także sadzić je później, aby mieć kwiaty w sierpniu lub wrześniu.

Skoro się okażą pierwsze listki wysadków 5—6 cali jeden od drugiego odległych, przestrzegać trzeba utrzymania w ziemi należytej wilgoci, ale jednak nakrywać je oknami od długo trwających deszczów. Gdy listki zwiędną, wybrać trzeba korzonki, położyć je na czas jakiś w miejscu ocienionem, przewiewnem, a gdy dobrze obeschną, zachować na pułkach, w miejscu gdzieby nie zmarzły.

Załączone ryciny przedstawiają trzy odmiany z gatunku wyżej wymienionego *chińskiego* (*An. coronaria*). Wszystkie, jak widzimy, są pełne i mają cechy kwiatów *doskonatych*.

E. L. b. prof. n. p.



Herschel.

H. Pichas sc.

RODZINA HERSCHLÓW.

Pomiędzy badaczami których prace przyczyniły się najwięcej do obznajmienia współczesnych i potomnych z tajemnicami firmamentu, znakomite bez wątpienia miejsce należy się dwom Herschlóm. ojcu i synowi, a obok nich siostrze pierwszego, Karolinie, jednej z tych kobiet wyjątkowych, łączących z głęboką nauką wytrwałość rzadko bardzo w ich płci spotykana. Wilhelm Herschel ojciec, urodzony i wychowany w warunkach rozwojowi wysokich jego zdolności bynajmniej nie sprzyjających, sam się wykształcił na astronoma, sam stworzył instrumenta nieznaną przed nim doskonałości, za pomocą których poczynił wspólnie z siostrą szereg najważniejszych odkryć. Syn jego, Jan Herschel, stał się dziedzicem sławy ojcowskiej, i dziś jeszcze z czynnością niezmordowaną pracuje na polu astronomii.

Fryderyk Wilhelm Herschel (którego wizerunek załączamy), urodzony 15 listopada 1738 r. w Hanowerze, był drugim synem tamecznego nauczyciela muzyki. Ojciec jego, upatrzawszy w nim zdolność do sztuki której sam się poświęcał, udzielił mu pierwsze jej początki, i młody Wilhelm w czternastym już roku życia wszedł jako oboista do pułku gwardyi hanowerskiej. Z pułkiem tym w r. 1757 wysłany do Londynu, otrzymał przez pośrednictwo hrabiego Darlington urząd nauczyciela kapeli wojskowej w hrabstwie Durham. Opuściwszy później służbę wojskową, został organistą w Halifax, a następnie (r. 1766) w Bath, gdzie znaczną pobięrał płacę. Tu, pośród nawału zatrudnień chlebowych, wpadły mu w ręce dzieła astronomiczne Fergusona. Czytanie ich rozbudziło w nim żądzę namiętą, nieślumioną obeznania się z wyższą matematyką i przeniknięcia rozumem owych cudnych hieroglifów gwiazdzistych, których kształty nęcące tajemniczym doń przemawiały językiem. Odtąd już każdą chwilę swobodną młody badacz poświęcał matematyce; zgłębiał ją w całej rozciągłości, nie mając innego ku temu przewodnika, prócz kilku dzieł podręcznych, a wątpliwości napotykanę siłą własnego rozwiązując geniuszu.

KSIĘGA ŚWIATA, R. IV.

Ale chwil wolnych, przy obowiązkach zajmowanej przezeń posady, było niewiele. Jako organista Herschel z urzędu przewodniczyć musiał koncertom i sam brać w nich udział, musiał wykładać sztukę, dla której duchem był obcy. Ileżto udręczeń doznać musiał ten umysł silny, podniosły, rozpatrujący się z uwielbieniem dziecięcia, a z namiętym kochanką zapalem w cudach wszechświata, przykutym będąc do ziemi pętami powszedniości, czując iż zasoby otrzymane od Boga w zwichniętych marnuje usiłowaniach! Nieraz też w podszłym już wieku Herschel żałował gorzko, że się od pierwszej młodości poświęcić nie mógł gruntownie ulubionej swój nauce.

Jak bądź, sięgające coraz dalej studia astronomiczne Herschla dały mu uczuć potrzebę posiadania dokładnego teleskopu; jedyne bowiem narzędzie tego rodzaju jakie miał pod ręką, wiele bardzo zostawiało do życzenia. Szczęściem na ten raz dla nauki, ograniczone środki pieniężne dość dobrze płatnego, ale zawsze niebogatego organisty, nie wystarczały na zakupienie dobrego teleskopu. Niezmordowany nasz badacz, z uporczywą wytrwałością i ufnością właściwą wielkim tylko ludziom, rzuca się sam do prób coraz nowych, tém mozolniejszych, że niepopartych technicznem doświadczeniem, i nareszcie w r. 1774, przełamawszy tyśiączne trudności, wystawia pięciostopowy teleskop, podług zasad Newtona.

Zachęcony powodzeniem, Herschel powiększał stopniowo rozmiary swych narzędzi optycznych, które nieznaną przed nim dochodziły wielkości. Zupełnie już prawie zarzuciwszy muzykę, wstąpił teraz na pole astronomii jako badacz samodzielny. Od roku 1779 zaczyna się szereg prac jego systematycznych, które, gwiazda za gwiazdą, obejmując przestrzenie niebieskie, do najważniejszych doprowadziły wypadków. W r. 1780 ogłosił obliczenie wysokości gór księżycowych, a 13 marca 1781 roku odkrył nową planetę (przez późniejszych astronomów nazwaną *Uranem*), której na cześć króla angielskiego nadał miano *Georgium Sidus*.

Odkrycie to sławę imienia Herschla rozniosło po całym świecie uczonym. Wyniesiony przez Jerzego III do godności nadwornego astronoma, z pensją 400 f. sterl., mógł odtąd wyłącznie poświęcać się zawodowi, ku któremu oddawna wrodzone pociągały go zdolności. Osiadł więc na wsi w Datchett, a później w Slough pod Windsorem, i wsparty hojnością króla, założył tam obserwatorium, nie zaprzestając przytém wyrabiania coraz to większych i doskonalszych teleskopów. Narzędzia te, przedmiot podziwu i uwielbienia ludzi naukowych, pomimo swój ceny wysokiej, rozeszły się szybko po Europie, bo wszyscy monarchowie dobijali się o zaszczyt posiadania arcydzieł mistrzowskiej ręki Herschla. Roku 1787 stanął olbrzymi jego teleskop czterdziestostopowy, którego zwierciadło metalowe miało $4\frac{1}{2}$ stopy średnicy i powiększało przedmioty 7000 razy. Ale wspaniały ten pomnik pracy i rozumu ludzkiego wkrótce niestety, skutkiem zniepokaszenia się powierzchni zwierciadlanej na wilgotnym powietrzu nocnym, znacznego doznał uszczerbku. Najważniejsze też odkrycia poczynił Herschel za pomocą dwunasto i dwudziestocztóro stopowych teleskopów.

Już w latach 1783 i 1787 udowodnił on istnienie wulkanów na księżycu. Tegoż roku 1787 odkrył dwa księżyce Uranowe, a następnie, (od 1790—1794) dostrzegł cztery jeszcze inne. Dalej wzbogacił astronomię odkryciem rotacji pierścienia Saturnowego (któremu to obrotowi nazначył trwanie 10 godzin 32 minut) i dwóch należących do tej planety księżyców. On pierwszy przez udoskonalone teleskopy badał drogę mléczną, mianowicie gromady tak zwanych gwiazd mglistych, i obliczył że niektóre z tych gromad przeszło 50,000 gwiazd zawierają. Odkryte przez Piazziego, Olbersa i Hardinga cztery nowe planety: Cererę, Palladę, Vestę i Junonę, obserwował z największą dokładnością i zmierzył ich średnicę, stawiając genialne hipotezy o naturze tych ciał niebieskich.

I w fizyce także niejedno ważne spostrzeżenie zawdzięczamy Herschlowi. Między innymi zauważył on pierwszy że różne kolory na które pryzmat rozkłada światło słoneczne, różną też posiadają siłę ogrzewania; że same promienie czerwone tyle dają ciepła, co inne sześć razem wzięte. Te i tym podobne obserwacje nad promieniami słonecznymi doprowadziły go do wniosku, iż światło

dzienne nie wychodzi z tarczy samego słońca, ale ze świetnych obłoków fosforycznych jądro jego otaczających.

Już r. 1802 Herschel przedłożyć mógł uczoneму światu, jako owoc kilkunastoletnich badań, katalog obejmujący do 5,000 gromad gwiazd mglistych. Była to praca o której przed nim ani zamaryć mogli astronomowie; bo tylko wysokie udoskonalenie teleskopów przez Herschla, zapuszczenie się w odmęt tej części nieba czyniło możliwym. Wszystko też niemal co wiemy dotąd we względzie tajemniczych drogi mlécznej przestrzeni, zawdzięczamy starszemu Herschlowi.

Do roku jeszcze 1818, mając już lat ośmdziesiąt, udzielał regularnie wypadki prac swoich królewsko-angielskiemu towarzystwu przyjaciół nauk. W ocenieniu nieśmiertelnych jego zasług, uniwersytet oxfordski jeszcze r. 1786 udzielił mu stopień doktora (Doctor of laws), jeden z największych zaszczytów naukowych, którego niewielu dostąpiło cudzoziemców, a wszystkie prawie uczone towarzystwa zagraniczne mianowały go swoim członkiem. Ozdobiony przez królewskiego opiekuna swojego Jerzego III w r. 1816 orderem Gwelfów, Wilhelm Herschel umarł 25 sierpnia 1822 r. w dobrach swoich Slough pod Windsorem; pochowany w Upton w hrabstwie Berkshire. Do samej śmierci siły jego fizyczne i umysłowe pozostały w pełnym działaniu. Znaczną część rozpraw piśmiennych genialnego astronoma wydrukowano w „*Philosophical transactions*“ i innych czasopismach angielskich; wiele jednak pozostało w rękopisie. Ostatnią jego pracą, ogłoszoną r. 1821 w wymienionym piśmie, było podanie najdogodniejszego sposobu obliczenia odległości gwiazd stałych od ziemi.

Z rodziny Wilhelma Herschla siostra jego Karolina (ur. w Hanowerze 1743 r.) niezmordowana uczestniczka jego badań naukowych, upamiętniła swoje imię w dziejach astronomii odkryciem kilku komet.

Jedyny syn jego z Maryi Pitt, John Frederik William Herschel, (ur. w Slough r. 1790) został dziedzicem sławy i talentu ojcowskiego. Skończywszy uniwersytet w Cambridge, którego obecnie jest profesorem, w młodzieńczym już wieku odznaczył się pracami matematycznymi, mianowicie przerobieniem dzieła Sylwestra Franciszka Lacroix o rachunku różniczkowym. Należy on dziś do naj-

znakomitszych matematyków angielskich, a w nowszym czasie na polu szczególnie astronomii i fizyki wielkie położył zasługi. W r. 1834 udał się na przylądek dobrej nadziei, i tam przez lat cztery za-

jęty był badaniem południowego półsferza firmamentu. W fizyce młodszy Herschel znany jest z ważnych spostrzeżeń nad teorią galwanizmu, głosu i światła.

STEFAN CZARNIECKI.

PRZEZ LUDWIKA JENIKE.

(Dokończenie).

Pozbywszy się Rakociego i znagliwszy Karola Gustawa do ustąpienia ku Szczecinowi, Polacy ze sprzymierzeńcami swemi, Austryakami, mogli już pomyśleć o zupełnym oczyszczeniu kraju z reszty nieprzyjaciół. Wielkopole, pod kierunkiem Grodzickiego, rozpoczęli obleżenie Poznania, osadzonego załogą brandenburską, i zajęli go drogą kapitulacyi. Kraków, broniony przez trzy tysiące Szwedów pod dowództwem komendanta Wirtza i dwa tysiące Węgrów, od początku już lipca opierał się skutecznie feldmarszałkowi austriackiemu Hatzfeldowi. Ale gdy przyszła wiadomość o układzie z Rakocym, i skutkiem tego załoga siedmiogrodzka 18 sierpnia opuściła obleżone miasto, gdy na wezwanie dawniej jeszcze przybyłego króla nadciągnęli hetmani od Międzyboża i Czarniecki od Lwowa, Wirtz zaczął mięknąć i nareszcie wszedł w rokowania. Trzydziestego sierpnia stanęła umowa: że Szwedzi z honorami wojskowemi i trzynastą działami odprowadzeni zostaną do granicy pomorskiej; że długi swe w mieście popłacą, a nie naruszają własności prywatnej, archiwów i skarbcza zamkowego; że wreszcie król przebaczy Polakom co trzymali z nieprzyjacielem. Po podpisaniu warunków Wirtz z całą załogą zaraz opuścił Kraków (1); Jan Kaźmirz zaś nieco później (4 września) wje-

chał doń cicho, bez żadnej okazałości, i zabawiwszy krótko, pospieszył do porzuconej przez nieprzyjaciół Warszawy, z kąd jeszcze przed zimą udać się miał do Prus, dla odebrania Szwedom Torunia.

Jednocześnie prawie z rozpoczęciem obleżenia Krakowa (18 lipca) Gniński i Morsztyn zawarli w Kopenhadze z Danią przymierze zaczepne i odporne. W następstwie tego traktatu Czarniecki z Opaleńskim wkroczyli w cztery tysiące do Pomorza szwedzkiego. Przechodząc krajami brandenburskiemi, Czarniecki, przewidujący blizką zmianę w polityce elektora, zabronił surowo jakiegobądź czynić szkody. Przebywszy wpływ Odrę pod Frankfurtem, wojewodowie pociągnęli pod Szczecin i spalili jego przedmieścia. W Passewalku, który dobrowolnie otworzył im bramy, zdobyli chorągwie szwedzkie, mnóstwo sprzętów wojennych i broń na trzy tysiące ludzi. Jednakże w kraju оголоconym z żywności niepodobna było z wojskiem przezimować; dwunastego więc listopada hufce polskie, rzuciwszy trwogę po całej Pomeranii, wróciły do kraju.

Tymczasem między pełnomocnikami elektora, a Gosiewskim hetmanem litewskim i Wacławem Leszczyńskim biskupem warmińskim, umocowanemi od króla i senatu, ułożono rzeczywiście w Wewlawie (27 września) warunki przymierza. Główną ich treścią było że Polska zrzeka się na zawsze zwierzchnictwa nad Prusami książęcemi, dopóki te będą w posiadaniu linii męzkiej domu brandenburskiego, starostwa zaś lauenburskie i bytowskie wypuszcza elektorowi prawem lennem. Elektor

(1) „*Hic (Wirtzius) antequam digrederetur, mōvi Pufendorf ks. IV str. 290, a Joanno Casimiro benigne auditus et ab Hatzfeldio magnifico epulo exceptus fuit.*“ (Ten, zanim się oddalił, otrzymał od Jana Kaźmirza łaskawe posłuchanie, przez Hatzfelda zaś podjęty został wspaniałą biesiadą).

odstępuje od związku ze Szwedem i przeznaczają na usługi rzeczypospolitej sześć tysięcy wojska, za co król polski obowiązuje się po ukończeniu wojny zapłacić mu sto tysięcy dukatów, a tymczasowo na zastaw długu oddaje starostwo drahimskie. Traktat ten przez strony interesowane 6 listopada zaprzysiężony został w Bydgoszczy, dokąd oboje królestwo przyjechali z Warszawy.

Już Małopolska, Wielkopolska, Mazowsze i Podlasie wyparły z swych granic nieprzyjaciela: ale w Prusach królewskich tkwili jeszcze Szwedzi, trzymając zwłaszcza porty, z wyjątkiem wiernego Gdańska. W Toruniu, Brodnicy, Nowém Mieście, Grudziądzu, Elblągu, Malborgu, Tczewie, Chojnicach i Gołubiu mieli oni razem około trzynastu tysięcy załogi. Tu przeto wypadało królowi obrócić się z główną siłą. Jenerałowie austriaccy Montecuculi i Hejster kolejno przez kilka tygodni kusili się o zdobycie Torunia; lecz niepoparci przez Jana Kaźmirza, (który walcząc bezustannie z przeszkodami, mianowicie piéniężnemi, stanął na leżu zimowém w Poznaniu), zaniechać musieli przedsięwzięcia.

Odłożywszy na później stanowcze w Prusach działania, król w lutym 1658 r. zwołał stany do Warszawy, dla naradzenia się względem środków zakończenia lub skutecznego poparcia wojny. De Lombres poseł francuzki, w porozumieniu z królową, nieprzychylną wpływowi austriackiemu, ofiarował pośrednictwo Francyi. Nic jednak postanowić nie zdołano, bo wkrótce szerząca się po Warszawie morowa zaraza radzących rozpędziła. Król zjechał do Łowicza, i tu odebrał poselstwo od cara Aleksego, z domaganiem się korony polskiej, na zasadzie dawniejszych przyrzeczeń. Odpowiedziano posłowi z uprzejmością, że sejm na 10 lipca do Warszawy naznaczony rzecz tę rozstrzygnie.

Po krótkiej chwili pomyślniejszych nieco wypadków, nowe rzeczypospolitej zagrażać poczęły kłeski. Z jednej strony car Aleksy, na przypadek nieobrania go następcą po Janie Kaźmirzu, czynił uzbrojenia, zawarłszy 23 kwietnia 1658 r. rozejm z królem szwedzkim; z drugiej otrzymano wiadomość iż Dania, zgnębiona niepomyślną walką, podpisała w Roeskilde uciążliwy dla siebie pokój, obiecując nawet posiłki Karolowi Gustawowi, których już tysiąc pięćset okrętami do Prus posłała. Nic prostszego zatem jak przypuszczenie że Szwedzi,

z dwóch stron od ciężkich uwolnieni wojen i wsparci przez nowego sprzymierzeńca, wrócą po odebraniu zaniechanych w Polsce zdobyczy. Jedyną w tych kłopotach otuchę przyniosły dwa poselstwa: jedno od chana, ofiarujące królowi sto tysięcy hordy na każde zawołanie; drugie od Kozaków, z oświadczeniem uległości dla rzeczypospolitej. Nie spodziewaną tę zmianę w usposobieniu Ukrainy kilką słowy wyjaśnić tu należy.

Stary Chmielnicki w czerwcu 1657 r. doszedł kresu życia, poleciwszy jedynego syna swojego Juraszkę, którego naturalnie pragnął mieć następcą, opiece starszyny. Lecz Jan Wyhowski, Polak jeszcze w roku 1648 pod Żółtymi Wodami wzięty w niewolę kozacką i sprawujący odtąd przy Chmielnickim obowiązki kanclerza, człowiek obdarzony nadzwyczajną zręcznością, obok wysokiego talentu organizacyjnego, umiał rozsiać pogłoskę że sam przez Bohdana na łożu śmiertelném naznaczony został hetmanem. Kozacy téż, starym obyczajem, rzucili w górę kołpaki i jednogłośnie prawie wybrali go na tę godność. Dopiąwszy swego, Wyhowski wysłał zaraz do Warszawy Nosacza, oświadczając gotowość do układów, a następnie (18 września 1658 r.) podpisał z Bieniewskim posłem króla Kaźmirza umowę znaną pod imieniem hadziackiej.

Na sejmie warszawskim (w lipcu 1658 r.) rozbiérano najprzód sprawę innowierców. Izba wyrzekła że wszyscy, oprócz arianów, sprawować mogą urzędy poselskie, ci ostatni zaś albo wrócić powinni do kościoła katolickiego, albo w ciągu trzech lat opuścić polską ziemię. Potwierdzono potem zawarte traktaty, a nareszcie przystąpiono do trudnej niezmiernie kwestyi obmyślenia piéniędzy. Zaprowadzona dawniej jeszcze akcyza i podwyższenie innych podatków, w kraju przez wojnę wyniszczonym niewiele uczyniło dochodu; słowem w czasie kiedy nieznano jeszcze biletów bankowych ani obrotów stojących na kredycie wewnętrznym i zewnętrznym, nie było już w istocie zupełnie godziwego środka zasilenia skarbu. Zaczęto więc lichą bić monetę (1) frymarczyć sprzedażą senatorstw,

(1) Tym sposobem namnożyło się wkrótce, zamiast dozwolonych dwóch milionów, przeszło dwadzieścia milionów złotych w szelągach Włocha Boratyni'ego, tudzież dużo lichych złotych mincarza Tomasza Tynfa, nazwanych od niego *tynfami*. Już wtedy ludzie przewidujący

starostw i klejnotów szlacheckich; cła zaś i wszelkie dochody skarbowe wypuszczano w dzierżawę i zastaw różnym spekulantom, najczęściej Żydom, podkopując tym sposobem zasady dawniej poczciwości, a drogę do pierwszeństwa w Rzeczypospolitej szeroko otwierając ludziom choćby bez czci i wiary, byle w grosz opatrzonym.

Leopold król węgierski i czeski utrzymał się tymczasem przy koronie cesarstwa niemieckiego i ogłosił przymierze swoje z Danią, Polską i elektorem, a wojnę przeciw Szwecyi. Duńczycy też, ochłonawszy z przestachu, chwycili się pierwszego lepszego pozorowania wojny z Karolem Gustawem, wsparci w tém przez miasta hanzeatyczne, a pośrednio i przez Holandya.

Według umowy pomiędzy sprzymierzonymi, połączone wojska cesarskie, brandenburskie i polskie, pod naczelnym dowództwem elektora, udać się miały do Szlezwigu w pomoc królowi duńskiemu. Hrabia Montecuculi prowadził czternaście tysięcy Austryaków, sam elektor dwanaście tysięcy Brandenburezyków, Czarniecki zaś z Opaleńskim sześć tysięcy wyborowej jazdy polskiej, w której szeregach stało wielu ze znakomitszej młodzieży, jak: Adam Działyński, Franciszek Czarnkowski, Kaźmirz Piasoczyński, Michał Wojniłowicz, Mikołaj Kozubski i inni. Oddziały te, wyruszywszy trzema szlakami, wkroczyły przez Holsztyn do księstwa szlezwickiego, i dopiero 14 listopada 1658 r. złączyły się z sobą w północnej jego części pod miastem Hadersleben.

Szwedzi, trzymając od północy miasto Kolding, od południa zaś miasto Sonderburg na wyspie szlezwickiej Alsen, panowali tym sposobem nad obydwojma końcami małego beltu; pierwszym więc usiłowaniem wojsk sprzymierzonych musiało być wyparowanie przeciwników z tych punktów obronnych. Zaraz też, mimo spóźnionej pory, elektor z Czarnieckim posunęli się ku Koldingowi, leżącemu po tamtej stronie wązkiej, głęboko na zachód między Szlezwigiem a Jutlandya wkraczającą zatoki beltu. Nie było dosyć okrętów i statków do przewiezienia piechoty, a tém bardziej konnicy; Czarniecki przeto, umiejący doskonale obywać

wybite na monecie początkowe litery imienia królewskiego: J. C. R. (Joannes Casimirus Rex) czytali: *incipit calamitas regni*, (zaczyna się niedola kraju). Krajewski Panow. Jana Kaźmirza, tom I, str. 168,

się bez mostów, jak tego już dawniej nieraz dawał dowody, każe jeźdźcom rozkulbaczyć konie, wnieść samym do łodzi, a konie trzymać na cuglach. Dwanaście chorągwi polskich przeprowia się tym sposobem bez szwanku, a Niemcy, zachęceni przykładem, puszczają się w ślad za niemi. Załoga koldingska, na widok przeważnego w sile nieprzyjaciela, spiesznie opuszcza miasto; Czarniecki zaś, kazawszy zaraz osiodłać mokre i trzęsące się od zimna konie, rusza w pogoń za nieprzyjacielem, zabija własną ręką kapitana, i kilku ludzi bierze w niewolę.

Opanowawszy Kolding, elektor z Czarnieckim pociągnęli nazad do Szlezwigu, w zamiarze zajęcia wyspy Alsen, przeprowienia się ztamtąd do Fionnii, a dalej do Zelandyi, i zagrożenia z tyłu Karolowi oblegającemu Kopenhagę. Wyspę Alsen odziera od lądu przesmyk dość szeroki, ale że w środku jego było miejsce gdzie konie mogły zgruntować i odpocząć, Czarniecki przeto, kazawszy z brzegu powyrąbywać lód siekierami, zwyczajem swoim wplaw przebyć go postanowił. „Sam tedy wojewoda, (słowa są Paska) przeżegnawszy się wprzód, w wodę; pułki za nim, których jeno trzy było, nie całe wojsko, każdy za kołnierzą zatknawszy pistolety, a ładownicę uwiązawszy u szyi. Skoro przypłynął na środek, stanął, i kazał każdej chorągwi odpocząć, a potem dalej. Konie już były do pływania probowane; który źle pływał, to go między dwóch dobrych mieszano, nie dając mu tonąć. Dzień na szczęście był cichy i bez mrozu; już była trochę odwilż poczęła następować, ale zaś potem zima tęga ujęła. Żadna tedy chorągiew nie była jeszcze u lądu, kiedy Szwedzi przypadli i strzelać poczęli; chorągiew też każda, która wyszła z wody, zaraz na nieprzyjaciela skoczyła. Szwedzi, widząc że choć dopiero z wody, (a przecie strzelba nie zamokła, ale strzela i zabija, w nogi; owych też co przybywali na pomoc przerznęli nasi końmi, a dopiero w nich jako w dym.“ Po krótkim obleżeniu zdobyto miasta Sonderburg i Nordburg, a w końcu listopada 1658 r. cała wyspa Alsen była w posiadaniu sprzymierzonych i obsadzona załogami nowo formującego się wojska duńskiego.

Powróciwszy z elektorem na ląd stały, Czarniecki puścił się znów do Jutlandyi, i zajął ją daleko ku północy aż po Aarhus. W samo Boże Narodzenie

na stojących pod tém miastem Polaków natarła jazda szwedzka. Spotkanie było żwawe; ale skończyło się na tém że Szwedzi zostali złamani, a Czarniecki, ścigając uchodzących, dopadł aż pod Kolding, napowrót już wtedy przez nieprzyjaciół odebrany. Nie mieli nasi armat ani żadnych przyborów obleźniczych; Czarniecki jednak, niedługo myśląc, kazał chorągwiom i luźnej czeladzi porozdawać siekiery, zasłaniać piersi snopami słomy od wystrzałów z ręcznej broni, i tak w imię Boskie ruszać naprzód. Pomysł ten prosty, lecz trafny niezmiernie w danych okolicznościach, wiele przyczynił się do do zwycięstwa. Zaledwie bowiem nacierający zbliżyli się do fossy, zaraz zarzucili ją snopami i skoczyli pod mury. Wtedy to nasz kronikarz, Jan Chryzostom Pasek, wrąbał się ze swymi przez jakieś okienko zakratowane, a jednocześnie bramą wpadł do miasta podpułkownik Tetwin z dragonami. Załogę całą w pień wycięto i znaczną zabrano zdobycz; ale gdy zwycięzcy, robiwszy skład prochu, czapkami i chustkami, jak kto może, wynosić proch zaczynają, jeden z dragonów lontem od muszkietu zapuszcza przez nieostrożność ogień i wysadza w powietrze część zamku. Zginęło tam ludzi niemało, a między niemi do trzydziestu Polaków (1).

Na leżach zimowych powstały zatargi między

(1) „Po oném szczęśliwém zwycięstwie, mówi Pasek (wyd. Rac. str. 21 i 22), zrobiwszy tę robotę prawie we trzech godzinach, zaraz tam osadził na téj fortecy wojewoda kapitana Wąsowicza z ludźmi. Poszliśmy nazad, każdy do swego stanowiska, bo trzeba było w tak wielką uroczystość mszy świętej słuchać; mieliśmy księdza, ale nie było aparatu. Jeno cośmy w lasy weszli, aż księdzu Piekarskiemu wiozą aparat, po który był nocą wyprawił. Tak tedy stanęło wojsko; nagotowano do mszy na pniaku ściętego dębu, i tam odprawiono się nabożeństwo, napalivszy ogień do rozgrzewania kielicha, bo mróz był tęgi. *Te Deum laudamus* śpiewano, aż się po lesie rozlegało. Klęknałem księ. Piekarskiemu służyć do mszy; ucieszony ubieram księdza, aż wojewoda rzecze: „Panie bracie, przynajmniej ręce umyć.“ Odpowiedz: Nie wadzi to nic; nie brzydzi się Bóg krwią rozlaną dla imienia swego.“ Spotykaliśmy potem naszych luźnych wiozących nam różny zasilek. Gdzie kto swego zastał, tam siadł i jadł, z owego wczorajszego głodu. Wojewoda wesoło jechał, że to prawie niezwyčajnym przykładem, bez armaty i piechoty, wziął fortecę taką; co oboje mógłby być mieć od elektora blisko stojącego, ale fantazya w nim była że nie chciał się kłaniać, ale żeby do niego samego ta należała się sława, ufając w Boga, porwał się i dokonał.“

Polakami i Brandenburczykami; Czarniecki także poróżnił się z Montecuculi'm jenerałem austryackim, i, jeśli wierzyć można Paskowi, wyzwał go na pojedynek. Umiał jednak elektor, jako naczelny dowódzca wyprawy, spory te załagodzić; bo zamierzając podobno wystąpić jako kandydat na przyszłej elekcyi polskiej, starał się naturalnie o rozszerzenie swego wpływu i zjednanie sobie stronników. Zawsze téż dla Polaków wiele okazywał grzeczności, częstował ich, chodził po polsku, a kiedy wojsko przechodziło, stojąc przed namiotem, trzymał czapkę w ręce, dopóki wszystkie nie przeciągnęły chorągwie (1). Tegoż czasu król duński, w ocenieniu ile szabla polska pomocną była jego sprawie, przesłał Czarnieckiemu list pełen pochlebnych wyrażen, z oświadczeniem swój wdzięczności za odebranie wyspy Alsen trzykroć liczniejszemu przeciwnikowi (2).

(1) Pasek wyd. Rac. str. 14.

(2) List ten u Rudawskiego (str. 439 i 440) brzmi jak następuje:

Fridericus III. Dei Gratia Daniae, Norvegiae, Vandalorum, Gothorumque rex, dux Schlesvici, Holsatiae etc. Singulari favore ac benevolentia nostra regia praemissis, Illustrissime domine sincere grateque nobis dilecte!

Maxima cum aestimatione nobis relatum est, quomodo illustritas vestra diversis conflictibus, novissime etiam in occupatione insulae Alsen, sitorumque in ea castellorum, inter alia hostis copias numero militum plus quam triplo fortiores, praeunte suo agmine profligando, virtutem suam vere heroicam cum laude et admiratione omnium exercuit. Quemadmodum nobis semper de illustratione vestra, utpote duce rebus suis gestis praeclaro, gratulati sumus, affectumque serenissimi regis vestri fraternalium, in auxilium armorum nostrorum illustritatem vestram submittendo, abunde deprehendimus, ita benevolentiam nostram regiam, quam meritis suis etiam apud nos acquisivit, contestari hisce voluimus, ex animo optantes, ut felicissimis quibuscunque successibus fama illustritatis vestrae, nonsolum patriae, sed et exteris etiam magis magisque cognita universo orbi, praesertim huic arctoo magis magisque innotescat. De caetero persuadet sibi illustritas vestra, nos quidquid officiorum nobis praestitum fuerit, grato animo, omnique favore regio cum Deo et tempore agnituros. Dabantur in arce nostra regia Haffniae, die 24 decembris, anno 1658.—Illustritatis vestrae benevolus.

Fridericus rex.

Co znaczy po polsku:

My Fryderyk III z Bożej łaski Danii, Norwegii, Wandalów i Gotów król, książę szleswicki, holsztyński i t. d.

Zasylając wprzód szczególniejszą łaskę naszą i przychylność królewską,

Na początku roku 1659 admirał szwedzi Wrangel, wpłynawszy do małego bełtu, zajął miasto Middelfart na wyspie Fionii; z drugiej strony, od Jutlandyi, Szwedzi trzymali twierdzę Fryderycyą, i stawszy się przeto panami obydwóch brzegów morskich, przeszkadzali dowozowi żywności dla wojsk sprzymierzonych. Elektor z Czarnieckim oblegli ten ważny punkt strategiczny, starając się różnemi fortelami wywabić nieprzyjaciół z za szanów; ale ci, rzadko tylko i zniemacka czyniąc wycieczki, niemało naszych położyli pod murami fortecy, gdzie między innymi raniony został młody Stefan Czarniecki starosta kaniowski, synowiec wojewody ruskiego. Nareszcie, kiedy już wszystko przygotowano do szturm, Wrangel dopłynął w nocy z okrętami, zabrał całą załogę, a miasto podpalił. Wpadli nazajutrz związkowi do opuszczonej warowni, myśląc jak zwykle o zdobyciu łupów; ale Czarniecki, wódz doświadczony, przewidując zdradę, kazał im spieszenie ustąpić. I sprawdziła się jego obawa, bo wkrótce podłożone miny wysadziły część zabudowań (1).

Pomyślnie te działania wojenne postawiły związkowych w możności przedsięwzięcia wyprawy na

Jaśnie wielmożny szczerze nam miły i ukochany panie!

Doniesiono nam z największym uwielbieniem, że JW. pan w różnych potyczkach, a świeżo w zajęciu wyspy Alsen i położonych na niej warowni, między innymi trzykroć liczniejsze wojska nieprzyjacielskie gromiąc na czele swego hufca, dałeś chwalebne i godne podziwienia dowody męstwa prawdziwie bohaterskiego. Jako więc zawsze winszowaliśmy sobie obecności wodza tyłą czynami słynnego i ocenili w zupełności przyjaźń braterską Najjaśniejszego króla polskiego, gdy w pomoc orężowi naszemu przetrzymał JW. pana, tak też przychylną naszą królewską, do której zasługami swemi i u nas nabyłeś prawa, niniejszym okazać pragniemy, życząc z serca aby sława JW. pana wszelakiego rodzaju powodzeniami nietylko w ojczyźnie jego, lecz u postronnych także po całym rozgłosna świecie, szczególnie w tym kraju północnym coraz się bardziej szerzyła. Zresztą bądź JW. pan przekonany, że wyświadczone nam przysługi wdzięcznie i łaskawie z Bogiem i współczesnością uznajemy. Dan w zamku naszym królewskim w Kopenhadze, d. 24 grudnia 1658 r. JW. pana przychylny Fryderyk król.

(1) A owa forteca, która niegdyś 20,000 ludzi strawiła, gdy ją brał Szwed królowi duńskiemu, bo Szwedów 9000, a Duńczyków 11,000, jako sami kommissarze powiadali, zginęło, wróciła się nazad bez straty wojska. Powiadali kommissarze że się tu ta ziemia krwią ludzką tak nasyciła, jak wodą po wielkim dészczu.“ (Pasek, wyd. Rac. str. 41).

Fionią. Czekano floty holenderskiej, która podjęła się przewiezienia wojska, a tymczasowo robiono wycieczki dla rozpoznania brzegów. Raz i Czarniecki, zabrawszy z sobą stu czterdziestu ludzi, niewielkim okrętem wyruszył na morze, a płynąc z wiatrem przyjaznym, zapędził się dość daleko. Kilka już mil oddzielało podróżnych od brzegu, gdy nagle straż masztowa ujrziała zbliżających się pięć okrętów nieprzyjacielskich. Upadło wszystko na duchu; sam tylko wojewoda, widząc że ucieczka niepodobna, zawołał: „Oto bracia, szukaliśmy na lądzie nieprzyjaciela, na morzu go znaleźliśmy; ani wałami, ani murami, ani obozem zatarasowany, ale pośród morza. Niema się tu gdzie schować, ani zdrady żadnej nie może uczynić; gotów jest do boju. Teraz Polacy pokażmy iż nietylko na ziemi, lecz i na wodzie nieustraszone niesiemy serce“ (1). I rozkazał sternikowi zwrócić się wprost ku dwóm najbliższym okrętom. Szwedzi, rozumiejąc że to zasadzka, zawahali się; a tymczasem też wiatr się obrócił, i okręt Czarnieckiego, weale już w końcu nie ścigany, szczęśliwie przybił do brzegu. Elektor, witając wojewodę z radością, przełożył mu jednak niebezpieczeństwo na jakie się wystawił, i prosił aby na przyszłość nie narażał tak swego życia, tyle dla wszystkich drogiego (2).

Dziewiątego nareszcie maja Montecuculi z sześcią tysiącami Austryaków wsiadł na okręty, płynąc ku miasteczku Middelfart. W połowie przeprawy zjawił się Wrangel z flotą, i przyszło do bitwy morskiej, w której obie strony znaczne poniosły straty, a sam Montecuculi oberwaną drzazgą okrętową ciężko w goleń był raniony. Za nadejściem nocy Szwedzi odpłynęli do Fionii, Austryacy zaś, nie nie wskórawszy, z nadwerężonemi okrętami holenderskiemi, wrócili ku brzegom jutlandskim.

Gdy to się działo w Danii, w innych także stronach sprzyjało szczęście orężowi polskiemu przeciw Szwedom. Toruń, po długim obleżeniu, jeszcze w końcu r. 1658 poddał się królowi przez kapitulacją. Następnie w ciągu r. 1659 Jerzy Lubomirski zdobył szturmem Grudziądz, odebrał Teczew i Głowę (Haupt) twierdzę Gdańską; Denhof zaś, skutkiem układu, zajął Brodnicę. W Kur-

(1) Panow. Jana Kaźm. wyd. Rac. tom II str. 15.

(2) Tamże str. 16.

landyi téż Hilaremu Połubińskiemu pisarzowi polnemu powiodło się zdobycie Goldyngi, Libawy, Windawy i Mitawy, podstępem niedawno przez Duglasa zajętych.

Tymczasem dawno już przewidywana wojna dotknęła Polskę od potężnego sąsiada. Car Aleksy trzy po trzydzieści tysięcy wojska wysłał w granice rzeczypospolitej. Z jednym Trubecki wkroczył na Ukrainę; drugie Chowański i Dołgoruki powiedli do Litwy; trzecie Romadanowski trzymał w odwodzie między Dnieprem a Berezyną. Wewnętrzne téż sprawy kraju coraz się bardziej wikały. Niepłatne od lat kilku wojsko kwarciane złożyło konfederacją pod laską Marcina Jaskólskiego; kiedy zaś ustanowiona w Lublinie kommissya przystąpiła do sprawdzenia rejestrów, pokazało się iż rzeczpospolita winną już była niezmierną w owych czasach summę trzydziestu czterech milionów złotych, na którą z uchwalonych podatków wpłynęło tylko sto sześćdziesiąt tysięcy (1). Obmyślenie więc środków zakończenia wojny z chylącym się do zgody dawniejszym nieprzyjacielem, skuteczne odparcie nowego przeciwnika, wreszcie sprawy kozackie i usunięcie konfederacyi, wszystko to nieodzownie wymagało sejmu. Otworzono go 17 marca 1659 r., a potrzeba przedłużyła go nad prawo na trzy miesiące. Na sejmie tym zatwierdzono najprzód umowę hadziacką, mocą której Kozacy uważani być mieli za naród wolny, podobnie jak Litwa z koroną zjednoczony. Posłów od wojska zkonfederowanego zbyto obietnicami i odesłano do kommissyi lwowskiej, ostatecznie rzecz tę rozstrzygnąć mającej. Mianowano potem kommissarzów do prowadzenia układów ze Szwecyą i carem; na przypadek zaś spełnienia takowych przeznaczono wodzami: do Prus Jerzego Lubomirskiego hetmana polnego koronnego, na Ukrainę Jędrzeja Potockiego wojewodę braclawskiego, a na Litwę Pawła Sapiechę hetmana wielkiego litewskiego, ze Stefanem Czarnieckim, którego król spieszenie z Danii odwołał (2).

(1) Jemiołowski, str. 140.

(2) „Czarniecki wielką reputacją sobie i Polakom w tych krajach zrobił. Książęta zacięci Czarnieckiego kochali, dla rycerskich akcyj, żołnierze onego lubili, że się nie szanował, zarówno z rycerstwem na wszystkie niebezpieczeństwa narażał się. Chwalili jego odważni, jako

Czarniecki w ciągu tej wyprawy posiłkowej rozszerzywszy na północy sławę swojego imienia, otrzymał w darze od króla duńskiego złoty łańcuch, oraz czarę kryształową i takąż naléwkę, w złoto oprawne i rubinami wysadzone (3). Proszonym będąc o zostawienie w wizerunku pamiątki swojej twarzy, długo się wzbraniał, powodowany właściwą wielkim ludziom skromnością, i uległ dopiero kilkakrotnym kommissarzów królewskich naleganiom (4). Za powrotem do kraju wstąpił do Poznania, dokąd po ukończonym sejmie zjechał Jan Kaźmirz, i powitawszy tam króla na czele swego pułku odartego, przybranego w suknie zdobyte na Szwedach, nader pochlebnego doznał przyjęcia. Monarcha, uznając w pełnych łaskawości wyrazach zasługi jego dla tronu, obdarzył go wtedy emfiteuzą Ratno w ziemi chełmskiej, z prawem posiadania dla spadkobierców na lat trzydzieści (5).

Karol Gustaw, przegrawszy przeciw Duńczykom walną bitwę pod Nyeborgiem (25 listopada 1659 r.), gdzie zginął między innymi Kaźmirz Piasoczyński starosta ostrołęcki, zostawiony w Da-

rycerza, a tchórze desperatem nazywali; serca wielkiego będąc, nie zważał niebezpieczeństwa, a oni mu za to lekkomyślność przypisywali. Kurfirszt brandenburski płacząc z nim żegnał się; król duński wszystkimi sposobami chciał go zatrzymać; lecz ordynansem króla Kaźmirza składał się.“ i t. d. (Panow. Jana Kaźm. wyd. Rac. tom II, str. 35).

(1) Rysunek czary i naléwki, zostających dziś w posiadaniu dwóch znakomitych rodzin polskich, zamieszczonym będzie w drugiej seryi „Wzorów sztuki średniowiecznej,“ wydawanych przez A. Przeździeckiego i E. Rastawieckiego.

(2) Panow. Jana Kaźm. wyd. Rac. tom II, str. 36.

(3) Konstytucya sejmowa dobra te nadająca brzmi jak następuje: Nagroda zasług wielm. wojewody ziem ruskich. Codzienne prace wielm. Stefana na Czarncie Czarnieckiego wojewody ziem ruskich, odwagi, zdrowia i kosztów dla dostojenstwa naszego i całości rzeczypospolitej, jako *judicio communi* są wielkie i godne pamięci, tak nas do wszelkiego obowiązują respektu i wdzięczności, które chcąc *in exemplo posteritati* osobliwszą szczodrobliwością godnie *coronare*; dobra nasze Ratno w województwie ruskiem w ziemi chełmskiej leżące, *cum omnibus attinentiis et pertinentiis*, wedle przywileju na tę dzierzawę od nas danego, jemu i potomkom jego, w nagrodę cnoty, usług życzliwych, *auctoritate praesentis conventus post decessum* tak samego jako małżonki jego, do lat trzydziestu *jure emphiteutico* sukcesorom tegoż wielm. wojewody ruskiego za zgodą wszech stanów konferujemy, *salvis juribus reipublicae* i kwarty. (Vol. legum, tom IV str. 644).

nii przez Czarnieckiego z tysiącem jazdy, wyraźnie pragnął już pokoju. Pełnomocnicy przeto polscy, szwedscy i brandenburscy, w obranym za miejsce rokowań klasztorze oliwskim niedaleko Gdańska, przy pośrednictwie posła francuzkiego de Lombres, ułożyli traktat, którego ostateczne zamknięcie przyspieszyła jeszcze wiadomość o nastąpionj w dniu 23 lutego 1660 r. śmierci króla szwedzkiego. Król polski traktatem tym, ogłoszonym 3 maja, zrzekł się prawa do Szwecyi i Finlandyi, zachowując tylko do śmierci tytuł i pieczęć władcy tych krajów; Inflanty południowe zostały przy Polsce, północne zaś za Dźwiną wcielone do Szwecyi; załogi szwedzkie ustąpić miały z Malborga, Sztumu i Ebląga, a zwrot własności prywatnej i wymiana jeńców wzajemnie zapewnione. Tak więc stosunki przyjaźni, po pięcioletniej blisko walce, przywrócone nareszcie zostały między dwoma narodami, które, zamiast ścisłego raczej skojarzenia się związkami politycznymi, coraz to ponawiały zacięte z sobą spory.

Odetchnąwszy po wojnie szwedzkiej, Jan Kazimirz wszystkie swe siły zwrócił ku zagrożonej Litwie, w której wojska Chowańskiego zajęły już Wilno, Grodno, Troki, Mińsk, Brześć i inne znaczniejsze miasta. Wysłani w tę stronę Paweł Sapięha z wojskiem litewskim i Czarniecki na czele pułków świeżo z Danii przybyłych, staczają z Chowańskim bitwę pod Połonką (27 czerwca 1660 r.) i znoszą obleżenie warownego zamku Lachowice (1). Z okazji podziału zdobyczy wojennej powstał wtedy spór między dwoma dowódcami

(1) „Wszystko to, mówi Pasek (wyd. Rac. str. 81) stało się męztwem i pośpiechem Czarnieckiego, bo Sapięha zawsze odkładał na jutro, oczekując na lepsze jakieś oporządzenie wojska w kopie i inne rzeczy. Z tego powodu powiedział mu Czarniecki: „Po chwili nie pomogą nam i kopie, a zresztą nietrudno w Litwie o chmielowe tyczki. Jeżeli się ty z wojskiem swoim nie ruszysz, pojedę ja w imię Boskie bez waszmości.“—I dalej, str. 82: „Kiedy Czarniecki wjeżdżał do Lachowic w dzień Najświętszej Panny, wyszli przeciwko niemu w processyi zakonnicy, szlachta, szlachcianki i kto tylko był w owym ciężkim obleżeniu. „Witaj, zawitaj, wołali, niezwyciężony wodzu, niezwyciężony wojownik! Zawitaj od Boga nam zesłany obrońco!“ Byli i tacy, osobliwie z białychgłów, co wołali: „Zbawicielu nasz!“ Zatulął uszy czapką, niechając słuhać owego pochlebstwa. Kiedy zaś po nim wjeżdżał Sapięha, połowy tego applauzu nie było, tylko proste przywitanie, choć to jego własne siedlisko.“

KSIĘGA ŚWIATA R. IV.

polskimi: hetman Sapięha wyłączone do niej rościł sobie prawo; Czarniecki zaś, wychodząc z zasady że oddział jego nie jest na żołdzie litewskim ani pod komendą hetmańską, tylko w sposobie posiłkowym przydzielony, domagał się części łupu, nie dla siebie, lecz dla wojska swojego. Niełatwo było rzecz tę rozstrzygnąć, bo obie strony upierały się przy swoim; więc w końcu zniecierpliwiony Czarniecki wyprawił od siebie Skoraszewskiego, który w dni cztery stanął w Warszawie i doniósł królowi o wypadku spotkania.

Zpod Lachowic Polacy dwoma szlakami pociągnęli ku Dnieprowi. Sapięha stanął pod Szklowem, Czarniecki pod Mohylowem; lecz nadaremnie obaj wodzowie kusili się o zajęcie tych miast obronnych. Dobywanie szczególniej Mohylowa, prowadzone bez dostatecznej liczby armat i regularnej piechoty, niemało krwi i czasu kosztowało oblegających. Otrzymało też wkrótce wiadomość że Dołgoruki ze znaczną siłą przybywa dla dania odsieczki przyciśniętej warowni. Postanowił więc hetman, po odbytej z Czarnieckim naradzie, przeprawić się na drugą stronę Dniepru, i tu pomiędzy rzeczkami Bazyą i Prusą 18 października przyszło do walnej rozprawy, w której obydwaj wojska wielką poniosły stratę, ale plac boju pozostał przy Polakach.

Ztamąd Sapięha z Czarnieckim, idąc za planem dawniej jeszcze przez ostatniego powziętym, ruszyli nazad za Dniepr w głąb Litwy przeciw Chowańskiemu, który zamknął się w Połocku. Nadchodząca jednak zima zawiesiła dalsze działania wojenne, a spracowane pułki rozłożyły się nad Dźwiną, mając ciągle na oku przeciwników i ustawnemi podjazdami odcinając im żywność.

Gdy to się działo na Litwie, Ukraina podzieloną była na dwa przeciwne stronnictwa: jedno z nich popierało Wyhowskiego, drugie Juraszkę Chmielnickiego, któremu dla wieku zbyt młodzieńczego przydano Cieciorę czyli Teterę, przychylnego carowi Aleksemu. Wyhowski jednak coraz bardziej tracił na wpływie; opuszczony od swoich, uszedł do Baru, a Czehryn, stolicę jego, zajął wkrótce Chmielnicki. Wojska też cara Aleksego, pod wodzem Szeremetowem, wsparte przez Kozaków Tetry, coraz się szerszej rozpościęrały po Ukrainie. Ruszając przeciw nim Stanisław Potocki hetman wielki koronny od Pokucia, z Jerzym Lubomirskim hetma-

nem polnym (który, po ukończeniu wojny w Prusiech, pulki swe ściągnął na Wołyń) i w połączeniu z dwudziestą tysiącami hordy znoszą najprzód pod Słobodyszczem Juraszkę, prowadzącego czterdziesto-tysięczne wojsko posiłkowe, a potem pod Cudnowem spotykają samego Szeremetowa. Ostatnia ta bitwa miała miejsce 18 października, w ten sam dzień właśnie kiedy na Litwie Sapieha i Czarniecki niedaleko Mohylowa walczyli z Dołgorukim.

W następstwie tych działań pomyślnych Jerzy Chmielnicki, jako hetman wojsk zaporozskich, poprzysiął wierność królowi i odwołał Teterę. Tatarzy zabrali całą zdobycz i powrócili do Krymu, a polskie chorągwie, zostawszy bez nagrody, ba nawet bez żołdu, i potraciwszy większą część koni, rozeszły się do domu, lub rozłożyły gdzie można było na kwaterach (1). Czarniecki tylko, wprzód jeszcze przebrawszy się z Litwy, przebył Dniepr pod Kijowem, i niszcząc wszystko ogniem i mieczem, zapuścił się aż po Nowogródek Siewierski.

Podczas sejmu nadzwyczajnego, zwołanego na dzień 2 maja 1661 r., obydwaj hetmani koronni odbyli wjazd do Warszawy, podobnież Paweł Sapieha hetman wielki litewski, któremu w braku kollegi, (bo Gosiewski hetman polny jeszcze roku 1659 dostał się do niewoli Chowańskiego), towarzyszył Czarniecki wojewoda ruski.

Siódmego czerwca, pośród okrzyków ludu, wojewoda przybył do zamku, gdzie król oczekiwał go w gronie senatu. Biskup warmiński Wydźga miał go powitać mową, gdy nagle w otwartych podwojach ukazuje się wódz zwycięzki, na czele towarzyszków niosących sto piętnaście zdobytych chorągwi. Sam Czarniecki, z najbogatszym suto złotem haftowanym proporcem, pozdrawia monarchę pokłonem i w milczeniu kładzie go u stóp tronu. Towarzysze, za jego przykładem, składają także wniesione sztandary, i tworzą z nich stos wyniosły. Zmieształ się Wydźga tą sceną niespodzianą a tak wymowną; ale wkrótce, odzyskawszy przy-

(1) „Szlachta zpod chorągwi konnych, mówi autor Panow. Jana Kaźm. (wyd. Rac. tom II, str. 109), potraciwszy konie, piechotą wędrowała, kulbaki i rzeczy na sobie niosąc. Nie można było i spojrzeć bez żalu i płaczu: chorzy bez wszelkiego starania porzuceni po drogach, walali się konając; żadnego starania nie było onych powieźć i pożywienia obmyśleć, nagich przyodziać i kożuchami chorych zagrzać. Zaci hetmani, a niedbali o żołnierzy, jakby onych w dalszy czas nie trzeba.“

tomność, tłumaczy się z ręcznie z zapomnienia i kończy temi wyrazami: „Sam temu winien jesteś, panie wojewodo, skoro mnogością zdobytych chorągwi zarzuciłeś tron królewski, i nie dałeś przedniemi widzieć ani pana naszego miłościwego, ani mnie od niego mówiącego.“ (1)

Zaczem kanclerz wielki koronny Prażmowski dziękując hetmanom od króla i rzeczypospolitej, najbardziej wielbił Czarnieckiego, wynosząc go nad wszystkich (2), a król, w nagrodę położonych zasług, dał mu na własność dziedziczną Tykocin z przyległościami (3). Kiedy zawistni sarkać zaczęli na tę szczodrobliwosć królewską, pod pozorem że obracanie dóbr rządowych w prywatne umniejsza majątku rzeczypospolitej, Jan Kaźmirz, powstawszy na tronie, w te słowa przemówił do posłów: „Jeżeli wam siła to zdaje się być, żeby Czarnieckiemu, za jego cnoty i pracę tak wielką i odważne akcyje, Tykocin wiecznością dostał się,

(1) Pamiętnik Wydźgi, str. 49 i 20.

(2) Panow. Jana Kaźm. wyd. Rac. tom II, str. 118.

(3) Konstytucya nadająca starostwo tykocińskie Czarnieckiemu znajduje się w Vol. legum tom IV, str. 703 w słowach następujących: *Gratitudo meritorum* wielmożnego wojewody ruskiego. Dobrze są wszystkiemu światu świadome wielm. Stefana na Czarncie Czarnieckiego, wojewody ziem ruskich odważne dzieła, zasługi, które przez wszystek swój wiek, począwszy od młodszych lat swoich aż do terażniejszego czasu, nam i rzeczypospolitej wyświadczył. Osobliwszym jednak sposobem podczas tych przeszłych zamieszanych czasów do ratowania ojczyzny i wydźwignienia jej z tak ciężkich terminów swoim *concurrit* męstwem i odwagą. Którego lubo sama nieśmiertelna sława *ad seram posteritatem transferret nomen*, aby jednak i my tak odważnych jego zasług nie zdaliśmy się być *ingrati*, i owszem one ojcowskim przyjmując afektem: dobra nasze starostwo tykocińskie, ze wszystkiemi dworami, folwarkami, wsiami i przynależnościami do tych dóbr należącemi, *et cum jure patronatus*, za zgodą wszech stanów *auctoritate praesentis conventus jure haereditario* onemu i sukcesorom jego *ad perpetuam meritorum* jego *memoriam* dajemy; jako to wszystko przywilój od nas dany szérzej wyraża, *cum omnibus immunitatibus bonorum terrestrium, salvis in integro fundationibus ecclesiasticis et hospitalis* na żołnierzy postrzelanych, *provisioneque annua patrum sancti Francisci ordinis minorum de observantia conventus Tykocinensis*. Księży zaś plebanom diecezyi wileńskiej *forum* za dworem, a nie w trybunale nznaczamy. Sądy ziemskie w Tykocinie i pozycye ksiąg ziem bielskiej tak jak zdawna odprawowane były, odprawiać się mają *sub eadem securitate judiciorum*, i gospody, jako przedtém bywały dawane *ex officio*, i teraz rozdawane być mają.

więc cokolwiek i ja mam w tej ojczyźnie zasług, łączę do zasług Czarnieckiego, a jeśli jeszcze i to mało, więc domu jagiellońskiego oświadczone rzeczypospolitą dobrodziejstwa przyłączam, a zatem rozumiem że tego już warto“ (1).

Na sejmie tym, pod laską księcia Michała Radziwiłła stolnika litewskiego, król Kazimirz powiedział znaną mowę, zalecającą obranie następcy tronu za życia jeszcze monarchy; wniosek ten jednak, skutkiem oporu troskliwych o zachowanie wolnej elekcji posłów, został usunięty. Pomyślniej poszły rzeczy co do innych przedmiotów obradowych. Zatwierdzono traktat oliwski ze Szwecją i raz jeszcze umowę hadziacką z Kozakami; wyznaczono posłów do Porty i chana tatarskiego, tudzież kommissarzy do układania się z carem Aleksym Michajłowiczem. W tym także czasie całe prawie wojsko koronne, zniecierpliwione próżnemi obietnicami, obrawszy sobie marszałkiem Samuela Swiderskiego (2), coraz to groźniej domagać się zaczęło zaległego żołdu, a wkrótce i wojsko litewskie, pod przewodem Żyromskiego, odstąpiwszy hetmana Sapiechę, połączyło się z koronnym.

Tymczasem Chowański, ścigawszy rozproszone siły, zebrał pod Smoleńskiem armią dwudziestotysięczną, i wkroczył z nią powtórnie do Litwy. Na jego więc spotkanie król osobiście popieszył ku Wilnu, mając przy sobie Sapiechę i Czarnieckiego, z trzema tylko tysiącami wierne go wojska, do których później przyłączyło się siedm chorągwi kosztem prywatnym wystawionych, i część związkowego wojska litewskiego pod Żyromskim. Czarniecki, mając sobie przez króla zleczone dowództwo wyprawy, ruszył natychmiast przeciw Chowańskiemu, i 6 listopada 1661 r. stoczył z nim bitwę pod Głębokiem, miasteczkiem leżącym na trasie ku Połockowi; lecz opuszczony przez Żyromskiego, zaniechać musiał dalszych działań zaczepnych, ograniczając się na zajęciu Wilna.

Dla zaradzenia głównie rosnącym coraz wymaganiom wojska związkowego, król Kazimirz zwołał sejm nadzwyczajny na dzień 22 lutego 1662 ro-

ku. Niepodobna jednak było znaleźć skutecznego lekarstwa na to złe nurtujące ciało rzeczypospolitej, bo niedostatek skarbu, złe zażywanie jego dochodów, a wreszcie tamowanie obrad gdy tylko szło o nakładanie ciężarów pieniężnych, niezwykione ku temu stawiało przeszkody. Skończyło się więc i tym razem na półśrodku zwlekającym, to jest na złożeniu we Lwowie kommissyi, pod kierunkiem Potockiego hetmana wielkiego koronnego, która wysłuchać miała zażaleń, uczynić obrachunek z wojskiem i obmyśleć środki zaspokojenia słusznych jego żądań. Na sejmie tym uchwalono także prawo przeciw oborowi następcy tronu za życia króla, ustanowiono podatek pogłównego i przywrócono do sławy Radziejowskiego i Stanisławskiego, z których pierwszy, jak wiadomo, trzymał ze Szwedem, drugi zaś po wkroczeniu Rakociego przeszedł w szeregi najeźdźcy, a po rozbięciu jego tułał się za granicą.

Kommissya wyznaczona do Lwowa, jak zwykle w podobnych razach, dużo obiecywała, a nic albo mało robiła. Zniecierpliwione wojsko coraz się bardziej uzuchwalało, coraz jawniej stawało do buntu; już nawet ofiarą jego padł zasłużony hetman Wincenty Gosiewski, który niedawno za okupem powrócił z niewoli. Po wielu nareszcie daremnych usiłowaniach, przez pośrednictwo księcia Floryana Czartoryskiego biskupa kujawskiego, tudzież Jerzego Lubomirskiego i Jana Zamojskiego wojewody sandomierskiego, najprzód w Wolborzu (24 grudnia 1662 r.), a następnie we Lwowie (2 lipca 1663 r.) podpisano ugodę ze Świderskim, Żyromskim i innemi naczelnikami związku, mocą której król zobowiązał się wypłacić wojsku tymczasowo sześć milionów złotych i wszystko co zaszło puścić w niepamięć, związkowi zaś przyrzekli powrócić do posłuszeństwa, tudzież uwolnić dobra królewskie i duchowne od nałożonego sekwestru.

Po rozwiązaniu związku hetmani przybyli do obozu pod wsią Sokolnikami, obejmując napowrót dowództwo od dwóch lat sobie odjęte. Zebrało się wojska wyborowego do czterdziestu tysięcy, a że nadzieja zawarcia pokoju z carem Aleksym słabła coraz bardziej, i wierny teraz rzeczypospolitej Tetera, (obraný hetmanem zaporozkim po Jerzym Chmielnickim, który wstąpił do klasztoru) zamknięty będąc w Czehrynie przez Brzuchowieckiego przewodzącę stronnictwa przychylnego carowi, po-

(1) Panow. Jana Kazm. wyd. Rac. tom II, str. 118.

(2) „Dworscy, lekceważąc ten spisek, mówili że ten Świder mało albo żadnej nie robi dziury; lecz weterani, głębiej rzeczy biorąc, obawiali się siła złego z tego zamieszania.“ (Panow. Jana Kazm. wyd. Rac. tom II, str. 128).

trzebował pomocy, król przeto postanowił wyprawę na Ukrainę. Złożywszy radę wojenną, podzielił całą armią na trzy oddziały, oddając pierwszy hetmanowi Potockiemu, drugi Stefanowi Czarnieckiemu, trzeci Janowi Sobieskiemu, podówczas chorążemu koronnemu. Lubomirski hetman polny, już wtedy z królem będący w nieporozumieniu, które później tyle nieszczęść ściągnąć miało na Polskę, przez zabiegi przemożnych nieprzyjaciół usunięty został od dowództwa, a z nim najbitniejsze pułki, wslawione mężstwem w wojnie szwedzkiej, odłączyły się od wojska królewskiego.

Pomimo nagromadzenia dość znacznej siły, wyprawa ta ukraińska ani w tym, ani w następ. 1664 r. nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Głównymi jej wypadkami były bitwy pod Brańskiem i Putywlem, tudzież zdobycie Steblowa i Stawiszcz, miasteczek obronnych w Ukrainie z tej strony Dniepru położonych. Czarniecki, po wyjeździe króla z Potockim hetmanem wielkim koronnym, którego wiek podeszły i osłabione zdrowie czyniły niezdolnym do służby żołnierskiej, najwyższy nad całym wojskiem regimentarz, z niezmordowaną czynnością prowadził dalej wojnę podjazdową; ale mając do walczenia z niedostatkiem żywności i zapasów, a w ciągłych utarczkach coraz więcej tracąc ludzi, nie mógł na rozleglejszą skalę działań swych rozwinąć.

W tym właśnie czasie przypada junacko-romantyczna wyprawa jego do Krymu, którą autor „Panowania Jana Kaźmirza“ (tom II str. 297) w ten sposób opisuje: „Czarniecki, mając serce większe niżli wojsko, gdy wszystko zważa, wojska swego siły bardzo szczupłe i zwątlale obaczywszy, tu swe rady obrócił, ażeby pory wojennej w lecie nie opuścił, a cokolwiek dla ojczyzny okazał. Piechoty rozłożył w Pawłowczy i Białej Cerkwi, a konne wojska w Korsuniu. Sam tylko w trzynastu poufiałych i świadomych ścieżek, na rączych koniach do Krymu do chana tatarskiego udał się, upraszając o posiłki do powściągnięcia rebellii kozackiej; a tam nie zastawszy chana, gdyż do Węgier od cesarza tureckiego był ordynowany, udał się do hordy budziackiej.... Wdzięcznie go przyjęli, i nie nadaremnie tam jeździł, ponieważ dwóch sułtanów ze dwadzieścia tysięcy hordy zaraz w sukurs deklarowali.... Na trzy dni frysztu (zwłoki) prosili u Czarnieckiego; bo Tatarowie w lot na wojnę wy-

chodzą, ani onych uzbrojenie się, ani prowiantów i przysmaków przysposobienie zatrudnia, ni tabory i ruchomości zabawiają. Jak okrzykną ordynowani od murzów głosem wielkim: *at-lan*, to jest: *do koni*, co żywo siodłają konie, juczają swe namioty i kociołki. Drugi rozkaz do ruszenia się każdy murza, wsiadłszy na konia, daje w tołumbas kańczugiem; oni wszyscy, wsiadłszy na konie, za niemi idą, i tak za starszyzną swoją ochoczo następują.“

Dokonawszy zamiaru, powrócił do swoich tak szybko i tajemnie, że nikt, nawet z najbliższej otaczających go, nie domyślił się prawdziwego celu tej podróży. Wkrótce potem Stanisław Jabłonowski, zostawszy sam wojewodą ruskim, przywiózł Czarnieckiemu od króla przywilój na województwo kijowskie, opróżnione po śmierci Wyhowskiego (1).

Dawszy odsiecz Teterze obsaczonemu w Czerhynie, wojewoda kijowski z posiłkami tatarskimi podstąpił pod miasteczko Steblów. Gdy na wezwanie przez trębacza aby mieszkańcy otworzyli bramy i powrócili do posłuszeństwa królowi, odmówną dano odpowiedź, Czarniecki kazał zaraz rzucić się do szturm. W czasie natarcia cerkiew miejska, w której był skład prochu, przypadkiem wyleciała w powietrze, z czego korzystając nasi wyrąbali bramy, oddając miasto na rabunek chciwój łupu czerni tatarskiej. Czarniecki jednak, aby ocalić życie mieszkańców, najbardziej zawsze w pierwszym zapędzie zwycięzców narażone, wymógł na hordzie odłożenie rabunku do dnia następnego, i przyrzekł zarazem że wojsko polskie żadnego nie weźmie w nim udziału. Kiedy nazajutrz, za danym z armaty znakiem, pohańcy wpadli do miasta, powstał spór o zdobycz między nogajskimi i budziackimi Tatarami, a winę, jak zwykle w takim razie, złożono na wodza. Z trudnością tylko Czarniecki uśmierzyć zdołał rozhlukanych, przedstawiając im w energicznych wyrazach, że jego rzeczą przewodzić wojsku do boju, a nie do podziału łupu i jasyru (2).

(1) Wyhowski, za oddane usługi wyniesiony do godności wojewody kijowskiego i obdarowany lennami Baru i Lubomli, przekonany później, a raczej posądzony, o zdradę, na początku r. 1664 wyrokiem sądu wojennego w Korsuniu skazany został na śmierć i tamże rozstrzelany, Przywilój na województwo kijowskie Czarnieckiemu wydany nosi datę 22 lipca 1664 r. (Sigill. 8, str. 26).

(2) Panow. Jana Kaźm. wyd. Rac. tom II, str. 304.

Po zdobyciu Steblowa, wojewoda kijowski, nie mogąc długo pozostać na miejscu w kraju wygłodzonym przez częste przechody wojska, postanowił uderzyć na Stawiszczę. Wprzód jednak umyślił obwarować Korsuń i Białą Cerkiew, podług planu Jana Sapiehy pisarza polnego koronnego, używając ku temu wyćwiczonych w swój sztuce inżynierów. Jednocześnie Tetera z Marcinem Zamojskim podstolim lwowskim zrobili wyprawę na Humań, ale nie podolawszy téj najsilniejszej w całej Ukrainie fortecy, z niczém powrócili do Czehryna. Nie lepiej powiodło się synowcowi Czarnieckiego, staroście kaniowskiemu, wyslanemu przeciw Lisiance, bo uderzając na wały tego miasta, otrzymał ciężki postrzał w ramię i przymuszony był przeto zaniechać obleżenia (1).

Wydawszy potrzebne rozporządzenia, sam wojewoda kijowski z Janem Sobieskim ruszył pod Stawiszczę 14 lipca 1664 r., zakląwszy się „iż nie wprzód jeść będzie albo zaśnie, aż tego gniazda swywoli dobędzie.“ (2). Sobieski usiłował zrazu nakłonić mieszkańców do poddania się dobrowolnego; lecz ci, zacięci w oporze, postanowili bronić się do upadłego. Było w murach stawiskich około szesnastu tysięcy załogi, oprócz mieszczan i niewiast; obleżenie więc szło niesporo, bo nieprzyjaciel częste robił wycieczki, niszcząc przykopy i szanice przez naszych przygotowane. W sam czas nadeszły Czarnieckiemu z Polski od Szarogrodu przybory artyleryjskie: granaty, kule ogniście i kartacze, któremi zapalono część miasta, a przytém nieustannie broniących gęstemi z armat rażono strzałami.

Od kilku już tygodni trwało obleżenie; większa część piechoty, bo półszosta tysiąca ludzi, zginęła w szturmach, a jazda polska wzbraniała się odbywać służbę piechotną. Czarniecki więc, chociaż rycerski jego umysł nie pojmował innego zwycięstwa, prócz z dobytym w rękę orężem, uległ radzie starszyzny i postanowił miasto ogłodzić. Odciąwszy obleżącym wszelki dowóz żywności, obrzucał ich granatami i kulami ognistymi, nie narażając próżno wojska nacięrami na wały, bronione z rozpaczliwą odwagą. Znekani wreszcie trzymiesięcznym obsaczeniem, Stawiszczanie wysłali do obozu

(1) Jemiołowski na str. 187 utrzymuje, że i sam wojewoda Czarniecki pod miastem tém został raniony.

(2) Panow. Jana Kaźm. wyd. Rac. tom II, str. 307.

polskiego duchownych, dla zawiązania układów; ale Czarniecki, wódz surowy, żądał poddania się bezwarunkowego. Nastąpiło ono 20 października; poczém wojewoda, zabrawszy zdobycz wojenną, mianowicie wielki zapas prochu i różnych materiałów strzelniczych, rozłożył wojska na stanowiskach zimowych, a króla przez wyprawionych do Warszawy posłów zawiadomił o swych czynnościach.

Pomówiłem nieco obszérniej o tych działaniach Czarnieckiego na Ukrainie, jakkolwiek mniej ważnych pod względem wpływu na losy ogólne narodu, bo w nich objawia się już wyraźnie niespokojność owa i przedsiębiorczość gorączkowa, cechująca nieraz ostatnie chwile znakomitych ludzi, wysilek ducha wyrrywającego się z więzów doczesności. Przepędziwszy część zimy w nieustannych nagabaniach od Kozaków, pochylony starością i skolatany trudami, Czarniecki na początku roku 1665 wpadł w chorobę, której długo z wrodzonej ochoty rycerskiej poddać się nie chciał, poczytując to sobie za hańbę aby żołnierz, co w tylu jawnych niebezpieczeństwach życie swe narażał, uląkł się choroby. Gdy jednak cierpienia jego coraz stawały się dotkliwszemi, ustąpił namowie przyjaciół radzących mu powrót do Polski, gdzie skuteczniejszy pod każdym względem znaleźć mógł ratunek.

Jerlicz (tom II str. 96) stawia domysł że mu zadano truciznę, dodając: „Bóg jeno może wiedzieć jeżeli od swoich, czyli od nieprzyjaciół.“ Dziwne, zaprawdę, przypuszczenie! bo czyliż kiedy Polacy zwalczali się trucizną? Bywała zawiść pomiędzy panami, bywały nacechowane prywatą zabiegi i knowania: ale tam gdzie chodziło o życie, walczone zawsze pierś w pierś, szabla w szablę. Nie-równie téż prostsze i naturalniejsze jest to co mówi Kochowski (Panow. Jana Kaźm. tom II, str. 331), że, skutkiem zapewne niewywczasu i trudów w podeszłym już wieku podjętych, opanowała go gorączka. Cóżkolwiekbydź, choroba groźnie się wkrótce rozwinęła. Złożonego niemocą wieziono z początku na saniach, następnie, gdy niebezpieczeństwo wzrastało, noszono na noszach, w kierunku przez Brody ku Lwowu. W drodze już go niec od Jana Kaźmirza doręczył mu list królewski, z przywilejem na buławę polną koronną po Lubomirskim (1). Przeczytawszy list, wojewoda

(1) Przywilój ten, noszący datę 2 stycznia 1665 roku, znajduje się w Aktach Metr. Kor. księga 203, str. 355.

rzekł do obecnych: „Zawszem się tego spodziéwał, że mi król da buławę natenczas, kiedy ja ustane wojować. Gdyby łaskawy Bóg pozwolił życia i zdrowia, okazałbym wdzięczność J. K. Mości za świadczoną łaskę, aniby król żałował tego że mi dał buławę; jeśli zaś przyjdzie umrzeć, przynajmniej na nagrobku napiszą że był hetmanem“ (1).

Ostatnie chwile Stefana Czarnieckiego najdokładniej ze źródłowych pisarzy opisuje autor „Panowania Jana Kaźmirza;“ obszerniejszy więc wypis z tego dzieła przytoczyć tu sobie pozwalam:

„Przybywszy do wioski Sokółówka (2) nazwanej, sła bić zaczął; do mizernéj chatki wniesiony, pytał się czy daleko jeszcze do Dubna (3). Potém księdza Dąbrowskiego jezuitę, kapłana swego, który z nim w Pomeranii i Holzacyi, także Danii, podczas wojny szwedzkiej był, zawoławszy, wypowiedał się. Nazajutrz po mszy świętej, komunią przyjąwszy, skonał (4), pokazując niestałość fortuny i rzeczy ludzkich odmiany. Ten, który sławném swém imieniem i tak wielkimi czynami Europę całą napelnił, w mizernéj chatce bohatérską położył głowę. I to rzecz dziwna: miał konia tarantowatego, haniebnie sprawnego i szczęśliwego, do boju także rączego, stojącego w sieni, którego przed śmiercią przykazał masztalerzowi aby do glądał należycie. Ta bestya, zasługując pana i śmierć jego przeczuwając, nie chciał nic jeść ani pić, nogami w ziemię bijąc, wzdychając i jęcząc. Na wchodzących i wychodzących oglądał się, przeczuwszy śmierć pana swego jakoby rozumny człek; padł potém na ziemię i zdechl, nie chcąc inszego cierpieć jeźdźca. Tak zakończył życie Czarniecki, sławny, zacny i odważny rycerz, osobliwą prędko-

ścią wojujący; jako ognistą miał duszę, żadnych niebezpieczeństw nie zważał, godzien wiekopomnej pamięci i wdzięczności w rzeczypospolitej, a po wszystkie wieki niezmazanej sławy, równy wojenami akcyami z Decyuszami i Scypionami rzymskiemi. Gdy się dowiedziano o śmierci jego, cała Polska żałowała go. Najbardziej król ubolewał że tego postradał, w którym cały dwór miał ufność. Ministrowie szczerze go kochali, i podczas wojny domowej wszystkie na nim pokładali nadzieje tryumfów pożądaných; żaden go nie mógł wspomnieć, żeby nie westchnął albo zapłakał.“

Zwłoki jego przeniesiono do Czarnki i złożono w odbudowanym przez zmarłego tamecznym kościele. Z Zofii Kobierzyckiej, synowicy kasztelana krzywińskiego, zostawił dwie tylko córki, dziedziczki sławy swéj i majątku. Jan Kaźmirz, w potomstwie jeszcze nagradzając zasługi Czarnieckiego, wakujące po nim królewsczyzny rozdał jego dzieciom: Janowi na Ruszczy Branickiemu marszałkowi nadwornemu, ożenionemu ze starszą córką, Katarzyną Aleksandrą, i Wacławowi Leszczyńskiemu wojewodzie podlaskiemu, za którym była młodszą Konstancya. O Katarzynie mówi Niesiecki, że będąc jeszcze niezamężną, gdy ojciec wybierał się na wojnę, żegnając go rzewliwie zapłakała, a zapytana o przyczynę tego płaczu, odrzekła: „Żałuję że się w męzkim nie urodziłam stanie, abym ojcowskiej chwały i dzieł jego uczestniczką być mogła.“ Wnuk nieodrodnej téj córki wielkiego bohatéra, Jan Klemens na Branicach i Ruszczy Branicki, kasztelan krakowski i hetman wielki koronny, mąż znakomity cnotą i zasługą, wystawił pradziadowi swojemu w Tykocinie dołączony w rysunku do pierwszej części tego życiorysu pomnik, którego opis zamieszczam poniżej.

Przebiegłszy w tym szkicu pobieżnym czyny wojenne Stefana Czarnieckiego, należałoby teraz odsłonić życie jego prywatne, przedstawić go jako człowieka, a przynajmniej zcharakteryzować dokładnie żywot jego publiczny. Ale jak pierwsze tak drugie wymaga materyałów zupełnie różnych od tych jakie mam zgromadzone. By zajrzeć pod pancerz stalowy kryjący pierś żołnierza-bohatéra, poznać w nim syna, brata, męża i ojca, ocenić wreszcie wodza dążność i zamiary, trzebaby na to rozczytać się w poufnych jego listach. Tymczasem je jedno tylko, ile mi wiadomo, pismo Czarnieckiego,

(1) Panow. Jana Kaźm. wyd. Racz. tom II, str. 334.

(2) Sokółówka, dziś miasteczko w Galicyi, w obwodzie złoczowskim, trzy mile od Brodów.—Jerlicz (tom II str. 96) miejsce to nazywa Sokulq.

(3) Kochowski utrzymuje że Czarniecki nieś się kazał do Dubna; ale prawdopodobniejszém jest twierdzenie Jerlicza iż go wieziono do Lwowa, (gdzie mogła być pomoc dzielniejsza), a więc przez Brody, nie przez Dubno, które leży bardziej ku północy. Z przypuszczeniem tém zgadza się także położenie Sokółówki.

(4) Data jego śmierci z pewnością nie wiadoma; ale musiało to być w styczniu albo w lutym 1665 r.; w Sigillatach bowiem (ks. 9, str. 26) znajduje się wzmianka, że 28 lutego 1665 r. Janusz (u Niesieckiego Jan) Wessel wojewoda płocki miał sobie konferowany przywilój na chorągiew kozacką, po zejściu Stefana Czarnieckiego.

(nie licząc kilku mało znaczących w pamiętnikach Paska), zostało dotąd drukiem ogłoszone, mianowicie: list jego do króla, podany w „Źródłach do dziejów polskich“ Przędzieckiego i Malinowskiego, który przytoczyłem w miejscu właściwem. Być może zresztą że wódz nieznający odpoczynku, wśród wrzawy obozu i szczęku oręża, rzadko, a może wcale nie, pisywał do rodziny; tak przynajmniej wnosić pozwalają słowa Jerlicza (tom II, stron. 97), gdy opisawszy śmierć Czarnieckiego, mówi: „Którego duszy daj Panie Boże zbawienie, a innym panom regimentarzom tak się sprawować i na taką sławę zarabiać. Który ani o domie, ani o żonie, ani o dzieciach, ani o zbiorach nie myśląc, żywot swój tak prowadził i skończył: zawsze dzień i noc na koniu, nie dbając ani o namioty, ani o karety, ani o wyśmienite potrawy i trunki; ale, pogoda czy niepogoda, zawsze jednako, pokarm onego, jeżeli jest, wędzonka, a napój woda, pościel wojsłok, a wezglowie siodło.“

W braku więc innych wskazówek, sądzić wypada o charakterze politycznym i prywatnym Czarnieckiego z jego czynów, oraz ze zdań i przytoczeń współczesnych mu pisarzy. I otóż w żywocie jego publicznym dwie szczególniejszy strony dosadnie wyróżnić się dają: na zewnątrz widzimy go obrońcą całości kraju przeciw najazdom ościnnym, na wewnątrz przedstawcą zasady monarchicznej, opoką niewzruszoną, o którą rozbijały się zabiegi przeciwników królewskich, a w jednym i drugim względzie przedewszystkiem prawym obywatelem, surowym, niezłamanym żadną przeciwnością wodzem i odważnym do zapamiętałości żołnierzem. Jako stronnik królewski, zaciętym był przeciwnikiem związku Świderskiego, a chociaż najśluszniesze co do rzeczy były żądania wojska, że jednak występowały w formie niezgodnej z poszanowaniem dla monarchii, Czarniecki widział w związkowych prostych buntowników, i radby był ogniem i mieczem do nogi ich wytępić. Boląc też musiał, jako obywatel i wódz, nad smutnym rozdzieleniem w narodzie, co kielkujący ledwo po klęskach pięcioletnich plon przyszłej pomysłowości wewnętrznej zdeptało swoim przejściem, a energiczne na zewnątrz działanie czyniło niepodobnym. Gnębiony i spotwarzany przez magnatów, zawistnie patrzących na wyniesienie się tak wysoko prostego szlachcica, za całą obronę sta-

wiał swoje czyny i owo wzniosłe prostotą, dziś już historyczne: „*Jam nie z soli ani z roli*“... Z Koniecpolskim, Lubomirskim i Sapiehą częste miał zatargi; ale zawsze w ostateku, wbrew nie raz osobistemu widzeniu, ulegał, gdzie wzgląd na dobro powszechnie nakazywał przedewszystkiem zgodę.

W zawodzie żołnierskim Czarniecki uważanym być może za twórcę nowej zupełnie taktyki; on bowiem pierwszy u nas prowadził na wielką skalę wojnę partyzancko-podjazdową i upowszechnił nacięcie bez taborów albo kosztów wozowych. Prawdziwy z niego był partyzant, bo ruchy swoje odbywał z nieporównaną szybkością, umiał w razie potrzeby wplaw całe wojsko przeprawić, uderzał obcesowo i gwałtownie, a zawsze tam gdzie najwięcej mógł szkodzić nieprzyjacielowi i gdzie najmniej spodziewano się napadu. Niezwykła bystrość i przytomność umysłu pozwalała mu zawsze w daną chwilę najstosowniejsze wynajdywać środki. Wspomniałem wyżej o prostym niezmiernie, lecz praktycznym, sposobie jakiego użył pod Koldingiem, dla zasłonięcia zdobywających od wystrzałów z ręcznej broni. Dowodem jest również trafności jego sądu, że w bitwy walne, otwarte wdawał się tylko z taktycznie niższym od siebie przeciwnikiem; Szwedów zaś, wprawniejszych do boju regularnego, urywał i męczył nieustannymi podjazdami, unikając stanowczego spotkania. Ztąd Pufendorf, niebardzo w ogólności skłonny do chwaleń kogobądź oprócz swoich, w księdze II na str. 90 nazywa Czarnieckiego: „*Spectatus militia vir*“, (wytrawionym w rzeczach wojennych mężem); a niżej (ks. III str. 136) tak się wyraża o jego sposobie wojowania: „*Vir iste toto bello longe Suecis molestissimus fuit, expedita manu passim ex improviso assultans et incautos carpens, et ubi acrior vis opponeretur, propere se subducens, fugaque non minus quam pugna hostem atterens.*“ (Mąż ten przez całą wojnę dawał się Szwedom we znaki, zwinnemi hufcy tu i owdzie napadając i gromiąc nieprzygotowanych, a tam gdzie silniejszy napotykał opór, szybko się cofając i zarówno ucieczką jak walką nieprzyjaciela osłabiając).

Jedno także wyrażenie, przywiedzione przez Paska (str. 45), charakteryzuje w Czarnieckim zarazem człowieka żywo a jędrnie zawsze i dobitnie wyrażającego swoje myśli, i wodza czującego

swoję wyższość. Gdy razu pewnego w Danii Polacy uzbrajali się na podjazd, przybył obersztlejt-nant jakiś od elektora, z oświadczeniem że pan jego, dziękując za pomoc, sam życzy sobie dokonać zamierzonej wyprawy. Wojewoda rzekł na to „Baba zwoza, konikom lżej; niech téż sobie przy-najmniej tą jedną okazyą nagrodzą, bo tu jeszcze nic dobrego nie zrobili, a chleba siła zjedli.“

Paweł Potocki kasztelan kamieniecki, w dziele: „*Centuria virorum*,” stosuje do Czarnieckiego słowa Liwiusza, które w tłumaczeniu Krajewskiego podaje: „Taka w nim była wielkość duszy i umysłu, iż każdą rzecz, czy większej czy mniejszej wagi, przedsiębrał i wykonywał, a nietylko układał w myśli i rozkazywał to co osądził za przyzwoite, ale sam téż dopełniał, tak dalece, że władza i rozkazy jego dla nikogo nie były surowsze, jak dla niego samego. Wstrzeźliwośćią, czujnością i pracą równał się najlichszemu z żołnierzy, i nie więcej nie zdawał się mieć nad innych, prócz dostojności i władzy.“ Dodaje potém, że jeden Czarniecki więcej Szwedów wyniszczył, jak Niemcy w całej wojnie trzydziestoletniej. Jemiołowski (str. 189) zowie go „mężem jako piorun strasznym, zgoła zrodzonym do wojny.“ Kochowski znów (Panow. Jana Kaźm. wyd. Rac. tom II str. 333) wyraża się o nim w te słowa: „Gdyby był dłużej żył, byłby wielkie jeszcze rzeczy dla ojczyzny zrobił (1). Przez całe życie sławne akcye czyniąc, hetmanem zostawszy, byłby więcej dokazał, ponieważ szczęście miał z cnotą złączone, powagę w wojsku dla surowej komendy; każdy go szanował dla odwagi jego, bo w największe niebezpieczeństwa komenderując żołnierza, sam przodkował, swój krwi nie żałował, po cudzą sięgając. Jako człek miał téż i ułomności ludzkie: powiadali na niego że był okazyą zabicia Wyhowskiego wojewody kijowskiego; duchowieństwo ruskie ciemniły, o sie-

(1) Kto wie czyby nawet nie czekała go korona; gdy bowiem na sejmie elekcyjnym po abdykacyi Jana Kaźmierz glosy były podzielone, województwa łęczyckie i brzesko-kujawskie, (jak mówi Pasek wyd. Rac. str. 213), wolać zaczęły: „Nam niepotrzeba bogatego pana, bo on będzie bogatym gdy zostanie królem polskim; nie trzeba nam z innemi spokrewnionego monarchami, bo to jest niebezpieczeństwem wolności; ale nam trzeba męża dzielnego, męża walecznego. Gdybyśmy mieli Czarnieckiego, pewnoby usiadł na tronie, a że nam go pan Bóg wziął, obierzmy jego ucznia, obierzmy Polanowskiego!“

bie starał się, zkadkolwiek widział mieć pożytek, i dzwonom z cerkwi ruskich nie przepuścił; jedne na armaty kazawszy przeléwać, drugie do Illeńców dóbr swoich zasłał. Na żołnierzów bardzo był srogi, powiadając iż łatwiej znużony i głodny żołnierz posłuszny komendzie, niżeli próżnujący i w dostatkach będący. Jakoż między dywizyą jego żadnego buntu nie było, chyba w niebytności. Temi cnotami i odważnemi czynami wsławiony nietylko w ojczyźnie, Holzacyi, Danii, Pomeranii, Moskwie, ale po całej Europie; nawet Tatarowie znali go, kochali i śmierci jego żalowali“ (1).

Ostatnie to przytoczenie zawadza już o prywatny charakter Czarnieckiego; niesłusznie jednak Kochowski posądza go o chciwość. Prawda że w poczuciu swój wartości pragnął zaszczytów i dobijał się takowych, prawda nawet że dbał istotnie o korzyści materyalne; ale zdobyczą wojenną dzielił się zawsze z wojskiem, i często na rzecz żołnierza zupełnie jój się zrzekał. To téż pan Jan Chryzostom Pasek, nieodstępnie trzymający się kochanego „trzepaczki“ swojego, sprawiedliwsze, choć w szumnych nieco wyrazach, daje o nim zdanie. Wspomniawszy o bitwie pod Mątunami, tak mówi dalej (str. 187 i nast.): „Nazajutrz po téj wojnie nieszczęsnej poszedłem do namiotów królewskich, i stoimy, różnie gadając; aż król wyszedł z tego namiotu który nazywali gabinetem. Skłoniliśmy się więc wszyscy jako panu, aż on do mnie rzekł: „Nie masz twego rotmistrza (Czarnieckiego), bo byłoby tu wszystko inaczej.“ Ja odpowiadam: „Miłościwy panie, gdyby go nam Bóg nie był zabrał, nietylko do téj nieszczęśliwości i tak niewinnego krwi rozlania, ale i do podniesienia szabel na karki swoje nie byłoby przyszło Polakom.“ Rzuciły się łzy z oczu królowi, właśnie jak kiedy grochu spuszcza się ziarno po ziarnie; wrócił się nazad zkad wyszedł, a ksiądz Wojnat, już ubrany, stał z godzinę, czekając ze mszą..... Kogo tylko król zobaczył z żołnierzów Czarnieckiego, zaraz go wspominał wzdychając. Jakoż był téż to człowiek i senator zacny,

(2) Istniała pieśń którą śpiewało rycerstwo; treścią jój było opisanie wypraw Czarnieckiego na Szweda, w kraju i w Danii, oraz żal po śmierci bohatera. Istniała i druga jeszcze, opiewająca czyny jego w wojnie kozackiej i szwedzkiej, a tę śpiewały chorągwie Czarnieckiego. Słowa tych pieśni na nieszczęście nie doszły naszych czasów; ślady tylko ich odkrył w jakimś rękopisie szanowny nasz badacz K. Wł. Wójcicki.

prawdę mówiący, żołnierz nieoszacowany w okazyach i wódz szczęśliwy. Żałował go król i wojsko całe, a nawet ci sami, co z nami wojowali i zazdrościli mu sławy. I do téj wojny domowój i krwi rozlania nie byłoby przyszło z wielu przyczyn, a nadewszystko żeby się był Lubomirski na króla nie porwał, ale samą tylko nadrabiałby był pokorą. Jak go zaś Pan Bóg wziął, zaraz się wszystko zamieszalo i w Ukrainie i w Polsce. Z jawną przeciwko samemu Bogu każdy taki wyuzdałby się niewdzięcznością, ktoby, między innemi dobroczynnemi faworami, tego téż z osobliwszém dziękczynieniem nie miał przyjmować, kiedy na zaszczyt takiego Bóg wzbudzi kawalera, za którego głową utrapiona ojczyzna na oba uszy zasypiać może, i swojój, na którą przez wiele set lat pracowicie robiła, zażywać swobody. Szczyciła się Italia swym Emiliuszem, że za całość jój zastawiając się odważnie na placu, został od Penów porażony. Z słońcem zrównała Grecya sławę Protesilausa swego, że podobnym jako i tamten sposobem, nie żalując krwi i zdrowia swego, zabity został od wojska frygijskiego. Czémże my najbardziej mamy dziękować Bogu za naszego Czarnieckiego, któremu we wszystkich okazyach tak łaskawej użył protekcji, że go z ciężkich terminów swoją zawsze dźwigał ręką, wielkie i znaczne, choć z małą garścią wojska, dając mu zwycięstwa nad nieprzyjacielem, a nadto że go od śmiertelnego zachował szwanku, kiedy pełen dni, łagodną śmiercią, z tego powołany świata. Niech czyje herbowne za rzeczpospolitą zastawiają się miecze, niech ostre kopije nieprzyjacielowi dają odpór, niech czujne lwy strzegą ojczyzny, niech pilnują topory sprawiedliwości, niech depcą hardość rebeliantów podkowy, herbowna twoja nawa (1) więcjéj zasłużyła się światu, niżeli owa, która Jazonowi złote z Kolchidy przyniosła runo..... Miłażto jest wojna pod dobrym wodzem, by i najcięższe ponosić prace i przykrości; nie straszne są rzeczy ochotnemu sercu przez ognie i miecze, przez srogie burze i nawalności, za dobrym przywódcą piąć się ku celowi dobrej sławy. Przez to ma Scevola wielką u świata reputacją, że z swojój własnej ręki czynił sprawiedliwość o to, że ojczystego nieprzyjaciela niedoskonałym umiarkowała sztychem; umiał ten

wódz tak swoją ręką działać, że nigdy na karanie nie zarobiła, bo rzadko temu nieprzyjacielowi na zdrowie, którego ona swojém dosięgła żelazem. Już minęło tyle wieków jako Cynegirus na owę zarobił sobie sławę, która i teraz w częstém u ludzi jest wspomnianiu, że nieprzyjacielską nawę zębami chwycił; nierównie świeższe tego zacnego rycerza widzi świat zasługi, kiedy nieprzyjacielskie strzały ustami odbierając, wystrzelone podniebienie srebrną do śmierci szpuntował blachą, gdyż inaczej, kiedy mu ją do przemywania wyjęto, słowa jednego wymówić nie mógł..... O Boże! siłażby na to papiéru nie wyszło, ktoby Czarnieckiego z młodych zaraz lat odwagi kawalerskie i dzieła chciał wypisać należyciel..... Nigdy on nie wynosił się z swoich czynów, ale te łasce Boga i rządcy swego im bardziej przypisywał, tém więcjéj od Boga pomyslnych odbierał szczęśliwości. Sławna jest Herkulesowa siła, ale piszą że go Tetys w takich kąpała wódkach, aby mu żadne nie szkodziły oręża. Opisują historye Hektora, że w potrzebie ojczyzny swojój, rzeczypospolitéj trojańskiéj, tak potężnie stawał i zwyciężał. Nie może się Rzym nachwalić Scypionowego męstwa, że dla rzeczypospolitéj zawojował Afrykę; ale to wtenczas było, kiedy żołnierze kamykami na siebie rzucali. Teraz zaś tym samym sławnym naówczas wodzom, gdyby powstałi z martwych, podobnoby się przykrzejsza widziała wojowania maniera, kiedyto z kilkudziesiąt tysięcy samopałów zakurzą pod nos, kiedyto, z kartanu jako cebrzyk, kula zaprusza oczy, że i djabeł sam, choć jest ciekawy, nie ma czasu, jako zwykły, pokazać się człowiekowi przy śmierci; kiedyto owe petardy, owe bomby, owe kartacze i tak wiele innych na zgubę mizernego człowieka wymyślonych narzędzi igrać poczną. Podobnoby i owi dawni słynni rycerze nie wyrównali terazniejszym. Kochany nasz wódz już z temi wszystkiemi rozumiał się inwencyami, umiał zawsze zwyciężać, umiał ze zwycięstwa korzystać; wojska nigdy nie stracił, umiał je konserwować, a choć téż czasem i nadwerężył, umiał je naprawić i chlebem nakarmić..... Imię wodza naszego żyje, jako ozdoba świata, cnocie i wieczności, lubo zapłacił dług śmiertelności“.....

Drugi zarzut Kochowskiego, iż Czarniecki srogim był dla żołnierz, małej także jest wagi; bo w owym czasie, kiedy wojsko nie znało jeszcze

(1) Ustęp ten jest alluzją do rozmaitych herbów rodzinnych. Czarniecki był herbu Łodzka.

karności, wódz dobry musiał być surowym; lecz że nie głodził ich umyślnie, powodowany jakąś niby taktyką dziwną, o tém przekonywa dostatecznie dopiero co przytoczone świadectwo Paska. Wspomniałem już wyżej, że imię Czarnieckiego w religijném prawie poważaniu było u narodu; a kochać go musieli i podwładni, bo nieraz z nimi przestawał poufale i łagodnie. Liczne tego dowody mamy znów w pamiętnikach Paska z żartobliwych pogadanek wojewody, w których koleżeńskie przemawianie jego do prostych towarzyszków pancernych świadczy, że chociaż wysoko postawiony, nie wylamywał się nigdy zpod zwyczaju szlacheckiej równości.

Raz naprzykład podczas wyprawy duńskiej, kiedy Pasek wysłany został za poborem od chłopów jutlandzkich, pieniędzy dla wojska, udał (Pasek) że żadnego nie rozumie języka; aż kiedy mu w kubku przynieśli sto bitych talarów, raptem do tłumacza zagadał po łacinie. Doniosło się to do wojewody, który zaraz odezwał się do porucznika Polanowskiego: „Mospanie poruczniku, mam tu towarzysza w wojsku co wszelkie umie języki, ale trzeba mu wprzód postawić kubek spory srebrny, bitymi talarami napełniony, to on zaraz gotów przemówić jakim komu potrzeba językiem.“ Polanowski tego nie rozumiał, ale go objaśnił wojewoda, i odtąd talary w wojsku nazywano tłumaczami. (str. 27). W inném znów zdarzeniu, gdy jmc pan Pasek na morskiej przejażdżce, rozbiwszy się z barką, o mało nie utonął, i nazajutrz zdał sprawę o tém Czarnieckiemu, rzekł wojewoda: „Już to prawda, że to przygody były niedobre; ale za to, panie bracie, masz waszeć pierwszeństwo nad całym wojskiem, bo ty wojujesz po morzu i lądzie, a wojsko tylko na lądzie. Chciał waś zburzyć sam Szwecyą i nam palmę sławy wziąć.“ Pasek odpowiedział dowcipnie: „Jeżeli Chrystus Pan dnia dzisiejszego zburzył państwo nieprzyjaciół dusznych (byłoto na Wielkanoc), toć i nam trzeba się starać żebyśmy burzyli państwa nieprzyjaciół cielesnych. A ponieważ waćpan sam mówisz że dwojaką manierą wojuję, to ja téż proszę o dwojaką zapłatę, wodną i lądową.“ (str. 32). Kiedy pod Szklowem oddział Czarnieckiego przepływał Dniepr, jeden z towarzyszków, Drozdowski, począł tonąć z koniem; Pasek więc z drugim towarzyszem uchwycili go za ramiona i tak między sobą pławili.

Skoro go wynieśli, rzekł wojewoda Drozdowskiemu (który był wzrostu małego): „Macie szczęście, panie bracie, bo są tu wielkie ryby, i połknąłby was był szczupak całkiem z pancerzem“ (str. 98). Albo gdy Pasek, wysłany dla przeprowadzenia posłów od cara do boku królewskiego, zabięra się do wyjazdu, wojewoda pije z nim miód na pożegnanie i zaprasza do siebie na wieczerzę (str. 141 142).

Okoliczność nareszcie podana przez tegoż kronikarza, niewyczerpanego w rzutach przeszłość naszą malujących, świadczy wymownie o miłości i poważaniu jakie Czarniecki zjednać sobie umiał u obcych i u swoich, a jednocześnie dowodzi, ile przystępnym był dla wrażeń łagodniejszych, choć od dzieciństwa w żołnierskiej wychowany szorstkości. Gdy po przewodniej niedzieli 1659 r. wojewoda w Danii niebezpiecznie zachorował, „wszyscy, mówi Pasek, zlekliśmy się bardzo. Posprawdzano różnych lekarzów; elektor przysłał także swoich. Admirał holenderski przysłał lekarza okrętem, bardzo sławnego, ale niepomnę z którego miasta. Ratowali go wszelkimi sposobami. Po naradzie rozkazali lekarze żeby mu muzyka grała ciągle; grano w drugim pokoju na cichych narzędziach, jakoto na lutniach, cytrach i innych; i taki przyszedł do zdrowia, z wielką wojska uciechą i dziękczynieniem Panu Bogu.“ (str. 33).

Ze strony moralnej jawną cechą charakteru Czarnieckiego była głęboko wszczepiona religijność. Odezwy swe do wojska w potrzebach wojennych kończył zwykle wyrazami: „Niechże was Bóg ma w swój opiece i imię Jego święte!“ albo: „Do roboty w imię Boskie!“ Przed każdą bitwą, jak mówi Niesiecki „stateczną a staropolską pobożnością zwykł się był grzechów swych, bez których w tém życiu śmiertelném obejść się niepodobna, kapłanowi spowiadać.“ Mimo zasług niezmiernych, których czuł ważność, zawsze był skromnym w rozumieniu o sobie i nie lubił gdy go chwalono. Tak np. (o czém wyżej w przypisku wzmiankowałem), wjeżdżając do Lachowic, zatulał uszy czapką, aby nie słyszeć przesadzonych pochlebstw. Jako dowód dobroczynności jego Krajewski przytacza, że ustanowił w Tykocinie fundusz wieczysty, dotychczas istniejący, dla dwunastu towarzyszków szlachty, którzy, dla wieku lub sił starganych w służbie wojskowej, niezdolnemi

będąc do noszenia oręża, mają tym sposobem do śmierci zapewniony sposób utrzymania; ale się myli w tym względzie szanowny autor „Historyi Stefana Czarnieckiego,” bo szpital żołnierski w Tykocinie jeszcze r. 1633 założył Krzysztof Wiesiołowski marszałek nadworny litewski, zapisawszy na cel ten dobra swoje Dolistów leżące na Podlasiu (1). Przytoczone tu wyżej nadanie dóbr tykocińskich Czarnieckiemu wyraźnie téż zastrzega nienaruszalność funduszu na ten szpital.

Stojący na rynku w Tykocinie pomnik Stefana Czarnieckiego, z posągiem więcej jak naturalnej wielkości, piękną rzeźbą z kamienia piaskowego wykonanym, przedstawia bohatera (zob. rycinę) odzianego w kontusz i szubę futrem podbitą; w wyciągniętej prawej ręce trzyma buławę hetmańską, lewą objął rękojeść miecza; u nóg rzucony hełm i kolczuga. Pomnik cały otoczony kratą żelazną. U wierzchu podstawy w stronie przodowej herb Czarnieckich *Łodzia*; w stronie tylnej *Gryf*, herb wygasłej w r. 1773, na Janie Klemensie, linii Jakśów Branickich. Po czterech bokach napisy łacińskie, calowemi głoskami w kamieniu wyrznięte, które, że nigdzie, ile mi wiadomo, drukowane dotąd nie były, podaję tu w kopii dosłownej, z zachowaniem pisowni i podziału na wiersze jaki jest w oryginalu, a dodaniem tylko, dla zrozumiałości, właściwych znaków przestankowych.

Przodowy napis od wschodu, ku kościołowi ks. Misyonarzów.

Stephano in Czarnca Czarniecki,
Palatino Russiae, Duci Copiarum
Regni, Omnium, Quotquot Ejus
Aetate Fuerunt, Poloniae
Hostium Victori, Regis Vindici,
Patriae Liberatori,
Clemens in Branice et Ruszcza
Branicki, Palatinus Cracoviensis,
Supremus Dux Exercituum Regni,
Ejus ex Filia Nepos, (2) Posuit.

(1) Akta metr. kor. księga 180, str. 587.

(2) Wyraz *nepos* użyty tu jest w znaczeniu: potomek. Ściślej jednak byłoby wyrażenie: *filiae ejus nepos*, albo *ejus ex filia pronepos*. Wiadomo bowiem że Jan Klemens Branicki hetman wielki koronny i wojewoda, a później kasztelan, krakowski, który wystawił pomnik tykociński, był synem Stefana Mikołaja wojewody podlaskiego, splotzonego z Aleksandry Czarnieckiej, a zatem prawnikiem Stefana Czarnieckiego po córce.

Cum Frontem, Vultum, Laurusque,
Tropheaque, cum tam Nobile Posteritas
sera videbit opus, quid dicet? Posuit Statuam
Monumentaue Claro Heros Heroi debita,
Duxque Duci; dicet: quod Civi sit gloria summa
probari Laudarique suis Regibus et Patriae.
Privatae sileant laudes, cedantque sequenti:
Ingentem celebrant Patria, Rexque Virum.

(Stefanowi na Czarnce Czarnieckiemu, wojewodzie ruskiemu, hetmanowi koronnemu, zwycięzcy wszystkich, jacy byli za jego czasu, nieprzyjaciół Polski, oswobodzicielowi ojczyzny, Klemens na Branicach i Ruszczy Branicki, wojewoda krakowski, hetman wielki koronny, potomek jego z córki wystawił. Gdy późna potomność ujrzy to oblicze, te wawrzyny, te trofea, to dzieło tak wzniosłe, cóż wtedy rzeknie? Oto, że pomnik ten postawił bohater słynnemu bohaterowi, wódz wodzowi; rzeknie: iż sławą największą obywatela jest zadowolenie króla i ojczyzny. Niech umilkną pochwały prywatne i ustąpią pierwszeństwa następującej: król i ojczyzna wielkiego czczą męża).

Od północy, ze strony rzeki Narwi.

Excerptum e Diplomate Joannis
Casimiri Regis, voluntate Ordinum
Regni in Comitibus Generalibus
Czarneccio an. MDCLXI, X III Junii
Varsaviae dato.

Majestatis Nostrae nos puderet,
nisi Stephani Czarniecki, Pal. Russ. tota
Europa celebratas virtutes testimo-
nio nostro Posteris consignaremus.
Nihil enim Magnum in armis aetate
Nostra sine Czarnieccio; que (1) non mirabi-
tur aetas animum in arduis Felicem, in
periculis non magis Fortem, quam providum?
Rebus perditis, unica salus, numinis Providentia
datus Stephanus. Effusa per Regni Provincias
Foedissima calamitas, Religiones pollutae,
omnia capta, direpta, diruta; Nos ipsi Fide
Civium destituti, miserrima ubique strages,
nulli ad obsistendum virtus: donec Czarnieccii
fortitudo supra opinionem emicuit.

(Wyciąg z przywileju króla Jana Kaźmirza, za zgodą stanów królestwa na sejmie walnym Czar-

(1) Tak jest na pomniku.

nieckiemu r. 1661, 13 czerwca w Warszawie nadanego. Wstydby nam było majestatu naszego, gdybyśmy mężstwa i cnoty Stefana Czarnieckiego wojewody ruskiego, sławionych w całej Europie, świadectwem naszym potomności nie przekazali. Nic bowiem wielkiego w boju za czasów naszych bez Czarnieckiego nie działo. Któryżby wiek nie podziwiał umysłu zręcznego w trudnych okolicznościach, w niebezpieczeństwie równie mężnego jak przezornego? Śród ogólnej niedoli, jako jedyne ocalenie dany od Opatrzności Stefan. Zły się były na kraj straszliwe klęski, skalana wiara, wszędzie gwałty, łupieztwa i spustoszenia. My sami odstąpieni przez poddanych, najlichsza wszędzie obrona, nikogo coby opór chciał stawić: póki dzielność Czarnieckiego nie zajaśniała nad spodziwianie).

Od zachodu (strona tylna).

Optabant omnes virum, qui
Statum Reipublicae in pristinum reduceret,
spem in desperatis casibus
erigeret, refractarium militem
severiori disciplinae restitueret,
labentem Regni dignitatem stabili-
liret: Haec omnia a Czarnieccio
impleta esse admiramur. Civem in
illo Resp. experta est, qui vulneri-
bus Patriae, suis vulneribus mederetur.
Bellicae virtutes, quae uspiam gentium
essent, in Eum confluxere summis
meritis aut raris. Nefas illi negare,
qui omnibus omnia dedit: Capiti Nostro
Coronam, Patriam Civibus, Cives urbibus,
Urbes Provinciis, Provincias Regno et M. ducatu
Lithuaniae reddidit, gentis utriusque Famam
summa gloria restituit.

(Pragnęli wszyscy męża któryby Rzeczpospolitą do dawnego powrócił stanu, ożywił nadzieję w rozpaczliwych okolicznościach, uporne wojsko do surowej przyprowadził karność, upadającą królestwa powagę podtrzymał: wszystko to Czarniecki z podziwieniem naszym wykonał. Znalazła w nim Rzeczpospolita obywatela, który rany ojczyzny leczył własnymi ranami. Wszystkich narodów cnoty wojenne zbiegły się w nim z najwyższą i rzadką zasługą. Niegodziłoby się ujmować temu, co wszystko dał wszystkim: głowie naszej koronę,

obywatelom ojczyznę, miastom obywateli, prowincjom miasta, królestwu i w. ks. litewskiemu prowincye, a obu narodom sławę z największą dla siebie chlubą przywrócił).

Od południa.

Fines Patrios victoriis praevectus,
aequora et insulas suo Nomine
illustravit, paucis copiis ingentes
exercitus Fudit aut Fugavit. Ser-
vent Superi diu superstitem in
ampla Nepotum Sobole, quorum,
ex eadem Fortunata radice,
Fides in Principem et Virtus
adolescat in hostem. Quo itaque
Vindice Resp., patrio pene pulsa solo,
nuper suas haereditates recepit, Ei
Tykocinum gratiae nostrae Monumen-
tum aeternum unanimes Ordinum Reip.
consensu et Comitiorum Constitutione
in haereditatem locamus et donamus.

Joannes Casimirus Rex.

(Przenosząc zwycięstwa za granice ojczyste, morza i wyspy wślawił swém imieniem, szczuplemi hufcy potężne wojska pogromił albo rozproszył. Niechaj Bóg długo zachowa potomków jego w szerokiej wnuków odrośli, i oby z tegoż szczepu szczęśliwego wyrosła wierność względem króla i mężstwo przeciw nieprzyjacielowi. Za którego więc sprawą gdy Rzeczpospolita, wyparta prawie z ziemi ojczystej, niedawno odzyskała swą własność, nadajemy mu w dziedzictwo Tykocin, jako wieczystą łaski naszej pamiątkę, za jednomyślnym stanów Rzeczypospolitej zezwoleniem i na zasadzie uchwały sejmowej.

Jan Kaźmirz król).

Data wzniesienia tego pomnika z pewnością nie wiadoma; że jednak na przodowym napisie Klemens Branicki wymieniony jest jako hetman wielki koronny (został nim roku 1752 po Józefie Potockim), a pominięty tytuł kasztelana krakowskiego (został nim roku 1761 po Stanisławie Ponia-towskim), musiało więc ono nastąpić w latach pomiędzy 1752 a 1761. Starożytna Polska Balińskiego i Lipińskiego (tom II str. 1326) kładzie tę datę około r. 1755. Nowszemi już czasy niewiadomy grabieżca, zlakomiwszy się snadź na buławę po-złacaną, którą uważał za złotą, utracił prawą rękę



posągu, i tę Żyd jakiś, z wielkim dla całości uszczerbkiem, niezgrabnie potem dorobił.

W Białymstoku, w przepysznym pałacu niegdyś Klemensa Branickiego, mieszczącym dziś instytut wychowania panien, w jednym z pokojów ochmi-strzyni tegoż zakładu, znajduje się owalne popiersie Stefana Czarnieckiego, wielkości naturalnej, wypukło-rzeźbą z kamienia wyrobione, otoczone skromną złotą ramą, z wymalowanymi na ścianie trofeami. Wokoło napis rżnięty: *Stephanus Czarniecki, palatinus Russiae, dux exercituum regni Poloniae*. Krajewski wspomina że w kościele wsi Czarnki jest wizerunek Czarnieckiego na koniu i w zbroi, w którym twarz bohatera, obok powagi właściwej ludziom wojennym, przyjemny i łagodny ma wyraz. Pomiedzy obrazami znanego w Warszawie zwolennika sztuki znajduje się prześliczny portret olejny, roboty Bacciarelli'ego, wyobrażający pogromcę Szwedów w ulubionej jego delii ponsowej. W galerii także wilanowskiej (Nr. 438) jest portret Czarnieckiego, uchodzący za współczesny; inny w galerii nieborowskiej (N. 474) (1). Nadto rodzina wojewody po kądzieli posiada współczesny wizerunek jego, który nadesłać przyrzekła do zbioru starożytności jednego z warszawskich literatów. Obraz ten, malowany w późnym już wieku, wielkości naturalnej, przedstawia go w ubiorze

(1) Pamiętnik sztuk pięknych, zeszyt III, str. 190 i 191.

hetmańskim, w lewej ręce trzymającego buławę, prawą wspartego na widelcu (godle czujności) (2). Ale najciekawszym niezawodnie jest portret Stefana Czarnieckiego w zamku królewskim w Berlinie (3). Wojewoda w całkowitej postaci, wielkości naturalnej, trzyma w ręce buławę; żupan ma czerwony atlasowy, na wierzchu szubę sobolową ze złotymi pętlicami i kutasami; buty czerwone; u nóg kosztowne sajdaki; w tyle franki i kolumny; nad głową unosi się gieniusz z wieńcem; włosy i zarost siwe. Malowidło to, znakomitej wartości artystycznej i niezaprzeczenie współczesne, nosi na sobie wszystkie cechy szkoły holenderskiej; zdjęto je zapewne w czasie gdy wódz nasz, ciągnąc do Danii albo zamtąd wracając, przebywał kraje elektora brandenburskiego. Znane są oprócz tego dwa litografowane portrety Stefana Czarnieckiego: jeden w trzeciej części wielkości naturalnej, wydany w Poznaniu przez J. K. Żupańskiego, a wykonany w Berlinie przez Steffensa, drugi mniejszy, dołączony do dzieła „Żywoty hetmanów polskich i w. ks. litewskiego,” wydania Żegoty Pauli, Lwów 1850. Na koniec jeden z miłośników pamiątek krajowych w Warszawie przechowuje, prawdziwe czy urojone, szczątki kości i trumny naszego bohatera.

(2) Dziennik Warszawski z r. 1853, Nr. 263.

(3) Wiadomość o tym obrazie udzielił mi znakomity nasz malarz, p. Aleksander Lesser, który bawiąc w Berlinie dla siebie go przerysował.

DREŹNIK ELEKTRYCZNY.

Wszędzie w naturze, we wszystkich ciałach, tak organicznych jak i nieorganicznych, w zwierzętach, roślinach, płodach kopalnych, napotyamy siłę, którą już i starożytni, choć w bardzo małej liczbie ciał, spostrzegali, siłę która szczególnie w ośmnastym i dziewiętnastym wieku całą uwagę naturalistów zajmować zaczęła, którą oni nieustannie badali, niezliczone doświadczenia z nią przedsiębrali, siłę, którą już nie tak jak starożytni za bezużyteczną igraszkę właściwą niektórym tylko ciałom, ale jako powsze-

chnie w naturze rozlane zjawisko uważali, bo powstającą wszędzie, gdzie różnorodne pierwiastki z sobą się stykają, która każdemu życiu towarzyszy i do jego warunków należy. Tą siłą jest *elektryczność*. Któżby dziś nie znał, kto-by nie słyszał o jej zjawiskach? Znajdziemy ją przy tworzeniu się kryształów, towarzyszy ona życiu zwierząt i wzrostowi roślin, we wszystkich objawach i okresach. Mózg także i szpik pacierzowy nietylko w podobieństwie, ale w ściśłym znaczeniu

tego wyrazu, stanowią baterią elektryczną, źródło siły poruszającej muskuly i stanowiącej związek między duszą a ciałem.

Oprócz téj elektryczności powszechnej znajdujemy jeszcze w wielu zwierzętach szczególną, odrębną jak się zdaje siłę elektryczności, która, jak każda czynność organizmu, ma w zwierzęciu właściwy sobie punkt, wyłączny organ jako siedlisko i źródło. Wiadomo że taką elektryczność posiadają niektóre zwierzęta ssące. Najpowszechniej spostrzegamy ją na żywych kotach, przegarniając sierść ich w ciemności, przyczem świecące wydobywają się iskry. Najwięcej jednak mają jej pewne rodzaje i gatunki ryb; co tém dziwniejsza, że woda jest dabrym przewodnikiem elektryczności, że zatem, według dotychczasowych o téj sile wiadomości, zdawaćby się mogło niepodobieństwem aby istoty zewsząd wodą otoczone nagromadzić ją w sobie i utrzymać zdołały. Gdy jednak aparaty nerwowe, któremi te zwierzęta głównie elektryczność wywierają się zdają, podobne są dosyć do stosu Wolty, którego czynność, jak wiadomo, wzbudza się także przez zwilgocenie, słusznie przeto przypuścić należy iż siła o której mowa jest natury elektro-galwanicznej.

Ryby elektrycznością odznaczające się mają właściwy dla niej w swém ciele organ, który nie u wszystkich elektrycznych jest jednakowy; powszechnie jednak składa się on z przegródek lub komórek, z włóknistych ścianek, napełnionych zwykle galaretowatą cieczą. Komórki u większej liczby ryb elektrycznych są pojedyncze; w Drętwie (Torpedo) zaś każda komórka przedstawia sześcioboczną kolumnę, podzieloną na wiele przegródek poprzecznymi ściankami. W elektrycznym organie Drętwicka widać liczne sznurki łączące ten organ ze szpikiem paciierzowym i płucami, po których przecięciu ryba utracą siłę wydawania z siebie elektryczności.

Dotychczas znane są następujące ryby elektryczne.

1) Z pomiędzy ryb kościstych, pokrewieństwa sumowatych: *Elektryzacz* (*Malapterus*) żyjący w rzekach afrykańskich, a szczególnie w Nilu, ma dosyć smaczne mięso.

2) Z pokrewieństwa wrzecionkowatych: *Ciernioryb* (*Scomberoides*) ryba mierniej wielkości, ze

smacznem, zdrowem mięsem, żyjąca w morzach południowych.

3) Z pokrewieństwa węgorzowatych: rodzaj *Drętwik* (*Gymnotus*), mieszkaniec wód słodkich Ameryki południowej, o którym niżej obszerniej powiemy.

4) Z tegoż co Drętwik pokrewieństwa: rodzaj *Wstęgowiec* (*Trichinus*), żyjący w morzach na południowej półkuli ziemi, dorastający trzech i więcej stóp długości.

5) Z pomiędzy ryb chrząstkowatych bezskrzelnych: *Mruk* (*Moronyrus*), żyje w rzece Nilu, mięso ma smaczne, żywi się najwięcej drobnymi, niegrzbietnymi zwierzętami.

6) Z pomiędzy tychże chrząstkowatych: *Kolcobrzuch elektryczny* (*Tetrodon electricus*), który, jak i inne tego rodzaju gatunki, żyje w strefie gorącej, jużto w morzach, już w rzekach, a mięso ma i niesmaczne i niezdrowe.

7) Nakoniec z pokrewieństwa ryb płaskich: rodzaj *Drętwa* (*Torpedo*), ryba po kilkadziesiąt funtów ważąca, rozrzucona prawie po wszystkich morzach, samem już nazwiskiem zapowiadająca zdolność do uderzeń elektrycznych.

Ze wszystkich atoli wymienionych rodzajów największą siłę ma drętwik, a mianowicie gatunek jego *Drętwik elektryczny* (*Gymnotus electricus*), o którym w niniejszym artykule mówić głównie zamierzaliśmy, opuszczając tym razem inne gatunki drętwicka, mniej więcej także odznaczające się elektrycznością.

Drętwik elektryczny różni się od innych ryb węgorzowatych tém, że nie ma płetwy grzbietowej, z kąd téż pochodzi greckie jego nazwisko (*γυμνοσ* goły i *νοστος* grzbiet). Otwór odchodowy u niego znajduje się daleko ku przodowi, a płetwa podogonowa ciągnie się przez większą część ciała, aż do końca ogona. Skrzele po większej części pokryte są skórą, a otwór ich leży przed płetwą piersiową. Na skórze nie ma wyraźnie widzialnych łusek; jest ona bardzo przezroczysta, tak iż widzieć i rozeznąć można rozłożone pod nią nerwy. Kształt ciała przedłużony, węgorzowaty, prawie wszędzie równo gruby, głowa szeroka, tępo zakończona. Kolor ciała zdaje się zmieniać według wieku, gatunku pożywienia i miejsca w którym ryba zamieszkuje, i bywa jużto czarniawo-czarno-błękitnawy, już czerwony, oliwkowo-zielony i t. d. Po grzbie-

cie zbiegają na oba boki symetryczne szeregi okrągłych rdzawo-żółtawych plam. Są to zbiory licznych otworów wilgoć wydzielających. Organy elektryczne zajmują cztery piątych części długości ciała. Składają się one ze czterech oddziałów. Dwa większe *aa* leżą przy kolumnie pacierzowej *w*, dwa zaś mniejsze *bb* są pod pierwszemi; *m* wystawia przecięcie jamy brzusznej, a głoska *n* pokazuje przecięcie płetwy podogonowej. Cała długość ryby wynosi sześć stóp, a czasem nawet więcej.

Drętwik elektryczny żyje w słodkich wodach południowej Ameryki, tak w jeziorach, stawach jako i w rzekach powoli płynących, w Surinam, Gujanie, Kolumbii, w ogólności we wszystkich częściach gorącej i ciepłej Ameryki; szczególnie zaś często napotyka się go w niezmiernych Sawannach, znanych tam pod nazwiskami *Llanos de Carracas* lub *Llanos de Apune*, gdzie na każdej mili kwadratowej znajdzie 2 lub 3 stawy rojące się, w całym znaczeniu tego słowa, drętwikami.

Humboldt i Bonpland pierwsi czynili badania i postrzeżenia nad drętwikiem, którego w tamtejszych okolicach znają pod imieniem *Tremblador*. Długo, lecz nadaremnie, ci dwaj podróżni starali się za pieniądze dostać żywego drętwika: w krajowcach bowiem nad chęcią zysku przemagała obawa. Utrzymywali oni wprawdzie, że można bezpiecznie dotknąć się drętwika, byle się miało fajkę lub prymkę w ustach, lecz sami widać tak mało mieli ufności w tym ochronnym środku, iż nawet przy jego użyciu nikt nie ośmielił się szczęścia poprobać. Nie pozostawało więc ciekawym podróżnym, jak samym wziąć się do łowu.

Humboldt i towarzysze jego udali się w tym celu nad staw, w którym się wiele drętwików, jak mówili Indyanie, znajdować miało. Krajowcy, zająwszy z przyległych stepów ze trzydzieści napół dzikich koni i mułów, do stawu je napędzać usiłowali, co jednak niełatwo się udawało, bo te stworzenia, jakby instynktem powodowane, od wody stroniły. W długie kije uzbrojeni Indyanie, jedni rozstawili się nad brzegiem, drudzy wylazszy na drzewa wzdłuż stawu rosnące i gałęziami nad wodę zwisłe, krzykiem i kijami popędzali w wodę strwożone zwierzęta. Wtedy to rozpoczęła się dziwna między końmi a drętwikami, walka. Przestraszone krzykiem drętwiki, broniły swęj siedziby silnemi razami elektryczności. Konie i muły, gdzie

który mógł, na wszystkie strony uciekały przed strasznemi, a niewidzialnemi, przeciwnikami. Naprózno jednak usiłowały schronić się na ląd, bo rozstawieni tam Indyanie znowu je w wodę kijami napędzali. Udało się niektórym uciec przebojem, ale rażone w wodzie elektrycznemi uderzeniami, napół zdrętwiałe i jakby karczem skrępowane, jak długie na brzegu popadały. Był to nader ciekawe widowisko: Indyanie, gromadnie, przeraźliwie krzyząc, długimi kijami wywijając, konie w wodę gwałtem napędzali, te zaś, przerażone krzykiem i bezustannie elektrycznością rażone, z najeżonemi grzywami wydobyć się z wody usiłowały, a między niemi długie zielonawe drętwiki uwijały się naksztalt węzów. Widać było z brzegu te ryby, jak pod brzuchy koniom szybko się podsuwając, elektryczność w nie wyladowywały. W przeciągu pięciu minut dwa konie, ciosami elektrycznemi odrzone, upadły w wodzie i zostały zalane, a razy im zadane musiały być tém silniejsze, że pod brzuchy, blisko serca i wnętrzości, prędko jeden po drugim następowały. Takim, na główne siedlisko najżywotniejszych nerwów wymierzonym, uderzeniem, siła nawet koni oprzeć się nie mogła. Obawiał się już *Humboldt* aby wszystkie konie w tej walce nie poginęły, ale zapewniali go Indyanie, że polowanie wkrótce się skończy, bo pierwszych tylko napadów drętwików lękać się trzeba było. Mówili oni że ryba ta często powtarzanem wywieraniem swęj siły niewidzialnej osłabia ją, i chyba dopiero po kilkodniowym wypoczynku i po użyciu pokarmu znowu ją odzyskuje. I teraz w rzeczy samęj, po upływie kwadransa, konie uspokoiły się nieco, opuściły grzywy i nietyle już wzrokiem okazywały trwogi i przerażenia. Drętwiki téż uciekać i kryć się zaczęły, jakby czując się już do walki mniej zdolnemi. Większa ich część na brzeg się ucieczką chroniła. Tu je téż łatwiej łowić było można; rzucono na nie małe harpuny i tak zahaczone wyciągano na ląd, ile że sznurki harpunów, jako suche, elektryczności do ręki nie przepuszczały. Tym sposobem, w kilku minutach, wyciągnięto na ląd 5 wielkich drętwików; chodziło już tylko o to kto je odczepi od harpunów i przeniesie do dołów umyślnie dla nich na sadzawki urządzonych. Indyanie nie chcieli podjąć się tej roboty za żadne wynagrodzenie; sami więc naturalieci wykonać ją musieli, i pierwsi na sobie doznali skutków doświad-

czeń jakie odbyć zamierzali. Uczucie sprawione przez wyladowanie elektryczności drętwnika bywa bardzo różne od uczucia doświadczonego z wyladowania butelki lejdejskiej. Ból który się uczuje, po odebraniem niespodzianie elektrycznym uderzeniu od drętwnika zdrowego i jeszcze niewysilonego, bywa tak mocny, że kto go raz doświadczył, ten pewno nie zechce wystawić się nań powtórnie. Humboldt, przypadkowo stanawszy obydwoma nogami na drętwniku dopięro z wody wyciągniętym, doświadczył tak mocnego uderzenia, że przez dzień cały czuł dotkliwy ból wkolanach, a przytęm osłabił na całym ciele. Gdy się drętwik zmęczy, wtedy za jego dotknięciem powstaje tylko drganie nerwów; po mocniejszych zaś uderzeniach pozostaje w członkach dosyć długo trwające odrętwienie. Słusznie więc boją się Indyanie wchodzić do wody lub nawet płynąć po niej, gdy wiedzą że się w niej drętwiki znajdują; jedno bowiem jego uderzenie zdolne jest pozbawić człowieka na kilka minut władzy we wszystkich członkach, a gdy wymierzone zostanie w piersi lub w brzuch, wtedy odrazu śmierć nastąpić może. W którymkolwiek punkcie dotknąć się ciała drętwnika, wszędzie nastąpi wyladowanie z niego elektryczności; najmocniejsze jednak pokażą się uderzenia za dotknięciem pletwy piersiowej. Gdy, zamiast bezpośrednio ręką, dotknie się ryby prętem metalowym, dozna się mocniejszego uderzenia. Ale i tu znowu moc jego będzie różna, stosownie do gatunku metalu: cynk wyda uderzenie najmocniejsze, słabsze będzie od srebra, a najslabsze od miedzi. Dotykający się drętwnika prętem szklanym, laską laku lub siarką, nie dozna żadnego uderzenia. Wyladowanie elektryczności, a nawet jej siła, zależy całkiem od woli ryby; ta przeto, od której kilkakrotnie słabych razów doświadczone, może jeszcze nagle wydać najpotężniejszy grom elektryczny. Co jeszcze osobliwsza, że z dwóch osób jednocześnie ryby się dotykających, jedna uczuć może uderzenie nader silne, druga słabe, a nawet żadne. I tak Humboldt, trzyma-

jąc jedną ręką drętwnika, ukłuł go igłą z drugiej ręki, i żadnego nie doznał wstrząśnienia; kiedy zaś Bonpland ukłuł go z kolei, wtedy Humboldt uczuł uderzenie, o którym Bonpland wcale nie wiedział. Moc uderzeń elektrycznych wiele zależy od stanu zdrowia i siły ryby, która im jest zdrowsza, silniejsza, tym mocniejszą elektryczność wyladowywa, a przeciwnie im bardziej zmęczona, tęm słabsze wydaje uderzenia.

Rzecz godna uwagi, że po odłączeniu głowy ciało drętwnika bardzo prędko utracą drażliwość, kiedy tymczasem w blisko powinowatym mu węgorzu pospolitym widziemy ją przez kilka godzin jeszcze trwającą. W drętwniku nawet za pomocą siły galwanicznej nie można wzbudzić drażliwości; tylko wycięte z niego serce, przez kwadrans jeszcze i dłużej, ściska się i otwiera.

Same między sobą, ile uważać było można, drętwiki nie są czule na działania elektryczności, i nie walczą z sobą tą bronią; lecz bardzo są drażliwe na działanie stosu galwanicznego, i wystawione na takie próby, mocno się zwijają.

Drętwik używa swęj elektrycznej siły nietylko ku swęj obronie, ale głównie obdarzony nią jest dla opatrywania się w pożywienie. Poruszenia jego niedosyć są prędkie, iżby mógł w każdym razie upolować sobie drobne zwierzątko na pokarm; powoli się więc do nich zbliża lub spokojnie czeka na nie, aż się do niego zbliżą, a wtedy zabija je lub odurza zdaleka. Nietylko bowiem bezpośrednięm dotknięciem się, ale i z pewnej, byle nie zbyt wielkiej, odległości razi swą elektrycznością. Osobliwsza także iż ryby i płazy nie zdają się wcale wiedzieć o tęj potężnej jego broni, której w przeciwnym razie łatwo uniknąćby mogły, a wtedy drętwik umarłby z głodu.

W ostatnich czasach kilkakrotnie już sprawdzono go żywcem do Europy, dla czynienia z nim rozmaitych doświadczeń.

E. L. b. pr. n. p.

BITWA MORSKA,

USTĘP Z NIEWYDANYCH JESZCZE PODRÓŻY OKOŁO ZIEMI Dra. A. Z.

PRZEZ Dra. TRIPPLINA.

W roku 1847 towarzystwo jeograficzne marsylskie wysłało, dla zbadania stanu wysp Oceanii i nowo odkrytych kopalni w Kalifornii, do tych odległych krajów przepyszną fregatę, własnym i to bardzo znacznym kosztem uzbrojoną. „Bohatérska Ermancya“, wystawiona w Tulonie umyślnie na tę wyprawę, była niezawodnie jedną z najpiękniejszych fregat kupieckich. Statek to był więcej na bieg jak na pakunek obrachowany, towarów wiele miejsca zajmujących nań nie zabiérano. Wiedział bardzo dobrze pan Riffat, kapitan Ermancyi, z poprzednich podróży swoich do wysp Oceanii, na co się najwięcej łakomią ludzie zamieszkujący te kraje: na żelazto, broń wszelkiego rodzaju, stare suknie mundurowe, na ozdoby, paciorki i inne podobne przedmioty; temi téż towarami i żywnością zepsuciu najmniej podlegającą obrotny i sławny już żeglarz wyładował swój okręt. Osady na téj dwupokładowej fregacie było 138 dusz. Minister marynarki pozwolił „bohaterkiej Ermancyi,“ jako statkowi w celu naukowym wyprawionemu, wziąć z sobą 12 dział dwunasto-funtowych i trzy koronady wielkiego kalibru, nadto tylu artylerzystów i żołnierzy morskich z oficerami, ile potrzeba było na uzbrojenie okrętu. Kapitan Riffat przybrał sobie do pomocy pana Surcouf dawnego porucznika marynarki królewskiej, i pana Delaize młodziutkiego ale nadzwyczaj zdolnego i śmiałego żeglarza; przytém całe towarzystwo młodych, chciwych wrażeń i wiedzy naturalistów, rysowników i inżynierów. Lekarzem wyprawy został mianowany pan A. Z. doktor medycyny francuzki i szwajcarski, osiadły niedawno w Yverdun w Szwajcaryi.

Stosując się do objętości tego pisma, nie możemy w niem podać całych dziejów téj arcyciekawej, u nas zupełnie jeszcze nieznanéj wyprawy; nadmieniamy tylko że „bohaterka Ermancya,“ zwiździwszy Brazylią, przepłynęła przez cieśninę Magellana na ocean południowy, bawiła miesiący kilka w eu-

dnym archipelagu wysp Otaickich, potem popłynęła do Kalifornii, zbadala stan ówczesny bogatych jej kopalń, i sama się z bogaciwszy handlem z Kalifornijczykami, wróciła drogą wysp Sandwich i Markizów do Otaity; nareszcie, usamowolniwszy wyspiarzów tutejszych zpod władzy angielskich misyonarzów, zwróciła się na zachód, i pośredkiem niezmiernego labiryntu wysp Polinezyi wróciła do Europy drugiem półsferzem, opłynawszy całą kulę ziemską. Nowa Kaledonia, Zelandya, ziemia Van Diemen i kolonie angielskie w nowéj Hollandyi zostały zbadane przez uczonych towarzyszących śmiałej a z nadzwyczajnym szczęściem prowadzonej wyprawie. Nareszcie, we dwa lata po opuszczeniu go, wraca wyprawa na ocean atlantycki, zatrzymuje się na przylądku dobrej nadziei, na wyspach św. Heleny i Wniebowzięcia, dąży na północ, i stanawszy nieopodal od brzegów nowéj Gwinei, doświadcza przygody może nigdy przez naoczego świadka w języku polskim nieopisanéj, to jest bitwy morskiej.

Ten ustęp nadzwyczaj zajmujących pamiętników Dr. A. Z. wyjmujemy żywcem z jego dzieła, które zamysłamy kiedyś wydrukować.

„Gdyśmy się oddalili o ośm stopni na północ od równika, mówi Dr. A. Z., nagle wzmógł się wiatr południowy, już od kilku dni dość silnie wiejący, i zawył uraganem. Szalały wichry a wzdęły się fale jak olbrzymie góry, i to tak niespodzianie, żeśmy nie mieli czasu zwinąć wszystkich żagli i ochronić ich od podarcia. Przecież, dzięki niesłychanym wysileniom, udało nam się przywrócić równowagę pochylonemu przez natarczywość burzy statkowi; ale zaraz w piérwszej z nią potyczce postradaliśmy szczyty naszych trzech masztów, największą łódź okrętową, na nieszczęście niedość mocno do pokładu przyczepioną, tudzież kilka beczek z wodą słodką zabraną na wyspie Wniebowzięcia. Ta szkoda, na ogół ciężko spadająca, mnie w szczególno-

ści dotknęła daleko boleśniej, bo niegodziwy, a przez nikogo z naszych najdoświadczeńszych żeglarzów nieprzewidziany uragan, zatopił w odmętach rozkielznanego morza wielką część donie z roślinami z najodleglejszych części świata przezemnie zebranych, i nie oszczędził nawet kojców z ciekawym drobiem, podarowanym mi przez Rodamę, dobrego króla Madagaskaru. I większą jeszcze część żywych zbiorów moich byłbym postradał, gdyby osada okrętu walczywego nie dołożyła starania, aby mi oszczędzić tego zmartwienia. Żywy krokodyl madagaskarski, dobrze przykuty do pokładu, ocalał, a moje olbrzymie węże, lepiej może przeczuwając burzę od ludzi, dnia tego wcale nie wylazły na pokład z swych kryjówek pod pomostem. Chętnie byłbym opłacił trzystą dukatami stratę moich roślin i mego prześlicznego drobiu; ale że to było pierwsze z większych niepowodzeń które mnie osobiście w ciągu tej długiej, a wielce przygodowej, podróży spotkały, więc też nie szemrałem przeciw Opatrzności i zdałem się na jej świętą wolę, błagając aby mnie nie pozbawiła reszty owoców mego trudu.

Zdolano przecież zatarasować wszelkie luki i otwory, udało się nawet zaciągnąć trójgraniasty żagiel od bugszprytu do poprzecznicy przedniego masztu i tak skutecznie rudel przytwierdzić, że mogliśmy puścić się na otwarte morze, popychani, gwałtownym wiatrem w stronę północno-zachodnią, oddalając się od groźnych brzegów Afryki, od których, według obrachowania pana Alfonsa Delaize, młodszego porucznika okrętu, nie byliśmy bardzo oddaleni. Wielkie pokładałem zaufanie w trafności rozporządzeń tego młodzieńca, i w tej chwili, widząc go wydającego rozkazy z taką pewnością siebie, wybaczyłem mu dokuczliwe nieraz wybuchy ognistej jego żywości. Co więcej, zbliżyłem się nawet do pana Alfonsa z prośbą, aby ze względu na młodość księcia Tikurego i na niebezpieczeństwo chwili odwołał go z kosza masztowego, gdzie siedział na straży i kołysany burzą ledwie zdołał się utrzymać.

Ale młodzieniec odpowiedział mi krótko:

— Odwołam go skoro czas jego minie i na innego kolój przypadnie.

A potem dodał, patrząc mi bystro w oczy:—Co się tak pan zajmujesz tym indyjskim księciem? Czy wolałbyś żeby się który z midszipmanów europej-

skich w tém niebezpieczeństwie znajdował? Czy droższe panu życie dzikiego Malaja, jak Europejczyka?

Miałżeby on domyślać się że mniemany książę Tikury jest księżniczką Otaicką? zapytałem sam siebie w duchu, i nie nalegałem już więcej na odwołanie jej z gniazda bocianiego. Zresztą ona spoglądała tak bystro i pogodnie z chwiejącego się masztu na wzburzony widok, i ani razu okiem nie rzuciła na swego narzeczonego, który z drżącym sercem stał na pokładzie i prosił Boga aby uchronić raczył od niebezpieczeństwa Talaję, kwiat Oceanii (1).

Lecz nie, pomyślałem dalej, gdyby Alfons przypuszczał że ona jest kobietą, to w chwili tak niebezpiecznej pewnieby jej nie narażał. I myśl ta szczerem przejęła mnie zadowoleniem; od jakiegoś bowiem czasu jątrzące podejrzenia w serce me kołatały. Widziałem porucznika tak często przy Talaji, a on, lubo jeszcze młodzieniec, tak doświadczonym już był żeglarzem i..... bałamutem!!

Przecież nareszcie zlurowano biędną Talaję. Przebiegnięta i wskrós przemokła cofnęła się do swjej kajuty, gdzie już czekała nań z ogrzanemi sukniemi pani Magdalena Gafforio, poczciwa wdowa po naszym zasłużonym kapitanie spodniego pomostu, który, rodem z Korsyki, poległ w boju z czarnymi wyspiarzami nowej Kaledonii.

Teraz i ja się cofnąłem do swjej kajuty.

Huczały burze i wichry, miotając nielitościwie okrętem na wszystkie strony; wiazadła jego trzeszczały, postronki świszczwały; ale ludzie, ubezpieczwszy się przeciw wszystkim przewidzianym ko-

(1) Dla lepszego zrozumienia winniśmy tu objaśnić, że podczas pobytu swego w Otaicie doktor A. Z. podbił serce najpiękniejszej z księżniczek tamecznych, młodej siedemnastoletniej Talaji, i nawrócił ją na religią katolicką. Przebrana po mężku, Talaja towarzyszyła swemu narzeczonemu do Europy, lecz o jej przebraniu nikt nie wiedział prócz doktora, kapitana Riffat, Magdaleny Gafforio wdowy po kapitanie niższego pomostu, i kanoniera Calebasse, pełniącego służbę cyrulika okrętowego. Przez cały ciąg swego pobytu na okręcie, to jest przez rok cały, księżniczka Otaicka, wielkich zdolności i najszlachetniejszych uczuć dziewczyna, pełniła służbę midszipmana i nawet umiała oddać załodze Ermancyi dość ważne usługi. Wielkiego też używała szacunku, lubo oprócz wymienionych osób nikt nie wiedział że młody midszipman jest kobietą i narzeczoną czczonego przez wszystkich Dra. A. Z.

lejom losu, umilkli w cichych modłach, i w nieugiętej postawie przełożonych czerpali nadzieję wybawienia.

W ciągu trzy dni trwającej burzy rozpełł się średni maszt tuż nad bocianiem gniazdem, i swym ciężarem zwałił maszt przedni nad samą poprzecznicą żagiel łaciński powstrzymującą. Trzech ludzi ranił ten jeden powiew szalonego wichru! Z wielkim wysileniem udało nam się uratować złamane maszty; ciągnęliśmy je za sobą linami.

Czwartej nocy burza poczęła się uciszać, i następnego poranku ujrzelśmy się, według obrachowań pana Delaize, blisko dziewiątego stopnia szerokości północnej. Jeszcze morze bałwańło bardzo wysoko i widokrąg zewsząd był zaciemniony. Czekamy dzień cały uspokojenia fali; wreszcie wiatr prawie całkiem ustał, a jeśli zawiał niekiedy, to już stale od strony południowo-wschodniej. Nie tracąc czasu wzięto się do wciągnięcia połamanych masztów, a gdy się morze wieczorem cokolwiek wyrównało, midszipman Tikury, znów czuwający na koszu, ujrzał w niewielkiej odległości ku brzegom Afryki okręt z masztów tylnego i średniego zupełnie оголоcony. Żaden z załogi naszej nie miał tak bystrego oka, ażeby mógł spostrzedz co się dzieje na dalekim widokręgu; aleśmy zaufali zupełnie bystrości wzroku indyjskiego, i przez noc całą, trzymając stér w kierunku pędzącej fali, naporządzaliśmy z niezmierną czynnością nasze maszty. Dzieła tego niebardzo trudno było dokonać, przy pomocy licznój a ochoczój załogi. W ciągu nocy zupełnie się morze uspokoiło, i nazajutrz po wschodzie słońca, midszipman Tikury ujrzał przez lunetę, o jakie dwie mil za nami, statek ten sam co i dnia poprzedniego, naprawiający swe maszty.

— Ze trzydziestu białych i tyleż prawie czarnych krząta się na pomoście poszkodowanego okrętu, zawołała czujna Indyanka.

Nareszcie i myśmy go widzieli, ale Murzynów nanim niezdolaliśmy rozeznac od białych.

Na słowo midszipmana rozkazał jednakże kapitan skierować przód okrętu na południe, i zbliżać się sztachowaniem do skołatanego statku. Nawet tył mu zająć usiłował, przypuszczając że to zapewne jaki murzyniarz, przewożący afrykańskich niewolników do Ameryki.

— Może będzie bójka, jeżeli midszipman indyjski dobrze widział, mówili do siebie, zaciérając rę-

ce, nasi cheiwi boju żeglarze, i wszyscy, zagrzani nadzieją walki, wyszli na pokład.

Wiadomo, że wszystkie mocarstwa morskie sprzymierzyły się w celu ścigania i karania śmiercią rozbojników morskich i murzyniarzów, a właśnie i *Ermancya* wyrobiła sobie u ministra marynarki francuzkiej listy korsarskie.

Gzygzakiem podsuwaliśmy się z przeciwnym wiatrem ku południowi, i nareszcie w połowie dnia, kierując się z największą ostrożnością, stanęliśmy o strzał armatni poza podejrzanym okrętem, który właśnie w tej chwili, zdoławszy naprawić maszty swoje, zaciągnął żagle i z wiatrem południowym umykał przekątnią na wschód ku znanym sobie brzegom Afryki.

— To bardzo podejrzany obrót! rzecze kapitan Riffat. Biegnijmy za nim i zapytajmy się, wywieszeniem flagi francuzkiej i ślepym ładunkiem, jakiej narodowości ów statek.

Rozkaz natychmiast wykonano. Uciekający statek wywiesza flagę Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

— Znamy się na tych figlach! — krzyknie kapitan. Wywiesić flagę urzędową królestwa Francyi, i palnąć na ślepo z dwóch wielkich koronad przednich!

Ryknęły dwie sześćdziesięcio-funtówki, i zarazem na szczycie tylnego masztu Ermancyi zatknięto herb królestwa.

Postrzegłszy tę flagę, poszlakowany okręt umyka siłą wszystkich żagli swoich ku brzegom i nie neodpowiada

— Aha! mniemasz że my takich skrzydeł nie mamy? odezwał się znów kapitan, i rozkazał wszystkie żagle rozpiąć na najwyższych poprzecznicach, a skierowawszy okręt ku wschodowi, zabiedz gnaniemu statkowi drogę od brzegów Afryki.

Trwała zacięta gonitwa z dobrą godzinę.

Midszipman Tikury woła przez tubę że jakieś na widokręgu wschodnim okazują się wysokie brzegi.

— Kapitanie, to brzegi Afryki, ani chwili do stracenia; albo odstęp od gonitwy, albo natychmiast każ rozpocząć walkę, rzecze porucznik Delaize do kapitana Riffat.

— Zapytajmy się najprzód cokolwiek wyraźniej czy ów jegomość tak jak my umie przemawiać że-

lazem. Hola, kanoniery! z dwóch wielkich koronad na ostro! mierzyć w żagle! dobrze wycelować.

Zagrzmiały dwie sześćdziesięciofuntówki jednocześnie, jak orzech zgryzł. Liczne szmaty wyleciały z gonionego okrętu w powietrze; powiedziałbyś że się wzniosło stado białych ptaków rozmaitych rozmiarów.

— Dobrze! jeszcze raz czempredź! zawoła kapitan.

Jeszcze raz rykły armaty. Kawał masztu, czy poprzecznicą, upadł ze szczytów ściganego okrętu na pokład. On wciąż ucieka, nic nie odpowiadając.

— Musi nie mieć armat, mruknął kapitan.

— Może mieć działa burtowe, a żadnej koronady tylnej, albo je też postradał w ostatniej burzy, odpowiedział stary porucznik Surcouf.

— Słuszna uwaga, sędziwy mój kolego! rzecze młodszy porucznik Delaize. Sądząc z wielkości żagli, musi ten ptaszek być dosyć ważnym, i zapewne bój przyjmuje jeśli się zbliżym do niego na odległość strzału dział jego burtowych; tymczasem idzie o złamanie mu lotów. Spieszmy za nim i walmy w żagle!

Ścigamy bezprzestannie, strzelamy w żagle. Wiadać że kule nasze trafiają, bo zwalnia biegu, a my, dociągając ciągle, już tylko na wiorstę od niego odlegli. Wtém zatrzymuje się murzyniarz, i midshipman krzyczy z bocianiego gniazda:

— Stał prawym borem, dwanaście białych okiennic z niego błyska, wciąga flagę, trzy czarne głowy na białym gruncie!

— Więc jest murzyniarzem i to jawnym; ale dwanaście z boku, — brr! powie kapitan, to nierówna sprawa. Trzeba będzie odstąpić od gonitwy: dwa razy mocniejszy od nas burtami.

— I ja tak myślę, doda porucznik Surcouf, przypatrzwszy się przez lunetę.

— Niech Bóg broni żebyśmy odstąpili od walki, mając tak dzielnie obsłużoną, chociaż mniej liczną artylerją. Załogi zato mamy dwa razy tyle, i wytrzymawszy ogień, zgnieciem go jak muchę przypuszczeniem ataku na pokład! krzyknie odważny porucznik Delaize.

— Panowie! rzecze kapitan, ja sprawy tak ważnej rozstrzygnąć nie mogę bez zniesienia się z komisarzami królewskimi i oficerami siły zbrojnej okrętu. Proszę na radę wojenną; tymczasem zaprzestać ognia, w bębny uderzyć; haki, piki i to-

pory mieć w pogotowiu; granaty ręczne wnieść i wszystkie działa na ostro nabić.

Stało się w oka mgnieniu według rozkazu kapitana. Rada wojenna zbiera się w jego kajucie. Mnie doktora do niej nie powołano; pozostałem na pokładzie tęskniami oczyma ścigając ruchy Indyanki.

Ona wzrok zatopila w nieprzyjacielu, ani się zwróci do mnie. Wołania moje niepomagały; aż w końcu sam, pchnięty rozpaczą, wlatuję po powróźnej drabinie na gniazdo bocianie.

— Tony, co ty tu robisz, mój przyjacielu? odezwie się Talaja, odstawiając lunetę od oka. Czy tu twoje miejsce?

— Ty o to pytasz, Talajo, odpowiem, czy nie wiesz, kochanie moje, że dowódcy w tej chwili rozstrzygają czy mamy walczyć z rozbójnikami, lub też odstąpić od ścigania? A w boju, jak się zdaje nierównym, gdzież życia naszego rękojmia? gdzież pewność że walkę przeżyjem?

Rumieniec ustąpił ze śniadych ale przesłicznych lic Indyanki, jej wielkie czarne oczy spoczęły na moich źrenicach z wyrazem niewymownej tkliwości.

— Jednak i teraz, rzekła, starać się winienes o zachowanie pozorów, mój przyjacielu Tony, i nie-dobrze robisz że w obliczu całej załogi okrętu okazujesz mi względy, mogące tych ludzi naprowadzić na tor prawdy. Ah! żebyś ty wiedział, Tony, jak ja się lękam tego młodego porucznika Alfonsa! Jego rozum bystry jak promień słońca, a ręka szybka jak błyskawica. Gdyby on wiedział że ja jestem kobietą, to tybyś przepadł, mój Tony, a ja —

— A ty? a ty Talajo? zapytałem struchlały.

— I jabyłm przepadła, czuję to w głębi serca, rzecze zapłonią dziewiczym wstydem Indyanka, naciskając pierś swojemi małemi dłońmi, doda: Któżby się oprzeć mógł natarczywości tego lwa młodego, którego lękają się wszyscy, podkomendni i zwierzchnicy?

Teraz odgadłem prawdę: Talaja, dzika córka Oceanii, nie wiedząc o tém kochała Alfonsa i lękała się o swój honor.

Po tém zwierzeniu się wróciłem smutny na pokład, i po raz pierwszy w życiu szatany zazdrości zapokutowały w mojem sercu.

— Więc niech się rozkiełznają, zawołałem, żywioły zniszczenia na tym statku! wolę zginąć, jak

widzieć Talaję, kwiat Oceanii, własnością innego człowieka!

Niedługo czekałem na to rozkielznanie.

Kapitan wrócił z oficerami marynarki i siły zbrojnej na pokład, spojrział gniewnym okiem na okręt nieprzyjacielski, oczekujący w groźnej postawie naszego postanowienia, i już miał dać znak do boju, gdy jego oko padło na me wybladłe oblicze.

— Aha! pojmuję czemuś tak blady doktorze, twoja narzeczona na najniebezpieczniejszym posterunku, rzecze do mnie półgłosem dobry kapitan. I kazał zejść midszipmanowi Tikury z bocianiego gniazda na niższy pomost.

Zaraz po wykonaniu tego rozkazu kapitan zakomenderował:

— Więc w imię Boga, dzieci moje, prawym borem w kadłub tego łotra! cell—pall

Zarykły nasze działa, zaświszczały kule i w tej samej chwili zoczyliśmy dym wydziérający się jednym długim pasmem z lewego burtu wroga, uczuliśmy siłę jego strzałów w żaglach i na pomoście. Ale nim jeszcze murzyniarz zdążył zrobić obrót, kula naszej tylnej koronady trafiła go tak celnie, że część przedniego masztu runęła na pokład i utrudniła jego ruchy.

Korzystamy z tej chwili; walemy z przednich koronad, zbliżając się bezprzestannie do murzyniarza. Nieprzyjaciel dobywa sił nowych, odpowiada niespodzianie silnym i dobrze wymierzonym ogniem. Wszczyna się morderczy bój, najwięcej na pięćset kroków.

Naszych piętnaście dział walczy przeciw jego dwudziestu pięciu, bo i on miał jedną koronadę na przednim kastelu. Ale my już prażemy szrepnelami z naszych koronad i borem pakujemy mu kule po kulach w linowanie i w kadłub; już i kartaczami borem częstować go możemy. Wtém spada nam maszt tylny prosto na tylny kastel, przywała sternika i łamie koło rudła: nieład wkrada się na pokład. Spozstrzega to nieprzyjaciel; chce umknąć z placu boju, wyrzuca do morza wszystko co mu bieg utrudnia.

Z przerażeniem spostrzegamy w wodzie falami miotanych i do siebie przykutych Murzynów. Łotr handlarz rzucił w morze żywy swój towar. Pasują się biedni Murzyni ze śmiercią, jęczą, błagają, podpływają pod nasz statek.

Wtém krzyczy porucznik Alfons:

— To fortel tego zbójcy! chce nas zmusić do ratowania Negrów, abyśmy czas stracili i pozwolili mu umknąć. Kapitanie, żadnej litości! dalej maszt do morza, sypchać Murzynów wspinających się na statek, a ścigać barbarzyńca, nie tracąc jednej chwili!

Ale pomiędzy tonącymi były i kobiety; wciągają je majtkowie na statek, pomimo zakazu nieubłaganego oficera.

Średniego masztu odłamy padają na pokład; kapitan, drzazgą uderzony w głowę, pada i omdlewa.

Widząc to porucznik Delaize obejmuje samowolnie kommandę; załoga najchętniej wykonywa rozkazy walecznego młodziana, a porucznik Surcouf nietylko zapomina że jest starszym w stopniu, ale jeszcze pilnuje aby wykonywano wszystko, co jego młody kolega zarządzi.

Maszt hamujący poruszenia nasze już w morzu.

Świeży powiew wiatru dmie w nasze żagle; korzystamy z niego i ścigamy. Już i z burtowych dział prażyć można kartaczami na pokład murzyniarza. Jesteśmy nareszcie tak blisko nieprzyjaciela, że jeden obłok dymu ogarnia obydwie okręty; teraz już i z ręcznej broni razić go możemy, ale i on też żywym odpowiada ogniem: padają nasi na pokładzie i we wnętrzu.

W jednej i tej samej chwili poległ syn i matka.

Właśnie gdym kończył opatrywać kapitana, i chłopiec okrętowy, trzynastoletni Gofforio, trzymał miednicę, dwunasto-funtowa kula, z blizka wystrzelona, przebija wszystkie ściany okrętu, wpada do kajuty kapitańskiej i zabija mi z pod ręki biednego chłopca.

Wtém wbiega kanonier Calebasse i oznajmia, że granat ręczny wpadł do kajuty w której modliły się Magdalena i Talaja, że granat pękł i trafił jednym czerepem Magdaleny w piersi, a drugim księżniczkę w lewe ramię.

Inna jeszcze kula urwała jednemu z midszipmanów nogę. Żaden prawie pocisk celu nie chybiał; okręty były tuż obok siebie.

Ha! jakieś uderzenie! statek zadrżał we wszystkich wstawach i wiązaniach. Krzyk się rozlega okropny:

— A l'abordage! na pokład wroga szturmem!

Cała nasza załoga, prócz rannych i zajętych przy baterii, nawet chłopcy i uczeni, wszyscy co jakąkolwiek bronią władać mogli, wskakują za Alfon-

sem Delaize na statek nieprzyjacielski, gdzie ze czterdziestu ludzi białych i czarnych broni się zacięcie.

Indyanka płacze nad ciałem umarłej Magdaleny, ja ją porywam z pomocą kanoniera Calebasse, także lekko rannego, zanoszę ją do swój własnej kajuty i tam opatruję oboje.

Opisać co się działo na pokładzie murzyniarza nie sposób. Cały pomost krwią zalany, trupami i rannymi, jeszcze się broniącymi, zaległy. Kapitan ich, na czele swój rozpaczliwej czeredy, ogania się zacięcie, śle śmierć i rany wkoło siebie.

Porucznik Surcouf nie próżnuje na naszym statku; zatoczyć kazał działo na najwyższe miejsce tylnego pomostu, nabija je całą kwartą kul karabinowych i korzystając z powiewu dym spędzającego, wali w zgraję zbójcką cały dobrze wymierzony ładunek.

Kapitan i piętnastu ludzi pada na ten jeden wystrzał; ale herszt powalony woła na swych ludzi aby zapalili prochownią, i ci ruszają jak jeden człowiek ku otworowi do niższego pomostu.

Ale tu Alfons, z garstką najwaleczniejszych, ręcznym ogniem przyjmuje nacierającą tłuszcę i wpada na jej barki z toporami. Ulegają nareszcie w nierównej już walce rozbójnicy: ośmiu tylko pozostaje walczących, i ci się poddają na łaskę i niełaskę.

Flaga Francyi powiewa na maszcie zdobytego okrętu!

Ustała walka właśnie w chwili, gdy słońce zapadać zaczynało w Atlantyk:—powietrze było ciche, widokrąg pogodny. Nagłe to przejście z ruchu do spokojności miało coś w sobie niezmiernie uroczego.

Niestety, tylko jęki umierających i rannych przerywały tę ciszę; zaczęła się czynność moja.

Mieliśmy jedenastu zabitych, dziewięciu ciężko, a dziewiętnastu lekko rannych.

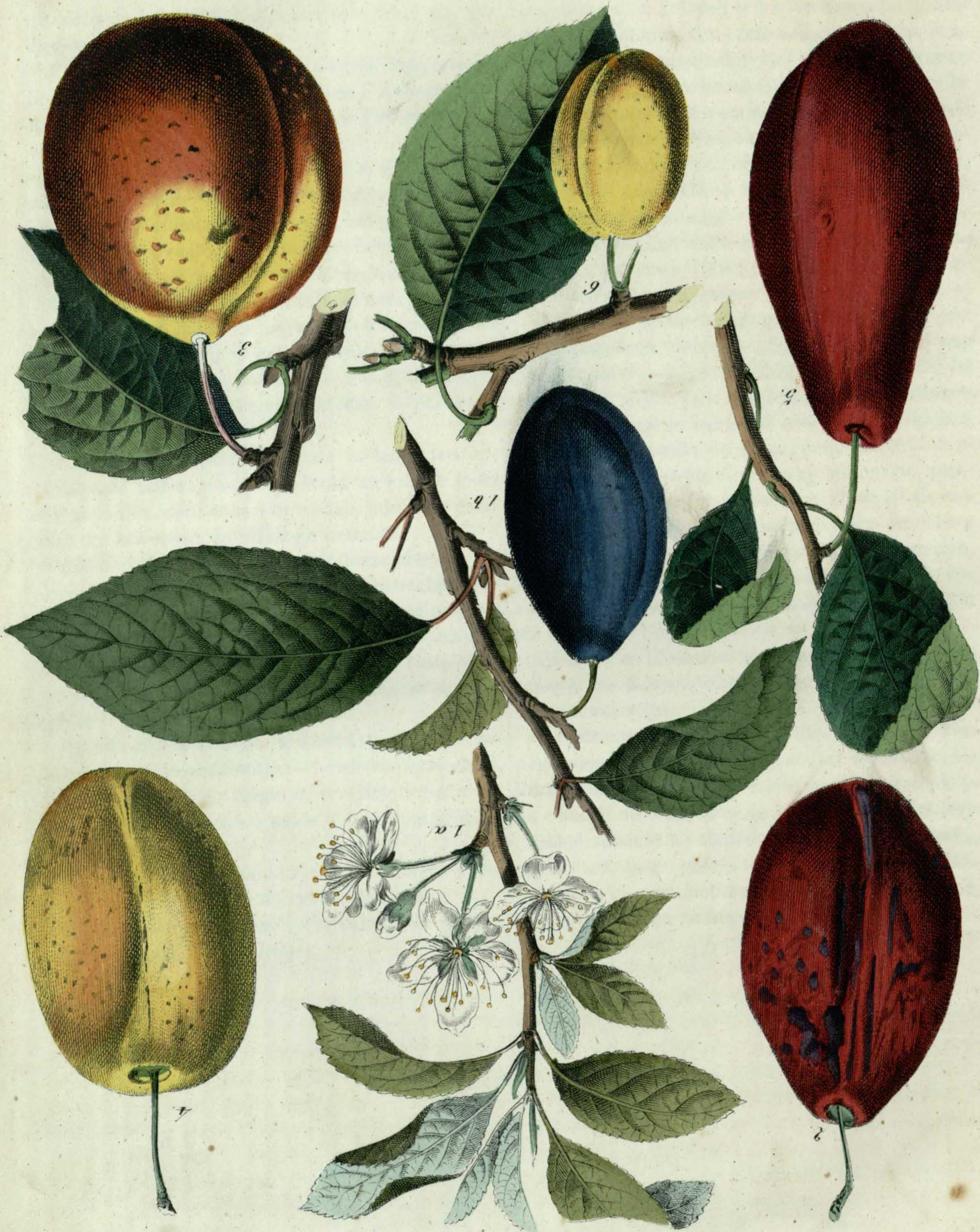
Nieprzyjaciel zatopił dwustu dwudziestu trzech niewolników, z których tylko siedmnaście kobiet i dziewięciu chłopaków uratować zdołaliśmy, stracił czterdziestu jeden zabitych i rannych, tych ostatnich bowiem, prócz herszta, z rozkazu porucznika Delaize utopiono; słowem z 299 ludzi, którzy przed kilką godzinami żyli na okręcie przeciwników, pozostało 26 uratowanych Murzynów, ośmiu innych, po większej części lekko rannych i sam dowódzca, już prawie umierający.

O takiej zagładzie życia ludzkiego wyobrażenia dotąd nie miałem. Dzień 9 sierpnia 1849 r. pozostanie dla mnie pamiętnym.

Od jeńców dowiedzieliśmy się, że herszt ich jest Brazylijczykiem dobrego rodu i nazywa się don Evaristo de Soa Miguel. Mógł mieć najwięcej lat trzydzieści; uderzająco był pięknym; o wykwintności zaś smaku tego lotra świadczyła jego kajuta, w której znajdowała się gitara, nuty, książki, obrazy niewiast świętych i miniatury kilkunastu pięknych kobiet różnej narodowości. Chwycił się rzemiosła murzyniarskiego, jak drudzy przedsiębiorcy chwytają się karciarstwa, loteryi, konszachterstwa, lub innych szkodliwych ludzkości sposobów do życia. Bardzo mu się dobrze wiodło przez lat kilka; ale nareszcie Bóg wdał się w tę sprawę.

Biędny don Evaristo Soa Miguel będzie powieszonym na maszcie okrętu swego, jeśli dożyje do dnia jutrzejszego.

Komisarze królewscy mianowali na miejscu młodego, za ledwie dwadzieścia jeden lat liczącego, Alfonsa Delaize kapitanem zdobytego przezeń okrętu, i kazali mu odprowadzić go prosto do Francyi. Już nie zobaczy się nigdy księżniczka Otaity z młodzieńcem którego potęgi tak się lęka. Jej rana, Bogu dzięki, nie jest niebezpieczną, ani też stłuczenie zacnego kapitana naszego



ŚLIWKI.

Rodzaj *śliwa* (*Prunus*) w porządku naturalnym należy, z kształtu kwiatu, do rodziny roślin różowych, a według układu Linneusza liczy się do klasy (XII) roślin kielicho-pręcikowych, jednosłupkowych, z owocem pestkowym. Kielich i korona są pięciolistkowe; pręcików wiele, do kielicha przyrosłych, guzik owocowy górny; są to cechy wszystkim gatunkom wspólne; a do tych gatunków prócz śliw, wiśn, moreli, pielęgnowanych w ogrodach, w sadach, należą jeszcze dziko rosnące: tarn, trześnia, czeremcha, smrodynia także nazywana, tudzież śliwa lubaszka, do samych ogrodów chłopskich wygnana, niejako przejście od cierpkiej tarni i smrodyni do przednich węgierki stanowiąca. Nie mamy tu jednak zamiaru opisać szczegółowo wszystkie te gatunki; powodowani jedynie względem na wartość pomologiczną, przestaniemy na bliższem określeniu właściwej *śliwy*.

Właściwe śliwy są to drzewa lub krzewy różnej wielkości, których liście naprzemian osadzone, ogonkowe, owalne, ząbkowane, z przysadkami, gruczołkami przy nasadzie opatrzone; kwiaty albo pojedynczo na szypułkach, albo po kilka zebranych w grona, w miejscach powyżej liści zeszlęcnych wynastające. Owoce ich bywają w różnych kolorach: w czerwonym różnych odcieni, błękitnym, żółtym, a nawet białym. Znaczna także zachodzi różnica w ich smaku, który bywa już to cierpki, już kwaśny, już bardzo słodki, już wreszcie lekko kwasowaty; tak samo różnią się wielkością, od laskowego orzecha, aż do wymiarów kurzego jaja. Niektórzy uważają *śliwę lubaszkę* (*Prunus insititia*) za pierwotny gatunek wszystkich śliw ogrodowych, ale to przypuszczenie trudno byłoby udowodnić, i zdaje się że istnienie śliwy pospolitej i innych jest oddzielne, gatunkowe. Lubaszka w krajach południowych, równie jak u nas w ogrodach wiejskich, rodzi owoc mały, cierpki, do pestki przyrosły, przez samych tylko wieśniaków używany, a w lepszych sadach służy tylko za pień do szczepienia śliw szlachetniejszych gatunków, które są przedmiotem niniejszego artykułu.

Ogrodnictwo u nas nie jest jeszcze na tym sto-

pieniu rozwinięcia, iżbyśmy, nawet po opadnięciu liści, spostrzegali związki między kształtem owocowych drzew, a ich owocami; dosyć kiedy rozeznajemy śliwę od moreli, brzoskwini, wiśni. W krajach tylko gdzie bardzo pilnie zajmują się hodowaniem i poprawą owoców, gdzie bardzo troskliwie śledzą i uważają na wszelkie w nich objawy, u ludów gdzie ogrodnictwo nierównie więcej jak u nas ma znaczenia, w takich mówię krajach bardziej udoskonalone i rozwinięte są o tym przedmiocie wiadomości, tak iż ogół ich stanowi oddzielną naukę, *pomologią*. Jest to nauka owoców, drzew i krzewów owocowych, mająca swe zasady, swój właściwy język czyli terminologią, którą, podobnie jak terminologią botaniczną, trzeba dobrze poznać, aby zrozumieć podziały i opisy tak owoców, jak drzew i krzewów owocowych. Pożądaną byłoby rzeczą aby i u nas, kiedy się krzewi i wzmaga upodobanie w ogrodnictwie, zwracano więcej uwagi na krajową pomologią. Wtedy to, mówiąc o drzewach i owocach, pewniebyśmy się nawzajem rozumieli, i owoce u nas hodowane stalsze otrzymałyby nazwy.

Dla miłośników pomologii, lubiących porównawcze badania tego przedmiotu, zamieszczamy tu opisy z rycinami owocu z rodzaju śliwy, z dodaniem nazwisk niemieckich, francuzkich, a nawet angielskich, jakie w katalogach sprowadzanych z zagranicy drzew owocowych zwykle obok siebie stoją.

Sliwka pospolita czyli *węgierka* (fig. 1 a i b), w Niemczech ma nazwiska: Gemeine Pflaume, we Francji zaś: Prune d'Allemagne, w Anglii: Common Plum-tree.

Liście drzew tego gatunku są jasno-zielone, zwierzchu i spodem kosmate. Latorośle gładkie, owoc jajowaty, mocno obdłużny, zwykle na jednym boku bardziej niż na drugim pękaty i na tym drugim zawsze wyraźną, wklęsłą linią oznaczony. Skórka na owocu przygruba, w dojrzałości czarno-granatowa, białym pyłkiem pokryta, a ztąd na pozór błękitnawa. Mięsiwo najprzód zielone, potem żółtawe, delikatne, soczyste, słodkie, łatwo odstaje od pestki, która jest podługowata, chropowata.

Ogonek cienki, długi, włosisty. Dojrzuwa we wrześniu i październiku.

Błękitna cesarska sliwka (fig. 2). Niemcy nazywają ją: *Violette Kaiserpflaume*, *violette Imperiale*, Francuzi zaś: *Prune de Princesse*. Liście całe włosiste, ciemnozielone. Owoc wielki, podługowato-jajowaty, wyraźną brózdą ograniczony, skórka na nim przygruba, mięsivo łatwo od pestki odstaje, po wiérzchu jasno lub ciemnoczerwony albo fioletowo-błękitny, lekko szaro-nakrapiany. Mięsiwo zielonawo żółte, przyjemnego smaku, słodkie, ale zawsze jędrne. Ogonek owocowy włosisty. Dojrzuwa w połowie sierpnia. Owoc bywa częstokroć gumowaty, od robactwa napastowany.

Damascena czerwona (fig. 3). Po niemiecku: *Roth Eierpflaume*, *Maltheserpflaume*; po francuzku: *Grosse rouge*, *Prune de Cypre*; po angielsku: *Amelia Prunya*. Drzewo znacznej dochodzi wielkości. Odnogi i gałęzie częstokroć w okrąg wyrastają. Latorośle długie i grube; korona wysoka, kotłowata, gęsto liściem okrywająca się. Liście jajowate, tępo kończate, nierówno ząbkowane, grube, mięsiste, ciemno-zielone, z wiérzchu i spodem gęsto włosiste. Owoc 2 cale 4 linii długi i o kilka linii tylko mniej gruby, wielkości kurzego jaja, w końcach nieco ścięsniony. Skóra na nim gruba, czerwona, częstokroć też blado-żółtawa, suto czerwono nakrapiana. Mięsiwo tęgie, soczyste. Pestka mała, gruba, guzista, okrągława, z dwiema lub trzema brózdami na krawędzi, łatwo od mięsiwa odstaje. Ogonek owocowy do jednego cala długi, a nawet dłuższy, rzadko włosisty. Dojrzuwa ku końcow sierpnia lub we wrześniu.

Wielka żółta jajówka (fig. 4). Po niemiecku: *Gelbe Eierpflaume*, *Mogolspflaume*, po francuzku: *Prune d'oeuf blanche*, *Impériale*, po angielsku: *Mogul Plum*, *White Imperial*. Drzewo mierniej wielkości; odnogi i gałęzie, po większej części, jedne nad drugimi, widłowate, prosto stojące, tęgie; latorośle długie, grube, koloru trawiasto zielonego, na stronie ku słońcu brunatno-czerwonawe; korona przejrzysta, obrzednia; liście duże, nieco ostrokończaste, głęboko wcinane, tępo ząbkowane, ciemno-zielone. Owoc do 3 cali długi, 2 cale i 5

linij w przecięciu gruby, w środku najgrubszy. Skórka cienka, mocna, zdejmować się dająca, woskowo-żółta, biało upylona, grubiej lub drobniej białe, częstokroć także szaro i czerwono-brunatno, nakrapiana. Mięsiwo dosyć tęgie, delikatne, smaczne, słodko-soczyste. Pestka 1 cal 4 linii długa, 10 linii w przecięciu szeroka, a 5 linii gruba, w wyższym końcu przytępiona, ku ogonkowi bardziej kończasta; na szerokich kantach po 3 ostre krawędzie, na węższych zaś 2 ostre krawędzie i jedna głęboka bróзда. Ogonek owocowy 13 linii długi, gruby, mięsisty, żółto-zielony, w obszernym dolku. Dojrzuwa pod koniec sierpnia lub na początku września. W czasie dżdżystym łatwo owoc na drzewie gnije.

Węgierka daktylowa (fig. 5). U Niemców: *Purpurzwetsche*, *Dattelpflaume*; u Francuzów: *Prune figue*, *Prune datte*.

Liście wielkie, włosiste. Owoc duży, długi, odwrotnie jajowaty. Mięsiwo czerwonawo-żółte, łatwo od pestki odstaje. Ogonek owocowy bardzo długi. Dojrzuwa w ciągu sierpnia lub na początku września.

Sliwka mała żółta ranna (fig. 6). Niemcy nazywają ją: *Gelbe Spilling*, *gelbe Frühpflaume*; Francuzi: *Prune jaune hâtive*, *Prune de Catalogne*; Angliacy: *Early white*, *Primordian Plum*.

Drzewo tego gatunku bywa zwykle średniej wielkości. Odnogi i gałęzie po największej części okółkowate, nieporządnie rozłożone. Latorośle krótkie, cienkie; korona odwrotnie piramidalna, obrzednio liściem się okrywająca. Liście obdlużne, szerokie, kończate, zielono-żółtawe. Owoc 1 cal 4 linii długi, 1 cal w przecięciu szeroki i mało co mniej gruby, jajowaty, biało-żółty, biało upylony. Mięsiwo żółte, delikatne, jędrne, soczyste, smaku słodkiego, podobnie jak w węgierce pospolitej. Skórka nieco kwaskowata. Pestka podługowata, 8 linii długa, 5 szeroka, a 3 gruba, za przyciśnięciem łatwo się odziera. Ogonek owocowy gęsto drobniutkiemi włoskami pokryty. W cieplejszych krajach dojrzuwa przy końcu lipca, u nas dopiero w sierpniu. Drzewo obradza obficie, prawie rok rocznie.

E. L. b. pr. n. p.

KSIĘGA ŚWIATA.

00533



WŁADOMOSCI

Z WZRODZENIA NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORII KRAJÓW I LUDZI,

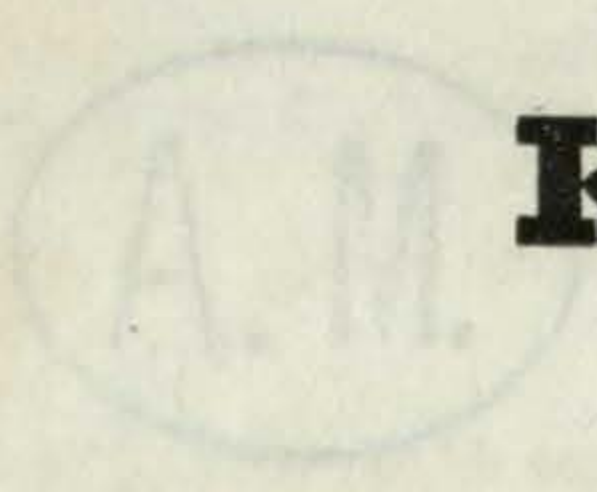
ZYWOY ZNAKOMITYCH LUDZI,

PODRÓŻY, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOSCI, WOD BEYNNISZYCH ODBRYCIA I WYNALEZKI,

WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

OBRAZY TOWARZYSKIE, STATYSTYCZNE, EKONOMICZNE,

Z WYCIĄGAMI NA WIELI OBRZEBIENI, ROZKŁADANEMI, ORAZ DEKTYWOWANEMI



KSIĘGA ŚWIATA.



WARSZAWA.

KARLOM J. B. HERZBACHA KSIĘGARNIA

1853.

Ogonek cienki, długi, nie dłuższy od ciała. Dojrzałość we wrześniu i październiku.

Blyctus ... waja ja: Wielka Katalpa, wielka ... Francuzi ... de Princema. ... Owoce ...

Blyctus ... Po niemiecku: ... the Elepflaum, ... Grosser rosig, ...

... waja ja: ... Wielka Katalpa, ... Francuzi ... de Princema. ... Owoce ...

Blyctus ... Po niemiecku: ... the Elepflaum, ... Grosser rosig, ...

... w przecięciu gruby, w końcu ...

Blyctus ... Po niemiecku: ... the Elepflaum, ... Grosser rosig, ...

... waja ja: ... Wielka Katalpa, ... Francuzi ... de Princema. ... Owoce ...

Blyctus ... Po niemiecku: ... the Elepflaum, ... Grosser rosig, ...

... waja ja: ... Wielka Katalpa, ... Francuzi ... de Princema. ... Owoce ...

Blyctus ... Po niemiecku: ... the Elepflaum, ... Grosser rosig, ...

ATAIWS AETISZ